

Kraszewski Józef Ignacy

Żyd

"Wszakże też gdy byli w ziemi nieprzyjacielskiej, nie do końcam ich odrzucił, anim ich tak wzgardził, żeby wyniszczeni byli i żebych zrzucił przymierze moje z nimi. Jam bowiem jest Pan Bóg ich..."

Xięgi III. Mojżeszowe. — Leviticus rozdz. XXVI. 44.

Po wszystkich świata gościńcach pełno dziś błakających się wędrowców... idą, lecą, spieszą, pędzą, a tak im pilno poza sobą zostawić kątek rodzinny, troskę domową, wspomnienia życia i groby jeszcze nieporośnięte zieleńią; — tak im pilno nie widzieć twarzy swoich a przyglądać się obcym, tak im potrzeba utonąć w tłumach nieznanym, ginąć we wrzawie bezimiennej ciżby — jakby się siebie wstydzili, jakby o sobie samych zapomnieć chcieli.

Dawniej, dom, strzechę ukochaną, opuszczano ze łzami, z niepokojem; dziś ją rzucamy z radością. Znikło owe ciche, spokojne, szczęśliwe życie rodzinne — stało się wyjątkowym zjawiskiem, prawie śmiesznością, zakopaniem... wszyscy uciekamy od ciszy, aby hałasem zagłuszyć wewnętrzny ból, znużenie, niepokoje i tęsknice.

I być nie może inaczej; cała społeczność cierpi, rzuca się, miota; jest to chwila niepokoju poprzedzająca śmierć a raczej nową życia formę.

Ale pośród tłumu wygnańców z dobrej woli — iluż wygnanych z musu! wlokących się choć ich tęsknica ciągnie nazad do zamkniętego, opustoszałego lub w gruzach leżącego domu, do rozwalonej przeszłości. Ci, znękani, szukają napróżno kąta, przytułku, ręki przyjaznej, wejrzenia braterskiego, słowa bratniego... wszyscy i wszystko ich od siebie odpycha.

Dla tych co biegną z uśmiechem drzwi każde stoją otworem, pokłon uniżony, służebny czeka ich w progach...

Od pierwszych odwracają się dłonie i twarze, świat się ich lęka; wydziedziczeni, wygnańcy, bezojczyzniacy, rzekłbyś że dotknięcie ich parzy, że oddech zaraża; pustkę sięją do koła — ludzie się rozstępują, bo obawia się każdy aby mu ten biedak odarty i nagi, potrzebujący wszystkiego, nie wydychał jego powietrza, nie zjadł jego chleba, nie wydarł zarobku.

I gnają ich różgą pogardy, szyderstwa dalej a dalej... w stepy i pustynie...

Oddawna świat takiego niepokoju i zamętu nie doświadczał: narody podobne są do porozbijanych mrówek, z których tysiące drobnych istotek rozlatują się przerażone. Tęsknota, chciwość, nieokreślone żądze, nienasycona ciekawość, pragnienie nauki, głód grosza, znużenie sobą, rozpędzają na wsze strony.

Zyska zapewne na tem ostatecznie ludzkość, ale tymczasem jednostki zamiast zbliżać się do siebie, żyć się z sobą oduczają; pękają węzły co ich gromadkami trzymały powiązanych, nawykają wszyscy uważać się za gości jednodniowych,

zastygają serca, obojętniejają stosunki. — Podróż życia i tak już krótką, jeszcze sobie tą włóczęgą skracamy.

Niema nic dziwnego że w takim stanie ducha — na głównych gościńcach Europy trafiają się nieraz najdziwniejsze, najniespodziewańsze spotkania. Tam gdzie tłumy przepływają bez ustanku, fala przynosić musi często rozbitków z różnych świata krańców, skorupy z głębin wyrzucone burzą, złomy koralów i strupieszale polipy i dyszące rybki i zielone alg gałęzie.

Jednego skwarne popołudnia poczynającej się jesieni 1860 roku, najświetniejsza a raczej jedyne: Albergo e trattoria della Grotta w Sestri Ponente pod Genuą na drodze wiodącej do Savony; oberża utrzymywana przez szanownego Gaetano Firpo, który jest zarazem restauratorem klubu przy Teatro Carlo Felice w Genui; napełniła się liczbą gości w dniu powszednie nadzwyczajną. W niedzielę nie byłoby to wcale dziwnem, bo naówczas Trattoria della Grotta rachuje na zwykłych swych gości genueńskich, ale we Czwartek, niespodzianka ta, wcale miła, rozjaśniała rumiane i opalone oblicze gospodarza. Sestri Ponente leży pod Genuą o niespełna godzinę drogi, nad samem morzem (in vicinanza del mare, opiewają prospekta pana Firpo) na sławnym gościńcu wiodącym do Savony i Nizy; w dosyć wdzięcznym położeniu. Genova la Superba, której na niczem nie zbywa, nawet na zielonych drzewkach wśród przepysznych jej murów, niema tylko jednej rzeczy... Oblanej morzem braknie jej morskich kąpiel. Port ma doskonały, ale to co tu kąpielami zowią, szkaradne. Kto się chce koniecznie wykapać w morzu, najmuje łódkę, wyjeżdża nieco z brudów portowych; tam przywiązują mu sznur do pasa, z łódki spuszcza ją wschodki i biedak siedząc na ślizkich ich stopniach, musi się w wodzie pluskać ostrożnie, ale z tą pociechą wewnętrzną, że jeźliby się wschodki lub nogi ośliznęły, poczciwy przewoźnik jak rybkę wędką za sznur by go z głębin wyciągnął. Jeżeli się ten sposób nie podoba, można się jeszcze kąpać w brudnej wodzie portu siedząc na ślizkich skałach, lub naostatek w marmurowej wannie na Piazza Sarzana.

Więc też ci co do drogiego, modnego Livorno lub do prześlicznej Spezyi pojechać nie mogą, wyruszają do ubogiego Sestri, albo innej małej jakiej miejsciny pod Genuą i tam biorą kąpiele, na mniej więcej kamienistym wybrzeżu. — Rozumie się że bogatsi którym równie chodzi o wygodę jak o towarzystwo i o sławę miejsca przez nich zaszczyconego pobytem, szukają sobie innych, wymyślniejszych kąpiel, przyjaźniejszego piasku i arystokratyczniejszej fali. Sestri służy oszczędny, cichy, którzy więcej morza niż ludzi potrzebują, więcej spokoju niż rozrywki.

Oprócz tego Sestri ma znaczne bardzo warsztaty do budowy mniejszych statków kupieckich, i to podobno głównie żywi je i bogaci. Okolica smętna jest ale poważna i piękna; do koła wstają wzgórza linii surowych i klasycznych Poussinowskich profilów, strojne w winnice, gaje, ogrody, ville niegdyś wspaniałe a dziś puste jak większa ich część we Włoszech, klasztory i kościołki. Z pięknie wykrawanego brzegu widok sięga w jedną stronę ku Genui, w drugą

daleko aż ku Savonie, wzgórza sine giną we mglistych morza wyziewach... Na prost nic nie postrzegasz tylko niezmierną przestrzeń lazuruwej i zieleniejącej fali.

Niedaleko od wybrzeża stoi, dosyć wykwintnie wyglądające zdala, Albergo delia Grotta. Niema najmniejszej wątpliwości że piękny ten pałacyk nie był na gospodę zbudowany; jest to villa jakiegoś możnego pana, później sprzedana i przerobiona na dom zajezdny.

Podwórzec pełen laurów, granatów, pomarańcz... wschody wiodące na górne piętra przystojne; wszędzie ślady fantazyi pańskiej i zbytku, na których gruzach usiadł dziś spekulujący restaurator nieposzanowawszy pańskiego dworca... Zmieniły się warunki życia wszędzie — z gmachami dawnymi tak się też dzieje nietylko we Włoszech: nie odpowiadają one wymaganiom i potrzebom dzisiejszej społeczności, więc niejeden pałac przerobiono na browar, niejedną villę na gospodę, a rokoszny ogród na plantacyą burakową... Ocalały tylko te które nabyli ludzie nowego mienia i imienia... Gdzie w opuszczonej skorupkę zdechłego magnata wlaźł pasożyt bankier... lśni się jeszcze i porusza stara muszla arystokratyczna, ożywiona istotą nową.

Główną ozdobą tej villi, jak jej nazwanie samo zwiastuje, była naturalnie grotta, która dziś dała imię gospodzie; jest w istocie osobliwą i bardzo kunsztownie zbudowaną; przypomina ona stare rzymskie czasy i zbytki, przepychy, uczyty i dziwactwa wymyślne Rzymian za cesarstwa, którzy chowali ostygi w sadzawkach na dachach, i kochali się w przewycięzaniu natury... aż do szaleństwa... Grotta jest na małą skalę takim snem wśród błętego dnia... podziemiem na powierzchni ziemi, niespodzianką.

Jest to ogromny salon, całe tej villi skrzydło zajmujący, przerobiony z pomocą trochy gipsu, farby i konceptu na ładującą w istocie i jakby naturalną pieczarę stalagmitami okrytą. Wchodząc do niej na pierwszy rzut oka można się sądzić w podziemiu i wiele osób z początku bierze ją za igraszkę natury, wykończoną i przyozdobioną przez sztukę. Ściany, zasklepienie, wszystko się wydaje jakby z jednej opoki, z kamienia. Głęb' tajemniczą, ciemną, poprzerzynaną labiryntami oświeconemi z góry, zajmuje umyślnie wpuszczona sadzawka i cicho szemrzący wodotrysk. Jest to coś w istocie uroczo pięknego dziwnego, niezwyčajnego, w początkach czyniącego silne wrażenie, ale powoli, gdy się rozpatrzy gość, gdy oczy się oswoją, chłód owionie, ów urok pierwszy rozwiewa się i znika.

Dziś niestety... jest to starą dekoracyą pokryta prosta, prozaiczna izba restauratora... Stoją w niej rzędami usłużne i potulne stoliczki i krzeselka dla gości; nawet w najciemniejszym, tajemniczym zakątku groty, nad skałami otoczoną sadzawką — postawiono stół, gwarzą, śmieją się, piją, porozbierawszy z sukni, odpoczywają Genuęńczycy — przejezdni woźnice zażywający wczasu lub, naprzemiany, jaka rodzina angielska, która po chwili ustępuje miejsca prostym parobczakom od warsztatów; bo w sali tej najzupełniejsza równość stanów, w obliczu makaronu i wina. Gospodarz z równą zabiegliwością posługuje lordowi i furmanom; kto wie nawet czy dla drugich nie jest więcej

uprzedzającym, i słusznie, bo lordowie rzadko dwa razy jednym przejeżdżają gościńcem, a woźnice jak febra wracają jeżeli nie codzień to przynajmniej przez dzień.

Kuchnia Trattoryi nie jest ani gorszą ani lepszą nad inne włoskie; wino dają znośne dla niezepsutych podniebień, chłód tu panuje miły, a gdyby jeszcze gazu nie było czuć przykro, który grootę wieczorami oświeca, możnaby ten kąs nazwać bardzo przyjemnem schronieniem.

Przez okienko ukryte w skałach z jednej strony zaglądamy cisnąc się gałęzie granatów i liście drzew pomarańczowych, w chwilach ciszy słycać szum niedalekiego morza, które z dachu płaskiego grotty widać doskonale; a w powszednie dni, gdy tłumu niema i szkaradnej muzyki, ani wrzawliwego balu, bardzo przyjemną chwilę spędzić tu można... Sestri jest zresztą cichą miejsciną, którą tylko niekiedy ożywiają przejezdni, a kolej żelazna nieco godzinami gwarliwszą czyni. Mało się tu osób zatrzymuje, bo zdała widać już białą latarnię morską u portu genueńskiego; każdy spieszy do Superby. Najczęściej goszczą w Sestri ci, co zwiedzają okolice, słynne ogrody villi Pallavicini, niedaleko miasteczka położone, lub pragnący spocząć na ustroni i nie obawiający się brodo pana Firpo...

Jednego tedy popołudnia skwarne, Albergo było nadzwyczaj przepelnione; z Genui nadjechała para niebiesko malowanych dylizansów, kilka dorożek; jacyś podróżni przybyli od Nizy — wszystko to odpoczywało w grocie. Zgłodnieli wędrowcy powysiadali do restauracyi, a gospodarz i słudzy naturalnie zaprowadzili ich zaraz do tego salonu, będącego chlubą ich i dumą, jakiemu równego przynajmniej na kilkadziesiąt mil w około niema.

Większa część stoliczków była zajęta, obsadzona najróżnorodniejszymi przybylcami, dosyć rozpierzchniętymi i zdającymi się z nieufnością wzajemną na siebie poglądać.

Przy jednym siedział średniego wzrostu piękny mężczyzna w sile i pełni lat, z twarzą wyrazistą, jakby włoskiego charakteru, w której się przecież cudzoziemski, wschodni typ, baczniej przypatrzwszy się, przypominał.

Czoło miał wyniosłe, pogodne, choć na niem wczesnie troska czy praca niejeden fałd narysowała; wejrzenie jasne, śmiałe, jakby o ukojeniu walk wewnętrznych świadczące, rysy w ogóle piękne, uderzające wyrazem i energią. Znawca fizioinomii ludzkich, człowiek z uczuciem wejrzawszy raz na to oblicze, musiał mu się baczniej i z zajęciem przypatrywać, coś ku niemu pociągało. Ubranie jego podróżne bez wykwinności ale smakowne a wygodne, dawało się domyślać jeżeli nie zamożności to przynajmniej przyzwoitej mierności i dostatku starczącego potrzebom. Skromny posiłek stał przed nim, resztki małej przekąski, proste wino, owoców trochę i sera.

Przy tym zapomnianym nieco deserze, Gorgonzoli, figach, gruszkach i winie, dumiał powoli zabierając się do zapalenia cygara, które oddawna już machinalnie w ręku obracał.

Przy drugim stoliku obok, liczniejsze skupiło się gronko, któremu królowała piękna pani, brunetka nie pierwszej już młodości, ale świeża, żywa, z różowemi ustami — ponętna bardzo a nadzwyczaj śmiała. Po obu stronach tej królowej siedziało dwóch mężczyzn. Jeden barczysty, słuszny, już szpakowaciejący brunet, który zdawał się być jej mężem a mógł być tylko statecznym przyjacielem.... drugi wysmukły chłopak, blondynek, nieśmiały jak dziewczeczka na pozór, rumieniący się co chwila, w którym krew grała jeszcze żywo, to go oblewając falą rumianą, to uciekając do serca za najmniejszym słówkiem głębiej dotykającym, zostawując po sobie świeże przejryste lice, puszkami ledwie wiosennym okryte.

Trójka ta jadła obiad, dosyć wesołą ożywioną rozmową, rozglądając się po cudownej grocie, bawiąc tą niezwykłą fizjonomją sali jadalnej.

W przeciwnej stronie nad butelką wina, podparty, zamyślony, z ręką w długich czarnych włosach, rozrzuconych w nieładzie, dumął mężczyzna palący cygaro z brwią nachmurzoną, nawisłą, niemłody już, złamany życiem jak się zdawało, zobojętniały, cały w sobie, choć widocznie szukał po za sobą rozrywki i łaknął roztargnienia. W jego twarzy i wejrzeniu było coś mimowolnie ściągającego uwagę, drażniącego jak zagadka. Wyglądał jakby nieuropejskiego plemienia potomek ciemnej płci, prawie czarny, opalony, ust nieco szerokich, niskiego kwadratowego czoła; miał w rysach coś egipskiego sfinxa. Twarz była jakby z bazaltu wyrzeźbiona, ale życiem złagodniała i zmiękła. Wszakże w głębi fałdów tej maski dziwacznej kryły się resztki ugaszonych a niegdyś gwałtownych namiętności. Teraz to morze zburzone spało już cicho kołysane wieczornym wiatru powiewem.

Jeszcze dalej siedzieli dwaj Włosi, poznać ich było łatwo naprzód po zrzuconych poufale sukniach, minio że w gronie były kobiety, i po wyrazistych twarzach, oliwkowej cerze, oczach pełnych ognia, naostatek po kruczonych włosach obficie spływających na ramiona. Jeden z nich młodszy, miał wąsy i bródkę a la Victor Emmanuel, postrzyżone krócej pukle i wyglądał wojskowo; drugi otylszy, starszy, podobniejszym był do artysty. Wesołe oblicza obu świadczyły, że im nie dokuczała tęsknota, że byli u siebie w domu, na własnej ziemi, oddychali powietrzem, do którego piersi ich nawykły.

Za nimi znowu o parę stolików dalej siedział sam jeden mężczyzna bladej o włosach jasnych, wyraźnie potomek wielkiej germańskiej rodziny, spokojny na pozór, nie zważający na nic, ale widocznie też wychłostany biczem losu. Ubrany był dosyć ubogo, dość zaniedbany; przed nim stała flaszka białego wina, trochę chleba i sera kawałek. Patrzył na grotę obojętnie, na ludzi zimno, zdawało się, jakoby po za nim, za poręczą, krzesła stało widmo nadchodzącego jutra, na które obejrzeć się lękał.

Cicho było w podziemiu....rozmowa półgłosem toczyła się tylko przy tym stole, za którym siedziała kobieta; reszta towarzystwa spoczywała poglądając ku sobie zdaleka; szcęknięty czasem butelki i szklanki wina, to znowu przewiało ciszą grobową.

Wtem wszedł do grotty jeszcze jeden gość, nie przez wielkie, paradne drzwi wiodące do niej od środka domu, ale przez mniejsze drzwiczki od dziedzińca. Wszystkich oczy zwróciły się na niego. On także z podziwieniem, z przestraczem prawie, powlókł wejrzeniem po osobliwszem owem podziemiu sztucznem, które na każdym nowo przybyłym czyni z razu przejmujące wrażenie.

Był to chłopak młody, blady, widocznie przywlókł się pieszo, bo cały okryty był pyłem włoskiego gościńca, który czarną zarówno i białą odzież na szarą przemienia; na twarzy jego znój podróży zmieszany z grochem dziwne pokreślił rysunki, jakby indyjskie wzorzyste wyklucia. Pomimo tej szpetnej maski, mimo wybladłego oblicza, był pięknym i miał w sobie ten urok, którym pociąga boleść wewnętrzna ku sobie tych ludzi, co ludźmi być nie przestali. Jasnowłosa, wybladły, osłabiony, w ustach miał wiele słodczy, w oczach omdlałych wyraz uczucia prawie niewieściego i domyśleć się było łatwo, że przecierpiał wiele, prawie nad siły...

Strój jego ubogi, mały tłumoczek w rękę i laska podróżna, świadczyły że z potrzeby więcej niż dla przyjemności długą podróż odbył pieszo.

Wchodząc oczyma począł nie śmiało szukać ustronnego kąta, a widząc pozajmowane do koła stoliczki, poszedł w głąb powoli, i poza Niemcem znalazłszy miejsce z cicha przypadł na krzesło. Ledwie zdjął kapelusz słomkowy, otarł czoło i chciał podeprzeć na stole, gdy nagle pobladł, twarz jego przybrała dziwny wyraz cierpienia, chwycił się konwulsyjnie za stół jakby usiłując przytrzymać, ale mimo to pochylił się w tył i upadł zemdlony.

Krzesło przechylone obaliło się z nim razem na podłogę, szczęściem jeszcze jakimś nie rozbił sobie głowy o sterczące naśladowanie stalagmitów i zwolna zsunął na ziemię. Wszyscy podróżni — należy im oddać tę sprawiedliwość; kobieta najpierwsza prawie — rzucili się do biednego młodzieńca który leżał bez zmysłów, trupią okryty bladością, ale z wyrazem tego spokoju, który śmierć i omdlenie na każdą prawie twarz wkładają, aby nie przerażała żywego świata.

Najprzytomniejszą ze wszystkich okazała się kobieta, choć wcale na siostrę miłosierdzia nie wyglądająca; ale w sercu każdej niewiasty kryje się matka i siostra. Pochwyciła wodę ze stołu, zmoczyła serwetę i przyłożyła ją do skroni młodego chłopaka, który z westchnieniem głębokiem oczy otworzył i przychodząc do przytomności powoli, wstydzic się zdawał swego, nieco kobiecego wypadku. Ze spuszczoną głową oparł się na łokciu oglądając bojaźliwie do koła, a usta jego bełkotały przeproszenia niewyraźne, podziękowania i poplątane wyrazy skłopotanego, zasromanego wyrostka, który świata i ludzi się lęka. Jakkolwiek krótko trwało omdlenie, już i gospodarz miał czas dowiedzieć się o wypadku; a że mu on groził niemiłemi następstwami, nie przez litość wcale, ze strachu tylko o siebie, o formalności jakie śmierć sprowadzić mogła, przybiegł wylękły, zabierając się może nawet wypędzić chorego z grotty, aby sobie gdzieindziej miejsca szukał (nie wyglądał bowiem zamożnie)... gdy otwarcie oczów uspokoiło go i wstrzymało wystąpienie.

Charakterystycznym było wszakże zjawienie się tej postaci groźnej, niosącej, trybem wiekowi właściwym, zamiast litości braterskiej, niemiłosierny wyrok wygnania ubogiemu i choremu... dla tego że śmiał być chorym będąc ubogim...

Pierwsze dziś uczucie jakiego człowiek doznaje na widok drugiego człowieka, to uczucie nieufności i obawy o siebie samego... Społeczność tak się urządziła, że jej nad wszelkie obowiązki idealne miłszy jest spokój, więc precz z biedakami coby go zamącić mogli... a jeszcze nieopłaconem skonaniem i dalej pogrzebem o cudzym koszcie!!

Zawstydził się nieco gospodarz widząc gości krzątających się około nieznanego; ale w duszy sobie przyrzekł że tego, mdlejącego tak łatwo, młodzieńca, bez tłumoków i pewnie bez pieniędzy, pod żadnym pozorem na noc nie przyjmie... Genua pod bokiem, w Genui są szpitale — niech sobie rusza, niech co najrychlej się wynosi. Gdyby był wiedział jeszcze co omdlenie spowodowało!

Przyzwyczajenie kazała mu na chwilę ustąpić — tymczasem przytomni krzatali się około przybysza, mówiono po włosku i francuzku usiłując się zrozumieć i połączyć; podróżni zupełnie sobie nieznani przed chwilą, krzatali się wszyscy jak starzy znajomi; zbliżyło ich ku sobie pocziwe ludzkie uczucie miłosierdzia, kobieta z żywym zajęciem białymi pulchnymi rączkami opatrywała głowę z której skroni nieco krwi ściekało; inni szeptali między sobą, śnać usiłując odgadnąć przyczynę wypadku. — To nic, to nic, począł coraz wyraźniej mówić, z przymuszonym uśmiechem omdlały — najmocniej przepraszam, dziękuję... ale to gorąco... zmęczenie... — Bardzo być może iż omdlenie pochodziło z głodu — szeptali po cichu mężczyźni — uważajcie tylko jak na twarzy wynędzniały i zmęczony... Z mowy i fizyognomii znać dziecię północy, cudzoziemca... Po tej przerwie niepokoju i przestraszu zwolna jednak przychodziło już wszystko do porządku; radzono osłabionemu trochę wina, kobieta przyniosła mu sama swą szklankę napelniwszy ją, — on usta w niej umoczył, pomieszany dziękując więcej przez grzeczną niż z wielkiej ochoty.

— Ale chodź pan tu, siadaj z nami, odezwała się z natarczywością kobieta, posługując się najzrozumialszym wszędzie francuzkim językiem — posil się pan... odpocznij... przedzie osłabienie... Czasem się podobne wypadki powtarzają, więc bezpieczniej ażebyś tu był między nami i żebyśmy cię pilnować mogli... Ale, jeżeli wolno zapytać, z kądże to i dokąd? — Ja... ja... jąkał się młody człowiek, zmierzał do Genui.

— A z daleka? dodała z niedarowaną ciekawością kobieta...

— Dość z daleka... dość... z Francji... szedłem pieszo... upały...

Umilkli trochę, nie wytrzymała jednak nieznaną, była tak uprzedzająco grzeczna że jej to dawało prawo badania.

— Ale pan nie jesteś Francuzem? — Nie, pani... — Poznałam zaraz po akcencie że pan jesteś cudzoziemcem... przerwała mu szczebiocąc.

Mężczyźni od drugich stolików, choć nieśmiało, zaczęli się przybliżać do tego, przy którym usiadł zaproszony młody człowiek; nawet Włosi ciekawi

przysuwali się nieco; rozmowa o podróżach, o wypadkach w drodze, poczęła się stawać ogólną — tocząc w większej części po włosku; każdy do niej słówko jakieś dorzucił.

Młody człowiek z wolna odzyskiwał siły, bladą twarz jego ożywił rumieniec, krew znowu poczyniała krążyć w nim z potęgą młodości, podwojoną jakimś ukrytym cierpieniem; — oczy kobiety z uczuciem politowania i prawie macierzyńską troskliwością zwrócone były na niego. — To prawdziwie nie do darowania, odezwała się po chwili, że pan podlegając omdleniom, puścić się mogłeś w taką podróż sam jeden, pieszo — w takie upały, tak nieopatrznie. Jakkolwiek Włochy, wyjąwszy okolice Neapolu, straciły dawną sławę czy niesławę swoich rozbójników, którzy już tylko w powieściach żyją i bohaterzą... jeszczebyś pan, gdzieś w kątku, mógł być, jeżeli nie zabitym, to przynajmniej odartym...

Młody człowiek uśmiechnął się boleśnie, smutno — spuścił w dół oczy.

— Nie, rzekł powoli jakby sam do siebie — zrzucę pychę z serca, nie będę się wahał wyznać prawdy. — Rady pani są w istocie najlepszymi, najśluszniejszymi, ale ja... nie mogłem — było dla mnie niepodobieństwem do nich się zastosować... Podniósł na nią oczy z uśmiechem przejętym cierpieniem.

— Nie miałem do wyboru, kończył ironicznie — tak lub inaczej postąpić, musiałem puścić się pieszo, jechać nie mając za co...

— Biedny chłopak! cicho szepnęła kobieta... to okropnie! — Jestem — wygnaniec, mówił dalej podróżny z niejaką dumą podnosząc głos — jestem Polak... Wyszedłem z kraju zagrożony wyrokiem, który za małe przewinienie szkolne całą mi przyszłość odbierał... myślałem że znajdę przytułek i gościnność łatwą u litościwych ludzi... Szukałem ich we Francji, w Anglii, w Niemczech, znalazłem tam co najwięcej piękne słowa a brzydką obojętność; zwróciłem się więc ku gościnniejszemu może Włochom... Niedawno jeszcze i one były w tem samem położeniu, dzieci ich dzieliły losy nasze, błakając się po niegościnnych progach obcych, szukając przytułku, współczucia, opieki... Ale...

Tu przerwał młody człowiek jakby się opamiętał nagle. Wyznanie jego niespodziewane, uczyniło na przytomnych wrażenie bardzo różne; z początku jakby obawa jakaś przejęła widocznie wszystkich, zawahali się, ochłodli, aż po niepostrzeżonej chwili walki wewnętrznej poczciwsze uczucie przemogło i wszyscy znowu zbliżać się, przysuwać ku niemu poczęli. Zyskał ich sobie tą szczerością; spowiedzi.

— Jesteśmy więc... współrodakami, rzekł po polsku cicho blondyn wysmukły, siedzący przy pięknej pani, rumieniając się zakłopotany... bo i ja... trochę Polak jestem... ale Galicyanin...

To ale dziwnie zabrzmiało w uszach wygnańca, któremu sam sposób odezwania się, ton mowy dały poczuć że tylko ukryć się niemogąc ze swem pochodzeniem, Galileusz objawił je. — Skłonił się milczący i dotknął podanej sobie dłoni, ale w tem z za krzesła przystojny brunet o czarnych włosach, odezwał się z uśmiechem pełnym niewysłowionego bólu i sarkazmu razem:

— Ja także... mam honor przedstawić się panu jako trochę Polak... ale żyd....

Ostatnie wyrazy wymówił z pewnym umyślnym przyciskiem.

Młody, wysmukły Galileusz odwrócił się żywo, popatrzył ciekawie; żyd nie spieszył z podaniem ręki, wstrzymywało go poczucie własnej godności, przyjął wszakże skwapliwie wyciągniętą ku sobie dłoń niedawno omdlałego wygnańca i uścisnął ją serdecznie.

Galicjanin zapewne z obawy, aby nie był wezwany do połączenia ręki swej z tamtymi, począł czegoś szukać po stole.

— No... kiedy się tak poznajemy wszyscy, to i ja także mogę się po troszę policzyć do ziomków pańskich, odezwał się po francuzku wysoki, barczysty, niemłody człowiek siedzący przy brunetce... jesteśmy pobratymcy, Słowianie, bo ja Ruski jestem... jak wy zowiecie Moskał.. ale, dodał z uśmiechem — ale wygnaniec... Podajmyż sobie dłonie.

Wszystkie ręce na to wezwanie wysunęły się dość spiesznie i z kolei uścisnęły w milczeniu.

Wtem odosobniony czarny, ogorzały mężczyzna, który siedział z tyłu samotny, a rysy miał starego egypckiego sfinxa i prawie bazaltową cerę, rzekł z ironicznym akcentem i przerywanym śmieszkiem:

— Eh! eh! dostojni panowie, Polacy, Słowianie, ale wygnańcy i włóczęgi... pozwólcieź bratu w biedzie, wygnaniu i wyklęciu... wyciągnąć też prawicę parij. Niestety... muszę z bólem serca wyznać panom... że jestem Cyganem... ale bogatym, co się rzadko Cyganom trafia... z tego powodu koni nie kuruję i pieniędzy nie kradnę... Tak, szanowni panowie, należę w istocie do tego wyklętego plemie- 'nia wiekuistych wędrowców, których średnie wieki pędziły po Europie chłostą, i groźbami... a czasy dzisiejsze ścigają dotąd przesadnym wstrętem... Wyjęte są tylko z niego piękne moje siostrzyczki do lat dwudziestu kilku, dopóki mają białe ząbki, głosek brzmiący i figurkę niczego! cha! cha!

Comme correctif miałem honor panom oświadczyć i powtarzam że jestem bogaty, choć nie król cygański, ale człowiek prywatny i z profesyi dziś próżniaczysko.

Rozciekawione źrenice kobiety, Włochów, wszystkich w ogóle przytomnych skierowały się ku mówiącemu; on uśmiechał się badając po twarzach wrażenia, sam zdając się chłodny i nieporuszony.

— A no, dodał, z trochę domyślności powinniście przecież byli rasę odgadnąć z mej twarzy, noszę na niej świadectwo pochodzenia niestarte, żadna woda liljowa go nie zmyje... żaden kosmetyk maski tej zdjąć nie potrafi...

— Czekajcież panowie, rzekła przerywając zręcznie z żywością i pośpiechem chwilę przykrego dosyć milczenia kobieta — jeżeli tytułem do braterstwa ma być wygnanie i włóczęga, moglibyście panowie i mnie przyjąć do swego grona... doprawdy. I powolniej, zniżając głos nieco, dodała:

— Ojciec mój był wprawdzie Włochem, ale żył w tych czasach gdy piękna Italia nasza nikomu ojczyzną być nie mogła, bo była wyrażeniem jeograficznym tylko... wygnaniec dobrowolny żył w Anglii; matka moja pochodziła z rodziny

irlandzkiej, mąż mój był... Rosyjaninem... umarł biedny..... Gdybyśmy dalej sięgnąć chcieli, babka moja była Greczynką z tej epoki, w której Grekiem zwać się nie było wolno...

Ani się spotrzegli gdy poza niemi stanął niespodzianie mały człowieczyna z ogromnym parasolem na ramieniu, ubrany bardzo starannie, w okularach, z lornetką podróżną przewieszoną przez ramię, z torebką przez drugie... ten przysłuchawszy się rozmowie, zawołał śmiejąc się na głos:

— A no! bravissimo! kiedy się tu sobie wszyscy prezentują, czemuż bym i ja nie miał? przepraszam że przerywam, dodał kłaniając się zdumionej kobiecie... ja także nie ustąpię z pewnych względów nikomu... jestem niby to Duńczyk, matka moja była, jak chcecie Szkotką lub Angielką, babkę miałem po troszę Włoszką, mieszkałem długo we Francji, zdaje mi się nawet że jestem w niej naturalizowanym... Spodziewam się tedy że i ja mam prawo zjeść tu obiad w towarzystwie przybłądów z całego świata... No? jak się państwu zdaje?

Wszyscy się śmiać poczęli, bratersko witając ochoczego, wesołego przybłyca...

— Ha no, to i ja się prezentuję, odezwał się w końcu nieśmiało i pocichu syn jasnowłosej Germanii siedzący zdala — przyznam się państwu że też jestem wygnańcem... To mówiąc skłonił się zdala i usiadł.

— Kwestya ojczyzny, przerwał żywo Duńczyk-Francuz — wierście mi państwo, sprowadzić się daje do czysto finansowego zadania. Masz pieniądze? przyjmą cię wszędzie oburącz, uobywatela, wynaturalizują, uściskają... nie masz nic?... ruszaj kochanku dalej... bez grosza obywatelstwo się nie zyskuje nigdzie. Wygnańcem więc w ścisłym znaczeniu wyrazu i parją jest tylko dziurawa kieszeń... Choćby po nad nią powiewały gałęzie laurowe i dębowe wieńce, golizna zawsze cuchnie. Miejcie panowie pieniądze, a dokupicie się tylu ojczyzn ile ich zechcecie... a w ogóle, dokończył, co do mnie, potrzeba ojczyzny wcale mi się czuć nie daje.....

Ruszył ramionami.

— Więc my tu tylko dwaj, rzekł nareszcie jeden z dwóch przytomnych tej scenie Włochów — stanowimy wyjątek i nie mamy prawa należeć do tego miłego kółka... ale nie chcielibyśmy być z niego wyłączonymi, musimy i my szukać jakichś tytułów do przyjęcia w wasze grono... Otoż, dodał, poszukawszy znajduję ten tytuł dla nas obu... jesteśmy naprzód artyści, a więc włóczęgi wiekuiste, duchem i ciałem, wieczni na tej ziemi wygnańcy; powtóre, choć Włosi, jesteśmy jeden Rzymianinem, drugi Wenecyaninem... Otoż, jeżeli komu to Polakom podać możemy z tego tytułu dłonie bratnie... jedne, niestety, jednako smutne losy nasze.. myśmy przynajmniej tak biedni jak oni...

— Nie! nie! przerwał wygnaniec wyciągając ku nim ręce... wy z gorącą pierśią macie się gdzie schronić przed prześladowcami, dla was otworem stoją całe wielkie Włochy... wy macie ojczyznę, króla, państwo... my... tylko oprawców, katów i ścigające nas gdziekolwiek się ruszycie uciekając od stryczka i miecza... dyplomatyczne zabiegi, chmury szpiegów, prześladowanie obojętności...

gnające w Sybir lub do grobu... myśmy stracili w oczach Europy nawet prawo do życia!...

Gończkowy ten wykrzyk rozpaczy na chwilę przerwał rozmowę zbyt dramatycznym swym nastrojem; ale wszyscy po spowiedziach jakoś się czuli zbliżeni ku sobie dziwnym sposobem. Towarzystwo to tak różnorodne, Włosi, Polacy, żyd, cygan, Rossjanin, Duńczyk skupili się nieznacznie ku jednemu stolikowi, a że przy nim dosyć miejsca na szklanki i talerze nie było, zsunęły się bliższe, małe stoliczki, i ci nawet co najmniej mieli skłonności do robienia znajomości nowych, ulegli jakiemuś chwilowemu prądowi. Pierwsze lody przełamało owe omdlenie i młodzieńczy wykrzyk Polaka.

Większa część ludzi wśród dzisiejszych włóczęg po świecie, wzdraga się od zaznajamiania w podróży, jest to prosta rachuba ekonomiczna; każdy nowy stosunek kosztuje trochę słów grzeczności, ustępstw pewnych dla nieznanego; trochę kłopotu i szafunku jeśli nie myśli to głosu... a potem... często w kilka minut wszystko bez użytku przepada, gdy podróżny okupiony temi ofiarami na przyszłej stacyi wysiada....

Naturalnie ten expens daremny, zubożająca, wygodniej jest milcząc wyciągnąć nogi bez ceremonii, choć w posób nieprzyjemny dla sąsiada, który zaraz z oczu ma zniknąć.

Tym razem wyjątkowo wszyscy zapomnieli się rachować i ludzkie, poczciwsze uczucie poruszyło sercem kobiety a od niego zaraźliwie rozeszło się po innych... Wszystko jest na świecie zarazą, nawet cnota....

Był to w istocie rzadki wypadek w rocznikach nowoczesnych.

Przed laty pięćdziesięciu, gdy ludzie się mniej kręcili po świecie, daleko byli w ogóle przystępniejszymi dla siebie. Dziś taka się przed oczyma przesuwa mnogość różnych egzemplarzy człowieka, począwszy od książąt bez księstw do proletaryuszów bez koszuli, że nikt już tych okazów nie jest żądny ni ciekawy. Człowiek w ogóle mocno się spospolitował.

Najsympatyczniejsza fiziognomia więcej odstręcza niż pociąga, bojemy się żeby nas zbyt długo przy sobie nie zatrzymała.

Gospodarz trattoryi, który ukradkiem przeze drzwi zaglądał, zawsze w obawie, aby mu ów mdlejący podróżny nie zmarł nagle — uspokoił się nieco widząc go pod opieką całego towarzystwa, co, w najgorszym razie jakiego wypadku, zwalniało od obowiązków, których brzemie tak przerażało pana Firpo.

Kobieta ożywiona dobrym uczynkiem, który zawsze przywiązuje do tego, komu się nam przysługę uczynić powiodło, rozradowana w duszy, poczęła po chwili rozmawiać z Wenetem i Rzymianinem, potem zwróciła się do młodego Polaka, potem zagadnęła owego Duńczyka-Francuza, przemówiła do cygana, uśmiechnęła nawet flegmatycznemu Niemcowi, i tak poplątała sieć, którą ich wszystkich związać pragnęła, że się im z niej wywikłać było trudno. — Rozmowa w tonie żartobliwym rozpoczęta, ciągnęła się dalej.

— Ja wcale kosmopolitką nie jestem, odezwała się kobieta — człowiek potrzebuje ojczyzny, bądź co bądź, a kto jej nie ma, temu braknie jednego

zmysłu, jednego szczęścia, jednej miłości w życiu — i jednego pojęcia w umyśle, które wiele innych tłumaczy i wyjaśnia. Kto jej nie ma, ten sobie ją wybrać i stworzyć powinien aby kochał, tak jak w pierwszej młodości człowiek idealną tworzy sobie kochankę... jeśli mu żywej braknie. Przy najnamiętniejszej jednak miłości swojego kraju nie rozumiem nienawiści dla obcych... a! tak piękną rzeczą jest braterstwo wszystkich ludzi!!

— A śliczna! śliczna, przerwał ostatni przybyły Duńczyk naturalizowany Francuzem... któremu tak pilno było do rozmowy, że najpiękniejszy makaron dla niej porzucił — ale na nieszczęście, szanowna pani, to braterstwo należy do rzeczy bajecznych i niemożliwych, równie jak republiki angielskie i monarchie patryarchalne... jak *une chmimiere et son coeur*, bez obiadu i wina, jak tysiące innych pięknych bałamuctw, które sobie ludzie wymyślili, pocieszając wśród tęsknego żywota, wymagającego *beefsteaku*, *bordeaux*, bankowych biletów i *confortu*, o które nieustannie z głodnymi żołądkami bić się potrzeba.... Blisko dwóch tysięcy lat ludzie mówią o tem braterstwie bez przesądów, a spytaj pani Moskala co trzyma o Polaku, Anglika, jak też kocha Francuzów, Niemca... przepraszam... jak też serdeczne ma usposobienia dla wszystkich innych narodów, które mu ciasną robią ziemię i nie dają sadzić kartofli a śpiewać o wielkiej Ojczyźnie — gdzie mu się podoba....

— O! o! przerwał spokojny Germańczyk potrząsając głową — już paskwil na spokojnych ludzi! A Schiller?

— Miałem szczęście czytać całego Schillera w bardzo nieznośnym przekładzie — odparł Duńczyk wracając do makaronu w przestankach — Schiller śpiewał wiele o różnych bardzo pięknych rzeczach, ale was najukochański Arminiusa wnukowie, poeci wasi do niczego nie obowiązują....

Mówię najukochański, dorzucił w nawiasie — bo kocham niezmiernie wszystkich w ogóle, dopóki pojedynczo nie zacznę każdego z osobna nienawidzić....

Otóż, najukochański Niemcy, kończył Duńczyk, wierzcie mi że nie mówię tego przez zazdrość o posiadanie Szlezwiku i Holsztynu, bo wcale mi te księstwa nie smakują... wy się mylicie grubo utrzymując iż Schiller, Göthe, Kant, Hegel byli Niemcami....

— Jak to ? porywając się zakrzyknął jasnowłosa, a cóż pan sobie myślisz?

— Czekaj, czekaj, spokojny wnuku pracowitej Germanii, krwi sobie nie psuj, czekaj — mówił wolniej coraz Duńczyk sfrancuziały, ja was doskonale znam i powiadam wam, że Schiller i Göthe i Lessing i Herder nie są i nie byli Niemcami....

— Więc cóż? jak? powtórzył oburzony Niemiec stukając w stół nożem.

— Przyznaj sam że to były geniusze jak Shakespeare do całego należące świata, nie do samego króla jegomości pruskiego. Na nieszczęście pomiędzy nimi a narodem co ich wydał, mniej może jest związku, niż między wielu obcemi im po krwi narodami...

— A! tak! tak jest! przyklasnął młody człowiek który był omdlał — pan mówisz prawdę wielką ... ja czuję się daleko mocniej bratem Schillera, niż wszyscy Niemcy co go czytają, unoszą się nad nim, stawiają pomniki gdziekolwiek stąpił, a idą wprost przeciwną wskazanej przez geniusz jego drogą, realizmu, materializmu, egoizmu narodowego, ciasnego...

— Stójże zapaleńcze! przerwał Duńczyk — masz lat dwadzieścia jeden czy...

— Dwadzieścia i dwa...

— Pozwalam... tobie jednak nie godzi się jeszcze rozprawiać o egoizmie... zaczekaj aż sam egoistą zostaniesz... Nemo sapiens nisi patiens... Przyznaję ci jednak żeś mnie doskonale zrozumiał... tylko od komentarzów czerwonym atramentem... wara!!

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Za pozwoleniem państwa, dodał rzucając lornetkę i kładąc ją na stoliku przy sobie — to się coś zabiera na przydługą międzynarodową rozmowę, a ja sił nie nabrałem do niej... makaron zatyka, dławi a nie karmi, pozwolicie bym zawołał o co posilniejszego! Ci Włosi, dodał, od nie wiem wielu lat okłamują pokolenia całe żołądków, wmawiając im cześć bałwochwalczą dla makaronu.

— Nie rób pan ceremonii, zawołała śmiejąc się kobieta...

— El słuchaj pan, dodał zwracając się do Polaka... nagle... nie bierz mi za złe, że cię na obiad z sobą poproszę... Jest w tem egoizm, sam jedząc nie mogę nic przełknąć, potrzebuję towarzysza i przeczuwam w panu instynktowo apetyt?... he?

Młody człowiek zczerwienił się mocno, ale się zarazem śmiać począł.

— Ale... ale, począł jąkać się.

— Bez żadnego ale, jest to mała przysługa humanitarna... zjemy razem... widząc młodego człowieka z wilczym apetytem lubuje się... a! panie! cobym ja dał żebyś mi go dziesiątą część ustąpił!!

Zakończył głębokiem westchnieniem, i stuknęło stół żywo. Wbiegł służący w koszuli, zaczęły się targi o obiad, rozmowa szła tymczasem dalej powoli. Niemiec siedział oburzony i posepny.

— Widzę że się pan gniewasz na mnie, rzekł skończywszy układanie karty Duńczyk do Germana — ale wierz mi, proszę, wysoko cenię geniusz i cnoty narodu, który tego dokazał że go pełno wszędzie, jak trychinów i że im więcej on żyje, tem mocniej od niego umierają ci, których łaskawie nawiedzić raczył... Przepraszam! jest to dla narodu pochwała, choć dla trychiny nagana... Jeżeli mi masz za złe że was najukochańszych Niemców, tak jak wy dziś jesteście przyjąc nie mogę... no... przeczytaj sobie Heinego... on mnie uniewinnia... wszak to kość z kości. Niemiec zawstydził się, westchnął i rzucił z pogardą prawie.

— Żyd!

Ale brunet zdaje się tego nie słyszał, był zadumany głęboko.

— Boję się — szepnął do ucha Niemcowi, Duńczyk nachylając się do niego, żeby w istocie przyszłości waszej wkrótce nie przyszło tam szukać, gdzie ją Heinemu ukazała... Hammonia!! (1)

Ale cicho! cicho! cicho!

Westchnęli na jeden ton oba... Niemiec pomimo rozjątrzenia, nie wiem dla czego uściśnął w końcu dłoń Duńczyka który mu coś znowu poszeptał.

Podano tą razą cały obiad, zwykły w trattoryi della Grotta, poczynając nawet od gęstego brodo, które mógł być makaron, wedle tutejszej teorii, zastąpić — osmażaną rybkę, podejrzanę wielce o starożytność mięso, które w gorąco z Genui przybyło i nadto było zmęczone podróżą, potem coś nakształt pieczystego, jakąś włoską jarzynę, ser, owoce, wino... Duńczyk-francuz mocno ramionami ruszał że wszystko, nie cordon bleu to gotował, ale prosty kopcidym... jednak był głodny... a głód może wiele, Polak raz przemógłszy fałszywy wstyd, z obawą aby głód jego się nie wydał (był bowiem stokroć gorzej wygłodzony niż Francuz który w Cogoletto coś przekąsił), jadł chętnie i wstrzymywał się tylko od zmiecienia wszystkiego co przed nim stało, powracającym strachem jakimś upokorzenia.

Biedak oszczędzał ostatków grosza aby się dowlec nazad do tego kraju, z którego niedawno uciekał... a już na współczucie narodów i braterstwo ludów oduczył się był rachować — liczył na własne siły i oszczędność.

— Panowie — dokąd? jeżeli spytać wolno? odezwała Włoszka spoglądając koleją po wszystkich, jakby pytanie to zachowała całemu towarzystwu.

— Ja, odpowiedział młody Polak... idę, powracam raczej do kraju mego. Wyszedłem z niego przed parą laty wygnany groźbą i postrachem, wróćę pędzony tęsknotą i nadzieją... a zestarzony cierpieniem, wiele złudzeń rzuciwszy po drodze...

— Ja także powracam do Polski — przemówił żyd, w duszy mej także ją za moją ojczyznę uważam... ale, pozwolicieź mi ją tak nazywać? dodał smutnie oglądając się — kocham ją, to mi daje prawo...

Młody człowiek ścisnął mu rękę, żywo spojrzeli po sobie i poczuli się dobrymi braćmi. Galicyanin szukał znów czegoś na stoliku.

— Ja — rzekł powoli Cygan... jadę, zdaje mi się do Węgier, nie jestem jeszcze pewien... prawdopodobnie tam się obróćę. Mam tam osiadłych krewnych, którzy z koczującego taboru przeszli już pod strzechę domu nieruszającego się z miejsca... Chciałbym ich zobaczyć i przemówić swoim językiem do kogoś coby mnie zrozumiał. Ale się wlokę powoli, nic nie nagli... Dla mnie ojczyzna gdzie ciepło i wygodnie... kończył uśmiechając się... ojczyzna tak jak wy pojmujecie dla nas nie istnieje, straciliśmy nawet pamięć o niej, a od czasu jakeśmy się z niej wynieśli, ona się też tak zmieniła, żeby nas za dzieci nie uznała... Jesteśmy jak Epimenides po długim śnie wracający na ziemię której zrozumieć nie może.

— Ja podróżować jeszcze myślę po Włoszech a zmierzam do Genui, odezwał się Niemiec krótko zbywając ciekawość kobiecą.

— Ja także, dodał Duńczyk żwawo...

— My podobnież, odpowiedzieli Rzymianin i Weneta.

— Co do mnie, rzekł Moskał... muszę się włóczyć kędyś, bo na świętą Ruś wrócić nie mogę, aż... aż...

— Aż się tamtędy wprzód burza przewali, przerwał mu Duńczyk — wszak toś pan chciał powiedzieć?

Rossyanin skinął głową potwierdzająco.

— Ja myślę też podróżować, szepnął Galicyjczy, przecież Włochy widzieć potrzeba....

— Więc prawie wszyscy jesteśmy w drodze do tej Genui, dodała Włoszka, którą tak pięknie ale tak nieznośnie widać i widać prawie od Savony, a nigdy do niej dojechać nie można....

— A! pani, na to się skarżyć nie godzi, odezwał się Żyd — to całe szczęście nasze że zdążyliśmy zobaczyć cele życia, a powoli iść do nich musimy. Ręczę że widok Genui i oczekiwanie jej więcej warto niż ona sama... bo droga zachwycająca...

— Przebyłem ją pieszo do Marsylii, rzekł Polak, i cośbym także o tem mógł powiedzieć.

— A toś cudowną odbył podróż i w sposób najmiłszy, zawołał Duńczyk, czasem konieczność też jest dobrodziejką. Cóżbym to ja dał żebym jak pan był zmuszony iść pieszo, ale musu nie było, a lenistwo przemogło.

— Słowem że pan wszystkiego zazdrościsz, począwszy od apetytu, rozśmiał się Żyd, a o nic się sam starać nie chcesz...

— To prawda, odparł Duńczyk, zazdroścę wam, zazdroścę, ale niczego bardziej nad młodość waszą!

— Droga w istocie zachwycająca, mówił dalej młody człowiek, można często było zapomnieć nawet o skwarze i głodzie. Zdało mi się idąc ponad tem lazurowym morzem, że się tu kończy świat temi roztopionymi szmaragdami, opalami i szafiry, że po za temi czarownicami wody jest raj... kraina ideałów... jakaś atlantyda duchów, a jak wymowne to morze... i co za poeta z niego!!

— Poetą pono nie ono było, ale młodość twoja, dorzucił wzdychając Duńczyk, dlaczegoż mnie nie śpiewało tylko o ostrygach i łososiach?

Włoszka się uśmiechnęła smętnie i szepnęła: O primavera! gioventu del anno!

O gioventu! primavera delia vita!

Pięknaż bo, nawet o głodzie ta życia naszego wiosenka — ale jak krótka! niestety!

Jeden z Włochów nie dając mówić kobiecie, pochwycony słowy młodego człowieka, rozgorzał miłością Włoch swoich.

— Nie dziwię się, rzekł, żadnej miłości ojczyzny, nawet u Eskimosów, ale nie pojmuję człowieka coby się w naszych Włoszech nie rozkochał...

Dajcie mi kraj taki drugi i pokażcie: pod nogami ruiny wieków wymowne, nad głowami takie niebo jak nasze, w koło takie dla oczów ponęty... i to powietrze co życie wlewa nawet w tych, co doń nie mają siły. Italia królowa świata! zrzucili jej z czoła diadem, ale czoło pozostało królewskie a tego jej nikt nie odejmie; skuli jej ręce barbarzyńcy... ale gdy strząsnie tylko dłońmi, opadną kajdany...

Znacie państwo piękniejszy kraj? powiedzcie.

— Ja go znam, odparł Polak chmurno. Szare j ponad nim niebo, ziemia cała krwią przesiąkła, mogiły sterczą z przeszłości a nad niemi kwilą niemowlęta pokute w żelazne obroże... nie ma tam morza szafirów i wiatr powiewa zmrożony... ale to ołtarz ofiarny z końca w koniec... to ojczyzna moja!

Włosi skłonili głową, cygan się tylko uśmiechał.

— Człowiekowi, rzekł, tu czy tam... wszystko jedno... życie krótkie, błysk i ciemności znowu z których wyszedł... Serca nie trzeba oddawać nikomu i niczemu — nie warto.

— A! źle mówicie, zawołała Włoszka gorąco — tyle się żyje co sercem, reszta to gorzka owocu łupina...

— Trzeba nawyknąć żywić się łupinami, odparł cygan ruszając ramiony.

Na tę rozerwaną rozmowę wszedł służący dając znać towarzystwu do którego kobieta należała, że ich wetera była gotową; dodatkowo też przypomnieć się czuł obowiązany, iż dyliżans zatrzymujący się u wrót trattoryi, mógłby i innych do Genui zabrać podróżnych.

Jakoś nie w porę na rozżarzone uczucia padła ta kropla zimnej wody; znać to było po kwaśnych twarzach.

— Więc ta krótka chwila w której obcy spotkaliśmy się jak ludzie i pobratali tak miło, już przeszła, zawołała Włoszka z westchnieniem. Każdego znowu los w swoją pędzi stronę, jak galerników co mimo dozorczy chcieli coś poszeptać z sobą... Czy zobaczymy się kiedy jeszcze?

— My, to nie wiem, rzekł Francuz uzbijając się znowu w lornetkę, ale z podobnymi nam typami w teje formie odlanemi, mniej więcej szczęśliwie, spotkasz się pani nieraz jeszcze... Co do mnie, przekonany jestem, iż panią znałem dawno i że ją jeszcze nieraz zobaczę, choć może w mniej doskonałym od dzisiejszego odbiciu...

Myśl ta, trochę dziwna, nie bardzo była miłą Włoszce; spojrzała na Francuza z wyrzutem prawie, że ją wziął za coś tak pospolitego.

— Co do mnie, rzekła, ja poraz pierwszy spotykam pana w życiu i przyznam mu się, że...

— Nieradabyś pani widzieć mnie więcej? podchwycił.

— O! nie! odpowiedziała kobieta — zasmuca mnie ta wiara w typy nie w ludzi... bo któż z nas do drugiego zupełnie podobny?

— We wszystkich ludziach, rzekł Duńczyk-Francuz — jest w ogóle jeden człowiek — wierz mi pani. Jeżeli mi wolno dodać jeszcze słów kilka, powiem, że gubi nas ta wiara w różność człowieka; szukamy coraz innego do pary i do miary, a trafiamy zawsze na starego znajomego... który, między nami mówiąc — nie wiele wart.

— A może pan masz trochę słuszności, z westchnieniem odparła Włoszka spoglądając z ukosa na Rossyanina, który uśmiechnął się smętnie, i na Galicyanina, nie zdającego się słuchać ani słyszeć rozmowy — ale, nie osmucamy sobie życia... Do zobaczenia w Genui!

Wszak do zobaczenia? powtórzyła — jutro naprzykład wieczorem! ale gdzie?

— A! to na Aqua sola — zawołał jeden z Włochów... gra muzyka... dzień podobno świąteczny... tam się najprędzej spotkać możemy...

Wszyscy wstali żegnając kobietę, która podała raz jeszcze rękę Polakowi, życząc mu lepszego zdrowia.

Zaraz też umniejszone już i rozerwane towarzystwo zabierać się poczęło do odjazdu...

Duńczyk jechał dylizanssem, Cygan dostał się do omnibusu, Włosi szli pieszo, Niemiec ekonomicznie przysiadł się do wozu gospodarza, w którym obok koszyków z pomidorami miejsce sobie zamówił.

— My, pojedziemy razem, odezwał się Żyd do Polaka, ja was samych już nie puszcze... mam najęty powozik wracający do Genui, zabieram was z sobą, choćby gwałtem.

— Na cóż mam być wam ciężarem? rzekł młody człowiek.

— Żadnym, zawołał Żyd rękę podając, owszem, będziecie mi pociechą — jestem strudzony samotnością, potrzebuję towarzystwa aby mnie własne myśli nie pożarły... uczynisz mi łaskę...

— Daleko większą wy mnie, bom nad wszelki wyraz zmęczony i słaby... prawdę rzekłszy, ledwie się już tu dowlokłem. Nie będę skrywał przed wami smutnego położenia mojego, na ciele i na duszy cierpię okrutnie.

— Podzielmyż wzajem nasze cierpienia, rzekł Izraelita — daj mi rękę bracie a nie trwóż się życiem. Jestem dziecięciem narodu który przed tysiącami lat pierwszy miał objawienie jedyne Boga... ja dziś jeszcze wiarę w niego zachowałem... gdy pono, do koła nas, w fatalność tylko lub w nic już ludzie zgoła nie wierzą... Niech się i wasze; serce znękane otworzy, myśli o Bogu, o wielkich losach człowieka i ludzkości...

Wyszli.

Gospodarz stojący w progu z pewną pociechą wewnętrzną, ujrzał odchodzącego chorego młodzieńca, tem szczęśliwszy iż wszystko było opłacone sowicie, a nie wszystko zjedzone... wiele zostało do powtórnej reprezentacji obiadu...

Siadali do powozu, pożegnał ich uśmiechem mówiąc w duchu:

— To szczęście że się jacyś dobrzy ludzie trafili, na biedę niewiele potrzeba... Nużby był samą skronią, uderzył się o ścianę, i... nużby się był zabił, nużbym był ja zmuszony go chować! Wątpię żeby w jego tłumoczku tyle się nawet znalazło co na najskromniejszy pogrzeb potrzeba... A! a! niech nas Bóg od takich podróży uchwata... Buon viaggio!

Dosyć milcząco przebyli dwaj młodzi ludzie niewielką przestrzeń dzielącą Sestri od Genui, wśród której mienią się prawie nieprzerwanym ciągiem idące osady jedna po drugiej, aż nareszcie po tych pstrych miścinach, na których ścianach z całym swym dekoracyjnym talentem popisywali się Włosi, ukazuje się wpośród złomów skał brama dawniejszej twierdzy z patronką grodu N. Panną i na pniu kamiennym wysoka morska latarnia... Otóż i port, a po nad nim roztoczona wkoło na wzgórzach la superba.Śliczneż to stare miasto piętrzące się wspaniale nad morzem we wschody, portyki, kolumnady, uliczki

sięgające gdzieś do nieba lub spadające jakby wążkami rynsztokami w ciemne, niechlujne głębiny i pieczary.... Mimo tych zakątów czarnych jest to miasto pałaców. Ale dziś ono podobne jest do konchy malowanej, którą morze na brzeg suchą wyrzuci, bo z niej wyleciało gdzieś żyjątko, co ją życiem i krwią, zbudowało, a zamieszkał jakiś wędrowny pajak lub szczątek zabłąkanego polypa lub gałązka algi zielonej.Śliczny to jeszcze marmurowy gród, ale z tej konchy wspanialej, świecącej wszystkimi barwami tęczy, wyleciało życie dawne: mieszka nowe, mniejsze i inne, któremu w starej skorupie niezupełnie wygodnie, znać że ją pożyczyło. Z kupiectwa i arystokracji, z tego burzliwego ludu genueńskiej rzeczypospolitej co czoło stawił Wenetom, nic nie ma prócz kilku zeschłych gałązek i ruchomych nieco rozbitków. Nowe plemię, potrzeby, żywot, obyczaj.... Wszedłszy w cichy dziedziniec którego z pałaców Balbich lub Pallavicinich, jakbyś do marmurowego wszedł grobowca.

Wrą i szumią około portu Włochy nowe, odmienne, dorabiające się formy właściwej, innego bytu, równie burzliwie może jak stary połamały.

Powóz sunął się po sad portem ku miastu, gdy młody chłopak rękę położył na ramieniu swojego towarzysza i rzekł mu:

— Wsadź mnie tu gdzie, proszę.

— Jak to? dla czego? spytał żyd.

— Poszukam tu sobie bliżej portu schronienia.

— Ale ty jedziesz ze mną?

— Tak, przecież nie stoję z tobą" bo nie mogę, odparł młody chłopiec. Bądźmy z sobą. otwarcie, mówiłem ci, że zaledwie mam o czym odbyć resztę podróży; muszę naturalnie szukać jak najtańszego przytułku.

— Cóż znowu! zawołał towarzysz, przyjałeś; wszakże moją. małą i lichą, ale czystą, braterską. J ofiarę, przyrzekłeś mi zostać ze mną...

Młody chłopiec potrząsnął głową.

— Ubóstwo, rzekł, ma swą dumę, jak czasem grzeczne bogactwo ma swą pokorę. Nie gniewaj się, niezależnym być pragnę. Mała to rzecz w brudnej przemoclegować izdebce i zbyć głód pokarmem lichym, ale zdrowo jest dla duszy być tym małym kosztem swobodną.

— Rozumiem to wszystko, odpowiedział żyd spokojnie, chwale, szanuję, ale to tylko jest dobre gdy potrzebne. Nie znasz mnie, to prawda, przecież się młode dusze nie potrzebują wypróbowywać długo, by świeżym instynktem się przeczuć i spokrewnić. — Nie ofiaruję ci wielkich rzeczy, ale małe z dobrego serca; będzie ci ze mną znośnie — to dobrze, nie — to odejdiesz... nie zmagam się na ofiary nadzwyczajne dla ciebie, ani cię związę wdzięcznością upokarzającą... zapraszając z sobą na nocleg choćby jeden i wieczerzę.... Słuchaj, dodał, nie dróż się z tem, mam się z czem podzielić bez uszczerbku dla mnie. Czynię to ze szczerego serca, bez odrobiny dumy, tak, prosto — jak mówię. Dopowiem ci nawet myśl moją całą... jestem stęskniony, potrzebuję się wygadać, samotność mnie nęka, zrobisz mi łaskę większą niż ja tobie, jeśli zostaniesz ze mną.

Nie trwóż się znowu ani tym obowiązkiem bawiciela, ja cię bardzo nie znudzę... ale sam przynajmniej nie będę.... Zajedziesz ze mną do hotelu... no, a potem uczynisz co ci serce podszepta.

— Byłbym już śmiesznym, gdybym odrzucił taką pocziwą, szczerą ofiarę, rzekł młody chłopak — nie miej mi tylko za złe tej dumy ubóstwa... mogłem łatwo trafić gorzej. Żyd się uśmiechnął.

— Pocziwe to uczucie, rzekł, znam je, ale jakże smutnie świadczy o dzisiejszym świecie!!

— Do hotelu Federa! zawołał wychylając się woźnicy. Hotel Feder stary to także jakiś pałac przerobiony na gospodę, jak prawie wszystkie genueńskie, weneckie i wielu innych miast włoskich oberze. Dziwnie wygląda z ta, fizjognomią na pół starą, pół świeżą, z dziedzińcem opuszczonym, ciemnym o wyschłej rokoko fontannie w głębi, z uliczką gwarną pod oknami i z ciupkami swemi poprzerabianemi na numera.

Musieli wdrapać się aż na trzecie piętro do pokoju o dwóch łóżkach, z którego widok był na dachy, na port masztami statków jak ogród tyczkami chmielu zasadzony i klinek jasnego morza w dali.

Czas było spocząć strudzonemu którego pocziwy izraelita wziął w opiekę; zaledwie bowiem weszli po wschodach, upadł na siedzenie i po bladości jego wnosić było można, że znowu zemdleć był gotów. Ale trochę wódki kolońskiej orzeźwiło go, a gospodarz kazał podać herbatę i przekąskę, przeczuwał bowiem, że w tej słabości był jeszcze ukryty głód. Tak po części było w istocie: zaproszony w Sestri obawiał się jeść ze wstydu — potem znużyło go jeszcze gorąco... dopiero lepszy, obfitszy posiłek go pokrzepił i siły przywrócił.

— A teraz, zawołał pilno nań zważając Żyd, spocznij w krzesle, lub, co lepiej, połóż się i zaśnij trochę.

— Pozwolisz? spytał młody chłopak nieśmiało.

— Ale rób, proszę, co ci się zamarzy, przerwał gospodarz, byleby ci z tem było dobrze.

— Szedłem spiesznie, bardzo spiesznie, rzekł młody chłopak, dni kradnąc sam przed sobą... wstawałem rano, w dzień jakoś zasnąć mi było trudno... teraz po trochę obfitym pokarmie, mimowolnie oczy mi się kleją... napojony, syty, straciłem resztę sił...

— Więc do łóżka!

— A wy?

— O! ja... to co innego! pójdę jeszcze miasto zobaczyć jak wygląda wieczorem, przeszkadzać ci nie będę. To mówiąc podał mu rękę, wziął laskę i kapelusz podróżny i wyszedł spiesznie. Jak bezwładny padł na posłanie młody chłopak i ledwie głowę doń przyłożył, zasnął twardo. Młodość ma tę siłę potężną do odzyskiwania strat poniesionych; w starości znużenie już jest tylko trawiącą gorączką bez pragnień, bez żądz, bez odrodzenia....

Ryk straszliwy osłów w porcie, których stu na raz odezwało się pod oknami przybyłych, zbudził nareszcie z głębokiego snu młodego podróżnego, który z

razu opamiętać się nie mógł gdzie się znajdowały Otworzył oczy, obejrzał świeże i piękne poślanie, nie mógł pojąć jak się w tak czystym i stosunkowo wykwiutnym mieszkaniu przebudził. Przywykł już był do brudnych izb tych lokand i albergów gościńca, w których trzeba być młodym, by mieć odwagę położyć się i spocząć.

Na stoliku stało już przygotowane śniadanie, a towarzysz jego zabierał się doń wesoło i ochoczo, powróciwszy już z morskiej kąpieli.

— A! czyż to już tak późno? zawołał porywając się zaspany.

— Nie, alem ja wstał trochę wcześniej aby z rannego chłodu korzystać. No, jakże się spało?

— Nie wiem.

— Jak to?

— Byłem kamieniem... nie drgnąłem noc całą ... wstaję jakem się położył, nie zmieniwszy miejsca, nie poruszywszy ręką... spałem jak śpią umarli. — Jak się czujesz dziś?

— A! olbrzymem!... odrodzonym dzięki tobie....

— Ale ba! dzięki młodości! A głowa?

— W tej chwili reszta dymów sennych i mgły się rannej rozprasza.

— Więc żywo, na nogi i do śniadania.

— To najgorzej, przerwał wstając podróżny, że ty mnie popsujesz na nic, kochany amfitrjonie.

I spojrzawszy na zastawiony stół pochwycił się za głowę.

— Jest to śniadanie rozpustne! Lukullów, Sybarytów... ludzi zepsutych.... Od bardzo, bardzo już dawna przywykłem o szklance wina kwaśnego i chleba kawałku z serem dnie rozpoczynać, temiż przysmakami je kończyć. Rozpieszczę się, a nam, nam się pieścić nie wolno, jam sierota, którego ani los ani ludzie nie przytuliły nigdy do macierzyńskiego łona... i nie przytulą... należę do narodu ciężko wypróbowanego i wielkie na barkach dźwigającego obowiązki.

— Wszystko to dobre, ale bądź co bądź, możesz dla tego śniadanie zjeść, rzekł śmiejąc się Żyd, ja także należę do narodu nie najszcześniejszego... a jeść mi się chce i dam ci przykład.... Siadaj, poznamy się dziś lepiej!

— Tak, to prawda, że wartoby się poznać lepiej, przerwał młody człowiek, wszak wczoraj nie powiedzieliśmy sobie nawet nazwisk naszych....

— A więc... mam honor się panu przedstawić Jakób Hamon, żywo i wesoło odparł Izraelita — ciekawym co cię to nauczy.

— Mnie między poufałymi przyjaciółmi zwano Iwasiem, w istocie zwę się, Jan Huba... a nie, bobyś mnie zrobił Niemcem. Imię to nauczy cię, jeśli znasz kraj nasz, że muszę być z Rusi. Hubą nazywa się grzyb, więc to coś nakształt pana Grzybowskiego lub Grzybowicza.... Dalej ta Huba przyrosła nam widać do nazwiska Pstroczkich starodawnego, z którym przed wieki przyśliśmy ubodzy Mazurowie na Ruś obfitą i bogatą pracować w jej lasach i czarnoziemie na

kawał chleba.... A więc w całości brzmi to: Jan Huba-Pstrocki, ex Masovia olim oriundus in Russia possessionatus et natus.

— Masz tam rodzinę? zapytał żyd.

— Żywej duszy, nikogo, ani nawet majątku który niegdyś tam posiadaliśmy... jestem najzupełniejszym sierotą, w całym znaczeniu tego wyrazu. Ojciec mój podupadłszy, trzymał dzierżawę małą na Wołyniu, klęski elementarne pozbawiły go ostatniego grosza, zmarł zostawując mnie na łasce ludzi.... Byłem naówczas małym chłopięciem, oddawano mnie do szkół przez miłosierdzie, przeszedłem krwawe próby, a jeśli się odrobinę nauczyłem, nikt temu nie winien prócz mnie samego. Skończywszy szkoły tak samo o łasce ludzi miłosiernych i przyjaciół młodości dostałem się do wyższego zakładu naukowego.

- Dla czegoś uciekłeś z kraju?

— Dla tego że u nas studenckie błędy karzą się jak zbrodnie skoro w nich nos gorliwych dowącha się politycznego śwędu... dla tego że wiersz o miłości ojczyzny Krasickiego opłaca się wygnaniem wiekuistem, dla tego że ludziom krwi polskiej kochać ojczyzny, przeszłości, wiary i pamiątek własnych... nie wolno... dla tego że ci którym wzbroniono oddychać muszą szukać powietrza, choćby ściany dziurawić mieli...

— Zawsze, zawsze też sama choroba narodów uciśnionych, odezwał się Izraelita — gdzie starszym wydarto wszelkie prawa, tam młódź się ich dobija na drogach młodych... i przypląca gorączkę nieopatrzną... jak ty, wygnaniem, nędzą, często życiem...

Westchnęli oba...

— Jakże teraz myślisz powrócić do kraju, kiedyś go opuścił bezprawnie? zapytał Izraelita po chwili.

Iwaś się na to uśmiechnął boleśnie.

— Alboż wiem! rzekł powoli — to wiem że się tam dostać muszę; wiem że śmiertelna tęsknota do kraju mnie pędzi; że wśród obcego mi świata wyżyć nie umiem i nie mogę, że wygnanie dłuższe fizycznie i moralnie niepodobieństwem stało się dla mnie.

Inaczej, inaczej dawniej marzyłem o świecie; wyszedłem z piersią, pełną, wiary że wszyscy tak pragną swobody, światła, szczęścia i zgody, prawa i sprawiedliwości jak my... jak ja. Wpadłem w bezdenną społeczność jakiej pojęcia nie miałem; w pośród której nie ma miejsca dla marzycieli i wygnańców, gdzie nikt konającemu nie poda ręki, jęczącego nie pocieszy, obłąkanego nie przygarnie... potrzeba więc powrócić choćby mnie tam zamęczyć miano, choćbym na zimne poszedł wygnanie daleko, bo tam są jeszcze serca cieplejsze... tam cierpieć przydało się na coś. Świecie znoszone cierpienie nawraca, kiedy tu męczennik śmieszy... gdy tu nędznym choćby najświętszym gardzą... A! bracia, bracia! co się stało z Europą ? dokąd idzie świat?

— Europa zestarzała i lęka się grzmotów, rzekł żyd powoli... albo raczej świat znużyli szarlatani wszelkiego rodzaju, którzy boleść i męczeństwa odegrywali

dla... pieniędzy. Dla tego dziś nawet język prawdy stał się niezrozumiałym lub śmiesznym. Ostatnie kilkadziesiąt lat młodocianych zapałów ludzi zużyto na korzyść zręcznych i ambitnych szaltrierzy. Czyż nie spekulowano, jak Barnum na starej mamce Washingtona, na miłości ojczyzny, swobody, na entuzjazmie dla wolności i braterstwa? Na stu krzykaczy nie było i jednego męczennika, wyciągano pieniądze pod rozmaitemi pozorami, korzystano z zapałów, i w końcu ciepło dusz ludzkich wystygło do ostatniej iskiej. Dziś świat spoczywa znękany w sceptycyzmie; w nic nie wierzy; bo widział swobodę rozradzającą się w anarchię, braterstwo spekulujące na własności, rewolucją służącą za podnózek ambicyi ludzi fałszywych i apostołów wyciągających grosze najgorętszemi kazaniami. Trzeba poczekać, ludzkość wypocznie i poprawi się. Mówili tak a słońce podchodziło do góry a skwar coraz większy wyjść nawet na miasto pomyśleć nie dozwala!, zapuszczono więc firanki, zasłoniono sztory, pozamykano żaluzje i dwaj nowi znajomi siedli gwarzyć w chłodzie oczekując wieczora.

— Słuszna jest, rzekł po chwili żyd, abym i ja ci się dał poznać. Rozumiemy się dobrze, lecz położenie moje wyjątkowe wymaga abym cię z niem oswoił. Spodziewam się że poczęta pod Genuą znajomość nasza w Genui się nie skończy... powiesz mi o sobie więcej, ale przyzwoitość, wymaga, abym ja wyznaniem szczerem drogę ci otworzył. Jest to dług który spłacam zawiązującej się przyjaźni...

Zamilkł i dodał po przestanku. — Powiedziałem ci już że jestem żydem... w tym wyrazie zamyka się poniekąd wszystko, on wypowiada los, on dozwala odgadnąć charakter do pewnego stopnia. Ze znanych przyczyn muszą się rodzić skutki pewne, nieuchronne... Żyd, nawet dziś gdy przestał być wygnańcem i parją społeczeństw, jest jeszcze tajemnicą, jest zawsze zagadką. Nosi on na czole przed kilką lat tysiącami wypisany wyraz na szczególne namaszczone go przeznaczenia, na posłannictwo cierpienia, pracy, upokorzenia, upadku i z otchłani najczarniejszej dźwignienia się do najwyższej potęgi... Nie dawno jeszcze parja dziś jest bezimienną władzą, trzęsącą całym światem, buduje i obala trony... włada rządami, stanowi prawa... rozkazuje niewidomy i... nie wie sam do czego zmierza, dokąd idzie...

Bądź co bądź, z chlubą powiadam ci, przywiezując do tego wyrazu znaczenie wielkie — żydem jestem!

Znałeś żydów w kraju naszym, ale nie po szerokim świecie, więc tylko jedną cząstkę ciemną ogromnego rozproszonych obozu... Żyd dla całego świata długo był wyrazem pogardy; niezrozumiały i niezrozumiany, odłączony i odłączający się od społeczeństwa, stał sam jeden pragnąc i starając się o jedno... żyć i trwać... obronić się napaściom, nie zginąć. Wyznaczony na zagładę a czując się piastunem wielkiej idei Bożej — usiłował ją przechować i siebie jako jej naczynie. Świat który nie dorósł do wysokości jego tysiącletniego męczeństwa, był dlań tak pogardy godnym jak on pogardzoną istotą dla świata.

Zdeptanie i krzywda domierzona nam utrzymały nas i podniosły; jesteśmy wymownym, żywym dowodem siły ducha, wzmagającej się uciskiem, rosnącej wśród najdzikszych, wrogich zapasów...

Dziś powoli rozstępuje się świat przed nami. choć jeszcześmy do rodziny wielkiej narodów z zupełną równością praw nie weszli — jeszcze ona nas a my jej nie pojmujemy.

Szkalowano w nas wszystko począwszy od nauki, której główne źródło było nam przecie z chrześcianami wspólnem; nie rozumiano tradycyi naszych, prześladowano za to żeśmy się wyrzec siebie nie chcieli.

Tych lat tysiące niewoli i niedoli, pogardy, niesprawiedliwości, znęcania, uczyniły dobrych prawie świętymi, złych przerobiły na szatanów. Musieliśmy się bronić. Świat widział tylko złą, stronę którą obróceni ku niemu, jak lwica broniąca dzieci, pokazywaliśmy i pazury ostre i krwawą paszczkę.

Przebacz, mówił zadumany Izraelita, zapominam o sobie mówiąc o żydach, czuję się członkiem tej wielkiej rodziny na której czole palec Mojżeszów wrył tajemnicze imię Jehowy...

Wprzód nim sobą, muszę być żydem. Z dumą powtarzam: żyd jestem... w tém słowie skupiają się bole lat tysiąców.

Potem najpierwsze prawodawstwo ludzkości godne człowieka.

Pierwsza moralność, pierwsza — jeszcze do dziś dnia nie dobrze pojęta idea — niezłomnego, żelaznego prawa rządzącego światem, — prawa pochodzenia boskiego.

Dziesięcioro przykazań nadanych na górze Sinai, tablice te wyrażają wielką myśl prawodawcy z ramienia Bożego - że ludzkość cała podlega niewzruszonemu prawu... że każdy czyn człowieka w naturze swój ma zaród nagrody lub kary... której nic odwrócić nie może.

Jak jeden, wiekuisty jest Bóg, tak jedno prawo jego wieczne...

Pomyślcie że narodowi naszemu objawił się Bóg jeden i to prawo jedno naówczas gdy inne błądziły po bezdrożach polytheizmu i anomizmu (1) (jeśli się tak wyrazić godzi) że myśmy powierzonom sobie mieli piastowanie wielkiej idei, świętego ognia, który przez tysiące lat ani na chwilę nie powinien był wygasnąć.

Tu zatrzymał się młody człowiek zarumieniony i przejęty, i jakby mu się wstyd zrobiło zapału z którym wyrzekł te słowa, ciszej już ciągnął dalej.

— Wygnańcy, poszliśmy po ziemi siać ideę Bożą — źle mówię, pielęgnować ją tylko... Nie czyniliśmy prozelytów od dwóch tysięcy lat, chowaliśmy nasz skarb dla siebie, świat szedł, żył, walczył, pracował, a myśmy zasklepieni nad naszą spuścizną, w niej mieli wszystko...

Z obawy, z nędzy i utrapienia tę ideę okryliśmy dziwnymi łańchmanami i pstrocizną... to rzecz czysto ludzka...

(1) Bezprawia.

Znaną ci jest, przynajmniej w ogólnych rysach historia nasza, od czasu gdy nad nami chrześcijański świat zawiesił przekleństwo, gdy poczęła nas ścigać potwarz, wszelkiego rodzaju ohydy, prześladowania i kąty, gdy nas z rodziny ludzkiej wyłączono za miłość naszego Boga, naszego prawa i naszej ojczyzny. Można odgadnąć te wieki prześladowania lecz któż je opisać i opiewać potrafi? W obec tych nieludzkich dziejów usta ludzkie nie mają wyrazów, głowa myśli — językowi brak dźwięków. Ale po wiekach ucisku... czytasz jego skutki na nas... myśmy nim napiętnowani wszyscy... Ludzkość uczyniła z nas dzikie zwierzęta broniące życia od napaści; — instynkt nas związał w jedno ogromne spójne ciało, które teraz siecią opasało świat cały. Broniąc się nabyliśmy sił których byśmy nie mieli gdyby nas nie ścigano... nabyliśmy cnót uciśnionych, pokory dumnej aż do wzgardy, milczenia rozumnego przybierającego maskę głupoty — jedności nierozzerwanej a niedostrzeżonej, rachuby jaką wlewa niebezpieczeństwo... poświęcenia jednych dla drugich... W tłumach obok cnót uciśnionych, wyrobiły się też uciśnionych nałogi, wady... występki.

Wśród ogromu narodów, wśród ruchu tej żywej fali opływającej nas zewsząd, myśmy oddzieleni, niezmięszani uchowali się narodem odrębnym, noszącym swą ojczyznę w piersiach, ze sobą wszędzie; w księdze modlitw, w obrzędzie pobożnym, we wszystkich najdrobniejszych życia przygodach. — Do każdej z nich przywiązane było wspomnienie, obchód, modlitwa uprzytomniająca nam Boga, którego usta ludzkie wymówić nie śmieją, i Judeę naszą...

Miliony istot rodziły się i umierały nie widząc jej a kochając ją jak matkę, miliony odbywały te obrzędy machinalnie których ducha ledwie które pokolenie i umysł odgadnął. Tak, z prawem Mojżeszowem potrafiliśmy się ostać po dziś dzień.

Donieśliśmy je aż do progu nowej epoki... ale tu, lękam się, niestety, byśmy drogiego nie zrzucili brzemienia.

Żydów już się w historii uczyć potrzeba, idea żydowska prawie znikła ze światem który ją prześladował. Przewędrowałem Europę i uląknęłam się o nią — jesteście pono strupieszalą także arystokracją Bożą... Boga zrzuconego z tronu przez obojętność ludzką, i prawa obalonego szyderstwami rozumu, który niszczy tylko umie i wywracać.

Tu znowu przerwał sobie Izraelita pocierając czoło, dwie łzy jasne miał na powiekach.

— Przebacz, rzekł — płacząc się, piersi mam pełne, beładnie z nich płyną uczucia; miałem ci mówić o sobie a plotę o narodzie naszym... lecz jakże siebie wydzielić z niego, będąc żydem?

Powracam, spróbuję przynajmniej powrócić do mojego życia i doli.

Urodziłem się w ubóstwie wielkim... w jednej z tych rodzin żydowskich rozsianych licznie po wsiach polskich, których przeznaczeniem było ród tylko uchować, powtarzać prawa literę nie rozumiejąc jej, wypiastować pokolenia przyszłe do losów nieznanymi nikomu prócz opatrności.

Znasz czem było życie żyda w dawnej Polsce, boś mu się pewnie przypatrywał; wśród społeczeństwa waszego zorganizowanego dziwnie, zasklepionego w jednej narodu klassie, piastunce idei narodowej, żywota narodu i losów jego.

Całym grzechem tej naszej Polski, którą i ja tak kocham jak wy ją kochacie, nie to było może co jej wrogowie zadają, ale jedna ze starożytności, z dziejów, z przeszłości wyrwana idea stara, której w porę rozszerzyć i odrodzić nie umiała.

Nie było rozmiłowanych więcej w godności człowieka i swobodzie narodu, nad Polaków — ale ze ślepotą, starych Rzymian człowieka widzieli tylko w szlachcicu, jemu oddali posłannictwo narodu, a nie domyślali się długo że prawodawstwo nowe które Chrystus przyniósł — wszystkich ludzi dopuszczają do wszystkiego, nikogo nie pozwalając czynić ofiarą i podnożem bezwładnym.

Widzisz że chociaż żyd nowego prawodawcę uznaje.

W organizmie starej Polski na wzór pogańskich państw zbudowanej, szlachcic był apostołem, kapłanem, stróżem ogniska, obrońcą zarazem, on prawo stanowił, tłumaczył, strzegł od zagłady, bronił od napaści i ręką najemnym nic powierzyć nie chciał... dla tego cała reszta narodu jemu podlegać i służyć musiała.

Była to długa omyłka klasyków zakochanych w starożytności do bałwochwalstwa. Tak ja to sobie, jako żyd a Polak tłumaczę. Polska jak rzeczpospolita wenecka, nie umiając się zawczasu zreformować, wołała zginąć niż szukać nowej życia formy i swobodę drogą oddać straży — wszystkich. — Ja — w tem spotwarzonym życiu waszem, jak w naszym własnym, widzę wielkie blaski; sądząc je zimno, łatwo z niego szydzić, kochając potrzeba płakać nad tą epopeją przeszłości — epopeją homeryczną, której ja tylko znam pourywane szczątki.

— Stój! rzekł młody chłopak marszcząc się, jesteś synem epoki, nie uniewinniaj przeszłości.

— Tyż to mówisz? spytał żyd.

— Tak, ja, Polak, odparł Iwaś — alem ja urodził się w czasach, w kraju, wśród idei nowych — przeklinam najpiękniejsze, najświetniejsze naszych dziejów chwile, bo je posądzam o przyczynienie się do zguby naszej...

Patrz, dodał, jak to jest charakterystycznym, potomkowie tych co stali na straży swobód przez długie wieki, my dziś wszyscy do jednego, co widzimy w dziejach naszych?? z jakiego stanowiska wyrokuje o nich krytyka historyczna dzisiejsza? potępiamy li jedno — to tylko co wzmocnieniu królewskiej absolutnej władzy stało na zawadzie!! Najwięksi królowie w przekonaniu dzisiejszej generacji są ci co się kusili przeciwko szlachcie o skupienie rządu w swych rękach, o wywrot instytucji będących źrenicą swobód rzeczypospolitej! jedna myśl te pokolenia nowe zajmuje; zaślepia... zguba kraju. Nie idzie nam o to czyśmy powierzona nam ideę wykołysali i wykarmili do ostatka, idzie dziś o to żeśmy dla niej padli ofiarą...

— Masz w tem słusność, rzekł żyd, ale boleści dzisiejszej przebaczyć można tę jednostronność sądu. Ja, chłodniej może patrząc na Polskę i jej losy, z tego com czytał, słyszał i widział, mam

jej obraz pełny w sobie, dziwny, straszliwy, dziki czasem, wielki i wspaniały zawsze. Któż więcej nad żyda miałby prawo sarkać i uskarżać się na szlachtę polską, — ja ją zimno rozumiem, tłumaczę sobie i przez rysy dziwaczne które przeszłość nakreśliła... przeglądam aż do oblicza nadziemskiej piękności....

— Pomówimy więc o tem inną razą przerwał młody chłopak, ale zaprawdę jest w tem coś osobliwego, że ja, szlachcic polski potępiam tę przeszłość, którą ty polski żydzie osłaniaasz i bronisz. Uśmiechnął się Jakób i rzekł:

— Jam dużo starszy od ciebie, bracie mój, zestarzyło mnie cierpienie, praca, myślenie... może boleści pokoleń, które we krwi mój noszę...

— Dobrze, ale mówże mi o sobie, przerwał zniecierpliwiony Iwaś.

— Powoli, pomału, ja inaczej nie potrafię, odparł Jakób — będziemy iść po tej kamienistej drodze jak mineralogowie wśród gór, ilekroć na ciekawą natrafimy skałę, młotkiem ją naszym rozbić musimy... aby dobrać się jej środka... Czasu mamy dosyć, a na Aqua sola przyjdziemy zawsze w porę.

— A! prawda! mieliśmy się tam spotkać z moją piękną, wybawicielką, co mi jak Samarytanin skroń spaloną, zwilżyła... Żyd się uśmiechnął znowu.

— Tak, tak, z tą Włoszką która ci czoło oblała wodą a może serce płomieniem... ale między wczoraj a dzisiaj jest przepaść.... Któż wie ilu z nas się znajdzie wiernych słowu w ogródku na Aqua sola?

— Myślisz! spytał młody człowiek.

— Nauczyłem się już w życiu nie wiele rachować na przyrzeczenia które dopiero we dwadzieścia cztery godziny spełnić się mają, a nic na te których urzeczywistnienie rozłożone jest na tygodnie.

— Ale do wieczora daleko! zobaczymy!

— Oj daleko! mów dalej! zawołał Iwaś, słońce pali... wyjść niepodobna... słucham!

Komuż nie miłe choćby boleści młodych wspomnienie? mówił Jakób, zaprawdę nie pochłubię się ja szczęśliwymi latami dzieciństwa... ale mi ich pamięć jeszcze łączy z oczów wyciska, i powtarzam co napisano w księdze Sabbath (152) — ucieka ona i nie powraca. Młodość jest kwiatów wieńcem, starość jest cierniów koroną.. (Sabbat.)

Nawet w porównaniu do dni dzisiejszych pełnych sił i jasnego pojęcia świata, te lata kwiecisto ku mnie patrzą, choć były bardzo Straszne.

Rodzice moi, choć pochodzili z rodziny niegdyś znacznej i mającej, od kilku pokoleń wszakże rozrodzonej i podupadłej, zeszli byli na najostateczniejszy szczebel w naszym społeczeństwie, zarobkujących po wiejskich gospodach, lichym handlem nieszczęśliwego trunku, przyjmowaniem podróży i małymi obrotami w sprzedażach wołów i zboża. Powiem ci jaśniej, ojciec mój był prostym wiejskim arendarzem, nie bardzo nawet zamożnym. Człowiek to był spokojny,

bogobojny, lubiący swe księgi i nie bardzo umiejący dozierać ziemskiego interesu, któryby bardzo szedł źle, gdyby go w tem nie wyręczała matka nasza. Była ona drugą żoną, Joela ojca mego. Pierwszą stracił rychło i nie miał z niej tylko jednego, już dorastającego syna, gdy ja na świat przyszedłem. Joel stary był posepny, milczący, zamknięty w sobie, zadumany; myślał o nieziemskich sprawach i wzdychał tylko nad tem, że się ich rozpamiętywaniu całkiem nie mógł poświęcić. Szanowano go powszechnie z nauki, ale w rodzinie ubolewano nad nieudolnością do handlu i robienia pieniędzy, które były u nas kwestyą życia.

Jest i było dawniej u żydów tradycyjnym obowiązkiem zbieranie grosza, dziwić się temu nie potrzeba. Egoizm ten musiał się rozwinąć początkowo nie skutkiem charakteru narodu; ale jego położenia i życia warunków. Żyd długo był istotą wykluczoną ze społeczeństwa, której żadne prawo nie przysługiwało; dawano żydom przywileje drogo okupywane, ale sądy, rządy, duchowni, władze w każdej chwili odwołać je, zawiesić lub całkiem mogli nie spełniać... Gdzież się było skarżyć? komu uzalić?

Żyd szukał opieki, obrony, ratunku w groszu którego potęga nie znała ateuszów... było to i jest bóstwo czczone powszechnie przez wszystkie narody. Musieliśmy skarbić ten grosz, bo w nim zamykało się. dla nas wszystko: sprawiedliwość, powolność, względy, łaski, poważanie... wszystko to kupować sobie musieliśmy, bo darmo nic się nam nie należało.

Ubogiego żyda nic nie broniło, prócz gminy do której należał; chrześciance przez wieki znęcanie się nad nimi mieli za jakąś praktykę religijną, za środek nawracania, za zasługę przed Bogiem.

Mszczono się na nas za Chrystusa, który przecież był żydem jak my... i przebaczył swoim nieprzyjaciołom...

Nie jeden co łamał wszystkie prawa swojej wiary, rehabilitował się, sądząc że dręczeniem żydów grzechy swoje okupi.

Musieliśmy więc przywiązywać się do grosza, bo grosz był jedynym wiernym naszym opiekunem i obrońcą.

Mylą się bardzo ci co utrzymują że jakieś prawa starodawne, pierwotne przepisywały nam chciwość; zrodziła się ona z konieczności. Najpierwsze i jedyne prawo nasze, Mojżeszowe, zabrania najwyraźniej odsetków brać od pożyczonego grosza: — "Jeżeli pieniędzy pożyczasz ludowi memu ubogiemu który mieszka z tobą, nie będziesz mu przynaglał, jako wyciągacz, ani lichwami uciśniesz." (Exodus XXII, 25.) — Przypuszcza wielu, że w Deuteronomie, gdzie jest uczyniona różnica pomiędzy pożyczką obcemu a swojemu, słowa: "ale obcemu" zostały wciśnięte w interesie handlu Izraelitów z Tyrem i Sydonem. Cytuję ci prawa i muszę dotknąć tej kwestyi, bo żaden zarzut tyle nam nie ciąży co lichwa i przewrotne środki dorabiania się grosza.

Ale cóż nas uczyniło przewrotnymi?... ucisk! instynkt zachowawczy w miarę zwiększającego się prześladowania budził do poszukiwania środków obrony wszelkich jakie były możliwe. Opasano nas murem oddzielającym od świata,

cóż dziwnego żeśmy w sobie i dla siebie tylko żyć musieli? Logicznie była to konieczność niewoli narzuconej nam, która wyrobiła, nadała nam ten charakter. Mówię ci o tem długo, dodał Jakób, bo mi to ciąży.

Tak jest — w cielca złotego uwierzyliśmy, bo on jeden miał siłę kruszenia kajdan naszych, łagodzenia nieznośnej doli. Ale żyd zamknięty w sobie, dla swoich i w swej gromadce, dla swego rodu i ludu nigdy skąpym i chciwym nie był.

Tłumaczę przeszłość, nie uniewinniam jej. Joel ojciec mój nie miał sobie do wyrzucenia by się cudzem mieniem z bogacił, bo w końcu i swoje dawniej przyzbierane postradał. Myśląc o Bogu, zanurzony w poetycznych i mistycznych swych księgach, gardził ziemią.

Wszystkie starania i troski spadały na matkę naszą, znacznie młodszą, wiekiem i niespokojną o przyszłość. Jam był najstarszy z rodzeństwa, po mnie szły dwie siostry, brat z drugiej matki dorastał.

Gospodarstwo to nasze wiejskie składało się z dzierzawionej przez nas od bardzo dawna wielkiej gospody na gościńcu ożywionym i uczęszczanym; w której tylko z naszą młodością usnąć było można, a ze spokojem duszy ojcowskim pracować i myśleć. Matka i dwie sługi zameczały się pracą nastarczyć nie mogąc przejezdnym. W istocie byłaby to może dobra dzierzawa, mimo współzawodnictwa drugiej sąsiedniej karczmy znacznie lichszej, gdyby nam cokolwiek los sprzyjał.

Ale to co się zarabiało na wódce, sianie i owsie, nieszczęśliwe handle większe zjadały. Ojciec, nawet we spółkach z najbieglejszymi handlarzami skór i bydła, zawsze najgorzej wychodził. Przyszło do tego że to przypisywał wcli Bożej; ale matka gryzła się nad miarę... Ubożeliśmy widocznie, zastawiono jej perły, sobole ojca i suknie i co tylko było w domu kosztowniejszego.

Dziedzic dworu i karczmy był szlachcic ktorego mało co pamiętam; wyglądał otyły, barczysty, śmiejący się, wesół, miał minę hulacką, był dosyć dobrego serca ale grosz trwonił straszliwie, potrzebował go nieustannie, marnował niestychanie, a o jutro wcale nie dbał byle dziś wesoło przeszło.

Mieliśmy więc z nim biedę, mimo że niezły był człowiek. De razy dano znać ze dworu że pan Micuta prosi Joela do siebie, matka płakała, bo pewnie nie o co innego szło tylko o pieniądze.

A tych i u nas nie stawało.

We dworze położonym o dobre pół mili od owego gościńca rzadko się trafiało żeby kogo nie przyjmowano. Gdy się pan Micuta sam jeden został na pół dnia, już mu było nudno; jeśli się nikt na horyzoncie nie pokazał, zaprzęgano i wyruszał do miłych sąsiadów w odwiedziny. Dobrze człeczysko, śmiejące się, ochocze, ale stary dzieciak zepsuty. Żona jego jak matka nasza płakała a płakała, ale poprawić go nie mogła, kochała go z jego wadami. Dla niego zkađ wziąć to wziąć: byle się wesoło zabawić, a gdy mu ruinę majątku przedstawiano, odpowiadał: "Ale ba! mospaneńku... więcej ma Pan Bóg niż rozdał! pan panem będzie....."

— Takich temperamentów u nas, przerwał Iwaś, nie potrzeba było szukać ze świecą... miał pana Micutę, podobnego każdy powiat i okolica.

— Bywało, mówił dalej żyd, gdy po Joela przyślą ze dworu z jednej strony, z drugiej śle po matkę moją pani Micucina i pozwawszy ją do siebie prosi i zaklina, aby mąż jej pieniędzy jegomości nie dawał. Ale jak było oprzeć się panu Micucie gdy począł ścisnąć, prosić, zaklinać, męczyć, namawiać i przysięgać się... Joel musiał być posłusznym, a cokolwiek bądź dał, wszystkiego mu było za mało.....

Na nieustające bankiety ryby, mięsa, cukru, korzeni, wina, przyborów było potrzeba bez końca; rachunki rosły, kwitki się ściągaly na sznurek nieopłacane i nieprzyjmowane w ratach: przychodziło opłacać, wymagano gotówki, przyrzekano procenta, nareszcie żyd stawał się nieznośnym, bo upominać się musiał.

Jam naówczas ani widział ani wiedział o tem co się działo, anim pojmowałem to położenie; opowiadano mi później. Patrzałem wielkimi oczyma na świat Boży i dziwnie mi się wydawał. Karczma stała na trakcie ludnym, który był zawsze pełen przejezdnych... przytykała ogrodem do dębowego lasu, gdzie się ja przysłuchiwał gwarowi ptastwa i szumowi drzew starych. — Alem się naówczas jeszcze nie mógł pokochać w naturze, tłum przepływającego ludu głównie mnie ciekawił. Nie każdemu dziecięciu dano rosnać w takim gwarze, wśród obcych, coraz nowych, przesuwających się tylko i niknących twarzy.

Musiało to podzielać na mnie; ledwiem pojmować coś zaczął, wiedziałem już jak świat był ludny i że ten tłum cały prawie sobie był obcym i nieprzyjaznym... poczułem że ocierając się o tysiące, z kilku tylko istot wybranych mam czerpać życie i szczęście. Świat naprzód objawił mi się jako nieprzyjazny i złowrogi....

Nie wiele też w pierwszych tych latach zwracano na mnie uwagi, matka na której głównie spoczywało gospodarstwo, rachunki, dom, kuchnia, dzieci, bo ojciec siedział nad księgą lub dumał modląc się, chroniła od krzywdy, opiekowała się troskliwie, ale pieścić i rozczulać się nie mogła.... Chowałem się sam już ucząc myśleć o sobie, a instynkt nie garnąć się do ludzi cale mi kazał ich unikać. Uczyłem się też przypatrywać im, poznawać, przenikać.

Byłem jeszcze bardzo mały, gdy ojciec nas odumarł po krótkiej słabości. Dzień ten żałoby i jęku nie wyjdzie z mojej pamięci nigdy, głęboko naówczas zapisały się w niej te słowa, które każdy Izraelita obowiązany jest wyrzec, gdy go spotyka cios z ręki Bożej:

— Bądź pochwalony sędzio sprawiedliwy!

Nauczono mnie wraz z innymi dziećmi tej modlitwy (Kadysz) którą później w życiu tyle razy powtarzaną słyszałem:

— "Niech będzie wywyższonem i uświęconem imie Jego wielkie, na świecie, który kiedyś na nowo odtworzy i wskrzesi zmarłych i wzbudzi ich do życia wiecznego, odbuduje gród Jeruzalem, w niem wystawi przybytek swój, zgładzi z ziemi służbę obcych Bogów i wprowadzi w siedlisko swoje, służbę Nieba, by panował święty, błogosławiony On, w swoim królestwie i swym majestacie.....

Jakób wzruszony zamilkł, a Iwaś mimowolnie szepnął: piękna i wspaniała ta modlitwa wasza... ale żyd nic nie odpowiedział, dumał i płakał, nareszcie jakby przebudzony ją opowiadać znowu.

— Znikł nam z oczów starzec, pozostaliśmy sami, sieroty; zdawał się nieczynnym za życia, po jego śmierci srodze go nam zabrakło. P. Micuta oddał gospodę innemu, bez względu na prośby matki, myśmy się przenieśli do małej, lichej karczemki przy młynku, w ciszę lasów głęboką.

Mnie dziecku było tu lepiej, ale tu poczęła się prawdziwa nędza, której tylko dzieci mogły nie poczuć z razu. Po nieustannym gwarze tamtej gogospody, przepełnionej dniem i nocą, tu całe dni oprócz zajeżdżających z rzadka do młyna ludzi, nikogo widać nie było. Młynek stał przez pół roku, bo staw latem prawie całkiem wysychał; naówczas maleńka baryłka wódki starczyła nam na miesiące... Do koła szumiał smętny bór sosnowy, a droga wązka i kręta porastała trawą. O chlebie razowym, o nędznej strawie do której ogród dostarczał zapasu, żyliśmy w tej pustyni. Matka coraz częściej płakiwała. Nakazywała ona do dalekich krewnych ojca, do swoich, nikt się nie zgłaszał... Chodziliśmy w łachmanach. Trapiło ją to najwięcej wszakże, iż dorastałem do wieku, w którym koniecznie uczyć mnie było potrzeba, a nauczyciela dostać nie miała za co, oddać mnie tak młodo do miasteczka, serce jej macierzyńskie się wzdragało.

Pamiętam że zostawiwszy nas troje ze sługą i ubogim żydkiem z miasteczka, pojechała wreszcie na kilka tygodni i przybyła potem nieco uspokojona, całując mnie w głowę a powtarzając: "ciesz się, ciesz się, będziesz miał nauczyciela."

Tak mało rozumiałem tę obietnicę, że daleko naówczas więcej cieszyłem się przywiezionym przez matkę obwarzankiem, który mi właśnie oddała.

Wiesz zapewne jaką wagę Izraelici przywiązują do wychowania dzieci; nie idzie im w niem, a przynajmniej nie szło dawniej o nic więcej tylko o to, by wpoić zawczasu prawo, zakon narodu, jego tradycye, to co nas czyniło nami.... Wedle nauki naszych rabbinów w pięciu już leciech musiał się chłopiec zacząć uczyć biblii, od dziesięciu Miszny, od trzynastego prawa Bożego, od piętnastu Gemary.

Widząc uśmiech na ustach Iwasia, Jakób przerwał opowiadanie swe na chwilę.

— Domyślam się, rzekł, z czego się śmiejesz; Talmud, Misznah i Gemarah przez ludzi płochych a nam nieprzyjaźnych zostały obrócone w pośmiewisko. Znacie je tylko ze strony dziwacznej, powierzchownie, ze słuchu, nie wniknęliście nigdy całkiem w ich ducha... pozwólcie sobie powiedzieć, nie wiecie nawet co to właściwie jest. Nie mogę więc pominąć wspomnienia o tych księgach, abym cię choć pobieżnie nie objaśnił o nich.

A naprzód wiedzieć masz że talmud jest niczem więcej tylko wielkim skarbcem spisanych późno i różnie tradycyi narodowo-religijnych. — Nie jest to księga systematyczna, jest to zbiór niepowiązanych z sobą i nieułożonych nawet w pewien porządek logiczny, traktatów, najczęściej i dysput, rozwiązywanych przez różnych uczonych i świątobliwych mężów trudności — najsprzecznieszej

treści. Cała ówczesna wiedza żydów, to jest z przed IV. wieku waszej ery, gdy prawdopodobnie spisano te księgi, mieści się w tym ogromnym zbiorze bezładnym... w tej encyklopedyi żydowskiej. Trzeba w sądzie o tych księgach wziąć wszystko w rachunek co ich spisaniu i tworzeniu się towarzyszyło. Obawiano się uronić najmniejszą cząsteczkę ze skarbu narodowych tradycji, zbierano więc jak zbiera ten komu się na ziemię kosztowny proch rozsypie, zgarniając wszystko, nawet piasek i kurzawę, aby nic nie uronić. Tak w traktatach tych zgromadziło się wiele dziwaczego, poetyczne wymysły dzikie, fantazyje rozgorączkowanych samotnymi rozmyślaniami głów, ale też wiele i przewiele istotnych skarbów. Zdziwilibyście się gdybyśmy wam w okrzyczanym owym talmudzie znaleźli najgłówniejsze prawdy wiekuistej moralności, najgłębsze pomysły do których wieki owe nie zdawały się jeszcze dojrzałymi...

Znajdzie się tam zapewne i wiele rzeczy dziś dla nas niezrozumiałych, a swojego czasu niebezprzyczynnych. W narodzie rozproszonym i prześladowanym często wiele ukrywać musiano, osłaniać aby celu jakiegoś dopiąć, nawet przez tych co go świadomi być nie mogli.

Dla tłumów słuchających litery prawa ślepo, ta litera często się i mistycznie odziewać i surową do zbytku a straszną ukazywać musiała, aby była usłuchaną i trwałą.

Nic łatwiejszego nad wyśmianie rzeczy niezrozumiałych; nic zaszczytniejszego nad rozplątanie węzła który myśl ich kryje.

Szło o to przede wszystkim aby Izrael w rozproszeniu sobą pozostał; — mnożono przepisy, trudności, zastrzeżenia aby go odosobnić i oddzielić; to jedno już wiele niezrozumiałego tłumaczy. Śmiesznym dla was obrzędem winniśmy że pozostaliśmy sobą i nie znikliśmy z oblicza ziemi wsiąkwszy w gromady narodów.

Poszanowaniu, nawet niezrozumiałej litery praw naszych zawdzięczamy wiele.

Ale dość, powracam do mojego nauczyciela... Pomnę jak dziś jego przybycie... Stałem u drzwi karczemki gdy uboga furka wieśniacza wyrzuciła u naszego proga coś co nawet na człowieka zrazu nie wyglądało. Była to istota połamana, pokrzywiona, drobna, chuda, żółta... jakiś potwór prawie straszny i śmieszny zarazem.

Na przegiętem ciele które od pochylenia nad księgami ciąglego już się tak skurczyło iż wyprostować się nie mogło; na piersi wklęsłej, sterczała głowa wielka o wypukłym czole z ogromnymi wysadzonemi silnie na zewnątrz oczyma czarnemi. Oczu tych wyraz dziś mnie jeszcze przeraża, gdy go sobie przypomnę. Zdawały mi się patrzeć a nie widzieć nic, póki nie spoczęły na księdze; świat się w nich nie odbijał i one go nie pojmowały.

Skóra żółkła, pofałdowana dziwacznie oblekła potworną twarz, osłupiała, jakby obłąkana, bo myśl co ją ożywiać była powinna, cała gdzieś wewnątrz uciekła.

Kulawy na jedną nogę (miał ją podkurczoną i wykrzywioną) szedł ciężko nawet o kiju, podskakiwał raczej niż chodził.

Tak wyglądał pierwszy mój belfer, przywieziony, z miasta, znany w okolicy ze swych talentów pedagogicznych Mosze... Nie rozumiał on wiele w tej księdze praw z której nas czerpać nauczał, ale był niesłychanej pamięci i biegłości w literaturze ksiąg zakonu, w kabale, biblii i talmudzie. Całe ustępy z nich umiał na pamięć i mógł je powtórzyć nie zmieniając najmniejszego akcentu, nie opuszczając litery. Życie jego upływało na żmudnem nauczaniu dzieci i na doskonaleniu się własnem, świat go nie obchodził wcale, żył cały w przeszłości. Nigdyby może za niewielką zapłatę nie był się przeniósł do nas, gdyby go nie zwabiały liczne księgi pozostałe po moim ojcu, których dwa kufry przewieźliśmy z sobą. Było ich więcej niż sukien i sprzętu.

Mosze w zachowywaniu ścisłym drobnostkowych przepisów obrzędowych, religijnych, zabobonnych ale tradycyjnych był niesłychanej surowości. Była to chodząca księga, w której duch, bez samowiedzy o sobie, bez poczucia nawet jej potrzeby, mieszkał i poruszał się dźwigany jakimś instynktem.

Surowszego nauczyciela wymarzyć niepodobna; przyjąwszy raz obowiązek spełniał go z nielitościwym, bezmiłosiernym okrucieństwem. Nagle z zupełnej swobody jakiej dotąd używałem, przeszedłem do takiego ślęczenia nad księgą, żem zrazu sądził iż umrę lub oszaleję. Ale potrzeba mi było bodaj skonać a nauczyć się być żydem. Mechanicznie wbijano w głowę słowa, ustępy księgi całe, powtarzaniem ich bez końca... a każdy przydech od którego zależało znaczenie wyrazu, musiał być najściślej wyuczony, wyśpiewany... Pomimo tej brutalskiej metody, umysł mój smagany nieustannie drgnął, otworzył się, począł poruszać i pracować.

Nie wiemy jaki wpływ ma na umysł dziecięcia długie kształcenie się pokoleń, których ono jest potomkiem, w jednym kierunku i długie przekarmienie ich jedną strawą, to pewna wszakże iż mi się zdało poczynając czytać biblią i uczyć dziejów mojego narodu, jakbym je sobie po długim śnie przypominał.

Po przełamaniu pierwszych mechanicznych trudności — począłem chciwie rwać się do nauki, sam Mosze był zdziwiony; a choć w jego systemie pochwała dziecięcia i podbudzenie go bodźcem łagodności nie było dozwolone, stał się, jeśli nie łaskawym dla mnie, to coraz powolniejszym. Gniewało go tylko gdym chciał tłumaczenia i usiłował wszystko zrozumieć, żądając co chwila objaśnień. Naówczas zniecierpliwiony bił mnie po głowie pałeczką, którą pokazywał litery, jakby z niej wybić chciał tę dumę przedwczesną i łajał a zżymał się zakazując mi rozumem świętych dotykać rzeczy. Przywodził mi często przypowieść z księgi Chulin, którą pamiętam...

— Chcę widzieć Boga waszego, mówił Cezar rzymski do Rabbi Jehoszua.

— Panie, odparł mędrzec, żadne oko śmiertelne blasku oblicza jego nie wytrzyma...

— Nie wytrzyma? Spróbujmy! chcę go widzieć.

— Chcesz, rzekł mędrzec, dobrze, idź więc za mną. A była to pora najskwarniejsza roku i godzina w której słońce piekło najgoręcej. Mędrzec powiódł Cezara na odkryte pole, wskazał na słońce i rzekł:

— Cezarze wielki, spojrz na nie.

— Jak to? w słońce? zapytał zdziwiony Rzymianin. A któż wytrzyma blask słoneczny?

— Cezarze, nie możecie więc blasku słońca wytrzymać, słońce jest przecie tylko jednym z niezliczonych sług Bożych... Nie mogąc wpatrzeć się w oblicze jednego ze sług Pana, chcielibyście oglądać blask Jego samego twarzy śmiertelnymi oczyma?

Mosze mówił mi też często zachęcając do nauki że świat, wedle nauki Rabbinów, stoi na oddechu ust dziecięcych uczących się prawa Bożego... a nie na rozumach mędrców...Śmiejcie się z tego jeśli chcecie, dla mnie te legendy i przypowieści niezmierny urok mają.

— Są one piękne, rzekł Iwaś, ale ten wasz Mosze kuternoga jakoś mi niemiło wygląda...

— Poetyzować ci go nie myślę, odpowiedział Jakób, było w nim aż coś dzikiego przez zbytnią surowość. Sługa mojej matki, często ją nawet, jeśli ściśle nie zachowywała przepisów w małych rzeczach, gromił i karmił, grożąc jej że się z domu Meszumodimów wyniesie.

Zgorzkiły, znękany, zfanatyzowany Mosze był postrachem dla wszystkich; lecz gdy mu chwilami przychodziło natchnienie, wydawał mi się istotnie wielkim. — Nie był on w stanie nic nigdy stworzyć własnego, ale z tysiąca wyuczonych rzeczy dobierał najpiękniejszą, wypowiadał ją jakby swą własną, z przejęciem i często wyegzaltowany płakał, unosił się, miotał do szaleństwa.

Gdy mu przyszło czytać o boleściach Izraela lzy płynęły strumieniem, ryczał z bólu, zawodził, nie czytał już ale piał pieśń jakąś dziwnymi głosem, aż na głowie powstawały włosy i dreszcze przebiegały skórę, tak się on tą przeszłością straszliwie przejmować umiał, tak słowo to z przed lat tysięcy żywo odbrzmiewało w jego duszy.

Jeśli zachodziła jaka trudność w rozwiązaniu kwestyi obrzędowej lub prawnej, Mosze nie był przywoływany aby sądził i rozstrzygał, Rabbi ni znali go za nadto, by mu nadali tę władzę, ale posyłano po niego, sprowadzano i stawiano w kącie, by służył za rejestr i skazówkę do ksiąg zakonu. Wskazywał im miejsca, przytaczał teksty, z taką ścisłością iż można ich było nie sprawdzać; nikt podobnej nie miał pamięci.

Masz więc mojego pierwszego nauczyciela wizerunek, niepochlebny ale wierny; pod nim przeczytałem pierwsze księgi biblii, a raczej je z nim przepłakałem. Był tak sumienny iż znalazłszy we mnie zdatność sam matce doradził aby się ze mną do miasteczka przeniosła dla dalszego mojego kształcenia.

Dzięki jemu w latach trzynastu mogłem wedle obyczaju naszego publicznie przeczytać w synagodze rozdział pisma i być zaliczonym jako człowiek dorosły

do liczby dziesięciu wymaganej w świątyni, aby zgromadzenie uważało się za pełne.

Ubogiej matce naszej przeniesienie się do miasta było bardzo trudnym, ale od niego zawisł los dziecięcia... musiała myśleć o niem. Jakkolwiek przy młynku biedne bardzo było życie nasze, nędzę cierpieliśmy i niedostatek wygod, wiele też ułatwiało je żeśmy mieli dach bezpłatny, las pod bokiem i trochę warzywa z ogrodu prawie darmo. W mieście wszystko, nawet wodę, kupować potrzeba, Z czegoż żyć, co począć? jak się ze trojgiem dzieci wynieść tam i utrzymać?

Właśnie w porę, gdy matka nad tem głowę łamała, starszy mój przyrodni brat, już mający chleba kawałek acz nie wielki, i żyjący z handelku skórami w lichej mieścinie, przyjechał do nas w odwiedzinach.

Był to wypadek niespodziany, a w naszym życiu znaczący, bośmy go od bardzo dawna nie widzieli, równie jak innych krewnych. — Brat miał już lat około trzydziestu, ale od dawna był żonaty; posag żony i jakaś część spadku po ojcu-naszym, stanowiły pierwszy fundusz jego, z którego dorabiać się począł. Żył naprzód wedle obyczaju rok na koszcie rodziców żony swojej, którzy się ich oboje utrzymywać obowiązali, potem osiadł osobno i ostrożnie, powoli, handel rozpoczął.

O ile ojcu się naszemu nie powiodło, o tyle jemu szło nader szczęśliwie. Początek ten wzmógł w nim odwagę; oszczędny, chłodny, ostrożny, całe swe siły wyteżał na zarobek, był to dlań jedyny cel życia, ale już czuł że osiągnąć go będzie zdolnym. Ubogi jeszcze śmiało już jakoś spoglądał w przyszłość. Przybycie jego tak pożądane cały dom poruszyło; był też to, jak się zdaje, wypadek wielki; Zelmann nie przyjeżdżał z własnej woli, ani z jakąkolwiek od siebie ofiarą, był jeszcze za ubogim sam aby nam mógł świadczyć, przywoził wiadomość długo oczekiwaną od krewnych matki, którzy nareście jej biednym stanem wzruszeni, przysłali jej niewielką pomoc na początek jakiegoś handelku w miasteczku, aby z niego mnie i siostry wychowywać mogła.

Wiadomość ta rozradowała ją niezmiernie i dom nasz napełniła weselem; matka płakała z radości, my dzieci nie dobrze rozumiejąc o co chodziło, posmutniałyśmy, z razu dowiedziawszy się że młynek opuścić przyjdzie, choć wprędce potem ucieszyłyśmy się obiecanem życiem w miasteczku.

Przyjęto starszego brata jak tylko było można najlepiej, matka naprzód radzić się go zasiadła, jakimby sposobem muły swój kapitałik zużytkować mogła.

Bratu potrzeba było handel swój powiększyć i rozszerzyć; stanęło więc na tem że matkę przyjąć miał do spółki; i że w drugiej połowie domu przezeń zajętego stanąć mieliśmy i zamieszkać.

Wszystko to dokonało się bardzo szybko, a nazajutrz niecierpliwa matka nasza, posłała już najmować furmanki, aby się z karczemki począć wynosić.

Z tą chwilą rozpoczął się drugi peryod mojego życia.

— Widzisz, dodał Jakób, że w dzieciństwie na różach kołysany nie byłem, zem i ja cierpiał a cierpienie to było słońcem które przyspieszało dojrzałość. Z tych lat zostały mi tylko mgliste wspomnienia, po większej części przykre i bolesne;

wspomnienie upadku, pracy, tej nieszczęsnej walki z głodem, z zimnem, z siłami nieprzyjaznymi natury, z niechęcią i wzdargą ludzi, która odbiera ochotę i moc podniesienia się człowiekowi, nad poziom nędznych potrzeb jego ciała.

Poetom, a raczej tym co poetów udają, dawno dozwolono i stan natury idealny wychwalać i na materializm narzekać... ale niestety! — przypatrzwszy się życiu z bliska — jakże ono zależnem jest od cielesnego bytu, od pewnego zabezpieczenia pierwszych potrzeb, od wszystkiego co ułatwia byt materialny, co życie łatwiejszem czyni.

Człowiek już wykształcony może wytrwać w walce z naturą z nędzą, — nie tracąc na duchu; ale podnieść się wprzód z trosk powszednich, pod ciężarem tego codzien staczającego się syzyfowego kamienia do wysokości jakiejś... niestety!! jakże trudno!! jak prawie niepodobna. Winniśmy materialnym zdobyczom cywilizacji możliwość pracy duchowej, to nie ulega wątpliwości — gardzić więc podniesieniem materialnego bytu, jest zabijać w nim postępy umysłowe, którychby się stał pomocnikiem...

Pracuje może na to jedna połowa ludzkości w pocie czoła, aby druga rozmyślać mogła.

Powiesz mi że rozumię i dowodzę jak żyd, ze stanowiska żydowskiego, ale w tej chwili zszedłem z niego; mówię tylko to o czym jestem przekonany jako o niezłomnej prawdzie. Życie w małym miasteczku co do wygód ledwie się od wiejskiego naszego różniło, ale tu całkiem odmienny przybrało charakter. Z tych czasów mało dla mnie pamiętnych, gdyśmy jeszcze na wielkiej karczmie siedzieli u gościńca, o ludziach przesuwających się jak widma, codzien nowych, codzien innych a zawsze prawie do siebie podobnych, nie zostało mi nic w duszy, prócz jakiejś obawy i prawie wstrętu... W miasteczku także silniejszy nas tłum otoczył, nasza społeczność żydowska zwiększyła się bardzo, bo w znacznej części mięszcina była nami przepełnioną.

Mieliśmy tu i synagogę okazańszą, której widok wielkie na mnie zrobił wrażenie, gdyż dotąd bywałem tylko w ubogich, małych wiejskich domach modlitwy. Tu lepiej mogłem się przypatrzeć ściślej zachowywanym obrzędom religijnym, uroczystemu obchodowi sabbatu, tego dnia który nas żydów odrywa od świata, zbliża do Boga, a wspomnieniem przenosi do utraconej ojczyzny...

Ileż się to naśmiano z tych naszych obrzędów, z ich drobnostkowych przepisów i ostrożności... a przecież ileśmy to winni dusznie tym regularnie powracającym dniom rozmyślenia, modlitwy, zerwania z zatrudnieniami, pracą, troską a zbliżenia się duchem do Stwórcy...

Wszystkie te nasze obrzędy pieczenia chleba, którego część ofiarna zostawuje się dla ubogiego, przygotowywania stołu, tej uczy rodzinnej przeplatanej ciągłą modlitwą... tego błogosławieństwa wina... przypominają patryarchalne czasy świata... kiedy Bóg mieszkał z nami i przytomny był między ludźmi...

Dziś, — dodał Jakób, — i wy, chrześcianie i my żydzi, nadto wygnaliśmy Boga i zapomnieliśmy o nim. Bogiem wieku jest jego ręką ulepiony, lichy i mały ale dumny i zarozumiały — człowieczek... Antropolatrya wiarą świata...

— W domu brata, mówił po chwili dalej cała nasza rodzina stanowiła już jakby jedną — on był jej głową. Kobiety wspólnie przygotowywały ucztę wieczorną i jutrzejszą, chleby i pokarmy.

Gdy miała nadejść godzina wspólnej modlitwy w szkole, posługacz stary drewnianym młotkiem dawał znak stuknięciem trzykrotnym w okiennicę domostwa; szliśmy w świątecznych ubiorach do domu modlitwy, z naszymi księgami pod pachą... Synagoga był to stary sklepiony o krużgankach i galeryach budynek, który w końcu XVI. wieku wzniosła ludność izraelska miasteczka, opłaciwszy się dobrze dziedzicowi. Był nim naówczas bardzo gorliwy katolik książe K... Przed tem mieli tylko żydzi stary a lichy budynek drewniany, w którym się zbierali na modlitwę, w czasie burzy i wichru czując trzeszczenie dachu nad sobą; napróżno prosili o pozwolenie zbudowania nowej synagogi... Szczęściem dla nich nadeszła wojna, potrzeby pieniężne gwałtowne, a książe zmuszony został sprzedać plac i wydać żydom przywilej pozwalający murować szkołę nową. Podania miejscowe mówiły o prawie bajecznej summie, którą to pozwolenie okupić musieli. Mieli jeszcze później trudności nowe gdy się gmach podniósł, i dach z daleka począł być widocznym. Kazano im bowiem zniżyć go i gwiazdziste gałki porzucić, ażeby synagoga poważniej i pokaźniej nie wyglądała nad inne budowy sąsiednie.

Wysilili się żydzi okoliczni na tę poważną, ciemną, ale wcale piękną strukturę, w której nieco stylu gotyckiego w sklepieniach pozostało W oczach moich wydała mi się niemal świątynią Salomona... tak dla mnie wyglądała wspaniale... Zgromadzenie w niej prześladowanych, modlących się do swojego Boga, językiem starym... na mym umyśle dziecięcym zrobiło nadzwyczajne wrażenie. Modlitwa wspólna...

To mówiąc spojrzął Jakób na swojego towarzysza i spostrzegłszy uśmiech na jego twarzy, westchnął przerywając mowę.

— Tak! rzekł smutnie — i wy już nie rozumiecie modlitwy... to choroba wieku! Wynaleźliście nawet teorią ad hoc, że kto pracuje ten się modli... Prawda, praca jest miłą Bogu, jest spełnieniem obowiązku... ale co innego praca a co innego modlitwa. Przerywam na teraz, o tym przedmiocie nie mówiąc więcej, bo żyd nie nawrócę chrześcianina aby się modlić nauczył... choć źle jest że żydzi i chrze ścianie staliśmy się wszyscy ateuszami i zerwaliśmy dobrowolnie ten związek mistyczny który łączył Stwórcę ze stworzeniem. Dla tego nam dziś wszystkim na tym świecie tak pusto, zimno i straszno... Wracam do mojej młodości.

Chciwie porwałem się do dalszej nauki, znajdowano że miałem pewne zdolności, ja czułem tylko w sobie jakby ogromne, niczem nie ugaszone pragnienie. Księgi Starego Zakonu cudowną mają władzę rozwijania dziecięcego umysłu; są one dziejami dziecięctwa ludzkości, wypowiedzianymi natchnionym a pełnym prostoty językiem, dla tego i pokarmem dziwnie stosownym dla młodzieży. Ich poezya rozplómienia, roztwiera dalekie przestwory wyobraźni, ich siwy rozum otwiera umysł powolnie i stopniowo. Ale

pogląd na świat jaki z nich czerpiemy jest tak wysoki, z góry, tak obłoczysty, tak wzniosły, że się nim dusza napawając nie uspokaja, chce więcej, chce widzieć bliżej i czuje że wstąpić powinna na wyżyny, aby oglądać to co w złotych snach tylko postrzegła i przeczuwała.

Dodaj do tego, ksiąg talmudycznych podania i legendy nieznane wam, a poezyi pełne...

Miasteczko nasze nie było jednym z najpiękniejszych w kraju w którym miasta w ogóle nie mają takiego życia jak za granicą, nie było nawet zbyt ożywionem, z wyjątkiem wielkich jarmarków i dni świątecznych, ale nie liczyło się do ostatnich... Przerzynał je gościniec dość uczęszczany. Ludność jego pomnożona była szkołą niedawno założoną, garstką duchowieństwa uszczuploną prześladowaniem katolicyzmu, przy wspaniałym niegdyś kościele; zarządem majątności ogromnych, które stanowiły jedną całość z miasteczkiem, wreście kilką urzędnikami rządowymi, stanowiącymi postrach ludności, gdyż ich bez ustanku opłacać i dawać się im odzierać było potrzeba, aby mniej dokuczliwymi uczynić.

Z temi wszystkimi rozlicznymi rodzajami ludzi, z którymi wedle ich kast i charakterów coraz inaczej obchodzić się było potrzeba — oswoić się musiałem — poznając rozmaitość świata... i stosunków.

Byli ludzie których prawo i zwyczaj nakazywały omijać, inni którym należało oddawać uszanowanie zdala, zblizka, różnie ustopniowane; od których trzeba było uciekać...

Żyd w ogóle wszystkich aż do stróża urzędniczego, sług i żon tych panów pokorą i datkiem ujmować sobie musiał.

Nie rozumiałem rychło dla czego my, naród wybrany przez Boga, w takiej zostawaliśmy poniewierce.

Po biblii rozpocząłem stopniowo naukę tradycyi zawartych w różnych traktatach talmudu; tu spotkałem mnogie trudności i szkopyły, które rozwijający się rozsądek nie łatwo mógł pokonać. Inaczej na to wszystko dziś patrzę; naówczas byłem zdumiony tą poezją dziwną i temi niezrozumiałymi przepisami... Umysł mój dziecięcy pracował już dorabiając się sił w tych zapasach, biblia podnosiła go wysoko; niektóre księgi talmudu prawie całkiem znajdowałem niezrozumiałemi, zagmatwanemi, dziwnymi... Widzisz że jestem prawdomówny i że ci się z mych wrażeń spowiadam wiernie. Uderzało mnie to że talmud, dzieło człowieka, daleko stał niżej i poezją i treścią i formą i duchem od biblii, księgi natchnienia Bożego.

Wszakże i tu wśród ciemności jasne przepływały strumienie światła.

Byłem w tej dobie niecierpliwego rozwijania się umysłu i wątpliwości rodzących się co chwila, gdy jednego wieczora, powróciwszy od nauczyciela z książką pod pachą, a głową rozmarzoną i tęskną, zastałem w domu jakiś zamęt wielki.

Przestraszyłem się zrazu przewidując jakieś nieszczęście, lecz po twarzach wkrótce wyczytać mogłem że wypadek ten dziwny, wcale nie musiał być

przerażający. Krzątano się tylko jakby na przyjęcie osoby wielkiej i znaczącej; matka popchnęła mnie do alkierza, zalecając abym się co prędzej ubierał jak od święta. Brat już był przywdział szabasowy strój swój; na stole stała wódka, w miodzie smaźone konfitury, piernik, bułka, a nawet butelka jakiegoś wina...

Z wielką trudnością wśród tego zamętu przyszło mi się nareszcie dowiedzieć, że ten którego tak uroczyście przyjmować miano był stryjecznym bratem mojej matki, niezmiernie bogatym kupcem z Warszawy; że przyjeżdżał jak się zdawało, aby o moim przyszłym stanowić losie.

Matka drżała. Wyobraziłem sobie w mej głowie dziecięcej poważną jakąś postać, z długą, brodą, w Szatach biblijnych, patryarchalnie poważną; anim się, spodział gdy wpadł bardzo żywo biegnąc ktoś kogo wziętem za chrześcianina i natręta. Ubrany nie po naszymu, w okularach, z cygarem w ustach i krągłym kapeluszu, człowiek niemłody, nieco szpakowaciejący, o rysach wydatnych, oczu czarnych, cały ogolony, dość zażywny i otyły, wyglądał mi na goima. Wpadł jakby się niezmiernie spieszył, nie wiele na nas zważając, do ubożiego domku naszego, z miną dosyć pogardliwą i zniechęconą... Powitał nas zakłopotany, nieco zawstydzony, dość chłodno i siadł bez ceremonii na pierwszym miejscu zakładając noga na nogę.

Gdym się przekonał że to był oczekiwany nasz krewny, uderzyło mnie to i zgorszyło niemało że tak był do goima, jak wówczas mówiłem, podobny i wcale żydowskiego nic, prócz charakteru twarzy, nie miał.

Matka kazała mi podejść i w rękę go pocałować; popatrzał na mnie, wziął mnie pod brodę, potem potrząsł uśmiechając się moimi loczkami i dał pstryczka w jarmużkę którą nosiłem, zajrzał w oczy które w niego wlepiłem ciekawie i jakby na znak zadowolenia puścił mi w twarz kłęb dymu. Potem pomilczawszy trochę odezwał się, po niemiecku.

— No... trzeba będzie z niego zrobić człowieka !

Wszyscy, choć podrażnieni, słuchali wyroczeni z pokorą, był bowiem niezmiernie bogaty i cały nasz los od niego zależał.

— No, cóż myślicie, dodał zwracając się do matki — co myślicie? Jabym go pokierował, ale nie po waszemu pewnie...

I począł szybko odwracając się do Zelmanna.

— Dosyć już jest żydów w tych małych handlach, po wsiach, po karczmach, wszystko się to marnuje, a wiecie czemu?... oto że się nic nie uczymy...

— Jak to? przerwał Zelmann, wszakżeśmy go uczyli i dotąd uczym jeszcze, chłopiec już czyta Gemarhę... — A! ah! ruszył ramionami bogacz, na co jemu ta Gemarah? co on ma robić z Gemarhą? czy wy go myślicie kierować na rabbina? Nam teraz potrzeba cisnąć się wszędzie, a nie zamykać w ciasnym kółku... po co te pejsy? na co ta jarmużka? to wszystko zabytki średniowieczne! Czasy prześladowania przechodzą, świat się dla nas otwiera, myśmy powinni być gotowi objąć wszystko, zając stanowiska ważniejsze... Żyd ma rozum, uczyło go kilka tysięcy lat prześladowania i nieszczęść, tego i rozumu... ale on jest! Dla

czego nie ma wchodzić tam gdzie, dotąd wchodzili tylko uprzywilejowani chrześcijanie; czasy przywilejów zamknięte.

Czemu nie ma uczyć się ich nauk? czy przez tonie może w duszy pozostać żydem?

Na tę mowę, mimo poszanowania dla bogacza i matka moja i brat zamilkli zafrasowani, sprzeciwiało się to ich tradycyjnym wyobrażeniom i nawykniom. Nie zważając na zakłopotanie nasze, mówił dalej: — Powinien pamiętać że jest żydem, utrzymać swój zakon w głębi serca, ale uczyć się i iść w świat na równi z innymi ludźmi jak czynią żydzi za granicą... no, i w Królestwie już przecie... Jemu do brze z oczów patrzy, dodał, on Izraelowi wstydu nie zrobi, ja na wychowanie dam, ale go potrzeba do szkół chrześcijańskich oddać... Na początek może chodzić i tutaj, potem odeślecie go do mnie... ja nim sam pokieruję.

Matce serce zabołało znać o wiarę moją, obawiała się bym ją nie postradał.

— A! rzekła po cichu, nieśmiało, wyście opiekunem i dobrodziejem naszym, ale wy wiecie, tylu tam z naszych porzuciło wiarę i stali się tymi ludźmi którymi zarówno pogardzają żydzi i chrześcijanie; niech on zostanie z ojcami swymi.

— A dla czego nie ma zostać? odparł bogacz, ale wolicież go z tej obawy dziecinnej widzieć nieukiem, ubogim, w łachmanach i w tej nędzy w jakiej wy żyjecie, czy takim jak ja?? Widzicie przecie że żydem dla tego jestem, że do szkoły chodzę, że zakon trzymam, choć może nie tak ślepo jak wy... Cała ta rozmowa wbiła mi się dobrze w pamięć; stanowiła ona o losie mojego życia, stokroć ją powtarzaną słyszałem przez matkę.

Właśnie na te słowa nadszedł, dowiedziawszy się o przybyciu z Warszawy naszego krewniaka magnata, ten który był wyrocznią, żydów w miasteczku, stary Abraham Machnowiecki.

Mamże ci ten typ skreślić jeszcze, czyś się już może znudził słuchając? spytał Jakób.

— A! nie! nie, odpowiedział Iwaś, mów ja zaciekawiony słucham, choćbyś mi dwa i trzy dni miał prawić.

— Zawahałem się, mówił dalej Jakób, bo figura Abrahama jest i była u nas dosyć pospolitą i przyjdzie mi może wspomnieć niejedną do niej podobną w ciągu mej biografii — a przyznam ci się że mi o tem wszystkim mówić miło. Roztaczam te wspomnienia przed sobą równie jak przed tobą. Stary to spłowiały ów kobierzec bajki wschodniej, który gdyś na nim usiadł — w obłoki cię unosi. Mówmy więc o Abrahamie; był to żyd stary, żyd polski, powinienbym powiedzieć żyd Polak, chociaż on sam nie miał wyraźnego pojęcia tego synowstwa, które Mickiewicz z poetycznem uczuciem odmalował w Jankielu, on co przywiązanie do kraju nawet w żydzie ocenić umiał.

Abraham był uczciwym i bardzo rozsądnym człowiekiem, istnym typem polskiego żyda, który się ogromnie różnił od innych Izraelitów reszty Europy. Niewątpliwą jest rzeczą że obyczaj oddziaływał i na nas na tej ziemi w której

wszystkie życie było czynem. Od czasu jak się ono w złociste przerobiło słowo — stało się martwym ręką artysty wydłutowanym posągiem.

Abraham acz żyd należał do kraju, z nim i w nim żył, miał stosunki ze wszystkimi obywatelami, znał każdego nie tylko rodzinę, położenie, majątek, ale charakter i wagę między swymi, wiedział ile kto mógł i do czego się przydał; pamiętał kolligacje i związki. Zajmowało go też wszystko co kraj obchodziło, sejmiki, zjazdy, kandydaci, wybory na urzędy; często z nim i a niego się naradzano, a w delikatnych sprawach bywał bardzo szczęśliwym posłem. Szanowano go bo był godnym szacunku, przyjmowano mile, a co większa, nawet, (gdy nie było gości) sadzano go na krześle — nie zawsze jak inni stał u drzwi.

Bez Abrahama nic się ważniejszego zrobić nie mogło. Powierzchność jego była poważną i piękną, wzrost słuszny, broda siwa do pasa; żupan czarny, czapka sobola a w lecie czarny kapelusz szerokoskrzydły i laska wysoka o srebrnej gałce, ubierały starca i dawały poznać zdaleka przechadzającego się po miasteczku.

W domu jego, który był jednym z najpiękniejszych w mieście, nigdy nie brakło gości, posłańców, interessentów wszelkiego rodzaju; był bankierem połowy obywateli, powiernikiem, pośrednikiem, doradcą, większej części pożyczal lub dostawał pieniędzy.

Abraham umiał właściwie tyle tylko, ile umięją wszyscy żydzi, ale rozum miał bystry, przenikliwy, wielką ludzi znajomość i życia praktykę, tak też, co największa, niesłychany spokój. Nie rozgniewał się on nigdy, nie dał najmniejszej oznaki niecierpliwości, znosił z rezygnacją, cieszył się nawet powodzeniem z umiarkowaniem. Nie był wielomownym wcale, słowo wychodziło z ust jego z rozwagą, powolnie ale stanowcze. Wiedziano że gdy przyrzecze, dotrzyma nieochybnie, choćby z widoczną, dla siebie stratą. Przywiązany do swojej wiary i obyczaju, nie był fanatykiem; rzeczy religii, nawet pytany o nie, nigdy nie tykał.

Ta wyrocznia miasteczka i okolicy szanowana tak powszechnie i przywykła do tego poszanowania długim życiem, nie miała nawet dumy, któraby łatwo mogła się w niej zrodzić; nie kazał się szanować, ale miał coś w sobie, co zmuszało do szacunku.

Było to bardzo dziwnem że Abraham, który rzadko gdzie bywał, zaszedł do naszego domostwa; tak dalece dziwnem, iż można było przypuszczać, że go matka nasza, coś przeczuwając, o to pośrednictwo prosiła.

Na pierwszy rzut oka ów nasz bogaty krewny z Warszawy wydał mi się jeszcze gorzej przy poważnym Abrahamie; raziała jego duma i wzgarda z jaką nas traktował niby po europejsku, w istocie z lekceważeniem dorobkowicza, gdy Abraham swój lud jak patryarcha z poufałą powagą i miłością przyjmował. Spotkanie między tymi dwoma ludźmi, tym esprit fort, który już z siebie stał wszystko żydowskie, a owym biblijnym człowiekiem — było zaiste zajmującym.

Nasz krewny z całą dumą wielkiego człowieka, ledwie się poruszył nieco na widok starca, który mu na powitanie uprzejmie dłoń podał, i nie rzucając cygara, rozparty uśmiechać się począł wpatrując w Izraelitę z pejsami, w jarmułce, w płaszczu starym, z laską ową wysoką, jakich już dziś nie widać.

Abraham spojrział nań, a że nie pierwszego zapewne widział w tym rodzaju, nie potrzebował go badać długo aby poznać.

— Bardzo to pięknie z waszej strony, odezwał się starzec, że o ubogiej rodzinie nie zapominacie... bodajby tak czynili wszyscy....

I dodał słowa z księgi Nedarim: "Szanujcie syny ubogich, bo przez nich wiary nauka świetność otrzyma, "

Warszawiak z lekka się cytacyi talmudycznej uśmiechnął; należał bowiem do tych co nieznając wcale talmudu, wysmiewali się zeń i gardzili nim.

— Chciałbym w istocie, odezwał się niedbale, uczynić zeń człowieka, tylko nie takiego jakiego to na wsi zrobić można. Czas jest, dodał aforystycznie, aby żydzi zajęli w społeczeństwie należne ich rozumowi i talentom miejsca, aby się nie wydzielali dobrowolnie.

Abraham westchnął.

— Może to być, rzeki, z dobrem naszym, ale jakże ich w tę podróż uzbroić trzeba żeby żydami być nie przestali!

A po chwilce dodał powoli: "Izraelski naród porównywają, mówi Resz Lakisz (Chullin 92) do latorośli winnej: gałęzmi jej są pospolici ludzie co na chleb pracują, jagodami uczeni, liśćmi prostaczkowie i wyrobnicy, a niedojrzałemi, kwaśnemi gronami próżniacy." Czy komu być dano liściem, gałęzią czy jagodą, byle nie był gronem niedojrzałym a kwaśnym... zawsze się on zda narodowi.

— A! jagody ja z niego koniecznie robić nie myślę, przerwał krewniak nasz, niech będzie gałęzią ale zdrową i mocną.

— Sprawiedliwie rzekłeś, potwierdził Abraham, jagodą sam Bóg czyni, gałęzią ziemia.

— Więc namawiam ich, mówił dalej magnat, aby naprzód chłopca, gdy się przygotowuje nieco w domu, dać do szkół zwykłych, niech się uczy razem z innymi dziećmi.

— Rzucicie go jako złoto w ogień na próbę, rzekł Abraham, jeśli złotem jest, ogień mu nic nie uczyni, jeżeli próchnem to spłonie.

— Mówią że okazuje zdolności, rzekł krewniak nasz, toć skorzystać z nich należy.

— Byleby wiary nie utracić, przerwał Abraham, dla tego myślę żeby go nazbyt rychło nie brać z domu, póki się nie ugruntuje w nauce zakonu, tak aby jej nic na potem wzruszyć w nim już nie mogło. Gdy garncarz chce aby się na naczyniu glinianem pismo jego zostało, nie bierze go mokrem z warsztatu, ale je wysusza na słońcu.

Warszawiak nic nie odpowiedział; ten przypowieściowy sposób mówienia starca widocznie mu nie przypadł do smaku.

— Wieleż ma lat? zapytał zaraz i na odpowiedź głową potrząsnął.

— Macie i tu podobno szkółkę, to go do niej możecie oddawać.

— Czemu nie, rzekł Abraham, ale biedne dziecko dużo przecierpi.

— A któż z nas tego nie przechodził? zawołał magnat z właściwą dumą, ja, jak mnie widzicie, mam dziś parę milionów, może więcej, a sprzedawałem szuwaks i zapałki na ulicach....

Stary Abraham skłonił przed nim głowę w milczeniu; szepnąwszy tylko z księgi Sędziów wiersz, który Rabbini tłumaczą, że słońce ciężko dopiekające znosić należy, choć dokucza, gdyż światu jest potrzebnem.

Potem złożył rękę na głowie mojej, pobłogosławił mnie stary modląc się po cichu i skinął ku matce aby była spokojną, sam zaś zwrócił się do przybyłego z obojętniejszy już i ogólniejszą rozmową.

Acz małym byłem naówczas chłopakiem, pamiętam scenę tę dobrze. Przybyło do niej wkrótce więcej aktorów i słuchaczy, gdyż i inni krewni matki którzy ją dawniej mało znali, i ciekawi i ci co mieli pretensye do znaczenia i rozumu, miasta czkowi patrycyusze żydowscy, poschodzili się wszyscy zasłyszawszy o przybyłym wielkim człowieku.

Naówczas usunęły się kobiety, odprawiono dzieci i poczęła się cicha rozmowa, o której treści dowiedziałem się znacznie później.

Krewny nasz, którego Abraham i inni poczęli gorąco wypytywać o sprawy ogólne narodu, stał się jaśniejszym, zrozumialszym, obszernie wyłuszczając wiejskim mieszkańcom nowsze idee krążące już naówczas pomiędzy Izraelitami w królestwie. Powtórzył on i wyłuszczył obszerniej co tylko w zastosowaniu do mnie mówił wprzód, iż uznanem było przez ludzi stojących a steru narodu, iż Izraelici powinni się byli starać wyjść z koła jakie im zakreślała zbytnia obawa o wiarę i zagrożoną ich narodowość. — Cierpieliśmy długo, mówił, wiele, czas jest zbierać owoce, powinniśmy zająć stanowisko jakie nam, ludowi jednemu z najdawniejszych, należy zająć w świecie. Mamy bystrość umysłu, sposobność do wszelakiej nauki i sztuki, mamy pieniądź który wszystko ułatwia i jedność a spójność, przez którą tylko wielkie dokonywają się sprawy; dla czegoż gnuśnieć mamy po wsiach, a nie starać się stać na świeczniku? Patrzcie na żydów innych krajów, znajdziecie ich po akademiach, w parlamencie angielskim, na urzędach we Francji i w Niemczech, lub dobijających się nauką, wpływami, pieniędzmi tych praw obywatelstwa, których im jeszcze gdzieś niegdzie odmawiają.

Tak właśnie i nam uczynić potrzeba, iść wyżej, być wszędzie, sposobić młodzież, rzucić ją w świat, rozsypać po wszystkich drogach, opasać siecią rąk i myśli naszej wszystkie kraje, boć niedarmo jesteśmy narodem wybranym, zahartowanym dwóch tysięcy lat męczarnią.

Abraham słuchał, nie sprzeciwiał się wcale ale był smutnym; inni z wielką radością potakiwali. Zdaje mi się że wielką powagą jakiegoś znakomitego imienia dowodzenie swe poparł mój krewny. Starsi żydzi przywiązani do ścisłego zachowywania obyczaju swego, które trudnem było w ciągłym obcowaniu z chrześcianami, zamilkli.

Odwiedziny te magnata naszego u matki mej pozostały epoką w miasteczku, wniosły one tu nową ideę i wywołały ruch, któremu tylko fanatyczniejsi, bojaźliwsi byli przeciwni, reszta w nim bardzo smakowała.

Rok jeszcze przysposabiałem się w domu nim wszedłem do szkoły.

Było to wypadkiem niezmiernie głośnym i obudzającym podziwienie, gdy żyd, może pierwszy od czasu jak szkoła istniała, zasiadł na ławie między studentami chrześcianami.

Z góry już dobrze byłem przysposobiony do tego co mnie tam oczekiwało, ale wyznać muszę, że to com znalazł tu przeszło wszelkie obawy i oczekiwania. Studenci byli po większej części dziećmi drobnej szlachty i właścicielami drobnych lub urzędników niższych, dosyć po prostu wychowanymi; nic też czasem dzikszego nad instynkta dziecinne.

Było to prawdziwe męczeństwo, niemal nieustanne. Jako żyd ledwie sobie wyprosił ostatnie w odosobnionej ławie miejsce; musiałem się okupywać odrazów nieustannymi kozubalcami, a milczeń na obelgi któremi mnie obsypywano. Nieskończone przymówki i przyśpiewki do świniny, do rzeczy dla nas niemiłych, nawet się czasem w ustach nauczycieli spotykały, cóż dopiero mówić o uczniach?

Broniła mnie pokora i milczenie, Pierwsze dni zwłaszcza były straszliwe, oswoiłem się i ja później i drudzy oswoili się ze mną tak że potem na ławie mojej odosobniony, prawie zapomniany i spokojny mógłem pozostać.

Ale w samej nauce ileż dla mnie do przełamania było trudności...

Wchodziłem nagle na cale nowe i różne stanowisko, spotykałem się z poglądem nowym, dziwnym, w sprzeczności będącym z tym, jaki dotąd sądziłem jedynie prawdziwym.

Wszystko com nabywał tak mozolnie runęło obalone.

Czułem się zburzony i zniepokojony wewnątrz, w głowie mi się zawracało, nauka pierwsza walczyła z drugą i pojednać się nie mogła.

Postanowiłem jednak wytrwać, uczyć się, czekać aż sama siła nauki i prawdy jasność w mój umysł wprowadzi.

Domawiając tych wyrazów, postrzegł się Jakób że godzina była nieco spóźniona; przypomniał dopiero że wieczorem na Aqua Sola znajdować się mieli i przerwał opowiadanie.

— Czuję, rzekł, jak jestem nudny i długi, przepraszam cię, powolny mój słuchaczu, ale doprawdy, inaczej jak w ten sposób opowiadania nie rozumiem. Nagie fakta nic nie mówią: aby się stały pojętnymi należy w nie wlać życie i barwę; a życie i barwa wymagają rozwinięcia. — Ale mi się nie tłumacz, zawołał Janko, ja nie spieszę się dowiedzieć końca, idźmy powoli.

— Dobrze więc, odpowiedział Jakób, reszta na później, a teraz... na Aqua Sola... Wieczór a z nim trochę chłodu wyprowadziło roje ludzi przez cały dzień w murach zamkniętych, na ulice Genui... Nuova, Nuovissima, Balbi, Aqua Sola, przechadzki, pełne były przechadzających się, mniej więcej poubieranych

Włochów i kobiet we wdzięcznych tych zastłonach białych, które często całe niewdzięczne okrywają postacie.

Dwaj towarzysze wyszli od Federa ciasnemi, cienistemi uliczkami starego miasta, przerysując się ku temu wzgórzcu, które stanowi jedyny zielony ogródek marmurowego grodu.

— A no, rzekł Iwaś, ciekawym też bardzo czy wczorajszych podróźnych zastaniemy na umówionem stanowisku.

— Bądź co bądź, nie tych których poznaliśmy wczoraj, odparł Jakób — dzień jest długi a człowiek jest zmienny, a chwila jest królową.

— Zobaczmy...

I szli dalej po wschodach spinając się ku zieleni, w pośród których szeptała fontanna, muzyka grała... Ścisk był wielki.

Ale ścisk to był genueński; wojsko, lud, kilkunastu księży przesuwających się przez tłumy, trochę kobiet ogorzałych, trochę cudzoziemców ciekawych, kilku długich Anglików. —

Na Aqua Sola nie zobaczyć nic więcej; resztki arystokracji Genueńskiej albo się zamykają po pałacach, i willach, albo nie żyją wcale w Genui; mieszczaństwo dostatnie ma swe domy i ogrody w Nervi i po drodze do Rutta; ci tylko co żyją. w mieście przechadzają się po ogródku Aqua Sola, lub ci co się im przypatrzeć życzą. Poznać tu więc można tylko lud i mało co więcej nad lud a wojskowych... Jakób z Iwanem weszli, mimo wieczora i pozornego chłodu, uznojeni; radzi byli świeższemu powiewowi, który tu ich przywitał. Spojrzeli po ulicach przechadzki, nigdzie podróźnych swych znajomych dostrzedz jeszcze nie mogli. Poczęli się więc przechadzać wzdłuż alei, rozmawiając po młodemu o szerokim świecie, o Ojczyźnie, o przyszłości świata i przyszłych ojczyzny losach.

Nie spostrzegli się jak im drogę zastąpił pierwszy flegmatyczny Niemiec, który w Albergo delia Grotta odznaczył się szczególnie milczeniem.

Poznał ich zaraz, zbliżył się i przywitawszy, z uśmiechem łagodnie-zimnym odezwał:

— A! bardzo rad jestem że panów spotykam... chciałem się też dowiedzieć jak się wczorajszy nasz chory miewa, a razem przeprosić że z miłego ich towarzystwa nie będę mógł korzystać. Trafia mi się jedyna zręczność, veturino na pół kosztu z moim ziomkiem radcą tajnym von Zuckerbeer do Pizy... muszę dziś jeszcze odjechać...

— Co za szkoda! zawołał Jakób po niemiecku, ażeby Niemca francuszczyzną nie męczyć i siebie, bo wymawiał ją szanowny współziomek Göthego w taki sposób, że zrozumieć go było trudno a wstrzymać od śmiechu niepodobna. — Co za szkoda! bylibyśmy tak przyjemnie wieczór spędzili razem...

Na dźwięk mowy ojczystej Niemiec rozpromieniał, westchnął, ale mimo widocznej pokusy pozostania, zwyciężył chętkę dla obowiązku... Oszczędność kazała... może też towarzystwo radcy tajnego wabiło.

— Radca tajny von Zuckerbeer, rzekł cicho, rachuje na mnie, dałem słowo — więc muszę, muszę jechać! niema sposobu... Jakób go wcale nie zatrzymywał,

skłonili się sobie wzajemnie i pożegnali do zobaczenia — na Józefatowej dolinie. Niemiec odszedł lekki że się zbył obowiązku lekkomyślnie zaciągniętego; w duszy nawet miał nieco podejrzania na Polaka że mógł być niebezpiecznym rewolucjonistą, Garybaldczykiem, któż wie? Mazzinistą może... a pewnie republikaninem spiskującym po świecie... zawsze stosunki z takim człowiekiem były rzeczą nieobrachowanych skutków, nieobliczonych niebezpieczeństw w przyszłości!! Stokroć więc lepiej było się wycofać w porę. Zaledwie go pożegnali, gdy ocierając pot z czoła przywłókł się cygan z uśmiechem na ustach, witając ich głową zdaleka... Wachlował się chustką porozpinaną, ale znać było że mu to powietrze ciepłe przyjemne robiło wrażenie, szedł rozpromieniony, o ile twarz jego bronzowa promienieć mogła.

— No! no! zawołał podchodząc — jakże się wam podoba ta Genua? Mnie nie... ale żyć można. Naprzód, to nie jest miasto ale w starym pałacu założony kramik... hałas ogromny, osły ryczą jak nigdzie, po ulicach więcej jeszcze osłów poubieranych w baryłki niż ludzi... gorąco tęgie i wszetecznie brudno... Nie powiem co się dzieje z nosem... Seccatura! koloryt wschodu, fizyognomia niedojrzałego orjentu, wonie też konstantynopolitańskie. Tylko w ulicach tego miasta, spotyka się tak drastyczne zapachy.

Aleście dziś zdrowi? nie mdleliście raz drugi? zapytał Iwasia.

Po chwili namysłu dodał: — Czyśmy się też sobie prezentowali wczoraj? he? nie? prawda?... Istotnie mało nawet wczorajszego dnia pamiętam... no, wiecie już wszakże żem cygan... Cóż? brzydzicie się może cyganem? Ja się żadnym nie brzydzę człowiekiem... to mi wszystko jedno, byle na dwóch nogach...

Nazywam się Stamlo Gako... mówią że moja rodzina długo wodziła obozy; podobno, bez żartu, królowaliśmy cyganom przez wieki, alem ja porzucił szatwę i gromadę i włóczęgę kupą, dla włóczęgi samopas... Jestem, jak widzicie, sam jeden na świecie; kułbym może konie i naprawiał dziurawe kociołki do dziś dnia, gdyby nie muzyka. Miałem piękny głos basowy, dostałem się z nim do teatru — westchnął — zrobiłem trochę grosza... Postawiłem raz na loteryę, no... wygrałem, wygrałem bardzo dużo. Z tego mi się, pomimo różnych szaleństw, coś jeszcze zostało, mogę próżnować. Nie wiecie co to za smaczna rzecz nic nie robić! ha! Żyję gdzie i jak chcę... ale na czole mem napisano: "Cygan." Nikt mnie nie chce, niebardzo bym też ja chciał kogo...

Głupie życie, tęskne życie, a nie pomieniałbym je na inne... na żadne inne... już się z niem znam, jak z kulawym przyjacielem, wiem na którą nogę chroma... Nie mam żadnych obowiązków, to znaczy, że nie noszę żadnych więzów; nie. mam wiary, nie mam nadziei, nie mam zajęcia... nudzę się wspaniale... Cóż chcecie? jestem Stamlo Gako... Urządziłem sobie próżnowanie wygodne, porządne.

Na zimę ciągnę ku północy... a no tak! nie dziwujcie się — tam się najwygodniej zimuje, mury są ciepłe. Staję w hotelu, jem u najlepszego stołu, robię znajomości przelotne, chodzę na teatr, znajduję zawsze jakąś jejmościankę, chwilową Arjadnę, potrzebującą pocieszyciela, która mnie znajduje niebrzydkim i znośnym. — Śpię długo, kładnę się kiedy mi się podoba, robię co chcę, na lato

ciągnę do Włoch; niekiedy zajrzę do swoich, do Węgier. Jest tam coś mojej krwi... ale szczęściem nikogo blizkiego, któryby mnie miał prawo nudzić. Węgry to jeszcze niby jakaś ojczyzna.

Uśmiechnął się.

— Ot, jakim jest Stamlo Gako...

Z próżnowania, dodał, nauczyłem się czytać... a jak to doskonale godziny zabija, kiedy książka zręcznie poplątana... chociaż w ogóle powiem wam. książki są głupie. W najrozumniej szych dziesięć razy tyle plewy co ziarna... Całą mądrość ludzką możnaby spisać na dłoni.

— Ja także bezojczyźniakiem jestem, odpowiedział mu Jakób, który łatwo poznał że cygan był nieco podchmielony... ale ja życie rozumiem inaczej, mam w niem cel. bo mam braci. Czemużbyście wy, więcej od drugich cyganów umiając, mogąc więcej, coś dla narodu swojego uczynić nie chcieli? Zważcie jakby to było chlubnie zostać jego nauczycielem i dobroczyńcą... Stamlo Gako rozśmiał się pokazując białe zęby. — Co wy chcecie bym zrobił z takim narodem, którego jest garść, a garść tę Bóg czy szatan rzucił z góry między ludy i rozbiła się w prochy. Co chcecie bym zrobił z plemieniem przeklętym, co miejsca zagrzać nie może szukając zgubionego gościńca do zapomnianej ojczyzny? — Chybabym tę kupę powiódł znowu nad Ganges, z kąd mówią że ją wypędzili!? Napiętnowano na czole naszym: "Zginiecie", i giniemy, ale konanie powolne, niech to was nie nudzi... bądźcie cierpliwi... tylko co nie widać jak ostatni zdechnie... w nędzy i upodleniu... W Moskwie tancerki i śpiewaczki, ówdzie wróżbiarki i złodziejki, gdzieindziej kowale, konowały, tancerki i... swawolnice... Jakimże językiem mówić do nich o przyszłości? Nie rozumieją bestye... Zawłóczęm się tak na śmierć, jak owoc z drzewa upadły, z narodem oderwanym od ziemi. Wyrzucono nas z niej z korzeniem...

— Więc wsiąknijcie przynajmniej w jakie przyjaźniejsze, bliższe wam plemię...

— Hę? wsiąknąć w opokę? uśmiechnął się cygan... a! nie! nie! Spłynięm lub rozplynięm się... wielki Bóg wie co robi. W mroku wieków, dodał tajemniczo pocichu — jest jakaś straszna, nieodpokutowana zbrodnia... jakieś bratobójstwo, z którego rąk obmyć nie możemy...

Ot i ja, dodał ponuro, mam wszystko czego człowiek potrzebuje do szczęścia na świecie, a nigdy szczęśliwym nie będę. I źle mi nie jest i dobrze być nie może. Ale co mi tam!! Stamlo Gako policzył dobrze ile godzin ma do życia... godziny płyną i upłyną... przeznaczenie...

Gdy tego wyrazu buchnąwszy go z piersi domawiał, pozdrowili przechadzających się dwaj Włosi: Alberto Pimate i Luca Barbaro.

Oba mieli rozjaśnione oblicza, oddychali włoskiem swobodniejszym powietrzem, nad ich głowami powiewała trójbarwna młodej ojczyzny chorągiew. Luca Barbaro niósł album w ręku. Pimate zwitek nut.

— A witajcież, witajcie bracia! zawołał Luca — jakże zdrowie? czy to cudne powietrze nie wyleczyło was z osłabienia? Co do was mówi staruszka Genua?

— Mruczy o średniowiecznej przeszłości, rzekł Jakób.

— A o przyszłości? zapytał Luca — nic? nie czujecież wy tu, jakby zbliżającego się powiewu wiosny co wszystkim narodom da kwiaty i wieńce ?

— Utopisto! odparł smutnie Izraelita — nigdy, żadna wiosna nie przyjdzie razem dla wszystkich... Ludzie w słowach są braćmi, ale w czynach ludźmi tylko; każdy by siebie ocalić poświęci brata... Powoli, mozolnie wybijać się będzie świat z więzów ciemnoty, niewoli i więzów szarlataństwa, które korzysta z pocziwych pragnień by niepocziwą żądzą ambicyi swej i chciwość złota nasycić.

— Cicho! nie bluźnij młodzieńcze, przerwał zapalając się Luca który go za rękę pochwycił — ja wierzę w ludzi. Jest między niemi garść podłych codinów i garść nikczemnych ciarlatanów, ale ogół to... dzieci Boże!! Pieśnią, obrazem, słowem, ofiarą otwierajmy serca, czyścmy wewnętrzną, rozplamieniamy głowy ku cnocie... a zabłyśnie ta wiosna...

— Amen, dodał Primate — amen, tylko jabym *privatissime* o jedną was rzecz prosił... przyznaję się do egoizmu... ale prośbę mam wielką! Wszyscyśmy tu przyszli odetchnąć, spoczywać, nieprawda? — Prawda! prawda!

— A! niechże raz filozofia z polityką pójdą sobie do stotysięcy... codinów... Mówmy choć godzinę sztuce i życiu.

Luca go w czoło pocałował.

— Poverino! rzekł, zmęczył się strasznie mną, ja to mu pokoju nie daję, ja... a on ma w sercu i duszy tylko kobietę, miłość, muzykę i życie... Ja mu ciągle pokazuję te suche, trupie skelety.

Na to wpadł ów niby Francuz, w istocie Duńczyk, a najprawdziwiej kosmopolita; żywo wcisnął się łokciami rozbijając grupę, między nich, obejrzał do koła i z niechęcią splunął.

— Saperlotte! rzekł, z przeproszeniem waszem, gdybym był wiedział, że piękna dama wczorajsza nie będzie na schadzce, byłbym i ja do was, szanowni młodzieńcy się nie fatygował. Miałem wielką ochotę pójść na teatr włoski... teatr włoski, *hien primitif, bien barbare*, byłby mnie zajął i orzeźwił. Ale te czarne oczy, nawet nieco wypłakane i zapadłe a zawsze tyle mówiące, zwały się mnie na Aqua Sola... Gdyby miała przyjść jużby była przyszła!... złapałem się szkaradnie.

— Ale na teatr jeszcze może być czas, odparł zimno cygan dobywając zegarka.

— Tak! ale gdyby ona nadeszła, rzekł Francuz, ona! ona! *c'est l'inconnu! c'est l'inprevu!* Jak myślicie, dorzucił nagle, ta ona, kto to może być? — Dawna artystka, lub artystka jeszcze... rzekł cygan, sama to przecie wypowiedziała, kapłanka Thalii, wątpię, ażeby razem była Westalką... hm! — Wdowa! wdowa! dodał Luca, mówiła o tem. — Tak! przypominam się — wdowa, *c'est bien porté*, wdowa... ale ma aż dwóch wzdychających na nieszczęście, rzekł Francuz... Roszjanina i Polaka... Nie wiecież panowie, co to za jedni? bogaci? ubodzy? dawno z nią? — Nie wiem, odparł cygan sucho. — *Chi lo sá!* rozśmiał się Primate. — Ale Bossyanin wiemy że jest wygnańcem, przerwał rozweselony także Barbaro. Jeśli z ojczyzny się ratując zabrał z sobą sakwy — może być

niebezpiecznym, gdyż Moskale bywają bajecznie bogaci... i powszechnie każdy z nich ma wydzieloną przez rząd kopalnię złota... Ale ratując głowę od stryczka może nie uratował worka i posiada tylko osobiste przymioty... naówczas staje się plus vulne rable. Polak zaś, Galicyanin, młody... młodość to kapitał... Panowie zresztą" jako Polacy, lepiej osądźcie co może być wart i o ile strasznym jest Galicyanin.

— Galicyanin w ogóle, rzekł Iwaś cicho bywa hrabią... podróżujący wszyscy niemal należą do tego gatunku. Bywają i bogaci, ale od r. 1848 powszechniej tylko pozornie. Nie uważam go za niebezpiecznego, chybaby miłość własna była zadraśniętą...

— A! a! ale otóż i ona! i ona! krzyknął Francuz patrząc w ulicę i spostrzegłszy właśnie piękniejszą dziś jeszcze brunetkę.

— A! co widzę! dodał — sama z Moskałem... Zły znak! Galicyan więc był przypadkowy! — sami bec á bec, we dwoje... rzecz się komplikuje... Gdzie jest dwóch tam i trzech być może, ale gdzie jest jeden, tam drugiemu przyczepić się bywa trudniej.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Mocny jest w teorii sztuki! rzekł cygan kiwając głową.

Milczenie trwało chwilę.

Czarowna Lucia Colonii zbliżała się. Była w istocie stokroć piękniejszą niż wczora; miała czas wyświeżyć się, odmłodnieć, uczynić piękną... oczy jej pływały we łzach nie wypłakanych, a uśmiech błąkał się po ustach. Moskal szedł za nią czegoś smutny, może dla tego że ona była wesołą... (barwa dopełniająca jest w naturze rzeczy).

Włoszka podeszła wprost do Iwasia i podała mu malutką rączkę uwięzioną w mniejszej jeszcze rękawiczce jasnej, zapytując go z wielkiem zajęciem.

— Va bene?

— Dziękuję, odpowiedział Iwaś — ani śladu wczorajszej choroby mojej... blizna na skroni to tylko miła dla mnie pamiątka... waszej dla mnie dobroci.

— O! o!

Włoszka ruszyła ramionami.

— Pochlebca!

Moskal witał się z przesadzoną grzecznością na wsze strony, usiłując dowieść że nie był niedźwiedziem.

— Ale i wy nie wszyscy... ?

— Tak, braknie nam, rzekł Jakób, jednego który już nie przybędzie — Niemca. Trafiła mu się okazyja do Pizy na której coś oszczędził, a w dodatku jeszcze z tajnym radcą von... dla tego opuścić nas był zmuszonym. Nie jeździ się codziennie z tajnymi radcami, którym von, świeżo nadano za zasługi. To von, nowiuteńkie, jak z igły, ma całą woń tylko co rozkwitłej róży — jakże się nią nie napawać?? Ale i pani, dorzucił Jakób, zgubiłaś gdzieś jednego z towarzyszków?

— A! prawda! odezwała się Lucia. II Conte.

— Zgadłem! rzekł Iwaś z cicha...

— II Conte... zdaje mi się o południu miał wyruszyć do Spezyi.

— Wczoraj nam wszakże nie wspominał o tym zamiarze...

Moskał odwrócił się patrząc na morze, którego ztąd bardzo niewiele widać było. Włoszka uśmiechała się dziwnie, zakrywając usta wachlarzem, aby uśmiech może uwydatnić jeszcze. — Prawdziwie nie wiem... nie wiem co się z nim stało! miał wyjechać... Gotowabym go posadzić — jeśli mam prawdę powiedzieć, że się trochę uląkł swoich ziomeków, bo wczoraj bardzo jakoś boleśnie nad tym wypadkiem spotkania utyskiwał. Może mi panowie powiecie, dodała... Co to jest za kraj ta Galicya? Młody człowiek ciągle powtarzał że nie jest Polakiem, że nie jest także Austryakiem, że jest Galicyaninem.

Iwaś i Jakób uśmiechnęli się do siebie ale nic nie odpowiedzieli.

— Nie osierocił nas zbyt mocno, podchwycił Iwaś — żałoby po nim nie włożymy.

— A! ja go żałuję, rzekła Lucia, możnaby łatwo zrobić z niego wcale znośnego człowieka, tylko jest jeszcze jak orzech włoski, w młodej a gorzkiej łupinie.

— Signora, przerwał Jakób — ta łupina ręce wala, niech go sobie kto inny z niej obiera.

Zaczęli się wszyscy śmiać. Moskał sumował.

— Aqua Soła! jak to ślicznie brzmi! zawołała wiodąc ich za sobą ulicą Włoszka, a jakie to małe, skromne i — prawdę powiedziawszy — nudne... Kilka drzew, odrobinka wody, dużo ciżby... pył się znajdzie a morza ledwie widać kącik. Povera Genova!

— No! a myż! zawołał Moskał, my cośmy sobie po niej tyle obiecywali?

Francuz duński korzystając z ewolucji przechadzki przysunął się natrętnie do Włoszki, było to nawet dosyć niezręcznym i wyraźnym. Ta spojrziała na niego z góry i uśmiechnęła się prawie z politowaniem. Zdradził się tym ruchem, a uśmiech, gdyby go był dostrzegł, odpowiedziałby mu wyraźnie.

— Nie miej nadziei.

Francuz go szczęściem nie zobaczył, a nawet widząc nie byłby stracił odwagi wrodzonej, choć pozornie. Włoszka widocznie mu głowę zawracała. Ona była więcej zajęta Iwasem niżeli innymi. Po chwili ucinanej rozmowy, zapytała go z cicha.

— Pan jedziesz do Polski?

— Tak jest! rzekł wzdychając Iwaś.

— Ja jestem przesadną, ! dziwnie przesadną, mówiło, dalej — wybieram się właśnie także do Polski... Uważam to za coś bardzo znaczącego że na drodze tak miłą zrobiła z Polakiem znajomość.

— Pani się wybierasz do Polski? smutnie zapytał młody człowiek... ależ Polska, pani, to dziś w ustach Europejczyka, abstrakcją. Tyle jest różnych Polsk... a nie ma jednak Polski; Polska moskiewska, Polska kongresowa... Polska pruska, Polska austriacka...

— A! tego ja nawet nie wiem do jakiej ja jadę — ale, proszę mi powiedzieć, w której leży Warszawa? spytała Włoszka.

Jest to moje jakby rodzinne, tak ukochane miasto, odpowiedział Polak, jedna z dawnych stolic Polski, ostatnia... dziś owej naszej idealnej, Polski której nie ma — stolica... miasto stołeczne kongresowej.

— Gubię się w tem, rzekła śmiejąc się Włoszka — a pan dokąd jedziesz, do Warszawy??

— Tak pani, nie wiem jednak ani jak dojadę, ani czy dojechawszy nie będę zmuszony dalszą odbywać podróż... dla zbadania życia w azyatyckich stepach...

— A! panowie wszyscy tak jesteście nieszczęśliwi...

— Nieszczęśliwi, pani, to mało! rzekł Polak... na to co się z nami dzieje nie ma wyrazu w żadnym języku... Nie mówmy o tem. Jakże się to stało, że pani jedziesz do Warszawy?

— Ja? ja? rzekła zmieszana trochę Włoszka — ale tak — z ciekawości tylko...

Spuściła oczy.

— A może, dodała po chwili — może też zaśpiewać co będę mogła w teatrze...

— O! mogę panią upewnić że najlepiej będziesz przyjęta... pułkownik Hauke jest wielce dla Włochów uprzejmy... i jak skoro się dowie...

— Pan mi pomożesz? spytała.

— Ja! ja! rozśmiał się Iwaś — a! pani, ja, jeśli tam powrócę... oko mnie ludzkie nie ujrzy... Wracam z tęsknicy, z niepokoju, ale mi się tam pokazać grozi śmiercią lub wygnaniem.

Włoszka spojrzała na niego i nagle zamilkła.

— Jużciż choć ja przecie, mogłabym tam pana zobaczyć, rzekła po chwili.

Iwaś smutnie potrząsł głową. Francuz duński który podsłuchiwał rozmowę, wymiarkował z niej tylko że Włoszka musi mieć zamiar opuścić Moskala, który jako wygnaniec i banita pod rząd moskiewski powrócić nie może. Tyle umiał jeografii politycznej że mógł to wykombinować — co dowodziło niepospolitej nauki, którą nie zawsze nawet dziennikarze obcy poszczycić się mogą.

— Więc pani porzucasz towarzysza podróży? podchwycił żywo.

— Ja? któż to panu powiedział? zawołała Włoszka mierząc go oczyma, a po chwili dodała: Tak! tak... muszę... zapewne... a mówiąc to spojrzała nań czule i z lekka westchnęła.

Gromow zaciął wargi, czoło mu się pofałdowało dziko.

— I jedziesz pani, tak sama! zawołał Francuz.

— Ale nie, nie sama! zafrasowana widocznie chmurno odpowiedziała Włoszka.

— Pan mnie męczysz temi pytaniami... Ja jeszcze nie wiem sama co pocznę, nie lubię o tem mówić! Nie wiem — stanie się tak, inaczej — któż wie? chi lo sa?

— Ale jeśli pani rozkaże ja gotów jej jestem towarzyszyć na koniec świata! wybuchnął zapalony wielbiciel.

— Jużciż chyba pan żartujesz, a ja żartów tego rodzaju nie lubię! odezwała się Lucia surowo... bądź co bądź, towarzysza znajdę...

— Co za szkoda, że tak dzika! rzekł w duchu natręt

Moskał milczał zadumany nie mieszając się wcale do rozmowy.

— Jestem bardzo ciekawa Polski i Rosyyi, poczęła przychodząc do siebie Colomi — mówią że Polacy i Rosssyanie czują i lubią sztukę, że są namiętnymi niekiedy diletantami...

— Była na to chwila — odezwał się żyd. Co się dzieje w Rosyyi, nie wiem, tam, przepraszam przytomnego, więcej się kochano podobno dotąd w artystkach niż w sztuce... W Polsce dziś wszystko pochłoneło jedno uczucie, dziś tam wre w kotle gotująca się przyszłość. Czarownice Shakespeara skwarzą ją na rozdrożu czy aniołowie w niebiosach, — Bóg tylko wie, ale jak szeroka Polska... no... i moskiewskie Państwo — od Warty do morza Lodowatego, do Kaspji i Amuru, drga ziemia, biją. serca, gotują się walki, bój — coś straszego i wielkiego co wstrząśnie światem do głębi. — Jakież śpiew może tam dostać się do ucha w które bije działo wieków gromami przyszłości?

— No! to mieć będę może tę pociechę, zawołała Włoszka, że zanucę pieśń zwycięstwa.

— Albo hymn śmierci! dodał Jakób ponuro.

— Lub piosenkę intermezzo, która da wytchnąć i zapomnieć tragedyi życia... Przyznam się wam, rzekła. Colomi, że mi ta Europa ostygła, zdrętwiała, martwa, wyżyta, zużyta, zeschła jak bukiet który ze śmieciska podnosi gałganiarka, znudziła się, sprzykrzyła... obrzydła... Tu już nie ma iskry życia... — Nigdybym się był po pani tego komunatu nie spodziewał, odparł Francuz. Europa póki była młodą szalała, przyszedł dla niej wiek dojrzałości, to prawda, elle est un peu mure, ale jeszcze wcale miła. Co pani chcesz? dziś dzieci się inaczej rodzą, od razu stare, ale rozumne. Młodzieniec lat dziewiętnastu pogląda na świat z pogardą pijaka który puhar wychylił do dna. Życia nie ma później, nie przeczę — ale za to: za to nam wszystko wolno! Nie ma baryer na gościńcu życia — szosowego nie płacimy, ruszaj gdzie oczy poniosą. Jużciż i to coś warto! Dawniej tysiące przepisów, praw, przesądów trzymały na wodzy, chodziliśmy jak dzieci na paskach, dziś nikt się nie dziwuje niczemu i nikt nic nie broni — byle zręcznie!!

— I nic też nie ma ceny, nic nie smakuje! dodała Włoszka.

— Pani, przerwał muzyk z zapalem — nim dalsza rozmowa pójdzie tym torem, zaklinam was, raczcie mnie wysłuchać!! — Najchętniej, odpowiedziała zdumiona Lucia, ale o cóż idzie?

— Pani! o życie moje! dodał Włoch... Moskał odwrócił się ku niemu, groźnie razem i szydersko.

— Mogę zabrać głos! rzekł muzyk.

— Prosimy...

— Siadajcież państwo na ławkach... poczynam! Skłonił się i odchrząknął.

— Chociażby się państwu zdawać mogło że od rzeczy prawię, dorzucił, błagam wysłuchajcie mnie cierpliwie do końca...

— Tak, respice finem, szepnął szydersko Francuz.

— Ja i mój towarzysz, mówił Włoch, jesteście dwojgiem dzieci tych części Italii które się jeszcze z matką połączyć nie mogły; płaczemy nad losami naszymi, kajdany namulały nam ręce... Wydostaliśmy się z ziemi niewoli, z pod piombi więzienia aby tu odetchnąć i nabrać życia. Kędy stopą dotkniemy, gdzie się kolwiek usta ku nam otworzą, ściga nas i prześladowa polityka, ekonomia niepolityczna lub filozofia społeczna. Zlitujcie się nad nami... mówcie o czym chcecie, byle o czym innym.

— Kochany rozpieszczony Włochu, odezwał się Duńczyk — Francuz — to darmo... wiek nasz je swoją strawę na tym sosie, nie unikniecie go.

— Nie możnażby mówić o muzyce?

— Muzyka stała się muzyką przyszłości a Wagner jej prorok jest, jak wiecie, zajadłym politykiem ...

— O sztuce! — Sztuka stała się wychowanicą filozofii i historii, trzyma się ich nieodstępnie...

— No, to o życiu, o fraszkach... o mieście, o pogodzie, o czym chcecie... ale ja bym chciał poczuć żem młody i artysta.

— Młodych nie ma, odparł żyd z uśmiechem, a artystów pozabijali blagerowie.

— Cóż więc pozostanie spragnionym życia?... zawołał Włoch.

— Jedno tylko, rzekł Francuz z powagą wielką — upić się.

— A! a potem? spytał Włoch.

— To już zależy od temperamentu, zasnąć lub...

Gdy tak gwarzyli, z okna sąsiedniego domu dała się słyszeć muzyka. Wieczorne powietrze niosło ją na falach swych pieszczoną, miękką, rozmarzoną i tęskną... wszyscy ucichli i nastawili ucha.

Nie była to muzyka włoska... ktoś towarzysząc sobie na fortepianie śpiewał; cichy głos młody, sympatyczny nucił z wielką metodą i wprawą wielką jakąś tęsknicę, genialnie wyrażoną przez wielkiego mistrza.

Włoch poznał w niej śpiewkę uroczą Mendelssohna... zdjął kapelusz, rozpromieniło mu się oblicze, zadumał się, postąpił kilka kroków i ręką dał znak aby milczano...

Melodya coraz wydatniejsza płynęła smutnie, poważna, tęsknicą przejęta, oryginalnie ale wspaniale przyobleczona w kunsztowne szaty.

Po łatwych piosenkach włoskich ledwie obrzuconych od niechcienia jakim takim łachmanem harmonii, wyglądała pieśń ta jak wielka pani. Włoch który niewiele słyszał muzyki niemieckiej, zwłaszcza śpiewu, czuł się niemi jak jakimś objawieniem przejęty. Tajemniczość tego śpiewu ulatującego oknem z jakichś ust nieznanych, urok głosu niewieściego, młodego, tęsknota melodyi, nadawały jej wdzięk nieopisany.

Z za żaluzji domu blizkiego Akademii Medycznej, wydobywał się ten śpiew, widocznie nucony dla siebie: ale powietrze chwyciło go niedyskretne i do uszów przechodzących zaniósł.

— Jest to ładne, rzekł Francuz, ale coś w rodzaju muzyki przyszłości!

— Ale milczże pan, przerywała mu Lucia rozgniewana, to cudowne!

W tej chwili śpiew konający powoli. cichł, rozpląwał się, — umarł...

Kilka dźwięków fortepianu rozległy się pogrzebowym pożegnaniem. Wszyscy stali skupieni naprzeciwko domu z którego się dał słyszeć, a wielkie zajęcie pieśnią nie dało im dostrzedz że Jakób w pierwszej chwili gdy ona ich doleciała, pobladł rozpoznawszy głos... stał potem jak wryty rękę trzymając na piersiach... zmieszany i przestraszony prawie.

Twarz jego zmieniła się do niepoznania jakąś boleścią tajemną, pierwszy Iwaś dostrzegł tej zmiany i przybliżył się do żyda.

— Co ci to jest? zapytał — widzę że nadto jesteś poruszony, ażeby sama muzyka miała być tego przyczyną... Żyd spojrzał nań z roztargnieniem, nic nie odpowiedział i podziękował tylko za troskliwość przymuszonym uśmiechem.

— A! czekajmy chwilę! może jeszcze co zaśpiewa... zawołała Włoszka.

— Zawołajmy — brava i bis! rzekł śmiejąc się Duńczyk.

Jakób się oburzył, inni także; stali w milczeniu, ale czekając napróżno, patrząc daremnie na drzwi domu z którego piękny ten głos się dał słyszeć.

Po długiej chwili otwarto się one i młoda kobieta bardzo skromnie ale smakownie ubrana, wyszła z nich z mężczyzną również młodym, dosyć przystojnym, w którego rysach pochodzenie wschodnie było widocznem.

Oboje ścigani wzrokiem ciekawych przeszli zwolna na Aqua Soła. Mężczyzna mógł mieć lat trzydzieści kilka, kobieta może dwadzieścia, wyglądała młodo ale słabowito. — Brunetka, blada z czarnych oczów dwójgiem pełnemi wyrazu, rysy miała poważnie piękne lecz dziwnie smutne jak anioła śmierci: tęsknica, znużenie jakieś oblewały twarz pokojem fałszywym, który był jakby snem i zdrętwieniem boleści. Nic oprócz głębokiego smutku nie widać było w tem obliczu młodzieuchnem a już uwiedłem.

— Ubior jej skromny, niepokąźny, ciemny, odpowiadał dobrze charakterowi surowemu twarzy i postaci, nie był jednak pozbawionym smaku i uczucia piękna.

Towarzysz tej pani mimo pozoru gentlemana nadto jakoś wydawał się dumny, zbyt widocznie chciał odegrywać rolę wielkiego pana, ażeby nim być mógł w istocie. — Na czole jego wypisany był rozum chłodny i ambicya niezmierną... dalej po za tem trudno było wynaleść w tej twarzy odbicia uczuć ludzkich, ale za to namiętności wypaliły się wyraźnie w oczach jego czarnych, na ustach ruchomych i rozkwitłych, a w ścięgnach oblicza widać było ślady gry ich gwałtownej.

Rozum zimny z namiętnością, zwierzęcą godziły się tu dziwnie, na starcie tego co zwiemy uczuciem, co inni wyrażają — sercem.

Pomimo bardzo ogładzonej powierzchowności, człowiek ten chłodny, przywoity, na pozór delikatny, przejmował jakimś strachem, czuć było że w nim nie mogła mieszkać litość, że szyderstwo towarzyszyć musiało temu egoizmowi, który zbudował sobie cały spójny system na obronę, cały program życia, od którego nie mógł nigdy odstąpić. Na straży stał temperament i wykształcenie ułomne. Wszystko to tak było widocznem, że ubogi nie byłby go,

rzuciwszy nań okiem, ani próbował poprosić o jałmużnę, spotkawszy się z nim sam na sam; — przy mnogich świadkach — może.

Pomimo nader grzecznego obejścia z kobietą, która widocznie zdawała się być jego żoną, czuć było w ich stosunku niedolę i niewolę; ciągnąć się ją zdawał za sobą jak ofiarę. Ona szła jakby nie wiedząc co czyni, nie patrząc nawet przed siebie, on poziewał roztargniony.

Jedno spojrzenie na tę kobietę natchnęło wszystkich domysłem, że ona to być musiała ową tajemniczą śpiewaczką.

Jakób stał ciągle jak wryty, jakby nieprzytomny; zdawał się nie rozumieć że był na drodze właśnie, którą z ulicy ci państwo przechodzić musieli, aby wejść na Aqua Soła, ku której dążyli widocznie. Oczy jego wlepione były w kobietę, która go dotąd niepostrzegła, bo wzrok miała w ziemię wlepiony. Roztargniony jej towarzysz nie widział także Jakóba, i zobaczył go dopiero o krok stanąwszy od niego. Nagle postrzegłszy go namarszczył mimowoli brew, zacięły mu się usta, ale ten przelotny wyraz znikł natychmiast pod konwencyonalnym uśmiechem powitania; kobieta instynktowo podniosła głowę, zobaczyła go także, cofnęła się i jakby przerażona krzyknęła.

Głos ten dopiero ocucił Jakóba który pospiesznie, zająwszy kapelusz, przywitał idących stając z boku drogi.

— Cóż za najdziwniejsze w świecie spotkanie! rozśmiał się sucho podając rękę Jakóbowi nieznamy, niezbyt serdecznie może ale z grzecznością wielką. I spiesznie dodał:

— Jakże? zkądże? dokąd? i co ty tu robisz? Kobieta uspokojona podniosła oczy, wpatrzyła

się długo, uśmiechnęła smętnie i dodała:

— To prawda że dziwne spotkanie. Głos jej był nieco drżący. — Najdziwniejsze, najniespodziewańsze a najszcześniejsze dla mnie, zawołał Jakób ze wzruszeniem, wracam po dość długiej pielgrzymce do kraju. Chciałem przebieść i poznać tę część Włoch sławną ze swej piękności, szczególnie drogę nadmorską. Wypadek wstrzymał mnie nieco w Genui...

Dziś, przed chwilą w towarzystwie innych podróżnych podziwiających cudowny głos pani, stanąłem jak wryty pod jej oknami, poznawszy go. Bo nie ma dwóch takich głosów na świecie.

Mężczyzna jeżeli nie kwaśno to dosyć obojętnie zdawał się przyjmować grzeczności Jakóba, pani nie odpowiedziała nic, spuściła oczy zarumieniona nieco.

— Ale cóż państwo robicie w Genui? spytał Jakób.

— A! my, my się sobie włóczemy, odpowiedział mężczyzna. Doktor Lebrun kazał Matyldzie odetchnąć cieplejszem powietrzem, znajdował kaszelek jej jakimś niedobrym... Więc wybraliśmy się tu, na to piękne wybrzeże włoskie... i dychamy całą piersią... atmosfera dziwnie posilająca...

— A jakże pani znajdujesz Włochy? spytał Jakób.

— Jest to dla mnie jakby sen o tym Wschodzie którego nie widziała, odpowiedziała z wolna Matyllda, a do którego jak do ojczyzny wzdycha dusza moja— Włochy są cudowne...

Gdy tak rozmawiali stojąc, Jakób postrzegł że ich może nadto na wystrzały oczów całego towarzystwa rozciekawionych narażał i sam nie wiedział czy iść dalej z nimi, czy pożegnać, gdy greczny mąż pięknej niewiasty pociągnął go z sobą.

— Ale przejdźże się choć chwilę z nami, rzekł uprzejmie.

— Służę państwu, odparł Jakob, tylko moje towarzystwo pożegnam.

To mówiąc, szepnął Iwasowi, który go z oka nie spuszczał aby wytłumaczył towarzystwu że się oddalić musi, prosząc razem aby nań poczekał, i poszedł z tajemniczą, parą ową, powszechną obudzając ciekawość.

— Ah! zawołała Włoszka dowiadując się od Iwasia że mu oczekiwać kazano... ja tu także choćby do późnej nocy poczekam, aby się dowiedzieć co są ci państwo, kto jest ta piękna śpiewaczka i czybym jeszcze kiedy głosu jej usłyszeć niemogła... albo nie, przerwała nagle spojrzawszy na towarzysza. — Gdzie panowie stoicie? spytała Iwasia.

— My, w hotelu Federa.

— Wybornie, jesteście o dwa kroki odemnie, od hotelu francuzkiego, czekaj pan na swojego towarzysza i przyprowadź mi go koniecznie na herbatę. Ja bodaj do północy wyglądać was będę... choćby i do rana, jestem ciekawa, mam do tego prawo... jako kobieta...

To mówiąc obróciła się do Francuza i Włochów

— Signori! nie odmówicie mi także? Wszyscy się grzecznie skłonili.

Na tem rozmowa i przechadzka się skończyła. Lucia ujęła podaną rękę Moskala i poszła z nim rozmawiając żywo. Iwaś został z Włochami, Francuz i Gako udali się każdy w inną ulicę. Cygan nieopodal zaraz upadł na ławę i ziewnął.

— Przysięgnę, że to spotkanie, ten pau i ci państwo, to cała historia, to romans pełen tajemnic, mówiła Lucia do ruszającego ramionami towarzysza.... Czy widziałeś jak on na nią patrzył, czyś słyszał jak ona krzyknęła?... To mąż a to jest kochanek... przysięgnę... czytałam w ich oczach. Ah! jakże jestem ciekawa dowiedzieć się coś o tém, ale czy przyjdzie? czy nam co zechce powiedzieć?... Byłem go zobaczyła, wyciągnę to z niego! Moskał się uśmiechał.

— Cóż nam z tego? spytał.

— Przecież to ciekawsze od książek których ty tyle połykasz, odparła Włoszka, ja życie nad bajkę przekładam...

Na a pustej ławce ogródka Aqua Soła siedział biedny Iwaś ze spuszczoną głową; widok tych mężczyzn i kobiet, ludzi co mieli czas i swobodę zajęcia serca kochaniem — głów czem inném nad nieszczęście, własne i ogólne; trzpiotania się jak ptaszęta swobodnie — dziwne na nim robił wrażenie. On należał do tych wydziedziczonych dla których wszystkie żywsze rokosze życia były zaparte. Głód, nędza, męczeństwo politycznych namiętności paliły go — myślał o kraju, o przyszłości, szukał w niebiosach ratunku niemożliwego na

swoje i ogólne bole. Cóż go obchodzić mogły szczebioczące słodko kobiety, ich spotkania, znajomości, słodkie wejrzenia i szeptane obietnice — jego co nie miał na jutro chleba ani na jutro nadziei, jego którego niewymowna pędziła tęsknica... na męczarnie, jego co życie stawiał aby tej ziemi powietrzem odetchnąć, dla której gotów był poświęcić wszystko.

Dręczył się myślami, ściemniało, chłód od morza zawiewał, gdy cień białej sukni znikł z ulicy i ktoś z lekka uderzył go po ramieniu — Jakób stał przed nim.

— Chodźmy do domu, rzekł, chodźmy.

— Służę ci, odparł Iwaś, ale nie do domu, oba jesteśmy natarczywie zaproszeni, czeka na nas grzeczna Włoszka nasza Colomi w hotelu francuzkim z herbatą.

— A cóż znowu! zawołał Jakób — ja potrzebuję samotności. Czy przyrzekłeś?

— Jak prawie... bo ja — wcale samotności nie potrzebuję, odparł Iwaś — ani nawet sądzę byś ty jej, szanowny mój dwudniowy przyjacielu, tak bardzo miał pożądać. Mało się znamy, ale są rzeczy które się czyta w sercu człowieka jak gdyby człowiek był szklanny... chodźmy razem. Włoszka jest niepohamowanie ciekawą, jeśli ty do niej pójść nie zechcesz, ona do nas przybiedz gotowa. Tobi było gorzej, nie ma sposobu, idziemy.

Jakób zmarszczył się nieco, ale prędko rozchmurzył.

— Prawda, rzekł, na stare rany ciepłe nakazują powietrze, idźmy się trochę rozgrzać rozmową, zadurzyć, ogłuszyć, śmiać, szaleć.

— Aha! stare rany! podchwycił Iwaś — więc ta pani... — A! dajcież mi pokój z tą, panią, ! ofuknął się Jakób. Czyż nie rozumiecie że są ludzie, są twarze, imiona które cały szereg postaci z przeszłości wloką, za sobą, łańcuchem. Powinieneś być raczej powiedzieć, ten pan niż ta pani, ta pani to tylko nieszczęśliwa istota, która powoli kona w objęciach szczęścia.

Ale chodźmy, dodał popędliwie, chodźmy, chodźmy, będę wesołym na złość.

— Komu? zapytał Iwaś.

— Wspomnieniom żałobnym...

Zamilkli. Szparko puścił się Jakób przez ciemniejące uliczki ku wybrzeżu. Na placu przed dwoma hotelami, na którym zwykle dla bliskości giełdy, bywa tak gwarno i ludno co rana, tym razem pusto było i smutno. Nie zachodząc do Federa weszli na pierwsze piętro francuzkiego hotelu.

Colomi zajmowała salonik bardzo ładny i świeży, w którym znajdowało się prawie całe towarzystwo. Moskał na balkonie sparty palił cygaretkę zamyślony; Lucia sama gospodarzyła i przyjmowała u siebie.

Widać że ci goście improwizowani nie bardzo towarzyszowi jej przypadli do smaku, bo milczał jakoś posepny, nie mieszając się prawie do rozmowy.

Cygan usadowiwszy się jak najwygodniej na kanapie wodził oczyma po salonie jakby go nic w świecie nie zajmowało, Francuz był nadskakujący, dwaj Włosi pełni życia, muzyk szczerze wesoły i ochoczy!

Na widok otwierających się drzwi, wchodzącego Jakóba, Lucia sama pierwsza poskoczyła ku niemu, oczy jej płonęły.

— A! grazie tante! granie tamte, zawołała — jakżeście grzeczni żeście przyjść raczyli — to ofiara! pojmuje.

— A! coż znowu! wesoło, bo chciał być gwałtem wesół, odezwał się Jakób, coż za ofiara przyjść spędzić część wieczora w tak przyjemném towarzystwie... i patrzeć na panią! — A! pochlebca niegodny! rozśmiała się Włoszka uderzając go po rękach — cichoż mi z komplementami... bo to nieprawda! Siadaj pan zaraz i mów z kim się spotkałeś? kto jest ta piękna pani co śpiewa tak tęskno że słuchając jój chce się zapłakać? Dla czego ona ujrzawszy pana krzyknęła? czemu pan zobaczywszy ją pobladłeś?

Jakób miał wiele mocy nad sobą" lub może wszyscy posądzający go mylili się — zaczął się bowiem śmiać szczerze, tak szczerze i serdecznie że nawet kobietę oszukał, a przynajmniej zachwiał cokolwiek jej wiarę w romans jakiś i tajemniczą historią, o której udział go posądzała.

— O! pani masz prawdziwie włoską wyobraźnią, zawołał, widzę żeś dośpiewała pieśni smutnej w sobie, i żeś mnie wplotła w wieniec cierniowy który ta istota nosi, ale, niestety! kosztuje mnie wiele, niemniej, miłując prawdę muszę się wyrzec tego bohaterstwa... i zejść na prostego widza w tłumie a urok jaki mi nadaje ta zagadka rozpędzić. Tę panią ja znam zaledwie tyle — ile współziomkowie znają, a co więcej współwyznawcy... Ona i mąż jej, jak ja są z Warszawy i jak ja są żydzi; naturalnie więc znamy się dobrze i znamy od dawna. Otóż cała zimna prozaiczna prawda.

Włoszka tupiała nóżką niecierpliwie.

— Ta prawda nie może być prawdą, rzekła, ja patrzałam na pana w chwili gdy ją ujrzałeś.

Jakób powtórnie na usta uśmiech przywołał.

— W istocie, rzekł, musiałem mieć postawę tragiczną i fizyognomią zdziwioną... bo mi jest znaną dobrze smutna historia tej kobiety.

— A! więc jest historia... i smutna! widzisz pan! jest historia tej kobiety... podchwyciła Lucia.

— Temu nie przeczę, rzekł żyd — tylko niestety! ja w niej żadnej nie grałem roli.

Włoszka spojrzała mu w oczy ale wytrzymał to badające wejrzenie i nie wydał się z żadném uczuciem.

— Zaklinam pana, odezwała się Lucia chwytając go za obie ręce i wdzięcząc się do niego — pan mi powiesz tę historią, nieprawdaż?... Ja jestem kobieta... ciekawa... ja proszę, ja umieram z pragnienia.

— Uprzedzam panią że to jest zresztą historia bardzo pospolita, przerwał Jakób, ale jest w niej pewien odcień żydowski, nasz... mniej dla was zrozumiały... Więc, rzecz oklepana, barwa dziwna a co do mnie, jestem najgorszym opowiadaczem powieści; mam to w naturze iż mówię długo i nudnie.

— Tem lepiej, gotowiśmy słuchać do rana, ale nie męcz nas pan i zaczynaj zaraz.

— A! pozwól mi pani odetchnąć, rzekł Jakób rękę po czole przesuwając, i siadł milczący.

— Jeśli historia w istocie długą jest, jak się to pan zdajesz zapowiadać, a w niej gra rolę sentymentalna kobieta... uchowaj Boże, jeszcze suchotnica, przy tem mąż głupi i wielkiej szlachetności kochanek, to bądź co bądź ja jej słuchać nie będę, przerwał Francuz je sors d'en prendre, całą, odgadnę od razu.

— Ja także, dodał cygan, bo to wiecznie taż. sama historia, która się nieustannie powtarza... Ale któż się dziś jeszcze kocha!!

Włoszka zakrzyknęła przeciwko temu okrutnemu bluźnierstwu, ale cygan nie zważając na to, mówił dalej spokojnie.

— Powinniście to państwo byli zauważać że czasy miłości rycerskiej przechodzą, jeśli już nie przeszły... tylko gołębie są tak naiwne że zdychają z tęsknoty po sobie. Czytałem to że średnie wieki chevalerya wydała tę miłość absolutną, na którą potem ludzkość chorowała kilka set lat; dziś jak we wszystkim tak i w tem, ludzie wracają do dawnego porządku. Za sto lat dziwić się będą że się kiedyś kochać mogli... a po trosze i śmiać z tego.

Mówię tu tylko o tej miłości przesadzonej Koloandrow, bo ta miłość jaką miała Calypso dla przystojnego wojaka, lub Neron dla pięknej Poppei — ta wiecznie trwać będzie; ta jest w porządku rzeczy ludzkich; tylko miłość wzdychająca, tęskniąca, usychająca za idealną istotą już dziś wychodzi z obyczaju. Proszę mi pokazać kto się dziś wiekuiście kocha, a nawet kto dla miłości, choćby parę tysięcy franków dochodu poświęca?

Panny idą za mąż gdy ojcowie i matki im zaręczą że mąż dostatni, a przytem przyzwoity i niewstrętliwy, mężczyźni się żenią dla majątku i mienia, czasem dla młodości i wdzięków, ale nie dla tego kaprysu co się nazywał miłością.

— To coś okropnego! krzyknęła Włoszka, pan śmiesz utrzymywać.... — Faktami się świadczę, patrzajcie na świat, miłości tam nie zobaczycie... są upodobania, fantazyje, zachcianki, namiętności, znudzenia, próby roztargnień, imaginacye... ale miłości nie znaleźć, gdzież ona?

Włoszka westchnęła. — Jestże to postępek czy upadek? spytała.

— Ja nie wiem, rzekł cygan, dla was piękne panie smutno jest zejść z tego piedestału, który wybrane boginie wznosił nad pierwszą lepszą kobietę młodą, świeżą i uśmiechniętą... ale cóż począć przeciwko tym głupim faktom które są niezbite i uparte jak fakty?

— Ale czyż jednak jest to faktem? spytała Włoszka.

— Niestety! odparł cygan, nie narzucam wam przekonania mojego, ale proszę tylko, patrzajcie... Dawniej mówiono o miłości dwóch dusz stworzonych dla siebie, dziś się lubi ciał dwoje.

— Tak, to prawda po części, przerwał smutnie Jakób, ale świat odartym jest z tego uroku równie jak z wielu innych... niewiasta zesła na kobietę jak życie zeszło na prozę. Tem gorzej gdy zabraknie ideałów, gdy źródło co żywiło poświęcenia wyschnie do dna. Zgadza się na to co mówi pan Gako, ale do faktu jego dodam jeden komentarz, ludzie się nie kochają, to prawda, ale za to

życie im tak stęskniało, że liczba rozpustnych samobójstw z nudy i znużenia powiększa się codziennie. Życ nie mamy o czym.

Włoszka klasnęła w dłonie i podała sorbet Jakóbowi, jakby nim chciała przypomnieć mu opowiadanie i zwilżyć doń usta. Cygan poziewał znowu, Moskal świeżą cygaretkę zapalał, Francuz wylsiznął się cichaczem... wszyscy posiadali, a żyd nareście powoli mówić zaczął.

— Mało jest instytucji i praw fałszywiej w ogóle osądzonych i gorzej przez świat zrozumianych nad stare Mojżeszowe prawo. Wolno mi go bronić, bo ono jest zakonem mojego narodu i jednym z najstarszych praw całej ludzkości; na jego tradycjach opiera się i wasze chrześcijańskie prawo. Nie zapominajmy że Chrystus powiedział, iż nie przyszedł go obalać ale dopełnić.

— Powszechnie mniemają, że w prawie tem kobieta została upośledzoną że u Hebreów była niewolnicą,. Tak nie było wcale. Obyczaj narodu wiele odchodził od prawa, przesiąkał często barbarzyństwem wieków, nabierał form pogańskich ale samo prawo nie poniżało kobiety. W języku biblii niewiasta zowie się mężyną, (Isz-Iszah) jest równą mężowi, jest przeznaczoną, na towarzyszkę jego, na połowicę, na istotę swobodną. Nawet niewolnice wojenne szanować każe Mojżeszowe prawo (Deuteronom. XXI. 10. 15). Wielonożstwo jest zakazanem wyraźnie, a skutki jego szkodliwe, demoralizujące wykazuje biblia cała. Wyjawszy kapłaństwo (choć kobietom także wolno było przynosić ofiary) niewiasta u Hebreów we wszystkim stała na równi z mężczyzną. Żadne prawodawstwo nawet późniejsze (cóż dopiero z wieków współczesnych lub blizkich Mojżeszowemu) nie podnosi kobiety do wysokości hebrejskiej niewiasty.

Matki Machabeuszów i Judythy... stawiają przykład czem one były.

Tak jest aż do epoki królów u Hebreów, później znika powoli niewiasta, ale też i naród upada; obyczaj pogański wciska się w rodzinę żydowską. — Wszakże i później jeszcze nawet tak szanowano wole kobiety, że ojciec jej własny, który do lat dwunastu mógł rozporządzać dziecięciem i przyobieczać je zamaż dopóki była małoletnią (Ketannah) nie mógł ją zmuszać do małżeństwa przeciw jej woli, gdy doszła do lat (Nairah).

Kobieta u nas była szanowaną, ale ciężkie czasy prześladowania i ją dotknęły... zamknęły w domu, odosobniły, skazały na pracę, naraziły na upadki. Naród też nasz cały, choć wyniósł z tych płomieni dogorywającej Troi swego Boga, nie zachował w całej czystości prawa i obyczaju dawnego. Nawet zbyt przywiązanie się do tradycji i martwej ich litery, odebrało im ducha. Społeczność nasza doszła tak do ostatnich czasów.

Równy z ustajacem prześladowaniem żydów, bezstronni ludzie dojrzeć mogą jego skutek; czego nie mogło dokazać najsrozsze tępienie i nękanie, tego dopięła obojętność. Żydowska społeczność tak spójna w nieszczęściu rozprzegła się, złała ze światem otaczającym, zmieniła. Nie mogliśmy całkiem przestać być sobą" zetrzeć z czoła to co palcem Bóg na niem napisał, coś w sercu i duszy

pozostało w nas odrębnego — ale z tęsknotą do utraconej ojczyzny ustającą, wystygłą, większość zobojętniała dla wiary, podań, obyczajów i obrzędów.

Przebaczcie mi państwo ten wstęp poważny do sielankowej historyjki; znajdzie on swe zastosowanie w następnej powieści o kobiecie i mężczyźnie.

— Ja sądzę że przynajmniej dwóch mężczyzn w tej historii znaleźćby się powinno? zawołała Włoszka z uśmiechem.

— Jednego dosyć będzie na wytłumaczenie wszystkiego, odparł Jakób, choć w istocie dwóch a nawet trzech mieścić się może w mojem opowiadaniu.

— A! bez tego nie byłoby dramatu! zawołała Włoszka.

— Pani, są i monodramy straszliwe z jednej osoby i jednego składające się serca, rzekł Izraelita.

— Widzieliście wszyscy, mówił dalej, przechodzącą, tę niewiastę której głos doszedł was z okna... jest to... najniezwyklejsza z istot na ziemi, dla tego tylko że będąc Izraelitką, zmuszoną, została być kobietą, bez żadnej wiary, bez ojczyzny i bez nadziei... żyć teraźniejszością i rzeczywistością surową... gorzkim chlebem szyderstwa i ironii.

Ojciec jej bogaty Izraelita, należał, należy raczej do tych którzy odebrawszy europejskie wychowanie zaczerpnęli z niego pełną dłoń wszelaki sceptycyzm... Prześladowani, poniżeni, rozjątrzeni na społeczność najłatwiej się nim poją. Sam o swych siłach dawszy sobie naukę, oglądę, sam dobiwszy się ogromnego majątku, uwierzyć musiał w człowieka, a resztę, wyższą, świętszą co wiąże go z ludzkością, z niebem, z Bogiem, jako mrzonkę odrzucił. Zabobonami wydały mu się wszystkie wiary, nawet jego własna; mistycyzmem chorobliwym pragnienia zaświatowe, słabościami uczucia... Dorabiając się majątku wypróbował on że robi się wiele wola żelazną gdy się nie szanuje ludzi, przyznał więc wiele woli, — szczęściu wiele, naostatek najwięcej może rozumowi. Po za tem nie było dlań już nic, prócz poematów tworzonych dla zabawy, dla ułudy lub na obalamucenie słabych.

Matka Tildy (jest to jej imię) była jeszcze prawą Izraelitką, ale ją bardzo wczesnie odumarła, później dziecię chowały obce, najemne niewiasty, szydzące z judaizmu, ale też żadnej nie mające wiary; później jeszcze dano jej czytać książki wszelakie kształcące rozum, uczące sceptycyzmu, rozbijające mgły marzeń, odzierające ze złudzeń, hartujące do życia bez mrzonek, bez ideałów... do życia, powiedziałbym zwierzęcego niemal, ujętego w pewne formy cywilizowane.

Uczono ją tak jasno że nie ma właściwie cnoty ni występku a jest tylko rozum i głupota, przyzwoitość i nieprzyzwoitość, zdrowa rachuba i nieopatrzność zgubna — że biedne dziecko wysuszone zawczasu, odarte z tych skarbów którymi żyją szczególnie uczuciowe istoty — wyszło w świat ze strachem i wstrętem do świata. Świat przedstawiał się jej jako tabliczka Pytagoresa, ludzie jak cyfry które rozumieć było potrzeba i spożytkować... Wyobrażenie jakie jej dano o społeczeństwie wcale do niego nie nęciło.

Dla niej potrzeba było tego zapachu, tej woni uczucia w kwiecie życia, która mu urok daje; najcudniejszy kwiat ten był dla niej martwym i zeschłym.

Nie dopuszczono się jej ludzi — powiedziano zawczasu: Ludzie są źli, zimni, obłudni, trzeba się strzedz ich złości, na kłamane uczucia nie rachować, słowom nie wierzyć, starać się nie kochać, aby nie być oszukaną. Zresztą dodano jako korolariusm moralne. — Trzeba być pocziwą bo to daje spokój, a uczciwość jest najlepszą, rachubą, — występki niebezpieczeństwem; szkarady występku, wdzięku cnoty nikt jej nie ukazał — wedle tej teorii występki był prostą niezręcznością w sobie obojętną, cnota też nie miała blasku, ale procentowała na świecie... Hypotheka na niej była bezpieczna choć wielkich zysków nie obiecująca.

Ponieważ nie wiedziano jeszcze czy Tilda pójdzie za Izraelitę, za protestanta, czy za Turka lub za katolika, w rzeczach wiary i tradycyi, nie przywiązując do nich wagi zbyt znacznej, dano jej wolność oświecania się i pokierowania jak chciała... Czytała więc biblię, ale z tej biblii ojciec jej codziennie się naśmiewał, a krytyka obalała ją i rzucała na śmiecie, czytała książki mistyczne i sceptycyzmu pełne, bez wyboru; z tego wszystkiego co się wzajem unieważniało, w młodym umyśle pozostało tylko niezmiennie zwątpienie. Dodajmy do tego to wychowanie praktyczne, które usiłowało zawczasu wyrwać jej serce, jak się wyrwa zęb spróchniały aby później nie bolał, a będziemy mieli zarys tego co z nieszczęśliwego uczyniono dziecięcą.

Tilda wyszła w świat ślicznym posągim, bez ochoty do życia, ze strachem i niepokojem...

Wiedziała od razu że nie będzie szczęśliwą, bo w takim świecie jaki dla niej stworzono nie ma szczęścia dla istot szlachetniejszych; to co w duszy czuła jako niezbędną potrzebę, nieusprawiedliwiało się prawami nadanymi dla żywota. Pragnęła czystego uczucia, wskazano jej rachubę jako jedną normę wszystkiego, a to uczucie jako fałsz, jako grzeszną słabość, jako głupkowatą chorobę ludzi przeznaczonych na zgubę i pogardę.

Mimo że wielu rzeczy nie wiedziała, bo je przed nią ukrywano starannie, domyślała się ich, trącała codziennie o szorstką rzeczywistość stosunków dla niej niepojętych. Ojciec jej owdowiały żył wedle swój fantazyi, żadnemu nie ulegając prawu moralnemu, dogadzając zachceniom zwykłym w ludziach którym uczuć braknie a w zasady nie wierzą: wszystkiego pragnąc, chcąc się wszystkim nasycić — co tylko dla nich jest dostępnem. Pomimo ściśle przestrzeganej przyzwoitości w domu, Tilda nie mogła nie widzieć ojca stosunków i nie przekonać się, że w nich serce najmniejszego nie miało udziału. Tysiąc razy jej młody instynkt szlachetny rozbijał się krwawo o ten materyalizm ojcowski, który dla świata przybierał się wspaniale, a w domu był bardzo powszednią i nielitościwą prozą przesiąkniętą. Inna kobieta pod wpływem tych zgubnych przykładów, w tej atmosferze uperfumowanej a chłodnej byłaby się zepsuła — ona zrozpaczyła tylko.

Nauka i sztuka stały się dla niej schronieniem wśród którego szukała ulgi i pociechy. Sztuka mówiła jej przynajmniej o tym świecie zaświatowym, któremu gdzieindziej przeczo, z którego szydzono, o uczuciu zaparłem, o tem wszystkim czego pragnęła, a czego ją pozbawiano.

Nie ma może straszniejszej męczarni nad taki żywot istoty szlachetniej uorganizowanej wpośród zwierzęcego społeczeństwa szyderców i sceptyków; kaleczącej się nieustannie o wszystko co ją dotyka.

Tilda w czternastym roku życia już była tak smutną, tak znudzoną tym bytem bez przyszłości i nadziei, jak jest dzisiaj. Przed nią wprawdzie była niezawodna, jasna, świetna pewność zamężcia które jej życie wygodne, miłe, wesołe zapewnić musiało... nic więcej. Ojciec przy swoim bogactwie, stosunkach i próżności, pewien był wyszukania dla niej męża młodego, dobrze wychowanego, bogatego. Że na inne warunki zważać nie miał, to było z góry przewidzianem, że nie ścierpiałby od córki którą kochał po swojemu, większego nad swój rozum lub własnej jakiejś woli, to także nie ulegało wątpliwości.

Właśnie gdy wpośród tych zatrutych wyziewów dorastała, jak najstaranniej wychowywana pod innemi względami córka możnego Izraelity, w domu ich zjawił się...

— A! przecież, przerwała niecierpliwie Włoszka, oczekuję go od dawna... zjawił się — młody człowiek??

— Tak jest, ciągnął dalej Jakób, z niejakim wstrętem przystępując do tej części opowiadania... tak jest, młody Izraelita. Pozwólcie mi państwo niezbyt ściśle określać charakter jego i ominąć ten wizerunek bohatera powieści mojej. Bohaterowie, nawet tak prawdziwych opowiadań jak moje, są w ogóle wszyscy do siebie podobni. Mają, jak wiecie, powierzchowność ujmującą, wszystkie cnoty, instynkta jak najszlachetniejsze, serce czułe, głowę trochę rozmarzoną i tam dalej, i tam dalej.

Mój mało co się naówczas różnił od pospolitych bohaterów, ale miał w dodatku pewne cechy właściwe sobie. Naprzód był to chłopak ubogi, a więc wychowany nie do salonu, ale przechodził szkołę nędzy, upokorzenia, cierpienia i nie dał się złamać; był silen w sobie, energiczny choć wcale niepokąźny; dosyć skromny, cichy, w sobie zamknięty jak wszyscy co zawczasu cierpiąc doznali że popis z boleści wywołuje tylko szyderstwa, które ją podwajają.

Bogaty ów Izraelita, ojciec Tildy, był dalekim jego krewnym; wziął go na dokończenie wychowania, a dopatrzywszy w nim zdolności, zamierzał pokierować w świecie przez resztkę jakiegoś szlachetnego uczucia braterskiego obowiązku, która w nim stanowiła może ostatnią i jedyną cechę startego już żydostwa. Chciał go przytem użyć dla siebie jak spożytkowywał wszystkie zdolności na korzyść swoją; chciał może pochłubić się też iż dał światu człowieka, po którym się wiele było można spodziewać. Nadzieje te nie były całkiem usprawiedliwione, bo młode i wczesne talenta, nie zawsze w przyszłości obiecują owoce.

Jakiś czas człowiek ów młody miał przebyć w domu lub przy domu swojego opiekuna; kończył on nauki a zarazem nabywał praktyki handlu, do którego był przeznaczonym. Protektor miał go później jeszcze wysłać za granicę aby się wykształcił i służył mu za narzędzie w jego spekulacjach i obrotach jak księga podręczna, manual naukowy handlowo - ekonomiczny.

Tymczasem zbliżyć go do siebie pragnąc i zawczasu wprawić do przyszłej posługi; opiekun kazał mu bywać w swym domu nieomal codziennie, dał mu nawet mieszkanie w oficynach obszernych zabudowań, które były przepysznie, po pańsku urządzone dla niego i rodziny.

Nazwijmy młodego człowieka pierwszym lepszym imieniem.

— Więc choćby Jakóbem, cicho szepnął uśmiechając się Iwaś, którego odezwanie się ściągnęło nań wejrzenie Izraelity zdziwione i niespokojne.

— Ale nie, nie... rzekł żywo, imie mu było Jonasz, co z łatwością na sposób krajowy da się przerobić na Janusza... Więc Janusz.

— Ale nie przerywajcie mu państwo, odezwała się Włoszka, a więc Janusz.

— Pani, doprawdy nie wiem czy resztę opowiadać warto, tak jej się łatwo domyśleć. Pani nie byłabyś kobietą gdybyś jej nie odgadła. Dwie dusze sieroce, stęsknione, wierzące w poezję życia, nie mogły się spotkać bezkarnie. Tilda znalazła w nim istotę szlachetną, on w niej ideał jeszcze spotęgowany smutkiem, jeszcze urokliwszy tęsknotą, ty cudowną, powłoką, która uświęcać się zdaje, czegokolwiek dotknie.

Ale w domu opiekuna wszystko było przewidzianem ostrożnie, a najmniejszy pozór zbliżenia byłby ściągnął posądzenia i nielitościwe z raju wygnanie. Oboje tak to dobrze rozumieli i tak się tego lękali, iż największe czując ku sobie współczucie stali zdala, obojętni z obawy, aby podejrzenie nalżejsze, ostatniego im dobra nie wydarło.

Rozmowa wśród pełnego salonu wieczorem, na przechadzce, w ogrodzie, przy fortepianie Tildy; spojrzenia, pół słowa całą były zdobyczą... Ale i to tak stanowiło wiele!...

Ojciec ani przypuszczał nawet ażeby ubogie chłopię śmiało pomyśleć o milionowej dziedzicze, która mogła marzyć o jakim małym Rotschildziku. Zresztą jeżeli się jej domyślał lekceważył może tę dziecinną miłość eteryczną, którą uważał za nieszkodliwą zabawkę młodemu wiekowi właściwą, a żadnych za sobą skutków nie mogącą pociągnąć.

Guwernantka Angielka trochę przywiedła już panna, która lubiła się bawić w miłostki platoniczne i miała sama nieco słabości do młodego chłopaka, spodziewając się go mnóstwem talentów swych oczarować — nie zrażała wcale; brała ona jego zbliżanie się na własny rachunek, starała się go pociągnąć, — on z tego dla widzenia i rozmowy z piękną Tildą korzystał.

Opiekun dostrzegłszy strategii Angielki, bo miał na to oko wprawne bardzo, ponieważ sam ku niej nie czuł żadnego pociągu, nie wziął bynajmniej za złe młodemu chłopcu że korzystał ze słabostki Miss... napomniał tylko żartobliwie aby zgorszenia jawnego nie było... Szło o przyzwoitość, o skutki jak najmniej...

Wydawało mu się bardzo naturalnem iż chłopiec mężki swój zawód rozpoczynał.

Tu przerwał mowę Jakób, jakby mu zabrakło wątku, Włoszka podsunęła sorbet, milczeli wszyscy, po chwili począł głosem cichszym znużony.

— Niech każdy z was, słuchacze moi, przypomni sobie dni pierwszej młodości i pierwszy kwiat tej wiosny życia... pierwszą swą miłość. — Wyobraźcie sobie tę stęsknioną istotę której kazano czołgać się po ziemi, ulatającą ku niebiosom rozwiniętymi skrzydły, nieśmiało, bojaźliwie, rokosznie zarazem i boleśnie. Tilda gdy już zwątpiła była o życiu, ujrzała przed sobą promieniejącą jego jutrzenkę. (Godziż się nawet domówić że miłość ta była dziecinnie czystą, cudownie, anielsko eteryczną. Młodzieniec czcił ją jak bóstwo, ona widziała w nim zesłańca, co jej kraje nadziemskie zwiastował. Otoż i koniec powieści... jedno uczucie ciche, niewyjawione, w sobie zamknięte... Chodzili tak po ogródku i starczyło im dwóch słów by byli długo szczęśliwi, widzieli się raz we dnie z daleka, we wzroku swym czerpiąc do życia siły. Nigdy nawet ten wyraz — miłość, ust im nie pokalał, była to nie namiętność młodzieńcza ale dziewicze, braterskie uczucie, instynktowe, nie wymarzone w głowie, ale wywołane serc jednakowo byjących potrzebą.

I mieli chwile rajskie milczenia jak poemat wymównego, rozmowy pół-słowy niezrozumiałe dla nikogo, szczęścia wieki w uśmiechu, pamiątki najdroższe w rzuconym kwiatku — wszystko co wiek późniejszy dzieciństwem nazywa, czego się zeschę serce zapiera, z czego rozum obumarły szydzi... Miłość ta niewidomą przeszła dla świata, pozostała najzupełniejszą tajemnicą i ani ojciec, ani podejrzliwa guwernantka nie domyślali się jej wcale. Ojciec nawet znajdował czasem że córka była nazbyt nieśmiałą i zimną dla wychowańca domu, a Miss... wyśmiewała niezgrabstwo chłopaka gdy drżący zbliżał się do kuzynki. — Brak teorii czy praktyki — nie wiem — pocieszał ją tem że Janusz w jej towarzystwie nierównie był ożywionym bardziej i śmielszym. Tak dramat ten sercowy, bez przyszłości i nadziei przeszedł dla nich obojga jak sen u drzwi raju.

Jednego poranka, myślę się jednego popołudnia ojciec oznajmił córce dość obojętnie, aby się przybrała starannie, gdyż dnia tego spodziewał się na obiad gości. Na chwilę przed obiadem, który zawsze by wał bardzo wykwinny, ukazał się w salonie czło wiek młody, bardzo przystojny, widocznie jak naj lepiej wychowany, wybornie umiejący się znaleźć w towarzystwie, którego ojciec zaprezentował córce jako pana Henryka Segel.

Są przecucia; ten Antinous o czarnych palą cych oczach, o słodkim uśmiechu warg różowych, tak miły, tak dowcipny, śmiały, pewien siebie, tak nadskakujący, tak grzeczny — przestraszył Tildę.

Są wstręty niewytłumaczone chyba fizyologicznie lub psychologicznie — uczuła ku niemu jakąś instynktową dziwną, gwałtowną odrazę... choć nie mogła mu nic zarzucić... Był ideałem młodego mężczyzny, okazało się nawet że lubił i znał dobrze muzykę... a po cichu szeptano że ogromny miał majątek.

Trzeciego dnia potem bez żadnych pytań i przygotowań ojciec zapowiedział córce, nie badając wcale jej zdania, że pan Henryk Segel jest jej — narzeczonym.

Ojciec powiedział to winszując jej tylko że mu się bardzo podobała, żartując że się szalenie w niej zakochał, ale takim tonem że biedna najmniejszej nawet uwagi zrobić nie mogła; rzecz była rozstrzygnięta, postanowiona, skończona. Był w istocie tak przyzwoitym młodzieńcem, że wszelkie sprzeciwienie się z jej strony wydałoby się niedarowanem dziwactwem, kazano jej to uważać za szczęście.

Nie odpowiedziała więc słowa, pobladła tylko i zamilkła. Powinszowania ze wszech stron sypały się gradem. Tilda cierpiała straszliwie, wstręt jej był nieprzewyciężony, wzrok zbołały mówił Jakóbowi...

— A! przepraszam, omyłka, przerwał Iwaś — wszakże podobno nazywał się Januszem.

Jakób zaczerwienił i pobladł, zmięszał się, wątek opowiadania był przerwany, chwycił szklanekę, poniósł ją do ust, postawił, potarł czoło... nie wiedział już co mówić dalej.

— Tak jest, tak jest, wyjąkał nareszcie, omyliłem się... tak jest... wzrok jej mówił... Ale prawdziwie nie wiem co plotę... A! tak, przepraszam, powracam do rzeczy i kończę wprędce.

— Nie spiesz się pan, cicho szepnęła Włoszka.

— Był wieczór, ciepły wieczór wiosenny, począł żywo żyd, bzy okwitwały ostatkiem woni napełniając powietrze; na liściach perliły się kropelki rosy wiosennej... ona i Miss Jenny wyszły na przechadzkę. Na ławce siedział Janusz z książką której nie czytał. Angielka spostrzegłszy go skierowała ku niemu przechadzkę.

Szczęściem czy nieszczęściem jakimś, przyjaciółka jej Miss Fanny nadeszła w tej chwili w odwiedzinie. Przypadek zrządził że Tilda została na chwilę sam na sam z biednym chłopcem, który był szczęśliwy nad wyraz i przestraszony tem szczęściem niewypowiedzianie. Szli obok siebie drżący, przybici, na pół żywi. Angielki miały mnóstwo pilnych rzeczy do powierzenia sobie pod największym sekretem, zostawiły ich na ścieżce. Gorzej, Miss Jenny szepnęła na ucho wychowawicy. Odprowadźże go od nas.

Szli więc sami i milczeli, ona zmięszana obrywała kwiatek z listków, a na listki jego jak rosa wieczorna poczęły padać niewidziane we mroku łzy; on patrzył na nią i po mężku płakał wewnątrz, w własną duszę. — Tam łzy padały jak rozpalone iskry i gorzało mu łono. Nagle Tilda stanęła, podniosła głowę śmiało, zwycięsko, jakby złamała siebie samą, przyłożyła rękę do piersi, spojrziała na niego wejrzeniem niezapomnianem, jakby go oczyma poślubiała na wieki.

— Wkrótce, rzekła, rozstaniemy się, wiesz jakie czekają mnie losy... Miło mi będzie wspomnieć nasze spokojne przechadzki wieczorne, a wam, a tobie? będiesz o nich — i o mnie — pamiętał?

Pierwszy to raz w życiu mówiła do niego tym głosem rozplakany, z taką czułością, tak wyraźnie o sobie i o nich dwojgu, tak do serca. Janusz zbladł, zdało mu się że oszaleje... serce mu uderzyło tak że się za piersi pochwycił ręką drżącą.

— O tobie Tildo — o tém niemem szczęściu które przeżyłem tu z tobą... o! nie zapomnę do śmierci... po śmierci! Przysięgam ci że żadnej nigdy nie poślubię i nie pokocham kobiety, bom ciebie ukochał tak jak się raz tylko kocha w życiu. Nie mówiłem o tém, potrzebaż mówić było? tyś wiedziała.

— Tak jest, wierzyłam w to i wierzę, odparła, ale życie jest długie a pamięć niewierna. A! pamiętaj o mnie, dodała. Dla was, napisał ktoś, miłość jest zabawką tylko, dla nas ona życiem całym... Jam kochała ciebie i kochać będę. Jakies ciche łkanie stłumiło cicho wyrzeczone wyrazy.

— O! nie dla mnie, nie dla mnie miłość taka byłaby igraszką, rzekł Janusz, dla mnie to najuroczystsza chwila życia, to wesele dusz naszych... na wieczność...

— Ja ci wierzę, odparła kobieta — i dla tego kocham ciebie że wierzyć ci mogę. Czemu? nie wiem. Czuję żeś czysty i poczciwy i szczery. Wiesz już o losie moim? oddają mnie temu człowiekowi którego ja nie kocham, do którego czuję wstręt niezwyeczony. Ale ja żyć nie będę długo, ja sobie umrę powoli. Ty pamiętaj o mnie, zbuduj mi mogiłę w swojej duszy... Nikt o mnie potem nie wspomni, ojciec mi pomnik postawi, mąż mnie wspaniale pochowa... a potem, grób zarośnie, pamięć zginie... Tak z życiem człowieka. Westchnęła biedna.

Angielki tak żywą między sobą zajęte były rozmową, Jenny tak im wyraźnie kazała iść dalej, że te pierwsze i ostatnie wyznania mogli i musieli przedłużyć..

— Dziś, rzekła Tilda, widząc cię smutnym, postanowiłam rzucić tych słów kilka, nie wiem pociechy czy smutku, na pożegnanie. Któż wie, nie spotkamy się może więcej sam na sam — nigdy... nigdy! Ale ty będziesz wiedział, będziesz wierzył, będziesz pamiętał, zem cię kochała, że kochać cię będę do śmierci.

— Tildo, zawołał nagle buntując się przeciwko losom młody człowiek, jeżeli wierzysz we mnie, jeśli ufasz sercu i szczęściu mojemu... rzuć dom ojca, oto dwie dłonie które na chleb zarobią — ojciec przebaczy, będziesz moją, będziemy z sobą.

— Nie, odpowiedziała po chwili namysłu kobieta — nie — posłuchaj mnie, kocham jak dziecko, ale jestem stara i znękana... Ja w żadną przyszłość nie wierzę, dla mnie nie ma przyszłości,; przyniosłabym ci jedną chwilę szczęścia może a dużo znoju, utrapień i zgryzoty. Nie godzi się abyś ty okazał się niewdzięcznym i zdrajcą względem ojca mojego któremu winieneś wszystko, który cię przygarnął... nie godzi się nawet dla ocalenia mnie — nas!!

Któż wie, mówiła powoli, czy znalazłbyś we mnie, w téj istocie uwiędłej, to czego byś się po niej spodziewał. Jam w kolebce została otrutą, tyś mnie uleczył, ale skutek trucizny powraca, niewiara rodzi się znowu, śmiech szatana w uszach słyszę, nawet gdy lżę mam na oku.

Nie — nie! stokroć nie... będziesz mógł kochać umarłą, kto wie czy długo kochałbyś żywą?

I skinieniem ręki pożegnawszy go nagle odeszła jakby się dłużej lękała pozostać, dać skusić i namówić... Powróciła za chwilę uzbrojona rozwagą. Janusz stał jeszcze w miejscu.

— Jak ci się podoba mój narzeczony? spytała.

— Nienawidzę go.

— Czy dla tego że mój narzeczony?

— Nie, takie wrażenie na mnie uczynił od pierwszego wejrzenia.

— Czem? spytała.

— Nie wiem, jest mi wstrętliwym, choć nie mam mu nic do zarzucenia; wedle programu dzisiejszego wieku czegoż mu brak? umie wszystko, jest stateczny, bogaty, przystojny, młody i nieposzlakowanej sławy... jest nawet miły — a nieznośny.

— A! ja się lękam, odparła Tilda, że to nawet nie jest człowiek! jest to jakaś istota w której serce nie bije; automat, ręką, XIX. wieku wyrobiony misternie, który umie co potrzeba, który jak automat jest niemylnym, ale ani płakać, ani boleć, ani użalić się, ani zrozumieć słabości i cierpienia cudzego nie potrafi. Da on sowitą jałmużnę przez uznanie jęj potrzeby lub obowiązku, przez pychę lub rachubę, ale biednego nie uściśnie, nie ukocha... ale z nieszczęśliwym nie zapłacze, dla upadłego mieć nie będzie litości. Żelazny wiek nasz ludzi swych robi z żelaza, — krają jak żelazo, a krew co ścieka po nich to tylko rdzy plamka.

— Może jesteś za surową, lecz... i we mnie takie on obudza przeczucia, dodał młody człowiek, ale miłość i kobieta dokazują cudów.

— Z sercami i z ludźmi nie z automatami, dodała Tilda... zimno mnie przechodzi gdy nań spojrzę; jest w nim coś przerażającego, w tej słodyczy, uśmiechu, w tęg wiekuistej pogodzie i weselu które naturalnemi być nie mogą. Nie potrafi się rozgniewać, oburzyć, zadumać... jest zawsze jeden, wiecznie martwy. Raz tylko widziałem go obruszonym, roznamigtnionym — chodziło o to że się omylić mógł on! on! on nieomylny! samo przypuszczenie było zbrodnią!

Lituj się pan nademną! lituj, dodała — i wyciągając dłoń nieznacznie ku niemu wsunęła mu w rękę zdjęty z palca pierścioneł.

— Kupiłam go umyślnie dla ciebie, rzekła, zachowaj go na pamiątkę biednej istoty która cię kochała... czarny jest, żałobny, umyślnie, jak ta milcząca, grobowa miłość nasza, której od dziś już więcej ust nawet otworzyć nie wolno.

I nie odwracając się już ku niemu odeszła powoli do domu obie Angielki ciągnąc za sobą.

W ich życiu ta chwila jasna była pierwszą i ostatnią. Widywali się codzieln potem ale jak obcy sobie, tak jak dawniej witając i żegnając wzrokiem i raczej unikając siebie niż szukając. Miłość ich nic nie pragnęła nad to by cichą i ukrytą trwać mogła. Tilda posmutniała, pobladła, przyjęła z rąk ojca narzeczonego, na tem skończyło się wszystko.

Wkrótce odbyło się wesele, było ono nadzwyczaj szumne, niesłychanie wspaniałe; ofiara poszła strojna w brylanty, atłasy i koronki na męczeństwo.

Uczta weselna kosztowała tysiące; ojciec uśmiechał się rozpromieniony że tak doskonale wydał córkę. Wszyscy wiedzieli że dał milion posagu, że drugi był przyobiecany, że narzeczony miał ich kilka i świetną, przyszłość majątkową przed sobą. Wszystkie matki, ojcowie i rówieśnice zazdrościły — mąż ten wydawał się im ideałem!

Otóż i prosty koniec nader pospolitej powieści mojej.

W parę lat potem, niedługo, spotykacie państwo tego jegomości z żoną na Aqua Sola, on zawsze szczęśliwy i spokojny, ona kaszląca i blada; on się trochę nudzi nie wiedząc aż nazajutrz co się dzieje na giełdzie paryzkiej) i londyńskiej, ona posłuszna przyśpiewuje mu dla rozrywki ostatkiem głosu... smętną piosnkę Mendelssohna.

Wartoż to było opowiadać? jestże co pospolitszego nad tę historią powszednią, zwyczajną, oklepaną, dziecinną?

— No? a ten Janusz? spytała Włoszka.

— Janusz nosi na piersiach pierścionek swej pierwszej i jedynej, i żyje mężnie a smutnie. W jednej godzinie wyczerpał on do dna całą miłość która miała mu służyć do żywota... cóż chcecie? to dziś już tylko łupina człowieka.

— Smutne to nad wyraz, odezwała się Włoszka, ja, przyznaję, spodziewałam się czegoś więcej i innego, dramatyczniejszego. Ofiara wzbudza we mnie współczucie niezmiernie. Co się tyczy mężczyzny, dodała z uśmiechem, jestem o niego spokojną... ta łupinka się pocieszy.

— Ja wątpię, odparł Jakób, ci się pocieszają tylko którzy chcą być pocieszonymi, jemu z tym grobem w piersi dobrze.

— Prawda, dorzuciła Colomi, że to historia jakby nie naszego czasu, coś elegicznie prostego.

Jakób wstał z siedzenia, godzina była spóźniona, wszyscy goście poruszać się też zaczęli. Moskał który słowa nie wymówił przez cały wieczór sam jeden pozostał nawet nie udając że ma wyjść.

— Więc jeśli nie w Genui, to do widzenia w Warszawie, rzekła Colomi do Iwasia i Jakóba — a ktoż wie ? może ?...

— Czyż pewno pani jedziesz?

— Zdaje się że niezawodnie, oglądając się na towarzysza, rzekła śpiewaczka, do widzenia!... Jeszcze wyjazd nasz zresztą nie postanowiony, moglibyście być panowie grzeczni i zajść do mnie. Dobranoc.

Iwaś i Jakób pożegnawszy Włochów zeszli milczący oba do hotelu Federa naprzeciwno.

— Zdaje mi się że dziś dalszego ciągu twojej biografii nie posłyszę, rzekł Iwaś, wątpię byś na to znalazł siły... nadto cię zmęczyły wspomnienia.

— Wspomnienia... tak, ale cudze, dodał żyd ze smutnym uśmiechem.

— Wczorajszy człowiek jak często nam bywa obcym!! szepnął uparty towarzysz, ale milczę.

Zamyśleni tak nie mówiąc więcej do siebie, rozeszli się na spoczynek.

Gdy się nazajutrz rano Jakób obudził, z wielkiem swem podziwieniem nie zastał już w pokoju towarzysza: powiedziano mu że Iwaś wstawszy rano wyszedł do miasta. Uląkł się tej rannej zbyt wyprawy, chociaż ją bardzo potrzebą przechadzki, kąpieli lub prostą nawet ciekawością tłumaczyć było można; przyszło mu bowiem na myśl, że ubogi chłopak może przez zbytnią drażliwość chcieć mu się wymknąć, by o własnych siłach znowu z nowymi trudnościami walczyć w długiej drodze.

Ale małe zawiniątko Iwasia leżało przy drzwiach, czekał więc na niego trochę niespokojny ze śniadaniem. Nareszcie Iwaś powrócił.

— Chodziłem przejść się trochę, rzekł żywo ściskając rękę Jakóba, duszno mi tu było w izbie, potrzebowałem powietrza, samotności, nadewszystko ruchu. Od Marsylii idę pieszo; zahartowałem się, nagle zacząłeś mnie pieścić, to psuje, zląkłem się już bym nie zmiękł, ogarnął mną dziecinny niepokój, potrzebowałem się znużyć. Teraz pot się, ze mnie leje kroplami... jest dobrze... czuję że jestem sobą... żyję.

Jakób począł się śmiać.

— Dzieciak jesteś, rzekł, z przeproszeniem, zbytecznie wątpisz o sobie, jak inni nazbyt sobie ufają. Wiedz że masz potęgę w łonie, którą przemożesz wszystko... tą jest wola. Dopóki ją w sobie czujesz, zwyciężysz nią co zapragniesz przełamać, choćby samego siebie... nie lękaj się. Znam ludzi ze wszech względów znakomitych, którzy niczem nie są dla braku woli, znam i bardzo zwyczajnych, których wola energiczna postawiła wyżej niż talentem zasłużyli.

— Odgadłeś mnie, rozśmiał się Iwaś, uląkłem się utraty woli, pragnąłem w małym boju z sobąprzekonać się o jej sile... Myślałem, marzyłem, pasowałem się jak Jakób twój homonym we śnie... zwyciężyłem....

Wstrzymał się nagle.

— Gdzieżeś był? spytał żyd. — O! nie wiem doprawdy! wszędzie po trosze! w pile gościńca, we wrzawie portowej, w ciszy Aqua Sola, a nawet pod oknami pięknej Tildy.

Jakób ostro na niego spojrział.

— Cożeś ty tam robił?

— Sam nie wiem, znalazłem się przypadkiem. Ale wystawże sobie co to jest potęga ciekawości, znalazłem tam moich wczorajszych dwóch Włochów, milczącego Moskala i cygana. Pokazuje się że wczorajsza historia wasza więcej ich zajęła niżeliście się spodziewali... trafiliśmy wszyscy jak się zdaje na sam odjazd z Genui owej pięknej męczennicy....

— Jak to? odjazd? z Jakiegoż powodu tak przyspieszony? zmiłuj się, mów, zawołał Jakób, jeżeli co wiesz... Może wyjechali na przejażdżkę tylko, w okolice...

— Ale nie, rzekł Iwaś, projekta dłuższego pobytu w Genui, jeśli jakie były, odmienić się musiały nagle, nie wiem... To pewna, iż Vetturino

stojący przed domem z powozem, upewniał iż wyjeżdżają do Pizy i Specji.... Nie sądzę bowiem, żeby albo pani sama, albo pan sam wyruszył, a z pakunku wynoszonego wnieść nie mogłem nic, ani o liczbie osób ani o ich rodzaju... Służący zaś odpowiadać mi nic nie chciał na pytania.

— Jak to? pytałeś go?

— Trochę, byłem ciekawy.

— Więc wyjechali...

— Musieli wyjechać... nie doczekałem się bowiem ostatka i odejść musiałem, bo nas tam już ciekawych zbyt wielka zebrała się gromada, a przykro mi było należeć do tego tłumu gapiów.

Zamilkli oba, Jakób smutnie głowę, na piersi pochylił.

— Ale, odezwał się po chwili, cóż my robimy z sobą? jakbyś sobie życzył? Mamy siedzieć czy jechać dalej? umówmy się, jestem na twe rozkazy, bo mi nie pilno, jak ci wygodniej?

— Jak to? spytał Iwaś, a cóż twoja podróż mojej się tyczy?... ja sobie idę gdy nieco spocznę, ty zrobisz co zechcesz.

— Nie rozumiemy się, rzekł żyd, daj pokój ceremoniom, rzecz umówiona, że ja cię wiozę do granicy. Srodze a niesprawiedliwie obraziłbyś mnie odmową. Daj mi rękę, pojedziemy razem i woli nie zgubim po drodze, a oszczędzi ci to życia!! trudu, który na lepszy potrafisz obrócić użytek....

— Ale...

— Żadnego ale... jedziemy! którądy wolisz?

— Jak ci się podoba, dodał Iwaś, czuję wszakże, iż milejby ci było jechać na Specja, i Pizę, a że i mnie się to uśmiecha, więc...

— Dla czegoś sądzisz?

— Szczerłość za szczerłość, rzekł Iwaś, dla tego Jakób wolałby jechać ku Specji że Tilda pojechała w tę stronę, bo Janusz i Jakób są jedną osobą. Na piersiach twych odsłoniętych, z rana gdym wstawał, widziałem na czarnej wstążce czarną żałobną obrączkę.

— I bez niej, rzekł Jakób smutnie, łatwo ci to było odgadnąć... Tak! historia to moja, wstydzić się jej ani ona ani ja nie potrzebujemy.... Ten krewny który mi chodzić kazał do szkół, jest ojcem Tildy, powinieneś go być też poznać lub domyślić się... kiedyś opowiem ci resztę.

— A więc jedziemy do Pizy.

— Ja myślę że, jeżeli ci to miłsze, pójdziemy sobie pieszo... droga ta jest tak uroczyście piękną, że się ją niegodzi przebywać inaczej... Oddamy pakunki na dyliżans a sami ruszymy jak dwaj wędrowni artyści.

— Dobrze, dziś wieczorem, rzekł Iwaś, mnie się coraz bardziej spieszy do kraju, tęsknica coraz gorętsza, jakieś przeczucia wielkich wypadków, jakaś niecierpliwość pracy mnie ogarnia.

— Słuchaj! zawołał Jakób, przyznaj się, wy spiskujecie?

— Tak jest i inaczej być nie może, odparł Iwaś, Polska cała od lat przeszło stu spiskuje; zmusza ją ucisk do tego, na spiskowców hoduje pokolenia niewola, w

postrachach, ciemnicy, w milczeniu i grozie. Tam gdzie się życie rozwinać nie może całą swą siłą, spiski są nieuchronne, to naturalny owoc despotyzmu, to nędza która się rodzi za brudnym kołnierzem jego koszuli...

— Pojmuję to, odparł Jakób, ależ biada krajowi który wszedł na tę drogę, zwątpił on już o sobie i uznał się bezsilnym. Rozumiem tylko jeden spisek, taki jak był nasz trwający parę tysięcy lat, ten w którym my dożyliśmy epoki równouprawnienia i odrodzenia naszego; spisek nagromadzający siły, jednoczący w ciało silne i spójne. Wy i wasze spiski z gorączkowem! wybuchy, do niczego nie dojdziecie prócz do coraz boleśniejszego upadku.

— Nie mówmy o tem, zawołał Iwaś marszcząc się, wy nie macie ani tego uczucia co my dla kraju, aniście doznali tego co my Cierpiemy...

— Przepraszam cię, odezwał się żyd, jeśli dla kogo to dla nas kraj ten co nam dał przytułek, w którym mimo chwilowych prześladowań urosliśmy liczbą i pracą; jest naszą drugą przybraną ojczyzną, Jeżeli nią nie jest jeszcze dla wszystkich, to być powinien i będzie. Ja się czuję przynajmniej zarówno Izraelitą jak Polakiem.

— Tak, ale ludzi jak ty, bez pochlebstwa — chociaż od dni kilku dopiero się znamy, nie ma i nie może być wielu. W ogóle zarzucić wam można, że nie bardzo przywiązaliście się do tego kraju w którym dosyć, jak na owe wieki, przeżyliście czas długi szczęśliwie i swobodnie, który was karmił, hodował, bogacił... i uznał za dzieci swoje.

— Powoli, odparł Jakób, rozpatrz się w historii bezstronnie; fanatyzm religijny, prawda że wspólny nam z innymi narody i buta szlachecka... długo stały na przeszkodzie uznaniu żydów za obywateli kraju. Winni też byli i żydzi, że języka i obyczaju przyswoić sobie nie starali się, że się odosobniali, stanowiąc status in statu, naród w narodzie, że szczerze nie pracowali na obywatelstwo, które się poświęceniem i krwią, zdobywa.

Winy są, równe z obu stron, i z obu stron szczerze przebaczenie i zapomnienie przeszłości wyjść powinno. Wiek inny, oświata rozpowszechniona, idee ludzkie nam wspólne, wszystko nas teraz zbliżyć i pojednać się zmusza. Wyciągamy dłonie... nie odpychajcie ich...

— My! młode pokolenie! zawołał Iwaś, mybyśmy mogli was odpychać!! Możesz to przypuścić? Znajdą się przesady, wstręty, resztki starych niedogodnych wyobrażeń, pozostałości dawnych wieków... ale ogół... szczerze wam dłoń wyciągnie. Bądźcież braćmi, ale bądźcie nimi w duchu nie słowie, w czynie a nie pozorem tylko; bądźcie nimi nietylko w chwili powodzenia, ale w pracy i boleści...

Jakób zamilkł, ale rękę wyciągnął.

— Na dzisiaj dosyć, rzekł, rozumiemy się i zgodzimy łatwo, my, młodzi. Mój rówieśnicy, młodzież izraelska tak czuje i myśli jak ja, ale jak u was tak u nas są uprzedzenia, są stare gniewy, są chowane przez wieki brzydkie zemsty pragnienia... są... ludzie. Bądźmy pobłażający, cierpliwi i nie dajmy się unieść

namiętnościom tchnącym nienawiścią... Miłość tylko godzi, łączy i jedna, o nią się starajmy, pracujmy na nią.

Ale o tem nieraz jeszcze, dodał Jakób, mówić nam przyjdzie, teraz w drogę!... Jedziemy czy idziemy ?

— Idziemy pieszo! do Pizy! — Zgoda!

— A zatem pakować!

W tejsze chwili poczęły się przygotowania do podróży; około południa w strojach pieszych wędrowców poszli pożegnać Lucią Colomi. Tu także znaleźli się od progu wśród kataldyzmu tłumoków, pak i skrzynek; Moskał układał papiery i książki swoje, Włoszka kończyła rachunki.

— Do widzenia! zawołano od progu.

— Do widzenia! na tym lub na tamtym świecie.

— Adio! adio!

W chwili gdy się co najspieszniej cofali aby nie stać się natrętnymi, piękna Włoszka skinęła na Iwasia i odciągnęła go na stronę.

— Wracasz więc pan do Warszawy, rzekła po cichu, pamiętaj pan o com prosiła, spytaj tam o mnie... ja może będę się tam potrzebowała widzieć z panem... dziś mu nie mogę powiedzieć nic więcej. Lucia Colomi! zapamiętaj pan nazwisko! w teatrze wiedzieć o mnie powinni...

Iwaś spojrzał na nią dziwnie, badająco.

— A towarzysz pani? zapytał.

— Kto? Gromów?

— Tak jest.

— To dawny dobry mój przyjaciel, rzekła, ale nie wiem, czy w tej podróży będzie mi mógł towarzyszyć... to zależy... Wątpię... nie ma nic pewnego... A więc, dokończyła żywo, przypominam panu, że nie ja jemu, ale pan mnie możesz być potrzebnym, rachuję więc na was... Niech to sercu jego będzie pobudką..

— Ale na cóż ja się komu przydać mogę! zawołał Iwaś ruszając ramionami.

O! nie badajże mnie pan, proszę, to moja rzecz... do widzenia. Podała mu rękę przez tłumok.

— Do widzenia.

Zszedłszy na placyk przed dwoma hotelami i wracając do Federa, otarli się prawie o cygana, który, jak zwykle, paląc cygaro poziewał i przypatrywał się bardzo uważnie osłom ogromne beczki dźwigającym do portu.

— No! cóż się tam z wami dzieje? zapytał.

— Dziś jeszcze pieszo ruszamy do Pizy...

— Wychodzicie? pieszo?

— Tak jest.

— Zabawne dziwactwo, kiedy jechać byście mogli wygodnie. Ale dobrze to mieć choćby dziwactwa, ja już do nich nie czuję się zdolnym... Gdyby jeszcze ta ładna Włoszka dała się namówić, a poszła ze mną na piechotę... no, to możebym się namyślił... ale... nie pójdzie! Moskał trzyma ją w niewoli.

— Żal mi jej, odezwał się z boku Francuz którego zrazu nie postrzegli, zrobiła bardzo zły wybór... Nie wiecie też czy zostają? jadą? dokąd?

— Zdaje się że jadą; dokąd? nie wiem doprawdy, rzekł Jakób.

— Nie wiecie? naprawdę?

— Nie wiem; zapewne po Włoszech...

— Podróż najoszczędniejsza — dodał Duńczyk zfrancuziały — może ją dla tego Moskał wybrał... można ją odbywać, jakem się przekonał, nawet nic nie jedząc, tyle się napotyka pyłu na gościńcu. Ja także pojedę, ale chyba morzem, wolę już nudności okrętowe... niż niestrawność z napchania się gliną... Ale wprzód muszę piękną Colomi pożegnać, nie tracę nadziei że ją na Moskału zdobędę... trzeba zawsze szczęścia próbować.

— On to nazywa szczęściem! zawołał cygan, powoli szukając nowego cygara... śmieszny! nie wie że takich Lucii we Włoszech, bez żadnego szczęścia, można dostać ile się podoba... na towarzyszki podróży...

— Takich, ? podchwycił Iwaś... to wątpię, tak miłych, dowcipnych i dobrych istot jak mi się ona wydaje, nie ma nigdzie wiele...

— A! prawda! oblała was wodą! rozśmiał się cygan, zawsze to dowodzi istotnie serce niezgorsze... innaby była krzyknęła ze strachu i zemdląła sama jeszcze — z gracyą... Co się tyczy dowcipu, na co w kobiecie dowcip? żeby gryzła! dość ma zębów i bez tego... Ale czekajcie no, rzekł do Jakóba — czekajcie, przyjmiecie mnie do towarzystwa gdybym chciał pójść z wami? he? szczerze? Młodzi ludzie spojrzeli po sobie w milczeniu, cygan się uśmiechnął.

— Nie! nie! rzekł, nie trzeba! Stamlo Gako za stary i za nudny! a przy tem gorąco! pył... nie! nie! pojedę dylizanssem... bywajcie zdrowi...

I odszedł. — To lepiej! rzekł Jakób — ciężkiego byśmy byli dostali towarzysza...

Słońce się zniżało po nad morze gdy dwaj nasi podróżni opuścili Federa i drogą ku Rutta powoli pociągnęli z miasta, przebywając villami ubrane wzgórze, ogrody i niecierpliwie wyglądając widoku morza które się było na chwilę przed niemi schowało. Wkrótce też pokazało się ono wygładzone, lekko kołyszac jak szyba z opalu, cieniowana coraz odmiennych barw tysiadcem. Cudnie pięknemi są te okolice Genui, choć nieco puste, — ze swemi cyprysami, pomarańczami, winnicami i spinającą się tem wybrzeżem skalistęm drogą, która co chwila inny, coraz bardziej malowniczy widok przedstawia.

W jesieni i na wiosnę spotyka się tu roje turystów przebiegających ten gościniec sławiony nie nadaremnie ze swej piękności, z pośpiechem który im ledwie przelotne po sobie zostawia wrażenie. Rzadko kto o kiju, powolniej mija rozpatrując się, baczniej te czarowne brzegi, rozmiłowawszy się w ich wdziękach; a inaczej dobrze się z niemi poznać nie można.

Podróżni nasi nie spieszyli wcale, wiedzieli że dla nich dwóch znajdzie się wszędzie miejsce na spoczynek, jakieś Albergo lub Trattoria wiejska ze swą izdebką na górze, z rybką i sałatą, z winem del paëse mniej więcej znośnem i na wieczór lampką rzymską, przy której spocząć miło po całodziennem strudzeniu,

ale pisać i czytać dość trudno. Świece jeszcze rzadko gdzie cywilizacja wprowadziła...

Zmęczonym po drodze łatwo było wszędzie dostać parę spokojnych osiołków na których grzbiecie można choćby zadrzemać, tak łagodnie noszą, przywykłe i ludzi i delikatniejsze nad nich przewozić przedmioty.

Upał dnia już był zupełnie ustał, gdy podróżni nasi ujrzeni przed sobą piękne ogrody pomarańczowe ubierające Nervi, stolicę wody pędzonej z kwiatów dla wszystkich spazmatycznych istot całej Europy. Rozmowa dotąd błąkała się po najróżniejszych zakątkach.

— Obiecałeś rai dalszy ciąg swej historii, rzekł Iwaś wreszcie — i jakkolwiek wyprzedziłeś chronologiczny jej porządek wczorajszym epizodem, choć dziś bym rad posłyszeć dopełnienie. Winienesz mi zaszukowanie tej próżni, której sam nie potrafisz odgadnąć.

— Z wielką chęcią, dopełnię reszty mojej spowiedzi, odpowiedział Jakób, nie mam tajemnic, a największą już wczoraj zmusiliście mnie wyjawić. Zdaje mi się żeśmy się rozstali na szkole, w której ostatniej ławie, nękany przez towarzyszków, prześladowany parja, poczytałem uczyć się więcej życia niż grammatyki.

— Tak jest...

— Historia tych lat jest raczej, mówił Jakób, dziejami umysłu mojego i serca niż czem innym. Wypadków braknie lub są wagi podrzędnej, bez wpływu istotnego na życie. Szkoła nie mogła mnie nauczyć wiele, ale otwierała do nauki wrota, ukazując przez nie niezmiernie jej obszary. Jako żyd znałem dotąd tylko swoją biblię, w niej cały świat zamykał się dla mnie; teraz postrzegłem że jako człowiek muszę sobie przyswoić co ludzkość zrobiła, zdobyła, nauczyła się przez wieki. Zachwiało to nieco zrazu moją wiarę wyłączną w naród wybrany, ukazało mi go w odmiennym nieco świetle; musiałem spokornieć; ale z niepokojem w duszy, umysłem niezależniejszym, powróciłem znowu do biblii i napowrót żydem się stałem — tylko inaczej.

Pojać ci mnie, jako żyda, może być trudno, — zatrzymuję się tu, abym ci wytłumaczył że ta społeczność nasza izraelska tak długo w prześladowaniu jedna i spójna, dziś, gdy ono ustaje — dzieli się już na wiele różnych obłamów. Żyd nie jest już dziś tem czem był dawniej, gdy wyłączenie go zmuszało być tylko sobą, żyć, myśleć, uczyć się, obracać w ciasnym kole zakreślonym mu prawami i obyczajami chrześcijan nieprzyjaznych... Z tego ściśniętego gronka wyrosł przypadkiem Majmonides jaki lub Spinoza, ale ono po większej części składało się z jednolitej masy wiernych, ściśłych wyznawców starego zakonu. Tuliliśmy się około arki przymierza...

Dziś żydzi swobodniejsi, mniej uciśnieni różnemi idą drogami... wielu z nich rzuca swe prawo i wiarę, pozornie przyjmuje inną w istocie nie ma żadnej...

O tych naprzód mówić ci muszę.

Typem takiego żyda był właśnie opiekun mój, ojciec Tildy, któremu winienem wszystko. Wychowany sam za granicą, w społeczeństwie już zobojętniałem,

stracił zawczasu poszanowanie tradycji naszych i wiary, zrzucił z siebie surową obrzędów naszych powinność a natomiast nie zostawszy chrześcianinem, stał się tym człowiekiem którego ci dał poznać; czyniącym z rachuby moralność życia, a z rozumu przewodnika jedyne na drodze.

Nic smutniejszego nad ludzi jemu podobnych. Bądź co bądź człowiek nie jest wykształceniem zwierzęciem tylko; po za nim czuć inne światy, istoty i obszary ducha; oprócz ciała ma w sobie duszę którą się łączy z bóstwem, bada, przeczuwa, wlatuje wyżej nad ziemię i dalej nad zmysłowe przestrzenie. Materyalizm i ateizm nie starczą ani społeczeństwu do życia, ani jednostce; oderwane przez nie od całości są jak kwiaty ścięte z łodygi, usychają. Odbierz im Boga, wiarę w nieśmiertelność ducha, wyższe poczucia i pragnienia, a stworzysz, zwłaszcza przy wykwiitnej cywilizacji materyjalnej — coś tak poczwarnego, jak jest przyzwoity, chłodny, umarły wiek dzisiejszy; który zwycięża żywioły, dochodzi tajemnic najskrytszych natury a nie wie już co jest złem a co dobrem i określa cnotę i występki, rozumem lub głupotą" niezręcznością tylko lub praktycznością. Miara dlań jest powodzenie, bóstwem siła, a vae victis, znowu się echem ogromnym rozlega po nad tą pustynią którą przecinają koleje i przelatuje para...

Nic smutniejszego, powtarzam, nad tych ludzi co zerwali z tradycją, ze wszelką wiarą przeszłości, z jej wspomnieniami, a rozumem idą po ścieżce interesu... do... życia i użycia. W społeczeństwie naszym i waszym postaci te nie są rzadkością, w obu one równie smutny przedstawiają fenomen. Chrześcianin co się zaparł Chrystusa, żyd który się zaparł Mojżesza, jedną cuchną zgnielizną. Chodzące to trupy ci ludzie, których horyzont ogranicza się krótkim życiem poświęconem jakiejś górującej w nich namiętności... Pozornie szczęśliwi w duszy są najbiedniejsi. Nasyceni prędko, przesyleni wszystkim, znudzeni kończą opathją, głupotą lub szalem.

Ale jeżeli gdzie to w mozaizmie, religii rozumu, jeżeli ją tak nazwać się godzi — odrzuciwszy nawet to co było jej łupiną, broniącą by owoc uszczerbku nie doznał — jest tyle ile potrzeba człowiekowi, aby w sobie ducha przeżywał.

Świat chrześciański wziął z prawa Mojżeszowego tak wiele, iż mu wyższości jego bez zaparcia samego siebie zaprzeczyć nie może. Pomimo to, składając na talmud i rabbinów narosłe wiekami dziwactwa, które powierzchownie tylko sądzono; wyśmiano wszystko w judaizmie czego nie rozumiano, uczepiono się drobnostek aby go wyszydzić i ohydzie.

W każdej literaturze jest coś niby rozświecającego naukę, niby wyjaśniającego obyczaj nasz, w istocie dowodzącego że nie rozumiano obojga. Śmiech jest łatwy, obrócono w śmiech co tylko chciano, nawet najcudniejszej poezji kwiaty, które w innych literaturach uszłyby za arcydzieła...

— Ja nic nie znam z tych waszych poezji, rzekł Iwaś.

— Czytałeś przecie ironiczne cytacje z talmudu nieraz, których fantazyje, na zimno rozbierając, znajdowano je tak nedorzecznymi?

— Nie czytałem nic prawie.

— Byłżebyś ciekawy? spytał Jakób.

— Bardzo.

— Wiele ustępów i podań umiem na pamięć, rzekł żyd, weźmiemy na przykład legendy i opisy rajów.

— Najchętniej, ręczę ci że szyderskiego wcale nie mam usposobienia, a słucham z wielkim zajęciem.

— Wierzę w siłę młodości twej, odpowiedział Jakób, ona cię broni od ironii i wyschnięcia. Słuchaj więc może najstarszych poematów o rajach. W niejednym objawieniu średniowiecznym znajdziesz coś podobnego.

Wasz Dant spisał także tradycje chrześcijańskie i utkał z nich tę Cudowną całość, którą ja żyd podziwiam z wami zarówno.

Weźmy na przykład opis rajów z księgi Jalkut (7. a.).

"Dwoje olbrzymich wrót z dyamentu, których tysiące aniołów promiennych strzeże... prowadzą do Edenu...

"A gdy się ukaże sprawiedliwy, aniołowie występują przeciwko niemu i ściągają zeń szatę jego śmiertelną a wkładają suknię tkaną z najpowiewniejszego eteru i zdobią skroń jego koronami dwiema, jedną z kosztownych kamieni, drugą z najczystszej złota, i kładą mu w ręce osiem gałęzi myrtowych, a lecą przed nim i śpiewają:

Wnijdź o duszo szczęśliwa i pożywaj w pokoju chleb na któryś zasłużyła.

I towarzyszą mu ztąd do miejsca drugiego, oblanego wody świeżymi, które tysiące róż i myrtów otacza.

Każdy ze sprawiedliwych siedzi tu pod świetnym baldachymem, przy którym płyną cztery strumienie mleka, wina, wonności (korzeni) i miodu, a po nad nim unosi się złota, kamieniami wysadzana latorośl winna, a wewnątrz świeci stół cały od złota, a seciny aniołów otaczają go i śpiewają, chwałę jego: "Używaj w pokoju miodu świętego prawa, któremu wiernym pozostałeś."

"Tu się spełnia i odnawia w nieustannych przemianach żywot sprawiedliwego, z jednego wieku w drugi; teraz przywdziewa on całą kwitnącą młodość i mięsza się z młodzieżą w gmachach dla niej przeznaczonych; potem dojrzewający wiek obleka i idzie z dojrzałymi razem; nareszcie bierze na się surową i poważną starość i pociechy wieku sędziwego zażywa..."

"Wzdłuż Edenu zielenią się miliony milionów drzew, z których najmniejsze kosztowniejsze jest niż najdroższa roślina ziemi; w każdym kątku aniołów chóry śpiewają chwałę najśłodszymi głosami; a w pośrodku wznosi się drzewo żywota, szeroko rozpościerając ramiona... Owoce jego mają smak i zapach wszelkich owoców tysiąca..."

Nad niem wlatuje siedem obłoków najczystszej eteru, lekki powiew wiatru je porusza i woń jego szeroko roznosi...

A w cieniu gałęzi siedzą mędrcom prawa świętego, każdy pod baldachymem dwiema, pod jednym z gwiazd, pod drugim ze słońc, a między nimi rozpościera się zasłona przejrzystego eteru.

Innych rokoszy Edenu, nigdy duch ludzki pojąć nie jest zdolnym.

Posłuchaj jeszcze, mówił dalej Jakób, podaj o raju (Pirke Eleasar) i legend hebrajskich, najmniej znanych ze wszystkich może, a zajmujących nawet dla was, gdy je ze średniowiecznymi porównać zechcecie.

Raj stworzony był przez Boga przed wieki wedle jednych, wedle drugich w dniu trzecim stworzenia razem z drzewy i roślinami. Piekło go poprzedziło bo stworzone zostało dnia drugiego, niektórzy rabbini przypuszczają dwa raje; raj niebieski i raj ziemski. Rozmaitymi imionami w księgach starych mianuje się ten przybytek szczęścia, który obrachowany na mile dzieli się na różne części, jak w Dantem są też różne niebios, Czyśca i piekła strefy.

Różne też drogi ze stron wielu wiodą, do niego, jedna z nich główna poczyna się w ziemi świętej od Beth Szooan. W siedmiu przybytkach zamieszkują tu dusze błogosławionych.

W jednej z ksiąg naszych jest poetyczna legenda o śmierci pobożnego Rabbi Josua, która ma związek z pojęciami o raju naszych religijnych wieszczów.

Gdy nadeszła godzina śmierci Rabbi Josua ben Levi, Bóg wysłał doń anioła z rozkazem by mu przed zgonem dozwolił spełnić, cokolwiek zapragnie. I przyszedł anioł do pobożnego a rzekł mu: Czas twojego zgonu nadszedł, alem ja tu zesłany abym spełnił rozkazy twoje. Rabbi odrzekł na to że pragnie aby mu miejsce przeznaczone dlań w raju ukazał. I poszli razem aż do opasania raju, a że Rabbi lękał się wysłańca Bożego, ażeby odjąć obawę anioł oddał mu miecz który niósł w ręku.

Wstąpiwszy na mur z Josuą, anioł pokazał miejsce dlań przeznaczone, a pobożny lękając się boleści zgonu, uskoczył przez mur, ażeby skonania uniknąć. Anioł śmierci, który olbrzymem jest, pochwycił wszakże uciekającego za kraj szaty i chciał zmusić do powrotu, ale Rabbi zaklął się na imię Boga tajemne że nie powróci na ziemię.

Naówczas powstał aniołowie inni i skarżyli przed Bogiem na Josuę, iż przemocą odzierał miejsce swe w raju; a Bóg rzekł:

— Jeśli mu dowiedziecie że kiedykolwiek w życiu przysięgę naruszył, niech będzie powróconym, jeśli nie, zostanie w raju.

A gdy się nań nic nie znalazło, ben Levi w raju zostawion, miecz tylko anioła śmierci powrócić musiał, wiążąc go przysięgą by się okrutnie w godzinie zgonu z ludźmi nie obchodził.

I szedł ben Levi poprzedzon przez proroka Eliasza wołającego:

— Czyńcie miejsce synowi Levi.

Gdy się Malach hammoves (anioł śmierci) żalił na krzywdę swą przed pobożnym Rabbanem Gamaljelem, ten mu rzekł:

— Dobrze uczynił, ale powiedzcie mu odemnie aby raj cały przejrzał i piekło widział całe, a co ujrzy doniósł mi. Szczególniej czy z obcych narodów są jacy w raju i czy synowie Izraela znajdują się w piekle?

Szedł tedy Ben Levi obchodząc raj, a znalazł go podzielonym na siedem gmachów, z których każdy sto dwadzieścia tysięcy mil długi był i szeroki. Mury pierwszego były z kryształu a belki z drzewa cedrowego, mieszkańcami jego

nawróceni, a starszym nad nimi prorok Obadjah. Nie chciano wpuścić do gmachu Josuę, ale prorok mu pozwolenie wyjednał.

W drugim gmachu mury były ze srebra a belki z cedrowego drzewa; mieszkali w nim ci co pokutę uczynili, a wodzem ich był król Manasse. W trzecim przybytku ze srebra i złota znalazł Rabbi patryarchów Abrahama, Izaaka i Jakóba, ze wszystkimi Izraelitami, którzy wyszli z Egiptu i w ciągu czteroletniej podróży umarli. Tu byli także Dawid, Salomon i wszyscy inni królowie z rodu Judy, oprócz Manasse i synowie Dawidowi z wyjątkiem Absalona. Wodzami ich byli Mojżesz i Aaron. Tu Rabbi znalazł zdziwiony między syny Dawidowymi Gileaba. Pałace te pełne były najwspanialszych naczyń od złota i srebra, drogich kamieni, wonności, olejów i balsamów.

Komnaty zastawione były sprzętami pysznymi, oświecone świecznikami ze złota, pereł i drogich kamieni. Spytał Rabbi króla Dawida, dla kogo to wszystko zgotowanem było i otrzymał odpowiedź:

— Dla dzieci człowieczych.

— Czy do nich liczą się i synowie Ezawa? spytał Ben Levi.

— Nie, odrzekł Dawid, Bóg cnotliwych z między nich nagradza na ziemi, ale w tym świecie idą do otchłani. Izraelici zaś nawet grzeszni, gdy za grzechy swe odpokutowali, stają się dziedzicami tych wspaniałości, albowiem mówi Mojżesz iż Bóg z przed oblicza swego zmiecie tych co go nie miłowali.

W czwartym gmachu znalazł Josua całkiem sprawiedliwych, którzy nigdy nie grzeszyli. Rabbi nie opisuje pałaców ani przywodzi imion tych których tu zastał, woła tylko:

— I było tu tak pięknie jako piękne wydawały się stopy Adama świecące nakształt dwóch słońc.

Belki komnat były z drzewa oliwnego, oznaczając iż życie sprawiedliwych na ziemi goryczą przepełnione jest jako drzewo oliwne.

Mieszkańców w części tej było niewiele.

Piąty gmach był z najczystszeo złota, kryształem, srebrem i dyamentami sadzony, a woń jego z najdroższych balsamów Libanu, a posadzki z najkosztowniejszych kobierców, ze złota, srebra i purpury tkanych, które Ewa z aniołami przędła i szyła. Tu mieszkali tylko dwaj, Messjasz syn Dawidów i prorok Eliasz. Tu znajdował się osobny przybytek Afirjon z drzewa cedrów Libanu zbudowany, wyłożony kamieniem drogim, w którym Messjasz w odosobnieniu opłakiwał dni niewoli Izraela, a Eliasz pocieszał go, głowę jego podnosząc z ziemi i składając na swem łonie.

Tu przychodzili doń w poniedziałki, czwartki, sabbat i piątek, Mojżesz, Aaron, Dawid, Salomon i królowie pokoleń obu, pocieszając i łagodząc boleść jego. We środe przybywali Korah, Dathan i Abiram z Absalonem, nalegając i pytając: kiedy wszystkiemu koniec będzie? kiedy powstaną z grobów umarli? a Messjasz odpędał ich słowy przykreimi.

— Nic jestże to poemat wschodni? nie czujeszże w tem pracującej wyobraźni znękanego narodu, który buduje za światem gmachy złote, aby w nich roił szczęście z którego został wydziedziczony na ziemi? mówił Jakób dalej.

W tem wszystkim jest niezmierna boleść i wiara potężna oczekująca wieki na godzinę odkupienia Izraela. Ludzie płosili naśmiewali się z tych marzeń, ale zarówno śmiać się można i z Danta rozmierzającego swe piekło i niebiosą.

Piekło ksiąg talmudycznych, jest koniecznym dopełnieniem tego obrazu. W pojęciach o niem znajduje się wiele wspólnych bo jednoczesnych z chrześcijańskimi. Wedle księgi Niszmass Chajm dzieli je od rajy przestrzeń nader małą, niektórzy mówią ściana tylko cienka, jak w świecie cnotę od upadku przedziela często jedna chwila. Z piekła jak z rajy wypływa rzeka... ale ta jest gorąca, gdy rajską jest chłodną.

Troje wrót wiodą do piekła, jedno od morza, drugie od pustyni, trzecie z zamieszkanego świata.

Pięcioro ogni rodzajów ma piekło, wszystko pożerający, pochłaniający, niszczący, niepożerający i niechłonący i ogień który sam ogień pożera... Piekło jest sześćdziesiąt razy większe niż ziemia. Tu stoją pałace rządzących krajem podziemnym, a jest ich trzech pod wodzą głównego, którego imię jest Dumah. Posługaczami ich niezliczona moc skorpionów i węzów. Tu w komnatach zamknięci cierpią ci, którzy księgi święte obracali w szyderstwo, pogardzali duchownymi, źle obchodzili się z ludźmi i nie modlili w świątyni.

Krzyk i wrzask męczących i męczonych unosi się po nad gmachami. Dwaj szatani Gimgums i Tassurinia, zbierają po świecie jeden mowy próżne które ludzie wiodą, za życia, drugi rozbitych naczyń skorupy, które ludzie tłuką w gniewie. Rabbi Simon wymienia jeszcze trzeciego szatana imieniem Sazsaris, który sam lub przez posługaczów swych ludzi do grzechu kusi.

Wódz szatanów Dumah mieszka ze swymi podwładnymi w tej części piekieł, która się zowie Bor, ma tu budowania różne. W jednym z nich, Szaches, płonie wielki ogień, a mimo to panuje ciemność i nieczystość. Tu wiedzie wrót troje; w jednych z nich stoi szatan Arszerija i z milionami posługaczów ich pilnuje; u drugich Tuskifa, a obok niego Kos Hattarelah z puharem w którym jest napój gorzki; tego anioł śmierci używa dla ludzi na zgon przeznaczonych. U trzecich wrót stci Sanagdiel. Każdy prawie rodzaj grzeszników w osobnym kole pod dozorem szatana, jak w piekle Danta.

W drugim obwodzie piekieł, który się zowie Dumah, jak sam wódz, ciemniej jest jeszcze. Wiedzie do niego wrót czworo, a każdymi inni wchodzą, grzesznicy; Talmud zowie po imieniu szatanów dozorców każdego okręgu i ich zajęcia opisuje. Ostatni z nich jest Sachsicha siejący niezgodę. Tu mieszczą się rabbini dumni, fałszni wykładowcy pisma, lichwiarze, kłamcy, ci co się śmieją czasu modlitwy, ci co nie odpowiadają amen.

W okręgu Tit hajovem (który odpowiada Dantejskiemu opisanemu w końcu XVIII, pieśni piekła) zamknięci są ci, co zgrzeszyli przeciwko wierze; tu męczą

krzywoprzysięzców, tych co biednymi i ubogimi gardzą, sędziów niesprawiedliwych.

W okręgu Szeol jedno jest wniście tylko i jeden strażnik Ebah, który ludzi do wojen i walk kusi. podwładni jego są podżegaczami boju i mężobójstwa; tu zamknięci są zdrajcy i ci co w zmartwychwstanie nie wierzą.

W Zel wówes znowu jest wrót czworo i wielka liczba szatanów złośliwych, którzy wiodą ludzi do najdzikszych zbrodni i okrucieństw.

Naostatek w Erez Tachlin, najgłębszem piekle z którego nie ma wybawienia, dręczeni są ci, których grzechy żadną męczarnią, okupione być nie mogą. Czworo wrót zwróconych na cztery świata strony, wiodą do tego okręgu. Tu zamknięci są ci co nietylko upadli sami ale drugich do upadku wiedli, ci o których mówi Izajasz prorok, że robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie... Ci płoną trojakim ogniem czerwonym, zielonym i niebieskim, a studzą się lodem i śniegiem, by znowu byli paleni i gotowani. Tu ściekają wszelkie brudy i nieczystości z całych piekieł i jad owego węża starego który Ewę kusił w raj. Tu w trzechset kryjówkach zamknięci są obcych narodów królowie i panujący, którym losu ulżono zato, że nie prześladowali Izraela. Ci, choć w piekle są, nie cierpią boleści żadnych, i promień święty nawet im przyświeca. Inni po trzykroć są, męczeni na każdy dzień przez anioła, aż dopóki wiary Izraela nie wyznają.

Ten sam Josua ben Levi poeta, który opisał niebo, dał też obraz piekieł i jego męczarni, ale mógłże co innego wymyśleć nad to, co w średnich wiekach powtarzało się wszędzie o piekielnych otchłaniach?

Rozszerzyłem się nad tem, rzekł Jakób, abym ci dowiódł że nie ma nic śmiesznego w tych widziadłach rozgorączkowanej wyobraźni, chyba dla ludzi płochych; nauka o niebie, o piekle, o zmartwychwstaniu, o czyściu, o pokucie za grzechy, dziwnie się zbliża do chrześcijańskiej. Podobieństw tych znajdzie się bardzo wiele uderzających; charakter nauki, nawet jej zbłąkania nie nam tylko są właściwe, chociaż na nich także piętno swe wycisnęła długa niewola.

Czuć ją wszędzie, w wierze, podaniach, w obrzędach, w życiu naszym całym. Dla tego nie godzi się nam wyrzucać wielu obłudów, które są raczej jej dziełem, niż naszym; męczeństwo tysiącoletnie odbić się musiało we wszystkim, czego dosięgło. W tym zbiorze talmudycznym tak wyśmiewanym i pogardzanym, nawet przez wielu płochych Izraelitów, są rzeczy wielkie i głębokie obok niezrozumiałych i śmiesznych; są pełne znaczenia przy pozornie nedorzecznym, jest to stós szczątków w którym jednak z pochodnią rozumu idący badacz klejnoty zbiera i skarby. Dla ogólnych dziejów umysłu ludzkiego, talmud prawie nietknięty dotąd, dostarczyłby obfitego materiału. Po większej części są to rozmowy duchownych, ich spory i zdania w rzeczach wiary, legendy, powieści, opisy z różnego czasu, językiem nawet różne wedle epoki z której pochodzą; z Jeruzalem, z Pumbedith'a, Naharda, Sura, Lud i Alexandryi. Silono się aby z tego materiałów ogromu jedną spójną i całą systematyczną wyciągnąć naukę; dokonał próby szczęśliwie Majmonides, chociaż księga jego szanowana, nie przez wszystkich uznana i przyjęta została.

Umysł czysty i zdrowy ze wszelkiego pokarmu czerpać umie zdrowie i siły, gdy dla ślepych a płozych ludzi nie ma czego by nie wyśmieli, czemby nie rozumiejąc, nie wzgardzili. Czysta nauka Mojżeszowa, w której tkwi Bóg jeden, nieśmiertelny, wszechmocny, duszy wiekuistość, życie pozaświatowe, niezłomność prawa Bożego w życiu, w cnocie i występku mieszczącego nasiona nagrody i kary i braterstwo ludzi wszystkich... wykwita z tego podścieliska i gruzów wiekowych widomie, dla poświęconych czystych oczu człowieka nieuprzedzonego....

Pomiędzy nami, jak pomiędzy wami, mówił dalej Jakób, są ludzie wszelakiej natury i charakterów: ci którzy potrzebują wiary i czują prawa moralne i tacy co w zaślepieniu i pysze w nic wierzyć nie chcą, ci co w religii czyste oddzielają dla siebie na pokarm ziarno i fanatycy krótkowidzący co się wiążą do litery, nie mogąc odkryć w niej ducha...

Spółeczność nasza rozdzieloną jest więc teraz bardziej niż kiedykolwiek na różne ludzi rodzaje, na żydów takich jakimi ich ucisk i niewola uczyniły, ślepych talmudu zwolenników czczących Rabbi Ekibę, Eliezera i Jozuę na równi z samym Mojżeszem... (są to starzy żydzi) na tych co żydami będąc są nimi jak ja, dodał Jakób, czerpią w Mojżeszowych księgach czystą naukę starego zakonu, szanując narodowe tradycje... w ostatku na liczny szereg tych żydów z imienia, co żadnej wiary nie mają... dzieci wieku.

Filozofie i racjonalizm XIX. wieku liczbę ostatnich niezmiernie pomnożyły; można powiedzieć że większość społeczności naszej żadnej nie wyznaje wiary prócz ateizmu i pozytywizmu nie starczącego człowiekowi.

Nie mówię naostatek o tych co pozornie przyjęli chrześcijaństwo, bo nimi pogardzam, ani o tych co apostazyą okupili sobie wygodniejszy byt i swobodniejsze stanowisko w świecie.

Rozumiem ja nawrócenie jako światło z góry; szanuję tych co dla prawdy poczutej głęboko, uznanej szczerze, poświęcili narodowość, rodzinę, tradycje, wszystkie węzły łączące ich z dawnym swoim światem... skłaniam głowę przed nimi, ale nie mam imienia dla frymarczących wiarą, zaró wno żydów i chrześcian — Niżej już upaść nie można, jak sprzedając swojego Boga za kawałek chleba...

Wyższe społeczeństwo ukształcone europejskoizraelskie składa się przeważnie z żydów, którzy imieniem tylko są już nimi; zbyt chłodni racjoniści aby chrześcijaństwo przyjąć mogli, zbyt rozumni by im starczyło to, wedle nich, zbutwiałe prawo mojżeszowe, dla barbarzyńskiego utworzone narodu, są ciekawą próbką ludzi nie mających zasad żadnych, prócz tych które stawi dobrze zrozumiany interes. Przy największej oglądzie, nauce, świetle pozornem, społeczność ta jest jak lód zimna i martwa. Zapiera się ona tradycyi wszelkich, nie ma przeszłości, wstyd jej tego żydowstwa, którem inni się chlubią; nie widzi nic nadal, życie dla niej odarte jest ze wszystkiego co stanowi jego poezją, opromienienie, uczucie; ogranicza się zwierzęcemi funkcjami przyzwoicie

ponazywanemi i zaspokajaniem rozumnie. Można sobie wyobrazić czem jest człowiek w takiej społeczności dla drugiego człowieka?? — tylko narzędziem.

Interes i rachuba rządzi wszystkim, a co dla obojga jest zerem, pozostaje nicością w sferze moralnych obowiązków. Odpada więc połowa świata jako całkiem dla tych ludzi obojętna.

Pojmujesz z tego czem dla nich jest naprzykład... kobieta, i czem się staje niewiasta w takim społeczeństwie. Me śmie ona ani potrafi być Izraelitką starego zakonu, niewiastą pierwszych wieków; ani talmudyczną umiłowaną służebnicą, ani uidealizowaną istotą jaką ją stworzyło chrześcijaństwo — będzie ładną lalką, którą się ludzie bawią, odrzucają, lekceważą, nasycając płochą namiętność lub próżność.

W tych zobojętnianych ludziach bez wiary odmalowałem ci ojca Tildy i jego rodzinę. Był to człowiek uczciwy przez dobrze zrozumiany interes własny, ale nie miłujący cnoty, zimny a cielesnie namiętny, inteligencji potężnej a niechący widzieć że są rzeczy które się ani obrachować nie dają, ani dotknąć... a przecież istnieją i tworzą niewidzialną sieć oplatającą życie.

Ja przez moje wychowanie żydowskie naprzód, potem europejskie i ludzkie stałem się innym, nowem czemś dla siebie i nowem dla moich współ braci; jestem żydem szanującym tradycje a nie przesądnym, w głębi serca zachowałem uczucie i wiarę jako najdroższy skarb, ale nie odpychając światła rozumu i prawa postępu, nie wyłączając się z ogółu ludzkości. Godzi się to we mnie i daje mi spokój duszy zupełny.

Gdy skończywszy nauki powołany zostałem przez ojca Tildy, opiekuna mojego do Warszawy, nie miałem jeszcze wyobrażenia najmniejszego o stanie naszego społeczeństwa. Na wsi spotykałem tylko dwa żydów rodzaje; starych a wiernych prawu aż do najmniejszych jego drobnostek i niezrozumiałych dziś lub zabobonnych przepisów — i tych którzy tylko krwią byli braćmi naszymi, a nie obyczajem i duchem.

Przyznaję się że z ciekawością wielką zbliżał się do stolicy królestwa, niespokojny o przyszłość moją, nie mając najmniejszego wyobrażenia tego świata w który wniść miałem. Żydzi na prowincjach żyli i żyją całkiem jeszcze oddzieleni od chrześcijan, tu spotkać ich miałem poraz pierwszy jeśli nie z prawa, to z obyczaju wieku zlanych i połączonych z chrześcijanami. Pierwszych dni po przybyciu mojem, wyznaję, nic jeszcze, z tego co mnie otaczało, zrozumieć nie mogłem. — Spotykałem żydów którzy już żydami nie byli; innych co się milczkiem zapierali pochodzenia które stało wypisane na ich czole... niektórych ponuro milczących, niezrozumiałych... większość prawie ukrywającą się z wiarą swoją choć jeszcze jej wierną... Widocznem było na pierwszy rzut oka że się tu zażarta toczyła walka... Liczba, znaczenie, pieniądz, wykształcenie Izraelitów stawiały ich już na stanowisku takim, że się praw i uznania swego obywatelstwa domagać musieli. Stara szlachta, piastunowie tradycji narodowej źle rozumianej, grzecznie, szydersko, zimno, nieznaczenie odtrącały tych kto rych zawsze jeszcze liczyli za przybyszów. W obu obozach

nienawiść rosła i niechęć, położenie było niejasne, fałszywe; choć stosunki codzienne zbliżały, choć potrzeby łączyły, choć interes chwilowo przejednywał; wspomnienia, przesady, wiara, dzieliły jeszcze. Tego com tu znalazł, w co wpadłem, na wsi się nawet domyślać się nie było podobna; w przeciągu dni kilku uczułem że bądź co bądź, w duchu wieku i sprawiedliwości zwycięstwo być musi po naszej stronie. Opór nietylko był daremny, ale spieszny i nielogiczny. Ci co w nim trwali, sami widzieli że nie wytrwają.

Ojciec Tildy miał prawo pochłubić się swym wychowawcą, wprowadził mnie więc w towarzystwo swoje; miałem oprócz tego licznych krewnych w stolicy, w parę więc dni po przybyciu mojem, mnóstwo już porobiłem różnorodnych znajomości.

Zdumiewałem się na każdym kroku, że nie powiem, gorszyłem; niemal wszędzie i u wszystkich żydów znalazłem jedno uczucie niepojęte dla mnie, jakiś osobliwszy wstyd swojego pochodzenia, mil czące lub głośne nawet zapieranie się żydostwa.

Po domach bogatszych Izraelitów nie było śladu dawnej wiary i tradycji, stroje dziadowskie znikły, obrzędy nie były zachowywane, ukrywano się z Sobotą; obok tego żydzi ostrzejszej reguły i żydzi ochrzczeni, żydzi nie mający żadnego wyznania, lub należący nominalnie tylko do jakiejś gminy religijnej — składali osobliwszą mozaikę. Żyło to w zgodzie niewytłumaczonej chyba całkowitym sceptycyzmem i indferentyzmem. W głębi jednak tej mieszaniny wrzał jakiś niepokój, fermentowały zarody walki, oznajmujące żeśmy przyszli do sił która ją czyniła możebną.

Znalazłem stolicę przepelnioną współbraćmi moimi, nawet tam gdzie ani nazwiska ani wyznanie przypuszczać ich nie dozwalały; — spotykałem się z nimi na każdym kroku, ale w obec nich, już nieco nauczony doświadczeniem, musiałem być milczącym, co chwila uderzając się o zdania i wyobrażenia rażące mnie, z którymi przejednać się nie mogłem. Szanując opiekuna mojego, znajdowałem w nim pierwszym najboleśniejsze dla mnie zjawisko; nie mogłem go kochać ani się doń przywiązać. Musiałbym ci przedstawić wybitniejsze typy tej społeczności, aby ci ją dać poznać; — ogólnikami ona określić się nie daje. W ogóle to na co patrzaleni raziło mnie i zasmucało; byliśmy w widocznym postępie, na drodze do potęgi, do uznania, ale już nie sobą; rozbici, zapierający się siebie, rozproszeni, osłabli; a co gorzej i dla kraju dość obojętni i do związku szczerego z nim nie gotowi. W objawach patryotyzmu więcej było rachuby niż uczucia, ostentacji niż miłości, pychy niż zrozumienia obowiązków. Prawie przestaliśmy być żydami a nie umieliśmy Polakami zostać, co było obowiązkiem; — w niepewności, na rozdrożu, szliśmy bez jasnego określenia powinności, celu, środków.

W młodzieży rozwijało się uczucie, u starych królował interes, niedowierzający, bojaźliwy, rachujący na półśrodki, na zręcznostki, na wypotrzebowywanie słabości ludzi i słabości chwili... Oburzałem się w duchu nie dostrzegając w nas tego szlachetnego popędu, jaki w starym narodzie kapłanów prawdy, widzieć

pragnąłem. Alem zapomniał że ucisk i niewola uczyniły Lewitów wykrętnymi spekulantami dla ocalenia głowy i spokoju. Nie myśmy tu byli najwinniejsi!!

Chwilami zdawało mi się że jabym to wszystko dziwne, nieprzejednane, bojujące, potrafił pogodzić idąc prostą, szczerą, jasną drogą, ale na to trzeba było prostych, szczerych, jasnych ludzi... Tych mieliśmy mało!

Smutne to było!! Westchnął Jakób kończąc swe opowiadanie, a ciemny wieczór zmusił ich już zatrzymać się właśnie przed gospodą która się nastęczyła.

Był to domek mały murowany u samego brzegu morza, na złomie skały wzniesiony. Znak gospody starym obyczajem wywieszony (wiecha) oznajmił że to było Albergo di tre corone. Przed szeroką sklepioną bramą, w której głębi widać było nałożone ognisko, stał wóz o dwóch kołach i kilku ludzi w wypłowiałych kurtkach pozarzuconych na ramiona, w starych czapkach marynarskich. Kobieta z dziecieniem u piersi siedziała pod murem zamyślona, dziewczę na pół nagie leżało u nóg jej uśpione. Fala niebieska o kilka kroków płukała wybrzeże po nad które zwieszały się winne latorośle, dziko porozrzucane aloesy, i sucha, pokręcona konwulsyjnie figa.

Podróżni nasi rzucili swe małe tłumoczeki u drzwi i kazawszy przygotować sobie wieczerzę, poszli oddychać u brzegu na kamieniach tem powietrzem morskiem, które samo karmi i orzeźwia. U nóg ich w poplątanych krzewach latały luciole świecące, a na ciemniejących niebiosach podobne im wytryskały gwiazdki jasne.

Cisza uroczysta wieczora... modlitwa ziemi znużonej — i im zamknęła usta.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Józef Ignacy Kraszewski
Żyd

Tom 2

Nazajutrz zbudził podróżnych szmer przed gospodą w której spoczywali i ryk osielka przypominający niemiłe koncerta wirtuozów genueńskich, które codzień do wczesnego wstawania w Hotelu Federa zmuszały, rozpaczliwymi rykami biednych parjów zwierzęcego społeczeństwa. — Potrzeba było korzystać z poranka, nimby słońce dopiekać zaczęło; a dnia zeszłego nie wiele też zrobili drogi i piesza ta przechadzka do Pizy obiecywała potrwać dość długo.

Ale w tym kraju uroczym, ze swobodą młodzieńczą, z zadumą wiośnianą, możnaby przewędrować lata nie zatęskniwszy za spoczynkiem, nie obliczywszy się z dniami.

Jakób był smutny i milczący. Iwaś zadumany także, długo szli nie mówiąc słowa do siebie.

— No cóż, czyś skończył historią swoją? zapytał wreszcie Iwaś... ja, nie wiem, znam już jej

treść prawie całą, jak mi się zdaje, a jednak szczegółów żaden jestem... czuję że wiele mieć będziesz do wypowiedzenia mi jeszcze, jeśli zechcesz... a, nie śmiem się napierać...

— W istocie, odpowiedział Jakób, ściśle biorąc mógłbym ją skończyć w dwóch słowach lub mówić o niej dwa lata a nie wypowiedzieć i połowy tego co dla mnie człowieka nowego, ów świat inny, nieznaną przedstawił zadziwiających fenomenów!

Nietylko w naszym społeczeństwie, ale w ogólnym stanie kraju łatwo mi było dostrzedz zarodków fermentacji zwiastujących pracę przetwarzającą, reformującą, nie uniknionych a nie obrachowanych skutków.

Wszędzie spotykałem ruiny... ogrom bezładnego materiału na przyszłą budowę, nigdzie nic poczętego, nigdzie nawet planu ani idei nowego gmachu. Jedni pragnęli tylko stare mury popodpierać, drudzy je nieco przerobić z góry, obalić jedno piętro, pobielić po wierzchu; inni zburzyć ze szczerem choć nie wiedząc spełna jeszcze co na ich miejsce postawią.

Tak, gdy wybije owa godzina wieków, niepokój napada ludzkość, rzuca się ona i miota, a bądź co bądź stanie się prędzej czy później, co chce mieć wiekuiste prawo Boże...

Z poziomego wszakże stanowiska ludzkiego, rzeczy te smutnie wyglądają — jam widział początki chaosu. Fiziognomia zewnętrzna kraju jeszcze zachowywała rysy dawne, tradycyjne, ludzie jeszcze nosili myśli i mieli mowę prastarą, ale i tu... w głębi, w głębi było zwątpienie.

Nowatorów było pełno, przeczących i bluźniących przeszłości bez liku; ambitni i szarlatani na czele jak zawsze... najwydatniejsi, najhałaśliwiej krzyczący w imię prawdy której koniec sztandaru spuszczały do swojej kieszeni... Przeląkłem

się prawie wchodząc w tę ciżbę rozgorączkowaną i nie ochłonałem ażem się z tą nową dla mnie temperaturą oswoił.

Do charakterystyki czasu i społeczności należą i dobrzy, kochani ludzie, których spotkałem po drodze — pełno...

Przeważna ich liczba ogromną odegrywała rolę. Żadnych zasad... ale powolność największa i wyrozumiałość niezrównana dla cudzych grzechów, aby wyjednać swoim pobbłazanie, uśmiech w ustach, słodycz w mowie, serdeczność w wyrażeniach niezmierna, pokrywająca chłód i przewrotność... Wszakże mieniono ich dobrymi, bardzo dobrymi ludźmi; szczególnie przy kieliszku i w wesolem gronie... Dobroć zawisła na tem by im wszystko uchodziło bezkarnie... a oni za to puszczali płazem winy bliźniego.

Tą dobrocią poczciwych i kochanych współbraci, ziomków, towarzyszków, przyjaciół, społeczność powoli rujnowała się moralnie... Napaść na nadużycie było to targnąć się na uświęconą poczciwość, na uzyskaną popularność, na uznaną cnotę...

Daruj mi ten ustęp, rzekł Jakób, ale z pomiędzy wielkich i sławionych ludzi owych lat w Warszawie, większa część, najpopularniejsza należała do tych poczciwców o jakich mówię.

Choćbyś ojca rodzzonego zabił, byłeś uściskał z uszanowaniem jednego z tych dostojnych mężów i nie zbuntował się przeciw jego wielkości — mogłeś być pewien bezkarności. Ale niech Bóg uchowa byś się miał targnąć na jaką uznaną zasługę! naówczas cały solidarny orszak tych bohaterów rzucał na cię kamieniem...

Tknałeś świętość społeczną... winieneś był śmierci jak Sokrates... co się targnął na bałwany atheńskie. Spokój rzeczpospolitej wymagał by cię w śmierć pojono cykuta. Za to kto ujął sobie owych wielkich ludzi, mógł broić w dzień biały... było mu wolno, należał już do tych... poczciwych! kochanych!! Mój opiekun patrzył na mnie z uwagą i wnioskował zapewne ze znajdowania się wśród nowych żywiołów o naturze mojej... Nie sądzę by mu powściągliwość początkowa nie przypadła do smaku; zdawał się owszem ze mnie zadowolniony jak na początek. Nie wiem czemu lubił mnie badać gdyśmy zostali sam na sam; uwagi moje podobały mu się w ogóle... chociaż czasem się z nich uśmiechał. Znalazł mnie tylko nadto żydem, że się tak wyrażę... w stosunku do siebie. Gdym w Sobotę oświadczył mu, że wedle obyczaju religijnego pójść chcę do synagogi, z początku się zadziwił, pomyślał, potem zapytał mnie:

— Cóż to? chcesz pozostać wiernym starym tym i bredniom i przesądom? — Daruj mi pan, odpowiedziałem, ale ja żydem byłem, jestem i chcę pozostać... — No! no! jak wola Twoja, rzekł, ale dziś już nie ma tu żydów, przedewszystkiem człowiekiem być potrzeba. Żydowstwo to może cię powstrzymać na drodze, wikłać, trzeba się otrząść z tego lub przygotować na wiele niepotrzebnych trudności.

Zamilkłem, on dodał.

— Zresztą, zupełna w tym względzie wolność, uczynisz, panie Jakóbie, jak zechcesz... rozpatrzywszy się tu lepiej.

— Od tej chwili, zdaje mi się ten esprit fort osądził mnie jako dość słabego człowieka, na którego wiele rachować nie było można... dotknął granicy po za którą czuł że nie przejdę... Nie chcąc widać ażebym uległ jakiemu wpływowi obcemu, sam mi w rozmowie wskazał swojego przyjaciela, który, jak się wyraził, podobnym mu był w przekonaniach. Był to bardzo majątny kupiec, człowiek już stary, którego znałem z widzenia... a słyszałem o nim wiele, jako o widomej głowie naszego społeczeństwa, która wszakże była tylko widomą, gdyż inni nią kierowali i rządili, posługując się wielką ambycją małego człowieka.

Chcąc bliżej poznać pana Louis Mann, poszedłem do niego nazajutrz z uszanowaniem. Wiedział już kto byłem, bo mnie u mojego opiekuna widział parę razy i rozmawiał ze mną, ale się tam do niego zbliżyć nie mógł, wydał mi się bowiem dumnym, nieprzystępnym i opryskliwym. Wybrawszy godzinę w której go zastać byłem pewnym, udałem się do jego pomieszkania. Zajmował on dosyć paradnie urządzone pierwsze piętro, w którym się mieścił z żoną i trzema córkami. Syn już miał dom osobny...

Zadzwoiłem u drzwi, znalazłem przy nich lokaja, który mnie zameldował w sąsiednim salonie, gdzie były panny, kilku mężczyzn, bawiono się, śmiano i rozmawiano wesoło. Mann kazawszy mi wszakże na siebie wyczekać dobry kwadrans, wyszedł do pierwszego pokoju i nie znajdując stosownem wprowadzać w swe towarzystwo przyjął tu jako interessenta tylko, dość grzecznie ale protekcyjnalnie i jakby co najrychlej pragnąc się mnie pozbyć. Oczywiście dawał mi do zrozumienia że hołd sobie należny od współwyznawcy przyjmuje, ale zbyt się zbliżać nie ma ochoty. Położenie moje było dosyć ambarasujące; przeze drzwi otwarte widziałem przesuwające się postrojone panny, samą panią także bardzo wspaniale przybraną, wreszcie kilku elegantów, a stałem tu jakby żebrak, nieproszony nawet bym usiadł przed panem Mannem, który jedną nogę wsparłszy na kanapce, ręce powkładawszy w kieszenie, patrzył przebąkując coś do mnie przez okno... dłubiąc od niechcienia w zębach. Jeżeli mi tem przyjęciem chciał dać do zrozumienia że byłem dlań nader małą figurą, nie dokazał czego pragnął, bom się przy mojem ubóstwie, nicości, małości, uczułem wielkim poczuciem własnej godności i politowanie miałem tylko dla niego. Nie obraziłem się nawet i nie pogniewałem, w duszy spokojnie przypatrując się tej niezręcznej dumie dorobkowicza. Od pierwszego słowa zaczął mi dawać nauki i przestrogi, do których jakoś dziwnie mieszały się przypomnienia to znakomitości izraelskich, to dygnitarzy krajowych, to osób wysokiego dworu z którymi żył w poufałych stosunkach. Co mnie to obchodzić mogło? Chciał koniecznie olśnić... dla mnie były to pstrocizny nie blaski. Przy rannym surducie spostrzegłem trzy orderowe wstążeczki... — Młodzińcze, rzekł do mnie, bardzo się cieszę, że ten poczciwy mój przyjaciel podał ci rękę, uczyniżę mu pociechę swą pracą, a narodowi naszemu chlubę. Pomożemy ci wszyscy, ale się potrzeba tego stać godnym.

Wśród rozmowy, przez ciąg której patrzył nieprzerwanie w okno nie racząc nawet obejrzeć się na mnie, wyszła bardzo ładna panienska, strojna, z przymrużonymi oczkami, jakby tylko obejrzeć mnie chciała, zbliżyła się do ojca, położyła mu rękę na ramieniu i nie kiwnąwszy mi nawet głową, coś mu poszeptła śmiejąc się do ucha. Był to dla mnie znak ażebym co rychlej wyszedł, czułem się już nad miarę natrętnym i zabierałem do odwrotu, samemu pilno mi było.

Mann wcale nie myślał wstrzymywać; lekko bardzo pożegnał mnie i powrócił do salonu, do którego znać było mu spieszo. Dowiedziałem się później o wielu jego dobrych uczynkach, ale, słusznie czy nie, wszystkie one tłumaczono niezmierną próżnością tego człowieka. Miałby w istocie zasługę, że w najtrudniejszych czasach wszędzie otwarcie stawał za żydów i za żydami jawnie się ujmował, że się pochodzenia nie wypierał, chlubił niem nawet, ale za to sam chciał wszędzie reprezentować swój naród i wciskać się gdzie tylko było można w jego imieniu. Często robił to i niepotrzebnie i niezręcznie.

Był on, jakem już powiedział, widomym wodzem, ale otaczała go niewidoma falanga doradców zręcznych, którzy już znali środki jakimi prowadzić go było potrzeba, i jak mu własne zdanie podsunać, by je przyjął za swoje. Przeze drzwi, zawsze otwarte próżności, wniknąć było można jedynie do wnętrza ukłoniwszy się nisko na progu; uznany jako wódz, używany do roboty jako narzędzie błyszczące zadowolniony był z siebie. Nigdy powierzchowność lepiej nie malowała człowieka; mały, przysadzisty, szerokich ramion, ogromnie otyły, rozrostły, zdawał się zawsze niekontent, zawsze nadąsany lub przygnieciony pracy nawałem, która na głowę jego spadała, zdawał się na ramionach dźwigać świat cały i chcieć dać uczuć wszystkim że tylko taka potęga jak jego, brzemieniowi temu podołać mogła. W prywatnym życiu grał rolę znaną w teatrze francuzkim du bonru bienfaisant. W gruncie był to to wcale niezły człowiek, ale bliżej z nim obcując, przekonałem się, że jego orthodoxja izraelska nie była szczerą, używał jej za narzędzie tylko... w istocie tak dobrze w nic na świecie nie wierzył jak inni towarzysze tej samej sfery...

Oba z moim opiekunem, chociaż każdy na swój sposób, nienawidzili zarówno szlachtę polską... Ja nie dzielając wcale tego uczucia, widziałem w niem tylko jakąś namiętą zazdrość, której powody były dla mnie ukryte; zdawała mi się poniżającą nas... Nie okazywali oni tego uczucia jawnie, żyli bardzo dobrze z wielu obywatelami jak najwybitniej noszącymi swe szlachectwo, przyjaźnili się nimi... ale, niestety! z obu stron podobno pod

ta, przyjaźnią zwierzchnią, gorzała rodowa, wiekowa, nieprzejednana, dziecinna nienawiść. Chcieć było poznać wady i śmieszność żydów, trzeba o nie spytać szlachty — i odwrotnie. Nikt słabych stron obu obozów nie znał lepiej nad skrytych antagonistów; gdy nie można było uderzyć na co innego, bito z obu stron w niezliczone drobnostki, śmieszne, małe, których naturalnie wszędzie pełno...

Dla ciekawego, jak ja, chciwego postrzegacza, miasto tak ludne i ożywione przedstawiało arenę wielce zajmującą, przedewszystkiem jednak starałem się poznać to co mnie najmocniej obchodziło, współbraci moich, mój naród. Od dzieciństwa wyrabiał się we mnie gorące doń przywiązanie i pragnienie dlań dobra; nie mógłem sobie pochlebiać bym ja słaby, nieznany, bez wpływu, bez nauki, mógł mu być użytecznym, a jednak głos jakiś wewnętrzny mówił mi, pędził mnie abym się o to starał. Śniłem nieraz by być dla moich polskich współbraci drugim Bar Majmonem, by ich podźwignąć z upadku... chodziłem pieszcząc się z tą myślą, alem jeszcze nie wyobrażał sobie żeby istotnie reforma była tak potrzebną i by sięgnąć miała w te sfery wyższe, od których spodziewałem się poparcia, a w nich znalazłem straszniejszą nad te przesady z którymi walczyć zamierzałem — obojętność na wszystko i niewiarę.

Nie rzucając mej ulubionej myśli, (możesz się z niej śmiać, dodał Jakób) myśli stania się czemś w Izraelu, tu dopiero, na tym gruncie, zrozumiałem jak zadanie było trudnem, jak się doń przygotowywać należało. Pełniąc moje obowiązki, starając się poznawać świat i ludzi, oddałem się znowu ze świeżym umysłem czytaniu biblii i rozmyślaniom nad zakonem. Czas ten spędzony w stolicy, dając mi poznać ogrom tego na co się ważyłem, był dla mnie pełen nauki i marzeń najśłodszych. Spotykałem codzień prawie ludzi nowych, wyzywałem rozmowy, przekonywałem się że ta reforma, którą wystawiałem sobie jako oczyszczenie talmudu i sformułowanie systematyczne naszej nauki, z odrzuceniem i z niej tego, co wieki ciemnoty i upadku w nią wrzuciły, głównie i najpilniej była potrzebną, bo pod pozorem przesądów, zabobonów itp. odrzucano już nawet biblią, której powaga zachwianą została. Z ludźmi jak mój opiekun, jak tysiące jemu podobnych i większa część żydowskiej społeczności, w której już wszelkie uczucie religijne wygasło, nieskończenie było trudniej począć niż z fanatykami przywiązanymi przesadzoną ważność do form, obrzędów itp.

Człowieka wierzącego w nadto wiele rzeczy, ale szanującego powagę, tradycje i mającego w duszy jakieś ziarenko wiary, stokroć łatwiej nawrócić przychodzi, niż tego który wyśmiawszy wszystko odrzuca i zimnym rozumem chce zagadkę życia rozplątać.

Zkąd mi, drobnej istocie, przyszły te zamiary olbrzymie, nie wiem; małym jeszcze będąc, pragnąłem się umysłem wzbić nad innych, nie dla panowania im, ale dla podźwignięcia. Upadek mojego narodu był główną marzeń pobudką, ale gdy się zmieniła scena, rozszerzyło pole, gdym jeszcze mniejszym ujrzał się wśród tego potęg świata, nie zwątpiłem o sobie, owszem rozszerzył się zakres, wyrosły chęci, cały zebrałem się w duszy mojej, by dopiąć celu.

Nie chciałem się tylko spieszyć ani objawiać zawczasie, póki bym siebie pewnym nie był, a słabej strony tego świata nie zbadał. Nie uląkłbym się był niczego, przeraziłem się chłodem i absolutną niewiarą... ateusze stanowili ogromną większość, nie z żydami miałem do czynienia, ale z ludźmi co wszelki narodowy i religijny starli i stracili charakter. Niezrażony poznaniem jednego z koryfeuszów naszych, pana Manna, szedłem dalej usiłując się zbliżyć do tych,

których opinia, rozsądek, przy mioty, stosunki rozległejsze wskazywały mi jako przodujących. Z małemi różnicami ogłady lub gburowstwa, były to typu jednego warianty nieskończone. Znużony niemi zszedłem już z prawdziwą pociechą do niższych klas, u których jeśli nie wiara, to jej formy żyły jeszcze... Tu znowu pomiędzy życiem a wiarą była — przepaść. Zepsucie straszliwe, systematyczne, zimne, tradycyjne, wszechstronne i wpośród tłumu ludzi ledwie gdzie wybrańsza istota. To wszystko dowodziło mi coraz mocniej, że myśl reformy moja była na dobie, że przychodziłem z nią w czas, że... (daruj) mogłem być narzędziem Bożem, acz niegodnym dla podźwignięcia Izraela. Iwaś uśmiechnął się poglądając na Jakóba, którego twarz wypogodzona, jasna, poważna, promieniała szczerem, głębokiem natchnieniem.

— Jak to? spytał, nie zgubiłeś tej mrzonki na bruku warszawskim?

Nie, odparł Jakób, przyszedłem z nią, chodziłem, wyniosłem i powracam niosąc nazad, myśl ta jest całym życiem moim.

— Niestety! odparł Iwaś, przyszedłeś bardzo nie w porę! minęły dni proroków i prawodawców, przeszły te wieki, gdy człowiek energiczny pociągał za sobą tłumy.... Prozelityzm wszelki jest niemożebnością w społeczeństwie, w którym indywidualum tak samoistną gra rolę, gdzie każdy czuje się sobą i równo z wami uprawnionym do rozumowania, reformowania, postępowania wedle swojego własnego wewnętrznego głosu.

— Takby było jak mówisz, zawołał Jakób, gdyby w miarę jak się ogólne wykształcenie podnosi, nie winien był ów prorok nowy umysłem też i cnotą dźwignąć się jeszcze wyżej nad oświecone tłumy. Postrzeżenie twe trafne, ale wszystko się rozstrzyga miarą tego człowieka, który ma wywrzeć wpływ stanowczy....

— Maszże ty nadzieję dorosnąć do tej żądanej wielkości? spytał niedowierzająco Iwaś.

— Ja nie wiem, rzekł Jakób spokojnie, ale samo poczucie posłannictwa jest dla mnie jego dowodem, mogę upaść z mojej winy... noszę jednak w piersi tchnienie Boże, które mi, chociażbym upadł miał, iść każe.....

— O! biedny szaleńcze! szepnął cicho towarzysz drogi, jakież cię czekają losy?

— Ciężar tego co podźwignąć mogę, znam dobrze, mówił dalej Jakób, o sobie nie myślę wcale, idzie mi o cel wielki, o zadanie tak potężne, iż wartoby być pod niem zgruchotanym.... Ty wcale, dodał z westchnieniem, ty mnie nie rozumiesz! — Uczyń, bym choć obcy wam, mógł cię zrozumieć, odezwał się Iwaś, bo już nie pojmując cię wielbię.... I ścisnął serdecznie dłoń towarzysza. Mało znam żydów i ich naukę, ale mam współczucie dla waszego narodu... jego losy są w części naszymi.

W jednym z tych podręczników szkolnych z których nam niegdyś początkową historią wykładano sposobem katechizmowym przez pytania i odpowiedzi, moskiewski dowcipny pedagog, postawił uczniowi pytanie: Jakie są narody nie mające ojczyzny? Odpowiedzią na nie urzędową jest: Żydzi, Cyganie i Polacy. Głupstwo to niby złośliwe jakiegoś moskiewskiego diaczka utkwilo w mojej

pamięci od czasu jakem je usłyszał... Jest w istocie pomiędzy losem naszym a waszym nie jedno podobieństwo, ale i nie jedna różnica. Wasze nieszczęście sięga tych wieków, gdy je dzikością walk różnoplemiennych poniekąd uniewinnić można, nasze dopełniło się i spełnia w epoce, która na swej chorągwi zapisała braterstwo, prawo, pokój, swobodę! W losach naszych ze strony nieprzyjaciół jest więcej cynizmu, dolegliwsza sprzecznością z całym światem XIX. wieku ironia losu!... Ale powracaj do żydów.

— Znasz mnie więc teraz coraz lepiej, mówił powoli Jakób, widzisz przed sobą, jeżeli chcesz, fanatyka, wysłańca... człowieka co wierzy, spodziewa się... i ma wielki, jasny przed sobą cel życia...

Podróż tę moją, nie dla czego innego przedsięwzięłem tylko dla lepszego przygotowania się do spełnienia tego mojego postanowienia. Wracam z niej mocniej niż kiedy przeświadczony o potrzebie tego co dopełnić pragnąłem i pragnę. Widziałem żydów niemal wszystkich krajów; wszędzie znalazłem też same dwie choroby trawiące naszą społeczność — obojętność i niewiarę która nas czyni kosmopolitami lub fanatyzm i ciemnotę która oddziela, odpycha i odcina od ludzkości.

Pod działaniem tych dwojga rozczynników będziemy musieli zginąć — rozproszony Izrael wsiąknie w ziemię,... bo narody bez wiary i tradycji narodami być przestają; — a narody odcięte od macierzyńskiego łona ludzkości, żyjące zupełnie odrębnym żywotem w sobie tylko, wyczerpują się, koszlawieją, kaleczą i giną... Tego coby nas dziś jeszcze istotnie narodem, z posłannictwem odrębnym uczynić mogło — nie mamy, straciliśmy, odzyskać to musimy bądź co bądź... lub śmierć...

— I ty chcesz tego dokonać??

— Chcę przynajmniej wskazać co jest do wykonania... A dla czegożbym i sam do dzieła ręki nie miał przyłożyć, gdybym spotężniał tak abym był zdolnym głos podnieść! odparł Jakób. Człowiek który chce, ma wolę silną, posiada już połowę potęgi potrzebnej do czynu, jeżeli nie całą. — Nie całą, dodał Iwaś, bo rozum co wskazuje cel jasno, lub instykt który ku niemu ciągnie gwałtownie, stanowią drugą...

— Masz słuszność, odparł żyd powoli.

— Mówże dalej, proszę, po chwili milczenia odezwał się Iwaś, jestem rozjątrzony i ciekawy, jak sobie począłeś w Warszawie.

— Nic lub bardzo niewiele mogłem tam uczynić, mówił dalej pierwszy — jako bacznym gospodarzem opatrzyłem tylko rolę. do posiewu, badałem ją... Treść mych postrzeżeń już ci po części wiadoma; ale mi się one objawiły z taką różnorodnością form, że jej nie potrafię objąć całej w kilku słowach. Około tych głównych dwóch typów, mojego krewnego i jego przyjaciela Manna, kręciło się tysiące mniej więcej różnych, choć w głównych rysach do nich podobnych.

Zaraz po mych odwiedzinach u pana Mann, zapytał mnie ciekawie o niego opiekun, zapewne z wrażenia mego o tym człowieku, którego znał doskonale, chcąc sądzić nie tak o nim jak raczej o mnie. Byłeś u Manna?

— Byłem, odrzekłem krótko i sucho. Spojrzał badająco na mnie.

— I cóż? jakże go znajdujesz? dodał. Uśmiechnąłem się. — Znalazłem go, rzekłem, tak zajęty, że nie bardzo się do niego mógł przybliżyć.

Opiekun znowu popatrzył na mnie bystro i ze zwykłą sobie trafnością odgadł wrażenie. — Cóż? spytał, czy cię źle przyjął? zimno?

— Ale nie... był zajęty...

— Nie uważaj na to, rzekł żywo — to gbur...

Zresztą gburstwo to może jest trochę umyślne... no! ale w gruncie człek bardzo dobry... poczciwy... Wstawaliśmy od stołu, kobiety odeszły do salonu, on mnie pociągnął za sobą do swego pokoju. — Jakże to było? począł dopytywać ciekawie, mów bo...

Opowiedziałem mu całą moją bytność i rozprawę u Manna szczegółowie, ale nie dając po sobie poznać żadnej urazy, bom jój w istocie nie miał. — Jestem młody, dodałem, nie mam prawa nic wymagać... wszakże drugi raz tam iść zbytniej ochoty nie czuję.

— Owszem, owszem, marszcząc się rzekł mój opiekun, pójść powinienes, ale zrzucić zbytnią i przesadzoną pokorę... Z ludźmi w ogóle śmiałym być potrzeba unikając impertynencyi, pewnym siebie. Im się ich więcej lekceważy, tśm oni cenią wyżej człowieka... to prawidło powszechne. Zniż się tylko, deptać cię będą.

— Tak, odpowiedziałem, być to bardzo może, ale ja nie umiem być inaczej tylko tak jak mi dyktuje usposobienie; nie jestem nigdy ani śmiałym przez rozum i rachubę, ani pokornym dla jakiegoś celu. tylko takim jakim mnie w danej chwili czyni natura moja. Jest to zapewne źle tak mało panować nad sobą" ale ja inaczej nie potrafię.

— Zatem, nigdy sobie WPan w świecie rady nie dasz, zawołał uśmiechając się mój nauczyciel. Człowiek który chce mieć wpływ na ludzi i przebić się przez nich, musi grać z nimi komedią nieustanną, pokorę udawać gdy w nim wre duma, śmiałość odegrywać kiedy drży najmocniej. Inaczej ludzie go podepczą, opanują i miotać nim będą, jak sami zechcą.

— Smutne to jest prawidło, rzekłem, wątpię żebym się do niego zastosować potrafił. Różnimy się w zasadzie, ja życie mam za missya poważną, wy — przebaczenie, za rolę w dramacie.

— Tak Waćpan o ludziach zanadto dobrze trzymasz i ztąd cała różnica systemu, zawołał krewny mój. Ale system wasz piękny na oko, zły w skutkach. Otwierać pierś, odsłaniać myśl, jest to dawać się dobrowolnie na łup ludziom, których rozum inaczej jak za nieprzyjaciół uważać nie dopuszcza.

— Ja z uczucia i z przekonania, z zasady, rzekłem, wolałbym w nich widzieć braci. Stary rozśmiał się szydersko i pogłaskał mnie pod brodę.

— Kochanku mój, dodał, nie idzie o to co ty byś wolał, ale co jest w istocie... Nie wyobrażałem sobie, mówił z politowaniem prawie, ażebyś był tak dziecinny. Wszystkie te sielankowe obrazy ludzkości ładne są w malowaniu, na obiciach i parawanach, ale w życiu praktycznym kto na utopiach opiera

rachuby myli się zawsze. Człowiek chwilami jest dobry i bywa poczciwy, ale w gruncie skłonniejszym jest do złego; chybi więc kto liczy na momenta wyjątkowe, a nie na stan normalny.

— Ale ludzkość się udoskonala! zawołałem.

— Gdzie? jak? zapytał marszcząc się mój mentor — i to brednia! Udoskonala się warsztat, narzędzie, jadło, odzież, handel... ale nie człowiek... udoskonali się to co mu życie ułatwia, ale zachodzi pytanie jeszcze czy te ułatwienia psują go czy naprawiają? Tego nikt nie rozstrzygnął...

Ludzi, dodał po chwili marszcząc brew, ludzi używać potrzeba jako narzędzi ale się w nich nie rozmiłowywać. To zaślepia, a idąc drogą trzeba widzieć jasno... Nieużytecznych precz z drogi... bez litości... Zdanych wypotrzebowywać umiejętnie... to moja teoria... czułość nie prowadzi do niczego... jest chorobą.

Jakkolwiek teoria mojego krewniaka była straszną, nie przeraziła mnie na ten raz, byłem już do niej dobrze przygotowany. Rozmowę tę przywodzę tylko w treści, abym ci lepiej dał poznać człowieka... Był to dzień dla mnie stanowczy i pamiętny, zbliżył on nas i oddalił od siebie; po chwili bowiem, stanął przedemną, i wpatrując się we mnie rzekł ciszej.

— Ponieważ ci dobrze życzę, nie przez chorobliwą czułość — poprawił się, ale chcąc z ciebie pożytecznego dla mnie uczynić człowieka — winienem ci jeszcze radę jedną... W towarzystwach.. do zbytku widocznie i jakby dla popisu jakiegoś chwalisz się, przypominasz nieustannie, że jesteś żydem... Naprzód to śmieszność, powtóre u nas to nie w obyczaju i szkodzić ci może...

— Jużciż zapierać się tego byłoby gorszą śmiesznością, rzekłem — a tego nie uczynię nigdy, bom przywiązany do mojego narodu i wiary... Stokroć nawet przez prostą rachubę, lepiej jest wyznać samemu szczerze pochodzenie swoje niż się z niem taić napróżno... aby nam je potem drudzy w oczy rzucali.

— Ale po cóż to tak często przypominać? spytał.

— Jam tém istotnie dumny, rzekłem.

— Dumny! podchwycił ruszając ramionami — no! tego nie rozumiem. Żydowstwo to wasze miało swój czas, dopóki było prześladowanym; było ono zbroją naszą i puklerzem, a dziś do czego to się zdało?

— Ależ wiara nasza... począłem...

— Co! wiara! Co wiara!! przerwał mi machając ręką pogardliwie — co to jest? Wszystkie one są jednakie — to mleczko dla niemowląt! Wierzysz więc, dodał z uśmiechem, że osłem i wołem razem zaprzęzonemu orać się nie godzi, ani krwi mięszać z mlekiem... i jedwabiu z wełną?? i że kto w szkole nie odpowie, Amen, ten pójdzie do piekła?

— Szanuję, zawołałem, nawet te przepisy mojej wiary, chociaż dziś mi je trudno sobie wytłumaczyć. W prawie Mojżeszowem że na polu ziarn mięszać nie dozwolono, tłumaczę sobie wszakże, prostym, zdrowym przepisem gospodarkim; że orać słabszem wraz z mocniejszym stworzeniem nie dopuszczano, widzę w tem opiekę nad zwierzęciem, a w mieszaniu krwi z mlekiem przepis dietetyczny potrzebny zdrowiu może, w odzieży lex

sumptuaria broniącą zbytków itp. W ogóle cały ten zakaz mieszania wszelakich kryje myśl Izraelowi potrzebną aby różnorodnych pierwiastków zabronić połączenia i wpoić tę prawdę ludowi, który sam też z innymi mieszać się nie był powinien. Wszystko to szanuję, choćbym nie rozumiał, a szkolne Amen, znajduję obowiązkiem, boć kto odpowiadać nie chciał, wyłączał się z narodu, z ogółu, lekcewał prawo...

Opiekun mój stał, chwilę słuchał, zdziwił się nieco moim zapalem, potem dodał ruszając ramionami. — Trzeba się pozbyć przesądów...

— Nie przeczę, rzekłem, ale od przesądów oddzielić należy tradycje poszanowania godne i — wiarę...

— Ale co tam ta wiara! Ruszył śmiejąc się ramionami...

— Rzeczą której się nie określa... odparłem, kto nie czuje jej potrzeby, nie zrozumie nigdy dennicy!

— Znać na tobie pierwszych twych nauczycieli i młodość przy fanatyku belferze spędzoną — odezwał się, umysł jeszcze nie wytrzeźwiony.

— Nie pragnę się wcale otrząsnąć z tego co mnie czyni wybranego narodu członkiem, odpowiedziałem, zostawcie mnie z tem...

— Dajmy temu pokój, przerwał opiekun, samo

to przejdzie powoli; życzę tylko i proszę nie odzywaj się zbyt z tem, nie przechwalaj nadto. Toleruje dzisiejsza społeczność wszystko, ale fanatyzm okrywa śmiesznością, bo zdradza słabość umysłu lub chorobę...

Milczałem, chodził po pokoju wielkimi krokami.

— Zapewne, mrucał z cicha, nigdy znasz żaden nie zapomni kim jest, kim byli jego ojcowie... ale z tem żydostwem które nam szkodzi między ludźmi nie trzeba się popisywać.

Takim jak widzisz był opiekun mój, życie jego ściśle się stosowało do prawd które wyznawał; rządził się w niem rozumem, rachubą, często namiętnością choć tę umiał w potrzebie okiełznać — nigdy uczuciem, bo tego nie miał lub się najżywiej od niego obraniał. Czy temu on był winien, natura, czy wychowanie, nie wiem. — W gruncie każdy jego krok był bardzo rozważną rachubą, rachubą na wpływ, opinią, rozgłos, siłę, przewagę, na reputacya cnoty i prawości, dobroczynności, bezinteresowności, rozumu i t. p. Kochał dziecię ale po swojemu, rozporządzał niem wedle swej myśli, bo tę miał za najlepszą; kształcił nie jakby ono chciało, ale jak jemu było dogodniej i milej. — W gruncie straszniejszego despoty nie znałem nad niego, mimo form przyzwoitych. Miał też ten instynkt zachowawczy despotyzmu który nie porywa się na to, czemu podołać nie może i o coby się rozbił, a ustępując słabość swą dał poznać.

Z teorii jego wypadało że powinien był zawiezywać stosunki jak najrozleglejsze; jemu też winien je byłem, gdyż sam nie miałem wielkiej ochoty zbliżać się do ludzi, których zawsze brać było potrzeba, jak on się wyrażał, przebojem. Często wiódł mnie z sobą do domów i osób, o których wiedziałem że mu były nienawistne; nie cierpiąc ich wchodził przeciw z uśmiechem, grał rolę życzliwego przyjaciela, przymówek nie rozumiał, nie słyszał co go obrażać

mogło i nie zrażał się ani chłodem ani okazywaną mu niechęcią widoczną. Siłę i energią miał tak wyrobioną, że to co mnie oburzało najgwałtowniej, na nim pozornie najmniejszego nie czyniło wrażenia — ściawszy wargi, uśmiechał się tylko... Ale gdy mógł potem zrzucić maskę naówczas im dłużej i głębiej tajona tem straszliwsza buchała zeń nienawiść.

Nigdy też nie darował urazy, nie przebaczył uchybienia, nie dał się przebłagać jeśli był dotknięty, mścił się nienasycony zemstą... Rozum tylko, który w nim panował nad wszystkim, hamował objawy namiętności niebezpieczne...

Rok pierwszy pobytu w stolicy już mi dał poznać ten świat, jak wielce misterną machinę złożony z przeróżnaitych kółek tysiąca, tę grę ludzi, interesów, namiętności, słabostek, zachceń, ambicyi i spekulacyi, z której zręcznie się wywikłać było potrzeba ażeby nie być zgniecionym.

Przekonywałem się codzień że nie byłem stworzony do tego żywota sztucznego, w którym, wedle przestrogi mego krewnego, komedią grać nieustannie było potrzeba. Obrąłem inną drogę, postanowiłem iść przebojem, ale otwarcie.

Ludzie, którzy zawsze z siebie sądzą o drugich, znaleźli i to komedyi rodzajem, rodzajem rachuby (przypisywali mi rozum i wyrachowanie przemądre) — a nie wydało im się to tak bardzo złem.

Nie mogę skarżyć się aby mnie, z moją prostotą, się nie wiodło, ale w tym świecie blagi, ja z moją prawdomównością, otwartością, odwagą przekonań, uchodziłem, jakem się później dowiedział, tylko za zręczniejszego blagiera, za Barnuma w nowym rodzaju, przybierającego niezwykły charakter, aby tem większe uczynić wrażenie.

Inaczej być nie mogło, dodał Jakób — przekonany głęboko, odzywając się szczerze, walcząc za zasady moje — zyskałem tylko sławę wielkich nadziei komedyanta; bo otaczający mnie wszyscy byli komedyantami; nie mieściło się im w głowie aby kto miał przekonania i zasady i w imię ich szedł drogą prostą. Oburzało mnie to, ale dawało miarę ludzi i czasu, w którym nic nie jest... a wszystko stoi na owem: mundus vult decipi, ergo diciatur. Jedyną pociechą tych ciężkich dni próby i zwątpienia była Tilda. Aż nadto już wypowiedałem się wam z tego jakem ją kochał i czem była ta miłość nasza, cichy kwiat ukryty w liściach zielonych. Z nią, przynajmniej nie posądzany szczerym być mogłem, uczucie trafniejsze nad wszelkie rozumowania dawało jej wiarę we mnie i słowa moję. Mówiliśmy

o wszystkim co zwykłych rozmów między młodym mężczyzną a kobietą nie bywa przedmiotem, ale też Tilda była daleko wyżej, poważniej wykształconą niż zwykle bywają młode panienki jej wieku i stanu. — Nie wiem jakim cudem nauka, rozmyślanie, badanie, serca w niej nie tknęły i nie wyziębiły.

Wielu jednak rzeczy dotknąć nie mogłem mówiąc z nią, boby w ich ocenieniu domyśliła się łatwo zdania mojego o ojcu swoim, dla którego i ja, bądź co bądź, miałem poszanowanie, a jej miłość dla niego nadwierać nie chciałem. Czułem wszakże z przypadkowych wzmianek, iż kochając go, wielce bolała nad nim. Życia jego domyślała się więcej niż je znała; umiał bowiem urządzać je tak

aby z dogodzeniem namiętnościom wszelkim pogodzić jak najściślej decorum i przyzwoitość.

Po roku milczenia, nie wiem, przypadkiem czy umyślnie, opiekun znowu wprowadził rozmowę na rzeczy wiary; chciał widocznie zbadać jakie wrażenie na mnie uczynił pobyt w stolicy dłuższy; spodziewał się znaleźć zobojętniałym... a zdumiał się postrzegłszy rozesaltowanym. Zdziwiło go to mocno, ale potrąciwszy o tę strunę, wydającą dźwięk dlań fałszywy, — przerwał zaraz badanie rozpoczęte.

W kilka dni potem wskazał mi domy do których życzył sobie bym uczęszczał, obrachowawszy iż towarzystwo to oddziałać na mnie może.

Jednym z nich był, szczególny w istocie dom pewien rodziny bardzo możnej Izraelitów, z pokolenia Levi, której było członków wielu żyjących w zgodzie zupełnej, chociaż jeden z nich pozostał Izraelitą, drugi był przeszedł do protestantyzmu, inny przyjął katolicyzm. Krewny mój stawiał mi ich za przykład i wzór obojętności w rzeczach wiary, która jemu się wydawała przymiotem, dla mnie potwornością szkaradną, upodlającą, niedarowaną.

Z zetknięcia się z tymi panami przekonałem się że w istocie nie mieli religii absolutnie żadnej, racjonalizm suchy i nie bardzo nawet logiczny, a nadewszystko nie głęboko zapuszczający się w kwestye donioślejsze, zastępował im wszystko. Dotykałem często w rozmowie z nimi tradycyi naszych, znalazłem albo nieświadomość ich zadziwiającą lub obojętne zaparcie i tłumaczenie skeptyczne; musiałem stawać w ich obronie, a wówczas gdy się gorąco walczyć zabierał, nikt nawet nie raczył wystąpić ze mną w szranki, tak drażliwym wydawało się samo wywołanie izraelskich zasad.

Ten smutek jaki panował w duszy Tildy znajdowałem niemal w całej społeczności kobiecej. Dzielila się ona tylko na dwa wielkie obozy, kobiet lekkich, niemyślących, bez zasad żadnych i tych, które mając szlachetne instynkta a nie mogąc ich przeżywić w sobie dla braku zasobów, nie umiając ich usprawiedliwić, żyły walcząc, cierpiąc, przeczuwając i tęskniąc... nieszczęśliwe.... Brakło im

zawsze tego, co człowiek czerpie z przeszłości rodu i narodu swojego, od czego gdy się dobrowolnie oddzieli, błąka się smutny i cierpiący. Żadna z tych pań nie śmiała otwarcie uznać się żydówką, wszystkie chciały do nowego należeć świata, a w tym świecie nie wiedziały gdzie sobie szukać schronienia.

Nie dziwiłem się im, dodał Jakób, gdy sercem stęsknionem, opustoszonem zwracały się potajemnie ku wierze waszej; nie miały własnej, a potrzeby duszy wymagała jej.

Wśród takiej rozmowy, która Iwasiowi dawała wiele do myślenia, przeszedł podróżnym naszym dzień cały; nie spieszyli wcale i choć najęli sobie parę osiołków, drugiego dnia jeszcze zaledwie byli o kilka godzin drogi od Genui.

W jednym z tych malowniczych miasteczek, a raczej wiosek włoskich, które nad morzem stoją na skałach uwieńczone w cyprysy, palmy, i pomarańczowe

drzewa, owite bluszczami, opasane laurem i mirtami, ocienione sady oliwnemi, obwieszane winną latoroślą, przypadł im nocleg dnia drugiego.

Mrok padał, gdy szukając gospody wsunęli się w ciasną uliczkę miściny pospinana u góry jakby klamrami, sklepieniami dawnymi, podtrzymującymi wysokie mury domostw. Z dala już widać było Albergo, stał przed niem właśnie powóz wyprzeżony.

— Ha! ha! zawołał Iwaś spostrzegłszy go, gdyby wszystkie włoskie vettury i legna nie były do siebie podobne jak dwie krople wody, przysięgłbym że oto powóz którym twoi znajomi państwo Segel... czy jak tam się oni zowią... wyjechali z Superby... ale to...

Jakób zatrzymał się w tej chwili, bo poznał także w bramie Alberga stojącego pana Henryka męża pięknej Tildy, ale... z kobietą... której twarz zwrócona była do wnętrza domu.... Postać wszakże wcale do Tildy nie była podobną; różniła się od niej kształtami daleko wspanialej rozwiniętymi.... Czekać-no, to bardzo być może żeśmy na och trafili, odparł Jakób, bo oto... przysięgłbym że widzę przed sobą... pana Henryka. Ale to imaginacja...

— Chyba nie, zawołał Iwaś, bo niezawodnie on... on....

Jakóbowi aż serce zabiło.

— Nie, to być nie może, dodał szybko, rachując nawet na najpowolniejszą jazdę, na łamanie się vettury, jużby nas dawno wyprzedzić powinni — Ale w tem zawołał żywo:

— Ale tak! to oni! to Henryk! Cóż się stało?

Chyba zachorowała może? Mieli się zbliżyć, gdy jakaś myśl tajemna go powstrzymała.

— Musimy, rzekł do Iwasia, szukać gospody gdzieindziej, nie wypada mi się narzucać... onaby mnie mogła posądzić że za nią, gonię jako jakiś pospolity, natrętny kochanek... tego ja nie chcę. Idź i przekonaj się, jeźliś łaskaw, czy to oni...

Iwaś pospieszył, Jakób usiadł tymczasem na krześle pod jakimś Cafe di grañ Colombo, u którego drzwi wypadkiem się byli zatrzymali. Upłynął dobry kwadrans nim wysłaniec, który aż do wnętrza Albergo dotarł, powrócił, ale z twarzą, zakłopotaną.

— Cóż tam? zapytał Jakób.

— No, coś czego ja nie rozumiem, odezwał się Iwaś ruszając ramionami. Widziałem sam jak wyjeżdżali z Genui... tymczasem jest to wprawdzie on, ale kobieta z nim wcale inna.

— To ci się śni! śmiejąc się zawołał Jakób, nie przypatrzyłeś się jej naówczas, nie poznałeś teraz.

— Ale ba, zawołał młody człowiek — tamte ja dopóki życia będę pamiętał, jej wejrzenie nie zapomina się nigdy,... a ta, ha, to jest jakaś młodziuchną, tłusta, wesola Włoszka, trzpiotowata..., jak niebo do ziemi, a raczej jak ziemia do nieba do tamtej niepodobna.

— A no! więc i mężczyzna znów, chyba nie on... ale inny ktoś...

— Mężczyzna to niezawodnie on, rzekł Iwaś.

— I jest ich tylko dwoje? spytał niedowierzająco Jakób.

— A dwoje, i zdają się rozmiłowani w sobie tymczasem jak para gołębi. Panna czy pani zajada brzoskwinie i rzuca mu w twarz pestkami, śmieje się i śpiewa aż ją tu słyszeć.

Jakób potrząsnął głową.

— Idę, rzekł wstając, bo jestem pewny, że to ci się coś przywidzieć musiało... jakaś omyłka... inni ludzie...

Poszli oba, ale o kilka kroków Jakób wpatrzywszy się w twarz mężczyzny zatrzymał się znowu, poznał Henryka, nie było najmniejszej wątpliwości że to był on... tylko w istocie, nie wiadomo z kim... z kimś wyglądającym bardzo na baletnicę teatru Carlo Felice.

Już się miał Jakób cofnąć po tym rekonesansie, gdy Henryk Segel zobaczywszy go, sam pierwszy wesoło pozdrowił i zbliżył się ku niemu.

— A! to ty! zawołał śmiejąc się, łapiesz mnie na gorącym uczynku... Wystaw sobie Tilda chora... została w Genui odprowadziwszy mnie do Nervi... przepędzi tam jeszcze spokojnie parę tygodni... ja potrzebowałem się trochę przejechać i właśnie, w drodze, trafem spotkaliśmy się z dawną moją dobrą znajomą Signorą Gigante... która... uśmiechnął się dwuznacznie, narzuciła mi się gwałtem na towarzyszkę... Pojmujesz, dodał, jestem taki znudzony, zmęczony tą jednostajnością życia, zem przyjął jej projekt i wycieczkę z ochotą... affaire de rire un peu, — Gigante jest wywyśmienita, głupia i wesoła jak dziecko; nie wyobrażasz sobie do jakiego stopnia zabawna... To mnie przynajmniej cokolwiek rozerwie.

Mówił to jak się rzecz w świecie najnaturalniejszą opowiada; Jakób stał osłupiały uszom swym prawie nie wierząc, nie wiedział co mu odpowiedzieć, był oburzony i wściekły.

— Tilda, dodał mąż, Tilda, vous savez, jest najdoskonalszą między niewiastami, ale ideały nawet w końcu trują gdy się ich używa do zbytku. Zawsze o poważnych rzeczach poważnie rozprawić niepodobna, człowiek pracy, jak ja, potrzebuje się rozerwać, wytchnąć — Gigante jest nieocenionym pajazzo w spódniczce... No, chodź, wszakże podzielicie z nami wieczerzę... affaire de rire, mówię ci, uśmiejesz się.

Jakób był gniewny, rzucił nań okiem płomienistym z razu, ale wnet dziwne jakieś uczucie szatańsko ścisnęło mu serce, rozśmiał się dziko.

— Najchętniej, rzekł z ironią, na to jest życie ażeby się bawić?

Gigante już się sama niecierpliwiać, zbliżała ku nim, widocznie intrygowali ją ci dwaj młodzi podróżni, którym przyglądała się z ciekawością, szczególnie Jakóbowi. Iwaś był dla niej za mizerny, za ubogi, za mało obiecujący. Szła ku nim ze śpiewką na ustach, którą wśród ulicy wesołym nuciała głosem: Oh quanto tempo sola sono stata,

Sola soletta come vedovella!

Che cor fu il tuo vedermi abandonata

E lasciar senza sole la tua stella!

Wyrazy tej ludowej piosenki były szydersko zastosowane do Henryka!

"Jakżeś na długo opuścił mnie samą,

Samą, samiutką, jak wdowę!

Miałeś to serce tak biedną, porzucić,

Swoją gwiazdeczkę bez słońca!"

Segel śmiał się słuchając tej apostrofy, której towarzyszyły ruchy wyraziste, pociągające go napowrót. Nie skończywszy tego czułego śpiewu, z innego tonu, wesoło poczęła panna Gigante odmienną wcale drugą, której treść dziwacznie się z melodią sprzeczała, wyrazy były bolesne, śpiew szalenie radośny i pijany:

La tortora che ha perso la compagna,

Fa una vita molto dolorosa,

Va in fiumicello, e vi si bagna,

E beve di quell' acqua torbidoso;

Cogli altri uccelli non ci saccompagna;

Negli alberi fioriti non si posa;

Si bagna l'ale e si percuote il petto,

Ha perso la compagna: oh che tormento!

Żywa pantomima przedstawująca biedną turkaweczkę towarzyszyła temu śpiewowi:

Turkawka która straci towarzysza, Żyje bolesnym żywotem...

Leci do rzeczki, i kąpie się w wodzie

I pije wodę zmaconą...

Z innymi ptaki nie poleci razem,

Kąpie swe skrzydła i piersi rozdziera,

Straciła towarzysza! o męczarnie!

Towarzyszem turkawki straconym był widocznie pan Henryk, który się śmiał do rozpuku. Signora odegrawszy ten popisowy prolog, zbliżyła się. Henryk zamruczawszy coś, obu panów jej przedstawił.

— A! Signori Polachi! ja bardzo kocham Polaków, szczebiotała żywo kręcąc się Włoszka. E viva la povera Polonia! Cha! cha! Czyż to prawda że u was tak zimno, tak zimno że czasem wyrazy marzną w powietrzu i dopiero na wiosnę tają?

Bolonia... Polonia... ale to nie jedno przecie? un paese di martiri..

Potem przerwała:

— Byliście w Genui? chodziliście do teatru... ja przecie tańczę i śpiewam w Carlo Felice... nie w diurno... często występuję w chórach i zwracam oczy... dawno mam przyobiecana rolę di primo mezzo soprano. Widzieliście mnie może w roli Wróżki? Nie, to szkoda!

— Signora Gigante, przerwał Henryk, powoli, powoli, wszystko im wypowiesz od razu, a cóż zostanie na potem?

— O! tyle umiem piosnek, odparła, jak nikt! z całych Włoch... mam ich pełne kieszenie, zresztą gdyby mi słów zabrakło, będę na nich patrzeć aż poszaleją... tobie na złość zazdrośniku!

— Alem ja wcale nie zazdrosny! rzekł Henryk.

— Jak to nie? powinienes nim być, kiedy się kochamy, to należy do twojej roli...

— Ale tylko do Lukki, wedle umowy! rzekł śmiejąc się Henryk.

— Nic nie szkodzi, nim dojdziemy do Lukki, ja cię do szaleństwa doprowadzę! zawołała śmiejąc się. — A wy, panowie artyści wędrujący pieszo, dokąd? czy wolno spytać?

— My, idziemy do Pizy! rzekł Iwaś.

— A! do Pizy! Pisa morta! nudna! cmentarz... Arno jakby pomyi było pełne... błotniste... fe! fe! przerwała Włoszka. — Panowie powinniście pójść za moim wozem zwyciężkim do Lukki, tam każdemu z was dam — po fidze i pożegnam.

Zaczęła się śmiać do rozpuku i znowu śpiewać:

Cupido, che siei giudice d'amore,

Giudica questo fatto, e manifesta:

E dimmi chi lo soffre piu dolore,

L'uomo che va, sa donna che resta!

(Kupido, któryś jest miłości sędzią,

Sądź ten czyn proszę, wyrokuj,

I powiedz kto z nas cierpi więcej:

Mężczyzna który rzuca, czy kobieta opuszczona.)

Skończyła znowu śpiew śmiechem, ujęła Henryka pod rękę i pogłaskała pod brodę deklamując przesadnie:

Fior di bambace!

Senti la chitarra cosa dice: Non piu guerra, bien mio, famo la pace.

(Kwiecie bawełny! Słuchaj co mówi gitara: dosyć wojny, mój drogi, zawrzyjmy pokój z sobą.)

Piosenki były dobrze podobierane. Henryk dał jej dłoń na znak zgody. — Jakób szedł, słuchał, napawał się jakąś goryczą" która się na chmurnem przebijala czole. Stał tak chwilę, potem nic nie mówiąc, skłoniwszy się zaledwie, wysunął się i opuścił wesołe towarzystwo.

Wytłumaczył się bólem głowy zostawując chudego Iwasia na pastwę pannie Gigante. Serce mu krwią zachodziło! Mąż tej biednej kobiety która tam sama jedna pozostała, włóczył się goniąc najpospolitsze rozrywki, jeżeli się to nawet rozrywkami godziło nazywać... a ona! Mógł sobie już wyobrazić to pożycie, którego wymowną próbkę dał ten wypadek.

Jako człowiek rozkochany i stęskniony cierpiał także Jakób i doznawał przykrego uczucia, myśląc sobie że mógł być pozostać w Genui, widzieć ją może, mówić... Była samą.

Ale wprędce wzdrygnął się na myśl zdrady i takiego potajemnego korzystania z nieobecności męża — uwłaczającego im obojgu.

— Co się stało, rzekł w duchu pojąc się goryczą — stało się dobrze, opatrnie, choć boleśnie; nie powinienem zatruwać jej spokoju, starać się zbliżyć do niej, rozdzierać serce jej i sobie. Rozdzielił nas los, mnie wołają obowiązki wielkie, ją boleść która jej cześć przynosi; nie mamy prawa kraść chwil tego rajy który nie do nas należy. Dola pędzi dalej a dalej żelazną, różgą... idźmy!

Późno w noc powrócił do mieszkania wspólnego Iwaś dobrze podpoiony i rozmarzony przez niegodziwą Gigante, która ścierpieć nie mogąc że się jej wydał obojętnym, oczyma go na węgiel paliła, śmiejąc się, wdzięcząc, zarzucając niedorzecznymi pytaniami. Signore Enrico, który na tę flibustierską wyprawę przybrał imię don Fernanda i mienił się być hiszpanem, był uszczęśliwiony swą zdobyczą, jej wesołością i głupotą... Wieczór spędzili nader huczno, ochoczo i trzpiocząc się po młodemu.

Zmieszał się Iwaś wszedłszy ze śpiewką na ustach której go nauczyła Signora Gigante, zastając Jakóba nad biblią... Była to zwykła pociecha biednego człowieka, który w strapieniu uciekał się do ulubionych swoich ksiąg, proroków, psalmów i Hioba.

Późno w noc, dogorywająca lampka zmusiła go czytanie porzucić. Wstał i przechadzał się smętny po pokoju, Iwaś nie spał, zawstydzony i przybity jego smutkiem...

— Byłeś kiedy w Dreźnie? spytał go z nienacka stając przed jego łóżkiem Jakób.

— Byłem, odparł młody człowiek nie rozumiejąc o co idzie.

— Widziałeś tam poemat izraelskiej przeszłości, mówił Jakób... ponury, tęskny, boleśny, który ja wolę nad dzisiejszą rozpustę bezmyślną zbogaconych bachurów takich jak ten Henryk... Widziałeś, cmentarz żydowski Ruisdaela??

— Widziałem... rzekł cicho młody człowiek, przestraszył mnie alem go nie zrozumiał, jest to zagadkowy obraz, przerażający bólem jaki z niego tryska...

— Całemi godzinami można się wpatrywać w tę kartę, w ten poemat niewysłowionych smutków, mówił Jakób, niezgłębionej boleści tajemnej... przerażającej jak historia atrydów, napiętnowanej fatalizmem wiekowym dziejów nieubłaganych... ale ja wolę te łzy co płyną u cmentarza wielkiego malarza, niż śmiech co się rozlega z ust bezmyślnego Henryka, przedstawującego całe pokolenie ogłupiałe zbytkiem, okamieniałe od złota...

Cóż to za cudowny utwór ten kawał szarego płótna, na którym zrazu widać tylko pokłębione chmury i kilka czarnych drzew, które burza odarła.

Przypatrz się jednak... niebo ciemne, trochę kamieni, pnie drzew i gąszcze tajemnicze, głębokie... przez jakieś porwane trzęsawiska sączy się zgniły strumień, oto cały materyał obrazu stworzonego z tych kilku rzeczy pospolitych... z siłą wyrazu niewypowiedzianą. Ów niedoszły lekarz a artysta zachwycający, Ruisdael, malarz posepnych skał, ruin, wody, ani w swym klasztorze, ani w zamku, ani w lasach i jeziorach mnogich, równie może pięknych, ale daleko mniej wymownych, nie wypowiedział tak całego swojego genijuszu jak tutaj... tu on jest mistrzem podnoszącym się do epepei... Nigdy

krajobraz jeszcze nie był tak straszny, tak zarazem jasno mówiący, tak majestatycznie wielki i piękny... żaden jasny Claude Lorrain uśmiechający się gra południowych promieni słonecznych, żaden Salvator Rosa ze zbójceją jaskinią i rozczochranemi drzewy, martwemi gruzami i ziemnymi bryły nie potrafił tak wiele wyśpiewać... To tęskna karta czarna dziejów narodu odepchniętego, prześladowanego, które mu na cmentarnem nawet wygnaniu wśród zgnielizny i ruin, nie ma na ziemi spokoju... Tu ludzi nie ma, ale jest burza, ulewa i potok który niszczy i rozrywa... nawet kości śpiące w grobowcach.

Fatalizm i tu ich ściga...

Chcąc dołączyć Izraelitów odmalować nie mógł malarz nic innego wybrać nad cmentarz cmentarza... spoczynek i tu jeszcze niepewny — pod ruiną świątyni zburzonej... na której' gruzach dwoje ludzi modli się gdzieś w głębi, czekając by burza odeszła i zaświeciło słońce.

Ale w końcu XVII. wieku gdy obraz ten malował, tęcza jeszcze była daleko, słońce za chmurami, promyk jego zaledwie się przedzierał i padał na grób, nad którym dzikie z litości kwitły krzewy.

Co tu za smutek, jakie przerażenie panuje w całym obrazie... wypowiedzieć niepodobna... To miejsce ostatniego spoczynku wygnańców zdaje się prześladować niegościnna ziemia... woda podmywa groby, drzewa je poją wilgocią cieniów, burza rozwała i miota gałęzmi, a mimo to... dwoje ludzi się tu modli i kwiat biały rozkwita nadzieją wiosny...

Tak — na pozór sam smutek wieje od tej karty zapisanej wszystkimi rozpaczami wygnania i śmierci na obcej ziemi; straszną się zdaje bez nadziei i przyszłości, ale na tle niebios oprócz dalekiej tęczy, oprócz niedostrzeżonego prawie kąta niebios jasnego... jest coś co zwiastuje pokój i wypoczynek. Na jednym, jedynym, białym, potraskanym już grobowcu świeci promyczka słonecznego odblask, po nad nim tulący go krzew dziki weselnem kwieciem się rozwija. I dwoje ludzi się modli, mężczyzna i niewiasta, skrytych głęboko, zaledwie dostrzeżonych.

Wiosna, modlitwa, promień słońca... ledwie są dostrzeżone oku tego, co pilniej spoziera w te czarne, chmurne obsłony, samą zdające się rozpaczą i żałobą okrywać...

Cmentarz był całą historią Izraelitów w Europie od wieków aż po dzień dzisiejszy, gdy się nią stała giełda... gdyśmy wniesli się do pałaców po zrujnowanych panach i sami zapragnęli być nimi.

Niestety! umieliśmy płakać na grobach, nie nie umiemy śmiać się w tych złocistych pustkach i trzeba będzie może znowu tysięcy lat próby nowej, abyśmy odzyskali tę godność jaką nas okrywało męczeństwo —

Jakób westchnął....

* * *

Nazajutrz rano wstał Iwaś sposobiac się do dalszej podróży, ale towarzysza swego już nie znalazł w mieszkaniu, gospodyni oznajmiła mu, że o pierwszym brzasku wyszedł z książką nad brzeg morza.

Ranek był prześliczny, po gładkiej wód powierzchni snuły się łodzie rybackie z opadłymi żaglami białymi, słońce pasy złotymi odbijało się w lazurach tych cudnych fali stworzonych by kołysały do snów i marzeń szczęśliwych.

Nieopodal od gospody, gdzie była kupka drzew, Jakób zasiadł na kamieniach u brzegu, spoczywał i wczytany w księgę, zdawał się cały w tym widoku i w swych dumach...

Iwaś miał z razu na sumieniu przerwać mu myśli poważne, które go od świata odrywały, ale słońce zaczynało dopiekać, trzeba było z dnia korzystać; po chwili więc wahania zbliżył się powoli do towarzysza i powitał go. Jakób podniósł głowę, na twarzy jego znać było ślady przebolałych godzin i walki wewnętrznej, ale już uspokojonej' rozmyślaniami.

— Słuchaj, rzekł do Iwasia, po co my się tak bardzo spieszyć mamy? czyż nie moglibyśmy tu, nad spokojnym morza brzegiem przesiedzieć choćby jeden dzień, by zebrać ducha i wypocząć?

— Jak chcesz, odparł Iwaś, dzień jeden w długiej podróży nie waży wiele, pojmuję bardzo że po doznanym bólu, chciałbyś wytchnąć i zaczerpnąć siły od tej matki, którą jak Anteusz stopą, duchem musi dotknąć człowiek, gdy osłabnie. Ale wyznam ci, dodał z cicha, że mnie coraz większa opanowuje tęsknica. Ty może nie znasz uczucia

tęgo, ono mnie, mimo postrachu, gna i pędzi ku chmurnemu niebu nad którym zawisł ucisk, gdzie panuje płacz i tęsknica, a przecież droższy on mi jest nad wszystko. Nie mam tam nikogo, niemam zagona własnego na tej ziemi, przecież tęsknię do niej i ściska mi się serce na jej wspomnienie, i codzień mi tam pilnie powrócić.

— Nie sądź by to uczucie było mi obcem, rzekł Jakób, i ja kocham tę smętnych losów ziemię, i jam się tam urodził, wychował, marzył, i ja jej przedewszystkiem winienem samego siebie. To niewysłowione uczucie miłości ojczyzny, które jest zbiorem wszystkich uczuć szlachetnych, rozgrzewa też serce moje.

— Dla czegoż nie wszystkich twych braci zarówno! westchnął Iwaś.

— Ciężkie to do rozwiązania pytanie, odparł Jakób, ale najprędzej na nie odpowie przeszłość.

Nieśmy nie mieli, nic też kochać nie mogliśmy: lepsze serca z potrzeby uczucia kochały boleść swoją, gorsze zrażały się od całego świata.

Przypomnij czem był żyd w średnich wiekach, prawie aż do naszych czasów, czem on jeszcze nawet do tej chwili! Znaczono nas na odzieży jak zapowietrzonych, odbierano nam prawa najdroższe człowiekowi, byliśmy banitami wśród kraju, każdy się znęcać mógł nad nami bezkarnie, naostatek obrzucano nas potwarzami najdziksze, nie było zgrozy, którejbyśmy się nie dopuszczali. Pod takim uciskiem mogłaż się wyrobić miłość dla kraju i jego

instytucji? dla ludzkości w ogóle, z której nas wyłączano? — Jakkolwiek, rzekł Iwaś wcale nie jestem chwalcą przeszłości i daleko skłonniejszym do potępiania jej niż do uniewinniania, spytam cię się wszakże — gdzie było inaczej? w jakim kraju było lepiej? Na dowód że w Polsce nie musiało być gorzej, dosyć jest tego że w niej wszakże było żydów więcej niż gdzieindziej, że się tu osiedlali przychodząc zewsząd, a od nas nie wychodzili nigdzie. — Wyjątkowo były prześladowania, ogólnie prawo osłaniało; fanatyzm religijny dopuszczał się często ucisku, ale gdzież podobnych przykładów nie znajdziecie?

— Zgadza się na to wszystko — rzekł Jakób, wieście wy, ale dużo i my sami winniśmy; dziś jest źle nie dla tego żeby nam sprawiedliwość oddać chciano - skutek to wieku, obyczajów łagodniejszych, naostatek tej zimnej obojętności — która, według mnie jest chorobą wieku. Nie prześladowają żydów, bo w istocie oni żydami być przestają, a wam też chrześcijaństwo z serc wystygło. Fanatyzm przy ciemnocie był straszliwy, ale kto wie czy dla ludzkości zgubniejszą nie będzie niewiara. Dla tego myślę i płaczę myśląc jakby od niej, choćby mój naród, który pierwszy poznał prawego Boga, wybawić — jakby weń tchnąć odżywionego, religijnego ducha. Patrz, dodał, otośmy wczoraj mieli mały przykład żywota człowieka, który nie czuje nad sobą żadnego prawa obowiązującego i otrząsł się z wszelkiego wstydu i uczucia. Człowiek ten porzuciwszy gdzieś chorą żonę, uciekł się rozrywać z najpospolitszą w świecie kobietą pogardy godną. To jeszcze nic może, słabość głupia, powiesz mi, ale czyś postrzegł w nim najmniejszy wstyd gdyśmy go niespodzianie zaskoczyli; jemu się to zdawało naturalnem, zupełnie usprawiedliwionem, zwyczajnem, prostem, prawie koniecznem. Mała to próba obyczajów wieku, jam już miał przed oczyma tysiące innego rodzaju w obejściu się z ludźmi, z rodziną. Ten człowiek co nie poszanował towarzyski swojego życia, poszanujesz ciebie, mnie, w innych stosunkach? Jeśliś lnu potrzebny chwilowo posadzi cię u stołu, przyjmie, ugości; gdy się staniesz obojętnym, nie pozna, odepchnie... Z możliwym i znaczącym będzie uniżonym i pokornym, z małym i słabym, hardym i bezlitosnym. Tysiące usłużnych teorii znajdzie się na usprawiedliwienie braku serca i powiedzą ci odpychając ubogich że ich ubóstwo pochodzi z niedołęstwa, z próżnowania, z nieopatrności nieuleczonej, że zasiłek dany nędzy demoralizuje, że współczucie jest szafunkiem sił niepotrzebnych i dowodem słabości.

Świat dzisiejszy nasz i wasz, mówił Jakób, nie szanuje już nic, widok jego zakrwawia serce; potrzeba proroka coby Izajaszową wymową wywiódł go z drogi omylnej, z gościńców błędu...

To mówiąc otworzył biblię i czytał: "Słuchajcie wyspy, a pilnujcie narodowie z daleka. — Pan 7, żywota powołał mnie, z żywota matki mojej wspomniał na imię moje... I położył usta moje jako miecz ostry, pod cieniem ręki swej zakrył mię... i położył mię jako strzałę wyborną... w sajdaku swym skrył mię. I rzekł mi: Sługo mój, jesteś ty Izraelu... bo się w tobie chlubić będę..."

"A jam rzekł: Próznom pracowałem, bez przyczyny i po próżnicy strawiłem siłę moją, przetoż sąd mój z panem, a sprawa moja z Bogiem moim...

"A teraz mówi pan, który mnie utworzył z żywota sługą sobie, abych nawrócił Jakóba ku niemu, a Izrael nie zbierze się... i jestem wsławion przed oczyma pańskimi....."

Ileż razy, szeptał po cichu — odczytywałem to miejsce, stosując je milcząco do siebie, zuchwały! dziś od tych chwil pierwszych daleko... dla mnie upłynęła już ćwierć najdłuższego życia człowieczego, ja stoję w miejscu wkuty, nie uczyniwszy kroku, nie posunąłem się wcale... nie wiem już nawet dokąd iść... choć wiem że potrzeba abym szedł...

Gdyby powstał inny prorok, dodał, powłóknęłbym się w ślady jego jako służebnik... ale śmiechy rozlegają się po pustkowiu, biesiaduje Izrael z niewiernymi, z córkami Moabitów, pieści się i ucztuje z pogany i zmięszał się z pokalanami... a Bóg mu nawet, wzgardziwszy nim, nie chce zesłać męża coby nań zawołał... bo już może lud ten niegodzien jest wejrzenia Bożego, głosu Bożego i męża od Boga zesłanego.

I wyście nad nas nie lepsi, zawołał unosząc się Jakób i powstając z ziemi — i wy jak my w straszliwym jesteście upadku; oszaleńcy, pijani, rozpasani na szyderstwo. Gdzież Bóg wasz? gdzie jakikolwiek Bóg i jakakolwiek świętość w świecie dzisiejszym? gdzie wasza gwiazda przewodna? — Ciemności ogarnęły ziemię... zapalono lampy, przyniesiono dzbany, legli rozpustnicy na łożach i ucztują Baltazary!... nie warci by palec Boży napisał im przestrożę na ścianie... Sąż to ludzie te istoty obleczone ludzkim ciałem, mówiące językiem człowieczym, a bez ducha, bez serca i bez Boga?...

Wiesz, przeszedłem świat stary ten... płynąłem na wschód, zwiedziłem grody Palestyny i narody pomiędzy którymi rozsypany jest Izrael, badałem mahometanów i siadałem pod namiotem arabów; wszędzie już wionął ten duch śmierci, zwątpienia, duch niewiary.

Tłumy jeszcze wloką się do Mekki ale to szczątki ubiegłych wieków, niedobitki przeszłości. — Starzy jeszcze czytają biblią, ale to węgle ostatnie co iskrzą się pod kupą popiołów. Pomiedzy chrześcianami więcej znalazłem frymarczących wiarą niż wierzących, religia stała się stronnictwem, laską na której opiera się kulawa polityka zardzewiałych ludzi; rachubą, spekulacją, towarzystwem na akcye, ale nie jest już dla nich świętością... Jej obrońcy są żołnierzem najemnym, bronią oni wiary po condottiersku, ale sami jej nie mają... Veuillot się może nie spowiadać, a z pewnością się nie modli... ale za to jak plwa w twarz swoim antagonistom przeciwnego towarzystwa, akcyonarjuszom wolnego myślenia!! — Dla innych ludzi starego autoramentu, religia to mundur należący do ich stanu który przywdziewają aby wiedziano że do niebieskiej krwi należą. Gdzież jest ten coby wierzył dla siebie, po cichu a głęboko??

W gruzy się rozsypuje tyle tysięcy lat trwający porządek społeczny... coś nowego ma go wynagrodzić — ale dziś burzą się tylko stare gmachy, wywracają

kolumny, łamią ołtarze i oczyszcza to pole, po którym za wozem zniszczenia, przyjdzie nowy Messyasz, wybawca.

Nie dziwuję się gdy czytam w waszych księgach przepowiednie końca świata, dla mnie on się widomie kończy, bo z rodu ludzkiego co podlatywał ku aniołom... zmienia się człowiek w zwierzę cywilizowane...

— Nielitościwym jesteś, odezwał się Iwaś powoli — ja także wierzę w nowy rzeczy porządek, ale nie sędzę żeby miał być kataklyzmem okupionym, a gdyby tak nawet było — nie trwałby on długo i nie obaliłby wszystkiego.

Jakób zadumany patrzył na morze.

— Mówmy o czym innym, rzekł, Bóg jeden wie przyszłość, my nędzni tylko bole terażniejszości znosić jesteśmy przeznaczeni.

— A zatem mówmyż o terażniejszości, przerwał uśmiechając się Iwaś, więc idziemy dalej, czy zostajemy tu?

— Zostańmy, rzekł Jakób prosząc, jestem dziś leniwy i potrzebuję się pokrzepić czytaniem, rozmową, myśleniem w pokoju... Będę słuchać morza, ono mi może co powie.

— Chory jesteś, odpowiedział towarzysz — żal

mi ciebie, a po ludzku, choroba twa wzrosła, jeśli nie narodziła się z bardzo prostej przyczyny. — Uderz się w piersi, może ci żal że nie zostałeś w Genui... gdzie tęskni twoja jedyna. Jakób się smutnie uśmiechnął.

— Jakże ty mnie straszliwie po ludzku sądzisz, rzekł łagodnie — myślisz że gdy jest samą, opuszczoną, jabym śmiał zbliżyć się do niej, aby ją narazić choćby na wewnętrznego wstydu rumieniec ? Mój ból nie z tego pochodzi, ale z przekonania jak nikczemnym i niegodnym jej jest ten z którym ją połączono... myślę co ona z nim cierpieć musi?... jakie jej życie z tem zwierzęciem?

— Na to nie poradziemy, choćbyśmy najdłużej się tem gryźli, zawołał Jan, tam gdzie lekarstwa nie ma pocóż się chorobie przypatrywać?

— Masz słuszność, odwróćmy oczy — milczmy. To mówiąc zebrał książki rozrzucone na ziemi i powoli szli razem ku gospodarzowi. Jakób po drodze czytał w nich smutny i roztargniony.

Dzień przeszedł na obojętniejszych rozmowach; w miasteczku już śladu pana Henryka nie znaleźli, on i jego towarzyszka wybrali się z rana, chłodem, w dalszą drogę, na Spezię. — Może dla tego Jakób pospieszać nie chciał i został.

Nad wieczór wyszli znowu i usiedli nad morza brzegiem; wszczęła się mowa o kraju, o życiu dalszem Jakóba, a Jan znowu skłonił go do opowiadania o sobie..

— Koniec końcem, rzekł, ja jeszcze życia twojego nie znam całego, jakieś mi przyrzekł... dajesz z niego tylko powydzierane karty.

— Bo wiele w tej księdze niezapisanych, a wiele czytania nie warto. Gdybym ci chciał ten żywot ogołocony z wielkich wypadków, w którym największego znaczenia były moralne wpływy i postrzeżenia, określić cały, nie stałoby nam czasu, tobie szczególniej cierpliwości. Często w niem jedno wejrzenie, ruch, słowo, wiele dla mnie stanowiły, a jakże ci ich tajemnicze znaczenie wytłumaczyć?

Pracowałem w kantorze pół dnia, część byłem niemal zmuszony poświęcić towarzystwu, stosunkom z ludźmi choćby dla poznania świata; wieczory szczęśliwymi rozmawialiśmy z Tildą, część nocy czytywałem biblię, i talmud; bom sobie postanowił, wśród tego zobojętnienia ogólnego nie dać zawładnąć nad sobą niewiarze i odrętwiałości. Od pierwszych dni pobytu mojego w Warszawie zwrócił na siebie oczy moje i pociągnął serce ku sobie, człowiek jeden, którego potem spotykałem prawie codziennie. Był to brat mojego opiekuna, mój też krewny daleki. Zwał się on Symon Borah.

Bracia dwaj nie lubili się z sobą. — Symon naprzód nie był wcale człowiekiem praktycznym, stracił znaczną, część majątku, handel jego szedł źle i biednie. Opiekun mój już dla tego samego że z obowiązku familijnego, pomagać mu i ratować go musiał, miał wstręt do niego; potem dwie też ich natury były z sobą sprzeczne, nieprzyjazne sobie. Symon tak dobrze jak brat jego nie miał żadnej wiary, ale był uczuciowym, fantastą, miał serce, przywiązywał się łatwo, był płochy, dziecinny czasem a jedynym przymiotem rehabilitującym go w oczach ludzi był dosyć ostry dowcip którym drugich i siebie kaleczył nielitościwie, nie oszczędzając naturalnie i brata.

Symon dwa razy był żonaty, postradał obie żony; kobieciarz był wielki, zepsuty, sceptyk; miał wszakże w sobie coś wielce sympatycznego, jak zwykle tego rodzaju egości. — W towarzystwie miłszego, zabawniejszego nadeń człowieka trudno było znaleźć, obawiano się go i kochano. Takim jakim był Symon przedstawił się jako ciekawy owoc wieku i społeczeństwa... nie miał wiary a chwycił chciwie co nią tchnęło, urągał się wszystkiemu choć gotów był pokochać wszystko... uniewinniał każdego w duchu, a z wszystkich sztydził nielitościwie. Ze łzą na oku a uśmiechem na ustach, stary, szpakowaciejący dzieciak, dawał sobą miotać tym co go nie byli warci, a miewał fantazyje burzliwe jak słoń na uwięzi, w których nic go pohamować nie mogło.

Symon pełen był sprzeczności, a jednak ściśle logicznym w sobie. — Rzekłbyś wybujałe drzewo, którem wiatr miota na wszystkie strony, a strzaskać go nie może. — Niekiedy Symon bywał wielbicielem chrześcijańskiej nauki, czasem zapalonym żydem, (na przekór zawsze tym z którymi obcował.) — Człowiek pierwszych wrażeń które przyjmował namiętnie, gwałtownie; nazajutrz po burzy straszliwej, pytał ziewając o to co go poruszyło z obojętnością niepojętą.

Miał jednak to do siebie że nigdy nie kłamał, nie udawał, a gdy prawdy powiedzieć nie mógł, milczał, gdy nie potrafił zamilczeć rzucał myśl swą obwiniętą w sarkazm zręczny, tak że wielu tylko jej szata zewnętrzna była przystępną. Owoc się bronił łupiną. Trudno bym ci charakter ten w pełni przedstawić i dać o nim zdołał wyobrażenie. Wystaw sobie poczciwego dziwaka zjedzonego do kości niewiarą, która go boli. Opiekun mój wielki wszelkich przyzwoitości (jedyne prawa jakie uznawał) wielbiciel, chociaż byle ona powierzchownie była zachowaną, o nic się więcej nie troszczył; nie mógł się nigdy pogodzić z tym człowiekiem, któremu wszelka niewola ducha ciążyła. Ile razy Symon do niego przyszedł, a przychodził często, widać było niepokój na

twarży gospodarza, zwłaszcza jeżeli osób było więcej; obawiał się i nie bez przyczyny tego strasznego języka. Symon też, choć się nie popisował z dowcipem, w pochwach go nie trzymał, dobywał z ochotą jeśli mu się zręczność nastęczyła. Mały, chudy, żółty, żywy, niepiękny, miał fizyognomią zajmującą i wiele charakteru w twarzy. Od pierwszych dni poznania, mimo mojej młodości i usposobienia religijnego z którym się nie kryłem wcale, przylgnął on jakoś do mnie. Dowiedziałem się że po cichu badał potem postępowanie moje i musiałem dobrą jego powziętą o ranie opinią usprawiedliwić, gdyż coraz czulszym był dla mnie. Nie wiem jak bystre jego oko dojrzało nawet mojego do Tildy przywiązania, jakkolwiek cichego i osłoniętego — wprzód prawie niżej się sam do niego przed sobą przyznał. Raz, gdyśmy przypadkiem byli sami, wpatrzywszy się we mnie i poklepawszy po ramieniu, rzekł z cicha.

— Słuchaj Jakóbie, jabym ci coś powiedział... Zwykle zwano go, nie wiedzieć dla czego, może

przez antithezę, ojcem Symonem.

— Cóż ojcie Symonie? spytałem.

— Ale ba, tyś się gotów gniewać?

— Nie, odparłem....

— Tobie z oczów patrzy że się ty kochasz... czy w Angielce guwernantce, nie wiem, są, ludzie co utrzymują że przywiędłe kwiatki najwięcej mają woni — ale że w tym domu, to pewna...

Krew mi uderzyła do głowy, oburzyłem się.

— A widzisz że się gniewasz, rzekł, cicho — cicho, to między nami, tylko cię przestrzegam słowy N. Pana — Point des reeries! Tatko jest człowiek praktyczny a ręce ma długie.

— Ale cóż wy znowu marzycie, ojcie Symonie. — No, no, nie kłam, kochasz się, serce.

— Gdyby nawet tak i było — choć nie jest, rzekłem, miłość moja byłaby... — No, no, cicho, przerwał mi, ja to wiem, wszyscyśmy to mówili... Co najlepszego masz do uczynienia to się ztąd wynosić. Nie igraj z ogniem... Ten Ananas nie dla nas! dodał kiwając głową.

— Nigdy nawet nie marzył o tem, rzekłem.

— Tak się to mówi, odpowiedział, nawet przed sobą samym... ale, przestrzegam cię — dałbyś temu pokój.

Zamilkł i nie wspomniał o tem więcej, potem wyjechał za granicę do wód, a powróciwszy zastał Tildę narzeczoną. Gdyśmy się po jego powrocie pierwszy raz spotkali, patrzył mi w oczy chciwie, badawczo, z politowaniem, wyczytał w nich rezygnacją i cierpienie dobrze ukryte, ścisnął mi rękę; ale już nie rzekł ni słowa.

W parę dni potem spotkaliśmy się na ulicy.

— Jest to prawo święte, rzekł mi na ucho, że najśłodsze wiśnie wróble jedzą. I poszedł spieszenie dalej.

Kochał bardzo Tildę, przeczuwał jej losy, ale z bratem wiedział dobrze że nawet mówić nie było można; miał wolę żelazną, a uczucia nie wchodziły nigdy w jego rachunki. Pracowałem ciągle gorliwie, nie dając znać po sobie ile wewnątrz cierpiałem. Tymczasem najniespodziewańsza czekała mnie zmiana losu, mająca upragnioną obdarzyć swobodą.

Będąc na łasce opiekuna musiałem oddać się praktyce życia po jego myśli i słuchać jego rozkazów; nauka ciągnęła mnie ale się jej poświęcić wyłącznie, swobodnie nie miałem prawa. Była mowa o wyprawieniu mnie za granicę dla dokończenia fachowego wychowania i zajęcia biurowego u jednego z korespondentów naszego domu, jam wzdychał żeby mózdz podróżować swobodnie, uczyć się i badać, ale pomyśleć o tem nawet nie śmiałem.

Uważałem to i uważam za skazówkę z góry, że mnie Pan Bóg cudem uwolnił z więzów i pozwolił bym się oddać temu, ku czemu powołanym się czułem. Jednego dnia, w kilka dni po ślubie Tildy, gdym pracował nad sobą, aby tęsknicy i niepokoju mego nie dać poznać, w niezwyklej godzinie odebrałem od opiekuna bilecik, wzywający mnie natychmiast do niego.

Sądziłem, że niespodziewany wypadł interes, gdy wszedłszy znalazłem go chodzącego z dosyć kwaśną miną po pokoju. Popatrzył mi w oczy.

— Czy już wiesz? zapytał.

— Ja? o niczem, zdaje mi się, nowem nie jestem uwiadomiony.

— No, to ci pierwszy powinszuję... choć może dla ciebie niema czego. Daleki wasz krewny Moses Hermann z Berlina, jak ci wiadomo, bezdzietny... umarł i zapisał ci cały majątek... Zaprawdę jednak niepewny jestem czy ci tego winzować, czy nad tem ubolewać. Ja tracę w tobie człowieka, którego chciałem wykształcić wedle mej myśli.

Stałem jak osłupiały.

— Co myślisz? zapytał mnie.

— Ja — jeszcze sam nie wiem, rzekłem, to pewna, że oddawna pragnąłem podróżować, wyjadę więc nie zwlekając, jeżeli pan zechcesz mnie uwolnić.

— Jesteś najzupełniej wolny, rzekł mi kwaśno. Bardzo rad jestem, że wypadkiem dałem ci wychowanie właściwe majątkowi który otrzymujesz tak niespodziewanie. Moses nie wiem czy cię tu raz widział... nie rozumiem tego... Ruszył ramionami.

Potrzebując ochłonać, przyjść nieco do siebie, zebrać myśli, wyszedłem wpředce. Po mieście już wieść o tem była gruchnęła; ludzie co wczoraj mnie nie znali lub lekceważyli, przychodzili do mnie z oświadczeniami i uściskami upokarzającymi.

Mann wycałował mnie publicznie w oba policzki prorokując mi wielką przyszłość, chciał nawet prosić na śniadanie, czego dotąd przykłady nie było; inni starali się mi dowieść, przekonać, że mnie od niepamiętnych czasów kochali tajemnie zawsze. Stałem się na raz bohaterem, gościem pożądanym i z niczego — człowiekiem. Wszystko to sprawił ów nagły spadek po Mosesie, którego ja w istocie prawie nie znałem.

Kilka miesięcy temu, stary przyjeżdżał do Warszawy; był to bliski krewny mej matki, aleśmy go po raz pierwszy w życiu widzieli.

Opiekun mój, wiedząc iż był bezdzielnym a bogatym, przyjmował go nadzwyczaj uprzejmie. Chociaż Moses miał lat blisko siedmdziesięciu, że był wdowcem, zdawało się iż miał jakąś myśl tajemną wydania za niego córki, ale to mu się zupełnie nie powiodło. Przez czas jego pobytu w Warszawie niemal codziennie go widywałem, i o ile poznać mogłem, bo był milczący i skryty w sobie, zdawał mi się człowiekiem jeszcze przeszłego wieku, więcej żydem niż dziś są wszyscy. — Wychowany i zamieszkały w Niemczech, przedstawiał typ u nas całkiem nieznanego człowieka wykształconego, który się przecie rodzimego nie wyrzekł charakteru. Był wszakże Niemcem potroszę z pewnych względów; wiadomo jak poważną rolę w literaturze, ruchu umysłowym, polityce nawet niemieckiej odgrywają, żydzi Niemcy. Należał on do tej grupy ludzi myślących, pracowitych, poważnych, w których praca nie zabiła ducha; lubił poezję, sam je pisywał, ale nie w rodzaju Heinego, którego wszakże talent wynosił. Kilka razy wpadliśmy w rozmowie na przedmioty zbliżone do nas obchodzące, na los żydów, ich stan dzisiejszy, wygaśnięcie religijnego ducha. Opiekun przy nim wyśmiewał mnie jako zagorzałego talmudystę (choć nim nie byłem i nie jestem), mówiliśmy więc o tym przedmiocie dosyć z Mosesem i byłem, jak zwykle, aż do zbytku może otwartym, wypowiadałem mu się z przekonaniem i programu swojego. Chwila jedna, w której się poczułem sztywnym rozbudzony, wyrwała mi z ust całe moje marzenia, nadzieje, pragnienia....

Moses mnie wysłuchał z uwagą, nie rzekł słowa potem, nie widzieliśmy się nawet więcej, gdyż niespodziewanie wyjechał.

Można więc sobie wystawić zdumienie moje, gdym dowiedział się że ten, prawie nieznanego krewnego, naznaczył mnie spadkobiercą swoim. Testament z zapisem tym nie łączył żadnych warunków, był prosty i krótki.

Wszyscy jednak jak ja zrozumieć go nie mogli

— pojąłem go ofiarą uczynioną, ideą, którą podzielał. — Opiekun mój, podobno spodziewający się sam tego znacznego spadku, z goryczą odzywał się o starcu, nazywał go niewdzięcznym i nitki na nim pocziwej nie zostawił.

Spotkałem się tegoż dnia i z ojcem Symonem.

— Cóż za szkoda, rzekł — żeby był pocziwy Moses miał rozum umrzeć na kilka miesięcy wprzód! Rozumiesz? ale dziś, łyżka po obiedzie. Nigdy się na świecie nic w porze nie zrobi! A może to i lepiej! Winszuję ci, ale zarazem przestrzegam, nie upij się pieniędzmi.

W istocie, czułem sam że mnie to, mimo woli mej, poilo, ale zarazem przypatrując się z nowego stanowiska ludziom, obrzydliwość do nich miałem, tak mi się podłemi wydali, znajdując mnie teraz innym zupełnie, niż dla nich byłem ubogi. — Zaproszeniom wystarczyć teraz nie mogłem, czułościom się opędzić, bronilem się od nich wewnętrzną pogardą.

Jak tylko opiekun mój oznajmił mi żem wolny, w samym interesie tego spadku, postanowiłem wyruszyć natychmiast i musiałem.

I Otoż jak wyjechałem z kraju.

Od tego czasu, oprócz Europy, zwiedziłem Egipt, Palestynę, Turcyą, Syryą... włożyłem się przypatrując moim współwyznawcom, a teraz, jak widzisz, powracam do kraju, nie wiedząc jeszcze co pocznę z sobą, ale z mocnem postanowieniem, być moim i krajowi pożytecznym... Iwaś westchnął.

— Szczęśliwy jesteś, rzekł, swobodny, bogaty, nieskrępowany niczem, ileż to w istocie dobrego przy stosunkach twych, charakterze i mocy ducha uczynić możesz!

— Słuchaj, odezwał się Jakób biorąc go za rękę — razem się będziemy o to starali, by być użytecznymi, pójdziemy oba zaprzędz się do pracy; znajdziesz mnie do niej gotowym zawsze.

Iwasiowi oczy błysnęły na chwilę, ale wprędce się powstrzymał od wybuchu uczucia, błąd półuśmiech przeleciał mu po ustach.

— Dziękuję ci, rzekł, zobaczymy, na to potrzeba naprzód żebyśmy oba do kraju powrócili, gdzie wielkie zdają się gotować rzeczy... Chciałbym już co żywiej pospieszyć...

— I ja, odpowiedział Jakób, ale nie podzielam twych przeczuc, więcej jest pewnie rzeczy którym zapobiegać potrzeba, niż tych które robić należy. Pomówimy o tem inną razą...

Rozmowa przerwana, została.

Nazajutrz ruszyli w dalszą, drogę; ale nim się dostali do Pizy, obu niepokój wewnętrzny zmusił przyspieszyć podróż. Już ze Spezyi pojechali dyliżansem, a dostawszy się do kolei, nie zatrzymując się więcej, przebyli resztę Włoch i dobili się tak do granicy kraju, do której nikt, nawet obcy, bez obawy zbliżyć się nie może. Jest to dziś jedyne państwo w Europie (jeśli europejskiem nazwać się je godzi), w którym nikt bezpiecznym nie jest, gdzie każdemu fantazya urzędnika, podejrzenie, niechęć lub doniesienie fałszywe grożą gorzej niż śmiercią, męczarnią, wywłaszczeniem, grabieżą... Nie wiem czy nie lepiej dostać się w ręce włoskich bandytów, niż moskiewskiego urzędu.

Kraj w którym nie ma praw innych nad prawo silniejszego, gdzie rządzi tłuszcza zaledwie okrzęsanych, nieoświeconych ludzi, chciwych łupu a lekceważących człowieka, godność jego, wiek, zasługę, cierpienie, wygląda wjeżdżającemu jak krata więzienna... po za nią inaczej się oddycha, żyje inaczej, nieszczęśliwy co tam wpadł, jest na łasce oprawców... Z tej strony granicy był jeszcze człowiekiem, tam jest już poddanym i niewolnikiem nie jednego autokraty, ale tysiąca rozjuszonych i głodnych despotów, z których każdy w swem miejscu przedstawia cara i jego nieograniczoną siłę... Na rogatkach moskiewskich stoi ów napis Danta: *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate.*

* * *

Było to w małej mieścinie pod Warszawą; w szerokim a pustym jej rynku, którego jeden bok stanowił schludny nowy kościół i długi mur otaczającego

cmentarza. — Naprzeciw niego rzędem wyciągały się domy drewniane i murowane, starsze i nowe, po większej części gospody zamieszkałe przez Izraelitów. Wśród nich porządniejszy, o piętrze dom murowany, znany w miasteczku pod imieniem kamienicy per ezcendentiam, na którego dole był sklep korzenny i norymberski — bielał świeżo wyrestaurowany. Na facyacie jego w pamięć tego ounowienia, dwa lewki kształtów przypominających stare assyryjskie rzeźby, trzymające wazon z kwiatami, na którym był rok 1860, dawały się domyślać że dom musiał do możnego Izraelity należeć. Cały jego dół zajmował ów sklep i biuro handlowe, około którego kręciło się kilku żwawych żydków. Było to w piątek nad wieczór, azatem w całym domu odbywały się uroczyste przygotowania do obchodzenia świętego dnia, dnia królowej, dnia Sabbathu.

Zapasy żywności wszelkiej już były wcześniej zniesione do kuchni, która przedstawiała obraz przygotowań i niezmiernego ruchu i krzątania. Kilka kobiet zwijały się około ryb, gęsi pieczonej, łoskzynu, ciast i różnych pokarmów, przyrządzano potrawy, piec gorzał wielkim ogniem. — W izbach mieszkalnych oczyszczano, zamiatano, osadzano świece w lichtarzach, a stary Jankiel Mewes zamyślony ubiera się, wróciwszy z łaźni, w świąteczne szaty, chociaż słońce jeszcze było dosyć od zachodu daleko. Ścisłe przestrzegając prawa mało co jadł przez dzień cały, aby ucztę wieczorną pożywać istotnie spragniony; myśl jego przebiegała czynności całego tygodnia i szukała w nich winy, aby je w głębi duszy zmazać p okutą,

Jankiel Mewes był prawym, starych obyczajów izraelitą; chociaż rozsądkiem i otarciem się o ludzi, mógłby! zająć inne stanowisko w świecie, nie zrzucił wszakże dla wdarcia się w cywilizowańsze towarzystwo ani sukni, ani wiary.

Szmer gadatliwych kobiet dochodził starego z kuchni, gdzie jak on, podżyła, rumiana i dosyć otyła jejmość pani Rachel Mewes właśnie trzy białe przygotowywała chleby, zachowując, wedle prawa, osobno oddzieloną, częśćkę ofiarną Challah. Sama staruszka obmywszy ręce wyjęła kawałek ten ciasta i zmówiła modlitwę przepisaną przy tym obrzędzie:

"Bądź pochwalony Jehowah, Boże nasz, królu "świata, bo przez cię jesteśmy poświęceni przykazaniami Twojemi... i Tyś nam rozkazał Challah "odzielać. "

Ponieważ jedna była rodzina i jedno pieczywo, jedno też tylko Challah odzieliła stara Eachel i rzuciła je w ogień, poczem trzy białe bułki wielkie wstawiono w piec już gotowy.

W innym piecu stały już przygotowane nadziewane szczupaki, które są nietylko ulubioną, ale wedle tradycyjnego wykładu nakazaną potrawą Sabbathu (Mojżesz 4. 11. 22.); rodzaj pasztetu, pieczone i obfite jądła, bo na ten dzień wesela niczego się nie skąpi.

Sam gospodarz wyszedł rzucić okiem na świeżo pomyty sprzęt, poczyszczony noże i błyszczące misy cynowe; godzina się bowiem zbliżała gdzie miał rozpocząć modlitwy przygotowujące do święta: rozdział prawa Mojżeszowego,

po hebrejsku i chaldejsku, jeden rozdział proroka przypadający na ten dzień roku i psalm dziewięćdziesiąty trzeci.

O jakże smutnie brzmi w uszach uciśnionego narodu ta pieśń psalmisty obiecująca mu pomstę Bożą a zalecająca cierpliwość.

"Bóg pomsty pan, Bóg pomsty wolno poczyna. "

Odmawiając psalm Jankiel pomyślał nad losami swojego narodu, oczekującego wiecznie i dokończył go głosem przejętym i drżącym:

"Zasadzą się na duszę sprawiedliwego, a krew niewinną, potępią.

I stał mi się pan ucieczką, a Bóg mój nadzieją obrony mojej.

I odda im nieprawość ich, a we złości ich wytraci je, wytraci je pan Bóg nasz.

"(1)

(1) Radziłoby należało rządowi moskiewskiemu, ażeby przepuścić przez cenzurę nie tylko psalmy, stary testament, ale w ogólności całe pismo święte, ewangelję, i niektóre podejrzone słowa Chrystusa, pełne alluzji do uciskających i uciskanych, obietnic pomsty i innych nieprzyzwoitych wyrażen. W ogóle ewangelia tchnie duchem buntowniczym, pomimo owego — Oddajcie Cezarowi! — Nawet wtem słówku co za gorzka ironia — każe oddawać tylko pieniądze, a nie sumienie i cześć... Żli ludzie gotowi Bóg wie jak rozumieć i wykრęcać. — Dla Rossyi dosyćby było katechizmu o czci cesarza, pan Bóg jest tam pod władzą M". Pana. P. A.

Odmówił potem Jankiel kilka jeszcze modlitw, które prawo na ten dzień nakazuje, a że czas mu jeszcze zostawał, otworzył talmud, i padł los na następującą powieść z księgi Berachot:

"Pogański Cezar zazakał Izraelitom pod karą śmierci, zajmować się nauką ksiąg świętych; ale nieustraszony Rabbi Akiba zebrał gorliwszych i odważniejszych około siebie i dalej jako wprzód nauczał otwarcie.

Niejaki Papus, także Izraelita, mąż który za wielce mądrego był miany, zbliżył się doń cały drżący i rzecze:

Nierozsądny, jakże się nie lękasz gniewu pogan? porzuć naukę prawa a ratuj się.

O! odparł z niechęcią uczony, ty żeś to jest którego sławiono z rozumu? Rozum więc twój niczem innym nie jest tylko głupotą. Posłuchaj bajki mojej, a osądź potem własną radę.

Raz lis zobaczył na brzegu strumienia ryby, które się w wodzie tam i sam miotały. — Co za niebezpieczeństwo was przeraża? zapytał je. — Chcą nas tu i tam wyłapać, rzekły ryby, rozpięte w wodzie sieci nas przestraszają. — Biedne, zawołał lis, czemuż nie ratujecie się tu na ląd, byłybyście zupełnie bezpieczne. Rzućcie te wody szkodliwe, chodźcie na ziemię, będziemy żyli w zgodzie, jak niegdyś ojcowie nasi. — Jesteś ty ów lis, zawołały ryby, którego przebiegłość sławili wszyscy? Piękna przebiegłość! Tu w wodzie, żywiole życia naszego,

żyjemy w ciągłym strachu i obawie, a żądasz od nas dla uspokojenia abyśmy na ląd wyszły, który jest dla nas śmiercią?

Pomyśl Papiusie, dodał Akiba — prawo święte jest żywiołem naszym, ty chcesz byśmy je porzucili dla szukania życia w innym?"

Zamyślił się nad tą przypowieścią Jankiel i przebiegłszy myślą wieki prześladowania, zapłakał składając Bogu dzięki, że mimo wygnania, rozproszenia, ucisku, nędzy, ocalił przecie naród w sposób cudowny i zachował go aż po dziś bezpiecznie. — Cóż to sprawiło, jeśli nie zachowanie prawa?

Po skończonej modlitwie obyczaj chciał, aby gospodarz zajrzał jeszcze do przygotowań uczyty, a choć był pewien, że Rachel wszystko starannie obmyśliła, zachowując dawny obrząd wszedł do kuchni i dotknął półmisków w myśli pokarmy błogosławiąc.

Potem wrócił znowu do swej izby i odczytał pieśń Salomonową.

Słońce już zachodziło, światła zapalano, uroczysta godzina przyjścia królowej się zbliżała.

Wszystko też było w gotowości, stół nakryty, izby poumiatane, Rachel włożyła suknię jedwabną, muszki i perły dziedziczne, córki jej postroiły się choć skromniej ale starannie, sługi nawet przywdziały odzież odświętną.

Zastukano w okiennice, czas był do domu modlitwy; Jankiel też już schodził ze wschodów, a za nim słudzy, stara Rachel z ogromną księgą pod pachą, jej córki, młodsza rodzina, wszyscy kto żył, bo gospodarz ściśle przestrzegał dopełniania obowiązków religijnych, nawet u swej czeladzi.

W tej chwili dziedziniec przed synagogą, wnijsie pełne były cisnących się z całego miasteczka bogatych i ubogich Izraelitów... Śpiewak rozpoczynał właśnie modlitwę Aszre.

Nabożeństwo trwało czas dosyć długi, Jankiel pozostał jeszcze chwilę zamyślony, gdyż widocznie boleść miał ciężką na sercu, a powróciwszy do domu, mimo dnia wesela, czoło zachował chmurne i pofałdowane jakąś troską; wzrok jego często, mimowolnie padał na młodszą córkę Liję, która ze spuszczonei oczyma, drżąca stała w dali, czekając na matki rozkazy. Było to śliczne dziewczę, młodziuchne, z wyrazem niewinności i głębokiego uczucia na twarzy; w oczach jej, które rzadko śmieiej podniosła, błyskało życie młodości — ale znać było że się już i łzy przez nie przelały. Teraz z trwogą jakąś spoglądała na ojca.

Rachel ze starszą swą córką odmówiwszy modlitwę zapalała świeczniki i lampy, a podniosłszy ręce zawołała:

— Bądź pochwalon Jehowa, Boże nasz, królu świata, któryś nas przykazaniami swemi ubłogosławił i nakazał nam zapalać światła święteczne.

Nastąpiły inne modlitwy ciche, głośniejsze, dom cały gorzał światłami i brzmiał śpiewy, kobiety także czytały z ksiąg.

Ale Jankiel wyszedł raz jeszcze do synagogi, niezbyt od domu oddalonej, a Rachel z córkami i sługami kończyła przygotowania do wieczerzy. Zasłany był biały obrus, zastawione talerze i misy... wszystko się stroiło na przyjęcie

królowej Sabbathu. Dwa z upieczonych chlebów sama gospodyni położyła na stół i pokryła je białym ręcznikiem. Było to przypomnienie Manny zesłanej na puszczy, pokrytej rosą jak chleb osłonięty był płótnem białym.

Na stole stały już i dwa z woskowymi świecami lichtarze srebrne, starej formy; gdyż do świateł w tym dniu szczególnie przywiązuje się waga.

Stary pozostał znów dosyć długo w domu modlitwy, a gdy obrzęd poświęcenia wina dla obcych i przybyłych spełniono, skończywszy wieczorne modły, ukazał się nareszcie w progu domostwa swego, wymawiając słowa:

— Pełen chwały Pan, niech wam da wszystkim dobry dzień świąteczny i rok dobry...

Obie córki starego zbliżyły się naówczas po błogosławieństwo. Jankiel wyciągnął ręce składając je na głowie starszej córki, a gdy kolej przyszła na Liję zadrżał, zatrzymał się nieco, lecz po chwili namysłu złożył dłonie na pochylonem czole dziecka; Lija czuła że ręka jego drżała mocno i głos drżał gdy wymawiał powtórnie:

— Niech Bóg uczyni cię podobną Sarze i Racheli i Lii.

Córki poszły potem do matki, która je błogosławiła i całowała, a łzę otarła nieznacznie końcem haftowanego fartuszka.

Stary zwrócił się potem do stołu.

— Pokój niech będzie z wami, rzekł, posłannicy aniołowie... anioły Najwyższego, który jest królem królów, Świętym, — niech będzie stokroć pochwalonym. — Niech przyjdzie wasze będzie w pokoju, anioły pokoju, anioły Najwyższego... pobłogosławcie nam w pokoju, anioły pokoju...

Powtórzywszy to wezwanie po trzykroć, dodał:

— On rozkaże aniołom swoim, aby cię strzegli na drogach wszelkich. Jehowah... będzie strzegł wyjścia twego i wniknięcia twego, od teraz na wieki.

I jeszcze długą odczytawszy modlitwę starzec, skończył kantykiem Salomona i ułamkiem z księgi Sohar.

Nastąpiło wedle starodawnego zwyczaju poświęcenie wina (kaddusz). — Jankiel powstał i odśpiewał wiersz z księgi Mojżeszowej głosem poważnym i znów czytał modlitwę, którą wszyscy za nim powtarzali po cichu. — Bądź pochwalonym Jehowah, Boże nasz, królu świata, iżeś nas przykazaniami swojemi ubłogosławił i upodobałeś w nas sobie, i dozwolił byśmy to święto na pamiątkę dni stworzenia święcili, przez miłość i łaskę swą...

Albowiem dzień ten jest pierwszym (przedniejszym) pomiędzy zebraniem świątecznym i pamiątką wynijścia z niewoli egipskiej. Tyś wybrał nas i uświęcił nas nad inne narody, Twój Sabbat zostawiłeś nam na ziemi na pamięć miłości i łaski... Bądź pochwalonym Jehowah, który dzień ten święcić każesz...

To wyrzekłszy poniósł Jankiel do ust wino ofiarne i oddał je aby szło w koło, siedzącym przy stole. Znowu tedy obmywszy ręce, zdjął sam nakrycie z Birchas (chleba szabatonowego) i położył je na niem i błogosławił modląc się, a przytomni odpowiadali: Amen. Krajał potem po kawałku dla wszystkich przytomnych, a uczta się rozpoczęła wesoło i swobodnie. Ale mimo przykazu Mojżeszowego,

który w święto te wesołym być poleca, Jankiel próżno silił się na uśmiech, oko jego chmurne szukało i zwracało się ku Lii, która kręcąc się zdala posługiwała przy stole.

Uczta odprawiana wedle starego obyczaju, miała w sobie coś wielce uroczystego, religijnego, była na pół ofiarą, na pół modlitwą; niepodobną była do trzpiotowatych bankietów dzisiejszych, tu ucztowano z Bogiem... przywoływano anioły, żywiono się chlebem i wspomnieniami razem... A gdy potrawy wszystkie z kolei spożyto, zakończyła się nareszcie znowu uroczystą modlitwą, gdyż Jankiel nie opuścił nic, co wedle podań, dzień ten poczynający się Sabbatu uświęcić mogło. — Już się byli wszyscy porozchodzili w cichości i stół sprzątnięto zostawując na nim tylko część chlebów i wina, gdy stary zamknąwszy księgę, wyrzekł jeszcze ostatnie błogosławieństwo wieczorne:

"Panie świata, spojrzuj, oto przebaczam wszystkim tym, którzy mnie do gniewu pobudzili i niechęci, którzy cześć moją, ciało moje, mienie moje pochwycić pragnęli, czy z musu czy z dobrej woli, czy z błędu czy z ochoty, słowy lub czynami; niech się im stanie teraz i we wszystkich duszy mej przejściach tak aby nikt za mnie karany nie był. O Jehowah, Panie mój, Boże ojców moich, pomóż mi, abym więcej przeciwko Tobie nie grzeszył. A z tego czem Cię obraziłem, rozwiąż mnie przez wielkie miłosierdzie Twoje, ale nie karą i męczarnią. Niechaj Ci słowa ust moich i uczucie serca mojego przyjemnymi będą, Jehowah, podpora moja, Zbawco mój. Panie przebacz tym, którzy czynili nieprawość...

I rozpląkał się stary mówiąc te słowa. Rachel usłyszawszy w głosie jego łzy, stojąc we drzwiach izby, załamała ręce po cichu; czuła bowiem że je wywołało nie przypomnienie doli narodu, ale zwrot jakiś myśli ku własnemu położeniu.

Ale nie śmiała wniknąć tam gdzie się modlił ani rzec słowa, gdyż stary wciąż jeszcze coś szeptał, aż nareszcie wstał, podszedł, dotknął ręką przybitego do ściany Mesusse i pobłogosławiwszy raz jeszcze domowi, powoli, z głową na piersi zwieszoną posunął się do alkierza w którym nań żona niespokojna oczekiwała.

— Panie mój, rzekła staruszka do niego gdy usiadł mając się rozdziewać z szat — niespokojną, jestem czyś nie chory? Nie jesteś jak zwykle spokojnym i wesołym, choć dzień Bóg dał świąteczny, dzień radości...

— Jeśli ja nie jest jakimbyś być powinien, rzekł Jankiel, to się staram być — nie frasuj się o mnie zbyt mocno... to minie.

— Ale ja wiem co cię trapi...

— Więc nie mów mi dziś o tem, odrzekł zniżając głos Jankiel — nie mów mi nic; byłoby to dzień świąteczny osmucić dobrowolnie. Módlmy się, myślmy o Bogu... Rachel więc zamilkła.

Tak się skończył wieczór Sabbathu w tym domu starego obyczaju izraelskiego; ale mało już gdzie przestrzegano równie ściśle obrzędów podaniem uświęconych. Tuż naprzeciw domu starego Jankiela, był drewniany, dosyć porządny Dawida Seebacha, ku któremu przez okno ciemne skierowały się z

sypialni oczy pięknej Liji, nim się spać układała. Długo ona stała, z niepokojem i tęsknotą patrząc w oświetlone szyby przeciwległego domostwa, wzdychała i ze spuszczoną głową zadumana, zdawała się zamyślać o boleści, która jej widocznie dojmowała.

Dawid Seebach, ojciec i syn właściciele i mieszkańcy sąsiedniego domu, byli jakby bankierami małej miejsciny. W istocie Dawid ojciec od bardzo dawna zajmował się wypożyczaniem pieniędzy, tem co dawniej lichwą zwano, dopóki ekonomia polityczna nie wytłumaczyła, że korzystanie z cudzego nieszczęścia jest zupełnie prawem i prawem, wysokość procentu polubowną umową, a więc godziwą zawsze. Jankiel stary, który się zajmował handlem, oddawna miał jakiś wstręt do tego człowieka, nadskakującego mu aż do uprzykrzenia. Dom to był ni żydowski ani chrześcijański, a choć niby dla oka trzymano się w nim praw i zwyczajów dawnych, w istocie nie przywiązywano już do nich żadnej wagi, czyniono to tylko dla oka, z obojętnością, z szyderstwem__ Dawid sam z

żydami obcując, udawał żyda, ale z obcymi Kuthärami, z Goimami prześmiewał żydów i chwalił się że dawno pozbył się przesądów; jadał wszędzie gdzie mu wypadło, często w drodze bywał czasu świąt; słowem nie mając w sobie nic czemby brak wiary zastąpił, rzucił ją lekceważąc dla tego, że mu była niewygodną.

Syn Dawida, Dawid także młodszym zwany, wychowywał się w Warszawie, potem za granicą i całkiem już z siebie starł ślady pochodzenia. Był to młody człowiek na pozór wychowany starannie, w istocie ostatecznie zepsuty, do robienia grosza tak zajadły jak ojciec, i nie przebierający w środkach. Kochał też jedynaka i pysznił się nim niezmiernie pan Seebach, prorokując mu wielkie losy.

Tegoż dnia gdy Sabbath uroczyście obchodzono w domu Jankiela, u pana Dawida zaświecono wprawdzie świeczniki, nakryto stół wieczorny, ale ofiara chleba i wina nie została spełnioną, ojciec żadnych modlitw nie czytał i nikogo nie błogosławił. Oddawna owdowiały, oprócz syna i sług nie miał nikogo w domu, siedli więc do stołu we dwóch, a rozmowa wcale nie była budującą. Dawid zawsze żartobliwy, gdyż nawet w najkrytyczniejszych życia chwilach posługiwał się żartami, jako bronią dosyć łatwą do wywijania, z synem także lubił dowcipować. To go uwalniało od ściślejszego rozbioru spraw i rzeczy. Syn był nie z usposobienia, ale przez ową mądrość z jaką się chciał światu pokazać, daleko poważniejszy; miał postać i usposobienie wzdurliwe. Chytrym był na inny sposób niż ojciec.

Dawid jakkolwiek całkiem obojętny dla wiary i usiłujący ją nawet przedrzwiewać, szczególnie przy synu, który żadnych nie zachował przesądów, krył w sobie jednak coś niewytłumaczonego. Gdy nadeszły wielkie dni świąteczne, gdy prawo dopominało się od niego spełnienia jakichś form, czuł w duszy jakby zgryzotę jakąś z ich zaniedbania; był niespokojny czasem ukradkiem, cicho, w ciemności szeptał modlitwę, z której szydził przed ludźmi. Zdawało mu się, że to odwróci od niego jakieś nieszczęście.... Nie słuchał już

starego Jehowy ale jakoś się go jeszcze obawiał, nie chcąc przed światem strachu okazać po sobie. Tego dnia mimo przytomności syna, którego szyderstw się lękał, Dawid bardzo zręcznie umył ręce kilka razy, a modlitewki jakie mógł zapamiętać wyszeptał chodząc po kątach; zrobił coś nakształt święcenia wina i podał szklanekę synowi. Ale wszystko to odbyło się w sposób kradziony, ukradkowy i wcale nie uroczysty. Syn zdawał się tego nie widzieć. Był to młody człowiek dosyć przystojny, na którego twarzy głównie jedno malowało się uczucie: duma i zadowolenie z siebie. Ojciec je podsycał pochwałami, miłością dziwną, bałwochwalczą, a syn mu się wcale uszanowaniem za nią nie wywdzięczał; był obojętny, niemal pogardliwy, przynajmniej lekceważący ojca, któremu przy każdej sposobności jego niewykształcenie i nieświadomość rzeczy wyrzucał. Ojciec zdumiewając się mądrościami syna, tłumaczył się, uniewinniał przed nim pokornie.

Dawid junior siedział u stołu w wyszywanym szlafroku, z cygarem w ustach mimo szabasu, w okularach złotych na nosie. Okulary te, które często podnosił, bo mu w istocie zawadzały do patrzenia, teraz miał wykręcone na czoło.

Na stół podano rybę, resztkę obyczaju dawnego, pieczone jakieś i herbatę. Dawid starszy ukroił chleba nawet coś podszeptując nad nim, ale się powstydział i modlitwy resztę połknął, syn bowiem coś zaczął nucić pod nosem z intencją, szyderską.

Długo siedzieli milczący, ojciec w oczy patrzył dziecku, syn nogi założywszy na krzesło, podśpiewywał ciągle.

— No, no, o czymże się to tak zadumał? zawołał nareszcie ojciec, czy nie o świętości Szabbatu?...

— O! o! co ja wiem o Szabbacie królowej, ledwie pamiętam żeśmy ją dawniej obchodzili inaczej.... Dziś to już śmiesznie takie ceremonie wyprawiać jak ten stary głupi Jankiel... ale on się z siebie śmiać nie da!

— No co? a tobie się chce śmiać z niego? zapytał ojciec.

— Czemu nie! stare durne żydzisko? Ktoby to powiedział, ktoby temu uwierzył, że ten stary widocznie z jakąś niechęcią, jakby ze wzdargą patrzy na nas... prosty żyd....

— No! no! a co nam to szkodzi? zawołał Dawid starszy, czy to my od tego schudniemy? czy zubożjemy?

— No, zapewne nie, nicbym sobie z tego nie robił, gdyby tak ładnej córki nie miał.

Dawid starszy splasnął w ręce.

— Co to jest? co to jest? zawołał chmurno, nie zapominaj że... choć z żoną nie żyjesz, żeś żonaty.... Na co tobie ta bieda! Ty jeszcze o tem głupstwie myślisz... Mało to takich i piękniejszych kobiet na świecie? Czy to ty sobie dawszy rozwód tamtej, nie wybierzesz z między nich... a waj! no! no! gdybyś chciał potem wziąć choćby córkę obywatelską, czy to nie bywało podobnych przykładów?... Jak tylko tamtej dasz rozwód, musisz się ożenić porządnie, na co mnie te proste żydy? ja tego nie chcę — Czy to my zawsze tymi żydami być

mamy? Ty wiesz, że gdybym ja chciał, kupiłbym dziś dla ciebie taki majątek, jakiego tu żaden nie ma szlachcic naokoło.

— Oh! rzekł syn, a na co nam majątek. Na co nam ten kłopot? żeby te pieniądze co przynoszą teraz dwadzieścia i trzydzieści dawały nam cztery?

— Po co! po co! przerwał stary, to jest prawda, ale i nieprawda, pieniądz daje w obrocie dwadzieścia i trzydzieści, ale ty przecie wiesz jak? im więcej on ma dać tem większy o niego strach... źle kiedy już procent duży! Kto się dorobił jak my, ten całego kapitału nigdy nie ryzykuje... a co z nim robić? co? Dać bankierom naszym? zapłacą cztery i jeszcze w nocy spać nie będę żeby z nich który nie zbankrutował. Kupić papiery? czy to one jutro nie mogą spaść? a nuż jaka wojna?

Ziemia, Dawidzie, to jeszcze najlepsza hipoteka, choć ona daje cztery i dla tego ona więcej nie da, bo ją każdy łapie... — Albo to ziemi zabrać nie mogą?

— Kto? spytał ojciec przestraszony. Młodszy pokręcił głową.

— Albo to my we Francji albo w Anglii gdzie własność jest święta? czy to u nas nie może się tak trafić, że rząd zechce kupić chłopca a sprzedać pana? czy to on będzie ceremonie robił?

— To jest bardzo rozumne i bardzo głębokie polityczne słówko, to co ty teraz powiedziałeś, odrzekł ojciec kiwając głową, to jest złote słowo! Ty jesteś wielki polityk! Ale gdyby ziemi zostało pół tylko, ona pójdzie w górę, ona musi pójść w górę, bo idzie ciągle, wszędzie... Jeszcze się kapitału nie straci... a na papierach! a waj! jedna godzina....

Ale ja miałem o czem innem mówić, dodał stary po chwili, o twojem przyszłym ożenieniu; tamto pierwsze z tą paskudną żydóweczką, to jest nic! na to plunąć! ty jej dasz rozwód! Na co tobie znowu ta Lija w oko wpadła? he? już ja to widzę! na co tobie te żydówki? Tfu! ona bardzo jest ładna... no to co? to co że ładna? Pojeźdź do Warszawy, zobaczysz co to tam są za kobiety, a wszystko można wiaść... bez wielkiego kłopotu.... A tu! a waj! Co to ty masz życie tracić dla takiej mizernej dziewczyny, co jak będziesz wielkim panem, ona tobie w salonie się ani zagadać nie potrafi! Tobie trzeba wielkiej edukacji, ty rozumny, ciebie los czeka, twoja żona musi być z wielkiego domu i wychowana choć na królewski dwór... No! a Lija! co to jest! co to jest! pomywaczka!

— A ja myślę, kiedy się będę miał drugi raz żenić, rzekł ziewając Dawid, ja sobie myślę, żonę dla siebie brać nie do salonu, i wolałbym prostą, niezepsutą dziewczynę, niż najśliczniejszą taką warszawiankę, do której się jedenastu umizgało nim się dwunasty ożenił...

— At! at! to gadanie jest! odparł Dawid z miną nieukontentowaną — to gadanie na wiatr!... toby było nawet rozumne gdyby nie było bardzo głupie... Tak może gadać prosty, pospolity żyd który wedle biblii chce mieć sobie dzieci... a nam czego innego trzeba. Żona to jest także kapitał! Ty jesteś tak wychowany i bogaty, ja tobie mówię, że ty musisz być wielkim człowiekiem. Ja znam takich co twojej pięty nie warci a karetami jeżdżą i orderzy noszą. — No, a jak zostaniesz wielkim człowiekiem co ty wówczas będziesz robił z taką Liją która

się tylko kugła piec i łokszyn siekać nauczyła? he? no? a gdzie ty ją poprowadzisz? na bal do resursy czy na teatr? A ona jeszcze może zechce muszki włożyć, a zagada do niej jaki wielki pan, to ona sobie fartuszkem oczy zakryje... Tobie trzeba co innego! jaka ona będzie to będzie aby była wychowana po niemiecku lub po francuzku, a nie po żydowsku...

Wstał nareście z krzesła stary i rzekł aforystycznie.

— Co to gadać! to jest żydówka! a my już powinni przestać być żydami, mamy już tego dość.

Dawid młodszy nie przecząc temu ziewał... i wyciągał się.

Siadł i stary po chwili, zamyślił się.

— Ty wiesz, rzekł, do czego możesz dojść z twoją głową a z moimi pieniędzmi? — Ty możesz być ministrem... at!! at! I machnął ręką a machnięciem tem zgasił świecę; z razu porwał się ją zapalić, ale sobie przypomniał szabbas i jakiś go strach zabobonny ogarnął... a tu znowu się wstydził przed synem pokazać swoją obawę... Sięgnąwszy już ręką, cofnął ją.

— I tak dosyć jasno! szepnął po cichu... Po ustach syna przebiegł niepostrzeżony prawie uśmiezek, wstał powoli z krzesła i zebrał się na cywilne męstwo zapalenia świecy, po czym usiadł skonfundowany tak ojca i palił cygaro spokojnie.

Dawid starszy choć bardzo lubił tytuń i tej nie miał pociechy, w szabbas się bowiem od niego wstrzymywał, ale nie przyznając do zachowania prawa mawiał że głowa go boli, lub coś podobnego.

— Więc... więc ani tobie myśleć o tej Lij, dodał stary patrząc jeszcze z pewnym strachem na zapaloną świecę... Co ona może mieć? Ja tobie policzę na palcach... Starego Jankiela handel cały, żeby go już jak najwyżej szacować i dom i fabrykę i sklepy, to, co to może być? nu... sto... sto dwadzieścia tysięcy rubli... A co to jest?? plunąć na to takiemu człowiekowi jak ty!

— No! a kiedy my mamy dosyć!

— Jakto może być dosyć? podchwycił stary zdziwiony bardzo. Co to jest dosyć? czy kiedy może być dosyć? Jakto ty taki rozumny człowiek możesz takiego głupstwa powiedzieć? kiedy pieniędzy ma być dosyć? Pieniądzem robi się wszystko, a bez niego największy rozum, głupi. Ja tobie już drugą żonę sam wyszukam... Lija! to jest w sam raz żona dla Mortchela lub dla Judki? daj ty temu pokój!

— A gdybym ja ją bardzo kochał ? spytał śmiejąc się młodszy.

— Co to jest? zawołał ojciec, jak to ty, tak rozumny człowiek, możesz być tak strasznie głupi? Bo to jest nierozum oddać kobiecie życie za jej piękne oczy... Człowiek taki jak ty musi wiedzieć, że to kochanie to jest ogień słomiany, im się jemu jaśniej pali, tem jego prędzej zgaśnie.

Syn się począł śmiać niezmiernie, a ojciec zdumiony i szczęśliwy tem rodzajem uznania, choć w formie nie bardzo milej, napuszył się aż i widocznie był uradowany.

Na tem jednak przerwała się rozmowa, i byliby zapewne poszli spać oba radzi z siebie, gdyby w tej chwili nie zapukano do drzwi.

Było w tem coś tak niezwykłego przy Sobocie i późnej godzinie, że Dawid starszy zerwał się z krzesła prawie przestraszony, a zdumiał niezmiernie ujrzawszy po chwili wchodzącego dorodnego, pięknego, wzniosłej postaci i szlachetnej twarzy mężczyznę, którego z razu poznać nie mógł.

Wstał przypatrując mu się zakłopotany, a syn jego ledwie się nieco podniósł z kanapy ujrzawszy gościa; dopiero gdy go lepiej obejrzał i poznał w nim przyzwoitego człowieka... po ubraniu i z postawy — dźwignął się i mycki a okularów poprawił.

— Przebaczysz mi, szanowny panie Dawidzie Seebach, natręctwo moje, a do tego w takiej porze i w dniu tak uroczystym.

— A! po głosie dopiero pana Jakóba poznaję, zawołał ojciec — ale zkądże o téj godzinie?

— Przebaczcie mi, wytłumaczę się, rzekł żywo Jakób, gdyż on był tym spóźnionym gościem — prawo nasze zabrania wszelkiego-interesu i sprawy w dzień modlitwie i Bogu poświęcony, ale powiedziano jest w tém prawie, że ratować i w Szabbat się godzi, choćby ginące zwierzę, cóż dopiero człowieka!

— Szanowny panie Jakóbie — podchwycił Dawid starszy — przecież my już nie należymy do tych zabobonników co w Szabbat boją się ognia dotknąć i u koszuli guzik oberwać... no! no! at! at! ale proszę siadać! Co to jest? czem moge służyć?

A! przepraszam! dodał, to mój syn Dawid... a to pan Jakób... nasz daleki krewny, o którym pewnie wiele słyście...

Dawid młodszy z wielu słyście tylko jedno, że po bankierze berlińskim Jakób odziedziczył znaczny majątek, ale to było dostatecznem aby go przyjął bardzo grzecznie. Zaproszono powtórę siadać. Jakób choć widocznie się czegoś niecierpliwiając, usiadł.

— Możecie i nie jedli jeszcze? spytał gospodarz domu. — Przybywszy trochę późno do waszego miasteczka, odpowiedział gość, najprzód odprawiłem nasze nabożeństwo, byłem w synagodze, modliłem się, potem z gospodarzem moim zasiadłem do stołu, niejestem głodny. — A! a! to wy chodźcie do szkoły! zawołał Dawid starszy zdumiony — no! widzisz Dawid, zwrócił się do syna, jak to jest pięknie! Człowiek tak mocno wychowany jak pan Jakób, tak tego rozumny... a zawsze swoje prawa trzyma!!! Jakób tak wymownie pochwalony spuścił głowę, syn się uśmiechnął ruszając ramionami, nic nie odpowiedział.

— Jestem żydem, rzekł po krótkim przestanku Jakób — i pozostanę nim. Wiele zapewne w niewoli i ucisku potworzyliśmy sobie obrzędów i prawideł, których nie było w prawie Mojżeszowem, ale to są wspomnienia święte dla nas i miłe.

Dawid starszy widocznie był z téj mowy bardzo rad, syn się wciąż półgębkiem uśmiechał.

— Zostawmy to sumieniu każdego! rzekł wręście młodszy.

Jabób zamilkł. — No, no, ale cóż to za taki interes, zawołał starszy, żeście aż wspomnieli o niebezpieczeństwie... co to jest?

— Udaję się do was, mówił Jakób, dla tego żeście chociaż dalecy ale zawsze krewni, ufam więc że mi pomocy swojej nie odmówicie... Rzecz jest taka. Podróżując po Włoszech, gdyż świeżo powracam z podróży, spotkałem młodego Polaka, który, chociaż wygnaniec, dobrowolny emigrant, zatęsknił tak za krajem, że koniecznie chciał do niego powracać. Chłopak był znekany, ubogi, słaby, serce i sumienie kazały go ratować. Uciekł on z Polski przed kilku laty z powodu, że był w jakąś polityczną sprawę wmieszany...

— Ach ! waj ! przerwał stary kręcąc głową i machając ręką — polityczną! polityczną! to jest zła rzecz! to jest już bardzo zła rzecz!

Młody patrzył w sufit i milczał.

— Dostał on sobie paszport jakiś, mówił dalej Jakób, i uparł się, mimo niebezpieczeństwa, z nim do kraju powracać... Dowiozłem go prawie do granicy, byłbym go i dalej prowadził, gdyby on sani, przez szlachetną obawę, aby przypadkiem schwytany, mnie nie skompromitował — nie porzucił mnie cichaczem i nie pojechał przodem. Pocziwy chłopak, przebył granicę szczęśliwie jakoś, ja po nim w parę dni także przejechałem ją. — Ale cóż? oto właśnie gdym przejeżdżał komorę, nadeszły o nim widać jakieś doniesienia, rysopis, nazwisko w paszporcie wymienione... rozkazy ścigania go i chwytania. Dawid stary krzywił się okropnie. — Szczęśliwym przypadkiem, mówił Jakób, dowiedziałem się o tem, pospieszyłem więc w pogoń za nim, ażeby go ostrzedz póki pora... domyśliłem się jaką pojedzie drogą. Udało mi się go napędzić, zwrócić z gościńca, na którymby był niezawodnie ścigany i poszukiwany... i tu z sobą przywieść.

Gospodarz aż się z krzesła porwał, ale pomiarkowawszy się siadł znów spokojnie.

— Idzie mi więc o to, mówił spokojnie pełen zaufania gość, żeby go tu gdzie ukryć i przechować, póki mu się albo amnestya nie wyrobi, albo nie obmyśli jakiś środek... ubezpieczenia go... Inaczej biednego chłopca gdzieś na Sybir wypchną... i zginie jak tylu innych.

Kończył opowiadanie swe Jakób, a dwaj Dawidowie milczeniem głębokiem okazywali że zupełnie radzi nie byli tej wiadomości i wezwaniu; stary coś złowrogo odchrząkiwał, młodszy podśpiewywał tylko.

— To jest bardzo delikatna, bardzo niebezpieczna sprawa, odezwał się starszy — taka bardzo delikatna ! co to gadać! panie Jakóbie, ja z panem krewnym naszym muszę być szczerym.

— Bardzo proszę.

— To jest ze wszystkim zły interes, odparł Dawid — i to nie jest żydowska sprawa... Nam się w to wdawać nie potrzeba, na co nam tego? to nie nasza rzecz ! Nas rząd nie prześladowa, albo przynajmniej nie tak jabby mógł, on ma nas za swoich, nam z tem dobrze, po co my mamy sobie psuć u niego broniąc tych co nas przez tyle wieków cisnęli... A i dziś choć rękę podają, to pewnie nie

ze szczerego serca... Żydzi w politykę wdawać się nie powinni... obywatelami nie jesteśmy... co to do nas należy! a wa! dodał Dawid. — Kochany panie Dawidzie, odparł Jakób powoli i chłodno — otoż co do tego różnimy się w zdaniach zupełnie... Jeżeli obywatelami być mamy i chcemy, wszystkie obywatelskie ciężary wspólnie z innymi ponosić powinniśmy... Tem się tylko dorobić możemy uznania, równouprawnienia i zgody. Rozumiem to bardzo dobrze, że rząd nas, jak wieśniaków, zechce i będzie próbował użyć przeciwko szlachcie i inteligencji; ale czy godzi się nam, zrodzonym na tej ziemi, wykarmionym jej chlebem, trzymać z tymi co ją uciskają i są, w niej najezdnikami? Przypomnijcie sobie czem dla żydów była niewola?

— Czekajcie, przerwał Dawid — wszystko to bardzo jest piękne, ale żydzy, jak wy sami mówicie, muszą trzymać swoje prawo, a prawo nakazuje nam, żebyśmy siebie i narodu swojego bronili... Naszym interesem nie jest iść z nimi.

— Jakże, z kąd wy to wiecie? spytał Jakób, możecież wyprorokować przyszłość? Wierzcie mi, nigdy taka wielka niesprawiedliwość jaka się stała narodowi temu, nie może trwać niepomszczona wieki. Bóg dopuścił kare na naród ten za grzechy jego, ale miara tej kary się wypełnia, czara już łez ich i czara krwi ich po brzegi pełna... Przyjdzie sprawiedliwości dzień, bądźmy w tym dniu sądu strasznego lepiej z tymi, co mieć będą za sobą miłosierdzie Boże, niż z tymi, na których paść musi pomsta Boga...

— O ! o ! zawołał Dawid, pozwólcieź się i mnie zapytać, z kąd wy to wiecie? duchem proroczym? czy policzyliście grzechy tego narodu pogańskiego? a co myśmy cierpieli od nich! i ile jest winy niezmazanej na tych niewiernych!!

— Dawidzie, przerwał Jakób, nie zapominajcież iż grzechu wieków, wspólnego wszystkim ludom, na nich jednych kłaść się nie godzi... Jak tu, tak było wszędzie, a w wielu krajach było gorzej daleko. — Ale co to długo o tem gadać, odezwał się porywając z kanapy młodszy — co to gadać? proszę pana. My się w żadne polityki mięszać nie chcemy... to ich sprawa... Co nas to obchodzi który z nich panować tu będzie? Proszę pana, ja nawet nie wiem co lepiej dla nas. Ja z Moskałem wiem co począć, ja jego kupuję ile razy chcę; on mnie wyłaje, wypchnie, zbezczęści, on zwierz, on gbur, ale pieniądz weźmie po cichu, i ja zrobię co mnie potrzeba... a z tymi patryotami polskimi, to co??

Jakób posmutniał widocznie, czoło mu się namarszczyło, postać wyszlachetniała gniewem wewnętrznym, ale gniewem uczciwym, obrażeniem uczuciem zacnem.

— Ponieważ to jest wasze przekonanie niezłomne, rzekł, ja nalegać nie będę, smucę się tylko że ludzie jak wy, więcej wykształceni nad innych, tak fałszywej trzymacie się polityki, ciągnąc zawsze za siłą a nie za sprawiedliwością.

— Sprawiedliwość!! a wa! szydersko ozwał się stary Dawid — a byłaż ona kiedy dla nas? a oddaliż nam ją ci... panowie kraju tego!

— Przypuszczam że nie, gorąco przerwał Jakób — jestże to słuszny powód ażebyśmy my mazali się ich występkiem. — Nie należysz narodowi wybranemu mieć więcej cnoty nad inne i być drugim przykładem?

Dawid młodszy głową pokręcił i zaśpiewał. — No! no! przerwał skończywszy ritornele, swą — proszę pana, co to mówić o cnocie i sprawiedliwości pod te czasy, kto to o tém już mówi? Na świecie terażniejszym jest jedna rzecz, interes. Któryż dziś naród czego innego słucha, za czem innem idzie? To są wielkie słowa... ale w to nikt dziś nie wierzy, Stary ojciec usłyszawszy tę tak mądrą syna mowę, począł aż głową kiwać z podziwienia i uwielbienia dla wielkiego jego rozumu... ręką wskazując nań Jakóbowi, jakby chciał mu powiedzieć:

— Słyszysz? a ha! a cóż ty na to?

Ale Jakób niezmiészany wcale, zimnem wejrzeniem zmierzył od stóp do głów młodego Dawida i rzekł powoli:

— Na nieszczęście, trafnie pan bardzo oceniasz to co dziś panuje i jest... ale to co jest, nie zawsze tem co być powinno... Prawo nasze ma tysiące lat i nie zestarzało się; zajrzyjcież do tych ksiąg a znajdziecie tam prawdy, które nie przestały być prawdami i będą, niemi da końca świata. — Ludzie się psują, wiara wygasa, ale Bóg wejrzy i zmieni to... Myśmy powinni być wierni starymu prawu a nie nowemu zepsuciu. Żal mi was szczerze, jeśliście nic więcej nad to nie wynieśli z europejskiego wychowania... Szczerze was mi żal.

To mówiąc wstał, a stary Dawid widząc go tak niezmiészanym, pewnym siebie, syna zaś jakoś przykro się uśmiechającego i nieumiejącego się odezwać — bo nie wiedział co odpowiedzieć — zmięszał się sam i pogniewał na Jakóba... Burzył mu on jego bożyszcze...

Pomimo to spokój z jakim przybyły przemawiał, urok prawdy i wiary który wiał od niego, dziwne na nim uczyniły wrażenie — zląkł się i zachwiał; sani nie wiedział co począć, tak jak przed chwilą z ową zgasłą świecą szabbasową.

— Panie Jakóbie, odezwał się pierwszy Dawid młody, równie pewien siebie znowu, odzyskawszy nieco przytomności po strzale który go nie zabił — ale stając się zręczniejszym w miarę jak poznawał lepiej przeciwnika... Nie gniewajcie się, proszę, każdy ma swoje zdanie; pogadajmy jeszcze, może się co da zrobić, jeżeli można bezpiecznie i bez ryzyki... To ważna rzecz, trzeba się namyśleć...

— Dziękuję wam, odparł przybyły, dziękuję bardzo, to rzecz dawno skończona! Jużby mi przykro było zebrać dla tego biedaka opieki, kiedy mu ją tak niechętnie dać macie. Sądziłem że innego jesteście przekonania.

Rzecz jest jawna że kraj przysposabia się lub jest pchany gwałtem do jakiejś nowej walki. Że ta walka może być zgubną i daremną — to nie ulega wątpliwości, dla nas chłodniej, rozważniej patrzących na te sprawy. Ale zdawna chcieliśmy się wkupić w obywatelstwo tego kraju... otóż pora... musimy je zyskać krwią i ofiarą... Inaczej się ono nie zdobywa...

Tak mnie się zdaje, a wielu z naszych współwyznawców podziela moje przekonanie...

— Mówicie że wielu? jak wielu? podchwycił gorąco Dawid — no jak? no co? no kto? Cóż gadają za granicą? A cóż sobie myśli cesarz Napoleon? a jak rachuje Palmerston? no, mówcie, co gadają Rotschildy?

— Wiem to tylko, zimno odpowiedział Jakób — że u nas... u nas, rozsądniejsi, poważniejsi ludzie są tego zdania.

— A bogatsi? zapytał Dawid.

— Najbogatsi! zawołał uśmiechając się mimo woli Jakób. — No! toby się może potrzeba namyśleć, rzekł ojciec, trzebaby się naradzić, to jest sprawa ważna. — Ale to z czym ja do was szedłem, rzekł Jakób, rzecz skończona, ani radzić się ani namyślać nie potrzebujecie. Przepraszam tylko że przyszedłem tak późno i spoczynek wam przerwał... To mówiąc skłonił się i chciał już odchodzić, gdy stary Dawid go powstrzymał. — Ale poczekajcież, poczekajcież, usiądźcie, wypijcie kieliszek wina... Dawid, podaj Bordo... na trzy ruble... napijecie się... to jest wino es, es, es. Nie żałujcie mu gęby! My tu na wsi siedziemy! my nie wiemy nic, a czemu nam nie dali znać z kądem wiatr wieje? Co my tu sami możemy się domyśleć! a żadnego rozkazu nie było... — To już do mnie nie należy, odparł Jakób zatrzymując się niechętnie — pojedźcie, dowiedzcie się, i róbcie co się wam podoba... — A! h! te Polacy, zawołał Dawid, oni pewnie już znowu jakie głupstwo robić myślą... — Nic nie wiem... rzekł Jakób spiesząc aby ich pożegnać — zdaje się że tego głupstwa chcą i starają się je przyspieszyć Moskale sami, aby u siebie coś podobnego nie dopuścić... Mogą oni do wybuchu jakiegoś podbudzić... bo i u nich stan kraju od czasu emancypacji groźny, chłopci podrażnieni, knowania rewolucji coraz gorętsze. — Aby niebezpieczeństwo odwrócić, rzucają może ogień na Polskę... a gdy międzynarodową nienawiść rozjątrzą, będzie miała czem lat kilka żyć Moskwa... i nie pomyśleć o przewrocie u siebie. — A! a! krzyknął Dawid biorąc się za głowę — co to jest za mądrość! co to za polityka! I jak to z takim narodem nie trzymać, oni muszą zwyciężyć.. — Nie zaprzeczam temu, odezwał się Jakób poważnie, ale i my także żydzi byliśmy zwyciężeni nie jeden raz, a przecież nie trzymaliśmy za zwycięzcami, ale z Bogiem naszym... To mówiąc Jakób się skłonił i znowu chciał odejść, ale Dawidowi starszemu zrobiło się jakoś niby wstyd i niby żal. — No, no, rzekł — a o cóż to chodzi? — Rzeczą małą, miasteczko wasze na ustroniu, trzebaby tego młodego człowieka tu przechować czas jakiś. — Widzicie, przerwał młodszy, w miasteczku małym, pustem jak nasze, to najtrudniej, mieszkańcy znają się wszyscy, każda nowa postać uderza, zwraca oczy... — W tem macie słuszność, odezwał się Jakób... ależ ja o to już was nie proszę... Przepraszam, przepraszam... I cofał się ku drzwiom, Dawid jeszcze coś mrucał, ale gość stanowczo już wychodził, nie dając po sobie poznać gniewu. Wstrzymać go już nie było można Ojciec i syn spojrzeli po sobie, gdy się drzwi za nim zamknęły. — To był wielki interes, rzekł starszy, no — i to jest niedobrze, że się to jakoś nie dało ułatwić. Jakób ten ma bardzo wielkie stosunki, co on na nas gadać będzie!! on nas ogłosi za takich... owakich... Syn ręką machnął. — At! można było i zrobić to... ale się stało. Rozeszli się oba pochmurni, Jakób wrócił do gospody i nie dając nic znać po sobie, legł nie spać ale myśleć. Iwaś znużony zasypiał już od dawna. Nazajutrz był dzień szabbasowy i Jakób poświęcił go modlitwom, zakławszy

przyjaciela aby się z domu na krok nie ruszał. Musieli czekać wieczora nimby się nowe jakieś kroki przedsięwziąć dały. Gdy w synagodze ukończono modlitwy a święto odeszło, jak u nas pospolicie mówiono. — Jakób który słyszał o starym Jankielu, choć go osobiście nie znał — poszedł wprost do niego. Stary czytał jeszcze w księdze, gdy się gość zjawił, nie przerwał też dla niego ostatniej modlitwy, aż ją ukończył. Jakób z uszanowaniem czekał, podali sobie potem ręce i przybyły począł rozmowę od tego, że się powołał na osoby wspólnie im znane, które z Jankielem były w stosunkach, powiedział mu że o nim wiele słyszał, że z tego powodu mając interes w miasteczku, z ufnością przychodzi do niego. Z pierwszych słów starzec poznał młodego człowieka i jego usposobienia, położył mu rękę na ramieniu i mile przypatrywać się zaczął. — A to ty jesteś, rzekł, ty, o którym ja też wiele słyszałem... jako o mężu wielkiej nadziei dla narodu naszego... ty, coś mimo nauki nie utracił wiary, i prawo trzymasz ściśle i starszych szanujesz... i innym młodzieży naszej podobnym nie jesteś... Niech cię Bóg Izraela i Jakóba błogosławi, bo mało dziś mamy tobie podobnych... Mądrych jest wielu, ale pobożnych braknie: w pogardzie jest prawo i obyczaj narodu naszego... plują na groby ojców co je w sercu chowali... na to cośmy przez wieki szanować przywykli. Jakób milczał, stary był ożywiony i wesóły, widocznie rad że spotkał człowieka po sercu swoim.

— Nie pochlebiam ja sobie, bym takim był jakim mnie sądzicie, odezwał się gość — jakim pobłażający ludzie mnie czynią — ale się staram o to bym narodowi mojemu wstydu nie uczynił.

Jankiel kazał podać wina i przekąskę, z serdeczną gościnnością zwracając się ku przybyłemu.

— Zkądże nam tu przybywacie? zapytał.

— O! z daleka! z daleka! objechałem niemali wszystkie ziemie, wśród których naród nasz jest rozproszony i widziałem wszystką nędzę jaką znosi a gdybym miał łzy, wypłakałbym je wszystkie nad niedolą jego. — Byłeś i w ziemi ojców?

— Byłem, wzdychając mówił Jakób, i tam nie lepiej, u siebie jesteśmy jak obcy.

— Gdzież ta dawna wielkość nasza! począł stary składając ręce — gdzie Izraela potęga i sława, i... dodał słowa proroka. (Jerem. 11.) "Stał się pan jako nieprzyjaciel, zrzucił Izraela, zrzucił wszystkie mury; rozwalił zamki jego i namnożył u córki Judzkiej unizonego i unizoną...

I rozwalił jako ogród namiot swój, skaził przybytek swój, przywiódł w zapamiętanie pan na Syon uroczyste święto i Szabbat, i na pośmiech i na rozgniewanie zapalczywości swój króla i kapłana... " Zadumał się starzec i głowę opuścił na piersi, a łzy toczyły mu się z oczów, ale otarł je żywo. — Miły mój gościu, rzekł — wybacz, przyszło to wspomnienie mimowoli, zawsze ten sam upadek i taż sama żałość aż do końca... kiedyż zmiłuje się Bóg?

Jakób z cicha odpowiedział mu słowami Talmudu. (Pesachim. 119. a.) — "Ręce niebieskiego miłosierdzia zawsze rozciągnięte są, pod skrzydłami Serafów, na przyjęcie grzesznika pokutującego. " Słowy temi ze starej księgi tak uradował

Jankiela i zadziwił razem, że podniósłszy się zaczął go znowu błogosławić. Przywykł już był do młodych ludzi, którzy z prawem i księgami dawnymi do czynienia nie mieli, i przejęty był młodzieńcem, szczęśliwy że go oglądał. — No, mów, zawołał, jeżeli ci w czem użytecznym być mogę... uczynię... boby mi się rozradowało serce, gdybym ci dowieść mógł, jak cię szacuję...

— Tak jest jakoście rzekli, że przychodzę z prośbą do was — ale nieśmiało głos podnoszę, bom z podobnem żądaniem udał się wczoraj do krewnego naszego, do Dawida... i zostałem odepchnięty. Na imie Dawida czoło starego się namarszczyło, ale wprędce wypogodził lice.

— Mówcie no, mówcie, a nie zważajcie na nic, odezwał się. Jakób począł tedy powtórnie opowiadać historią swoją i przyjaciela, ale już nie śmiejąc żądać pomocy, prosząc tylko o radę starego, który wysłuchawszy, długo się zamyślił.

— Okoliczności są ciężkie, odezwał się po chwili — ale zgadzam się z tobą, że my z narodem tym nieszczęśliwym trzymać, a nie z gniotącymi go powinniśmy. Lepiej jest dla duszy być między uciśnionymi, niż wśród uciskających. Pomiedzy ptakami, nie ma więcej prześladowanego od silniejszych nad gołębia i synogarlicę, a pan ma je za najmilsze sobie ofiary, (Baba karna. 93. a.) dodał, przywołując talmud. Biedny to naród! powtórzył, biedny, a my zapomnieć nie możemy żeśmy od lat pół tysiąca na jednej z nim ziemi rośli, razem żyli i umierali... i jedno cierpieli. Choć nie mają wiary, przecież Bóg i niewiernym źle czynić zakazuje:

"Bądź pokojem z braćmi, z sąsiady, z każdym człowiekiem, wawet z pogany. " (Berachot. 17. a.) — A! piękne to są słowa, zawołał Jakób — bogdajby wszyscy tak na nie pamiętali jako wy... a byłoby na ziemi inaczej! — Nieszczęśliwy naród, mówił stary, patzeliśmy jako szedł na zatracenie, i oczy nasze większe jeszcze zgrozy oglądać będą. I jakby proroczym natchniony duchem mówił: — Nie chcą nosić kajdan, a ilekroć kruszyć je zapragną siłą, ścisną się żelaza ich, bo Bóg skruchy od nich żąda i pokory. Dla czego uwierzyli w ziemską siłę a nie w miłosierdzie Boże, a dumy swojej zwyciężyć nie umieją? Biedny naród! ratować ich nie w mocy naszej... chyba ginąć z nimi razem, albowiem co Bóg rzekł i nazaczył to spełnić się musi. A po chwili dodał spokojniej. — Gdzież macie tego biednego człowieka i co zamyślacie z nim czynić? — Tu jest ze mną, rzekł Jakób, ale co z nim zrobię sam nie wiem, ledwie go powstrzymać mogę aby nie popadł w ręce prześladowców.... Chciałbym go gdzie przytulić, ukryć, dopóki co nie obmyślę...

— Ale gdzie? spytał jakby sam siebie starzec, ale gdzie? A jest on ostrożny i cichy? a będzie posłuszny? — Spodziewam się przekonać go o potrzebie, rzekł Jakób. — Gdybyście byli o tem Dawidowi nie mówili wprzód, byłbym go mógł może przyjąć do mojego domu, teraz, lękam się, ludzie są źli i nieopatrzni... Na strychu jest izdebka pusta, mógłby tam bezpiecznie pozostać czas jakiś, ale nuż jego i mnie wydadzą! Ja się pieniędzmi obronię, on zginie... — Nie macieź gdzie na wsi jakiego przytułku ? dworu pewnego? znajomych?

— Czekajcie, rzekł stary, czekajcie, coś się znajdzie! Są ludzie poczciwi i lasy gęste.... Jutro rano zajedzie bryka moja i stary Jankiel sam z nim ruszy, ale nauczciez go, niech będzie roztropny i ostrożny. Jakób aż uściskał starego.

— Nie dziękujcie mi, odezwał się Jankiel wzruszony, czynię to z serca dla was i dla tych biednych ludzi, którym ich ziemia i swoboda tak miła jak nasza Judea i one czasy gdyśmy w niej królowali.... Ale na Boga, dodał po chwili, jeżeli macie cokolwiek u nich wpływu i mocy nad nimi, powstrzymajciez ich... Śmieją się zawczasu nieprzyjaciele

myśląc, jeźliby się porwali, o zniszczeniu i okrucieństwach, które się, przeciw nim wyleją. Czyż tak płosi są że pod swój dom ogień podkładać będą, aby się zeń pozbyć nieprzyjaciela, gdy we własnem jego mieszkaniu wszczęty pożar prędzejby go wywabił? — Rozumne są słowa twoje, rzekł Jakób, ale czyż zawsze rozum ludźmi kieruje? czy cierpienie i nieszczęście nie są najgorszymi doradcami? — Więc stanie się jako zrządzi Bóg, który wie co czyni, dodał Jankiel. "Chwalmy Pana w doli i niedoli!" (Talmud, Berachot 54. a.) Zatrzymując Jakóba i badając go stary do późnej nocy przesiedział z nim na ławie w swojej izbie, a rozmowy ich były smutne, poważne, przecuciami wielkich wypadków przejęte. Nareszcie potrzeba była wstać i żegnać się, Jakób spokojniejszy odszedł do domu i pospieszył Iwasia pocieszyć nadzieją bezpiecznego ukrycia.

— Uczyniłem, rzekł, co mogłem, teraz od ostrożności waszej zależy, byście się w ręce Moskali nie dostali. Oznajmię wam sam, gdy bezpiecznie wyjść z kryjóWKi waszej będziecie mogli.

* * *

Po kilkoletnem pobycie za granicą powracający Jakób, zastał w kraju uderzające zmiany. Wszystko wrzało i kipiało jakąś oszalałą nadzieją, w której zapędach nie było miary. Najdziwaczniejsze wieści przyjmowano bez rozbiuro, rozchodziły się po zakątkach i rozradowywały serca, oczy zwracały się znowu po tyłu doświadczonych zawodach, na zachód ku tej Francyi, której serce z piersi wydarto aby niem żyć nie mogła, a uczyniono z niej automat posłuszny woli jednego człowieka co uzdę na nią zarzucić umiał.

Dziwy też prawiono o Moskwie; tam miały się także gotować wielkie wypadki, jakiś wybuch straszliwy; prądy gwałtowne parły ją ku rewolucyi, która płynęła już w krwi i myśli całego pokolenia. Inni, dobroduszni, przepowiadali dobrowolne przez nią zrzeczenie się Polski!!

Umyślne przycichnienie Rosyi, która się wszystkim tym uczuciom rozżarzać dawała swobodnie, wybuchowi nie stawiając tamy, aby się nim ocalić od katastrofy przewidywanej u siebie, łudziło lekkomyślniejszych; uważano za bezsilność, co było tylko chytrą, rachubą., nikt tak obliczonych nie przypuszczał następstw. Nieprzyjaciel udawał śpiącego, wzięto go za osłabłego... u steru stojący ludzie rachowali na wszystko, na namiętności, na słabości, na podłości ludzkie, na uniesienia i cnoty.

Jeszcze nie zaczęto zożydzać Polski aby od niej Moskalów ślepych odstęczyć i ideom jej nie dać się szerzyć — czekano, milczano, sposobiono się. Tymczasem wzburzenie rosło w miarę. jak go nie hamowano a może podburzano tajemnie; rosło z tem przekonanie, że Polska ma siłę do przeciwstawienia osłabłej Moskwie, przyczajonemu jej barbarzyństwu.

Moskwa lenieje, mówiono, zmienia skórę, nie ma siły.

Pozornie dla utrzymania w tym błędzie, czyniono niby jakieś ustępstwa, wiodące do katastrofy żądanej i przewidywanej, któraby dozwoliła odwrócić na kraj skazany wszystkie okropności których się u siebie lękano w domu. Przyznać potrzeba, że metoda była niezmiernie zręczną i przebiegłą.

Od Mikołaja już fermentowały na pognojach barbarzyństwa żywioly rewolucyjne podsycane zakazanemi pismami Herzena, Bakunina, Ogarewa, Gołowina, Dołgorukiego. Moskwa z ciężkością mogła się obronić ich wpływom: przyszły wypadki w Polsce na szczęście jej, poczuto ich ważność, przedsięwzięto zręcznie zużytkować aby grożącą burzę na nieszczęśliwy kraj odwrócić. Całe postępowanie rządu moskiewskiego aż po dzień dzisiejszy cechuje ta myśl główna, umiejętnie pokryta w początkach, później coraz jaśniej występująca na jaw. Rząd miał się podstawić sam na miejsce Herzena, poślubiając rewolucyą i kierując nią.

Lecz w chwili gdy Polska kipiała jeszcze nadziejami, dyszała niemi gorączkowo, nie było człowieka coby tych sieci dopatrzył, coby tę przyszłość wyprorokował, wskazał i głosem potężnym wstrzymał na pochyłości naród nieopatrzny ale szlachetny i pełen młodzieńczego zapału i odwagi. Kierunek sprawy dostał się na ręce najgorętszego wieku, w którym grała latami nagromadzona namiętność, ćmiły mu wzrok złudzenia, a sercem miotała żądza ofiary, śmierci i odkupienia.

Biło to w oczy Jakóbowi, jak dalece społeczność, którą porzucił prawie spokojnie przegryzającą swe więzy trzydziestoletnie, dziś była zmienioną, rozżarzoną, rozgorączkowaną, silną a codziem samoistniejszą. Mówiono, poruszano się, wyrażano, myślano inaczej; stan istniejący uważano za tymczasowy; przyszłość jakaś niepewna ale jaśniejsza roila się i zdawała zapewnioną przeczuciami wszystkich... siłą jaką w sobie czuł ogół.

Prawda że ta siła nie obrachowywała naówczas wcale z jakim rozpasanym dzikiem miała stanąć do walki. Znano Rosyą, ale Rosyą szanującą pewne prawa i zobowiązania, lub przynajmniej ich pozory, usiłującą uchodzić za kraj cywilizowany, europejski; nie znano Rosyi cynicznie wściekłej, nieprzyjaciółki; praw, wiary, traktatów i szydzącej ze wszystkiego, Rosyi Murawiewów i Katkowów. Znano też Europę nie taką jaką ją kilkadziesiątletni pokój gnuśny wyrobił, Europę dawną co przyklaskiwała Grecyi, sympatyzowała z Włochami, szanowała Węgrów, dźwigała Belgów, czuła się do posłannictwa swobody i postępu; a nie tę zgniłą i strupieszalą która patrzeć miała ziewając, z krwią zimną na męczeństwo Polski świętokradzkie.

Jakóba co chwile większe ogarniało zdumienie, nie dowierzał oczom ni uszom, ludzie mu się zdali przemienianemi do niepoznania, mowa ich inną, myśl zuchwalszą.

Wysiadłszy w Hotelu, pobiegł zaraz nazajutrz rano do opiekuna swego, ale go w domu nie zastał; dowiedział się tylko że był teraz podwójnie zajęty, gdyż liczne projekta nowych przedsięwzięć całkiem go pochłaniały. — Wracając ulicą ze spuszczoną głową, najniespodziewaniej zetknął się uderzywszy prawie o niego, z panem Henrykiem Segel. — Zostawił go był we Włoszech z projektami długich podróży, zdziwił się spotkawszy na trotuarze krakowskiego przedmieścia. — Od chwili przypadkowego zjechania się z nim na drodze z Genui do Spezyi, w towarzystwie Signory Gigante, Jakób powziął był nieprzewidywany wstręt do tego człowieka. Nie lubił go nigdy, ale mógł wprzody szanować, straciwszy to uczucie, widział w nim chłodnego oprawcę istoty, która mu była najdroższą na ziemi, brzydził się nim teraz.

Posłyszawszy nagle głos jego, zaczerwienił się cały i cofnął prawie ze wstrętem. — A! zawołał śmiejąc się Henryk, prawda że niespodzianka! dziwi cię że mnie i tu znowu spotykasz! a może więcej cię to zdumiewa, niż gdyśmy się ujrzeli na Aqua Sola? Ale cóż chcesz! to są czasy niespodzianek. Tilda jakoś nie smakowała w tych Włoszech, uparła się powrócić do kraju, mnie też to było bardzo na rękę, bo mi dano znać że tu jestem dla interesów potrzebny. Otoż, widzimy się znowu, kochany panie Jakóbie... bardzom rad, rad serdecznie... Idę do domu właśnie... bądź co bądź zabieram cię z sobą, naprzód żebym ci mój nowy dom pokazał jak go sobie urządziłem... "Wiesz mam teraz dom w Alejach, zobaczysz! cacko, confort! smak! elegancya! choć Tilda go kraytykuje... powtóre, pomożesz mi też Tildę rozerwać troche, jest znudzona, smutna, a mnie tem nudzi i smuci... kobieta, której doprawdy nie rozumiem — na ho-nor! Ale któż to kiedy zrozumiał kobietę! Ma wszystko czego tylko dusza zapragnąć może, a wiecznie stęskniona i kwaśna... coś w niej chorobliwego. — Otoż idziemy, nie prawdaż?

— Ale ja... w istocie... ja czasu nie mam... tylko co wysiadłem, tysiące interesów.

— Dajże temu pokój!! przerwał Henryk, interesa jeszcze nie wiedzą że przyjechałeś... Tilda się rozerwie... przecież dawni i dobrzy jesteście znajomi i masz u niej łaskę... co rzadko! Chódź! proszę.

Jakób byłby się pewnie opierał, ale pokusa była za silną... ją zobaczyć!! Obowiązek kazał unikać, serce zmuszało szukać — na ten raz uległ słabości — Henryk był tem natarczywszy że postrzegł wahanie się; porwał go pod rękę i powiodł gwałtem z sobą, wesół, roztargniony, do niepoznania gadatliwy.

— Nie rozpatrzyłeś się jeszcze w Warszawie? rzekł — ja ogromne znalazłem zmiany.

— Ja je czuję, odpowiedział Jakób, ale sobie jeszcze wytłumaczyć nie umiem.

— Zmiany są ogromne, prąd w umysłach taki, że mu się oprzeć nie będzie podobna — rewolucya śmierdzi w powietrzu...

— Niech nas Bóg od niej uchwala!

— Zdaje się nieuchronna, lub ja się już na niczem nie znam... proch czuć... Dla nas, dodał cicho pan Henryk sciskając go za rękę — to nic złego. Naturalnie ofiary będą, trzeba się umieć wyśliznąć, aby nas koła tej wielkiej maszyny druzgoczącej wszystko nie pochwytyły — ale ostatecznie to dla nas wygrana — ktokolwiek z nich wygra... — Jakto? spytał Jakób, nie rozumiem.

— Zyskamy najzupełniejsze uobywatelenie od jednej czy od drugiej strony, to niechybna. — Po wtóre my się zawsze najmniej zrujnujemy, bo choćbyśmy miliony rzucili w tę otchłań, kapitały nasze mniej są dostępne niżeli mienie szlacheckie; — ocalej więc zawsze majątkowo — a to już wielka rzecz, to nam da siłę. Naostatek — nie ma wątpliwości że Moskale ostatecznie wygrają, że żywioł ów nienawistny nam szlachecki zostanie zgnębiony... myśmy naówczas arystokracją, inteligencją — wszystkiem — kraj ten nasz. Jakób wzdrygnął się.

— Rachuba może być proroczą, rzekł, ale jest okrutną... Z także zimną krwią patrzycie na te klęski, które w nią wchodzi?

— Ale mogę ja co na nie poradzić? w mojejże sile odwrócić? spytał Henryk — a nie jestemże obowiązany korzystać z położenia? Wierzaj mi — przyszłość Polski cała dziś już jest w rękach żydów. — Wczoraj pogardzeni, jutro panami będziemy... Patrz na tę szlachtę, co to jest? — plemie bezsilne, w którym zostały fantazyje szlacheckie, buta starej szlachty, zachcianki, zepsucia, wesołość, wady... a żadnej stary cnoty. Jest to ród fatalnie naznaczony na zgubę — któż go zastąpi? Społeczność bez jakiejś... niby szlachty ostać się nie może...

— Pozwolisz mi być szczerym, odparł Jakób smutnie, ja jestem też żydem duszą i sercem całym, ale powiem ci, jeśli tak ma być, nieszczęśliwyż to kraj!

— Dla czego? spytał Henryk.

— Myśmy nie dorośli do ciężaru tej roli jaka na nas spadnie, odpowiedział Jakób — nie zespoliliśmy się z tym krajem tak, abyśmy losami jego rozporządzać potrafili, społeczność nasza, panie Henryku, jeśli mam wypowiedzieć wszystko, przejeżdżoną jest także i zgniła.

— Tak, ale jeszcze silniejszą, od polsko -szlacheckiej.

— Ja tego nie widzę, chorujemy inaczej, aleśmy też chorzy.

— Myśmy silniejsi, dodał Henryk, bo umiemy wyrobić i zachować tę siłę, której oni ani zebrać ani użyć nie potrafili nigdy, a którą w wieku materializmu jedynie coś zrobić można — siłę pieniędzy! siłę kapitału, woli cichej, pracy wytrwałej i jedności wewnętrznej!

Jakób się zamyślił.

— Trochę sobie pochlebiasz, rzekł, a może nieco masz słuszności — Bóg jeden wie co będzie. Przed żydami jest, lub być może, w istocie zadanie wielkie. Jedyne to kraj w Europie w którym oni tak przeważną rolę odegrać będą mogli (choć w Niemczech mają też ważną) ale czy ją godnie pojmą i spełnią?

Henryk się rozśmiał.

— Ty jesteś żydowskim pietystą, zawołał — ty mieszasz do wszystkiego idee Boga, wiary, ducha... a dziś to stare łachmany które w kąć poszły.

— Nad czym ubolewać należy, odezwał się Jakób — zrobiliśmy je łachmanami — ale w nich jest złoto. — Gruzy to dawnej epoki, która już nie powróci, przerwał Henryk, nie mówmy o tem... A! Otoż dom mój! widzisz? to dom mój! Najprzód ci go pokazać muszę, kosztuje przeszło pół miliona, potem pójdziemy do Tildy.

Spojrzał na zegarek.

— Do kata! zawołał, za pół godziny muszę być na giełdzie, ale starczy mi czasu na pobieżne pokazanie ci domu, a potem zostawię cię z Tildą... i musisz na mnie poczekać. — Powrócę jak będę mógł najprędzej. Dom, po którym natychmiast zaczął oprowadzać pan Henryk Segel gościa swego, był w istocie przepyszny, obszerny, urządony ze zbyteczną aż może wspaniałością, ale wspaniałością tą powszednią, bogatą, kosztowną, a bez smaku i charakteru, z którą równie dziś po pałacach jak po hotelach spotkać się można. Zwierciadła w bogatych ramach złocistych, meble aksamitem kryte, opony kosztowne, posadzki wytworne, brzozy drogie, kryształ, chińskie porcelany, mnóstwo fraszek na wagę złota kupionych, kolory bijące w oczy... zbytek jednym słowem powszedni i złego smaku, oto co znaleźli w tym domu niedawno zbogaconego człowieka, który nie miał żadnego artystycznego uczucia, i złotem szafując sądził że za nie kupi razem z towarem ten smak którego mu brakło. ! Nie rzadko przy pokazywaniu wrywało mu się słowo — Wiesz! to kosztuje sto dukatów... to zapłaciłem tysiąc rubli!

Dom był pyszny choć króla, zwłaszcza zdetronizowanego, przyjmować, kapł od złota — ale od (niego wiało pustką, smutkiem... Pokoje były jakby niezamieszkałe, do ścian ich życie nie przyłgnęło, zdawało się że w nim ani się swobodnie obrócić, ani przemówić szczerze nie podobna, Segel oprowadziwszy obojętnego dosyć gościa aż po kuchni, która była przepysznie urządzoną, do której sama woda szła, sama z niej odpływała, która miała sadzawkę na ryby, mnóstwo wygódek i wymysłów; pobiegł go żonie oznajmić.

Jakób padł na sofę znudzony i smutny temi oględzinami; na ścianach domu już było wypisane męczeństwo tej kobiety, tem straszniejsze że w atłasy, złoto i erdredony obwinęte.

Po dobrym kwadransie Tilda wyszła blada, powoli, ciągniona prawie przez męża; powitała starego znajomego swego uśmiechem miłym, ale nowo przecierpianych boleści jakichś pełnym. Nastraszył się jej oczów rozszerzonych, wpadłych, a blaskiem dziwnym iskrzących.

— A! i pan już z Włoch wróciłeś! odezwała się podając mu rękę — jakże to dobrze! Alei tu i tam — zimno i smutno!!

— Gdzież życie weselsze? odpowiedział Jakób, to natura życia że kto na nie patrzy poważnie, smutnem mu ono wydawać się musi...

— Bo też nie potrzeba na nie tak patrzeć! przerwał Henryk podając kieliszek wódki — w ręce twoje, panie Jakóbie. Wiecznie zapominam o giełdzie! zakąsić

mam ledwie czas! Kochana Tildo zatrzymujże mi gościa koniecznie do mojego powrotu... proszę i wymagam... ja na godzinkę wybiedz muszę... oddaję go w ręce twoje...

Zadzwoił. — Są konie?

— Gotowe, proszę Jaśnie Pana — odpowiedział służący.

— A zatem bez pożegnania, nie przepraszam zostawując cię z nią, rzekł w rękę całując żonę... w najgorszym razie, jeśli do rozmowy nie będzie ochoty, to ci coś zagra, posłuchasz. Masz tu gazety wszystkie... ale głupie — może zechcesz przerzucić...

Zakręcił się i wyszedł zostawując ich dwoje.

Przez długą chwilę stali tak naprzeciw siebie, spojrzeć sobie w oczy nie śmiejąc. Naostatek ona westchnęła, wyciągnęła doń rękę powoli i rzekła:

— Jakóbie — wszak staremi tylko będziemy, dobrymi przyjaciółmi? nic więcej?

— Pani, odpowiedział z uszanowaniem młody człowiek — znasz mnie lub domyślasz się... że czas zmienić nie był powinien. Chciej wierzyć że zaufania nie zawiodę — nigdy.

— Tak, los sam zbliża nas znowu, gdy oddalaćby powinien... To próba, wytrwajmy godni siebie i naszej jasnej przeszłości.

Nie rozumiem, dodała po namyśle, co się stało Henrykowi — Henryk jest zwykle, to jest był zazdrosnym, aż do śmieszności, nie lubi mnie w męzkim towarzystwie zostawiać. Nie rozumiem go dziś. Jest to dowód ufności lub obojętności.

— Nie mówmy o tem — wolę spytać jak się pani czujesz po podróży? dla czego dłużej nie zostałaś we Włoszech?

— Po co? wszędzie się cierpi, i wszędzie umiera, rzekła powoli, wożę z sobą, tęsknotę i boleść od chwili ślubu naszego... wszystko mi jedno na jakim się one tle odbiją... — Ale zdrowie?

— Ja chora nie jestem, dusza we mnie cierpi — a wy? spytała podnosząc oczy na niego. — My? — ja... odparł Jakób mężnie — my nie mamy cierpieć ani prawa ani czasu, mężczyzna musi żyć nie życiem uczuć ale czynu... Dla tego myśmy biedniejsi i szczęśliwsi... W głębi tkwi w nas wiekiście cierpienie, gdy raz strzała w piersi zawieźnię — ale myśleć o niej, pieścić się z nią... nie nasza rzecz... My, jak ranny żołnierz, do ostatniego tchu walczyć musimy...

— I tak dobrze jest, zawołała Tilda.

— Ale czemużbyście i wy — panie — na cierpienia tegoż samego nie szukały lekarstwa? — pracy, czynu!

— O mój Jakóbie drogi, rzekła, dla kobiety co nie ma dziecięcia, jakże ograniczoną jest sfera pracy i czynów!! Juścić nie sądzisz żeby mnie poduszka kanwowa lub wyszywanie na siatce nasycić i uspokoić mogło? Duszy czegoś więcej potrzeba. — Książka, muzyka, sztuka, poezya, rzekł Jakób żywo — oto są źródła najczystszych roskoszy na ziemi. Wierz mi pani, to jeden zdrój niezmacony, to jedno użycie po którym na dnie duszy nie zostają męty, przesyt, żale i zgryzoty. Kto nie może sam tworzyć, może sobie przyswajać twory

umysłów nieśmiertelnych. A! jest to wielką rokoszą... jest to najsilniejszym zajęciem odrywającym od świata. Starożytność zostawiła nam przykład takiej namiętności nauki w Archimedesie, którego żołdak zabił zgiętego nad rachunkiem... Nie wiedział on nawet że gród jego ojczysty zdobyto...

— Ślicznie to mówisz i wiele jest w tem prawdy, rzekła wzdychając Tilda, ale i do tego potrzeba inicjacyi, wdrożenia, nałogu.

— Nałóg się tworzy!

— Ja już, dzięki Bogu, mam jeden — zawołała śmiejąc się Tilda — jest nim muzyka... Bardzo ją lubię, ona mi słodzi, zajmuje, pożera dni... Ale, ale muzyka mówi do jakiejś nieokreślonej, dusznej strony człowieka, karmi tylko jakąś jedną komórkę serca, jego — nie zaspokaja.

— Więc książka...

— Tak, odpowiedziała po cichu, książka ma znowu tę wadę, że zanadto świat nam i życie odtwarza, przypomina, szczególnie książka jaką my czytujemy, powieść, romans, dramat, poezya.

— Więc coś oderwanszego, poważniejszego! rzekł Jakób.

— Probuje, rzekła Tilda patrząc mu w oczy — i próbować będę, ale dosyć już o mnie... Powiedzże mi co pan... ty... Jakóbie... o sobie? Z czem powracasz? co zamyślasz?

— Powracam z głową i sercem przepełnionem, odezwał się Jakób, daleko bardziej żydem niż wyjechałem może; wracam z marzeniami reform, pracy, poświęceń się dla narodu mojego... jestem aż zuchwały w mych planach, choruję na Bar Majmona... Tyle jest do uczynienia! tyle! tyle!

— Sądziysz? spytała po cichu siadając i wskazując mu miejsce przy sobie — sądziysz pan... sądziysz Jakóbie, poprawiła się — że są jeszcze żydzi, i że z tego rozkładającego się narodu który długo od zepsucia ocet niewoli zachował — jeszcze dziś żywą całość na nowo stworzyć można?

— Tak jest! gdyby tylko siły po temu! zadanie jest trudne, ogromne, przerażające, wołał z zapalem młody człowiek. Naród ten przechował tradycją, wiarę w jednego Boga czystą" prawo i ideę niezłomności prawa od lat tysięcy... Na te ogromne granitowe podstawy przypadł pył pustyni i mchy a zgnilizny wieków, ale je oczyścić łatwo... jeśli się do odbudowania świątyni przystąpi z czystym sercem i rękami... A! gdybym mógł! gdybym umiał! gdybym miał siłę!

— Niestety, rzekła Tilda, patrzaj co się do koła nas dzieje. Ci co są wierni prawu razem z niem przechowują bałamutne powijacze w które je ludzie niezręcznie skrepowali dla przechowania... Ci odepchną cię jako odszczepieńca, nowatora, reszta nie ma wiary żadnej, będą cię słuchać jak poety, przyklasną ci, ziewną, ale nie wezmą do serca!

— Alboż to raz jeden — przerwał Jakób, prorocy przychodzili do tłumów obojętnych, alboż ich raz kamionowano? A jednak po każdym z nich zostały ślady na ziemi, i posiane przez nich ziarno powschodziło?

— Masz więc odwagę męczeństwa? spytała rumieniąc się Tilda — i wiesz jakie cię dziś czeka? Jeśli sadzisz że cię namiętnie wśród rynku ukamionują — mylisz się. Będą cię kłuć szyderstwy, ogłoszą za warjata, odsuną się, wyśmieją... Będzie to męczeństwo salonowe, małe, śmieszne a bolące. Niewiele ludzi coby się dali ukamionować, znieść je są zdolni. Tych których nie odstraszą kamienie, odstręczy sarkazm w białych rękawiczkach...

Jakób smutnie na nią spoglądał.

— Masz pani słuszość, rzekł, ale gdy oczy od blasku prawdy świętą ślepotą się zaćmią — naówczas człowiek nie widzi nic już, giną mu pigmeje... mówi do tłumów, świat mu się małym wydaje.

Wstał poruszony i począł się przechadzać.

— Tak pani — dodał — dużo nas poświęca się zbieraniu i frymarczeniu groszem, intrygom drobnym, nasyceniu ambicyi — powinien choć jeden myśleć o narodzie, o jego losach, a nadewszystko o duchowym spadku przeszłości. Czytamy jeszcze księgi Mojżesza, ale już ich nie rozumiemy.

— O! jakże bym rada, nieśmiało ozwała się Tilda, być twoją uczennicą, ale niestety! za wysoka to mądrość dla mnie co wiele zgaduję, przeczuwam, a nic nie umiem. Kiedyś ty napiszesz to co mówisz, a ja gorąco czytać będę... i pójdę z tem do biednych niewiast naszego narodu, nieświadomych, odepchniętych, pozbawionych nauki Bożej i płynących z niej pociech... zostanę twoim tłumaczem.

Ale, niestety, ty możesz w sobie czuć natchnienie Baraka, ja nie mam zapału Debory. Jakóbowi uderzyło serce, zbliżył się, chciał coś wyrzec, gdy w tem hałas się zrobił w sieniach, drzwi przedpokoju otwarły nagle i z okrzykami radosnymi na podziw wpadli razem ojciec Tildy, jej mąż, Mann i ojciec Symon...

Henryk połapał ich gdzieś w mieście istnym wypadkiem, a wiadomość udzielona o powrocie Jakóba skłoniła ich że wszyscy dali się na obiad zaprosić. Nawet poważny Mann, od którego musiano to uważać za wielki dowód łaski, gdyż zawsze był tak zajęty że na nic czasu nie miał — dał się na ten raz pochwycić.

Dawny opiekun Jakóba podszedł doń pierwszy z otwartymi rękami.

— A witajże! witaj nam, zawołał — proroku.. Rabbi Jakóbie!

Mann obawiając się aby go kto nie wyprzedził podsunął się i pokłapał go po ramieniu.

— No... jak tam podróż? daj mi rękę! dobrze wyglądasz... cieszę się.

To powiedziawszy i ledwie głową kiwnąwszy gospodyni, padł rozłożyście na kanapę, ale tak jak pada księga na ziemię, bezwładnie, zajmując ją prawie całą i dysząc po trudach porannych.

Ojciec Symon, zawsze drwiarz, począł od uścisku ręki, ale już mu się w przywitaniu zbierało na żarty.

— No? jakże? zapytał — bez obrazy — czy wracasz nam Akibą czy Ateuszem?

— Ani jednym ani drugim, odparł Jakób — takim zupełnie jak wyjechałem, tylko trochę więcej przestraszonym przyszłością.

— Nie było po co jeździć! zawołał ojciec Symon — strachu byłbyś dosyć i w domu napisał... Ale przybywasz w porę właśnie, my tu rewolucją robimy...

— O! o! z tem nie żartuj ojcie Symonie! rzekł Henryk.

— Ale ba! ja nic a nic nie żartuję — dodał szyderca — ja pierwszy sztyftuję pułk z bachurów i dowodzić nim będę sam... w lektyce... Jest tylko kwestya, zamiast broni, co wziąć w rękę, czy parasol którym wywijać umiem, czy kawałek kredy — tradycyjalnej.

— Żart żartem, rzekł ojciec Tildy, wiesz panie Jakóbie, że tu istotnie na coś się zanosi.

— Niestety! szepnął przybyły, codzień się bardziej o tem przekonywam.

— Widzę że nie aprobujesz, z twojego wykrzykniku — i cieszę się.

— Któżby to mógł pochwalać.

— Ale co pomoże się opierać, cierpko zawołał Mann, to są, z pozwoleniem, wartogłowy, szaleńcy, z nimi gadać, jak do ściany... Trzeba o sobie myśleć i swoje ratować manatki.

— Tak, poły w garść i — znowu wedle tradycyi — w nogi, rzekł ojciec Symon, do dziury, to bezpieczniej. My będziemy Mojżeszowi ręce podnosić... a oni niech się biją i tłuką.

— Juściż my razem z nimi bić się nie pójdziemy — zawołał Mann — na co? za co? po co?

— Jeśli na seryo o tem mówić mamy, odezwał się Jakób, toby może inaczej rzecz tę rozważyć potrzeba.

— Ależ do katastrofy może jeszcze przyjść, a może nie przyjść, rzekł Henryk... zdaje mi się że przecie są tam ludzie rozsądni...

— Pochlebca! zawołał Symon... mów otwarcie... sami jesteśmy.

Mann porwał się z kanapy w ten sposób jak chrząszcz przewrócony na grzbiet, podnosi się czasem z wielkim wysiłkiem.

— Właśnie dla tego, że to głupstwo niezawodnie przyjdzie do skutku, odezwał się stanowczo, to jest plemie skarłałe a dumne, a zarozumiałe, powodujące się namiętnościami zawsze, rozumem nigdy.

— Kochany Mannie, spytał Symon, a my ? my nie dumni? i olbrzymy? hę?

— Więcej bez porównania jesteśmy warci niż oni...

— Tak, odparł Symon seryo, oni są ślepi a my tylko kulawi... Wart Pac pałaca, a pałac

Paca, mówi ich przysłowie. Żydzi są doskonali do spokojnej szachrajki i handelku, ale gdy na ulicy tertes, wolą sklepy pozamykać.

— A mają słuszość! rzekł Mann.

— Tak mówił i nieboszczyk papa, dodał Symon, i ja!

— Ty zawsze żartujesz...

— Gdybyście wy choć raz popróbowali żartować, jabym przestał.... Trzeba przecie żeby ktoś za cały naród miał trochę dowcipu, bo powiedzą, że Heine nam zjadł wszystek.... kochany Mannie,

nie uwierzysz co to za ciężka pańszczyzna, mieć spryt za was wszystkich... za ciebie jednego co to ja się nawysilam!

Mann zrozumiał ukąszenie, nadał się chodząc i mrucał pod nosem.

— Jakże ci się kraj po powrocie wydał? spytał ojciec Tildy Jakóba.

— Bardzo zmieniony... a jakże idzie z nami? — Co to z nami? podchwycił Symon, co to

z nami? cicho! sza! połowa nas już się do naszych nie przyznaje...

— Nie żartujcie... ale ta sprawa drażliwa z gazetą... dziennikarska...

— Ubita... opinia ogólna za nami.

— Tak, pozornie, zawołał Mann, muszą się okazać niby liberalnymi, ale w gruncie feudały to niepoprawne, nadęte szlachciury....

— Słuchaj, przerwał Symon, gdy mówisz o nadętych, proś kogo żeby cię zastąpił, tobie to nie przystoi....

Mann się ofuknął.

— E! ty stary trutniu!!

— Truteń! zgoda! rzekł Symon spokojnie, ale ty wyrzucasz im że się dną, spojrzysz się w lustro? chybaś się nigdy nie widział! Czy u ciebie kochanie tak samo jak u tych feudałów w przedpokoju nie potrzeba odbywać popasu nim się do salonu zajedzie, żeby w nim twoje fupy połykać? Czyś ty potulniejszy, przystępniejszy, bardziej ludzki od X. Y. Z. hrabiów i baronów? Ich mitry a twoje miliony skutek jeden... jak tranu rybiego i syropu z chrzanu z jodem...

— Nieznośny jesteś... milcz! ofuknął znowu Mann.

Henryk i ojciec Tildy śmieli się, Mann na seryo się gniewał i przez zęby cedził.

— Trefniś! błazen!

— Kochany bracie w Izraelu, rzekł Symon, ile razy ci szlachta zaśmierdzi, powąchaj siebie.... tyś taki szlachetką bez szlachectwa... aż strach....

— Ale dość mi tego! zakrzyknął Mann.

— Nie, nie dosyć, muszę dokończyć bo się udławię, a szkoda mnie będzie, rzekł Symon, i prócz tego możecie mieć kłopot z mojemi długami. Otóż my na wymówkę dumy, a raczej pychy, nie mamy ani ich tradycyi o jelenich rogach, ani trzysta lat rzeczypospolitej szlacheckiej... ale...

— Ale dość.

— No — dość! Symon się usunął, Mann dąsał.

— Panie Jakóbie, zawołał pierwszy, co nam przywozisz z Jerozolimy? jak to tam wygląda?

— Przywożę wam smutny jęk niewoli i niedoli, mówił Jakób poważnie, i wołanie narodu, abyśmy my choć wygnańcy a silniejsi, skupili całą moc dla dźwignienia...

Mann ręką machnął.

— Daj ty sobie pokój, rzekł, co ty chcesz świat uczyć!!!

— Wcale nie mam pretensji tej, odezwał się Jakób, ależ wiecie że i Akiba wprzódy był pastuchem nim mędrcom został, więc może i ja...

— Słuchaj, przerwał mu Symon, tobie nic nie pozostaje jak zrobić na wywrót, on z pastucha został mędrcom, ty możesz z mędrca zostać pastuchem jeżeli tak pójdiesz dalej.

Opiekun się rozśmiał.

— To prawda, rzekł, co ty chcesz świat naprawiać, weź się do jednej roboty, do handlu, do fabryki, do przemysłu, pracuj, a trud reform zostaw Panu Bogu.

— Bez Boga nic, odparł Jakób, ale myśmy powinni być posłusznymi narzędziami jego... Do robienia grosza nie czuję powołania, mam go dosyć.

— Kiedy mu się zachciało być Akibą, na to nie ma rady, rzekł Symon, ale czy ty wiesz, że dziś gdyby w istocie kto i zasiał Akibę, taki grunt że się albo Borne lub Heine urodzi; a być Heinem w książce... ładnie, na świecie... niewygodnie, i

— Ja nie cierpię Heinego! zawołał Jakób.

Wszyscy okrzyknęli ze zgrozą, i oburzeniem przeciw świętokradzcy.

— Dla czego ty go nie cierpisz, odparł Symon, on z Kladderadatschem najlepiej przedstawiają dzisiejszego ducha żydowskiego.

— I dla tego go nie cierpię, dodał Jakób, bo ten duch jest mi antypatycznym. Jakież to duch? duch zniszczenia, rozpusta słowa, rozpusta myśli, zwątpienie, sceptycyzm, szyderstwo, chłód, dobrowolne upodlenie. Choć ubrane w perły i dyamenty dowcipu i talentu są one chorobą i zgnilizną. — Z tego to stanu właśnie radbym was wywieść, bo jest przepowiednią śmierci, bo jest konania chrypką.

Symon stanął naprzeciw niego i głową kiwał.

— A zatem Finis Judaeorum.

— Tak, mówił Jakób, Finis Judaeorum et Judaismi finis. Ale nie na pobojuwisku chwalebny rozwiążą, się losy nasze, na śmieciach cywilizacji. Naród nasz pobobny jest temu, co tysiąc mil niósł skarb do domu, uratował go od rozbójników i złodziei, a do progu nie dodźwigawszy go, rozsypał w kałużę. Jeżeli kiedy to dziś nasza wiara i moralność...

— Ale kochanie moje, rzekł Symon, co ty gadasz o przedwiecznych rzeczach, o wierze i moralności, czy myślisz że one jeszcze gdziekolwiek są?

— Trzeba je wskrziesić!

— Dostał bzika, szepnął Mann machając ręką. Słuchaj, dodał zbliżając się, idź ty do Mejszeka. siadaj nad biblią i kiwaj się czytając, a nam daj pokój, zostaniesz podrabinem.

— Gdybym był istotnie godzien nim zostać, odparł Jakób, byłbym z tego bardzo dumny.

— A ja ci radzę, dodał Symon, poświęć się ty ważnemu przedmiotowi, badaj zakazane potrawy żołądkom Izraela. Majmonides liczy ich tylko dwadzieścia cztery, to mało... mógłbyś podłubawszy się w Talmudzie, dojechać do trzydziestu! Zawsze to rzecz piękna!

— Ojcie Symonie, bronił się Jakób, możeby to wielu... choć od obżarstwa uratowało....

— Kochanie, rzekł Symon wzdychając, gdybyś ty wiedział jak kiełbasa jest smaczną! Wiesz że hrabia wołyński Gr... i, który z naszych pochodził, ile razy się jej objadł, zawsze się tłumaczył tem, iż za wszystkie pokolenia antenatów izraelskich, które jej nie kosztowały, odjadać musiał.

— Otóż rozmowa, dzięki wam i kiełbasie, odezwał się Henryk, poszła na lepszą jakoś drogę.

— Pozwólcie mi tylko powozić, podchwycił Symon, a zobaczycie jak z nudnego prostego gościńca powagi natychmiast zбочę.

Mann, któremu się już niezmiernie uprzykrzyły uwagi Jakóba, a może i dowcipy Symona, przerwał.

— Uważaliście tego... wróbla... jaki sobie sprawił powóz i konie?

— Naturalnie, wyrwał się niezmordowany Symon, myśląc zbankrutować trzeba mieć wcześniej czem uciekać.

— Jak stoi z giełdą?

— To co zawsze....

— Byłeś u hrabiego?

— Byłem...

— Przyjął cię?

— Spodziewam się!

— Cóż mówi?

— To co zawsze, i nie wiele i nie nowe. Ich teorią znamy, chcą ażeby żydzi dosługiwali sięobywatelstwa jak czeladnik wyzwolenia. — Do pewnego stopnia mają słuszność, zawołałJakób.

— Jak to słuszność! oburzył się Mann. Nie mamyż my jako ludzie na tej ziemi zrodzeni tych praw z natury co i oni ? Czem ci trutnie lepsi od nas? Alboż upokorzeniami bez liczby znoszonemi przez wieki jeszcześmy się nic nie dosłużyli?

— Za pozwoleniem, przerwał Jakób, z prawa natury wszyscyśmy równi, to prawda, ale przy prawach stoją tuż — obowiązki... Jeśli wspólnych z całym społeczeństwem nie ponosimy ciężarów... sami się praw wyrzekamy...

— Jaktó nie ponosimy — ofuknął Mann, my się nie uchylamy od niczego. Wieszże ty, że szlachta nas od towarzystwa rolniczego odpycha i przyjmować nie chce?

— Ależ my dotąd z rolnictwem nie wieleśmy mieli wspólnego, odezwał się Jakób. Zresztą, szlachta źle robi.

— Spodziewam się że źle! zawołał Mann. A co znaczą domy Spółki? chcą nam odebrać handel...

— Może nam tem wielką wyrządzą przysługę, oparł się znowu Jakób, bośmy przy tym handlu jednym, który nas w niewoli trzyma — zmaleli, znikczemnieli... Jeśli zmuszą nas z niego wyjść i szukać innej pracy, tem lepiej.

Zresztą jeśliśmy wprawniejsi, zdatniejsi, dla czegoż się ich konkurencyi obawiać mamy?

— Ale handel stanie się ich monopolem?

— Tak! tak! to są straszni ludzie, przerwał Symon, nadewszystko w handlu!! Dowodem przysłowie ich... zamienił stryjek, siekierkę na kijek, wyszedł jak Zabłocki na mydle... Że ten stryjek nie nasz był, na to ofiaruję Szebuoss haddajunin... (przysięgę sądową) lub i — husses...

— Cichoż bo ty z tem żydowstwem! począł gniewnie ojciec Tildy zniecierpliwiony.

— A! prawda! przepraszam, zapomniałem że już oddawna niejestem żydem... więc... słowo onoru!!

— I przerwałeś rozmowę, co gorzej, dodał Mann, te domy spółki są wymierzone przeciwko biednym żydom, to towarzystwo rolnicze jest także konspiracją szlachecką na nas.... Stara ich nienawiść trwa w najlepsze.

— Nie widzę, przerwał Jakób, żebyśmy i my ich bardzo kochali.... — Dalipan bo nie ma za co, odezwał się Henryk, pomimo grzeczności, uprzejmości ich, zbliż się do nich nieco, choćbyś był najlepiej wychowanym, nie dopuszczą, cię do ściśniętego koła swego; nie dozwolą zawiązać poufalszego stosunku... nie dowiesz się od nich prawdy, nie doznasz przyjaźni.

— A my? a my? spytał Jakób.

— Co my! co my ? rzekł Mann, my mamy prawo być takimi jakimi jesteśmy... mamy powody do nienawidzenia ich...

— O tak! dodał Symon, my mamy prawo ich nienawidzieć, a oni za to powinni nas kochać serdecznie, na to oni goimy... toć to przecie ich nauka i prawo.... Damy im w pysk, muszą, nastawić drugi policzek....

Spojrżeli po sobie wszyscy w milczeniu, Symon był poważny.

— No, ale z tego wszystkiego cóż wyrośnie? zapytał ojciec Tildy.

— Spytaj raczej co się wywróci? poprawił Symon.

— Waryaty są, azatem rzeczy rozumnej zrobić nic mogą, mruknął Mann. Klęski, nieszczęścia, krew, pożoga, nic więcej. Wystawcie sobie że oni wierzą w cesarza Napoleona, w Anglią, we Włochy, w Węgrów, w Turcyą, w Szwecyą, niektórzy nawet w jakąś rewolucyą niemiecką... kartoflaną... a ostatni w moskiewską... na tem wszystkim budują coś dla siebie.... Widział kto podobną głupotę!!

Symon się uśmiechnął. — Szczególniej dobrze sobie wybrali cesarza Napoleona, to człek fundamentalny, bo i nigdy nie zmienia opinii i zawsze kieruje się uczuciem.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zdawał się mówić serio.

— Ale co będzie to będzie, a myśmy, dodał ojciec, w bardzo przykrem położeniu, iść z nimi czy przeciwko nim równie niebezpiecznie. Wygrana będzie przy Moskwie, to nie ulega wątpliwości, ale w chwili nieładu oni nas mogą, zgnieść i nasze uobywatelenie na długo odsunąć.

— Mylisz się, rzekł Henryk.

— Mylisz się, powtórzył Symon, siądziemy na dwóch stołkach, jeżeli się jeden usunie, drugi zostanie.

— Nie ma wątpliwości, potwierdził pierwszy.

— Dla mnie, odezwał się Jakób, jedna tylko rzecz jasna. Jakkolwiek przewidziana jest klęska, potrzeba szczerze iść i podzielić losy narodu; ofiara to najlepszy środek nabycia praw obywatelstwa, Cokolwiek wypadnie, zasługa nasza musi być uznana.... Chwalimy się dziś jednym pułkownikiem Berkiem....

— W tem trochę ma Jakób słuszności, przerwał Mann, do pewnego stopnia rozumuje nie głupio. Nie jedna z wielkich rodzin ich zawsze w stanowczych chwilach dzieliła się tak, że niektórzy jej członkowie szli z królem, drudzy przeciw królowi, jedni z rewolucją., drudzy z rządem trzymali. Mieli w ten sposób w obu obozach swoich popleczników, a ktokolwiek wygrywał, oni zawsze ocaleli.... To przykład dla nas jak zrobić powinniśmy. Nie możemy ginąć dla nich, ale niepodobna wystąpić przeciw nim. O tem wartoby obszerniej pomówić jeszcze.

— Szczerze, szczerze, otwarcie, przerwał Jakób, iść z krajem i dzielić jego losy! Mann głową pokiwał i klapnął go po ramieniu.

— Jesteś młody, rzekł, poczekaj....

— Tak, jesteś młody, wyrwał się znowu Symon, będziesz radził gdy wystygniesz, bo do rady trzeba chytrłości... poczciwości nie... przeszkadza ona. My stare łajdaki naradzim się, a wy młodzi poczciwcy wykonacie....

Otwarto podwoje, służący w białych rękawiczkach oznajmił że dano do stołu. Tilda która była odeszła, ukazała się w progu. Ojciec poprowadził ją do stołu, Mann pochwyił drugą rękę niby żartem, ale w istocie obawiając się pozostać w tyle, reszta poszła za nimi.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad wspaniałością stołu, nad wytwornością kuchni pana Henryka, Umiał on obejść się kawałkiem chleba i kieliszkiem wódki, mimo swojego państwa, ale gdy potrzeba było wystąpić, a miłość własna w grze była, nie znał rzeczy za drogich i niedostępnych. Obiad za który wcześniej przeproszał że miał być improwizowany, o którym mówił iż prawdziwie nie wie jaki będzie, za który z góry gospodynią obwinał (zupełnie obcą kuchni) okazał się dyplomatycznym obiadem. Wyspieszono nawet cetele na różowym papierze w srebrnych ramkach.

Tyle razy mówił gospodarz o tej improwizacji swego obiadu, że Symon w końcu zmuszony był powiedzieć:

— Wiesz co, kochanie, ty tak improwizujesz, że i Deotyma lepiej nie potrafi.....

Mann który udawał że nie wiele stał o przepych i umyślnie przybierał grubiańskie maniery, aby w nim braku wychowania istotnego znać nie było, zatknął serwetę pod brodę i zabrał się jeść milcząco. Rozmowa ślizgała się po najrozmaitszych przedmiotach, zabawach, plotkach miejskich i wiejskich wypadkach.

— Na, mospan Jakób, odezwał się po polsku Mann zjadłszy sztukamięse, jeżeli już jesteś takim prawowiernym żydem, to powinienes wiedzieć, że jedno bardzo ważne prawo złamałeś i jesteś w wielkim grzechu....

— A! tytkobyście państwo temu żydowstwu dali już raz pokój! zawołał przestraszony gospodarz po francuzku, wstrzymajcie się od tego choćby dla lokajów którzy posługują.

— Mój kochany, rzekł Symon, bądź pewien że gdy ty otwarcie o tem mówić nie będziesz, oni tem więcej po cichu się z tego naśmiewać muszą.

— Ale o czemże mowa? przerwał Jakób, żadnegobym prawa łamać nie chciał!

— A łamiesz, szkaradnie łamiesz, bezwstydnie, zuchwale, rzekł Mann, najgrawasz się z niego... nie możesz się nazwać człowiekiem na którym spoczywa błogosławieństwo Boskie.

— Cóż to jest?

— No — masz lat... ile? spytał Mann.

— Dwadzieścia i...

— Widzisz, i kilka!! Więc, co najmniej od ośmnastego roku życia jesteś w grzechu, boś się zapomniał ożenić... Jako Izraelita prawowierny powinienes co najprędzej pomyśleć o żonie, obowiązek to jest, bo cię Dumah za kark w ogień wrzuci.

— Nie przeczę że to jest obowiązkiem, odparł Jakób, ale sędzę że prawo w tym względzie cierpi niektóre wyjątki.... Nie mam najmniejszej do ożenienia ochoty.

— Radziłyście mu co najprędzej chomąto włożyć na szyję, przerwał Symon, wy co w niem chodzicie. Czują troskliwość!! Ale przekonuję się że Jakób choć hussyt, mądry przecie.

— Gdy się zakocham to się ożenię, odpowiedział Jakób rumieniąc się i mimowolnie wejrzenie jego poszło ku Tildzie, która siedziała z głową spuszczoną.

— Otóż w tem jest właśnie grzech, zawołał Symon poważnie, że wam tego cukru kochania potrzeba teraz koniecznie do małżeńskiej potrawy... w tem jest rozpusta! Chcecie tam szczęścia, delikatesów, przysmaków, gdzie jest obowiązek i brzemię — rozkaz i ofiara.

Jakób się zmieształ i obiósł do niego.

— Tak przywykliśmy do twych żartów, ojczy Symonie, rzekł, że i to coś teraz powiedział za żart by ujść mogło... chociaż wypowiedzieliście prawdę wielką! Tak, macie słusność, człowiek jest rozpieszczony, rozmarzony.... Ale nie wolnoż mu na ziemi szukać choć jednego błysku, jednej chwili szczęścia — nie jestże godziwą miłość i możliwem szczęście?

— Nie — romanse was popsuly, odpowiedział Symon, małżeństwo chcecie sobie zrobić taką uczta jaką naprzykład zrobiliście stół i jadło wasze. Jedzenie jest poważnem zaspokojeniem potrzeby ciała, bywała uczta prawie obrzędem ale skromnym, rozpoczynała się modlitwą, nią i błogosławieństwem kończyła, dziś jest smakoszewstwem, rozpustą....

Tak samo małżeństwo....

— Słowo honoru, przerwał Mann, ten Symon, Kapcan ma czasem pomysły oryginalne.

Jakób milczał zamyślony.

— Ojcie Symonie, rzekł, darujcie człowiekowi, że wszędzie w tym życiu smutnem szuka poezji i poezją sieje. Wystawcie sobie to życie surowe, zwierzęce niemal, pierwotne, czyżbyśmy niem dziś zaspokoić mogli? Obudziły się z cywilizacją w człowieku pragnienia nowe.

— Których nigdy zaspokoić nie potrafi, dodał Symon.

— Ale one same są, rozkoszą" rzekł Jakób.

— Żyd, mój kochany, odparł Symon, nigdy o poezji mówić nie powinien. Naszą, sprawą, rachunek... dwa a dwa... pięć, jak mówił E... miał słusność, gdyby było tylko cztery, oczywista strata procentu.... Ale wracam do ożenienia.

— Lepiej może nie wracajmy do niego, szepnął Jakób.

— Ja cię będę nudził aż się musisz ożenić, rzekł Mann, nie mam już córki na wydaniu, ostatnia zaręczona, ale ci znajdę fein dziewczynę i sto tysięcy rubli posagu.

— Pomyśl tylko, dodał Symon, dziewczyna jak sobie chce, ale sto tysięcy rubli, to piechotą nie chodzi! to jeździ kareta... i z liberyą....

— Dziękuję za karete i za ożenienie, bronił się Jakób.

— Azatem nie masz prawa nazywać się uczciwym żydem, jesteś Meszumat, póki pod Szuppe nie pójdziesz!

Zaczęto się serdecznie śmiać.

— Ale doprawdy, kuzyn ma słusność, wzięszała się Tilda, spoglądając czarnemi oczyma na zmieszanego Jakóba, trzeba pana koniecznie ożenić.

— I pani chcesz więc do tego spisku należeć? spytał smutnie Jakób.

— Tak, bo chcę żebyś pan był spokojny i szczęśliwy....

— Doskonałe lekarstwo! szepnął Symon.

— Pozwólcie mi zostać jak jestem....

— Tak! tak! dajcie mu asaństwo pokój, dokończył Symon, zrobi się to i bez was, niech-no się matki dowiedzą, panny rozpatrzą, dadzą mu one rady bez pomocy niczyjej.... To nie nasza rzecz, gotów później proces wytoczyć nam, broń Boże jakiego nieszczęścia, o ubytki... lub o przybytki, dodał ciszej.

Jakób był bohaterem dnia, rozpytywano go, badano: mógłby się być domyślać, gdyby w naturze jego było więcej podejrzliwości, że go chciano wybadać i poznać lepiej. To ten, to ów zadawał mu pytania, jakby pragnął wyświecić jego sposób myślenia w różnych przedmiotach.

Mann przy deserze, który był niemniej wspaniały od całego obiadu, odezwał się do Jakóba.

— No, cóż teraz myślisz robić?

— Zdaje mi się żem to już mówił, chcę się poświęcić głębszej nauce naszego prawa i naszej wiary.

— No! no! to choroba młodości i nie starczy na życie... ale to przejdzie. Jakób zamilkł, zaczął mówić o muzyce, ruszono się od stołu, przy czarnej kawie wszyscy, prócz przybyłego, skupili się w kątku, a ojciec Tildy spytał Manna.

— No! cóż o nim myślicie?

— Człowiek niepospolity, mógłby nam być bardzo użytecznym, ale ćwieka ma we łbie, tę religią... Ja sam, dodał, uznaję że ona potrzebną jest dla gminu, ale oświeceni ludzie krępować się tem nie powinni.

— Tak, po staremu, odparł Symon, masz religią za zupę rumfordską... karmisz nią ubogich, sam jednak wolisz turtle...

— No, tak jest, rzekł Mann, to nie nowina.

— Mnie się zdaje że jemu to bałamuctwo religijne odejdzie, rzekł Henryk, to młodość, poezja i pietyzm razem... trzeba go tylko wprzódz do pracy, bardzo się przydać może.

— Przyda się niewątpliwie... to jest dobre że choć się żydem głosi, żyda w nim nie znać... gdyby tylko tak często o tem nie wspominał!

— Tego się, oduczy!

Podano cygara, przybyli nowi goście poobiedni, Jakób zasłuchał się przy fortepianie Tildy... Szumiało mu w głowie tą długą a dziwną rozmową...

* * *

Gdy się to działo we wspaniałym domu w Alejach u pana Henryka, o kilkadziesiąt kroków ztamtąd, spisek który odgadnięto przy stole, mówiąc o małżeństwie, spisek na serce i swobodę Jakóba... zawiązywał się potajemnie...

Przedzielony dwoma czy trzema ogrodami tylko od pałacyku Segła, stał bardzo ładniutki domek, cały w bluszczach i winnych latoroślach dzikich, z verandą od przodu, z kolorowemi oknami, z ozdobami wymyślnemi z drzewa i kamienia, które choć już nie pierwszej świeżości i nieco uszkodzone od wilgoci, wszakże go jeszcze dosyć oryginalnie przystrajały.

Dom ten miał właściciela który w nim nigdy nie mieszkał dla tego właśnie, że nadto nań wyłożył; zrujnowawszy się na fantazje dziecinne, poszedł na suchy chleb pokuty. Jakaś administracya najmowała to cacko pierwszemu lepszemu na lato, przez zimę stał niezajęty i nieopalany. Patrzyło mu też z oczów to sieroctwo, ten brak pana któryby go kochał i pieścił, choć niegdyś był kochany i pieszczony. Na ten rok właśnie domek zielony najęła była pani Wtorkowska z córką.

Pani Wtorkowska była wdową po kupcu i spekulancie, któremu interesa poszły jakoś nieszczęśliwie; miał bowiem mnóstwo nałogów nabytych w chwilach szczęśliwych, które go zrujnowały gdy się cokolwiek zachwiał w interesach. Wtorkowski zręczny bardzo i sprytny neofita, dorobił się był z razu fortunki żywo, ale żywiej jeszcze ją stracił. Skąpy był z początku wściekle, potem nagle stał się rozrzutnym, zachorował na państwo, a umarł niemal żebrakiem... Żona, jak powiadano, wiele temu była winną, bo przykryła coś fartuszkem od wierzycieli i tak ocaliła dla siebie część majątku, a wielu biednych spadło z należnościami. Żyła ona teraz z tych tajemniczych resztek zawsze jeszcze z

elegancją, ale już nie pierwszej wody, zawsze w pretensjach do wielkiego świata, z nieustanną francuszczyzną na ustach, nie mogąc się obejść bez kamerdynera, Spa, Ems i Paryża; a troszcząc się bardzo o przyszły los córki, którą wychowała na istne чудо...

Panna Emma była w istocie zachwycająca, ale miała już lat dwadzieścia i dwa, wedle rachuby przyjaciół (matka dotąd przyznawała się tylko do dziewiętnasta i pół), a nikt dotąd jeszcze po to чудо sięgnąć się nie ważył... Matkę to codzień bardziej niepokoić zaczynało, była najpewniejszą że się o nią dobijać będą, jeśli nie książęta krwi... to choć krewni książęcy.

Widząc że nawet prości obywatele bez mitr nie zgłaszali się po ten skarb, że dla szlachty perła ta była za wytworną, za kosztownej wymagającą oprawy, pani Wtorkowska (z domu Wejnberg), zbliżać się zaczęła do krewnych w Izraelu, niepłonną żywiąc nadzieję, że bogaty jaki panicz jej narodu, prędzej się o drogi klejnot spokusi, choćby dla ozdoby salonu. Przyjęłaby była jakiego hrabiego z ochotą, ale postrzegła też że hrabiowie w ogóle nie byli posażni, a tyle już ucierpiała walcząc z niedostatkiem który potrzeba było pokrywać wystawą, że zaczęła oceniać zalety bogatego bankiera...

Emma godną była najświetniejszego losu, tak utrzymywała matka, tak ona sama przekonana była w duszy.

Naprzód była w istocie piękną jak tylko na obrazach bywają idealne Zuzanny i Rachele, ciemna blondynka z oczyma czarnymi, biała jak śnieg, rysy miała marmurowe, wejrzenie pełne niezgłębionych eluzyńskich tajemnic, usta które mówiły co chciały i jak chciały. Sztuka zwodnictwa niewieściego do wyższego stopnia w nikim może posunięta, nie została jak w tej kobiecie, która od dziecka już kokietką, od pieluch komedyantka była. Matka, osoba pełna przymiotów światowych, znająca wagę tego co człowieka uzewnętrznia, jeśli się tak wyrazić godzi, chowała ją na artystkę; sama nią będąc w najwyższym stopniu... Do złudzenia umiała udawać literatkę, choć prawie nic nie czytała, muzyki lubowniczkę choć na muzyce nie Uznała się wcale, kobietę większego świata, choć ten świat widywała tylko w negliżu u wód i w kilku salonach podejrzanej dystynkcji. Nareszcie wybornie grała rolę bogatej i elegantki, choć była ubogą i z natury powiedzieliśmy pluchą, gdyby wyraz nie był za brudny. Rachujmy więc że się tego nie powiedziało.

Pod okiem takiej matki, czulej o przyszłość, wychowana Emusia, którą potem dla oryginalności nazywano Musią a naostatku Muzą, zaczęła naukę od francuszczyzny, tej mowy eleganckiego i świata, od gamm na fortepianie i lekkich solfegiów. Moralność wielce uproszczona ograniczała się kilku jasnymi ale gruntownymi przepisami... Z tem, nieładnie, to śmieszne... tamto szkodliwe... tego mówić nie potrzeba lub nie wypada. Z postępem czasu wtajemniczyła ją matka w wielką sztukę udawania, zręcznego kłamstwa bez zarumienienia i perfumowanego śmiałego fałszu... Uczennica była nader pojętną... natura pod tym względem uposażyła ją instynktem cudownym... dość było lekkich wskazówek... Jak tylko nauczyła się czytać Muza, czytała co

chciała — matka postrzegała tylko jednego.... aby książka była po francuzku i dobrym stylem...

Przy obfitych darach Bożych, można miarkować jak się wykształciło śliczne dziewczę. Ze ją od lat sześciu zaczęto na wirtuozkę hodować, mając dwanaście popisywała się publicznie, w ośmnastym zyskała sławę niezrównanej pianistki, drugiej Clary Wieck... później już nikt nie wątpił że Chopin nie miał ukochańszej nad nią uczennicy, że Liszt gdyby nie księżna i księżowstwo... byłby może się z nią ożenił (dawano do zrozumienia pod osłoną)...

Muza występowała zawsze wytwornie i oryginalnie ubrana dla ściągnięcia oczów — na to matka nie żałowała. Nie wierzyła ona w teorye fatalistyczne że panna czekać powinna losu w domu, starała się gdzie mogła Muzę wprowadzać, pokazywać w teatrze, produkować ją, na koncertach dla dobroczynnych zakładów, czasem starając się nawet — przez trzecie osoby — o pochlebną, zentuzyazmowaną wzmiankę w Kuryerze. Pilnowała wszelkich możliwych expozycji niewieścich, aby na żadnej córki jej nie brakło.

Muza zwracała oczy, pociągała, rozmarzała, ale najzapaleńsi jej wielbiciele po trzeciej wizycie jakoś stygli... Matka jakeśmy powiedzieli, zaczęła być niespokojną.

Miała wprowadzić parę naiwnych konkurentów (nazwanie to sama im nadała), jednego szalenie zakochanego ośmnastoletniego młodzika, drugiego poddeptanego dobrze marcowego kawalera — obu ubogich... ale nie szło naturalnie o to by tylko po prostu pójść zamaż jakokolwiek, taki fenomen jak Muza, musiała zrobić partya świetną...

U wód jak na loteryą stawiając córkę, jeszcze żadnego nie była w stanie przywabić nawet z tych książąt i hrabiów z łaski atramentu, którzy swe tytuły wywożą za granicę, a ciężar ich zrzucają w domu.

Muza we cztery oczy odzywała się wzdychając, że w ostatka... tak ogromnie płacono artystkom, że teatr... Matkę to niepokoiło; być zmuszoną tak spaść... tak spaść żeby pójść śpiewać za pieniądze!! Emma miała głos prześliczny, metodę doskonałą, dramatyczne usposobienia znakomite... ale na samą myśl takiego upadku pani Wtorkowska płakała. A tu — trzeba już wyznać wszystko — fundusze tak były obrachowane że na życie zbytkowno-elegancko-brudne, jakie prowadzono — ledwie do roku dwudziestego trzeciego Muzy... wystarczyć mogły. Matka sobie powiedziała że ją zamaż wydać musi świetnie i przy niej zamieszkać.

Powiedziała sobie że to nastąpić musi, przed fatalnym kresem i zupełną ruiną — a tu nie było nikogo, nikogo!

Muza dawniejszych lat bywała niekiedy i z mamą i z guwernantką w domu ojca Tildy, była niby przyjaciółką, towarzyszką młodości pani Henrykowej; po ogródku tym pamiętnym chadzała nieraz z Jakóbem, i Jakób się jej naówczas dosyć podobał, ale cas redhibitaire... ubogi. Naówczas lekko sobie z wysokości swego położenia towarzyskiego i nadziei, postępowała z młodym chłopakiem... później — żałowały obie z matką że nie potrafiły przeczuć nic... Jakóba

stracono z oczów, ale nie był dotąd żonaty, pani Wtorkowska dowiadywała się, czatowała, uparcie jeła się myśli wyswatania mu córki. Jej zdaniem z trocha dobrej woli wspomnienia owe młodzieńcze suche i zimne, można było odgrzać i uczynić płomienistą zorzą...

Matka i córka teraz dla siebie już żadnych nie miały tajemnic, były to dwie dobre przyjaciółki, spiskujące wspólnymi siłami.

Tegoż dnia gdy Jakób powróciwszy zaciągnięty został na ów obiad do państwa Henrykowstwa — do domku w alejach wpadła sama pani Wtorkowska, powracająca z miasta, zadyszana i zastała córkę przy oknie na szezłagu czytającą romansidło Feval'a.

Zatrzymawszy się nieco we drzwiach matka con amore, patrzyła na swe dziecię. — Śliczna mi dziś jesteś! zawołała z radością., a! to dobrze! mam ogromne plany na myśli... coś olbrzymiego i co się udać powinno... Teraz zwyciężyć musimy — lub umrzeć.

— A! cóż się stało? zrywając się, rzucając książkę i oczy kierując ku zwierciadłu, zawołała Muza, co się stało?

— Dowiedziałam się w tej chwili, wystaw sobie, że Jakób, wiesz ten twój dobry znajomy... ten, ten żydziak co to go ojciec Tildy wychował.... co mu ten bankier berliński całą fortunę zapisał, powrócił z długiej podróży... do Warszawy.. jest tu...

— Jakób! a! wiem! wiem!

— Mam przeczucie, jestem prawie pewna że on dla ciebie przeznaczony.

— Ale moja mamoo... — Przeczucie! rozumiesz? serce matki! żywo poczęła zdyszana, otyła i łatwo się męcząca pani Wtorkowska — ja wiem... ja chcę... et ce que femme veut....

— Le diable le vent aussi! dodała córka po cichu uśmiechając się.

— A! to bardzo dowcipnie!... ale użyj tego kiedy w salonie... to zrobi efekt, nie expensuj się dla mnie....

— O! niech mama będzie spokojna... ja jużem to parę razy rzuciła, zawsze z wielkim skutkiem....

Pocałowała ją w czoło matka. — Vous etes sublime d'esprit. — Ale słuchajże, dodała, Jakóba potrzeba znać. Trafiło mi się najszcześliwiej, dostałem o nim wieści... musimy postępować ostrożnie, bacznie, z wyrachowaniem... z godnością....

— Niech mama będzie spokojną... ja choć go bardzo dawno nie widziałam... znam go na wylot... pamiętam doskonale, i mam, nie pochlebiając sobie, szepnęła Muza, instynkt wielki.... Nie zagram z fałszywego tonu....

— Czekajże, przerwała matka niespokojna, z nim uchowaj Boże być zanadto brillante, za wesołą, za dowcipną, potrzeba powagi, skromności, poezyi... poezyi, ty wiesz... ideału!...

— Wie mama, ja doszłam że on się kochał.

— On, w kim?

— W Tildzie!... albo ona w nim... to wszystko jedno, coś było między nimi...
Niewiem jeszcze czy to wywietrzało.

— Ale tyle lat! ona bez czasu zwiędła, zbrzydła, zameżna! co to nam ma
szkodzić. Owszem to tylko dowód, że się zakochać może, a wiesz, dziś ci
obrzydliwi mężczyźni, to wszystko chodzące lody. Żaden się nie zachwyci taką
jak ty czarodziejką, te lorety! ten demie-monde pochłonał ich.

— Moja mamó, odparła Muza, oni lgną wszyscy, ja to wiem najlepiej, ale sama
myśl ożenienia ich odstrasza.... To w duchu wieku...

— O ile wiem od dobrze poinformowanych osób, powtarzam ci, dodała matka,
Jakób jest człowiek poważny, uczuciowy, nawet trochę pietysta żydowski...
rozumiesz.... Potrzeba dla niego nosić na czole piętno tysiäcoletniej tęsknicy
wygnania, coś o tem mówić, wzdychać, trzeba być poetyczną" bardzo poetyczną
i poważną.

— Ale moja mamó, czyż mnie potrzeba uczyć? z urazą odezwała się Muza.

— Dziecko moje, ja to wiem aż nadto że dla ciebie dosyć skazówki, dosyć
jednego rysu — ale serce matki! westchnęła... jestem pełną obawy...

Lepszej partyi dla ciebie znaleźć trudno, nużby się nam wymknął !! potrzeba
użyć wszelkich środków, wsunąć się tam gdzie on bywa, niby wypadkiem go
spotykać.... Musimy go zapraszać... lubi muzykę, to wiem... damy parę
wieczorów, zaproszę Kątskiego... przyjdzie Dobrzyński... zrobimy trio...
wystąpię z kollacją... ty się mi ubierzesz...

Muza ruszała ramionami.

— Mama niech robi ze swojej strony co należy do mamy... i co uważa za
właściwe, a już zresztą proszę się na mnie spuścić.

— Słuchaj, poczęła po cichu zbliżając się do córki zarumieniona Wtorkowska,
nie będę przed tobą, taić, czegoś się sama domyśleć była zresztą powinna... my
jesteśmy prawie zrujnowane, goniemy ostatkami, gramy o śmierć lub życie. Z
tego co wiem, co czuję, pewna jestem, Jakób uczciwy człowiek, sumienny... z
nim (ale tylko z nim jednym!) moja Emmo... można dojść nawet... do
ostatecznych środków, aby go niejako zmusić i związać.... Jest młody, musi być
namiętny... obudzić w nim passyę, przyjdzie ci łatwo... ty mnie rozumiesz.... Z
nim, powtarzam ci — ale tylko z nim, można pojsć daleko....

— Moja mamó! mama mnie ma za dziecko! odpowiedziała Muza z urazą, czyż
ja tego nie rozumiem?

Ruszyła ramionami niecierpliwie. Powiem mamie, to jest heroiczny środek, ale
tylko z bardzo uczciwym człowiekiem uciec się do niego można. Myśl mamy
jest istotnie genialna....

Matka się zaczerwieniła cała, bo jej samej już tej szkaradnej myśli genialnej,
wypowiedzianej przed dziecieniem — wstyd było.

— Emusiu, rzekła smutnie, taką myśl rozpacz tylko poddać mogła.

— Bo mama aż do zbytku się troszczy.... Nie mamyż ostatniego resursu... w
teatrze?

— A! nie mów mi o tem! ty w teatrze! na scenie! aktorką! — Ależ, Malibran, Pasta, Patti, Schröder, Grisi Sonntag, hrabina!

— Ja tego nie chcę, ja wolę....

— Niech tylko mama będzie spokojną....

— Mam już pierwszy plan, jak wystąpić.... Jakób jest dziś na obiedzie u Henrykowstwa, ty z nią w przyjaźni... to ztąd o trzy kroki... ubierz się, niby nic nie wiedząc, trochę słaba, trochę smutna... pójdz ją odwiedzić... zaraz po obiedzie.... Dla zamaskowania tego kroku idź sama bezemnie, poufale, weź tylko lokaja za sobą.... Ale trzeba się tak wyrachować abyś przysła zaraz po obiedzie, bo się oni rozejdą... na deser lub czarną kawę — Po obiedzie on est un peu monte, zrobisz wrażenie, on będzie śmielszy.... Ubrać się jak najskromniej.... Gdy zobaczysz gości... bo tam jest Mann, ojciec Symon, jej ojciec... udawaj że się chcesz cofnąć... naturalnie będą prosić żebyś została... no! a reszta... to twoja rzecz!

Muza zerwała się żywo jak żołnierz ochoczy którego trąba wyzywa do boju, uścisnęła matkę, która pracą i pośpiechem wywołany pot, ocierała starannie z błyszczących policzków.

— Na Boga tylko — Emusiu, kochanie — nie bierz już tej poudre de ris, to niepotrzebne tobie, a daje się domyślać braku świeżości.... Ty często w niej przesadzasz.... I powiedz mi jeszcze jak się ubierzesz ?

— Ale czarno, czarno, skromnie, poetycznie, włosy gładko.... Już mi to proszę zostawić... i książkę jaką wezmę w rękę....

— A! to będzie może jakoś zbyt wymuszone, zużyte....

— Mama słusznie to mówi... wezmę robotę, c'est plus simple.

— A! niech Bóg broni! prozaiczne! niemieckie! pończocha!

— O! to nie, pójdz tak sama z sobą! bądź spokojną....

Wyszła Muza, matka padła na kanapę w głębokiem zamyśleniu.... Niedopowiedziana myśl owa genialna trapiła ją, gryzła, zdawała się jej że wygadała się nadto, wyrzucała to sobie... możnaż było przewidzieć następstwa....

— Ale nie! nie! zawołała uspokajając się, Emma jest nadto rozumną, ona nie skorzysta z tego nierozważnie...

Przestrach ją, jednak ogarniał, zabobonna jak zwykle ci co w nic nie wierzą, zobaczyła w tej chwili pajaka i wzdrygnęła się.... Ale zegar wskazywał już więcej niż dwunastą....

W pół godziny później pani Wtorkowska z okna swojego dojrzała niesione z kuchni do pałacyku Henryka... wedle wszelkiego prawdopodobieństwa... piecyste... potem poznała lody po wysokiej pyramidalnej ich pokrywie... Pobiegła do córki.

— Musisz iść!... bo wielki czas... mogą się, rozejść... deser... lody ponieśli.... Jakób ma pewnie interesa, pilno mu...

Spojrzała chciwie na córkę... Muza mogła służyć za wzór dla malarza do elegii współczesnej. Wesołe jej rozbudzone zwykle rysy twarzy jakoś dziwnie stężały; przed zwierciadłem studiując nabrała, wyuczyła się wyrazu jaki mieć chciała.

A była prześliczną... z nieporównaną sztuką umiała pokryć sztukę samą, wydawała się naturalną, była sobą, niktby jej o odegrywanie roli głęboko obrachowanej nie posądził... była młodą, smętną, ale świeżą... a już rozmarzoną, rozręsnioną, pociągającą urokiem niezbadanych tajemnic dziewiczego łona...

Dwoma wdziękami najmocniej pociągają kobiety ku sobie, wesołością i dowcipem na którym wiele budować nie można i tajemniczością. Człowiek niczem się tak pochwycić i usidlić nie daje jak urokiem zagadki. Gdy z tej księgi która jest kobieta, ostatnią kartkę przeczyta, musi być arcydziełem chybanowa księga, aby ją znowu od początku chciał studyować. Muza była żywym Sfinksem... a tak cudownie pięknym, tak skończenie doskonałym, tak pewnym arcydzielności swojej, że nawet oko sceptyka wady w niej odkryć nie mogło.

Strój miała prawie zaniedbany, czarną, lekką, skromną sukienkę, bransoletę z korałem i broszę podobną, w ręku zmiętą chusteczkę białą i kwiatek... Była niezrównanie piękną... matka załamała ręce z podziwu... pod tą formą jeszcze córki nie znała.... Ofelia!!

— Nigdy cię jeszcze taką nie widziała! zawołała, byłaś może nieraz świetniej piękną, wspanialej cudowną., ale taką jak dziś! tak nową! tak inną! A! ty kochany mój kameleonie!

Tyś czarownica!

Dumnie uśmiechnęła się Muza, skłoniła się matce, nie zmieniając wyrazu twarzy... wyszła spokojna... jak gdyby na przechadzkę nie na tę walkę, nie na ten bój w którym idzie o zdobycie serca ludzkiego. Serce jej jeszcze nigdy nie kochało; dziwiła się mężczyznom że niezdolni byli nawet do szalonej namiętności, ale i ona również nie rozumiała czym jest miłość, czym namiętność. Żyła głową, w głowie paliło się czasem... ale pożar ten nigdy do piersi nie schodził. Gdy marzyła o miłości zawsze ją sobie wyobrażała w atlasach, brylantach, w salonie pańskim, na dworze królów...

Czy biło jej serce w drodze... wiedziała tylko czarna sukienka, ale na twarzy nie powstała najmniejsza niepokoju oznaka.... Rachunek chronologiczny matki był tak szczęśliwy iż Muza trafiła właśnie na czarną kawę w salonie, a że drzwi wchodowe były naprzeciw fortepianu... Tilda postrzegła ją gdy się ukazała i chciała niby wycofać; wstała, pobiegła i wejść zmusiła. Jakób stał tuż... Muza udała że go z razu nie poznaje....

— Wszakże to dawny znajomy! odezwała się Tilda, pan Jakób.

— A! doprawdy! jakto? Powrócił?? Ale jakże się... zmienił... nie byłabym może poznała.... A! jakże mi miło!

Szło jej nadewszystko o zamaskowanie zupełne pierwszego kroku... Wypadało okazać się z początku obojętną... odegrała tę rolę dobrze.... Na Jakóbie nie zrobiła najmniejszego wrażenia, stała obok Tildy... a potem... są instynkta serca w człowieku i póki nie rozchodzi się brzydka zwierzęca namiętność, coś go

ostrzega o niebezpieczeństwie. Wydawała mu się bardzo piękną, ale jakby nieżywą...

Panowie pijący czarną kawę w salonie, zdala wcale inaczej poglądali na czarodziejkę — tam ona po szampanie i likworze obudzała nadzwyczajne zachwyty i uwielbienia...

— To jest cudownie piękna dziewczyna, rzekł Mann, kąsek królewski... co za ramiona! kąsek królewski !

Henryk także był zachwycony, ale przy ojcu Tildy, nie śmiał się z tem odzywać.

— Kąsek królewski, mówił ojciec Symon, tylko nań złotych zębów potrzeba, inaczej nie ukąsi....

Ojciec Tildy wielki miłośnik płci pięknej cmokał.

— Warta — mówił po cichu — słowo daję... warta... tysiąc dukatów!!

— To mało, rzekł Mann.

— Nie licytujcież jej dopóki przynajmniej zamaż nie pójdzie, przerwał Symon, potem....

— Oj to kute baby, dodał Mann, kute baby... Wtorkowslca nie ma złamanego szeląga a żyje, jak... pójdź zobacz... jak mieszka, jak się ubiera, jakie apartamenta... jak u nas!

— Żeby ona tylko nie myślała na Jakóba polować! rzekł Symon coś mi już ta wizyta nawet widzi się podejrzaną....

— Ale mieszkają o trzy kroki! przerwał Henryk.

— Tem bardziej, a szkodaby tym Harpijom Jakóba, dorzucił Symon.

Gdy ci panowie tak szepczą, Muza obojętnie przystąpiła do fortepianu przeglądając nuty z których Tilda grała przed chwilą. Było to coś Schumanua. Zaczepiła z lekka Jakóba aby mu się nie dać zaraz oddalić, jakiś smutek zimny, znużenie wiało od mej; niby chłodno ale ciekawie przypatrywała mu się, niby mimowolnie wlepiła weń oczy dziecinnie, naiwnie szukające... czegoś upragnionego.

Jakób w głębi nie poczuł nawet wzruszenia jakie rodzi wspomnienie lat młodszych.

— Pamiętasz pan nasze z Tildą przechadzki, spytała po chwili Muza. Czy pan zawsze jesteś tak poważnym jak byłeś w młodości?

— Zawsze tak nudny jak byłem, rzekł Jakób, z tą różnicą, może iż z wiekiem przymiot ten jeszcze wzrósł we mnie....

Tilda słuchając rozmowy, sama nie wiedziała czemu serce jej biło gwałtownie. Zdala patrząc ojciec Symon kręcił głową., miał przyjacielskie dla Jakóba serce, odwiedziny te go niepokoiły. Począł przechadzać się, lawirować, stanął przy fortepianie; kobieta instynktem poczuła w nim nieprzyjaciela, dywersją jakąś zrobiło to, że ją zaraz gwałtownie napadnięto aby grała.

— A! ja tak lubię muzykę, że mnie nie potrzeba prosić! zawołała rozrachowując że dać się długo błagać byłoby zbyt pospolitem. Usiadła do fortepianu.

— A! to mój ukochany Schumann!

I poczęła jedną z tych dziwnych fantazyi marzyciela, z których nut jak krwi strugi boleść płynie... i tryska....

Grała cudownie, z wyrazem wielkim, komedia w niej obejmowała nawet muzykę, umiała odegrać czucie wybornie, choć go w sobie nie miała.

Oklaskami żywymi okryto wirtuozkę a Tilda która sama grała doskonale, znalazłszy w pojęciu znanego utworu, myśli nowe, nie mogła się nią, nacieszyć. Jakób chwalił, ale był zimnym. Ojciec Symon ująwszy go za rękę powoli odprowadził na bok.

— Znasz Muzę?

— Widywałem ją dawniej.

— A znasz matkę Muzy?

— Bardzo mało.

— Więc trzeba żebyś wiedział na wszelki wypadek że to jest najniebezpieczniejsza z kobiet.... Córka wychowana na dziedziczkę milionów, bez grosza, poluje na bardzo bogatego męża.... Strzeż się... mam jakieś przeczucie że one cię tu poczuły i rozstawiają sieci. Ścisnął go za rękę; Jakób się rozśmiał.

— Wczoraj dopiero przyjechałem.

— Matki tego rodzaju, są to republikanie de la veille, one czują przybycie młodych ludzi wprzód

jeszcze nim przyjechali.... Powiadam ci, strzeż się, jest cudownie piękną i wystylizowaną doskonale....

— Ja nie lubię kobiet zbyt pięknych....

— Umie ona i potrafi być taką jaką zechcesz... a odgadnie nawet myśl twoją....

W tej chwili siedząca przy fortepianie z gospodynią; domu Muza spojrzała tylko i odgadła co Symon mówił... zdało jej się że słyszy rady Mentora, nie mogła dopuścić aby ją z uroku odzierał i zawołała sama ojca Symona.

— A! mam do pana prośbę, rzekła żywo, jak to dobrze żeśmy się spotkali....

— Do mnie? spytał zdziwiony stary.

— Ale tak... prośbę bardzo nieśmiałą, rzekła Muza, moja mama tak jest rozkochaną w panu i w jego niezrównanym dowcipie, tak stęsknioną za nim... a pan nigdy nie raczysz nas odwiedzić nawet....

Sądziła trochę za gorąco że go weźmie na to grube kądziło, ale ojciec Symon się skłonił, uśmiechnął, coś pomruczał i odszedł żywo.

— Palnęła mi w nos trybularzem, rzekł do Jakóba, ręczę że na twój rachunek, czuła żem o niej mówił. Azatem, dodam ci tylko jedno, kochany Jakóbie... to Syrena, uszy pozatykaj bawełną, oczy zamknij i — w nogi... to jedyny sposób.

— Nie ma dla mnie Syren i czarownic! rzekł Jakób wzdychając.

Symon popatrzał nań długo i znowu ścisnął mu dłoń milcząco.

— A! rzekł, to trwa!

I odszedł. Nie wypadło Jakóba wabić jej samej, więc z ręcznie Muza nastawiła na to Tildę, udając ciekawą. Jakób przyszedł posłuszny, sparł się na fortepianie, rozmowa poczęła się żywa, ale niestety tą marmurowa lalka gasła przy bladej,

smutnej ukochanej twarzycze, biednej męczennicy. Muza czuła że nie czyni wrażenia, nie chciała się wyczerpywać na próżno, wstała by odejść, odchodząc tylko odezwała się z prośbą aby Jakób kiedy je odwiedził. Uczyniła to obojętnie, zimno, wskazując mu bliski dom w którym mieszkali.

— Nadaremnie ty mi się srożysz! rzekła w duchu, wezmę cię ja, zimny człowiecze! i musisz być moim... a o tę chwilę upokorzenia porachujemy się później.

Skromnie, cicho, bojaźliwie się prawie wysunęła. Tilda przeprowadziła ją i wróciwszy poczęła głosić jej pochwały, ale te echa nie znalazły.

— A pan, spytała Jakóba, jak ją znajdujesz?

— Cudownie piękną, rzekł Jakób, ale niestety odstręczającą i niemiłą.

Wszyscy zakrzyknęli.

— Nie znam kobiety, któraby na umie robiła wrażenie sztuczniejszej istoty, a kobieta, dodał, jako ideał musi być samą prawdą i szczerością. Symon przyklasnął.

— To ślicznieś rzekł, ale mało ci się kobiet podoba.

Tilda zamyśliła się.

Gdy w salonie tak rozmawiają, mąż jej, pan Henryk jako gospodarz kilka kroków dalej jeszcze odprowadził Muzę; z oczów jego rozplamionych znać było że mu się ta perła lepiej jeszcze podobała niż Signora Gigante. Ale Muza potrzebowała gwałtownie iść za mąż i choć jej się też pan Henryk bardzo podobał, choć sympatyzowały z sobą dwa duchy, dwie dusze dla siebie stworzone, nie mogła się kompromitować z człowiekiem żonatym. Henryk pożegnał ją u furtki takim wejrzeniem znaczącym, że prawie jej ono za obojętność Jakóba zapłaciło.

Matka oczekiwała na nią w progu, ale po twarzycze zamyślanej, poważnej, odgadła niepowodzenie.

— No cóż? spytała, zastałaś go?

— Zastałam.

— I jakże?

— Ale, moja mamo, preludja zawsze, jak sama mama mówi, są nudne. Odegrałam mu Schumanna fantazyą, prześlicznie, byłam natchnioną, starałam się być ponętną i obojętną razem, zaczęłam wzrokiem badawczym, ni nadto chłodno, ni nazbyt gorąco, z wyrachowaniem największym starałam się go osnuć... usidlić....

— Ale jakże ci się zdaje, będzie to skutecznem?

— Wie mama co, otóż mi się zdaje że z tego

nic nie będzie.... Tam u niego w sercu już coś jest... ja to czuję....

— Ależ... ty mała moja czarodziejko, czyżbyś nie potrafiła wyrugować z tego serca... to co je zajęło... ?

— Spróbujemy, mówiła Muza rzucając kapelusik na kanapę i przypatrując się sobie w zwierciadle — Tego człowieka żadnym wdziękiem nikt nie weźmie, tylko sercem... a serce odegrywać!... o! to najtrudniej....

Westchnęła powtarzając. — Spróbujemy!

— To tylko źle, łamiąc ręce dodała matka, że ty, ty od razu zdajesz się wątpić.

— O! jeśli zechcę, potrafię go pochwycić... ale będę się musiała skompromitować. Nie w ten sposób jak mama z rana mówiła — dodała chłodno — ale w oczach ludzi, afiszując się. — Toby go może związało....

— Ale nie... nie.... Zresztą" moja mamó, to tak jak hrabia Alfred powiada o polowaniu; nigdy z góry planów osnuwać nie potrzeba, wśród samej walki plan się rozwinie... zobaczymy.... Powiem też mamci, dla rozrywki co innego.... Henryk jest we mnie zakochany... szaleje....

— Jaki Henryk?

— Przecież... sąsiad nasz... Segel...

— On! Cóż to znowu! śmiały!

— Mówie mamie! postrzegam to oddawna... jest aż śmieszny... bo co on sobie myśli? Teraz odprowadzając mnie do furtki tak ścisnął rękę moją, tak się patrzył... tak wzdychał....

— Do czegoż się to zdało! żonaty!

— Tak! żonaty... ale Tilda... Tilda bardzo kaszle.... Mówią że z piersiami jej źle, wcaleźle.... Nie ma jeszcze lat 25... w tym wieku, suchoty.... Broń Boże nieszczęścia...

— W istocie, cichuteńko szepnęła matka, ty jesteś genialna i przewidująca!!... Jeśli go można trzymać w odwodzie... zapewne.... Wolałabym wszakże Jakóba.... Tacy ludzie jak Henryk nie kochają się... to co innego jest.... Wiesz że on co rok prawie ma inną kochankę w teatrze.

— A! moja mamó! to są zwykłe fantazyje męskie, odpowiedziała panna spokojnie.

— Lepiej się trzymaj Jakóba... to coś okropnego być zmuszoną na grób rachować....

— Zrobię co tylko będzie w mej mocy, odpowiedziała Muza, mnie tak żal by było Tildy! Ale jej z oczów śmierć patrzy....

— Cichoż, przerwała matka, myśl lepiej o Jakóbie.

— Zrobię co tylko będzie możebne, ale doprawdy, za skutek ręczyć nie mogę.

— Emusiu, bylebyś ty chciała, to ja ręczę.

— Zobaczymy! szepnęła córka rzucając się na sofę zamyślona, co do mnie wolałabym Henryka...

Matka w milczeniu ruszyła ramionami.

* * *

Jeszcze tegoż samego wieczora, Jakób w interesie przyjaciela Iwasia, musiał pójść wyszukać któregoś z jego towarzyszków dawnych uniwersyteckich, człowieka który przeważną grał rolę pomiędzy rówieśnikami swymi, chociaż na oko bardzo podrzędne zajmował stanowisko. Zyskał on był sobie wziętość i uznanie niepospolitemi darami umysłu i szlachetnym charakterem. Niesłychanie czynny, energiczny, a nadewszystko umiejący objąć i wypowiedzieć każdą stronę, tej sprawy narodowej, która wówczas najgoręcej obchodziła wszystkich,

był on jeśli nie wybranym wodzem stronnictwa jednego, to czynnym we wszystkich działaczem, i każde z nich niemal na niego rachowało. Stanowczo wszakże nikt oznaczyć nie umiał czy Kruder (było to jego nazwisko), należał do rewolucjonistów gorących, do . legalistów i konserwatystów, czy był biały czy czerwony, za ruchem czy przeciwko ruchowi.

Z ludźmi zapaleńszymi mówiąc dorównywał im prawie zapałem, z chłodnymi będąc, prawie się zdawał jak oni chłodnym, rozsądnych prześcigał rozsądkiem; zarówno niemal zaspokoić i pozyskać umiając każdego, choć po ścisłym obrachunku nikt z pewnością powiedzieć nie mógł, czy go z sobą pociągnie, czy przeciw sobie mieć będzie.

— A jednak był to znakomity ze wszech względów człowiek, łatwo umiejący się do ludzi i pojęć różnych zastosować; pełen talentów, ożywiony, czynny, niezmordowany. Zdaje się że myślą jego tajemną było utrzymać się w pośrodku aby doczekać chwili w którejby nie zmarnowała się praca jego, nie zużył nadaremnie talent; w duszy ambitny ale uczciwy oszczędzał siebie do czasu, badał ludzi, chcąc całą swą siłę na wielkie stanowcze wystąpienie zachować. Tymczasem trzymał się na przesmyku robót politycznych z nabitą bronią i czekał.

Nie bardzo widocznym będąc dla niewtajemniczonych w roboty, u ludzi ruchu i u tych co ruch zatamować pragnęli równe posiadał zaufanie, jedne obudzał nadzieje, oba stronnictwa równie go ciągnęły, w obu obozach miał przyjaciół wielu — ale dotąd nie przechylił się widocznie na żadną stronę.

Tak zwani czerwoni mieli mu za złe jego wahanie się, ale przecież dłoń skwapliwie mu podawali, na rozsądniejszą młodzież wpływ miał wielki. Rozległe stosunki dawały mu możność wiedzenia dokładnego o wszystkim co się działo wkoło, często działania samemu to w jednym to w drugim kierunku, ale z nadzwyczajną ostrożnością, aby się żadnym krokiem nie związać.

W chwili gdy do niego Jakób przybył, Kruder zajmował jeszcze mniej oznaczone niż później stanowisko, skupiał około siebie młodzież, wpływ swój na nią starał się wzmocnić; hamował nieco zapędy, ale nie wyrażał się nigdy jasno i stanowczo, co w przyszłości uważał za konieczne i zbawienne.

Kruder mieszkał w zakątku, zapewne dla nieściągania na siebie oczów i podejrzeń — do dziesiątej rano ledwie bywał w domu. przez resztę dnia już go nikt nie zastał, wychodził do bióra, potem do późna był w mieście. Gdy się z kim widzieć potrzebował naznaczał mu schadzkę w cukierni, kawiarni lub najczęściej w cudzym domu.

Jakób też musiał go szukać u jednego ze swych współwyznawców, młodego izraelity Bartolda, zwanego poufale Małym. Bartold był właścicielem handlu żelaznego i fabryki, miał dom otwarty i nikogo nie dziwiło że u siebie wiele osób w różnych dnia godzinach musiał przyjmować.

Znakomicie wykształcony lecz niezepsuty, młody Bartold należał do dawnych i najmilszych Jakóbowi przyjaciół. Mało różniły się ich usposobienia, charaktery i przekonania, tem głównie iż Bartold był chłodniejszy, nie miał wcale

religijnych skrupułów i wiarę swą utraciwszy, zachował z niej jednak moralność rozumowaną, popartą wrodzoną mu szlachetnością charakteru. Nieco starszy od Jakóba, doświadczeńszy od niego, jak on nie przestał być jawnie życiem, chlubił się swem pochodzeniem i mawiał:

— Jeśli arystokracji europejskiej wolno się wywodzić od krucyat i chlubić kilkuset latami starożytnego rodu... pozwólcie że i ja też pochwalić się mogę kilku tysiącami lat przodków moich, pochodzę bowiem z pokolenia Levi... a to mi stanie za herb i pargaminy średniowieczne. Moi przodkowie stali u arki przymierza w świątyni Salomona, excusez du peu.... I ja jestem arystokratą.

Miał w tem najzupełniejszą słuszość. Bartold zmuszony będąc, teraz szczególnie, gdy ruch umysłów i stan kraju wszystkich do czynności jakiejś pędziły — przyjmować osób mnóstwo; miał na to wyznaczonych parę pokojów na dole w domu swoim, którego górne piętro zajmowała żona jego i dzieci.

Ofiarowywał też często to neutralne miejsce dla narad swoim znajomym, zmuszonym szukać gdzieś bezpiecznego kąta; sam zaś gorący w nich brał udział, bo w duszy czuł się Polakiem i obywatelem kraju, równo jak się czuł Izraelitą. On i jego młoda żona, nie czyniąc popisów z patryotyzmu, mieli go w sercu istotnie, nie chlubili się nim, ale się go nie zapierali.

Bartold był mężczyzną około lat trzydziestu, zdrów, czerstwy, barczysty, z oczów mu bił jasny rozsądek, z czoła uczciwy spokój człowieka, który idzie drogą prawą i czuje że spełnia obowiązki. Wesół, swobodny, Bartold bywał czasem aż do zbytku żartobliwy, ale to udane szyderstwo kryło w nim duszę czułą i wrażliwą, która się tylko nazbyt ze swą słabością wydawać nie chciała,.. Na widok Jakóba, o którego powrocie jeszcze nie wiedział, Bartold z okrzykiem wybiegł ku niemu.

— Nigdy, zawołał ściskając go, bardziej nam w porę przybyć nie mogłeś... bądźże pozdrowiony! Jak się masz? Spojrz na mnie całemi oczyma... niech się w ciebie wpatrzę, czy dosyć silny nam przyjeżdżasz... do roboty..

Oprocz Bartolda i Krudera, był jeszcze jeden młody człowiek, do najgorętszych należący, wszyscy Jakóbowi znani po troszę i witający go z radością.

— Zkądże? zapytał gospodarz.

— Z Jerozolimy... przez Włochy!!

— Nie pytam co słyhać w Jeruzalem, ale cóż Włochy?

— Włochy wychodzą na coraz porządniejsze państwo... strzelają powoli do garybaldczyków....

— A! co pleciesz!

— Przekonacie się sami.

— Nie uwierzę by nie mając jeszcze Wenecyi wyjść już mogły na zachowawcze, rzekł Kruder, później nie mówię, bardzo być może.

— I bez Wenecyi już konserwatyzm przemaga, tymczasowo Neapol, Romania, Umbrya. Toskania zaspokoily głód....

— Myślicie że się tam nic nie ruszy? zapytał uśmiechając się zapalony chłopak.

— Jestem tego pewny....

Młodzieniec szydersko śmiał się i ruszał ramionami.

— A Garibaldi? zapytał. — Powoli wychodzi też na porządnego gospodarza, zaokrąglą się na Caprerze, kupuje grunta, sieje coraz więcej pszenicy, poczciwy stary... i widocznie sięga po emeryturę, która mu się należy. Wszyscy zamilkli.

— Widzę żeś i ty powrócił konserwatystą, przerwał Bartold, gdy my tu właśnie diabie zaczynamy być rewolucyjni....

— Dla kuracyi wysłałbym was na wędrowkę po Europie.

— Ale, dodał widząc że Kruder bierze za kapelusz, ja do pana przychodzę, za wami gonię....

— A! za mną? spytał wpatrując się w niego pierwszy.

— Tak jest, mamy kilka słów do pomówienia.

— Jeśli to nie rzecz osobista, mów otwarcie i głośno, jesteśmy między swymi, rzekł Kruder.

— Więc dobrze, znacie Iwasia?...

— Iwasia! doskonale, niegdyś to mój towarzysz uniwersytecki z Kijowa, dobrzem go znał... ale

uszedł zagranicę.... Cóż się z nim stało ? gdzieście się z nim spotkali?

— Wypadkiem, we Włoszech na drodze. Biedne poczciwe chłopię rady sobie dać nie mogło, tułał się, szukał chleba, znalazł gorzej niż głód, bo tę zimną obojętność którą zarazona jest cała Europa, zwątpił, upadł na ducha.... Poznałem go bliżej w drodze... byliśmy długo razem. Zapalony i zrozpaczony Iwaś zatęsknił gwałtownie za krajem, i koniecznie zapragnął doń powrócić. Napróżnom się starał go niebezpieczeństwem odstraszyć, niepodobno było myśl tę wybić mu z głowy....

— Cóż zrobił?

— A! zrobił co chciał, uparł się i powrócił.

— Dokąd? gdzie jest? zapytał przestraszony Kruder.

— Przedemną jeszcze przebył granicę za fałszywym podobno pasportem, ale też w ślad za nim wysłano wiadomość o nim i jego pasporcie... szczęściem że nie pochwycono go... czasowo potrafiłem ukryć na wsi, o ile sędzę, bezpiecznie. Ale Iwaś z równą gwałtownością jak się napierał do kraju, wyrывa się do Warszawy.... Jak sądzicie, czy nie ma dlań niebezpieczeństwa?

Kruder się zamyślił długo.

— Wątpię żeby go po kilku leciech niebytności poznać miano, rzekł powoli, niewielu też osobom był bliżej znanym... w Warszawie łatwoby go teraz, mimo czujności policyi, ukryć było można. Ale należałoby żeby wziął jakikolwiek pasport od wójta gminy, i żeby się trochę zmienił na twarzy.

— Mógłby nam tu teraz być bardzo użytecznym, wtrącił młody człowiek, niech przybywa, my go weźmiemy i ukryjem. Ja już słyszałem o nim.... Młot mi powiadał... On jest z zabranego kraju i tam go zapewne wysłać wypadnie. Bardzo nam to na rękę... dawajcie go....

— Z jakimiż usposobieniami przybywa, spytał Kruder, bo my tu, jak pan widzisz ze słów Bartolda i jakieś się sam mógł przekonać, ogniem tchniemy....

— No, i jemu też na ogniu nie zbywa, odparł Jakób, ale to zły ogień mojem zdaniem, to płomień rozpaczy... to prąd co pcha do nierozważnego czynu.....

— Tak! podchwycił blady młody człowiek, tak! a panowie byście wszystko chcieli oprzeć na rachubie, na rozwadze, my na szaleństwie! Heroizm nie jest czem innym jak szałem i szałem tylko można zwyciężyć.

— Nie jestem ja tak bezwzględnie obrońcą chłodnego rozumu, powoli odparł Jakób, przynajmniej nie tak jakbyś pan mógł sądzić ze słów moich. Rozum tak dobrze myli jak szal zawodzi... ale

ani jednym rozumem, ani ostatecznym szałem w rzeczach obchodzących losy kraju powodować się nie godzi. Chybia kto idzie za samym rozumem i kto na sam szal się spuszcza.

— A więc coś pośredniego, jakieś mixtum szalu i rozumu!! rozśmiał się szydersko młody człowiek.

— Zgadłeś pan, odpowiedział Jakób, tą mieszaniną jest właśnie natchnienie... instynkt narodowy....

— Wybornie, ależ instynkt narodu chce rewolucyi i czuje w niej zbawienie.

— Mylisz się pan, o ile ja o kraju z tego co widzę i słyszę sądzić mogę, przerwał Jakób, jest agitacya rewolucyjna, ale w głębi ducha jest przeczucie rozpaczliwości tego kroku i klęsk jakie sprowadzi.

— A! tak pan sądzi!! uśmiechnął się młody człowiek, no — to żegnam pana!

Wymówił te wyrazy zapalczywie, groźnie, Jakób go za rękę pochwycił.

— Wilku, zawołał Kruder, nie odchódź w gniewie... stój! zaklinam!

— Przepraszam pana, dodał poważnie Jakób, dwa słowa jeszcze. Ja tak sądzę jakem powiedział — ale muszę dorzucić, że gdy naród cały wstanie do śmiertelnej walki... ja z nim pójdę na bój i śmierć.... Na to, damę panu słowo uczciwego człowieka.

Wilk popatrział mu w oczy gorąco.

— No, to nie żegnam pana, rzekł rzucając czapkę, mówmy.

— Mówmy otwarcie.

— Siadajcie, zawołał gospodarz, dadzą herbatę, i ty Kruder nie masz się czego spieszyć.

— Ale mam być jeszcze w dziesięciu miejscach.

— No, to natomiast będziesz w pięciu tylko. Kruder liczył coś na zegarku.

— Otóż masz... posiedzenie u hrabiego! Sesya Towarzystwa, konferencya u pana Tomasza w sprawie uniwersytetu, pomocy naukowej, wydawnictwa ksiąg ludu.

— Jesteś prawda uniwersalnym człowiekiem, rzekł Bartold, ale gdybym był tobą połowę bym tych narad z karku zrzucił. To są czcze gadaniny, popisy retoryczne, walki miłości własnych lub niezręcznie stawiane wezykatorye na odciążenie zapalenia patryotycznego. Ty chcesz wszystkiem kierować, a koniec końcem, ani się opatrzysz jak z siebie zrobią narzędzie, które się powoli stępi.

Kruder kiwnął głową jakby mówił:

— Jeszcze nie! Ale poczuł że była w tych wyrazach prawda. Po chwilce rozmowy obojętnej, on i Wilk wyszli razem, wprzód się jednak umówiwszy gdzie Iwaś miał znaleźć schronienie w Warszawie, do kogo miał się udać przybywszy. Wilk ofiarował się to wszystko urządzić i ręczył za to że nikt Iwasia nie zaczepi.

Kruder z Wilkiem poszli razem i nie tracąc czasu, wzajemnie się usiłowali nawrócić, o ile się to im powiodło nie wiem, to pewna że w końcu Kruder na zasadę rewolucyi się zgodził, ale możliwość jej zostawiał do chłodniejszego sądu i na odległe terminu.

Bartold i Jakób po ich odejściu zostawszy sami, uścisnęli się naprzód serdecznie. Nie mieli dla siebie tajemnic i byli z sobą jak rodzeni bracia. Jakób znowu, po raz już nie wiem który, usłyszał zadane sobie pytanie.

— Z czem powracasz? I znowu odpowiedział na nie z głębi serca snując marzenia o odrodzeniu religijnem.

Bartold słuchał go z zajęciem, ze współczuciem, ale smutnie. — Żal mi cię, rzekł, gdy skończył — wiek głębokich przekonań religijnych minął, epoka nasza jest przeważnie racjonalną, zewsząd walą się te kryształowe gmachy średniowiecznej budowy, w których skrzydlate mieszkały Cheruby, nawracać dziś na jakąkolwiek wiarę jest szaleństwem, wywracać tylko można. Na budowanie czas jeszcze nie przyszedł, trzeba podobno żeby się wszystko wprzód obaliło, żeby nowi barbarzyńcy zalali Europę, zgasili światło, przemienili kościoły w bałwochwalnie i popiołem posiali pola wycieńczone.

— Ja też nowego gmachu wznosić nie myślę, rzekł Jakób — a gdy mówię w imię prawa Mojżeszowego odzywam się w myśl i duchu wieku. Dla mnie są dwie rzeczy oddzielne, duch praica Mojżeszowego i tradycje narodowe izraelskie, pierwsze uważam za rzecz przepotęzną, nieobaloną, bo i chrześcijaństwo zasad tych nie naruszyło choć je rozszerzyło — drugie za rzecz serca, miłości, obowiązku pobożnego dla pamięci, bądź co bądź, wielkiego narodu.

Posłuchaj mnie. Rozwagałeś kiedy głębiej to prawo Mojżeszowe, te księgi zakonu?

Co króluje w nich? oto idea prawa. Sam Bóg Izraela był uosobionem, prawem niezmiennem. Godzę się zupełnie z tymi co widzą w pierwsiastkowej doktrynie Mojżesza główną ideę prawa niezłomnego tylko, nadanego światu i człowiekowi.

Nieprześlągane jest to jego prawo; sam Bóg raz je nadawszy, zmienić go już nie może. W tej nauce nie ma cudów, nie ma łaski, nie ma miłosierdzia a pokuta jest w samym już grzechu i od niej nic uwolnić nie może. Każdy czyn przez naturę swoją prowadzi za sobą karę lub nagrodę, w nim samym jest nasienie przyszłych jego skutków dla duszy gdy z niej wychodzi, dla ciała gdy ono w nim uczestniczy.

Oto najprostsza treść księgi prawa pierwotnego. W niem żyje tysiącami lat wyprzedzające filozofią, prawa późniejszą, nowe teorye — pojęcie istnienia

bezwzględnego prawa. Człowiek prawo odkrywa ale nie tworzy. Jako Jehowah jest tym który jest, nie mogącym się zmienić nigdy, tak prawo jego jest nienaruszone. Otóż cała nasza wiara wedle ksiąg Mojżeszowych. Zdaje mi się że nic innego nie podaje nam i dzisiejsza filozofia. Wszystko w co dogmat jednobóstwa przyodziewa, aby go uchować, Mojżesz; w co uzbraja swój naród, aby dając mu posłannictwo wielkie głoszenia jednego Boga i jednego prawa, nie dał mu się mieszać z poganami i zatracić wiary; wszystko co ma Izraela oddzielając czystym uchować, zapobiedz jego mieszanii się z pogany — stanowi okładzinę tej wiary naszej, szatę zewnętrzną, która dziś gdy nasza wiara i posłannictwo stały się niemal całego świata własnością, może być już mniejszej wagi. Ale dla nas jest to droga spuścizna, jest to pamiątka z lat tysięcy. Jakże nie spełnić obrzędu który nas z praojcami łączy i do nich przybliży, przypomina ojczyznę i czasy szczęśliwsze? Cóż że się komu wyda śmiesznością i zabobonem praktyka moja. gdy ona mi z oczów łzy wyciska?

Patrzę z pobłażaniem na tych co się uwalniają od ciężkich często wiary obowiązków, ale ze smutkiem razem. Tracąc cechy narodowości naszej zlewamy się dobrowolnie z tą masą kosmopolityczną, bez przekonań, wiary, charakteru, ojczyzny; dla której ubi bene, ibi patrio" dla której grosz jest Bogiem, interes bodźcem, cnota rachubą, a występki głupotą.

Wierz mi, dodał z zapałem Jakób, pozostajmy sobą; oczyścimy tę wiarę naszą z tego co w niej wieki niewiadomości i ciemnoty napruszyły, ale zachowajmy jej treść, wynieśmy z ruin arkę przymierza. Jesteśmy pierwszym narodem co uczuł Boga jedyne; mamy się czem pochlubić; w dziejach ludzkości starczy to jedno byśmy w nich przeważnie zajęli stanowisko. Czemże są inne zdobycze narodów przy tej naszej? Kto nam zrówna?

Mówił a nie postrzegł Jakób że prawie od chwili gdy poczynął, z cicha się zbliżył ode drzwi wewnętrznych mężczyzna stary, siwy, w dawnym ubiorze żydowskim. Suchy, schylony, blady był i wyżółkły. Miał na sobie czarny żupan obcisły lamowany axamitem i na aftki spięty, pas na biodrach czarny i aksamitną, czapeczkę na głowie. Twarz mimo późnej starości wyrażała umysł żywy i nie uśpiony.

Był to ojciec Bartolda, stary Aron, który się nigdy prawie nie ukazywał u syna, a bawił lat kilkanaście czytaniem talmudu. Tym razem wszedł do syna korzystając z chwili w której, zdawało mu się że Bartold sam być musiał, a wypadek, traf uczynił go mimowolnym słuchaczem natchnionego Jakóba.

Ostatnich słów domawiał on, gdy Aron który pierwszy raz widział go w życiu, z lekka uderzył po ramieniu:

— Niewiem kto ty jest, rzekł, ale mówię do ciebie jako do syna Izraela, niech błogosławieństwo patryarchów będzie z tobą. Lepsze jest to coś ty mówił, niż to co oni dzisiaj mówią, ale i to coś rzekł nie jest dobre. Chcecie odrzucić z prawa choćby jedną pruszynekę? azali wiecie co jest ziarnem, a co plewą i co prochem? azali wiecie czy ten proch nie jest ojców waszych popiołem? Kto z was przeniknął znaczenie obrzędów i może osądzić że w tej łupinie owocu nie ma?

A rzuciwszy skarb o ziemię jak powrócić do miejsca, kędy go wielbłądowie nogami stratowali i w błoto wmiesili?

Jakób milczał zdziwiony trochę tem zjawiskiem niezwykajnym, tem bardziej że starzec wyrażał się nie łamanym językiem ale czystą trochę staroświecką polszczyzną, co w ludziach jego wieku i przekonani byłoby rzeczą nadzwyczaj rzadką. — To mój ojciec, rzekł z cicha Bartold.

Stary nie spytał nawet o imię nieznanego, ani go obchodziło z kim mówił.

— Błędzisz, dodał, ale błąd twój popełniony w dobrej wierze, przebaczone ci być może. Co ty chcesz odrzucać? Talmud? a czytałeś ty talmud cały i myślałeś ty w ciszy nocy długo, nad tą księgą figur i tajemnic?

— Nie będę się z wami o nie spierał, zawołał Jakób, jedno mi tylko pozwolicie sobie powiedzieć. Talmud, może w celu aby naród izraelski od pogaństwa uchronić, jest nietolerującym... a w dzisiejszym wieku nietolerancya...

— Któż ci to powiedział? spytał stary uśmiechając się — ci w nim znajdują nietolerancya, którzy jej tam sercem nietolerującym szukają. Słuchajże co powiedziano w księdze Nabboth:

"Sprawiedliwość nie jest dziedzictwem wyłącznym niczyjem, nie należy ona do żadnego rodu. Tylko duchowni kapłanami być mogą, tylko lewici są lewitami — ktoby kapłanem lub lewitą chciał zostać (nie pochodząc z ich rodu) — nie może tego dokazać, ale wszyscy co chcą sprawiedliwymi być mogą — nawet poganie."

Takich miejsc, dodał, znajdziesz w Talmudzie bardzo wiele. Patrz co stoi w Talmud Sanhedrin (105. a.) jaką odpowiedź dał Rabbi Josua tym co psalm, dziewiąty wykładali fałszywie, gdzie napisano:

"Niech się grzesznicy obrócą do piekła, wszyscy narodowie którzy zapominają Boga. "

Josua powiada: "Źle tłumaczycie mówiąc że wszyscy narodowie obróceni będą do piekła, ale ci tylko co zapominają Boga; ci którzy Boga znają a prawo jego szanują, choćby poganami byli, część należną nagrody otrzymają."

Stary byłby mówił jeszcze, gdyby szmer u drzwi go nie powstrzymał, nie lubił on narzucić się synowi ze swą żydowską postacią, zwłaszcza gdy do niego obcy przychodzili; obejrzał się niespokojny. Szczęściem był to dobrze mu znany Mann, który przez jakąś osobliwszą łaskę czy dla interesu wpadł niespodzianie do Bartolda.

— No! patrzcie! rzekł naprzód witając starego, już Jakób tu jest. A! zważał swój swego! Zeszli się Talmudyści.

— A tyś to nie Talmudysta! przewrotniku! rzekł stary uśmiechając się, nie chodzisz to do szkoły? nie odprawiasz Szabbasu? he?

— No, no! jednakże nie tak zapalczywy jak wy oba.

— Tak, tak i dla pięknych Madyanitek coś jesteś gotów z prawa ustąpić, dodał staruszek śmiejąc się. No — ale dość, jam tu już wam niepotrzebny, chowam się do mojej nory, rzekł zwracając się do Jakóba.

— Jak kiedy zechcesz odwiedź mnie.... Jakób się skłonił z poszanowaniem. Bartold ojca przeprowadził do drzwi i zjawisko to znikło.

Istotnie mogło się ono nazwać zjawiskiem, bo mało kto wiedział o starym Aronie, a mniej go jeszcze kto widywał, siedział zamknięty w swej izdebce na czytaniu, a księgi, nietylko hebrajskie, były jego jedynym zajęciem. Poważano go też dla nauki, która miała to w sobie szczególnego iż była łagodną i pobłażającą, co się rzadko religijnym a podeszłym w wieku ludziom zdarza. Aron sam przywiązany do prawa ściśle, nawet do drobnostek, nadto napatrzył się świata, by po drugich wymagać ściślej jego obserwancyi.

Mann padł na kanapę, zapalił cygaro, założył nogę pod siebie, rozrzucił się wygodnie tak że zajął całe siedzenie, zapewne aby się kto przy nim usiąść nie ważył, i rzekł do Bartolda:

— No — cóż? ty spiskujesz?

— Ja? spytał gospodarz, dla czego?

— O! o! u ciebie się tu schodzą....

— Mam tylu znajomych.

— No — nie bałamuć — co słyhać?

— Gorąco, rzekł Bartold, nic więcej.

— A z tego upału będzie burza czy nie? jak ci się zda?

— Sądziłbym że to się może tak rozejdzie.

— A ja — nie, odparł Mann, rząd od początku baczna na to zwraca uwagę, sprzykrzyło mu się czuwać; napędzi sam do wybuchu i krwią pożar zagasi.

— Wszystko jest możliwe, odezwał się Bartold.

— No, a nam o sobie myśleć potrzeba, dodał Mann. Są tam nasi między gorączkowymi?

— Znajdzie się ich dosyć.

Mann dumał. — To dobrze, rzekł, niech i tak będzie, na ten raz potrzeba i nam należeć, odstać nie można. Głupstwo, będą ofiary, ale oni mogą przepaść, my nie. My swoich wyratujemy, a w tych co padną będziemy mieli najlepszych patronów.... Kraj bądź co bądź, będzie naszym.... Co WPan na to panie Jakóbie?

— Ja się pytam gdzie my? rzekł Jakób.

— Nie rozumiem, ofuknął Mann.

— Nie widzę nas, rzekł młody człowiek, przed stu laty my byliśmy spójną całością, dziś... nie ma nas prawie.... Z obozu naszego codzień ktoś ucieka, jedni przyjmują obcą wiarę, drudzy się swojej wstydzą i kryją z nią, inni żadnej nie mają. Z tych których kraj żydami nazywa, część neofitów, część ateuszów, szarpiemy się, walczym, rozbijamy.

— Nie bój się, rzekł Mann, człeku małego serca, w chwili niebezpieczeństwa potrafimy się znaleźć.... Ty widzę doprawdy chorujesz na żyda?

— Choroba nieuleczona, rzekł Jakób, jest we krwi ...

— No, widzisz, obracając rzecz w śmiech, bo jej poważnie długo nie mógł utrzymać Mann, żyda udajesz a prawo łamiesz? czemu się nie żenisz?

Jakób ramionami ruszył.

— Widziałeś tę piękną. Mużę?

— Wszak ci to nię Izraelitka? spytał Jakób.

— Niewiadomo, odpowiedział Mann, jak się z nią zechce ożenić Izraelita a bogaty... będzie ona czem wypadnie. Mnie się zdaje że to dla niej i dla matki wszystko jedno ...

— O kim mowa? spytał Bartold.

— A! przecież znasz Mużę! musisz ją znać choć oddawna jesteś żonaty. Śliczna to panna niebezpieczna... Mówię o... Wtorkowskiej... — A, rzekł Bartold, widziałem ją na koncercie dla ubogich... wydała mi się — straszną!

— Co? straszna? spytał Mann śmiejąc się, bałbyś się jej ?

— Uciekłbym od niej, bo podobnych kobiet nie lubię.

— Zgadzam się zupełnie z wami, dodał Jakób.

— Szkoda mi jej! zdaje mi się że ma na was parol zagięty...

— Przegrała!

— No! nie ręczcie jeszcze... kobiety umieją wiele, a tyś mężczyzna i miody.

— Właśnie to mnie zabezpiecza żem młodszy, odezwał się Jakób uśmiechając. Wy, panowie starsi, daleko jesteście mniej od nas. wybredni... a — daruj panie

— może rozpustniejsi...

— O! co za filozof! patrzajcie! napuszając się rzekł Mann, wziął za kapelusz i mrużąc wyszedł urażony, prawie nie pożegnawszy Jakóba.

* * *

W kilka tygodni po przybyciu Jakób przechodząc ulicą, zdziwiony został niepomału spotkaniem włoszki Signory Colomi, którą był poznał w Genui. Wprawdzie zapowiadała ona swe przybycie do Warszawy, mówiła nawet o możebnej dalszej podróży w głąb Rosyi... ale zdawało mu się że z nią, postrzegł także nieodstępного przyjaciela jej Gromowa. Wiedział dobrze iż dla niego powrót do kraju był wzbroniony, uchodził bowiem za przyjaciela i współpracownika Herzenowskiego, uderzyło go iż mógł w tej chwili ważyć się na przybycie, domyślając naturalnie iż tego bez ważnych bardzo nie uczynił powodów. Miłość dla pięknej Włoszki nie mogła się liczyć do nich, Rosyanin bowiem zdawał się wyziębły, zobojętniały a stosunek jego ze śpiewaczką nie był już tak świeży, aby go dla niej na śmierć i skutki pochwylenia mógł narazić. Inne więc zapewne przyczyny obojga przyjazd spowodowały. — Jakób w pierwszej chwili chciał się do nich przybliżyć, ale Włoszka która go niezawodnie poznała, przyspieszyła kroku, wraz z towarzyszem, jakby unikając spotkania i rozmowy. Jakób więc wstrzymał się nie chcąc narzucać im natrętnie. Zastanowiła go wszakże bytność Moskala w Warszawie, a więcej jeszcze to iż raz tu będąc, tak się pragnął ukryć przed znajomemi... Była w tem widocznie myśl jakaś, ale Jakób tyle naówczas spotykał co krok tajemnic i zagadek, iż się nawet nie kusił o rozwiązywanie wszystkich. Cóż wreszcie obchodzić mogła, ta para ludzi obcych, mająca tam jakieś swoje sprawy... może osobiste....

Colomi i Gromów znikli mu z oczów i prawie o nich zapomniał. — Sprawa Iwasia była ułożoną, posłano po niego, podjęto się jego losów w przyszłości,

mógł więc Jakób spokojnie złożywszy troskę tę, myśleć o tem co było głównym celem jego A życia... o swoim izraelskiem posłannictwie. Po 1 kilku dniach przekonał się już jakie go tu oczekiwały trudności, które umysły płytsze wcześniej były przewidziały, a jego głębszy odtrącał jeszcze szukając koniecznie w naturze ludzkiej sprężyn szlachetniejszych, które już nie działały wcale.

Badanie stanu kraju doprowadzało go tylko do tych pospolitych pewników, które ludzie pospolici od razu mu stawili, a w które on uwierzyć nie chciał. Pobożni Izraelici w istocie uważali go za nieczystego niedowiarka, ateusza, których liczba była przemagająca, o żadnej wierze słyszeć nie chcieli, bo bez niej było im najwygodniej; śmiali się i ruszali ramiony na wszelkie apostołowanie. Co więcej, ostrzy prawa zachowawcy, starzy żydzi łatwiej jakoś pobłażający byli dla zupełnych ateuszów i ich obojętności, niż dla zuchwałych idei reform. Z jednej i drugiej strony witano go dosyć niechętnie, odtrącano nawet widocznie. stał osamotniony i zdobywać musiał mozolnie wkupienie się w społeczność która zdawała się go lękać i unikać.

Gorzkie myśli opanowały Jakóba, potrzebował zebrać ducha, skupić siły i wedle swego zwyczaju, zamknął się samotnie nad starymi księgami które mu dawały ulgę w cierpieniu, począł znowu czytać to co już sto razy w smutkach i boleści powtarzał, księgi Hioba, treny Jeremiaszowe, wieszczby natchnione proroków, a potem osławiony ten talmud, na którego kartach mieściło się tyle tradycyi do każdej niemal epoki zastosować się dających.

Dnie całe spędzał tak zaparłszy drzwi swe, zapominając o ludziach, szukając w sobie siły któraby lody obojętności wieku roztopić mogła.

Nawracać bałwochwalców i cześć gorącą fałszywych bogów skierować ku prawdziwemu, jest stosunkowo łatwem; pali się płomień który tylko podsycić i na innym ołtarzu postawić należy — ale tę iskrę wydobyć z piersi zaskrzepłych! ale mówić o moralności tym co ją mieli i stracili! o wierze tym co wszystko w tyglu krytyki na żużel stopili!! Nikt się z Jakóbem nie sprzeczał, nikt nie walczył, uciekano się, odwracano. Niekiedy wymowa jego porywała, ale ceniono ją jako piękny ustęp retoryczny — nic więcej.

Zniemczeni żydzi byli Heglistami, zfrancuzieli wysoko cenili pozytywizm Contfa, admiirowali mniemaną logikę Proudhon'a; inni obchodząc się nawet bez wszelkiej filozofii, z pustką w głowie i z pustkami w sercu czuli się spokojni zupełnie. Na tem więc polu jałowem nawracanie było niemożliwe; — społeczność rozumiała jeszcze izraelstwo swe ze strony jego poetycznej, malowniczej, poklaskiwać mu w Żydówce, w muzyce Mendelsohna i Meyerbeera, w dowcipie Heinego i Borne, w milionach

i wszechmocności Rothschildów, wszędzie gdzie ślad był Izraela i dowód jego potęgi; ale były to tylko pochlebne wspomnienia jakiejś podruzgotanej przeszłości. Wielka większość dla europeizmu, dla francuzczyzny, dla tonu wypierała się wszystkiego swego i rumieniła wspomnieniem.

Na wielkim świecie przyjmowano Jakóba z tą, obawą dobrze wychowanych żydów — żeby żydostwa nie wspomniał, nie wprowadził w rozmowę, nie

objawił, jak się wyrażano, z właściwym sobie cynizmem. Wchodzącego do salonu witały oczy pomieszane, skłopotane twarze, błagające wejrzenia mówiące: A! zlituj się! milcz!

Z prawdziwymi starozakonnymi trudno mu też mówić było, ci uważali go za człowieka lekkiego, niedouczonego, zarozumiałego, za świętokradzcy wdzierającego się do świątyni, do której wchodzić nie miał prawa. Zbywano go pół słowami, odsyłano do ksiąg, a fanatyzm stawał przeciwko niemu z całą swą, drapieżnością najeżony i straszny.

Po długich dniach zamknięcia, myślenia, męczarni, Jakób postanowił szukać oparcia i poparcia w młodzieży i był zmuszonym jak inni reformatorowie do szlachetnych instynktów młodego wieku się obrócić, w nie ufał. Nieco pocieszony tą myślą, wychudły od bezsenności, pracy, bólu, zabierał się nareszcie znów wynijść na światło dzienne, gdy dnia jednego zapukano do drzwi jego.

Był to ten sam Wilk, młody, gorący chłopak którego widział u Bartolda. Odprowadziwszy go na stronę, rzekł śmiało.

— Poznałem w Was serce szlachetne, zdaje mi się, że wiem jego sposób myślenia, jesteś pan naszej pracy przeciwnym, ale przekonany też, że gdy kraj cały poda do niej dłonie, uchylić się od niej nie zechcesz. Przychodzę w imieniu towarzyszków moich do pana.

— Czegóż pan żądasz odemnie?

— Tylko słowa, że pan od pracy dla kraju swoich współwyznawców, na których wpływ wywierać możesz, odwracać nie będziesz, a gdy zajdą kroki stanowcze, nie cofniesz się.

— W dwóch słowach wypowiem panu postanowienie moje, rzekł Jakób. Nie jestem człowiekiem rewolucyi, nie wierzę w ich siłę. Najmocniej przekonany jestem, że wszelki gwałt zniszczenia tylko dokonać może, nigdy odrodzenia. i Ale gdy Polska, którą za moją i mych osiadłych tu współbraci ojczyznę uważam, zażąda krwi mojej, i to ją dla niej wytoczę. Wilk głowę skłonił.

— A więc rachujemy na Was.

— Ale nie na inicjatywę z mej strony, gdybym mógł powstrzymałbym was, zaklął... cóż! gdyście zaślepili.

Wilk się uśmiechnął.

Rozmowa przeszła na różne sprawy ogólnej dotyczące; uderzony tem jak agitacya, manifestacye i cały ów ruch ówczesny nieopatrznie, z dziecięcym w siebie zaufaniem posuwał się naprzód, Jakób uczynił kilka uwag; ale one były próżne, młody człowiek słuchając go albo się śmiał wprost lub nawet spierać się nie chciał, zapewniony że to co się działo, inaczej prowadzonym być nie mogło.... Jakób wpredce postrzegł się, że ani go pahamuje ani przekona; zamilkł.

W istocie we wszystkich robotach tej doby, panowało to święte, heroiczne zaślepienie młodzieży, która nie widziała czego widzieć nie chciała. Szpiegów

policyjnych używano za agentów, wśród ulic spiskowano głośno, do tego powszechnego sprzysiężenia należały dzieci, kobiety, lud; uniesienie było tak silne, tak ogólne że porywało z sobą najsprzeczniejsze żywioły i prądem niezwalczonym niosło. Wilk należał do tych ludzi olbrzymiej wiary i zaślepienia, którym nic oczów otworzyć nie mogło.

Po długiej ale nieskutecznej rozmowie, oba rozeszli się wreszcie nic nie sprawiwszy; Jakób myślał wychodzić na miasto, gdy służący przyniósł mu bardzo wykwintny bilecik pani Wtorkowskiej.

Pisany on był ręką córki za matkę, która w ortografii nie dosyć była biegłą., a brzmiał jak następuje:

"Bardzoby nam było miło widzieć szanownego Pana w domku naszym dziś wieczorem. Spodziewamy się kilku dobrych przyjaciół i trochę muzyki.

Benigna Wtorkowska. "

Odmówić nie było podobna, chociaż Jakób nie miał najmniejszej sympatii dla tego domu; na myśl mu też może przyszło, że tam może zobaczyć Tildę, za którą, tęsknił.

Przebywszy dzień cały niemal na obserwacjach ulicznych, na oddawaniu wizyt które udało się pozbywać biletami, powrócił do siebie i przebrany pojechał, dosyć smutno usposobiony, do domku w alejach.

Domek ten był zaprawdę arcydziełem tej smutnej sztuki, która istotną biedę na kłamany przepych i dostatek przerobić umie. Kłamała też tu rzecz każda, począwszy od liberyi służącego wygalonowanej a nie zapłaconej, aż do kwiatów na kredyt i na uśmiechy zabranych u Hozerów, aż do ciastek wychwyconych z cukierni, aż do fortepianu Pleyela, o którego zapłatę pp. Hermann i Grossmann, po dwa razy w tydzień przypominać się musieli, aż do sukni adamaszkowej samej pani i koronek panny na aksamitach odbijających prześlicznie, ale ciężących długiem.

Czego niepodobna było osłonić zbytkiem pozornym to umiano ukryć zręcznie, meble zużyte, różnemi powłokami poprzyrodziewane jako tako się jeszcze przedstawiały; zwierciadła sztukowane z kawałków złocista rzeźba oplatała gałęzmi winnej latorośli. Domek, zwłaszcza wieczorem, wyglądał bardzo ładnie, wesoło i świeżo. Z niezmiernym obrachunkiem wszystko tu było poustawiane i poukładane; w każdej książce niby przypadkiem rzuconej kryła się myśl jakaś tajemna; nuty te tylko były na wierzchu które mogły o talencie artystki dać jak najświetniejsze wyobrażenie; albumy mieściły fotografie samych znakomitości i świadczyły o stosunkach. Niby to jakoś samo się tak złożyło od niechcienia, a przecież ile to pracy, rachuby, rozmyśłów samą panią Wtorkowską i Mużę kosztowało!!

Jakób nie zbyt się spiesząc na wieczór, trochę się też przy późnił, zastał już świetne towarzystwo na kanapach, krzesłach, przy drzwiach, siedzące i stojące; ciasnotę, skwar i gwar. Trzeba było wystąpić z przywitaniem, gospodyni nadzwyczaj uprzejmie, Muza uśmiechem poufałym go przyjęła i pociągnęły w swoje kółko, wśród którego w białej sukni, z bukietem białych kamelii, siedziała

blada, martwa, prawie nie zważając na to co się w koło niej działo, Tilda. Poczula ona wnijscie Jakóba, podniosła oczy, uśmiechnęła mu się dziecinnie i nie kryjąc wcale radości, a potem znowu powróciła do swego lodowatego osłupienia. Henryk stał za krzesłem Muzy, która była tak wspaniale obnażoną pod pozorem uroczystej toalety, że wielbiciel wdzięków niewieścich, mógł się ich widokiem napaść do syta. Wspaniale też była piękną, majestatycznych kształtów, biała jak śnieg, a ogromne włosy zdawały się ciężyc jej pięknej głowie. W oczach błyskał rozżarzony dowcip, quaerens quem devoret. Aksamitna ciemno wiszniowa suknia okryta staremi (niezapłaconemi, koronkami, stroiła ją przepysznie. Na rękę miała grubą, bransoletę z jednym olbrzymim rubinem cabochon. Dwie te piękności, Tilda, jakby duch jakiś nieziemski co przyleciał na mgłę i promieniu księżycy z pieśni poetów, i ta kipiąca życiem bachantka, wzajem się podnosiły.

Henryk coraz widoczniej roznamiętniał się, do Muzy.

— Wiesz, rzekł po cichu do Jakóba, gdybym był tobą... a! nie zawahałbym się; jutro prosiłbym o rękę tój Syreny !

— A ja gdybym tobą był, odparł Jakób, nigdybym nawet na nią nie spojrział.

Henryk z przykrym uśmiechem zamilkł, przerzucił czarne włosy na głowie i posunął się znów ku Muzie.

— Czy domyślisz się pani, com przed chwilą radził Jakóbowi? rzekł po cichu.

— O! jakżebym się mogła tego domyśleć? szepnęła obojętnie niby Emma, choć wybornie odgadła.

— Radziłem mu, niestety, jako zbyt dobry przyjaciel, to cobym ja pewnie uczynił na jego miejscu... radziłem żeby się w pani szalenie zakochał.

— A! to bardzo zła i zdradziecka rada, śmiejąc się odrzekła Muza, bo ja... wcale nie myślę kochać nikogo.

— Jakto nikogo? — O! niech mnie Bóg broni! Ja miłość uważam za rodzaj niebezpiecznej choroby której się. strzedz należy.

— Masz ja, pani za tak — śmiertelną?

— Nie wiem, obawiam się.

— To zły znak. Mówią, że wszyscy co się na przykład cholery lub tyfusu obawiają, chorują na nie. Jest to przecucie. Nie prawdaż że Jakób...

— O! dajże mi pan pokój z tym filozofem.

— Gorzej niż filozof, jest to mistyk i pietysta. Muza milcząc zwróciła nań oczy.

— To istotnie dziś ciekawe, zróbże pan żeby z nim pomówić i bliżej go poznać mogła... jest tak dziki...

— O! czegożbym nie uczynił dla pani, zawołał wszystko odgadujący Henryk, przyprowadzę go i oddam pieds et poings liés.

A ciszej dodał:

— Ale proszę pani, nieprawdaż że gdy się jedną, pierwszą, ciężką miłość przechoruje na seryo, to potem się nią może już bawić bez niebezpieczeństwa?

— Nie rozumiem! odparła Muza sucho — ale oczy które w niego wlepiła mówiły cale co innego.

Nie było porozumienia, jednak się jakoś pojmowali. — Chcesz się wydać za mąż, mówił w duchu Henryk, dobrze, mogę ci posłużyć... ale na świecie nic darmo, spodziewać się muszę że i ja uśmiech za to jaki pochwycę... któż wie! Wyraźniej tej umowy milcząco zawartej, wypowiadać nie było potrzeba. Henryk sądził że będzie zrozumianym, poszedł, przecisnął się przez tłum, wziął Jakóba, przypatrującego się Tildzie pod rękę i rzekł mu:

— Chodźże do ślicznej Muzy, która się ciekawi na ciebie. Zrób to dla mnie, dziewczę zapalone jest do Włoch, a ty właśnie ztamtąd powracasz.

— Prawdziwie, odpowiedział Jakób, ciężkoby mi się było. zebrać na takie opowiadanie o podróży któreby jej było godnem.

— No, no, spróbujesz, chodź tylko. Gwałtem prawie pociągnął go ku niej za sobą.

— Pani, rzekł Henryk do Muzy, pani co tak Włochy kochasz, tę ojczyznę sztuki, a chciałabyś odemnie profana coś o nich posłyszeć, więcej się pewnie dowiesz od Jakóba. Dla tego przyprowadzam go pani. Najdoskonalszy z turystów, chodził piechotą gdzie ja latałem koleją żelazną.

— A! a! odwracając się ku niemu z uśmiechem i ukazując mu swe cudne rozpromienione

oblicze zawołała Muza — przecież pana pochwycałam! Musisz mi pan mówić o Italii. Ja ciągle matkę błagam aby mnie tam zawiozła.

— Bardzo mi żal żem dziś jakoś niewymowny, i że nie dosyć poznałem Włochy, rzekł Jakób, abym mógł coś o nich powiedzieć. We Włoszech potrzeba żyć aby je poznać, a nie jak ja je przelecieć.

— A! przepraszam, żywo podchwyciła Muza, to pewno, że świeżo do kraju przybywający, często więcej widzi, lepiej postrzega niż ten co się w nim urodził.

— Jest to po części prawdą, ale to się stosuje raczej do zewnętrznej fizyognomii kraju. Ducha jego potrzeba badać, upoić się nim, aby go poznać.

— Ale, wszak piękne są Włochy! spytała Muza. Pytanie było niezręczne i oklepane, ale szło tylko o rozpoczęcie rozmowy, która ciągniona gwałtem musiała się wlec, służąc za pokrywkę gry zalotnej, uczonej, gry instynktu kobiecego który oczarować pragnie i używa ku temu wszystkich środków jakimi go obdarzyła natura. Muza w każdym ruchu, wejrzeniu, skinieniu, słowie była nieporównaną artystką, mówiła do zmysłów choć sama ich jeszcze nie miała, (znane jej były z teoryi), do serca choć go w piersi swej nie czuła, do próżności o którą posądzała każdego...; pochlebiała, czarowała, wiązała, była czułą, smutną, trzpiotowatą na przemiany, zawsze niezrównanie wdzięczną. Jakób patrzył na tę komedię i nie drgnęła w nim żadna z tych strun po których pałający wzrok i słowa przebiegały drażniące — był zimny, poważny, smutny. Oczy jego z boleścią zwracały się ku tej ofierze, przypominającej mu jakąś postać z Ary Scheffera, która siedziała tuż milcząca i patrzyła nie widząc, cała pogrążona w sobie.

Jeżeli gdzie to wśród świetnej błyskotliwej zabawy, kobieta zboleła, cierpiąca, w całej świetnością swęj wydać się może; jest coś świętego w bolu co ją jakby

złotą aureolą otacza, nikną, przy niej najpiękniejsze, najdumniejsze padają. Tilda wyglądała na królowę, a Muza ledwie na jej damę dworu i powiernicę ze starej tragedii

Gniewała ją ta obojętność Jakóba, a im zimniejszym był, tem w obrażonej wzmagalo się pragnienie obalenia tej dumnej postaci pod stopy swoje.

To też prawie się zaafiszowała, jak mówią, w salonach, dla Jakóba; mówiła z nim, patrzyła na niego, dała mu poznać że ją zajmuje mocno, że się jej podobał. Matka prowadząc rozmowę, gospodarując, biegając z kąta w kąt nie spuszczała z oka córki, serce jej biło. Nie zawsze godziła się z taktyką Muzy, uważając ją za zbyt śmiałą, ale musiała jej oddać sprawiedliwość że walczyła heroicznie i czyniła co tylko mogła.

Jakób był zmuszony (sama mu bowiem rękę podała) poprowadzić ją wśród szmeru uwielbień do fortepianu, do którego siadła nareszcie i zdejmując powoli rękawiczki, jeszcze długo zwrócona ku niemu, starała się pokazać przed gośćmi jak blisko z nim jest i dobrze; wabiła go, szeptała, śmieszyła, kokietowała.

— Moja droga, odezwała się po cichu pani N. do pani X., patrzajże co ta Wtorkowska wyrabia z Jakóbbem, ależ bezwstydnie na niego poluje.

— O! takie kobiety jak ona, zawsze zwierzynę upolować potrafią! odpowiedziała pani X....

Wtem nadeszła stara Wtorkowska.

— Mówimy o ślicznej twej Emmie, odezwała się głośno pani N... jest dziś istotnie czarującą, pani X nie może się jej nachwalić, nauwielbiać. Pozawraca głowy wszystkim, nawet naszym starymi

Matka tryumfująca, dodała skromnie.

— O! ta Emusia moja, tak jest dziecinnie naiwną,... taki z niej często trzpiot.... Mówię jej to... Moznaby ją wziąć za zalotną ktoby nie znał, ale niewinna jak - małe dziecko... i to ją czyni tak śmiałą.

Dwie panie N. i X. spojrzwały na siebie ukradkiem, pani X. czarne rozrosłe brwi mimowoli podniosła z podziwem.

— Niech szatan porwie tego szczęśliwego Jakóba, ot to koło niego dziewczyna skacze! rzekł ojciec Tildy do Manna, ależ gwałtownie się jej zachciało go złapać! Ciekawym też bardzo czyby go była tak rwała ku sobie, gdyby został był łapserdakiem takim jakim ja go wzięłem na wychowanie!!

— I póki mu poczciwy stary berlińczyk majątku nie zapisał! dodał Mann.

Oba się rozśmieli.

— Że go złapie, nie ma wątpliwości, rzekł ostatni.

— Otoż nie, odparł pierwszy, ja go znam lepiej, niezręczna dziewczyna choć sprytna, nie wie tego pono że nie wszystkie ryby jedną siecią łowią.... Henryk mój zięciaszek oszalałby dla niej, Jakóba wystraszy... on woli ciche, wstydlive niewiasty... poeta...

— Tak, a to wcale i niecicha i niewstydliva istota! rzekł Mann śmiejąc się. Winszuję temu kto....

Nie dokończył.

— No! ale wszystko się na świecie okupuje czemś, musi ów szczęśliwy zapłacić spokojem, dodał drugi.

Tymczasem fortepian zadźwięczał; Jakób wysunął się powoli rozkuty z kajdan grzeczności i znużony poszedł na odpoczynek usiąść przy Tildzie, która w dumaniach pogrążona, nic nie widziała.

Powtórę podniosła na niego oczy i uśmiechnęła mu się słodko; była spokojną, i szczęśliwą że mogła patrzeć na niego.

Przez okna otwarte widać było verande obwieszoną winną latoroślą dziką, której liście przedzierał gdzie niegdzie księżyc sinawemi promieniami; oboje pobiegli tam wzrokiem stęsknienia za samotnością wśród tego tłumu... Chcieli wyjść trochę i być sami, zrozumieli się — ale artystka grała, wysunąć się nie było podobna... Fortepian płakał, jęczał, dąsał się, śmiał, grzmiał, kwilił pod zręcznemi, wprawnemi paluszkami.... Wszyscy byli w uniesieniu, grała jak Liszt... silna jej dłoń zdawała się trudnościami uragać.

— Gra precudownie, szepnęła Tilda, ja gdy pół godziny posiedzę przy fortepianie, czuję się osłabioną, brak mi duszy jakby mi ją te tony ulatujące zabrały z sobą i wyczerpały... a ona! Co za potęga! gra, szaleje, dokazuje, i wstaje niezmordowaną, spokojną!

— To też stanowi różnicę gry waszej od jej grania, rzekł Jakób, wy w swą grę wlewacie duszę i czucie, ona sztukę i siłę tylko.... Do mnie gra jej nic nie mówi, jest to fortepian grający... u ciebie dusza śpiewa przez dotknięte ręką klawisze...

— A nie! zawołała Tilda, ona jest artystką prawdziwą, a ja prostą śmiertelnicą.

— Pozwólże mi się przyznać, dorzucił Jakób, tego artysty, tej artystki jakimi ich wiek nasz uczynił, ja nie cierpię; równie jak nienawidzę fanatyka który głową się pali, a wiary swej dłonią i czynem nie popiera. Artysta dzisiejszy to sztukmistrz, a nie mistrz w sztuce, to rzemieślnik kapryśny, co się wyuczył trudności, co zna wszystkie sznurki (ficelles) rzemiosła swego. Ale dla mnie rozplakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosenkę natchnioną... jest daleko nad niego większym artystą.

Sprofanowano dziś sztukę jak wszystko, stała się przedajną, stała się chleba kawałkiem nie ołtarzem. Dzisiejszy artysta pracuje dla sławy, bo sława mu chleb daje, ale ostatecznie dla chleba nie dla potrzeby własnej duszy... któż dziś fresk robi za worek miedziaków, kto go odmaluje darmo dla chwały Bożej i dla wywnętrzenia swej myśli. Tak grają, tak piszą, tak malują... Tak gra i ta piękna Muza, rzekł Jakób ciszej, jest to artyzm bezduszny, wyuczony, niepoczuty.... Dla tego zagra ona Liszta i Thalberga ale jej wara od Chopina... a Schumanna pojmie stronę dziwaczną, nie wyda głębokiej...

Tilda się zamyśliła.

— Sądziysz ją zbyt surowo, rzekła, jest tam w tej duszy promyk Boży, jest na tem czole płomyk... ale świecą oboje tęsknicy bez jutra... a może bez chleba.... Biedna kobieta! Tak mi przykro patrzeć na nią, na jej matkę, znając ich położenie!

— Jakto? one przecie bogate być muszą? spytał Jakób zdziwiony.

— Niestety, są ubogie, odpowiedziała Tilda, gorzej, bo muszą jeszcze udawać zamożność, którą dawno straciły.

— O! to okropne, przerwał Jakób, komedia zbytku w nędzy jest ohydną, płacą ją łzy oszukanych i ubogich. Nie stokroć że piękniejszym byłoby ubóstwo przy pracy męznej?

— Ha! są wstydy fałszywe....

— Fałszywe... to mówi wszystko... wstydy fałszywe są najczęściej prawdziwymi bezwstydami...

— We mnie one tylko litość budzą, dodała Tilda ciszej, krwawy to dramat, łzy i niepokój pod aksamitami, ten głód u progu czekający aż deser wystawny wyniosą... ta pustka jutrzejsza po dzisiejszym zgiełku, który trwa tyle co gorzko opłacony, kłamany zbytek za temi uśmiechami są płacz i rozpacz, w tych duszach budzi się już wśród wesołej pieśni, błądy strach jutra i potrzasa wyschłą dłonią. — Ściska mi się serce.... Muza przestała grać, szum oklasków rozległ się zewsząd, Henryk pobiegł piękną acz nieco dużą i silną ucałować rączkę, a Tilda której było duszno w tej atmosferze, skinęła na Jakóba.

— Wysuńmy się, by na chwilę tchnąć wieczornem powietrzem, rzekła, wszak nam tego za złe nie wezmą.

I przesunęli się przez tłum przeciskając ku verandzie, a oczy Muzy błyszczące poszły za nimi z wyrazem gniewu prawie i zwróciły potem szydersko uśmiechając Henrykowi.

— Widzę, rzekł odpowiadając na nieme pytanie, że Tildzie było za gorąco... wyszła na ganek z Jakóbem....

I ręką rzucił obojętnie, jakby mówił.

— O! niech sobie idą....

— Pan nie jesteś wcale zazdrosny? szepnęła Muza.

— Przy pani tylko o panią.... Muza surowo spojrzała na niego.

— Pan nie masz prawa czuć tego, a mniej jeszcze mówić... o tem.

— Pani wiesz że to co jest bezprawnem najsilniej pociąga człowieka.

— Pan jesteś niemoralnością wcieloną.

— Niestety! przy pani anioł by upadł, cóż dopiero człowiek....

— Ale pan doprawdy mógłbyś mnie rozgniewać.

— Nie, pani jesteś litościwą...

Poczęli szeptać coraz ciszej, coraz poufalej, ale śmiejąc się i w dobrej zgodzie.

Tilda wychodząc rękę Jakóba ścisnęła w progu.

— Co ci jest? spytał z czułością Jakób.

— O! nic! jestem — nie wiem czemu, bardzo szczęśliwą — czuję się dziwnie spokojną... Nic nie pragnę... Zdaje mi się że powoli ulatuje ze mnie życie, mam cię przy sobie; pewną jestem twojego serca... cóż więcej potrzeba do szczęścia?

— Mało ludzi zaspokoiliby się tem czystem szczęściem naszym, rzekł Jakób powoli. Gdy czasem rzucę okiem na tłum i porównam w nim różne osobistości, usposobienia, różne jednostki... wiesz pani...

— Po cóż ta — pani!

— Zdaje mi się, kończył Jakób, że człowiek nie jednym był stworzony że w nim istotnie dwie walczą siły przeciwne... jakby Bóg z szatanem... Sprzeczności są niekiedy przerażające.

Naprzykład przy tobie — ta niewiasta.

— A, nie mów mi nic złego o niej, przebaczymy wszystkim.

— Tak! przebaczymy, smutnie mówił Jakób, któż z nas czysty i niewinny w duszy, prócz ciebie? A życie krótkie, a każdy pije z kielicha goryczy... i każdy ma w piersi strzałę....

— O! ja jej i wszystkim przebaczam, zawołał Jakób, ale mi żal jej i ich... gdy tak daleko, tak dziwnie szukają szczęścia i kłopotczą się o nie, mogąc je wysnuć z własnej duszy. Dla tego dziwi mnie i przestrasza świat temi żywioły różnemi, w których zło tak przeważa.

— Nie wszystko pojąć można — wiele jest rzeczy niezrozumiałych dla człowieka, odpowiedziała Tilda, ale po cóż mam myślać, sięgać tak daleko i jak tytany dobijać się koniecznie do niebios zamkniętych? Wierz mi, całe losy człowieka są szyderską jakąś próbą, z niego... powiedziała bym igraszką — nielitościwą. W umyśle nosi iskry światła z których nigdy wielkiego nie może rozpaścić ogniska, bo mu je burza namiętności, wichur szaleńczej; w duszy nosi instynkta szlachetne, które się w brudne przerabiają żądze, ciało nawet....

Umilkła i po chwili spytała Jakóba:

— Któryż to powiedział poeta:

W walce ze życiem i światem

Przyszłości nikt nie jest panem;

Z rąk Bożych wychodzimy kwiatem, Świat w grób nas rzuca — łachmanem.

— Nie wiem, rzekł Jakób.

— I ja nie wiem, słyszałam gdzieś te wiersze. Człowiek się psuje powoli coby miał polepszać, wiek któryby powinien udoskonalać — kaleczy, zabija, rozczarowuje... Wszystko jest dziwnem w życiu... wszystko zagadkowym... a te sny i marzenia nieśmiertelności! jakiegoś drugiego bytu!!

Uśmiechnęła się boleśnie.

Jakób był smutny i pogrążony.

Przed nimi piękny się widok roztaczał; stare drzewa alei ze swą zielenią ciemną, kołysane lekkim wiatru powiewem, cisza — nad nimi niebo lazurowe — czarne i księżyc jak stróż nocy przechadzający się po niebiosach i milczące gwiazdki mrugające oczkami, jakby sen odpędzały z powiek. W dali gwary miasta obumierały.

— Patrząc na twory Boże, zawołał on, czuje się jednak w duszy spokój o przyszłość... jest coś co nam powiada że nie zginiemy... Gdyby nawet... tysiące lat wiary tej trwającej zawsze w człowieku, nie potwierdzały jej — każdy ją znajdzie w głębi swej duszy na dnie... jak na dnie studni w dzień biały świecą gwiazdy...

— Tak... tylko tamto życie jakieś już nie będzie tem życiem, myśl moja już nie będzie dalszym ciągiem tej którą wyrobiłam w sobie; na nowo może przedę tę

wysnuwać przyjdzie, by ją znowu niedokończoną, porzucić... gdy gość śmierć do drzwi zastuka...

— Tę śmierć tak straszną, nasze księgi hebrajskie malują jako słodkie, łagodne przejście do drugiego żywota. Najśłodsza jest ta którą zowią... pocałunkiem Bożym... (Talmud Berachot. 5.)

— Jakże żałuję, odezwała się Tilda, że ja tych ksiąg a nawet języka ich nie znam prawie. Uczono mnie wszystkiego dla świata, a nic dla duszy... to też w niej pusto... i chodzi po niej wiatr zwątpienia.

— A! czas jeszcze ! rzekł Jakób.

— Nie! zapóźno! Wiarą tylko młode serce napoić się może, w kim pierwsza była niewiara, tam na wysuszonym gruncie już się szczep drugi nie przyjmie. Ale Bóg wielki... nie może karać zato, co nie było winą człowieka.

Zamilkli, stali tak oparci o galeryą nie chcąc powracać do gwaru, wśród którego brzmiał fortepian Muzy, błyskotliwą, fantazyą Lisztową.

— Chodź Jakóbie, rzekła, idźmy pić do dna roskosze tego wieczora, to co ci ludzie zowią zabawą" a co dla nas jest ciężką męczarnią. Ja ci radzę, zbliż się do Muzy, nie jestem zazdrosną... Ona jest na złej drodze, ty byś ją mógł nawrócić i ocalić.

— Nie, odparł Jakób, nikt w świecie, to coś mówiła o sobie. Zapóźno! tu jest w miejscu właśnie. U niej i umysł i serce już dorosły, przybrały pewne kształty, i nic ich. zmienić nie potrafi...

Powoli rozmawiając weszli nazad do salonu, wzrok Tildy spotkał tam naprzód, jej męża zwieszonego nad krzesłem wirtuozki, która mu się figlarnie, zalotnie uśmiechała. Nie zaboląło ją to wcale, był jej obojętnym oddawna, cieszyła się myśląc że gdzieindziej zajęty uwolni ją od natrętnych, udawanych swych czułości.

Tymczasem matka Muzy jakoś bardzo się okazywała niespokojną; przeczuwała że wieczór ten całkiem się jej nie udał; Jakób był gorzej niż obojętnym bo nawet nie ciekawym, nic go nie pociągało do czarodziejki. Zmieszana Wtorkowska kręciła się, wzdychała, a zaloty widoczne żonatego pana Henryka, jakoś także jej były nie do smaku. Z majątniejszych młodych ludzi nikt się do córki nie zbliżał... wszyscy wielbili ale bardzo z daleka.

Wieczór ze zwykłymi swemi przemianami, śpiewem, grą, herbatą, wieczerzą, (która była wystawna a niegodziwa) przeciągnął się dosyć długo, ale starsi pod pozorem interesów powysuwali się wcześniej; ku wieczerzy z kilkudziesięciu zostało osób kilkanaście tylko i to znudzonych i zmęczonych. Tilda także uskarżając się na ból głowy, obwinieła w szal, zostawiwszy męża powróciła do domu. Jakób nie mógł ją dalej jak do alei doprowadzić, powrócił nazad — kazano mu... . Zmniejszenie towarzystwa było może na rękę zalotnicy, gdyż łatwiej przywabić mogła Jakóba, i zmierzała ku temu zręcznie, choć dotąd nie powiodło się jej wcale; nie domyślając się że jest celem zabiegów, siedział zadumany nad jakimś albumem.

Nic mu narzucić nie było można, sprawiał się jako gość przyzwoicie i grzecznie — ale matka srodze się na niego gniewała i postanowiła sama przybliżyć... Usiadła obok... Jakób powstał dając jej miejsce...

— Ale siadajże, pan kochany, przy mnie, rzekła Wtorkowska łapiąc go za rękę, powiedzże mi pan! powracasz! no... i cóż? jakie są pańskie zajęcia, projekta?

— Moje? spytał Jakób zdziwiony trochę tą troskliwością, żadne... będę patrzeć, próżnować... a wreszcie i uczyć się czegoś...

— Myśmy tyle o panu słyszały, i tak byłyśmy ciekawe go poznać!

— Nieskończenie jestem wdzięczna!

— Szczególnie moja Emma! która taka jest rozmiłowana w ludziach.... Tu nie stało Wtorkowskiej słowa na oznaczenie, jakich i dodała mieszając się: — w ludziach... wyższych. — A! bo co też to za istota prawdziwie wybrana... ta moja Emma! co to za główka! co za główka... jakie talenta.... Pan nie uwierzysz co ona czyta, jak ona czyta... jaka to pamięć, co to za dowcip! Już nie dla tego, że moja córka, ale prawdziwie, to cudo!

— Wszyscy to zgodnym głosem przyznają, rzekł Jakób grzecznie.

— Ale, proszę pana mego, poufałej odezwała się Wtorkowska, co to za los nas matek.... Kiedy to człowiek pomyśli! taka kobieta! proszę pana, kotnuż się dostanie! Czy to ją, on oceni, zrozumie? Ta nasza młodzież! — O! przecież dla panny Emmy wybór nie będzie trudny!

— A! pan pewno nie znasz młodzieży naszej.

Na tem się jakoś urwała rozmowa. Matce nagle zabrakło wątku; postrzegła że zbyt szybko dobiegła do ściany, nie było już co dalej mówić.... Jakób też wyczerpał pochwały. — A co pan mówi o grze jej? poczęła ratując się Wtorkowska, o! tak szczerze... pan co takim jesteś znawcą.

— Cudowna! cudowna! prawdziwie artystyczna!

— Powiadam panu, Liszt się dziwił, kiedy mu zagrała jego uwerturę z Wilhelma Otela (sic), aż się za głowę brał... Próbował ją, kazał jej grać i to i owo i był zaentuzjasmowany... Zagranicą, u wód, w Spa... w sali raz to o mało że tumultu nie było... takie oklaski jej sypali... rozbijali się, powiadam panu... bukiety, wieńce, historye... owancye (sic) formalne....

— O! bardzo wierzę...

— Proszę mego pana, u niej żeby jaki twardy fortepian Erardowski... to do dwóch lat nie wytrwa, taka siła! a jak ją, proszę pana, ten szal porwie....

Byłaby się jeszcze zapewne na dalsze córki pochwały wysilała, gdyby Muza zmęczona grą i rozmową, sama się ku matce nie zbliżyła; a w istocie ku Jakóbowi....

W oczach jej błyskał ogień — gniewu raczej niż zapału. Im uparciej od niej gość ten stronił, tem mocniej postanowiła go pochwycić. Szepty z Henrykiem nie były stracone, on jej dał klucz charakteru Jakóba, obznajmiając ją z jego, jak ją zwał, manią, religijną. Muza postanowiła przeczytać biblię; w tej chwili była jeszcze cokolwiek nieprzygotowaną, ale rachowała na to że go obalamuci kilką dwuznacznymi ogólnikami.

— Nie cierpię takich tłumnych zabaw, rzekła, to mnie męczy niewypowiedzianie; księga, dumanie, cisza, to lube żywioły moje. A pan? spytała wprost strzelając mu do piersi.

— Ja? ja? odparł Jakób, właśnie toż samo mógłbym o sobie powiedzieć — ja jestem człowiekiem ciszy i pracy.

— O! wyście we wszystkim szczęśliwi, panowie, mówiła Muza, wy możecie się cichej pracy poświęcić, nie będąc jak my niewolnikami salonu, konwenansów i tego... panieństwa, które nakazuje nam być nieustannie zalecającym się towarem.

Powiedziała to śmiało, Jakób się uśmiechnął spoglądając na nią.

— Ponieważ zaczęłaś pani o tym drażliwym przedmiocie, odezwał się, powiem że matki i panie mylicie się bardzo troszcząc do zbytku temi mniemaniami obowiązkami. Najczęściej gdzie wiele przygotowań tam nic z dialogu, jak mówi Krasicki.

— To prawda, odparła Muza zimno, małżeństwa wszystkie kojarzą się cudem.

— Jestem zupełnie tego zdania.

— Niestety! proszę pana, przerwała stara Wtorkowska, gdyby się tak potem cudem jeszcze utrzymywały.

Uśmiechnęli się wszyscy z naiwności tej uwagi.

— Pan podobno byłeś na Wschodzie! spytała Emma.

— Tak pani i smutne ztamtąd przynoszę wrażenie, ziemia poezji dziś jest wszelakich nędz ziemią, kolebka dawniej cywilizacji dziś jest jej śmietniskiem.

— Ale żyjeż tam jeszcze co biblijnego? pytała zręczna Emma.

— Bardzo wiele, począł ożywiając się Jakób — stroje, obyczaje, podania, ziemia, krajobraz są biblią żywą. Rachele poją owce u studni, patriarchów siwobrodych widziałem pod namiotami.

— Jakże to cudnie pięknym być musi?

— Tak pani! ale nie dla nas dzieci rozmięklej, wypieszczonej cywilizacji. Tem życiem poetycznym my byśmy wyżyć nie umieli: jest ono surowe, ciężkie, poważne, pierwotne i brzemieniem pracy przywalone; ale potokiem z pod niego leją się poezja i uczucie, których nam braknie, bo źródła ich wyschły.

— A stare biblijne tradycje?

— Tych pełno na każdym kroku. U nas są, one w księgach zasuszone, tam żyją i z życiem się splatają. Z jakimże wrażeniem dotyka się kamieni które król Salomon obrabiać kazał do swych wodozbiórów, ruin świątyni, miejsc uświęconych stopami patriarchów. Chrześcianie zarówno i żydzi czują tu swą kolebkę. W Europie wszyscyśmy kolonistami.

Emma słuchając Jakóba z zajęciem które doskonale odegrać umiała, powoli przy nim usiadła blisko, matka natychmiast prawie znalazła pilną wstania potrzebę i żywo pobiegła do swego wieczornego gospodarstwa zostawując ich dwoje niemal odosobnionych wśród resztki gości podzielonej na małe grupy.

Sama grzeczność nie dopuszczała Jakóbowi się usunąć; ona tymczasem magnetyzowała go wzrokiem, postawą, ruchami, obrotem ramion, rączkami

któremi igrała poprawując bransoletę, to przerzucając pierścionki, to bawiąc się chusteczką szeroko koronkami obszytą, która tylko do zabawy służyć mogła.

Jakób na całą, tę zalotną grę niewiele zważał, pozostał obojętnym.

— Nie wiem, rzekła po chwili zawahawszy się nieco Emma, ale zbierając się na odwagę — czy to jest siła krwi we mnie, ale ten Wschód mnie nęci; ulatują doń myśli moje, śnię i marzę o nim. Na nieszczęście my cośmy z żydów wyszli, bo ja się tego nie zapieram...

Jakób spojrział na nią zdziwiony, może nie poznał, że kłamała.

— My — zmuszeni byliśmy wszystkiego naszego zapomnieć, zacierać w sobie wspomnienia. Oduczano nas czegoby uczyć należało, robiono sztuczne istoty. Kazano nam się prawie wstydzic żeśmy mieli świetną przeszłość. Ja na przykład, która wiele na nic mi niepożytecznych umiem, wcale nie znam tego co mnie najgoręcej ciekawi...

— Na przykład? zapytał Jakób który nie posądzał ją już o udanie i poczynął się zajmować temi wyznaniemi.

— Ale cicho! cicho! nuż mama posłysz, dodała Emma kładnąc palec na ustach. Jestem ciekawą wszystkiego co nasze, co izraelskie. Prawda że już... jestem chrześciankę, ale pochodzimy z Izraelitów, a nowy prawodawca wszak powiedział że starego prawa nie przyszedł obalać. Cóż z tego, mówiła coraz ciszej, kiedy nietylko mama, ale wszyscy nasi tak się strzegą, nawet najlżejszej alluzji do przeszłości.

— To prawda, rzekł Jakób — ale jeśli pani pragniesz bliżej się oswoić z temi tradycjami naszymi, wszak jest ksiąg mnóstwo... ?

— Ale ja przecie nie umiem po hebrajsku?

— Są i w innych językach.

— Doprawdy? spytała naiwnie — a! gdybyś mi pan, w wielkim sekrecie chciał co pożyczyć! Ja doprawdy tak jestem ciekawą! takbym panu była wdzięczną! ale to być musi sekret... między nami! nieprawdaż?

Wymaganie tej tajemnicy bardzo użyte zręcznie, było już węzłem który ich miał zbliżyć i połączyć. Emma ukradkiem, pod pozorem podziękowania podała mu rękę i ścisnęła dłoń jego, magnetyczny przelewając weń strumień... życia. Jakób mimowoli poczuł się niespokojnym, skłopotanym, jakby się jakiego dopuścił grzechu.

— Z największą chęcią, rzekł, przyślę pani parę książek.

— Ale to nie dosyć, dodała Emma, pan mi też sam pomożesz trochę do tej nauki, której ja tak jestem chciwą. Są godziny wolne. Mama się krząta, ja bywam prawie sama. Pan byś był mi nauczycielem, inicjatorem moim, a! nie wiesz jakbym mu była wdzięczną. Ale cicho! położyła paluszek na ustach uśmiechniętych, a oczy płonące, zmrużone utopiła w nim głęboko.

Pan mi tego odmówić nie możesz, dodała — jest to fantazya, jeśli chcesz, dziwactwo, śmieszność, ale ją pojmisz.

— Ja nie uważam tego za dziwactwo wcale, rzekł Jakób, owszem, ale się lękam...

— Ale!! żadnych ale... o! proszę bardzo, proszę, żadnych ale! Przyznaję się panu że trochę goniła za nim z tą żądzą upragnionej dla mnie nauki.

Jakób był osłupiały, zdziwiony, przejęty, przychodziły mu jakieś wątpliwości, ale je odpędzał jako grzeszne posądzenia, tak zuchwałej komedyi nie przypuszczał. Muza pociągnęła go, ujęła, oczarowała.

— Niestety! wszyscyśmy tak słabi, że w najprostsze wpadamy sidła, gdy zrećnie na tę słabość naszą zastawione zostaną. Często ostrzeżony nawet człowiek daje się ująć, gdy kto uderzy w tę achillesową jego piętę. Tak było i tą razą. Jakób po krótkiej tej rozmowie wstał inaczej dla Etnmy usposobiony, wydała mu się piękniejszą, coś poetycznego ją owiewało w myśli porównywał ją już do biblijnych niewiast, szukał w jej rysach typu wschodniego. Nie pociągała go żadną sympatią, ale niepokojem jakimś, ciekawością i nie obudzała wstrętu. Gdy uśmiechając się oddalała od niego, czuła już sama że go chwyciła, i twarz jej była rozpromieniona zwyciężko.

— O! jest moim! zawołała w duchu. W tem Bartold uderzył go po ramieniu.

— A co? szepnął mu — nieprawdaż? czarodziejka?

— Przyznaję że gdy chce jest nadzwyczaj ujmującą!

— Bądźże ostrożnym kiedy już to uznajesz, rzekł przyjaciel — to co nęci zawsze jest dla nas straszniejszym od tego co odstręcza od siebie. Człowiek ginie zawsze przez to co kochał, nie od tego czego się lękał.

* * *

Czas upływał Jakóbowi tak żywo, niepochwycyony, iż się z nim obliczyć nie mógł — nadchodziła zima, w położeniu jego mało się co zmieniło.

Wykreślony mając wcześniej plan życia szedł drogą, pewną z której sprowadzić się nie dał; ale to co dla niego głównem było życia zadaniem, coraz cięższem stawało się do urzeczywistnienia. Młodzież którą w koło siebie starał się gromadzić, znalazł najdziwniej przekształconą, prawie już nie żydowską. Najwykształceńsi nawet unikali wspomnienia o pochodzeniu, rozmowy o wierze, zadaniach religijnych. Działanie więc Jakóba ograniczone, powolne, musiało się skupić w nim samym prawie. Nie tyle słowy ile przykładem musiał torować drogę — mało prowadząc za sobą naśladowców. Była to chwila właśnie gdy po rozdrażnieniu wywołanem niezręcznym artykułem jednego z dzienników, po oburzeniu jakie wywołało to wystąpienie; skupiali się nieco ku obronie Izraelici, podnosili na duchu, draśnięci i kraj wywołany został do niepotrzebnej walki, która uczciwym zasadom dała ostatecznie zwycięstwo. Trochę ludzi uprzedzonych, garstka tępych umysłów, którym oryginalnem zdało się trzymać średniowiecznych tradycyi, zostali w szczupłym opozycji obozie, reszta powolnie przejednywała się z żydami.... Ze swej strony intelligencja izraelska coraz się mniej odosobniała, czyniła jak najprzystępniejszą, jak najskłonniejszą do przybrania cech polskich... a praca Jakóba utrudnioną przez to być musiała. Zyskiwało na tem stronnictwo ruchu, do którego młodzież izraelska tem więcej się garnęła, iż czuła się w obowiązku okazania że dla kraju obojętną nie jest. Jakób który w innym iść chciał kierunku, pozostał prawie na

boku; nie był on wcale stworzony na spiskującego. Na wieczorach u niego choć nieuchronna mięszała się polityka, więcej wszakże zajmowano się literaturą, kwestyami społecznymi, zadaniami historycznymi. To odstręczało tych co popsuwszy się na piekącym pokarmie polityki, łagodniejszej stawy znieść już nie mogli. Jakób acz szanowany przez swych współwyznawców, nie był im łagodnym ani miłym — nadto otwarcie dla nich chciał być żydem i Polakiem zarazem. Ale próżno go o to upominał Mann ze swą grubijańską dumą, Henryk ze sceptycyzmem kosmopolity, ojciec Tildy z powagą opiekuna, Bartold jako dobry przyjaciel, inni z opryskliwością ludzi którym to stawało na przeszkodzie w ich robotach... Jakób nadto był pewien tego co czynił, aby się dał zbić z drogi którą uważał za obowiązkową.

Codzień też obawiano się go wyraźniej unikano, codzień zimniejsze były jego ze współwyznawcami stosunki.

W tem zwątpieniu jakie ogarnia ludzi w jego położeniu zostających, Jakób naturalnie skłonniejszym był niż kiedy do pochwycenia wyciągnionej mu dłoni... Umiała z tego korzystać Muza.

Z łatwością pojęcia właściwą kobiecie, chwyciła myśli jego, przebiegła kilka książek, nauczyła się nieco, odgadła dużo i miała już gotowy oręż przeciwko niemu...

Jakób stęskniony, zwątpiały, smutny, tu jedno znajdując ucho które się chętniej ku niemu nachylało; nie mogąc zbyt często bywać u Henrykowej, coraz bardziej przywykał przychodzić na rozmowę do domku w Alejach; a gdy się letni w nim pobyt skończył i pani Wtorkowska miała się przenieść do miasta, baczna matka tak jakoś rzeczy umiała zręcznie ułożyć że dostała pierwsze piętro w domu którego drugie Jakób zajmował.

Był to przypadek! dziwne się czasem trafiają przypadki. Ale w ten sposób wiedziano kiedy Jakób był w domu, posyłano po niego, zapraszano, odnoszono książki, kreślono bileciki, a dwa lub trzy razy spotykano się z nim i witano na wschodach.

Piękna Muza stała się prawie prozelitką Jakóba, który chwilami zupełnie się z nią godził, czasem odkrywał w niej wdzięk niebezpieczny.

— Ale wie mama, mówiła wieczora jednego córka do pani Wtorkowskiej, gdy się jakoś dzień powiodł — ten głupi Jakób zupełnie jest przekonany że ja gotowa jestem zostać żydówką... a przyznam się mamie, że już mnie ta jego biblia, Talmudy, podania, legendy... i dławia i nudzą.

— Ale, proszę ja ciebie, moja Emusiu, odpowiedziała matka, jak ci się zdaje, czy też on aby myśli już o ożenieniu?

— E! ja go wezmę kiedy zechcę...

— No to, zechciejże... zlituj się.

— Ależ mama nie rozumie tego, to trzeba stosownych okoliczności. Z nim inaczej niepodobna, tylko mu się muszę stać nałogiem... Powiem mamie szczerze z nim nic na namiętność rachować niepodobna, ale na nałóg serca... Na to trzeba czasu... ja pilnuję.

— Gdzie ty tam pilnujesz! Ty się tylko roztrzepujesz z tym Henrykiem, nie wiedzieć do czego. Gdybyś już była mężatką, tobym jeszcze rozumiała, ale tak... najważniejszą sprawę opuszczasz....

— O! niech już mama będzie spokojną, ja wiem co robię. Z nim potrzeba powoli, ja go codziennie lepiej poznaję, si je brusque le denonement, tout est perdu.

— Już ty sobie rób jak sama chcesz... ale... Tak tą razą i zawsze kończyła się rozmowa, a Muza korzystała z pozwolenia.

Rachuba jej wcale w istocie nie była fałszywą; Jakób się w niej nie kochał, ale przyzwyczaił się do niej, znałogował.... Co się tyczy ożenienia, myśl nawet o niem nie przychodziła mu do głowy. Kochał Tildę całą duszą... a więdnijący ten kwiatek codziennie mu się wydawał piękniejszym. Ciągnęło go tu tylko zajęcie jakie Muza okazywała ciągle dla biblii i podań izraelskich.

Matce ten środek przyciągania Jakóba nie wydawał się wcale miłym, zżymała nań ramionami — ale cóż począć było, kiedy ani nikt inny, ani nic innego znaleźć się nie mogło?

— A jak, broń Boże i to chybi... mówiła w duchu, tośmy przepadli.

Muza zwykle śmiejąc się pocieszała ją, że to nie będzie Waterloo ale Austerlitz.

Muza nie mogła podobno pokochać nikogo, nie zakochała się też i w Jakóbie. Dla niej był on nudny, udawała dlań uwielbienie, ale ziewała całą, duszą gdy się zbliżał. Z Henrykiem była w swoim żywiole, poufalszą; rozumieli się lepiej.

Dogadzając tej udanej pasyi panny Emmy, Jakób zapalił się do myśli urządzenia odczytów żydowskich. W początku na nie nawet domu znaleźć było trudno; myśl wszakże rzucona zdawała mu się precudną, pochwycił ją z zapałem, nie przewidując że urzeczywistnienie napotka niezwykione trudności. Nikt w domu swoim odczytów tych mieć sobie nie życzył — obawiano śmieszności; lękano tej barwy żydowskiej jaką one nadać mogły domowi w którymby się odbywały. Każdy pochwalał, ale u tego było miejsca mało, tam ktoś chory, tu dnia wybrać ciężko. Ledwie nie ledwie Bartold się zgodził aby w jego mało uczęszczanym domu urządzić te wieczory izraelskie na które sproszono naturalnie samych tylko żydów, chociaż na odgłos, o programmie znaleźli się ciekawi profani.

Nie potrzebujemy dodawać że z wielkiem utrapieniem dla Wtorkowskiej, ona i córka jej zaproszone zostały.... Wiele osób z obawy posądzenia o przywiązanie do tradycji, ze strachu śmieszności, odmówiło przybycia lub w ostatniej chwili zachorowało na brak odwagi... izraelskiej...

Bartold sam zajął się tem gorąco. Żona jego cicha bardzo kobiecina, zajęta gospodarstwem, dziećmi i szkółką przez siebie urządzoną; skromna, mało znająca świata i nie bardzo pragnąca go poznać, szczęśliwa i dla tego nie chciwa, do przeskoczenia domowego progu, ani do zwiększenia kółka co ją otaczało, bojąc się by jej pokoju nie zamącili ludzie — na żądanie wyraźne męża musiała się podjąć tego wieczora, którego kłopoty już z góry przewidywała.... Salon był obszerny, w domu nie zbywało na niczem, brakło tylko zwyczaju przyjmowania licznych gości; Bartold jednak z góry sobie

powiedział że choćby co niezgrabnie wypadło, pierwszy się z tego rozśmiej. Do wielkiego tonu nie miał najmniejszej pretensyi.

Bartoldowa młoda, piękna kobiecina, maleńkiego wzrostu, zręczna i zwinna, biegała zakłopotana na kilka dni przed owym odczytem... obawiała się okazać za mało gościnną, mąż lękał się tylko by nią nie była zanadto. Czarnemi oczkami goniła za nim niespokojna, pytając nieustannie czy nie zapomniała o czem, czy nie było jeszcze czego potrzeba....

Mieszkanie niezbyt wytworne, nie nadto smakownie urządzone, bo on sam przy wielkim rozsądku mało miał gustu i wcale nie czuł powołania do wyrokowania o nim, a ona żyła w swym kątku u dziecinnych kolebek... dowodziło jednak zamożności gospodarzy.

Tylko nie był to już ów dawny dom żydowski, w którym Mesusse widać było przy drzwiach każdych i świecznik siedmioramienny, i na ścianach obrazy symboliczne a napisy biblijne. Wyglądał europejsko, bez charakteru wybitnego, surowo, poważnie, żyda w nim domyśleć się było prawie niepodobna.

W dniu oznaczonym, nad wieczór, mała pani Bartoldowa, pozamykawszy dzieci, bo ją przestrzeżono że te się w towarzystwie pokazywać nie zwykły (co ją bardzo zdziwiło) — wystrojona już biegała kłopotając się zawczasu czy przyniesiono torty z cukierni, czy wszystko było w porządku, czy tam jeszcze czego nie brakło. Zaproszonych kobiet nie było wiele, bo kółko znajomych gospodyni bardzo było szczupłe; Muza, Tilda, parę pań średniego świata, które, choć po cichu, przyznawały się jeszcze że były żydówkami. Mężczyzn zeszło się więcej, pomiędzy nimi jednak nie było Manna, który na ten wymysł ramionami ruszał, ani ojca Tildy, gniewających się na te — żydowszczyzny kapcańskie, jak oni je nazywali.

Jakób przyrzekł tylko parę legend talmudycznych odczytać., resztę czasu zając miała rozmowa i muzyka. Ciekawość sprowadziła tu Krudera który wszędzie być musiał gdzie się trochę ludzi zebrało i Iwasia który już po Warszawie się kręcił a chciwy był wszelkiego życia i Wilka, który myślał korzystać ze zręczności dla zdobycia prozelitów i wielu innych.

Henryk przybył dla żony niby, w istocie więcej dla Muzy, przy której krześle coraz częstszym był gościem. Dla niego też mieszkanie Wtorkowskich w domu przez Jakóba zajmowanym było pożądanem; odwiedzał często przyjaciela a zachodził tylko po drodze do pani Wtorkowskiej, która obawiając się go nieco, zaczynała dlań być kwaskowata. Wpadłszy jednak na myśl szczęśliwą pożyczania u niego pieniędzy, pogodziła się z nim nieco, Henryk słodkie chwile spędzane przy Muzie opłacał dosyć drogo. Matka w dodatku siedziała przy nich nieodstępnie z robotą.

Kieszeń pana Henryka na tę zimę bardzo się im przydała; namiętnie rozplómienny, gotów był na ofiary.

Okolo godziny dziewiątej salon był już pełen, biedna gosposia z wypieczonemi rumieńcami od utrudzenia przyjmowała panie, drząc i rumieniąc się jeszcze co chwila mocniej.

Przy stole stała szklanka wody z cukrem i kilka książek które był Jakób wcześniej przysposobił; roznoszono herbatę; goście ledwie ją wypiwszy, dopominali się czytania; Jakób zasiadł i milczenie uroczyste dowiodło że go słuchać chciano z uwagą.

* * *

Nieprzywykły do czytania i mówienia publicznie, Jakób powiódł oczyma po zgromadzeniu, i zarumieniony począł drżącym i słabym głosem.

— Przebaczycie mi państwo, że nieśmiało otwieram usta, jest coś dziwnego w mojem położeniu żyda wśród żydów co prawie zapomnieli już iż niemi byli, przywykli się tego wstydzic i zapierać, a lepiej znają dzieje Anglii i Francji niżeli swoje własne, historią Chin niż Palestyny, literaturę sanskrycką niż hebrejską.

Zarzucano nam niegdyś odosobnienie się, było ono nie naszą winą, dziśby nam można wymawiać że przestawszy być sobą, nie jesteśmy niczem jeszcze.

Z tym krajem, w którym żyjemy, połączeni z nim węzłami licznymi, jesteśmy prawie w walce i boju nieustannym, z naszą przeszłością w rozwodzie. Tę to przeszłość i poetyczne jej utwory chciałbym wam przypomnieć. Czas jest przecież ocenić je po ludzku i co w nich pięknego, charakterystycznego jest, podnieść. Naród który ma najstarszą praw księgę, sięgającą tych wieków gdy Bóg wprost oddechem swym żywił młodociane ludzkie plemię, w późniejszych też epokach nie pozostał bez literatury, poezji i pamiątek piśmiennych.

Urywków ułamkowych dawać nie chcę z tego ogromnego skarbcza podań i poezji, ale opowiem żywot jednego męża, na który składały się historia, tradycja, poezja; starczy on na ten raz. Bohaterem mojej powieści będzie słynny uczony Rabbi Akiba.

Był on naprzód ubogim tak że służył za pastucha u bogatego Kalba Szabua... pochodzenie jego niewiadome. W dojrzałym już wieku służąc w tym domu, pokochał córkę gospodarza, a miłość była dlań początkiem mądrości. Dziewcze postrzegło rozwijające się uczucie, podzielało je, ale czytając miłość w oczach Akiby, użyło jej za narzędzie do podźwignięcia człowieka, w którym dostrzegło dary wielkie umysłu i serca, leżące odłogiem.

— Jeżeli ci rękę oddam, rzekło, i stanę się twoją — musisz mi przyrzec że się cały nauce poświęcisz. Akiba przyrzekł, zaślubili się potajemnie, ale ojciec dowiedziawszy się o tem małżeństwie, oburzony wyrzekł się córki swej i wraz z mężem wygnał ją z rodzicielskiego domu.

W pierwszych dniach nie wiedzieli gdzie się podziąć nowożeńcy, błądzili bez przytułku, bez chleba prawie, a noce spędzali na garści słomy pod gołym niebem. Podanie mówi, że piękne, czarne włosy żony Akiby pełne raz były startej słomy, a mąż obierając ją z warkoczów, wzdychał nad tą nędzą swoją.

— O duszo moja, mówił do niej czule, gdybym mógł, o jakżebym cię przystroił i kosztownościami okrył całą... Złotą Jeruzalem zawiesiłbym na piersiach twoich.

(Ozdobę złotą z wyobrażeniem miasta Jeruzalem nosiły zwykle bogate Izraelitki.)

Gdy to mówił nie postrzegł jak się zbliżył nędzacz odarty i rzekł mu:

— Miejcie litość nademną, dajcie mi garść waszej słomy, żona moja chora leży w boleściach, nie mam co podesłać pod nią.

Akiba tknięty jego mową, zwrócił się do żony.

— Patrzaj, rzekł, oto ten biedak nędzniejszy jeszcze jest nad nas. (Talmud. Nedarim.)

Dotrzymując słowa danego żonie, Akiba który wprzód uczonych nie cierpiał a naukę miał w pogardzie, udał się do szkoły publicznej w Nachum Gamsu, i chociaż dorosły począł od najniższych stopni.

Legenda mówi że gdy szedł smutny rzuciwszy żonę, natrafił zamyślony idąc na mały wody strumień, który przebiwszy skałę na wylot, płynął utworzywszy nad sobą sklepienie. Obraz ten go uderzył.

— Jeżeli słabe wody krople, rzekł w duchu, mogły tę twardą przebić opokę, czegoż nie dokażą rozum i wola człowieka? czegoż nie dokażą święte słowa pisma Bożego na miękkim umyśle ludzkim?

Tak nabrawszy odwagi, stanął przed przyszłymi nauczycielami swoimi. Podanie mówi, że miał naówczas lat blisko czterdziestu a nic się wprzód nie uczył. Począł więc od głosek i niecierpliwie idąc dalej, postępował w nauce. W domu zamknięty rozmyślał nad tem czego się uczył w szkole, badając samego siebie o przyczynę każdej rzeczy, rozważając prawidło wszelkie, usiłując rozwiązać każdą nastrojącą się wątpliwość.

Ubogim będąc i nie mając żyć z czego, szedł każdego dnia zbierać drzewo, sprzedawał swą wiązkę na targu, połowę zarobku żył a drugą odkładał na odzież i inne potrzeby. Żona jego wygnana przez ojca, poszła na służbę i żyła nędznie, mężowi przesyłając wszakże nie wyrazy stęsknienia i bólu, ale zachętę do pracy. Trwała nauka wedle podań lat dwanaście, Akiba przeszedł swych mistrzów, z ucznia stał się słynnym nauczycielem, otaczały go tłumy słuchaczy, kilkanaście tysięcy młodzieży. Żona spokojna oczekiwała jego powrotu. Miała ona sąsiadkę dokuczliwą, która jej nieustannie wytykała to że była opuszczoną przez męża, że ją jak wdowę samą jedną porzucił.

Biedna kobieta odpowiadała jej cierpliwie:

— Jam sama tego żądała, wymagałam aby lat tyle poświęcił nauce, prosiłam go żeby ją przedłużył jeszcze lat dwanaście.

Doniesiono o tem Akibie, który z danego pozwolenia korzystał i pozostał znowu nad swemi księgami.

Liczba jego słuchaczy pomnożyła się we dwójnasób; nareszcie dobiegł kres lat naznaczonych i Akiba wyruszył w strony rodzinne.

Sława jego już była naówczas głośną, całe miasto wyszło przeciwko niemu, w tłumach szła też i poczciwa żona jego.

— Jakże ty śmiesz w tych oszarpanych łachmanach stanąć przed nim? pytała ją, zła sąsiadka.

— Mąż mój, odpowiedziała, zna duszę moją. Gdy się z sobą spotkali, żona rzuciła mu się do nóg i ucałowała je. Uczniowie mistrza nie znając jej odepchnąć chcieli, ale wstrzymał ich, mówiąc:

— Puśćcie ją, gdyż to czem jestem i czem wyście się stali, jej jest zasługa. (Ketuboth.)

Stary teść Akiby przebaczył mu nareszcie i oboje z córką wziął do swego domu, dzieląc się z nimi dostatkami swemi.

Nauczycielami Akiby byli dwaj, ale różnego ducha mężowie, Eliezer potężnego umysłu, którego zwano naczyniem zamkniętem, bo kropli nie uronił z tego co przez usilną pracę zebrał, i Nahum przebiegły a bystry, rozbierający drobnostkowo rzecz każdą, zapuszczający się głęboko w badania. Z obu ich uczeń korzystał zarówno; od pierwszego wziął naukę, od drugiego zmysł jego krytyczny.

W tych czasach gdy Akiba rozpoczynał nauczanie, krążyło mnóstwo podań i tradycyi nagromadzonych przez wieki, lecz w piśmie nie zawartych jeszcze; Akiba usiłował dla utrzymania ustnych podań podeprzeć je powagą pisma, wnikając w najtajniejsze jego skrytości, tłumacząc, objaśniając, wywodząc. Stworzył on szkołę i metodę nową, która nadała życie nauce i wzbudziła uwielbienie powszechne. Zgodzenie tradycyi z pismem było głównem pracy jego zadaniem.

Metoda jego była ścisłą i żmudną aż do drobnostkowości, wymagał od nauczycieli i od uczniów, aby niewiele, powoli i powtarzając jedno nauczali. Gospodarz, mówi o nim współczesny, w jeden kosz zsypuje wszelkie ziarno spadłe zbierając je w polu, ale przyszedłszy do domu przebiera je i każde odkłada z osobna; tak uczeń powinien postępować z nauką, oddzielić część jej każdą, rozebrać, uporządkować.

Była to chwila gdy życie religijne silnie obudzone gorzało; tworzyły się sekty, walczyły przekonania różne, wykłady odmienne, odszczepieństwa; filozofia starożytna świetna i jasna nęciła swoim urokiem, chrześcijaństwo zyskiwało codzien nowych prozelitów głównie pomiędzy żydami; gnostycyzm także poetyczne mrzonki swoje szczepił na starym pniu monotheizmu żydowskiego.

W tym czasie gdy wielu nawet z między uczonych żydowskich nawracało się i odstępowało od judaizmu, żył właśnie Akiba, usiłując utrzymać się wiernym starym religijnym podaniom.

Jedna z legend o nim powiada, że tak głęboko sięgnął w tajnie samej istoty Bożej, iż aniołowie przelękli chcieli ukarać zuchwałstwo jego, ale Bóg wstrzymał mściwych wysłańców. — Zostawcie go w pokoju, rzekł — godnym jest, aby rozpamiętywał wielkość moją.

Akiba który życie poświęcił nauce i kształceniu się surowemu, był też niesłuchanie surowym w ocenianiu spraw ludzkich i wszystkiego co w oczach pogan uchodziło za cuda. Zimną krytyką faktów zbijał on mniemane czary, a na zapytania odpowiadał wskazując niezmiennie, istotne natury prawa.

Troskliwość o zachowanie czystości nauki, narażonej wówczas na najrozmaitsze wykłady skłoniła Akibę, do zakazu czytania ksiąg potajemnego, szczególnie heretyckich. Samo nawet pismo święte przepisane przez odszczepieńca już za sprofanowane i niebezpieczne uważał.... Ta srogość nauki nie tylko nie odstręczała od niego, ale nadawała mu wielką powagę. W całej Palestynie, piszą współcześni, nie było równego mu męża "serce jego święte i myśli wielkie jako złocista opona okrywały pismo Boże. " Pomimo tej wziętości Akiba pełen był pokory.

Podanie mówi, że gdy raz szkoła już pełną była ludzi, a uczniowie wszyscy, obyczajem wschodnim siedzieli na ziemi, tak iż Akiba na miejsce swe inaczej by był przejść nie mógł jak deptając po głowach tłumu, wolał pozostać ostatnim przy drzwiach, niżeli się tego dopuścić. Wszyscy żądali aby zajął miejsce swoje, lecz on usiadł u nóg ostatniego ze słuchaczy, aby się nie przedzierać deptając ludzi.

Znakomity uczony tamtego czasu Rabbi Ismael, opłakiwał śmierć ukochanego syna. Było zwyczajem że cała szkoła w takich razach udawała się do siedzącego w żałobie, dzieląc jego boleść i cześć mu wyrządzając. Razem z innymi przyszedł doń i Akiba. Ale gdy miał w imieniu wszystkich przemówić do ojca, głosu podnieść nie chciał, aby się nie zdawało że szkole przodkować pragnie.

Gdy potem po stracie jego własnego dziecka, przyszła doń szkoła cała, rzekł w pokorze.

— Przyjmuję cześć mi wyrządzoną, albowiem nie mnie ją oddajecie, ale religii której jestem nauczycielem. Im człowiek więcej wynosi się z nauki swojej, mawiał, tem się staje godniejszym pogardy.

Gdy któryś z nauczycieli cieszył się zbyt z odniesionego w rozprawach zwycięstwa, Akiba mu rzekł ze smutkiem: Jaśniejiesz radością ja boleję nad zwycięstwem twojem, gdyż czuję że pokutować za nie będziesz.

Mówią że gdy raz wielka posucha trwała przez czas długi w Palestynie, nakazany został post i modlitwy dla uproszenia deszczu... Akiba zaledwie usta otworzył, ukazały się chmury i obfite potoki zlały ziemię spragnioną. W najtrudniejszych razach wybierano go dla łagodności charakteru i spokoju ducha, by między poważnionymi zgodę czynił, nieprzyjaciół pojednywał — słowa jego niosły zawsze z sobą pokój i miłość.

Treścią nauki jego było: Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boże, bodziec mieć powinien w tem, że do doskonałości dążyć może; obowiązkiem jego cnota, największą dostojnością nauczanie wiary. — Wszystko przewiduje Opatrzność, ale człowiek jest wolnym... Sumienie samo karze grzesznika.

Wedle Akiby kara za grzechy doczesne po śmierci wiekuiłą być nie mogła, niektórzy rabbin przyjmowali wieczne potępienie, on je odrzucał.

Najczęściej zwykł był powtarzać wyrazy: "Bóg wszystko wie ku dobremu." Szczególniej w boleści, obawie, strachach i dolegliwościach pocieszał się tą myślą.

Raz, będąc w podróży, miał z sobą osła i koguta. Na noc, mówi legenda, przybył do jakiejś wioski szukając gospody po domach, ale mu przyjęcia odmówiono.

— Bóg wszystko wie na dobre, rzekł i odszedł na nocleg do gęstego lasu, zapaliwszy światło. Ale wiatr latarnię mu zagasił — położył się więc gdzie stał, powtarzając ciągle jedno:

— Co Bóg dał, dobrze dał!

W tej chwili dziki kot zadusił mu koguta.

— Co Bóg dał, dobrze dał! rzekł znowu. Wilk przypadł i rozdarł mu osła, powtórzył jeszcze toż samo spokojny. — Ale podanie tłumaczy iż w istocie wszystkie te straty i utrapienia na dobre mu wyszły, ratując życie.

Pokora i ufność w Opatrzności cechami są wybitnymi jego charakteru.

Raz u łoża konającego świątobliwego człowieka, gdy wszyscy boleścią jego boleli z nim razem, jeden Akiba okazał się wesół i spokojny.

Zapytano go o przyczynę.

— Nie ma człowieka bez grzechu, rzekł, raduję się więc że ten cierpieniem za winy swe odpokutuje.

Inny uczony leżał złożony chorobą, trzech starcy odwiedzili go razem z Akibą. Pierwszy z nich zaczął go wychwalać:

— Nauka jego pożyteczniejsza jest dla Izraela niż deszcz dla ziemi, gdyż deszcz rzeźwi i budzi pola do żywota cielesnego, a jego mądrość ukaja duszę do duchownego, wiecznego życia. Drugi rzekł: Mądrość jego pożyteczniejszą jest niż światło słoneczne, bo światło słońca wiezie nas po ziemi, a nauka jego ku niebiosom.

Trzeci mówił:

— Tyś dla Izraela więcej niż ojcem i matką gdyż ci dają, ziemskie życie, ty niebieskie. Gdy kolej przyszła na Abibę, ten począł: — O! jak słodko jest cierpieć na ziemi. Chory tknięty do głębi temi wyrazy, obrócił się do przytomnych i rzekł:

— Podnieście mnie, abym mógł lepiej tych słów świętych słuchać. Wśród cierpień narodu, mawiał:

— Przystoi Izraelowi boleść, jako białemu rumakowi cugle purpurowe.

Wiara jego była, rzecz można, wstydliwą, zamykał się sam na długie modlitwy, w obec ludzi modląc się krótko, a obowiązki powszednie życia spełniając gorliwie. Pomimo że pismo nakazuje obchodzić święta wytworniejszemi sukniami i jadłem, Akiba zawsze w obojgu był bardzo skromnym. — Bóg, mawiał, łatwiej wybacza grzechy popełnione przeciwko Niemu, niż ze szkodą bliźnich; sprawiedliwość należy nietylko Izraelicie od Izraelity, ale i poganinowi. Maluje dobrze i epokę i mędrca i naukę jego zadanie moralności praktycznej, które na sposób wschodni do rozwiązania uczonym danem było. Dwóch ludzi znajduje się na pustyni, mają oni z sobą jedną niewielką wody flaszkę, mogącą ocalić człowieka, ale nie ich obu. Idzie oto jak powinni postąpić? Jeśli się tą wodą podziela, nie starczy ona aby obudwóch uratowała, oba więc zginą. Rozmaicie rozwiązywano zadanie, wielu było za tem aby się oba dzielili

wodą i umarli, Akiba za obowiązek uważał, aby się jeden poświęcił i życie drugiemu ocalił. Rozwiązywał to surowym musem i prawem, a nie miłością. W innym razie oświadczył się także przeciwko sądowej karze śmierci, wysoko ceniąc życie ludzkie. Stawszy się bogatym przez teścia, Akiba był ojcem ubogich, wszystkich stowarzyszeń miłosiernych wodzem i opiekunem. Mawiał on, że kto nie ratuje chorego, ter, winien jest, jak gdyby go zabił. Świętość małżeństwa wysoko podnosił. Zburzenie Jeruzalem, świątyni i męczeństwo całego narodu nie zachwiało w nim wiary w Opatrzność i niemylność praw Bożych, w nadzieję miłosierdzia. Patrząc na zwycięzców, płakali otaczający go, on jeden wśród dymiących ruin grodu świętego uśmiechał się spokojnie... pocieszał niezwalczoną nadzieją lepszej przyszłości. Był on dla współbraci otuchą i podtrzymywał ich w dniach zwątpienia, miłością narodu swego, przywiązaniem do wiary i obyczaju. Mimo to, pod ostatek życia, zebrał się przeciwko ciemności Rzymianom w duszy jego gniew wielki; gotów na męczeństwo, zdawał się go oczekiwać. Żył Akiba w czasie najgwałtowniejszego prześladowania Rzymian, straszliwego, bezdusznego rozlewu krwi swoich braci, za dni Domicyana cezara które liczono morderstwami, gdy na wydanie ludzi na męczarnie dosyć było podejrzenia i fantazyi mściwych nieprzyjaciół. Stan żydów, chociaż ich więcej nad innych różnowierców nie prześladowano, był okropny... Świeże jeszcze rany nie przeboleły... Vespazjanowy ucisk się przedłużał, łączyła się doń pogarda i sromotne z żydami obejście. — Zabierano mienia tych, którzy je ukryć zdołali od rabunku, ścigano spokojnych... Rozeszła się wieść w tych dniach męczarni iż pomiędzy żydami znajduje się potomek Dawidów... ulękniono się aby pod jego wodzą nie powstał żydzi. — Nakazano śledzić pilnie, dość było podejrzenia najlżejszego by być w ręce katów wydanym. Domicyan tępił i zabijał chcąc koniecznie tego królewskiego potomka wynaleźć.

Prześladowano nietylko żydów, ale licznie naówczas na wiarę żydowską nawracających się; Akiba wielu pogan miał pomiędzy uczniami swoimi. Niewiasty rzymskie i całe rodziny przyjmowały monotheizm Hebreów. Karano ich śmiercią, wygnaniem, zabranie majątku. Tak Domicyan krewnego swojego posądzonego o judaizm (a może o wiarę chrześcijańską) Fleviusa Clemensa skazał na śmierć, a żonę jego Domitillę na wygnanie. Podanie mówi, że Aika udał się do Rzymu, aby postanowioną, już rzeź odwrócić, że jeden z Senatorów mu do tego dopomógł i życiem to przypłacił. Umierając miał mienie swe przekazać Akibie.

Po śmierci Domicyana, w czasie krótkiego panowania Nery, żydzi mieli parę lat spokoju; prześladowania ukrócono, nałożone na nich podatki zniesiono. Pierwsze lat dziesięć panowania Trajanowego były też dosyć szczęśliwe, ale miały się opłacić boleśnie. Wyprawa Trajana przeciwko Parthom, w ciągu której rozproszeni po Syrii, Mezopotamii, Armenii i Persyi żydzi opór mu stawili, rozdrażniły Rzymian. — W Syrii wymordowały legiony żydów mnóstwo.

Hadryan prześladował szczególnie uczonych, którzy uczucie narodowe żywili i przechowywali.

— Wybuchło powstanie żydowskie w czasie zamieszek nad Eufratem, i żydzi korzystając z tego w Cyrenie, Cyprze, Egypcie wielu Rzymian wymordowali. Akiba w tych straszliwych czasach nie siedział nad księgami i w szkole, stał się mężem czynu. —

Rzucił on nauczanie i udał się w dalekie kraje obudzać mężstwo swych braci, sam życie swe nieustannie narażając. — Przebiegł tak Cyrene, Cypr, Egipt, oddalone wyspy i grody, siejąc wszędzie przyszelego powstania nasiona.

Udał się w ciągu tych wędrówek do Nisibis, sławnej w owych czasach ze swej szkoły, był w Arabii; jest rzeczą dowiedziona, że Izraelici mieli udział wielki w wywalczonej niezawisłości grodów perskich. W Cyrenie wodzem ich był niejaki Andreas, w Cyprze Artemion. Trajan wojował w Babytonii, a Lupus wódz jego w Egipcie pobity został przez Egypcyan połączonych z żydami. Andreas udał się do Palestyny dla poburzenia tamtejszych żydów; w Mezopotamii powstanie pod oczyma Cezara wzrosło straszliwie.

Ale nareszcie Martius Turbo uśmierzył Cyrenę, Andreas padł w boju, Hadryan zwyciężył w Cyprze, Lucius Quietus nad Eufratem i w nagrodę otrzymał rządy Palestyny.

Po tych wypadkach zemsta Rzyman przeciwko Izraelitom nie znała granic, rozpoczęło się dzikie prześladowanie wiary i narodu. Pod karą śmierci zakazywano żydom zachowywać ich przepisy religijne, sądzono że wykorzeniając wiarę, przez nią zniszczą narodowość.

Akiba wśród tych prześladowań okazał się niezmordowanym i nieuleknionym, podtrzymywał mężstwo braci, wynajdował środki oparcia się, uniknięcia srogich przepisów. — Tajemnice wiary, obrzędy religijne postanowiono spełniać po domach.

Akiba w podróżach swych, które przedsiębrał nieustannie życie narażając, starał się obudzić miłosierdzie rozproszonych braci dla tych co cierpieli prześladowanie, wyjednać dla nich pomoc. Wymową, swoją do łez pobudzał, naród porównywając do Hioba.

Zdaje się że dawne stósunki wiązały go potajemnie ze sławnym Bar Kochbą... lękano się o jego życie. Na łożu śmierci Eliezer upomniął go aby więcej ksiąg pilnował. — Zaczęto jednak ścigać zażarcie rabbinów i uczonych. Rufus ostatki świątyni zburzonej kazał niszczyć aby wspomnień i żalu nie budziły. — Gamaljela na śmierć skazano. Quietus spełniał surowo wyroki Trajanowe; de żydzi mężnie znosili prześladowanie, przywiązując się mocniej jeszcze do wiary i narodowości, których zachowanie stanowiło dla nich pociechę i rodziło nadzieję... Bardzo niewiele liczono odstępców, pomiędzy nimi był Eliszah, uczoney w prawie izraelskiem i greckiem, którego zdrada zasmuciła wszystkich. Eliszah wiodąc Rzymian za sobą, wpadł na zgromadzenie rabbinów, zmusił ich do przerywania obrzędów i odkrył sposoby jakimi starali się uniknąć prześladowania Rzymian.

Przelekli się naówczas starsi aby podobną zdradą własnych braci cały naród nie był zmuszony do odstępstwa. Zebrała się rada tajemna, szukano środków ocalenia. Postanowiono gdyby kto groźbą "śmierci zmuszony był do złamania prawa Mojżeszowego, słabość tę uniewinnić, dla ocalenia życia mniej wytrwałych. W trzech tylko wypadkach groźba śmierci nie uwalniała; gdy szło o bałwochwalstwo, mord i nieczystość.

Z wielu ofiar ówczesnych historia wspomina szczególnie dwóch braci Juliana i Pappusa, których wiek młody, niewinność, męztwo wobec śmierci, męczennikami uczyniły. Rozkazano im złożyć ofiarę bałwanom, a gdy odmówili sam kat ulitowawszy się ich młodości, dał im do zrozumienia, że byle tylko pozornie pokłonili się posągom, od śmierci mogą być wolni. Młodzieńcy wszakże nie chcieli swem odstępstwem boleści uczynić współbraciom i nieustraszeni poszli na śmierć. To bohaterstwo wzruszyło niewymownie wszystkich; poszli na radę starsi do poważnej matrony, za świątobliwą uważanej i za jej zdaniem idąc udali się do Rzymu. Tu rozproszywszy się po ulicach miasta, bładzili wołając: O nieba, czyż nie wszyscy ludzie jesteśmy bracią" synami jednego ojca? jednej matki? nie jesteśmy my już ludźmi? Podania hebrajskie mówią że ta boleść tak wielka, to wołanie wzruszyło i skłoniło Rzymian do litości, że Trajan w ostatnich latach panowania prześladowanie ukrocił. Dzień w którym odwołano dawne rozkazy, uczczono jako święto, nazwano go imieniem Trajanowem.

Akiba w tym czasie opuścił był państwo Rzymskie, gdzie podejrzania i niechęci ludzi wszelką działalność tamowały, udał się na Wschód dla zagrzewania serc współbraci rozproszonych. Jakiś czas przebył on w Zephyrium w Cylicji, potem w stolicy Kapadocyi, w Mezopotamii, w Apamea, nad Eufratem, nawet w Ethiopii, gdzie z panującym naówczas miał stosunki. Wszędzie starał się zbadać potrzeby, stan narodu i położenie wygnańców. Naostatek gdy się prześladowanie nieco uspokoiło powrócił do kraju, aby korzystać z pokoju i pracować w nim około jego przyszłości. Po śmierci Trajana następca jego Hadryan odwołał srogiego Quietusa i osądził go na śmierć, ale zadane przezeń narodowi żydowskiemu rany nic zawarły się jeszcze, wspomnienia ich były świeże i przerażające. — Wiele niewinnych ofiar budziło pragnienie zemsty, mnóstwo ludzi znaczących padło, głowy rodzin, nadzieje przyszłości. Łatwo było w takim stanie ducha Akibie umysły rozgrzać i pobudzić. Rozbolały naród jeden mąż energiczny poruszyć może, słowo jedno miota tłumami. Mężem który miał nieszczęśliwych Izraelitów obudzić i podnieść ku obronie praw swoich, był Symon Bar Kochba, co oznacza syn Gwiazdy. Nadano mu to imię dla uczczenia go, a później gdy się wybuch nieszczęśliwie zakończył uwiedzione ofiary zmieniły je łatwo na Bar Kosiba... syna fałszu. Bar Kochba śmiały, przedsiębiorczy, powierzchowności ujmującej, postawy wzniosłej; miał wszystkie przymioty wodza powstańców. Hadryan który państwo swe objeżdżając znalazł je całkiem spokojnem, miał mieć naówczas rozmowę z jednym z rabbinów, pozwalając na odbudowanie świątyni, której wzniesieniu

później przeszkodzono. Właśnie w czasie tej podróży Cezara, Akiba udał się do Bar Kochby a poznawszy bliżej mężstwo jego i energią, zdumiony wielkimi przymioty, nazwał go gwiazdą Jakóba, ogłosił Messyaszem.

W Talmudzie były przepowiednie że przyjsie zesłańca Bożego mają straszliwe klęski poprzedzić; zastosowano do nich niedawną krwawą przeszłość. Akiba ją wykładał, popierał go, ale wielu znalazł niedowiarków. Oznajmiono ludowi przyjsie Messyasza, tłumy zapaliły się nadzieją blizkiego oswobodzenia, zbiegły się tysiące pod dowództwo Bar Kochby., do nich przyłączyli się poganie z ohydy ucisku rzymskiego.

Przysposabiano oręż potajemnie, zawiązano stosunki z twierdzami, po całym kraju, Bar Kochba miał się za niezwycięzonego, ufając w wojska swoje. Wedle podań nie przyjmowano do nich nikogo, kto wprzód na próbę siły, drzewa z korzeniem nie wyrwał.

Wzdęty pychą wódz powstańców miał rzec: Boże, jeśli mi pomagać nie chcesz, nie posiłkuj przynajmniej nieprzyjaciołom moim, my ich sami zwyciężym.

Ta pycha i zarozumiałość jak zawsze" i wszędzie, zwiastowały upadek dumnego.

Na pierwszy odgłos o gotującym się wybuchu pospieszył Rufus, rządzca Palestyny, ale w spotkaniu został pobity i to rozniosło pożar szerzej jeszcze, wzmagając siły Izraelitów. W ciągu roku zdobyli oni pięćdziesiąt twierdz, grodków i dziewięćset osmdziesiąt pięć wsi. Hadryan który z razu mało przywiązywał wagi do tego ruchu, po pobiciu wojsk swych, uczuł niepokój. Żydzi ośmieleni odmówili podatków. Głównej wagi dla dalszego wojny postępu była twierdza Bitar w Palestynie. Tu stolicę swą założył Bar Kochba, i jak panujący bił monetę od swego imienia nazwaną. Po dwóch latach walki próżnej i krwi rozlewu Hadryan powołał z Brytanii najdzielniejszego z wodzów swych Severa i posłał go naprzeciw zbuntowanym. Ale żydzi tak się byli mocno osadzili w zajętych przez się stanowiskach iż Severus stanowczej bitwy wydać im nie mogąc, szarpał tylko napadami, odejmował żywność, ścisnął, osaczał, szarpał, dopóki Izraelitów w Bitar nie otoczył. Tu zmożony głodem i brakiem wody Bar Kochba, wystąpił do rozpaczliwej walki, broniąc się zajadle. Gdy inni się bili, pobożny Eliezer na poście i modlitwie błagał pomocy Bożej, ale oskarżony o zdradę przez zapalczywego wodza zabity został. Ta śmierć niewinnego była jakby przepowiednią upadku. Wkrótce potem Bitar wzięli Rzymianie, a Bar Kochba poległ w boju.

Ofiary tej wojny liczono do pół miliona głów, poległych od miecza, głodu, na polach bitwy i w rzeziach mściwego nieprzyjaciela. Kosztowało wszakże i Rzymian to zwycięstwo tak wiele, że się niem nie bardzo chlubić mogli. W rocznicę zburzenia świątyni jerozolimskiej, dnia 9. Ab przypadło wzięcie Bitar, dzień to był pamiętny klęskami dla narodu. Ścigano potem pozostałych którzy się kryli po lasach i pieczarach. Zgłodniali karmili się trupami swych braci, a wielu wywabionych zdradziecko ze schronień pozabijano. Innych posprzedawano w niewolę, przepełniono nimi więzienia. Hadryan odnowił

edykt Trajana zabraniający obrzędów i zachowywania praw, nauczania pisma i wiary. Rufus powołany po Sewerze do zarządu Palestyny, sroższym się jeszcze okazał dla słabych, bo mu dojmowało upokorzenie dawne. Jeruzolimę kazał Cezar osadzić poganami, posągi swe wznieść na górze na której była świątynia, a na gruzach jej nową bóżnicę Jowisza kapitolijnego. Imię nawet Jeruzalem zmieniono na Aelia Capitolina, od imienia Hadryana Aelius. Do stolicy ich dawnej wzbroniono przystępu Izraelitom. Na bramie wychodzącej ku Betlehem, wystawiono świnia głowę, na uragowisko i ohydę żydom. Zdaje się że Akiba, który moralny tylko miał udział w tym ruchu, w pierwszych chwilach po uśmierzeniu powstania, pozostał wolnym. Ale największe prześladowanie żarliwości jego dla wiary złamać nie mogło; na widok towarzyszy swych ścinanych i mordowanych wołał przeczuwając swój koniec:

— Gotujmy się na śmierć! dni wielkiej żałoby przed nami.

Szpiegi Rufusa śledzili kroki Izraelitów, szczególnie zwracając bacność na mężów uczonych i wykładowcy prawa. Akiba nieustraszony wszędzie publicznie nauczał wiary, próżno go ostrzegano.... Schwytany w chwili gdy wykładał księgi święte, zaprowadzony został przed Rufusa; ten osądziwszy go za jednego z głównych ruchu przewodzców, kazał wrzucić do więzienia i wyznaczył na ofiarę.

W ciemnej kaźni, o chlebie i wodzie, osamotniony, nie upadł na duchu Akiba, starając się i tu zachowywać o ile mógł przepisy prawa. Opis tych scen więziennych maluje człowieka surowość i potęgę ducha narodu. Akiba nie mając wody, ostatnie jej krople zlewał na ręce, zamiast się nimi orzeźwić, aby mógł oczyszczony przystąpić do modlitwy. Mnóstwo takich rysów przywodzą podania.

W więzieniu nawiedzał go, badał, uczył się od niego Rufus, jakby mógł srożej jeszcze żydów ciemnić. Odpowiedzi Akiby zachowane w podaniach świadczą o spokoju jego ducha i niezachwianej odwadze. Pozostali bracia pozbawieni jego rad, często uciekali się do najprzebieglej szych środków aby do niego dostać się mogli. Zapłacono czterysta Susim jednemu który ofiarował się przedrzeć do więzienia, aby żadaną odpowiedź (gdy uwolniony zostanie) przynieść od Akiby. Inną razą poprzebierani za przekupniów przychodzili wyszukanemi słowy tajemniczemi z nim rozmawiać. Przed zgonem dozwolono, jak się zdaje, widzieć się z nim synowi, gdyż nauki które mu dawał legenda powtarza.

Akiba skazany nietylko na śmierć, ale na srogie męczarnie, miał mieć z głowy zdartą skórę żelaznemi grzebieniami; szarpany okrutnie nie wydał jęku, a gdy wśród mąk nadeszła zwykła godzina modlitwy Szema, wyrzekł ją całą głosem spokojnym. Przelękły kat nawet sam zapytał go czy miał jakie czary przeciwko boleści.

— Nie mam żadnych czarów, odpowiedział męczony, czuję boleść jak inni ludzie, ale w głębi duszy się cieszę, bom dawno pragnął miłość ku Bogu

poświadczyć ofiarą życia mojego. Teraz przyszła spełnienia jej godzina, dla tego wesół jestem...

To rzekłszy dalej odmawiał modlitwę i przyszedłszy do słów: Bóg jeden i jedyny, ducha wyzionął. Wierny przyjaciel Akiby Jehoszua z Gerasa, który pożegnał go w więzieniu idącego na śmierć, poszedł smutny do domu. Legenda powiada iż na progu jego ujrzał postać podróżnego siedzącego (proroka Eliasza), który go zapytał:

— Nie żądasz li czego odemnie?

Jehoszua powitawszy go spytał, ktoby był i w jakim celu przybywał...

— Jestem kapłanem, rzekł mu prorok, a przybywam oznajmić ci iż Akiba leży zabity w więzieniu.

Naówczas oba z nieznanym udali się do więzienia; drzwi jego stały otworem, odzwierny spał, więźniowie byli uśpieni. Przybyli idąc ostrożnie doszli do lochu w którym spoczywały zwłoki, wzięli je na nosze i niepostrzeżeni przez nikogo wynieśli. A gdy wyszli za mury prorok sani zażądał ciało nieść na ramionach.

— Jakże ty kapłanem się mieniąc, możesz zwłoki nieść na barkach? zapytał Jehoszua zdziwiony.

— Bo w takich ludziach jak ten który zmarł, nie ma nic nieczystego, odpowiedział prorok. Idź za mną i milcz.

Całą noc szli z tym ciężarem, aż przybyli do miejsca zwanego Antefros. Tu droga spuszczała się w dół, na trzysta stopni, po których zstąpili, potem trzydzieści w górę, i stanęli u wniścia pieczary.

Otworzyła się jaskinia przed nimi i wszedłszy znaleźli tu łożo, stół, siedzenie, światło przysposobione, położyli więc zwłoki i gdy wracali światła zapłonęły a pieczara się zamknęła za nimi.

Eliasz zniknął wołając: Szczęśliwy, sprawiedliwy dla którego zgotowane jest miejsce poczyste tu na ziemi a nieśmiertelne w niebiesiech (Jalkut).

* * *

W czasie dosyć długiego opowiadania Jakóba, milczeli wszyscy słuchając; wrażenia były różne, malowały się one na twarzach przytomnych uśmiechami, powagą, wreszcie znudzeniem i niecierpliwością, ale gdy skończył, wszyscy niezmiernie gorąco dziękować czuli się obowiązani.

Powoli zarzuty z różnych stron odzywać się poczęły.

— Wiele w tem poetycznych fantazyi, rzekł Henryk.

— Tak jest, odpowiedział Jakób, ale każdy wiek osadzając drogie kamienie w arce podań, stara się nadać im blask, aby niemi swe bogactwo, dostatek i charakter oznaczył. Legendy tworzą się na obraz i podobieństwo narodu.

— Ja legend nie lubię, ozwał się inny, to są, zmyślenia.

— Tak są to zmyślenia, rzekł broniąc się Jakób, ale prawda historyczna nie większej jest wagi nad prawdę podaniową, która poświadcza ducha. Dzieje opisują, fakta, legenda daje ich pojęcie. Nie mniej maluje wiek to co człowiek mówi., nad to co czyni.

— Jakoś te dzieje dzikich prześladowań dziś wydają się nieprawdopodobne, mówił trzeci.

— Mogą się przecie powtórzyć z największymi szczegółami dziś jeszcze.

— O! dziś!!

— Tak, odparł Jakób — czy na nas czy na innym narodzie; zemsta dzika upojonego zwycięzcy zawsze idzie jednemi drogami. Za Nerona, Domicjana, Trajana, Hadryana... czy za... Niedokończył, uśmiechano się niedowierzająco.

— Ależ przecie w XIX. wieku!!

— W XIX. wieku! wzdychając rzekł Jakób, utinam sim falsus vates!

— Ale pan nam, przerwała piękna Muza, winienes przecie coś weselszego, przystępniejszego dla nas... coś z literatury hebrajskiej.

— Nie trudnoby mi znaleźć, odezwał się Jakób, ciężki tylko wybór z tych opowiadań, legend i niekiedy bardzo dowcipnych talmudycznych przypowieści.

— Posłuchajmy!

Jakób przewrócił kilka kart i począł:

— Rabbi Gamaljel rozmawiał raz z pewnym księżciem pogańskim o stworzeniu niewiasty, które mu opisał tak jak ono stoi w księgach biblijnych.

Wysłuchawszy książe się odezwał:

— Mój kochany, pan Bóg wasz był więc poprostu złodziejem; jakże napadł tego biednego Adama we śnie i wychycił mu — żebro.

Przytomną rozmowie była młoda córka Gamaljela.

— Pozwól, szepnęła mu do ucha... żebym ja mu odpowiedziała.

Rabbi skinął że się zgadza; a dziewczę poczęło nagle żałośliwie narzekać biegając i zbliżyło się ku księciu.

— Panie! zawołała — proszę was o sprawiedliwość !

— Cóż się to stało? spytał książe.

— A! niegodziwą popełniono u nas kradzież, odpowiedziała dziewczyna — wsunął mi się złodziej do domu i ukradł czaszę srebrną, na miejscu jej zostawując — złotą.

— A cóż to za uczciwy złodziej! zawołał książe, bodaj się. tylko tacy trafiali.

— Otoż takim nasz Bóg jest złodziejem, rzekła dziewczyna — wiał on Adamowi część ciała jego, ale mu dał w zamian piękną niewiastę.

— Dobrześ rzekła, odpowiedział książe — ale bądź co bądź, mógł to uczynić otwarcie, nie kryjąc się z tem, byłoby to ze wszech miar lepiej.

Po chwili dziewczę się odezwało:

— Książe pozwolisz mi tu przynieść kawałek surowego mięsa?

— Dobrze! rzekł zdziwiony poganin. Natychmiast podano mięsiwo, dziewczę zabrało

się do krajania, siekania i gotowania go w oczach coraz bardziej zdziwionego księcia. A gdy było gotowem, prosiło aby jadł.

— Moja kochana, zawołał książe usuwając potrawę, wiem ja że to się tak zawsze z mięsem robić zwykło, ale gdy na te przygotowania patrzę, już się pożywać odechce.

— Otoż panie, odparła dziewczyna, tak właśnie począł Bóg z Adamem. Nie wiem czyby mu w smak było, gdyby w oczach jego tworzył kobietę. (Talmud — Sanhedrin 39. a.)

Wszyscy się śmiać poczęli, chociaż widocznie dowcip dziewczęcia jakoś niebardzo wytrwornemu towarzystwu naiwnością swą przypadł do smaku.

— Talmud, mówił dalej Jakób, wie nawet dla czego nie z rąk, nie z nóg, nie z oczów, nie z ust utworzoną była Ewa.

— Daj pokój temu, przerwał Henryk pocichu, słyszę dobijanie się jakieś do drzwi, ktoś się domaga wnijscia, rzućmy te Talmutly.

— Toż pewnie nie obcy, co to nam szkodzi? spytał Jakób.

— Ale po co ma nas zastać zatopionych w tej żydowszczyźnie!! dodał Henryk. Jakób smutnie spuścił głowę.

— Zawsze się więc przeszłości naszej wstydzic będziemy? szepnął, czyż jej przez to nie potępiamy.

Domawiał tych wyrazów gdy Kruder blady i widocznie poruszony wpadł do salonu... po twarzy jego poznać można było że się jemu lub komuś blisko go obchodzącemu coś przytrafić musiało... cały był drżący, ale spojrzawszy na kobiece towarzystwo zamilkł.

— A! przepraszam że przerywam! rzekł cicho.

— Co ci jest? co się stało? spytał go Bartold na ucho.

— W tej chwili, rzekł ponuro, głęboko wzruszony Kruder, gdy wy tu spokojnie siedzicie za stołem, na Starem mieście....

— Co? co? zdałem się słyszeć przyspieszone zewsząd głosy.

— Na starom mieście wojsko tłumy zebrane morduje! Jakaś niespodziana demonstracja się odbywała... wystąpiło wojsko.... Mówią o wielu zabitych i ranionych....

Jakób rzucił książkę.

— Chodźmy! zawołał z zapalem, chodźmy, tam gdzie się krew leje, gdzie potrzeba ofiar... tam

i my być powinniśmy. Kobiety wielce przerażone ruszyły się z krzykiem z miejsc, nie wiedząc co począć.

— A! co robić? gdzie się podziać? wołano, możnaż będzie powrócić do domu... pokazać się w ulicach... wojsko....

Wrzawliwie posypały się pytania, Kruder ochłonawszy począł spokojniej opisywać stan miasta... ale głos mu drżał, wyrazy się rwały....

Jakób już chwycił za kapelusz, gdy Bartold surowo go powstrzymał.

— Czekaj, rzekł, widoczną jest rzeczą że się na coś większego zanosi... są to preludya dopiero; nie przeczę, iść winniśmy razem, ale nie bez rozmysłu i narady. Z mowy Krudera widzę że to co dziś zaszło jest rzeczą skończoną, na dalsze wypadki rozsądnie przygotować się potrzeba — Tylko nie bez narady, powtarzam, nie bez jedności, porywczo i poosobno... zobaczymy, pomówim... Zbierzmy się....

— Gdzie? pytali młodszy.

— Musimy się zebrać u Manna, nie możemy nic zrobić bez niego....

— Azatem rano.

— Jutro!!

Kruder padł na krzesło blady z załamanymi rękami.

— Azatem... kość rzucona! zawołał.

I głowę spuścił na piersi, ledwie dosłyszonym dodając głosem:

— Biedny kraj!!..

* * *

Przypomni sobie łatwo każdy ze świadków tych chwil niezabytych nigdy, że pierwsze owe sceny zaszły na Starem mieście, niespodzianie wcale przypadły dla ogromnej większości mieszkańców Warszawy, w chwili gdy szlachta niemal cała królestwa, powołana na ogólne zgromadzenie Towarzystwa Rolniczego znajdowała się na obradach w stolicy.

Nikt wówczas nie przewidywał mogących nastąpić wypadków, nikt ich nie pożałował, niewidzialna jakaś ręka pędziła ku nim. Najgorętsi nawet czuli ten oddech piekący poza sobą, nie wiedząc z czyich ust wychodził.

Jakób wybiegłszy dnia tego z domu Bartolda, nie mógł się powstrzymać by nie pobiedz na to miejsce, gdzie się odbył pierwszy ten bój cichy, dziwny... przerwany nagle grobowym milczeniem... Po drodze mało kogo spotykał; ludzie niemi snuli się przesuając do domów wśród mgły wilgotnej wieczora. Jak wmurowane stały tu i owdzie szeregi wojsk rozłożone po ulicach, posępne, milczące, chmurne. Na twarzy dowódców pływały czarne tumany, coś jakby oznaki walki żołnierskiego obowiązku z sumieniem człowieka. Około Hotelu Europejskiego spotkał tłum milczący szlachty wychodzącej z pałacu namiestnikowskiego. Tu oblicza były skłopotane, szeptano sobie na ucho nowinę wieczorną. Już mijał ich Jakób, gdy nawprost Hotelu uczuł się pochwyconym za rękę i nierychło wśród mroku nocy rozpoznał zapaloną uczuciem jakimś gwałtownym twarz Gromowa, towarzysza pani Colomi.

Gromów pochwycił go pod ramię i nie mówiąc słowa, prawie siłą, pociągnął za sobą na górę do Hotelu.

Weszli do pokojów które Włoszka zajmowała; znaleźli ją pogrążoną, smutną, zwiniętą w kątku kanapy. Przełęcznionemi oczyma zmierzyła Gromowa, który jej dał tylko znak niecierpliwy zmarszczonemi brwiami aby ich zostawiła samych. Jakób, który parę tylko razy widział Gromowa, zaledwie go dziś poznał.

Na twarz tę zwykle zimną, zastygłą wystąpił wyraz niepohamowanego zniecierpliwienia, niepokoju, gniewu nawet. Niepiękna, była w tej chwili majestatyczna siłą i potęgą — brew jowiszowsko była ściągnięta i namarszczona, wargi miał blade i ścięte, oczy płomieniste, ręce drżące.

Obejrzał się gdy Colomi po cichu, bojaźliwie się wysunęła i chwycił za rękę Jakóba.

— Słuchajno Waćpan, rzekł, młody jesteś, nie możesz być obojętnym na to co się tu dzieje, musisz wiedzieć o wszystkim, do wszystkiego należeć.

— Do czego?

— No, do projektowanej rewolucyi! to widoczna! rzekł trzęsąc się Gromów. Jakób zmierzył go oczyma.

— Ja o niczem nie wiem, rzekł stanowczo.

— Co ty mnie masz za szpiega i donosiciela, czy co? zawrzał Gromów odtrącając go od siebie.

— Opamiętaj się pan, zawołał Jakób, mówmy chłodno i rozsądnie. Nie zapominaj pan że ja niedawno przybyłem do kraju, że jestem żydem, i że — powiem otwarcie — w duszy jestem przeciwnym wszelkiej rewolucyi.

— Tyś przeciwny rewolucyi! podchwycił wybuchając Gromów.

I stanął milczący zamyślając się. — Dla czego? spytał po chwili.

— Dla tego że rewolucye do niczego nie prowadzą, rzekł Jakób, bo są straszną chorobą społeczną, konwulsjami... bo opóźniają normalny pochód ludzkości do jej celów, bo z nich korzystają tylko despotyzmy i szarlatany polityczne!!

Gromów patrząc nań, poczynął się uśmiechać. — Tak, tak, wiem to wszystko, wiem rzekł, ale są chwile i wypadki w których rewolucye stają się koniecznymi, gdy rządy do nich pchają same bezrozumem, uporem, głupotą wstrzymując ludzkość w swym biegu... gdy do ostatecznej rozpaczki kraj cały przywodzą uciskiem.

— Za długoby to trwało, gdybym chciał pana przekonywać, odezwał się Jakób, że na to są inne środki skuteczniejsze od rewolucyi — ale nie czas o tem rozprawiać... Daję panu słowo na to żenię jestem rewolucjonistą, i że do tej roboty się nie zdałem. Ale w dowód mojej ufności powiem panu także, iż gdy kraj, który za moją przybraną ojczyznę uważam, zażąda odemnie ofiary krwi i życia... i oddam mu życie i krew... pójdę z drugimi... Moskał się namyślił długo.

— Jesteś człowiekiem dobrej wiary, to wiem, rzekł, zresztą dość na ciebie spojrzeć, dosyć posłyszeć. Będę więc z tobą otwartym o ile nim być mogę nie zdradzając cudzych tajemnic. Ja jestem z zasady rewolucjonistą, bo Moskalem jestem, na mojej szyi obroża została wiekowe rany, na rękach mych są blizny kajdan, nogi się płaczą w niewidzialnych pętach, na umyśle, na sumieniu mem, na ustach wypieczono piętna niewoli. Dla mnie zginać samemu, świat wyrzucić, wylać strumienie krwi, jest niczem, byle ojczyzna moja wyszła raz z tej hańby poddaństwa moralnego, upodlenia, niewoli; byle krzepka, silna, zdrowa, odmłodziła dzwignęła się z tej kałuży krwi i błota w której ją topią. Ja chcę zbawienia a więcej jeszcze oczyszczenia Rosyi która w obliczu świata srom mi czyni, ja się do imienia Rosyanina przyznać dziś wstydę... ja się duszę w tych pętach... Oto mnie masz... takim jestem, nie taję się... w imię zbawienia mojej i waszej ojczyzny, mówię do ciebie.

Pochwycił go za rękę i poprowadził do okna.

— Tak jest, rzekł głosem stłumionym, u nas gwałtownie potrzeba rewolucyi, bo inaczej praw ludzkich nie odzyskamy nigdy... ale musimy ją robić wspólnie. Wy się rwiecie bezrozumni, oszaleni, na oślep, aby nas zgubić i siebie. Potrzeba wstrzymać wybuchy te, uspokoić pozornie, cierpieć, aż wybije godzina której

my wam znak damy... Naówczas pójdziecie razem z nami, odzyskacie prawa waszej narodowości; na pobojuwisku na którym legnie despotyzm połączą się bratersko dłonie nasze... Na Boga! nie psujcież nam pracy, nie psujcież nam pracy, nie gubcie własnej przyszłości porywami niewczesnemi!!

Pan możesz mieć wpływ, idź, proś, zaklinaj, nawracaj, błagaj... niech się powstrzymają... Rosya na wiek jeszcze zakutą zostanie w kajdany, jeśli wy się teraz porwiecie. Czeka na to rząd, chce tego, pragnie, podbudza, będzie przez szpary patrzył na przygotowania, uda bezsilność aby wam dodać zuchwalstwa... ale miejcież rozum, nie gubcie nas i siebie...

Rząd, jak w 1812, obudzi patryotyzm w tłumach, przywiedzie go do szafu, odprowadzi umysły od innych zaprzątnień na was, na Polskę, wypuści na nią zgrają swych brytanów, zaleje was bezduszną biurokracyą chciwą grosza, zniszczy, wysie, wywiesza, wymorduje, wytepi... Polska ocali Rosyą od rewolucyi a sama zginie...

I pochwyił się za głowę Gromów, a drąc i szarpiąc suknie na sobie, począł chodzić po pokoju.

— Ależ to szaleństwo! to samobójstwo! porywacie się na kilkadziesiąt milionów dzikiego tłumu, któremu z góry rzucają słowo nienawiści a urosnie w straszliwą walkę, międzynarodową. Wszystko się skupi w imię patryotyzmu około tronu, wszystko się zjednoczy przeciwko Polsce, my stracimy głos, przewagę, zwiążecie nam ręce, odbierzecie siłę...

— Wszystko to co mówicie, może być prawdą, odparł Jakób, wy lepiej Rosyą znacie nademnie, jej politykę, środki działania, ale cóż ja na to poradzić mogę? Widzieliście tu kogo z młodzieży?

— Kilku wojskowych, rzekł Gromow, ale to są szaleńcy, mają mnie za agenta rządowego dla tego że im niewczesny ruch odradzam. Szaleńcy! powtórzył, nie pojmują że dla rządu rewolucya wasza jest zbawieniem! dobrodziejstwem, potrzebą, że onby ją sam zrobić gotów gdyby mu tak dobrze ślepotą ich nie posługiwała. Wszystkłą swą chorobę wewnętrzną na was zleje Rosya, jeżeli się porwiecie... wy zginiecie a my...

Nie dokończył tak wybuch namiętny głos mu tamował.

— A! rzekł po chwili namysłu patrząc smutnie w górę, są fatalności ciężące na narodach... taka fatalność nad nami... Trzebaż było ażeby naród którego nam przeszłość i zamiłowanie swobody dawało za naturalnego przymierzeńca, stał się mimowolnie wrogiem, tych co swoją i jego niewolę skruszyć chcieli!! Jeżeli rewolucya wybuchnie, sto lat kajdan dla nas... wam... zguba — Ślepi! dodał, ślepi byście byli gdybyście nie widzieli że ta rewolucya którą manifestacyami, jak dzisiejszą rozpoczynacie, ta rewolucya jest przez rząd wywoływana, że ona go zbawi i ocali....

Gdybyście, nie wiem wiele, rok, dwa, trzy poczekać umieli... szlibyśmy razem do niezawodnego zwycięstwa.... Mielibyśmy czas przysposobić wojsko, zaszcześcić w ludzkie inne pojęcia, dokonać emancypacyi którą despotyzm dla siebie rozpoczął, a mybyśmy z niej skorzystali... Gdy płomień rewolucyi buchnie

nad Newą naówczas róbcie ją u siebie, prosimy, ale nie dziś.... Z kim tu gadać? z kim? dodał gorąco.

— Ale ja nie wiem, rzekł Jakób.

— Jakto nie wiecie? to być nie może! zawołał Moskał, wybyście nie wiedzieli!

— Szczerze wam powiadam... nieznana młodzież włada dziś wszystkim... młodzież więcej mająca zapału niż rachuby...

Gromow ręce załamał.

— Nie, to. być nie może, rzekł, w tem jest ktoś wyżej, co kieruje... czuję coś tajemniczego. Młodzież narzędziem ale któż ją, prowadzi? kto rozkazuje?

— O ile wiem, sami oni...

— Ale młodzież, mój panie, do czynu, do boju, nic do rady... płomieniste serca, głowy niedojrzałe.... Mogliżbyście losy kraju zdać na jej ręce? nie... nie.... Ty się mnie lękasz, ty mówić mi nie chcesz?

— Słuchaj pan, zwolna i spokojnie począł Jakób. Wyznasz że gdybym miał obawę, tak mało was znając, byłaby ona usprawiedliwioną może, ale daję wam słowo uczciwego człowieka że do spisków żadnych nie należę, nie wiem nic nad to jedno, że gdy uczuje obowiązek pójść z drugimi i dać się zabić -- pójdę i zginę.

Spojrzał nań Gromow zdziwiony.

— Wierzę ci, rzekł, ale jakże nie dzielając ich przekonań, masz iść z nimi na śmierć? To dla mnie, wyznam ci, heroizm niezrozumiały.

— Nie jest to heroizm żaden, odparł Jakób, my jako żydzi jesteśmy tu w położeniu wyjątkowem, potrzebujemy dowieść poświęceniem się, żeśmy synami tej ziemi, że ją kochamy...

— Ale jej tem nie zbawicie?

— Nie, zginiemy; wszakże ofiary życia są, silnym węzłem który spaja... krwią naszą zawrzemy sojusz z krwią Polski....

Gromow słuchał i dumał.

— Wszystko to bardzo piękne, mówił nieco się uspokajając, ale to są poezye, to ideały, a polityka nie cierpi uczuciowości... Polska powoli heroizmami ginie; więcej rachuby, przebiegłości, chytryści a mogłaby być ocaloną. Dla czego w ciemnych ciemnościach nie chciała zyskać sprzymierzeńców, gdy jej to było łatwo? dla czego dopuściła Niemców aby oni zajęli jej stanowisko i królowali Rosyi, dla czego nie starała się wcisnąć wszędzie, objąć nas, cywilizować, uzyskać wpływy? i z sobą liberalne wszczepić nam ideje?

Pełny był dwór, mówił dalej, ale kogoż, podłych pochlebców, dworni, lokajów waszych, a nie było mężów stanu coby się starali wnieść wyżej i rękę położyć na sterze. Od stu lat był czas... ale wyście go zmarnowali na zabawki, balowaliście a z balów w trzewikach szliście na rewolucye...

Wasze kobiety od walca... pędziły za mężami w Sybir... krzyczeliście, pisali, wypowiedzieliście wszystkie tajemnice słabości waszej, rząd wiedział czem was brać, w co uderzać; zwierzaliście się mu nawet pod sekretem kiedy mieliście robić rewolucyą... ażeby nie wziąć go zdradą. !! Dawaliście mu dobrodusznie

oreź na siebie... to też ginęliście i zginiecie!! Zasłużyliście na to, dodał gwałtownie.

— Nie, zawołał Jakób — zginie może jedno pokolenie, ale nie Polska i jej idea... Polska się zahartuje waszym uciskiem, nauczy się być wytrwałą i mądrzejszą pod pletnią kozacką, pod szubienicami, na mogiłach... Zteroryzują tchórzów, ale ich dzieci...

Gromow rozśmiał się ironicznie.

— Wiesz co powiedział raz w Kijowie wasz Rzewuski jednemu znajomemu mi generałowi naszemu??

— Nie słyszałem!

— Mam doskonały sposób poznać kiedy Moskal poczciwy a Polak rozumny, zawołał Hrabia. — Jakież? proszę nas nauczyć! spytał generał. — Niezawodny... oto spojrzeć na ręce, jeśli mu włosy na dłoni rosną.

— Tak, rzekł Gromow, wyście nie bardzo rozumni, a my Moskale niezbyt uczciwi, to prawda, ale wina nie nasza, od Iwana Groźnego pod różnemi pozorami uczono pokolenia całe kłamać, zabijać i kraść pro publico bono; trudno się było oprzeć tak długiej i starannej edukacyi. — Wszyscy to wiedzą.

— Ale wy!! wy byście już rozum mieć powinni, nauczyć go was mogłoby nieszczęście, zawody, męczarnie, upadki... Mimo to (winowat) pozwólcie sobie powiedzieć, żeście — głupi. Jakób stał ruszając ramionami.

— Ale czegoż chcecie odemnie? spytał zafrasowany.

— Jakto! wyście mnie jeszcze nie zrozumieli? podchwycił Moskal. — Ależ idźcie, proście, nawracajcie, opamiętywajcie, krzyczcie, niech wasza młodzież nie robi szaleństwa, niech powstrzyma rewolucyą, niech czeka!

— Ja — za mało na to mam siły.

— Przyślijcież mi kogo, z kimbym pomówił.

— Pozwól być szczerym, jakże chcecie aby wam, Moskalowi odradzającemu rewolucyą, uwierzono?

— To prawda, do stu... ależ ja... ja im dam dowody że wierzyć mi mogą" mam je na piśmie i na ciele mojem. Pokażę plecy całe poszarpane od knuta, pokażę te ręce r. a których białe blizny w pierścienie wypiętnowały kajdany.

Uderzył się w piersi.

— Nie! nie! nie uwierzą mi! ani tobie! ani nikomu! Spełni się wola ślepego losu na nieszczęśliwej Rosyi, w chwili gdy już, już miała sięgnąć po ten owoc dla niej zakazany — swobodę. Podeprą tron ramiona tych, co go wczoraj obalać chcieli... a dwornia głodna krwi ssać będzie dalej biedny lud nasz...

O! szatańskim śmiechem śmiać się będę z tej rewolucyi waszej! z szatańską zajadliwością ja pierwszy mścić się na was będę za utracone nadzieje. Tak! ja nawet gotówbym was ścigać i wieszać, a ze mną wielu moich... bo wy naszą także przyszłość burzycie.

— Jeszcze przecie nie jesteśmy w przededniu rewolucyi, uspokójcie się, odparł Jakób, to garstka młodzieży... szaleje nieco... któż wie? może się sama powstrzyma!

— Nie! odparł Gromow, jeżeli młodzież na czele, ani ona sama, ani jej nikt nie powstrzyma... nie skończy się to na niczem, doprowadzą do ostateczności. Ja tak na to patrzę... młodzież i lud dwie smolne podkładki, ogień być musi, to darmo. Ludu raz rozpędzonego nie powstrzymać, młodzieży rozpalonej nie ostudzić... spełni się dramat krwawy, ofiarny! Wiecznie i zawsze ofiary daremne, legniecie stosem trupów, a szajka biuralistów z piórem za uchem, z malczykami i samowarami rozgości się na pobojuwisku.

Widzę" patrzę — dodał — przeczuwam przyszłość waszą... krwawa, straszna !! Przesadzone wsie, wyludnione kraje, krocie ludzi w Sybirze, potwarze na naród miotane, sromotne naigrawania, bezduszną zemstę, ruiny, popioły... Ale dobrze wam tak będzie! zasłużyliście... zgubicie ojczyznę moją!

— Uspokój się par, — uspokój, przerwał Jakób.

— Mówisz o uspokojeniu — zawołał Gromow — a mieszkałeś ty w tej piersi? a wiesz ty co to wygnanie? a znasz ty katorgę?... Ja na cały żywot mój skazany jestem; jedno z dwojga, albo na kajdany niewoli, lub na ostateczne spodlenie... lub na to wieczne wygnanie, od którego oczy, serce, dusza odwracają się wciąż ku Ojczyźnie i krwią płaczą... Wieszże ty co to ojczyzna na obczyźnie? to matka, to ojciec, to siostry, to bracia, co zapomnieli cię, którym się ciebie wyprzeć kazano, którzy imienia twego wymówić nie mogą, bo imię twe wygnane jest z tobą... to tęsknota za ziemią co cię wypiaستowała, za chmurnem niebem, za nędzą, swoją... za wszystkim swoim... to śmierć i konanie powolne... To jeszcze nic gdy się cierpi samemu, możnaby i nie jęknąć — ale poza sobą. czuć miliony spodlone, znikczemniałe, skazane na zgniliznę, na ciemnotę, na wieczną niewolę, całe pokolenia wydziedziczone z darów Bożych... i tę ojczyznę kochaną — u ludów świata, w obliczu historii skazaną na hańbę, na wstyd barbarzyństwa i niewoli... Pomyśl o tem — i bądź potem spokojny!! To mówiąc Gromow się rzucił na krzesło.

— Przybyłem tu, rzekł powoli — ważąc głowę moją, jedynie dla tego aby was odwieść od szaleństwa... ale napróżno kołacząc. Jeżeli kraj istotnie w rękę młodzieży, nie ma ratunku... będzie rewolucya...

— Z czymże? spytał Jakób — bez broni? bez pieniędzy? bez wodzów i bez żołnierzy?

— Z kijmi pójdą i z torbami! krzyknął Gromow — rząd dopuści sprowadzenia broni, da wam uzbierać trochę pieniędzy, zamknie oczy, przyczai się — jemu trzeba nietylko żeby była rewolucya, lecz żeby się ona rozogniła, rozniosła, rozżarzyła po kraju... W to mu graj... Potem weźmie was gdy zechce, zgniecie w oczach Europy, a winę złoży na was samych. Jeśli jest najmniejsza chęćka do zrobienia burdy, stanie się... burda będzie z waszej strony heroiczną, z ich strony przebiegle zimną i okrutną... Ten wypadek usprawiedliwi to co z wami postanowiono zrobić oddawna, a w dodatku ocali carską Rosyą! zgubi ją na długo dla świata, postępu i swobody... da siły despotyzmowi...

Jakób milczał, Moskał się coraz bardziej rozpałał, aż wychodząca pocichuteńku z sąsiedniego pokoju Colomi, zwolna położyła mu rękę na czole.

— Słuchaj Sergjuszu, zawołała, ty się rozchorujesz.

— Nie - ja umrę, odparł Moskał, ja tego nie przeżyję.

I spuścił głowę na piersi, ale wkrótce podniósł ją i pięść do góry.

— A! jeśli w proch pójda nadzieje nasze, rzekł groźno — biada wam — biada!!

Jakób spoglądał na zegarek, położenie jego było przykre, sam nie wiedział co począć z sobą, Moskał jakoś to nareszcie dostrzegł i — jakby go kto zimną oblał wodą — pociągnawszy ręką po twarzy, otrzeźwiał — ostygł. Stał się znów człowiekiem salonu i dobrego towarzystwa, z energumena jakim był przed chwilą.

— Daruj mi pan, rzekł wzdychając, zem pana uczynił świadkiem mojej boleści nieprzyzwoitej"...

przepraszani... Ale dziki człowiek siedzi pod tą cywilizowaną skorupą, dziki, bo go uczyniono dzikim, bo jego dzikość pielęgnują... O! biedni my jesteśmy — wierzcie — bardzo biedni. —

Idź pan, mów, staraj się, ruszaj, zabiegaj, a powstrzymaj nieszczęście, jeżeli można — niestety! zdaje się — zapóźno! Zresztą przyślij mi tu kogo, może też kto z nich mnie zrozumie.

Tak się naostatek pożegnali, Jakób wysunął się zadumany, wstrząśnięty, rozmyślając nad tem co słyszał... Gęste patrole snuły się po ulicach, szczęściem niezaczepony przez nie potrafił się dobić do domu. Wszedłszy do siebie zastał kartkę z pierwszego piętra od Muzy, która go prosiła i zaklinała aby natychmiast przyszedł do nich, że czekać nań będzie choćby do rana.

Jakób jakkolwiek bardzo zręcznie osaczony przez piękną swą prozelytkę, dotąd umiał się trzymać w pewnej odległości nie dopuszczając do zbyt poufałych i coś przyrzekających stosunków... Matka i córka napróżno różnego rodzaju ułatwieniami starały się go wciągnąć w niebezpieczną połapkę. Nieraz zostawiano ich sam na sam... Panna była nadzwyczaj łagodną, czułą; Jakób pełen uszanowania i w chwilach nawet zapału dziwnego pomiarkowania pełen. Były może godziny w których ta postać urocza, dysząca pozorną jakąś namiętnością, przypominająca bacchantkę, czyniła na nim mimowolne wrażenie — ale panem siebie zostawał zawsze, a miłość ku Tildzie była dlań tarczą broniącą od wszelkiej nawet śmielszej myśli.

Dobrze z północy już kartkę tę oddał mu służący, dodając że nań na dole czekają; Jakób się zawahał, ale domyślając się naturalnie że w tem być musi jakiś interes tych pań nagły, zejść musiał. Nie jesteśmy w stanie zapewnić czy to spotkanie całe z góry nie było ułożone. W salonie zastał Mużę przebraną w lekkim wieczornym przyodziewku niezmiernie skromnym, z włosami gładko uczesanymi, z ogromnym włosów warkoczem od niechcenia skręconym, z nieco przypadkiem odsłoniętymi ramionami — trzymała w ręku chusteczkę jakby do projektowanego płaczu przygotowaną.

Ujrzawszy go powstała nagle, żywo i pospiesznie wyszła na przeciw.

— Panie Jakóbie, zawołała chwytając go za rękę — cóż się to dzieje? gdzie pan byłeś? Pan się pewnie mieszasz do tego! — a! zaklinam pana! jakkolwiek nie

mam żadnego prawa, prócz tego jakie mi daje szczerą przyjaźń moja — nie rzucaj się w tę grę niebezpieczną... zaklinani!

Patrzała mu w oczy, Jakób był zupełnie spokojny, cały rachunek chybiony.

— Cała drzę, dodała — drzę myśląc o panu! Ja tak jestem dziecinną! Daruj mi pan, nie tłumacz tego na złe — mam serce siostry dla niego.

I ścisnęła go powtórnie za rękę.

— Stokrotnie pani dziękuję, rzekł Jakób uśmiechając się łagodnie — ale daję pani słowo, że do niczego nie należałem, nie należę.

— Ale gdzie pan dziś byłeś tak długo, tak późno?

— Najosobliwszym trafem wstrzymał mnie jeden znajomy rozmową.

Muza potrząsała głową. — O! pan mnie nie oszukasz!

I ujęła go za obie ręce tak że czuł bicie jej krwi, jej oddech na swej twarzy, a oczy czarne zdawały się wpalać w głąb duszy.

— Panie Jakóbie — to się nie godzi! Ja się nie bez przyczyny lękam o pana!

— Powtórnie pani słowo daję, że się nie mieszam do niczego.

— O! nie wierzę!

Podniosła była nieco głos, ale go nagle zniżyła miarkując się.

— Mama dostała migreny, rzekła ciszej, zasnęła biedna... ja czekałam, narażając się na dziwne wyobrażenie jakie pan o mnie powziąć możesz... aby błagać go... Ale siadajże pan tu, przy mnie, dodała pociągając go za sobą ku kanapie, siadaj pan, mówmy otwarcie i szczerze.

Skłopotany nieco Jakób uczuł się wzruszony tym niepokojem, w którym ani mógł ani chciał się komedii domyśleć; nadto był szlachetnym a za mało zepsutym.

— Wiesz pani, rzekł, że jestem zawsze szczerym, że fałsz za występki uważam uwłaczający godności człowieka.

— A! tak! bądźmy z sobą otwarcie.

— Więc najotwarciej powiem pani, że nawet był — u Moskala! dodał śmiejąc się Jakób.

Ten uśmiech, chłód i przytomność zupełna Jakóba jakoś się dziwnie Muzie nie podobały, rachowała podobno że go w tym dniu znajdzie rozentuzjasmowanym, że ten zapal wpłynie na ogólne jego usposobienie; omyliła się jak się ludzie zwykle w swych domysłach myślą... Zrobiło jej się przykro — źle mówię — rozgniewała się na siebie i na niego... ale im trudniej było Jakóba rozplomienić ku sobie, natchnąć go miłością jakiegokolwiek bądź rodzaju byle gwałtowną, tem cel ten chciwszą była osiągnąć.

— A! to dobrze! to dobrze! odezwała się zmieniając głos i kryjąc uczucia, pan nie wiesz co się działo ze mną! Patrz pan jak jestem zmieniona! Wszak znać po mnie tę przeżyty godzinę niepokoju i śmiertelnej gorączki... o pana! szepnęła ledwie dosłyszonym głosem.

— A! pani, odpowiedział Jakób — czyżem ja na to zasłużył?

— Nie, nie zasłużyłeś pan na to — dodała szybko zawsze zniżonym głosem — pan jesteś dla mnie tak zimny — pan nie widzisz nawet tych uczuć jakie

obudzasz... I jakby mimowolnie za wiele wypowiedziała, zawstydzona, spuściwszy oczy zamilkła.

Jakób był przejęty; mimowolnie żał mu się jej jakoś zrobiło, schylił się milcząco i pocałował ją w rękę, Muza cała zadrżała, wstrząsła się jakby gorącym żelazem dotknięta, pochyliła na kanapę i zakryła oczy. — Podnosząc głowę zmieszany młody człowiek to postrzegł, pierwszy raz myśl ta, że ona go kochać może, jak piorunem go raziła. Uczucie to było dlań wyrzutem, podsycił je swoją nieroztropnością!! winien był zbrodni!! Cała szkarada postępowania lekkomyślnego stanęła mu w oczach, porwał się z miejsca przerażony, wylekły. To żywe jego pochwycenie się mogło być różnie tłumaczonym. Muza dłużej sceny sedukcyi przeciągnąć już nie chciała... rada była z tego co zaszło, milczenie jego mówiło wiele, wiązało go prawie.

— Idź pan, idź! zawołała żywo, jestem chora, nie wiem co mi jest... głowa mi pęka... sama siebie nie poznaję....

Jakób zawahał się jeszcze, spojrzął na piękną jej twarz zbladłą ze wzruszenia, drżącą jakimś uczuciem namiętne, i powoli — skłoniwszy się z uszanowaniem odszedł. — Ledwie drzwi się za nim zamknęły, pocichu wsunęła się matka.

— A co? spytała.

— A! straszliwie głupi! ruszając ramionami i ziewając odparła Emma... a! jakież głupi!

— Ja się boję czy nie za rozumny! potrząsając głową szepnęła Wtorkowska.

* * *

Nazajutrz rano zebrało się dość dużo osób, które nie były obowiązane lub nie mogły się znajdować na posiedzeniu towarzystwa, w mieszkaniu Manna. Mann który i tak miał się za wodza i kierownika, zdumniał jeszcze mając przewodniczyć obradom.

— Patrzcie, proszę cię, szepnął ojciec Symon do Bartolda, ten biedny Mann wygląda dziś jak pęcherz... uchwój Boże pęknie!!

— Nie bój się, rozśmiał się drugi, gdyby się to stało nawet, prócz trochy wiatru, nic nam więcej nie grozi.

W istocie gospodarz był przepyszny, patrzył na świat z wyżyn swej dumy, sapał, chwycił się co chwila za próżną głowę.

— Potrzeba się nareszcie nam naradzić, rzekł zagajając wspaniale posiedzenie usiadłszy na szeszlązku który zajął cały sam sobą... tak, położenie się komplikuje, trzeba coś postanowić en vue des événements futurs. Co czynić mamy? Naród nasz sływał z jedności, nią się utrzymał, co panowie mówicie?

— Ja, zawołał Symon uśmiechając się, ja mówię i wotuję ażebyś nam naprzód dał cygaro.

— Ale dajże bo pokój swoim żartom, tkając mu co żywiej cygaro żądane, zawołał Mann — to rzecz seryo! Jak myślicie postąpi szlachta?

— Szlachty rzeczą jest nie postępować wcale, szepnął Symon, wiele się sprzeczać, dużo krzyczeć, nie robić nic.

— A! to prawda! rzekł Mann, ale tą razą ich zmuszą.

— Częstkę jakąś może.

— Szlachta, dodam, zawołał Mann, obraziła nas, okazała się nam wrogą.

— Stójcie! szlachta jest szlachcą, począł Symon niepowstrzymany, zabierając głos mimo kwaśnej miny gospodarza, szlachta w nas zawsze widzi swoich arędarzy, to darmo, śmierdzim im jeszcze cebulą. Mimo to nie jest naszą nieprzyjaciółką. Mówmy no o innych elementach, bo dotąd ci panowie ani myślą się rzucać, i nie chcieliby brnąć.

— Jednak widocznie się przysposabia rewolucya — zawołał Mann.

— To być może, odparł Bartold, ale P. Symon ma słuszość, szlachta do niej należeć nie ma ochoty. W grze jest stan średni.

— A my czemże jesteśmy? spytał ktoś.

— Właśnie to że klasa średnia główną tu gra rolę, grozi nam że wciągnięci być możemy.

— Tak, możemy i powinniśmy się dać wciągnąć, przerwał Jakób z kąta. Dobijamy się praw obywatelstwa, to najlepsza sposobność by je pozyskać.

Mann się skrzywił.

— Mówiliśmy o tem nieraz, rzekł, to są teorye, rzecz trzeba rozwinąć praktycznie. Co tu jest interesem naszym?

— Interesem pierwszym, odpowiedział Jakób, w kraju w którym nas jest tylu, być uznanymi, przyjętymi, pobratać się, połączyć, to chwila jedyna.

— Tak, zrobiwszy razem z nimi głupstwo połączymy się doskonale, dodał Symon, nic tak nie łączy jak wspólnie zmalowany bąk... obie strony potem się wzajem uniewiniją.

— Symonie, dostałeś cygaro, niech ci ono usta zapieczętuje! prosił Mann.

— Ja ci dam drugie byłeś milczał, dodał ktoś niecierpliwy z boku. — Pytanie tedy, jaką my żydzi rolę odegrać tu mamy?

— Przepraszam, nie ma tu żydów są Polacy wyznania Mojżeszowego, poprawił inny.

Kilka osób temu wyrażeniu pierwszy raz użytemu żywo przyklasnęło.

— Pozwólcie panowie, dodał Jakób, jeżeli ta definicya się utrzymuje, ona rozwiąże wszystko.

— Przepraszam, zawołał Mann, bardzo przepraszam, stoi nierozwiązana kwestya, czy pójdziemy ze szlachcą która rewolucyi nie chce, czy z tymi co ją robią i pragną?

— Tu sęk! rzekł Symon, ja wotuję idźmy ze szlachcą, może dorobimy się i my herbów, ja natychmiast sobie tnę pieczętkę trzy cebule na tle złotem, w hełmie wspaniałe liście czosnku.

— A to utrapiony gaduła!! pięścią w stół bijąc przerwał Mann, będziesz ty cicho?

— No! już milczę.

— Rzecz bierzmy seryo, zdaje się że na to zasługuje, przerwał Bartold, Mann dobrze kwestyą postawił.

— Nie, zaprzeczył Jakób, kwestya nie jest dla nas czy mamy iść ze szlachtą czy tam z kim innym, ale co jest lepsze dla kraju... który przyjmujemy za ojczyznę naszą?

— Wybornie! Ale któż nie widzi, podchwycił Henryk, że rewolucya jest zgubą że się ona udać nie może, że pomagać jej byłoby to kraj gubić!

Maleńki człowieczek, suchotniczego pozoru wystąpił, obejrzał się, odchrząknął, i pomалу cedzić zaczął. — Byliśmy długo w pogardzie i poniewierce, czas jest przedewszystkiem nie wdając się w żadne rafinowane patryotyzm)', myśleć o sobie. Wieśniak nas nie lubi, to prawda, ale ten jest głupi, my się go nie bojemy; szlachta nas nienawidzi, pomiata, upokarza. Interesem naszym jest ocalić się i bronić.

Jeżeli rewolucya niechybna, szlachta przez sam punkt honoru, choć nie z ochoty do niej pójdzie, rząd który się jej obawia i nie cierpi użyje tego pretekstu aby ją tępić, nękać, wywłaszczyć, wydusić. Zważcie panowie, jeśli my ocalejemy, co za perspektywa? W każdym narodzie musi się wyrobić ponad massy jakaś intelligencya i rodzaj arystokracji... my jesteśmy materiałem gotowym... zawładniemy krajem...

— Słyszeliśmy już to, rzecz nie nowa, rzekł Jakób, rachuba nie wiem czy godziwa, ale może być słuszna... do pewnego stopnia. Naprzeciw niej stawię to tylko, że ocalając życie i majątki... nons sauverons tout... fors l'honneur. Sam ten fakt że my jedni zostaniemy cali, już nas potępi. Powtóre, część jakaś szlachty zostanie zawsze, potrzebie rząd się znuży i wyczerpie, Rosya ma wewnętrzne kłopoty i choroby... a za lat dziesięć...

— Za lat dziesięć, jeśli my tu nie będziemy panowali, tośmy trzech groszy niewarci!! zawołał ręką machając suchy człowieczek. Panujemy już przez giełdy i przez wielką część prassy niemieckiej połowie Europy... mamy w rękach kawałek Francyi jeśli nie całą... a tu będzie nasza stolica, Jeruzalem nowe.

— O mój panie! rzekł Jakób, daleko jeszcze do tego... przez egoizm nie zajdziemy do celu... lepiej jest zbratać się z krajem ofiarą szczerą, wyrobić sobie szacunek, dowieść że naród Izraela jest narodem szlachetnym, że uciemieniony nie spodli się nigdy stając przy sile, po stronie ciemieńców. Bądź co bądź, rachuba chytróści nigdy nie sprostą pocziwej rachubie... liczymy na rzeczy święte....

— Co, ty chcesz nas rozumu uczyć? przerwał Symon, żyd był od wieków chytry i musi nim być.

— Nie! nie i nie! zaprzeczał gwałtownie Jakób, niewola go zrobiła chytrym, ucisk go fałszu nauczył; rozbite kajdany, drogi otwarte; możemy pójść za głosem prawa, które było od tylu tysięcy lat naszą własnością, spadkiem duchowym, lub za siłą co burzyła nasze świątynie, co nas znaczyła piętnem wyklęcia, co rozlewała krew naszą! Drogą mi wielkość Izraela, dodał z zapalem, ale jej nie gruntuje ani na samym rozumie, ani na podstępnie, ani na fałszu, ale na prawie Bożem i sprawiedliwości. Przeciwko głosom narodów, przeciw wołaniu wieków, przeciw potwarzy dowiedzmy żeśmy synami tych co świętymi byli,

żeśmy istotnie dziećmi i narodem wybranym. Ja nie chcę dla Izraela wielkości innej, ani panowania innego, tylko pod chorągwią Bożą, a Bóg rozkazuje jedno — prawość!!

Gdy to mówił Jakób oczy jego płonęły, zapał na chwilę ogarnął niemal wszystkich, Symon począł go ścisnąć choć udawał że się śmieje, Mann tylko jeden trochę z zazdrości, trochę na przekorę, począł dziwnie ruszać ramionami.

— Aj! aj! rzekł, co to za śliczne deklamacje

— aj! aj! Jaktó znać kto niedawno w szkole bywał... aj! aj! ale co z Waćpana za dyplomata!

A dla czego, dodał porywając się z gniewem, my nie mamy dziś z radością patrzeć na pogwałcenie nieprzyjaciół naszych? czemu nie mają, oni paść pod nogi nasze, kiedy Bóg Izraela daje nam zwycięstwo? Staliśmy nieraz u progu tych pałaców na słocie, a psy ich nas szarpały. — Oni tam jutro przyjdą i odepchnie ich odźwierny... a dusza nasza rozraduje się zwycięstwem wielkiem.

— Tak, więc wyrzucamy to poganom co sami naśladować myślimy? zapytał Jakób — a czemuż naówczas lepsi od nich będziemy? godziż się nam dla zemsty kłaść bezduszością i dowodzić przez to że nasze prawo ją dopuszcza, lub, co gorzej, nakazuje. My to nic, my jako ludzie osądzeni będziemy — ale z nas świat osądzi naszą wiarę; co złego uczynimy na nią spadnie, na całego Izraela,

Dotąd winy nasze śmiało na ucisk i niewolę składać mogliśmy, one były ich dziełem, ale wyswobodzeni, zrównani w prawach, wolni, jeśli nie przestaniemy być tymi żydami jakimi nas znała Europa... biada nam!! Chcemy się podnieść? nie bogactwem, nie potęgą, nie rozumem nawet — podnieśmy się — cnotą!

— Student!! rzekł Symon pokazując na Jakóba, widoczna rzecz — student!

Niektórzy się uśmiechali, Bartold namarszczył.

— Wszystko to piękne, rzekł, cnota drogą jest każdemu człowiekowi pojedynczemu, w człowieku publicznym, gdy idzie o byt narodu, nie tą się już miarą mierzy.

— Jest to stary i zgubny przesąd, zawołał Jakób, przesąd równający się guślarstwu co kazały, trupać pić tłustość aby zostać szczęśliwym, tak samo nakazywali starzy politycy być łajdakiem dla zbawienia narodu. To fałsz, narodu złem ocalić nie można.

— Jesteś ostry, absolutny i niepraktyczny, rzekł Bartold, ale ci to darowane, bo życia i świata nie znasz....

— Po nad życiem i światem czuję Boga, rzekł Jakób, i prawo jego, a prawo nie cierpi wyjątków.

"Wybierzesz życie, mówi Mojżesz, ażebyś żył; będziesz miłował Jehowę Boga Twego, Prawo, bo On jest życiem Twojem i długością dni Twoich." — Kochanie moje, szepnął Symon, jak raz pójdziemy do Mojżesza na konsylium, będzie tej narady na trzy dni, a ja mam — spojrzął na zegarek — giełdę...

— Nie przeczę, przerwał Mann dumnie spoglądając na Jakóba, że pan Jakób mówi pięknie i szlachetnie, ale to są, ogólniki, prawo zachowawcze wyżej nad

wszystko stoi. Znacie to pytanie talmudu o naczynku wody? my Polaków nie ocalimy dzieląc się z nimi tą wodą, a podzieliwszy się nią zginiemy z nimi. Czy im co z tego przyjdzie że zginiemy razem?

Wszyscy milczeli, Jakób miał odwagę stanąć jeszcze w obronie swych przekonań.

— Starajmy się czynić wedle sumienia co można, rzekł, równie dla zachowania ich jak siebie, to obowiązek. Nie uchylajmy się od ofiar gdy konieczność ofiary przyjdzie, a w dniach boleści podzielmy się ich goryczą.

— Nadto Waćpan pieprz lubisz, rzekł Symon, będziesz go w życiu miał do syta, rękę ci.

— Ale tu giełdy godzina, a myśmy nic nie uradzili, poczęli się odzywać drudzy.

— Prawdę rzekłszy, dodał Bartold, ja nie wiem co na dzisiejszych danych uradzić i postanowićby można? Z wypadków jakie są i o tem co być może niepodobna wyrokować; rzeczy są jeszcze wielce niejasne, należy czekać, w ostatku godzę się z Jakóbem iść drogą prostą, tylko nie w przepaść.

Mówią, Polacy o cyganie że się dał dla kompanii obwiesić, tak daleko, sądzę, my nawet dla największej przyjaźni nie zajdziemy i zejść nie jesteśmy obowiązani. Nie sprzeciwiam się ofierze szlachetnej, ale piszę się przeciwko ofiarom bezużytecznym.

— I ja z wami, dorzucił Jakób, pozostaje tylko dowieść, czy są ofiary bezużyteczne, czy to co się ma prawo zwać ofiarą może kiedy spełznąć daremnie? Ofiara ma w sobie moc i siłę, które rodzą zawsze owoce... prędzej czy później.

— Wpadasz w mistycyzm, szepnął Symon, tą drogą dojedziemy do kabały... a ja się na niej nie rozumiem. Zdaje mi się że rozprawy skończone, bo rezultat zwykły... zero... otrzymaliśmy.

— Za pozwoleniem, przerwał Mann, nic nie wiemy, hę? powiedzieliście, otóż tu sęk, w tem wina. Jak to, żebyśmy my nie wiedzieli co się dzieje? do czego idzie?... Najpierwsza rzecz, potrzeba tam wpuścić kogoś, rozumiecie, coby rzeczy zbadał i objaśnił. Tak każe rozum i prosta ostrożność... idź ty Jakóbie!

— O! przepraszam, zawołał Jakób, w żadne spiski się nie wdam, szpiegiem, nawet dla swoich nie będę.

Mann ręką machnął.

— No, to się znajdą inni. Co to za szpiegostwo? aj! aj! Jaki delikatny! Ja tych komedy nie lubię.

Splunął gniewny.

— Ja się też boję, dodał Symon, znam to nawet tradycyi żydowskich że szpiegów wieszają, a to rodzaj śmierci i niewygodny i nieprzyzwoity... nogi na powietrzu.....

Mann machnął ręką komenderując

— Już ja to biorę na siebie, będziemy wiedzieli, a jeśli co ważnego zaszło, dla narady zawsze dom mój ofiaruję.

— Słowo jeszcze...

— Ani słowa! ani słowa! Giełda! godzina giełdowa!

— Tak, tak! godzina giełdy! giełda! powtórzyło kilka głosów i kilka rąk sięgnęło po zegarki... Giełda! wszyscy się zatem ruszyli co prędzej, prędzej daleko niż na uroczystość do świątyni, bo targ jest największą uroczystością i dla chrześcian i dla synów Izraela.

Józef Ignacy Kraszewski
Żyd

Tom 3

Pod wrażeniem rozmowy wieczornej z Gromowem, poszedł nazajutrz Jakób chcąc się widzieć z Kruderem, lub rozmówić z Iwasiem, ale pierwszego już nie zastał w domu, a drugiego nigdzie odszukać nie mógł. Wracając ztamtąd, przerażony odgłosem że do ludu strzelają, do bezbronno ludu który się przy trumnie gromadził, Jakób poczuł w sobie oburzenie i zapał taki, że zapomniawszy o wszystkim, poleciał na to miejsce gdzie świeżo właśnie padło pięć trupów.

Plac był oczyszczony, pusty, dramat smutny już się odegrał... ale po nim dopiero rozpoczynało się to wrzenie ogólne, ten przestach chwilowy uczciwszych Moskali, który w nich samych obudził jakąś odrazę do spełnionego czynu.

Czy była jaka rachuba w tej powolności chwilowej, dziś jeszcze trudno wyrokować — to pewna że z Petersburga szły rozkazy sroższe, a w miejscu wahano się z ich spełnieniem.

W naród wstąpiło męztwo, otucha, zapał niesłychany, właśnie po dopełnionym morderstwie; trupy noszono po ulicach, lud kipiał, młodzież jeszcze nieprzygotowana do czynu, patrzała na wybijającą jedyną godzinę, w której istotnie duch był tak nastrojony, że nie rewolucya, ale powstanie ogólne, straszliwe wybuchnąć mogło... Ale stanąć doń nie było z czem...

Rząd czy przez rachubę czy z jakiejś obawy cofał się widocznie; miano odwagę popełnić zabójstwo, ale widok trupów i uczucie wstydu od dalszych wstrzymywało kroków. Tłumy bezkarnie gromadziły się w kupieckiej resursie, gdzie pod wieczór wybrano delegacją do namiestnika ks. Gorczakowa; lud snuł się rozmarzony, rozsrożony... zdawał się czekać tylko jakiegoś znaku. Widząc niebezpieczeństwo, pierwszy raz może pod panowaniem moskiewskim krajowi władzę oddano nad krajem, nad miastem, żądając od niego aby on sam umysły uspokoił i środki stosowne przedsiębrał.

Wieczór ten i dni następujące aż do pierwszych Kwietnia, były wyzwolonego chwilowo narodowego ducha świetną, choć żałobną uroczystością.

Ci co te dnie przeżyli, co je widzieli, mogą umrzeć, bo wspanialszego nic już w życiu nie zobaczą, choćby oglądać mieli dzień wielki wyzwolenia.

Jakób chodził w ciągu tych kilkudziesięciu godzin nieprzytomny z miejsca na miejsce, snując w głowie najdziwaczniejsze myśli, a w sercu jedno tylko mając pragnienie — ażeby żydzi nie odstali od ogółu, aby ta uroczysta chwila połączyć ich mogła z narodem. Czuł on że była stanowczą, jakkolwiek nie lubił Manna, wiedział że przez niego zrobić mógł wiele.

Mann nie był wprawdzie wybranym do delegacyi, ale już jedno otrzymano zwycięstwo, żydzi w niej bowiem przez jednego z najzacniejszych swych

reprezentantów, pocziwego Mathiasa Rosena, człowieka wielkiej zasługi, przedstawionymi byli.

Szło bardzo Jakóbowi o to, aby na wielkim owym przysposabiającym się pogrzebie duchowieństwo i ludność żydowska szła razem z chrześcianami, jawnie i widocznie. Znał przykłady podobnych faktów, w których duchowieństwo izraelskie nie wahało się iść obok chrześciańskiego, pamiętał że w Krakowie w r. 1848 trumny żydów zabitych stały przed kościołem P. Maryi, ale wiedział też że miał do czynienia z surowymi przestrzegaczami więcej form niż ducha, że spotka przeszkody u samych żydów. Poleciał do Manna, nic tu jeszcze zdecydowanem nie było, ale wieczorem wiedziano już o postanowionym adresie do Cesarza, o dozwoleniu na pogrzeb uroczysty.

Nocą potrafił Jakób obiedz potrzebniejszych ludzi, był tam gdzie się spisywał adres, wpadł do resursy, gdzie pierwszą swą noc bezsenna, przesiadywała delegacya miejska, obmyślając pogrzeb, porządek, bezpieczeństwo, spokój, strażę; kojąc żale jednych, drugich uspokajając obawy, trzecich niecierpliwości miarkując... W głębi czuli tam wszyscy jak rola ich była pozorną, jak krótkiem być mieli narzędziem w rękach ludzi, którzy sami nie wiedząc co począć, potraciwszy głowy abdykowali.

Wszędzie usposobienia były takie jakich Jakób mógł pragnąć, chrześciańska ludność Warszawy, nawet ci co wprzód walkę rozdmuchiwali, dziś czuli potrzebę zgody — podawali do niej ręce.

Manna wszakże nie spotkał nigdzie. — Noc zesłała mu na ławce w resursie, na chwytności sercem i uchem wieści i domysłów najróżniejszych. Z brzaskiem pobiegł do mieszkania wpływowego człowieka, który nieco obrażony że nań nie padł wybór do delegacyi, jak Achilles ukrył się w swym namiocie.

Dobivszy się przez meldunek i hałaśliwe narzekanie na natrętów nieznośnych do gabinetu wielkiego męża, znalazł go już Jakób, z podziwieniem dla siebie, otoczonym kilku osobami, ale w stroju porannym nadzwyczaj prostym, bo w jednej tylko koszuli i botach. Otyłość nadawała temu ubraniu na prędce zabawniejszy jeszcze charakter.

Rozmawiano gorączkowo; Mann krzyczał nawet. głośno i opierał się czemuś widocznie.

Otaczali go zwykli goście i para osób mniej znajomych, oczekiwano jeszcze Mejselsa, a Mann przez uszanowanie dla starca zawołał o tyfytkowy szlafrok, który na ramiona narzucił.

Słowa krzyżowały się żywo, urywane, niespokojne, Mann perorował.

— A tak ! wołał — tak ! teraz jak baranki łagodne, sami do uścisków idą... kiedy bieda to do żyda... stare to przysłowie, ale powinniśmy pamiętać drugą część jego — a po biedzie pójdź precz żydzie.

— Zdaje mi się że te czasy minęły, rzekł Barthold, zgoda jest szczerą, my z tego usposobienia korzystać powinniśmy.

— Nie — nie, przerwał Mann, wiecie najlepiej że Towarzystwo Rolnicze, ta reprezentacya krajowa, ono nas odepchnęło od siebie. Znacnie panowie listy

sekretarza jego do Mathiasa Rosena, w nich wypowiedziano wojnę w sposób nie zostawujący wątpliwości że nam praw obywatelskich odmawiają... i Chcą byśmy się do nich wkupili, a my na tej ziemi i siedząc od wieków z prawa przyrodzonego mamy i też przywileje co i oni; to są feudalisci, to ultramontanie, to fanatycy... Wojna to wojna! nie mieszajmyż się i stójmy na boku...

Mówił tak urywanemi wyrazy a gniewnie, Henryk go powstrzymał.

— Przecież widzisz pan, że tego samego Rosena, któremu łysy pan sekretarz tak uszczypliwie odpowiadał, wybrano do delegacyi... Trzeba kuć żelazo póki gorące.

— Ale z tego żelaza nic nie będzie, chyba dla nas pęta! przerwał Mann. To ludzie niepoprawieni. Jak całą szlachtę diabli wezmą, dopiero zrobimy zgodę.

— Rząd moskiewski tegoby tylko i pragnął, odparł Bartold, ale szlachty nie tępić, nie niszczyć, odmienić ją i do odrodzenia zmusić należy; naówczas ona lepiej zrozumie swój interes, podamy sobie rękę szczerze.....

— To ślepi ludzie, przerwał Mann, mojem zdaniem, stać na boku... co nas to wszystko obchodzi? — Panowie, przerwał Jakób, stojąc na boku podpisujemy na siebie wyrok, przechodzimy stanowczo do obozu Moskwy, przyszłość okropna i ohydna! Bądźmy szlachetniejsi, idźmy gdzie woła ona- i ofiara, ku słabszym i uciśnionym...

Mann począł się śmiać.

— Z tobą, kochany Jakóbie, nie myślę się rozpierać, ty i tobie podobni pójdą, padną i przepadną, nie mam nic przeciwko temu, choć mi ciężal szczerze.... Ogół powinien ocaleć i dla siebie i dla — kraju.

— A na to się, zgadzam, rzekł Jakób z zapalem, niech ocali się ogół, większość, ale nie dla siebie samej, niech się uratuje przyjmując na siebie obowiązek pomocy, ratunku, pociechy, dla tych którzy cierpieć będą! W tym celu tylko ratować się wolno.....

— O tem potem! odparł Manu zimno machnąwszy ręką, o tem potem.

— Pogrzeb, nie ma wątpliwości, rzekł Bartold, będzie olbrzymią, europejską manifestacją zmartwychwstającej Polski — mamyż pozostać obojętnymi jego widzami? nie zająć w tym pochodzie należnego nam miejsca? Mamyż się usunąć?

— A co ten pogrzeb należy do nas? spytał Mann, nikogo z naszych nie zabito przecie, po co my tam! na co?

— Toć przecie nie sam pogrzeb ale manifestacya polityczna.... U tych trumien stanie naród wołając pomsty na morderców... a my....

— A my? możemy się sobie przypatrywać zdaleka, odpowiedział Mann uparcie. Przy tem, panie Jakóbie, wy co tak gorąco mówicie za przymierzem z chrześcianami, a jesteście tak prawowiernym Izraelitą, jak możecie, znając nasze przepisy, żądać abyśmy szli za ciałami umarłych?? abyśmy szli razem z duchowieństwem? To się jawnie przeciwi naszemu prawu.... Wiesz przecie że nasz Cohen (kapłan) od wszelkiego ciała zmarłego zdala trzymać się jest

obowiązany; cóż dopiero gdy to ciało nieczyste, ludzi nie jego wiary i plemienia?

— Tak, to prawda, wiem że Kochanim nasi obowiązani są nawet żony konającej odstąpić... jeżeli nie była ich rodu, aby się nie skalali dotknięciem, ale wiem że prawo które było tak srogiem nie bez przyczyny, wyrozumiałe jest w ważnych wypadkach. Kohen ilekroć dla dobrego uczynku dotyka trupa, zbliża się doń, zdaniem wszystkich rabbinów, wolen jest od grzechu.

— Zobaczmy co duchowni powiedzą, odparł Mann, zobaczmy.....

Właśnie w tej chwili otwały się drzwi i poważny siwy starzec w starodawnym ubiorze polsko-żydowskim wszedł do pokoju. Pozdrowili go wszyscy z uszanowaniem, był bowiem rabbinem, a prócz tego czczono go z rozsądku, wyższych umysłowych przymiotów i prawości charakteru. Twarz jego wyrażała ten wielki spokój dusz poczciwych, które ziemskimi troskami dotknąć się nie dają.

Mann usiłując go co żywiej uprzedzić, a może zdanie swe jako przekonanie większości mu przedstawić, począł żywo mówić przeciwko udziałowi w pogrzebie.

Stary usiadł, słuchał milczący, cierpliwy, gładząc brodę i niedając najmniejszej oznaki jakie ona na nim czyniła wrażenie. Wszyscy byli doń zwrócen i czekali. Jakób jakkolwiek pragnął, głosu zabrać nie śmiał, postanowiwszy jednak później stanąć w obronie swoich przekonań, jeźliby było potrzeba.

Mann, że mu się nie sprzeciwiano, nabrał odwagi, był gwałtowny i popędliwy; stał się przekonywającym, odwołał do tradycji i skończył wykrzyknikiem.

— Kilkaset lat znosimy prześladowania, upokorzenia, wzgardę od nich, mielibyśmy to darować? zapomnieć? Nie! Bóg nasz jest Bogiem sprawiedliwości nieubłaganej... nadchodzi może chwila. przyobiecanej pomsty.....

Umilkł wreszcie zakaszawszy się; staruszek gładził brodę, nieporuszony siedząc w krześle; naostatek po chwili przeciągłej milczenia, głową poruszył, westchnął i począł bardzo powoli takim tonem jakby mówił o rzeczy zupełnie obojętnej.

— Rabbi Jehoszua ben Levi, miał obok siebie sąsiadem Saducejczyka, który mu wielce doskwierał.

Nie mogąc dłużej scierpieć tej męki, postanowił modlić się i prosić Boga o zemstę nad nieprzyjacielem.

Raz tedy gdy modląc się z wielką gorącością, cały skupiwszy się w duchu, chciał właśnie zwrócić do Boga, ażeby wymódl ukaranie odszczepieńca, dręczyciela swojego....

Gdy już miał to straszliwe wyzwanie pomsty Bożej uczynić i Bożego gniewu... począł łagodnie usypiać i zasnął głęboko a spokojnie.

Gdy się potem ze snu swojego przebudził, rozmyślać począł i myślał. Ten sen słodki który mi Pan Bóg zesłał, jest Jego upomnieniem. Sprawiedliwy nigdy pomsty Bożej przeciwko nieprzyjaciołom swym wyzywać nie powinien

(Talmud Berachot). Skończył staruszek, głębokie panowało milczenie, Mann tylko oddał wargi i namarszczył się, ale nic powiedzieć nie śmiał.

— I rzekł Pan do Mojżesza, mówił znowu po chwili jakby sam do siebie stary. Izraelici i poganie, mężowie i niewiasty, niewolnicy i ludzie wolni, wszyscy są równymi w oczach moich, a każda sprawa ich dobra będzie nagrodzoną. (Jalkut. 20. b.)

Znowu nastąpiło milczenie; nikt słowa wyrzec się nie ważył.

— Gdy Bóg sędzi Izraela, rzekł stary po przestanku nowym, sędzi go w tej godzinie gdy on jest prawem świętem zajęty, gdy sędzi inne narody ziemi, wybiera tę godzinę, kiedy nic złego nie czynią. Sędzi Bóg narody przez sprawiedliwych a nie przez występnych. (Aboda Sara. 3. b.)

I zamilkł znowu i westchnął, a po chwili odezwał się znowu.

— Dla czego w święto Szafasów przynoszą siedmdziesiąt ofiar za siedmdziesiąt narodów ziemi? A po milczeniu krótkim począł znowu.

— Kochaj Pana Twojego, wiekuistego. W tem się zawiera przepis, abyś miłym był wszelkiemu stworzeniowi Bożemu, zdala bądź od grzechu i oszustwa, nietylko dla braci Twych ale względem pogan i wszelakiego człowieka. Kto złodziejem jest dla pogan kraść będzie i u swoich; kto krzywo przeciwko jednemu przysięże, będzie i przeciw drugim fałszywo przysięgał; kto jednemu kłamie, skłamie wszystkim; kto zabija pogan, zabija brata... A prawo danem jest aby wielkie imie Boże było błogosławione. (Jalkut. 267. a.)

Skończył, dodał, słowy Pinchasa syna Eleazarowego: Przysięgam na niebo i na ziemię, że Izraelita i poganin, mąż i niewiasta, niewolnik czy niewolnica, wszyscy sądzeni będą wedle dzieł ich, a na wszystkich nich jako na Deborę, zniżyć może duch Boży. (Jalkut. Sędz. 9. a.)

To rzekłszy starzec powstał i nie mówiąc słowa, pokłonił się, zawrócił, skierował ku drzwiom. Wszyscy z uszanowaniem milczeli, tylko Jakób wybiegł za nim aby mu rękę ucałować i powrócił z rozpaloną, promieniejącą, jasną twarzą.

Mann wstał kwaśny, ruszając ramiony, ale nie mówiąc nic.

Wszyscy powoli brać zaczęli za kapelusze uważając rozprawy za skończone, kwestyą za rozwiązaną stanowczo. Najmniej pobożni, w tych wyrazach tak trafnie przywiedzionych znajdowali przekonania swe okryte powagą prawa, i radzi byli że się one godziły z księgami które powszechnie za dzieło ciemnoty i fanatyzmu uważają... Ale w tych jak we wszystkich podobno innych księgach znajdzie pocziwy poparcie i niepocziwy naciągnięty wyraz jakiś dla uniewinienia, gdy się uweźmie ich szukać, bo słowo zawsze a litera po ludzku wyszpocić się dają.

Gdy z południa wszedł Jakób znowu do resursy, nie było już wątpliwości że żydzi zajmą miejsce przy pogrzebie, że w sprawach ogół obchodzących i oni udział mieć będą. Widział też z radością, że w kraju, szczególnie w warstwach tych które najczynniejszemi były wszelka niechęć przeciw Izraelitom ustępowała miejsca życzliwym usposobieniom. Braterstwo jakby czarodziejską

rószczką z dnia na dzień wiązało się wspólnem uznaniem jego moralnej potrzeby i sprawiedliwości. Dawni, namiętni przeciwnicy żydów milczeli zawstydzeni, ogół narodu, którego sprawę tak źle popierali, fałsz im zadał, wyrzekł się z nimi współnictwa.

Najgorętsi nieprzyjaciele tego przejednania z obu stron, milczeli, choć może w głębi nie zmienili przekonań. Jeden dzień i jedna noc nie zwalczyła uprzedzeń, ale je pokonała do tyła że się siebie samych zawstydziły. Ogromna większość osądziła instynktem trafny, wyrok jej był nieodwołalnym. Prawi ludzie cieszyć się musieli z tego zwycięstwa — a Jakób czuł dumnym i szczęśliwym, był usprawiedliwionym.

Dnie to były schadzek i narad nieustannych, które położenie kraju i dany mu cień chwilowej jakiejś swobody usprawiedliwiały. W domach ludzi większego wpływu i znaczenia drzwi się nie zamykały, wzruszenie było niewysławione, nadzieje zuchwałe nieco; ale podniesienie ducha wielkie. I Przed potęgą jego zdawało się, że wszystko ustąpić musi.

Skreśliliśmy już obraz tych dni w opowiadaniach poprzedzających, powtarzać się nie chcemy; lecz mają one strony tak różne, a ludzie co wpływali na sprawy tak rozmaicie zapatrywali się na nie, żeśmy wyczerpać nie mogli wszystkiego w wizerunku który się jedną ramą objąć nie daje. Zamglone jego plany nigdy może całkiem wyjaśnione nie będą, inne na wieki pozostaną tajemnicą i zagadką. Znamy dziś dobrze historią powstania 1831. roku i ludzi co w niej przewodniczyli; tu utajone sprężyny, maleńcy na pozór i nie głośni działacze, tysiące poplątanych nici... w ogóle niespodzianki na każdym kroku, co chwila zagadki, których przyszłość nawet całkiem rozwiązać nie potrafi, głoski ich niewyraźne każda zmazuje godzina; — tylko potwarz i uprzedzenie tłumaczą wszystko złem i zdaje im się że zrozumiąły wszystko.

Wrócimy więc jeszcze do dni tych pamiętnych, i wnikniemy do jednego z tych domów w którym najchętniej zbierali się ludzie zaprzątyni sprawą, ogólną... a mogący wpływ na nią wywierać.

Jak społeczność żydowska tak szlachecka wcale naówczas jednolitą nie była; usposobienia, wychowanie, przekonania, zasady dzieliły ją na kilka obozów. Najsilniej jednak stało zawsze: to, nie powiemy stronnictwo, nie chcielibyśmy powiedzieć obóz, nie możemy nazwać — część narodu — ale ten szereg ludzi, który uparcie trzymał się (nie bez instynktu pewnego) przeszłości — całej a nienaruszonej. Mówmy otwarcie, ulica zwała to kółko ultramontańskim, my go tak nazwać nie możemy, chociaż cechą jego było wielkie przywiązanie do kościoła i wiary, ale nie mniejsze do narodowych tradycji. Tylko na nieszczęście — na tę ludzi gromadkę jak na wszystko u nas, oddziaływała, odbarwiła się na niej zagranica, cudzoziemczyzną, naśladownictwo. To jej nadawało pozór ultramontański charakterowi narodowemu niewłaściwy. Przychodzi nam dotknąć tej drażliwej strony naszych dziejów współczesnych, a czynimy to z musu i nie bez największego wstrętu...

Wiemy bardzo dobrze jak potrzebni są krajowi ludzie zachowawczego ducha, piastunowie tradycji narodowych, stróże wiary praojców, nikomu też grzechu z tych przekonań czynić nie myślimy.

Szlachta ma swe posłannictwo, ona w chwilach pokoju powinna popychać do postępu... Szlachta każdego narodu, nowe przybierając żywioły, wzmacniając się i ludźmi i ideami wieku, jeśli chce żyć i nie zostać zepchniętą ze stanowiska, musi być czynną. Bierny opór za życie nie starczy. Nasza też szlachta w części spełniła swoje zadanie, ale wiele z niego uroniła. Podróże za granicą, wychowanie cudzoziemskie (do którego zresztą przymuszona była uciskiem i niedostatecznością krajowego) lekkomyślność wielu — czyniła ich krajowi prawie obcymi. Nosili oni imiona swe i szlachectwo jak dziedziczne ordery wygasłej dynastii, jako pamiątki bez obowiązków. A że potrzeba było niby coś robić, niby w coś wierzyć, niby coś podtrzymywać, wywieszono sztandar ultramontańskich barw, zamiast staropolskiego katolickiego. Polska była katolicką, jest nią i będzie, mimo ucisku i prześladowania wiary; oprócz tego że katolicyzm duchem i sercem przyjęła całem, czuła w utrzymaniu go interes, bo on ją wiąże z cywilizowanym światem, on ją wychował i oświecił. Ale pomiędzy katolicyzmem polskim, francuzkim, włoskim, angielskim i niemieckim są, mimo jednostajności zasady, ogromne charakteru różnice.

Wyda się to może dziwnem; tak jest przecież w istocie, różnica ogromna, kto nie wierzy, niech z wiarą polską pojedzie nieco po świecie, przypatrzy się za granicą i rozśluha.

Katolicyzm polski był Chrystusowy, duszny, serdeczny, oświecon, jego formy pełne były soków żywotnych; gdzieindziej z tych form suche tylko pozostały łupiny. Przy wszystkich usterkach ludzkich, więcej było szczerzej wiary w Polsce, niż w całej możej Europie. Byliśmy ludźmi, ułomnymi, ale przyjęliśmy ducha nauki Chrystusowej do serca, szliśmy do dobrego, do coraz lepszego, gorąco przez nieustanne walki ze światem.

Wiara ta nasza posłuszna głowie kościoła, do tych jednak pewników które stanowią, ultramontanizm cudzoziemski, zbyt nie przywiązywała wagi. Nie jasno może wypowiadamy myśl naszą, ale historia od czasów reformy wskaże najlepiej z jaką swobodą pocziwą, z jaką wyrozumiałością szlachetną strzeżono u nas wiary, nie zrzekając się formy, ale żyjąc duchem Chrystusowej nauki — miłością.

Nie wiem czy to płynęło z samej treści ducha polskiego, czy było wynikiem niepochwyconym walki z reformą w XVI. wieku, płodnej u nas w skutki niewidzialne, w samym nawet kościele.

Polska może jedna miała ten katolicyzm rozumny, które postępowym nazwaćby można, a który w istocie był katolicyzmem z ducha i serca, katolicyzm szczerzy, przez którego formy poważne dobijała się do jądra, do głębi nauki Chrystusowej, do tego co stanowi jej świętość i wielkość.

Gdy we Włoszech religia stała się niemal zabawką i bałwochwalstwem, u nas nigdy przepych obrzędów, poszanowanie zewnętrznych praktyk nie zabiło ducha...

Byliśmy dalecy od ultramontanizmu ślepego, nieśmiejącego rozbierać, ani rozumować, bojącego się roztrząsać, bo teoria tego despotyzmu ducha, nie godziła się z naszą miłością swobody.

Byliśmy też tak pewni naszej prawdy, tak głęboko o niej przekonani, żeśmy się o nią nie obawiali, wystawiając ją na próby rozumowań, roztrząsań i wszelkiego boju. W ostatnich dopiero czasach zjawił się u nas przesadzony zkądinąd, tak zwany ultramontanism bez ducha, który już z religijnej wychodząc sfery staje się nowym, całym systemem społecznym i politycznym... Ci co się do szeregów jego zaliczają, są, naturalnie monarchicznymi (tego im za złe nie mamy) legitymistami (na nieszczęście bez dynastji), nieprzyjaciółmi postępu, a restauratorami porządku, często chociażby szymatyckim bagnetem zaprowadzanego, jak Ks. Golian i..... nomina sunt odiosa.

W kraju jak nasz podległym uciskowi obcego narodu, rola konserwatorów jest jedną z najtrudniejszych do utrzymania. Moskwa burzy i idzie obalając rewolucyjnie wszystko, więc należy stać przeciw niej choć z biernym oporem; ale jakże to pogodzić z legitymizmem, konserwatyzmem i monarchicznością? Wielka część ultramontanów przez sam wstręt do rewolucji i rewolucjonistów (któremu się, wcale nie dziwujemy) stawiała często po stronie moskiewskiego rządu — rewolucyjnego, t.j. nie wiedząc co począć, jak się pogodzić z jego dziwaczną fizyognomią monarchiczno-radykalno-demagogiczno-rewolucyjną. Nieprzyjaźń otwarta Moskwy ku katolicyzmowi odstręczała niektórych i zmuszała, stać na boku... Słowem byli to, i są, ludzie nie wiedzący co począć z sobą, przesadzeni widocznie zkądinąd a nie wyrosli z domowych potrzeb i okoliczności — w położeniu pożyczanem i fałszywem.

W tem stronnictwie, w ostatnich czasach mieściły się w większej części, najznakomitsze intelligencye, ludzie największego wpływu, najczystsze go charakteru... wpędzone strachem i wstrętem do rewolucyjnych zasad. Fałszywe położenie czyniło z nich daremnych męczenników, stawiało ich często w sprzeczności z sobą samymi.

Przerzucając się z kolei to do rządu który im niezbyt dowierzał, to do kraju którego się lękali zapalów napiętnowanych rewolucyjnym rozpasaniem — nic powstrzymać, niczemu zapobiedz nie mogli, za ledwie w małej części zdołali sami się uratować. W tem kółku do którego przylegało i przylega wielu ludzi, wcale w duszy niekatolickich, ale pragnących mieć zaszczyt należenia do tej sfery, w której się stare i piękne obracają imiona, mieściło się mnóstwo wolontaryuszów różnych stopni, pełniących wszelakie posługi. Choroba na arystokracja nigdzie może bardziej niż u nas rozpowszechnioną nie była. Jak mieliśmy zawsze więcej wodzów niż żołnierzy, tak też w końcu więcej się znalazło znakomitości tytułowych, rodowych niż prostej, dobrej, starej szlachty... każdy się czepiał do jakiejś ilustracyi, do antenata podejrzanego, do

jakiegoś cudzoziemskiego tytułu komuś kiedyś przez kogoś, za coś nadanego, aby się z tłumu wyróżnić kosztem zapomnianego bohatera. Tłumaczono owo: noblesse oblige, nie innym obligiem tylko tem, że się musiał już taki wystąpić szlachcic zapisać w szeregi zachowawcze. Niejeden się na to może i zżymnął, ale szedł, musiał, miłość własna rozkazywała. Dużoby o tem powiedzieć można, ale nie pora podobno i to co się powiedziało, prawie za wiele.

Ten w szlacheckim świecie obozisk oddzielny, naturalnie nie policzający tolerancji religijnej do cnót nakazanych przez kościół — nigdy z żydami zgody zupełnej, przymierza i równouprawnienia nie przypuszczał.

Tu katolicyzm fałszywie pojęty, kazał niby odpychać. Wspomnienia stare żywiej mówiły, niż potrzeby nowe.

Ale gdy po Lutowej tragedji naród cały zgodnie podał dłoń Izraelitom i uznał ich obywatelami, to stronictwo nie ważyło się też protestować.

Po cichu tylko szemrano, uśmiechano się, zżymano, a przy drzwiach zamkniętych oburzano nawet.

Najdziwniejszym wypadkiem, Jakób tego wieczora, gdy tłumno jakoś było wszędzie, znalazł się w kółku złożonem przeważnie z żywiołów o których wspomnieliśmy. Nikt go tu prawie nie znał bliżej, wzięto łatwo za adepta; temu był winien że mógł być rozmów świadkiem które na innym, mniej wyrozumiałym człowieku zrobiłyby wrażenie złowrogie.

Towarzystwo składało się z gospodarza który złożony chorobą z krzesła nie wstawał, ale był energią, umysłu, bystrością pojęcia i prawością charakteru wyższym od zdrowych co go otaczali i z osób kilkunastu po większej części ze wsi przybyłych.

Między nimi odznaczał się ogromem wzrostu, zamaszystością ruchów i niepomiarkowaną a silnie ubarwioną mową pewien pan, którego od przysłowia "Jak Boga kocham", niewyraźnie a często powtarzanego, przewano Boakoam. Był to pięknego imienia szlachcic, dziś z niegdyś ogromnej przodków spuścizny osiadły na niewielkim majątku, o przekonaniach twardych i dowcipie ostrym i zjadliwym. Oprócz niego kilku hrabiów i pseudohrabiów, dosyć szlachty starej, kilku orthodoxów z młodzieży co nauki kończyła w zakładach Jezuitów za granicą w Bawaryi i Belgii, składali towarzystwo. Rozmowa toczyła się około bieżących wypadków, dowcip naturalnie ostrzył się na nieszczęśliwych równouprawnionych.

— Nie ma wątpliwości że za lat jakie sto, rzekł Boakoam, Jako ktoś dowcipnie przepowiedział, dorożkarzami będą hrabiowie P. i Z., a ich pałace przejdą w ręce R., K. i L.

— Bardzo to być może, odparł gospodarz, który też do jednej z rodzin wymienionych należał, jeżeli my tak jak dotąd iść będziemy. W każdym razie wina nasza... Mogliśmy i możemy wcielić i wsiąknąć tych R. K. L., zużytkować ich, ale na to nie mamy odwagi ni siły, reszty majątków tracimy na fatałaszkę, brzydzimy się pracą., oni są skrzętni, baczni, wytrwali... zwyciężą!

— To jest, kochany hrabio, że chcąc aby nas żydzi nie pożarli, trzeba nam samym żydami zostać, ozwał się Boakoam — piękna rada! Ale jeśli mamy ginąć, no to już ginmy jakimi jesteśmy. Próby nas nauczyły, że do materyalnych spraw, do groszowych spekulacji nie jesteśmy zdolni... W co się obrócimy żegluga, towarzystwa, spółki...

— Wszystko to prawda, mówił gospodarz, ależby już przyszło się nam przyznać do takiego upadku, do takiego jakiegoś organicznego defektu, do zmarnowania się ostatecznego... a! nie chcę, uwierzyć temu! My się dźwigniemy!

— Święteby we słowa były, panie hrabio, rzeki szlachcic wioskowy, ale abyśmy się dźwignęli trzeba nam wodzów, którychbyśmy tak jak Was szanowali i wierzyli w nich.

— Nie możecie do pracy spokojnej mieć lepszego nad tego którego macie; naród nim uznał pana Andrzeja, on jest nim — ma cnotę, rozum, charakter, wszystko.

— Przepraszam hrabiego, przerwał Boakoam, pan Andrzej święty, zacny, prawy, tylko go nie zaprzęgajcie do polityki, bo wóz z miejsca nie ruszy.

— To nie chorujmyż na niewczesną politykę, odparł gospodarz, ta nas do niczego nie poprowadzi — dość ona już nam klęsk zadała. Naszą polityką rola, gospodarstwo, praca, nauka, oszczędność i poprawa obyczajów.

— Tak, tak, odezwał się ktoś inny, ale cóżeśmy winni że młodzież i miasto nas pcha.

— Młodzież ma odwagę czynu i wy ją miejcie, mówił chory — nie chcecie rewolucyi, mówcie jasno i wyraźnie. Zgubą naszą że siedzimy na dwóch stołkach. Nie powinniśmy się dziwować ślepemu, uczciwemu, heroicznemu zapałowi młodzieży, która krew swą chce nieść na ofiarę, ale dziwię się temu że my dosyć zapału nie mamy, aby z równem mężstwem i determinacją stanąć przy swoim. Tym- czasem przez tchórzowstwo poklaskujemy wszystkiemu i dajemy im robić co zechcą.

— Tośmy zginęli! rzekł ktoś z towarzystwa.

— E! panie, nie! żydzi nas wyratują, zawołał Boakoam — zawarliśmy przymierze z nimi — ocaleni będziemy.

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Jest rzeczą dowiedzioną, dodał gospodarz seryo, że oni od nas więcej mają rozumu. — A pożyczyć go nam, jak pieniędzy, nie pożyczą.

— Bo Od rozumu, wrzucił inny, nie mielibyśmy im pono czem procentu opłacić, kiedy kapitału braknie. śmiano się znowu — Boakoam westchnął.

— Ej! hej! zawołał — bodaj to dobre stare czasy, gdy żyda nie znaleźliśmy innego nad arendarza, któremu wolno było brodę wytargać.

— Nie wróć! nie wróć! rzekł ktoś inny.

— Świat się psuje!

— Zważajcie tylko panowie, podchwycił brunet poważny, którego rysy jakoś dziwnie wschodniego były typu — wszystko powoli przechodzi w ręce żydowskie. Trzymają już giełdę i panują na niej, a giełda rządzi światem, rządzi

nawet rządami, które bez niej nie dostaną pożyczki, a bez pożyczki wojny ani pokoju nie mają; rządzą, opinią przez prassę, której najcelniejsze organa mają w swem ręku. W Prusiech, w Belgii, w znacznej części Niemiec dziennikarstwo jest przeważnie w rękach żydowskich; we Francyi nawet niemal w każdym dzienniku żyda domacać się można. Mają swoich członków w parlamentach, izbach, ministeryach.

— Co dziwnego, rzekł Boakoam, Waćpan wiesz że stary szlachcic polski bez faktora się nigdy nie obszedł, a częstokroć go za sobą na furze woził. Europa, jak my, podupadła moralnie i materyalnie, rządy skiepsciały, z pozwoleniem, więc faktory za nie robią, wszystko.

— Farmazoństwo, demagogia mają w nich podpory! rzekł inny.

— No! no! no! a toż jak z giełdą pogodzić? spytał drugi — giełda przecie z natury swej rewolucyjną być nie może?

Zamilkli nieco.

— Liberalni są, demokraci, ale do pewnej miary, rzekł pierwszy, dość liberalni by katolicyzm podkopywać, ale konserwatyści gdy idzie o wojnę, bo tej nie chcą.

— My się już od nich nie odczepim, dodał Boakoam — przepadliśmy.

— Nikt nie ginie inaczej tylko własną winą, powtórzył gospodarz.

— Tak! tak! ale przeróbże nas, jeżeli łaska, przerwał otyły — z tego rodu królewiąt przywykłych do swobody dla siebie — dziś trudno wyrobić prostych robotników, których nam potrzeba, — Żydzi mają inteligencją, pieniądze, stosunki, przebiegłość, skąpstwo, a my nic. —

— Potrzeba się dorobić...

— Atak! tak! dajcież środki, wołał Boakoam, dajcie środki! Rząd ciśnie, dusi, ogłupia; zubożeni, sterani, rozpieszczeni zkądże zaczerpniemy siły?

— W uczuciu obowiązków...

— Z tej beczki! rzekł Boakoam — popróbujże no czerpać... Nie łatwo, brak nam czem... Nie wiem czy już nadchodzi finis Poloniae, ale finis nobilitatis Polonae... to pewno... Czuć nas trupem.

— Słuchajże, przerwał gospodarz wolno, widzisz mnie, mało mam życia, każda godzina śmiercią mi zagraża; w takim położeniu nie kłamie człowiek, nie pochlebia, a o świat który ma opuścić niebardzo się troszczy. Nad grobem stojąc, powiem wam, spójrzcie na siebie wy co prorokujecie upadek, winni go będziecie sobie. Rozbierzcie postępowanie szlachty odr. 1791. aż po dziś dzień, szukajcie imion wielkich, pokażcie mi prace, usiłowania, ofiary; policzcie zmarnowany pieniądz, imiona, żywoty i talenta na bałamuctwa i fraszki.

Brak nam było ludzi, brak ducha, a jeśli za karę zniewieściałości przyjdzie zguba... któż winien? Rzeczy na świecie dzieją się wedle praw nieodmiennych, liść zeschnięty opada, klasy społeczne nie spełniające posłannictwa giną i zlewają się z innemi. — Jeżeli, jak przeczuwacie, żydzi wezmą górę, to dla tego, że my im ją naszą niedołężnością wzięść dopuścimy, dla tego że summa ich zasług i

przymiotów dodatnich będzie większą od naszych... Potem wolno nam pisać poemata i płakać.

— Mój Boże, rzekł jeden, mój syn służyć może będzie za ekonoma u jakiego Hersza.

— Ale ba! byłoby to bardzo jeszcze szczęśliwie żeby on go raczył przyjąć, przerwał Boakoam — jaby tego nie zrobił... Śliczny z niego będzie gospodarz!! Śmiechem skończyła się poważna rozmowa, ale Jakób już wytrzymać dłużej nie mógł i uważał za obowiązek odkryć kto był.

— Przepraszam, rzekł, jeśli zrobię niespodziankę wyznaniem, które uważam za powinność z mej strony... Sądzę że panowie... nie wiedzieli że ja jestem... żyd! Wszyscy spojrzeli nań prawie przerażeni tem odkryciem; Jakób stał bardzo spokojny.

Najmniej zmieszany był gospodarz i Boakoam, który się śmiał.

— Otoż masz, kochany panie, toś się dopiero nasłuchał!!

— Ja to cierpliwie i nie bez korzyści wysłuchałem, rzekł Jakób — proszę nie sądzić żebym miał jaką urazę. — Tego coście panowie mówili, każdy się z naś prawie domyśla, tak jak panowie moglibyście przeczuć co się u nas też czasem rozpowiada... o panach...

— Na honor, to ciekawe zdarzenie! rzekł ktoś z boku.

— Panowie zresztą aż nadto pochlebnie wyrażaliście się o nas, mówił Jakób. Mamy przymioty ale mamy i wady, do tych się chętnie przyznajemy.

— Nie wszyscy! szepnął gospodarz.

— Jak panowie, podchwycił Jakób. Ale gdy o tem mowa, a ja mam zaszczyt, choć wypadkiem, należeć do narad i uwag o przyszłości, powiem otwarcie iż nie sądzę byście panowie na sojusz z nami narzekać mogli. Jest on na pozór wstrętliwy, bo wam zawsze cebulę i łapserdak przypomina.

— Jak Boakoam dobrze mówi! zawołał gruby.

— Ale w dzisiejszych okolicznościach, kończył Jakób, przyjaciół i sprzymierzeńców nie możecie mieć do zbytku.

— Tak, gdyby na przyjaźń waszyciów liczyć można, rzekł Boakoam — będziecie z nami dopóki nas nie zgniotą; przejdziecie do nieprzyjaciela gdy padniemy... wzgardzicie nami, a może i mścić się przyjdzie chętna...

— Nie, zawołał Jakób, gdyby między nami było tylko kilku tych przekonań co ja — a jest nas wielu — nie dopuścimy narodowi skalać się.... będziemy wierni w doli i niedoli!

— Aby z doli i niedoli skorzystać, przerwał Boakoam, przebac, szanowny panie, że otwarcie mówię, ale się już poczęło, wygadało dosyć, brnijmyż do ostatka. Przypuszczam wszystko złe nasze, wady szlachty, winy nasze — mea culpa, sam jestem po uszy w tych mętach... ale dalipan, gdy popatrzę na waszych Izraela wodzów, których tu widzę w Warszawie — jak Boa koam nie mogę rozpoznać czem od na? są, lepsi! Oskarżacie nas o pychę arystokratyczną" no, pójdzcież do którego z bankierów tutejszych, popróbujcie ich przedpokojów, ich słodkiego przyjęcia, ich uprzejmej rozmowy, serdecznego obejścia tonu i

grzeczności, uczynności i miłosierdzia... potem, jeśliście uczciwi, powiedzcie kto lepszy. Słowem panu ręczę, że pan Andrzej, który liczy nieprzerwany szereg przodków od Floryana Szarego i ma antenatów krwi królewskiej, jest o wiele popularniejszym...

Ale... dajmy pokój. Jakób się uśmiechał.

— Temu nie będę zaprzeczał, rzekł, są, u nas różni, ludziska i ludzie. Grosz ma to do siebie że jak niestrawny pokarm, odyma; rodzi pychę, czyni człowieka niedostępnym. Tylu jest nań chciwych, tak nieustanne są napaści na kieszenie żydowskie, iż dziwować się nie godzi trochę grubijańskiej obronie. Zresztą, powiem jeszcze uniewiniając trochę mych współwyznawców, że odpychani od towarzystwa, wszędzie spotykając kosę wejrzenia, szyderstwa źle ukryte, wstręty i uprzedzenia, nie mogli nabrać uprzejmości. Cywilizujcie nas panowie, dobrimi przykłady.

— Więc handel, rzekł Boakoam, my wam damy maniery, a wy nam trochę waszego praktycznego rozumu.

— Zgoda, odparł śmiejąc się Jakób, ale jeszcze jedno. Mówiłeś pan tylko co o tych ludziach z szorstką skorupą, z nieprzyjemnem obejściem, ja panu zaręczyć mogę że ci ludzie tak dumni, nieprzystępni, często nawet niegrzeczni, czynią, pomimo to, tyle dobrego, że ich o nie z powierzchowności nawet posądzić nie można.

— To prawda, że nie można! rzekł Boakoam.

— W obec panów, mówił Jakób śmiało wśród zakłopotanego milczenia, w obec reprezentantów przeszłości mówić o tem co nią już być nie może, bardzo trudno. Jednak pozwolicie mi, jako żydowi, zrobić uwagę, że nic nie powraca, że świat nie idzie już wiedziony na paskach przez jedną klasę narodu, ale o swej sile, domagając się praw równych... Przywileje nie istnieją.

— Ale przyznasz mi pan, przerwał brunet, że społeczeństwo nawet bez żadnych przywilejów, sanie sobie zostawione, musi się zawsze rozdzielić na klasy, na organiczne swe części żywotne...

— Tak, ale do tych klas prawo będzie dawać inteligencya, nie zważając na pochodzenie.

— A tradycye ! zawołał gospodarz, uszanujcież tradycye!

— Zgoda, ale całej klasy narodu na straży tradycyi czy nie za wiele? — Dosyć byłoby jakiejś jej części jak w Anglii... A ta klasa wybrana jeśli się odżywiać nie zechce...

Boakoam głową kiwał.

— Wszystko w rumel, rzekł, chłopci, my, żydzi, cyganie...

— I mieszczanie, dodał Jakób.

— I najczystsza fine fleur arystokracji.

— Z otrębiami razem...

— Jeśli się panowie złękniecie otrębi, rzekł Jakób, mąkę wiatry rozniosą.

— Wszystko to bałamuctwa, nowe teorye i doktryny, a w głębi ich rewolucya, dodał ktoś z boku. Ja panu otwarcie powiem, w postęp nie wierzę bo go nie

widzę, w nowy porządek nie ufam bo ich było na świecie bez liku a skończyły się zawsze nowym nieporządkiem... Ale w to wierzę iż Pan Bóg chce świat skarać zamętem.

Wstał z miejsca, za nim ruszyli się inni. — Słowo jeszcze, rzekł Jakób. Jesteśmy nowi ludzie, ale przyjmując godność obywateli kraju, po długich latach proskrypcyi, bądźcie panowie pewni, przyjmiemy też ciężary i obowiązki, potrafiemy się poświęcić, służyć jednej sprawie, bez przechwałek, z pokorą, wiernie i poczciwie. Jeśli żyd nie poczuł się dotąd obywatelem, nie był Polakiem, nie on sam winien temu... ale nieszczęsna przeszłość o którą Polski nie obwiniam ale wieki ciemnoty.... Przedewszystkiem pragniemy wszyscy światła! światła! więcej światła! jak wołał Goethe, a stanie się świat po myśli Bożej.

— Już coś z pisma świętego! rzekł Boakoam, ja się rejteruję, bo mi ksiądz rozgrzeszenia nie da, gdy się dowie że ze starym zakonem miałem do czynienia w nieprzytomności nowego. Dobranoc.

* * *

Wypadki biegły z nieubłaganą szybkością, logiczne niestety, aż do zbytku, przerażające już widmami przyszłości, którą, się ludzi nie było można, gotowała się straszliwą. Nigdyby wszakże Polska nie była zaszła tak daleko, tak nieopatrznie, gdyby po setny raz nie dała się złudzić współczuciem Europy, Zachodu! — Rzucano naprzód półsłówka i rady, półobietnice, potem prawie zachęty. Najupartsi przeciwnicy rewolucyi pociągnięci zostali tokiem ogólnej, zbyt obiecującej polityki, która w końcu musiała się uznać zwyciężoną i ze wstydem odepchniętą przez siłę zwierzęcą; dostawszy pięścią w policzek.

W chwilach w których się opowiadanie nasze rozwija, jeszcze ci co widzieli jaśniej nawet, ludzi się mogli że do wybuchu nie przyjdzie; czyniono co było w mocy garstki ludzi dobrej woli, aby mu zapobiedz. Jakób należał do tych, którzy z własnego natchnienia i toku wypadków (nie mało też nań wpłynęły rozmowy z Gromowem) wyrobili w sobie przekonanie o niebezpieczeństwie rewolucyi i niechybnym jej upadku. Więksi od innych politycy, współwyznawcy jego, połączywszy się z narodem w dniu 2. Marca, zajęli stanowisko pośrednie grupując się przeważnie około Margrabiego. Margrabia, jak to widać było z samego działań początku, z przemówienia jego do żydów, które się wybitniejszem stało jeszcze rzuconą jednocześnie duchowieństwu groźbą, obrachowywał siły jakie mu Izraelici przynieść mogli, chciał się oprzeć na nich. Popierany też przez nich, licząc na ich poparcie, w końcu nieszczęsnem postępowaniem bez taktu, i ich sobie naraził, a pomnożywszy liczbę nieprzyjaciół w narodzie, połączenie z sobą żydom niepodobnem uczynił.

System Wielopolskiego dwulicowy, na pół z rządem, jeżeli nie więcej jeszcze; przypadał do usposobienia Izraelitów, którzy zbyt daleko posuwać się nie chcieli, ani dla narodu zrywać całkowicie z tymi, których zwycięstwo przewidywali. Wszelako świeżo dokonany ślub ze szlachtą i ogółem kraju

zmuszał do pewnych ofiar, okazów, do pewnego woli powszechnej posłuszeństwa.

Gdyby przejednanie Margrabiego z krajem było możliwym, byliby je naówczas dokonali Izraelici, starający się o to mocno, nie tający wcale swej sympatii dla męża stanu, przeceniający nawet jego przymioty. Podróż jego do Petersburga, w znacznej części przygotowaną, ułatwioną (może i coś więcej jeszcze) była, przez przyjaciół mojżeszowego wyznania, którzy jedyny ratunek widzieli w Margrabi. Ich staraniom winien on był może swe przyjście do władzy... są sprężyny tajemne, są środki niedostrzeżone, któremi wiele dokonać można. Wielopolski dał był rękojmnią poszanowania wyznań wszelkich, a co więcej, wypowiedział otwarcie wojnę (i nie w porę i bez przyczyny) stronnictwu ultra-katolickiemu (rząd w rządzie).

Był to i błąd i podobno komedia... dla pozyskania sobie stronnictwa, w którym izraelska intelligencja miała głos przeważny. Margrabia pomimo to więcej był usposobiony wewnątrznie iść z konserwatorami niż z liberalnymi i postępowymi, mieliśmy tego później liczne dowody. W dodatku jednym słowem niebacznem pchnął całe duchowieństwo w opozycję i rewolucję, nie obliczywszy sił jego i wpływu. Szlachta znalazła się w położeniu szczególnem, odpychana przez rewolucjonistów z jednej strony, przez Margrabiego z drugiej, omijana przez wszystkich, ujrzała się w upokarzającej bezwładności, niemożności bronienia się i działania.

Mała jej część przeszła do górętszych, najmniejsza pociągnęła do Brulowskiego pałacu łykać przymówki i upokorzenia któremi ją do syta ojciec i syn karmili; reszta czekała wypadków, z góry przewidując, że cokolwiek się stanie, padnie ich ofiarą.

Kraj grupował się nieśmiało, w obronie legalnego postępu i pracy powolnej pod sztandarami wątpliwymi Margrabiego, który szedł znowu nie mogąc się oprzeć ciągnącemu go rządowi; usiłując próżno obronić górętszej młodzieży która z dniem każdym stawała się silniejszą i szła zapamiętałe naprzód.

Gromow napróżno po kilkakroć widywał się z przywódcami ruchu, próżno starał się ich przekonać że zgubią kraj przedłużając agitacją, przysposabiają wybuch za lada iskierką; starano się go uspokoić tem, czego nikt nie był pewien, że rewolucja do kalend greckich odłożoną zostanie. — Patrząc z boku, Gromow widział już jasno nadchodzącą chwilę gdy wstrzymać jej nie będzie podobna.

Położenie Jakóba było przykre, a przekonania odosobniały go zupełnie. Wprędce postrzegł się sam że unikano go wszędzie, że i biali i czerwoni taili się przed nim, choć go nie odpychali stanowczo.

Pomiędzy swoimi zamiast wpływu do którego miał prawo, widział także nieufność i odrazę.

Jest to nieszczęśliwym losem wszystkich ludzi pewnych wyrobionych przekonań, nie przyjmujących bez inwentarza programu żadnego stronnictwa, a trzymających się na stanowisku pośrednim. że w chwilach ostatecznych zostają zupełnie osamotnieni.

Do ukształtowania tego co się partią zowie potrzeba fanatyków, ludzi słabych umysłów a wybujałych namiętności, wreszcie intrygantów, którzy przekonania poświęcają ambicyi, lub właściwie prócz interesu żadnych nie mają. Głową stronnictwa bywa zwykle człowiek dobrej wiary, rozgorączkowany do zaślepienia idea, lub ambitny; szeregi wypełniają, się zaciągowymi różnego wzrostu i miary. By należeć duszą i ciałem do stronnictwa jakiegoś, potrzeba zaprzędania się; uczciwy człowiek może być biernie posłusznym gdy tego kraj wymaga, ale czynnym serdecznie bez głębokich przekonań, nie potrafi.

Jakób choć wszędzie miał wstęp, postrzegł łatwo, że nigdzie nie miał wpływu, a w istocie nie należał do niczego. Rodziło to w nim boleść niezmierną. Ale poświęcić to w co wierzył dla wciśnięcia się gdzieś, dla zajęcia stanowiska, nie umiał. Najlepszym swym przyjaciółom mówił często bolesne prawdy i odstręczał ich od siebie; niemógł w sobie zatrzymać słowa gdy je zrodziło serce. Iwaś który był bardzo czynnym a kochał Jakóba, stronił też od niego. Pytany zbywał go żartami lub tłumaczył się niewiadomością; Kruder mówić z nim nie lubił, uciekał od niego prawie, chociaż sam podobne prawie stanowisko zajmował, tem przecie różne, iż od pochylenia się stanowczego w tę lub ową stronę, więcej go ambicya niż głęboka wiara wstrzymywała. Należał on do tych, co się lękali zużyć, czekał, wypatrywał, projektował całą siłę i energią rzucić na stawkę, ale dobrze wprzód szansę gry obrachowawszy, aby jeśli nie wygraną, to przynajmniej sławę dobrego gracza pozyskać.

Ale jak zawsze i tu rachuby go zawodziły.

Stronnictwo starożydowskie z którym Jakób już dla tego sympatyzował, iż ono trzymało się prawa swego i szanowało je, miało go przecież za rodzaj odszczepieńca i marzyciela, tem niebezpieczniejszego, że w talmud uzbrojonego.

Jego wykład prosty prawa Mojżeszowego nie podobał się mistykom.

Z drugiej strony to co składało inteligencyą, ludzie wychowani w pruskich uniwersytetach, hegliści i filozofujący, lub ci co nigdzie się nie ucząc, za najlepsze proprio motu, uznali w nic nie wierzyć, patrzyli na Jakóba z politowaniem i wstrętem. Naprzód jawnie i otwarcie uznawał się żydem co ich drażniło, powtóre żądał wiary, zasad, jedności, a tu tylko rozumnie pojęty czczono interes.

W chwili gdy jak najmocniej starał się i potrzebował być czynnym, Jakób znalazł się wśród pustyni, sam jeden; pustynia ta rozszerzała się codziennie, odbiegali go wszyscy, nikomu nie był potrzebny.

Rewolucyoniści wiedzieli dobrze że wybuchu za , dobre nie uzna, więc ręki doń nie przyłoży; przyjaciele Margrabiego napróżno go chcąc skłonić aby się poddał i służył mężowi stanu, w końcu przekonawszy się że jest nieugiętym, ustąpili.

Z Moskalami Jakób żadnej nie miał styczności, ani najmniejszego stosunku. Z pobratymców Mann go nienawdził, bo mu nie ulegał i czcicielem jego brzucha być nie chciał, (głowy powiedzieć trudno). Opiekun dawny z którym zachował stosunki, ojciec Tildy, należał do brulowskiego pałacu ciałem i duszą — stali

więc z sobą na zimno; Henryk podobno ujęty jakąś wizytą kogoś z członków rodziny Margrabiego, służył mu i wychwalał go. Bartold mniej poddańczo, mniej wyraźnie, chylił się także do tego systemu. Młodzież izraelska gorętsza bała się Jakóba dotknąć aby jej nie ostudził rozumowaniem. Bądź co bądź z nią on jeszcze był najlepiej, bo w niej było uczucie prawdziwe, gorące i szlachetne. Ale obowiązek nakazywał powstrzymać je, to mu miano za złe. Słowem, Jakób postrzegł się niepotrzebnym i odsuniętym.

Wśród ruchu z jednej, a poczynających się prześladowań z drugiej strony, gdy wszystko parło na krańce, Iwaś wszedł raz wieczorem do niego i położywszy mu rękę na ramieniu rzekł stanowczo:

— Jakóbie, chwila się zbliża gdy kraj ofiary zażąda; przychodzę do ciebie po podatek, przynoszę ci kwit, oto masz upoważnienie. Ocenisz sam ile dać możesz.

Jakób się zamyślił.

— Od ofiar się nie uchylam, rzekł, znasz mnie nadto, byś o tem mógł powątpiewać, ale dając muszę wiedzieć na co daję. Słowem honoru mi zaręcz że nie na przygotowania do walki orężnej.

— Kiedy tego wymagasz, zawołał Iwaś, to muszę ci dać słowo... że pieniądz właśnie na broń jest przeznaczony.

— Sumiennie więc odmówić go wam muszę, odezwał się Jakób.

— Ty?

— Ja... Dam połowę, dam więcej niż pół majątku dla kraju, ale nie na to aby podpalić własny dom który... spłonie.

— Człowiecze małej wiary! podchwycił Iwaś, zimny rozumie, dla czego ty chcesz widzieć jaśniej od serc zagrzanych najgorętszem uczuciem miłości ojczyzny, które wszystko obali i zwycięży? Mamże ci się tłumaczyć że jesteśmy prawie pewni pozyskania ludu, że mamy z sobą duchowieństwo które go poprowadzi, bo nam je dał Margrabia, że zyskaliśmy wielką część twoich spółwyznawców, że szlachtę opieszłą strachem z nory wykurzym i zmusimy by poszła, że w Rosyi gotuje się także rewolucya, że Garibaldi obiecuje nam posiłki, że Węgry dadzą broń, pieniądze, ludzi, że Austria prawie pewnie obojętnem okiem patrzeć będzie na kłopoty sąsiadki, a Anglia i Francya poprą nas niechybnie...

— Czekaj, przerwał Jakób, rozbierajmy pojedynczo.

— Ani chcę ani umiem rozumować z uporem, krzyknął Iwaś, nie masz wiary to ci jej nie dam, ty mi mojej nie odbieraj... Nie chcę słuchać, dajesz pieniądze czy nie?

— Na rewolucyą? — nie.

— A gdy się ona stanie czynem i wszyscy pójda z nią?

Jakób smutnie spuścił głowę,

— Wszyscy, nigdy, rzekł, ale gdy się spełni to co ja uważam za zgubę dla kraju

— oddam co mogę i pójdę... Poświęcić się potrafię, z boleścią tylko bo to ofiara

— daremna.

— O to się nie frasuj... Ale Jakóbie mój, my potrzebujemy pieniędzy dziś, zaraz — ty nam je dać musisz.

— Nie mogę.

— Jestem i byłem twoim przyjacielem i obrońcą, podchwycił Iwaś, ale przede wszystkim jam rewolucjonista, na środki się nie oglądam. Wiesz co cię czeka jeśli odmówisz? Może śmierć, a niechybnie plama...

— Słuchajże, zimno odpowiedział Jakób, plama, nie. Człowiek się sam tylko splamić może, nigdy drudzy; to co ty zowiesz plamą ja nazywam męczeństwem. Co się tyczy śmierci, no... powiem ci że się jej w żadnym razie nie lękam. Ocalenie życia lub majątku ofiarą przekonań głębokich jest według mnie, nikczemnością. Ze strachu nie zrobię nic. Każecie mnie zabić, zabiją. Wierzę w sprawiedliwość Bożą i nieśmiertelne życie duszy.

Iwaś się rozśmiał łagodnie.

— Tyś stare dziecko, mój drogi, rzekł z politowaniem, żał mi cię, nie do naszego stworzony jesteś wieku, patrzę na ciebie jak na ciekawego wyrodka, jak na istotę co przespawszy lat tysiąc obudziła się wśród nieswoich czasów. No — ale cię szanuję...

Jakób podał mu rękę w milczeniu.

— Nie przerobisz mnie, rzekł — to darmo, czuję ja codzień że świat co mnie otacza nie dla mnie stworzony, ale muszę i ja na coś w nim być potrzebny, gdy mi żyć kazano i dźwigać żywota obowiązki.

— Ja powracam do pieniędzy. —

— Iwaś! rzekł Jakób biorąc klucze, potrzebujesz ich dla siebie, ile?

— Nie — przynoszę kwit.

— I mówisz że ich użyjecie na kupno broni?

— Sumienie mi kłaniać nie dozwala.

— Sumienie mi dać nie dopuszcza. Schował klucze do kieszeni.

— Słowo jeszcze, rzekł Iwaś, jesteś jednym z pierwszych co odmawiają tak stanowczo — muszę cię uprzedzić, że przykład twój gorszący nie może ująć bezkarnie, że zechcą cię skarcić surowo... że ja sam, z bólem serca wotować za tem muszę... Jakóbie, zginiesz!

— Każdej chwili i godziny zginąć mogę, odparł Jakób — to nie będzie pobudką do niczego.

— Ja cię proszę...

— Ja cię błagam, nie prosz daremnie. Powiedz mi że chcecie ocalić ludzi prześladowanych przez rząd, ułatwić im ucieczkę, założyć dla nich szkołę, wyrobić im przytułek, zapewnić im fundusze, oddam ostatnie, pójdę żebrać dla was na ten cel... ale na rewolucyą... ani złamanego szeląga. '

— Milczę, zawołał Iwaś — dość na tem.

— Widzieliście Gromowa?

— Dwadzieścia razy.

— Cóż mówicie na jego argumenta?

— Że jest Moskal... oni wszyscy w słowach gorący, do czynu bojaźliwi... Dla nich czas nigdy nie przyjdzie, ich spiski rozwiązują się mikołajowskimi: Na kolana, łajdaki! — Pół tysiąca lat jeszcze zostaną tem czem są. — Gorzej, ja Gromowa posądzam, że jest agentem.

Jakób rozśmiał się ruszając ramionami.

— Wielce podejrzana figura.

— Ale to co mówi jest nacechowane znajomością położenia.

— Ty wiesz że my się rozumowaniom wszelkim bronim zatykając uszy. — Rozum! rachuba! to u nas nie ma miejsca... to nie nasze są żywioły... Nam potrzeba szalu, szalem tylko możemy się dźwignąć... Pójdziemy przeciwko milionom z kijami w rękę i wierzę że je pokonać musimy.

Jakób zamilkł.

— Wyście bohaterowie, zawołał po chwili, wierzę wam, wielbię was, ale policzcież się! wielu was takich jest?

— Trzech czy milion! to mi wszystko jedno, za nami pójść muszą tłumy.

— O! nie znacie ludzi — pójdzie garstka za wami, ale garstka tylko, a wśród niej jeszcze będą ci co są wszędzie gdzie zamęt, gdzie nieład i wrzawa, żywioły których ani zużytkujecie, ani zawładnąć nimi nie potraficie. Iwaś zakąsił wargi.

— Dość tego, rzekł, tyś zimny jak lód, tyś egoista i tchórz... bądź zdrow... Cokolwiek cię spotka, umyвам ręce.

— Dobrze, odparł Jakób, czyń co ci każe twe przekonanie, lecz w chwili gdy się tak nieprzyjaźnie rozstajemy z sobą, Iwasiu, podaj mi dłoń gorącą, pożegnajmy się jeszcze po staremu... będzie co Bóg da!

Iwaś się zawahał.

— Nie, rzekł, od tej chwili przyjacielem twym nie jestem, będę wrogiem.

— Iwas! ty szalejesz! na miłość Bożą.

— Cały należę do sprawy, nie ma dla mnie przyjaciół, bądź zdrow...

— Słowo jeszcze...

— Ani słowa! dajesz pieniądze?

— Nie mogę.

— Więc dla kraju nie chcesz poświęcić przekonania?

— Ani dla kraju, ani dla niczego w świecie się ich nie poświęca — nigdy! odparł surowo Jakób. Mogę się poświęcić do tyła tylko że z założonymi rękami patrzeć będę na to co większość postanowi i uczyni, ale robić przeciw przekonaniu — nigdy. Iwaś choć ogarnięty szalem był przecież poczciwym chłopcem, w progę już serce mu zadrgało, poczuł politowanie i szacunek, odwrócił się.

— Nie, nie, rzekł, bądź co bądź, jesteś uczciwym człowiekiem, szanuję cię. — Daj mi rękę — uściskajmy się.

I rzucił się w objęcia Jakóba, który był mocno wzruszony.

— Ale jeśli jutro każą, mi cię zabić, dodał Iwaś po cichu, przyjdę i z zimną krwią, nóż ci w piersiach utopię... Ojczyzna przede wszystkim.

— Ja także ten ślepy twój heroizm umiem szanować, zawołał Jakób, ale go nie dzielam... Stanie się z nami obu co napisano w księdze przeznaczeń. Straszne czasy! o straszną niowola i ucisk, które do takich porywów, uczuć i czynów przygotowują! Straszna będzie odpowiedzialność na sądzie Bożym tych rządów, które do takiej rozpacz i zapomnienia przywodzą!

Zamilkli, Iwaś ze łzą w oku wyszedł(1).

(1) All is true; staramy się tylko prawdę jak ją widzieliśmy malować; — ta scena cała jest więcej niż prawdziwą, jest historyczną.

Nazajutrz Jakób czekał dekretu, gotował się na wszystko możliwe, ale miał tam dobrego rzecznika w przyjacielu i nie ogłoszono ani imienia jego jako zdrajcy ojczyzny, ani mu dano znać o jakimkolwiek wyroku.

Tylko Iwasia ani żadnego ze stronnictwa gorętszego nie widział więcej, wszyscy się od niego usunęli całkowicie.

Gdy się to działo właśnie, w parę dni po rozmowie, zdziwił się nieco Jakób ujrzawszy wchodzącego do siebie starca w dawnym ubiorze polskich żydów, w którym nie poznał zrazu Jankiela Mewes, tego kupca który pierwsze bezpieczne ukrycie Iwasiewi zapewnił. Znajomość ich tak była krótka, choć zostawiła po sobie miłe wspomnienie, że zrazu bytności Jankiela u siebie wytłumaczyć nie umiał.

Stary był zamyślony i smutny, przypomniał się Jakóbowi, powiedział mu bez ogródki że mu się naówczas podobał i że nie chciał, będąc w Warszawie, pominąć zrzeczności przypomnienia się.

— Nie mam to ja interesu żadnego, rzekł, at — chcę wiedzieć co się dzieje, aby powróciwszy ztąd umieć się pokierować. Cóż słyhać? groźno mówią, straszą.

Westchnął.

— W istocie groźno patrzy przyszłość, odparł Jakób — ale w każdym wypadku więcej jest Bożego niż ludzkiego, trzeba skłonić głowę z posłuszeństwem nawet przed tem co się nam strasznie wydaje.

— Tak jest, rzekł Jankiel, tak jest — ale możeż być prawdą co mówią, że młodzież chce się porwać?

— Chcą czy nie, zawołał Jakób, może samą siłą rzeczy przyjąć do tego. Rząd zdaje się sam popychać, ułatwiać, aby mieć powód do zemsty... Oni rachują na lud...

— Na lud — podchwycił Jankiel — na lud! Ja go znam najlepiej. Lud złym nie jest, ale ileż to powodów przy ciemnocie, znekanu, aby stanął opornie? Lud nie rozumie Polski dotąd, poszedłby gdyby widział siłę, ale sam jej nie stworzy, bo w sobie nie czuje popędu. W r. 1831 mieli wojsko, skarb, ludzi... a nie utrzymali się — cóż dziś?

Stary potrząsł głową i po cichu powtórzył ustęp z psalmu (u żydów 89. — u nas 88.):

— "Wywyższyłeś prawicę tłumiących go, uweseliłeś wszystkie nieprzyjacioły jego.

"Odjąłeś pomoc mieczowi jego, a nie ratowałeś go na wojnie.

"Ukróciłeś dni czasu jego, oblałeś go wstydem. "Dokądże panie odwracasz się do końca?" Zamilkł. — Boleję nad nimi, dodał po przestanku — jakbym bolał nad Izraelem, bo to naród płochy, dziwny, lekki a serdeczny; nieszczęścia nawet nie zahartowały go, ale mu nie odjęły wielkiej wiary i szlachetności. — Gdy inne narody rachują, on płacze, gdy inne chytrą się zbawiają, on szczerota ginie i miły jest jak dziecko swawolne; a ginącego łzami opłakiwać potrzeba... albowiem zginie! — rzekł stukając laską o ziemię — zguba jego uchwalona jest, podzieli losy nasze... choć na lepsze może zasłużył!

Smutno mi — dodał powoli — widzę, patrzę, a stare oczy moje co już na ziemi postrzegają tylko mroki gęste, w przyszłość patrzą jasno, daleko... Biada im! biada!!

Jakób westchnął smutnie.

— Czyż nie ma siły coby ich powściągnęła?

— Któż powstrzymać potrafi, gdy Boża moc popycha? kto zna losy jego i czytał w wyrokach Opatrzności? — mówił Jakób uniesiony — czyja dłoń sięgnie na dno rzeki krwi aby z niej dobyć co się tam tai?

— Tak, wola Jego się stanie, ten który jest? uczyniło rzekł przed wieki, my ślepi... milczmy, ale pełnijmy obowiązek.

Wielu z naszych powie, ratujmy siebie — tak jest, ratujmy siebie, ale ratujmy siebie dla tego, abyśmy ich ratować mogli. Wielu z naszych powie, — oto godzina zemsty wybiła, pójdziemy i pomścimy się wiekowych upokorzeń i nędzy — ale nie! Bóg nas już pomścił — my braci winniśmy w nich widzieć, acz poganami są. Mieszkaliśmy z nimi długie wieki i przywiązało się serce nasze do dzieci ich, i zapominamy urazy a pamiętamy, żeśmy przybysze znaleźli przytułek i rozmnożyli się jako piasek w morzu na ziemi ich i jedli chleb ich potem pokropiony... i grzebaliśmy kości ojców na ziemi tej.

Po com przyszedł zgadnienie, dodał, boję się abyśmy pojednani z nimi nie poszli przeciwko nim; wstydby mi było za dzieci Izraela... Ty masz serce zdrowe — mów.

— Mówić! odparł Jakób smutno — a! dobrze, ale któż mnie posłuchał — JAKTO? zapytał stary.

— Jam tu tak samotny, że się z nikim zejść, nikomu nic rzec nie mogę — rzekł cicho Jakób. — Dla jednych nadto jestem żydem, dla drugich za mało... Nie mogę nic.

— Nie frasuj się, mówił stary, czy ci idzie o to ażebyś przewodził widomie? nie? z pokorą więc idź a mów, słowa twe wejdą jako ziarna zdrowe, gdy te którymi mówią, ludzie fałszu rozmiecie wiatr i spłucze burza — słów twoich słuchać nie zechcą, i ramiony ruszą na nie; nie frasuj się, nigdy inaczej ludzie nie przyjmują prawdy; ale ci nie idzie oto aby rzeczono było, że słowo to twojem jest i z twój piersi wyszło, żeś ty jego rodzicem... bo wszelkie dobro w

człowieku Bożem jest natchnieniem. Więc czyń swoje w cichości, a daj się chlubić innym że uczynili więcej, lepiej, lub że oni sami tylko dokonali wszystkiego.

— Pocieszacie mnie i dodajecie otuchy, zawołał Jakób — więcej nad wyraz wszelki wdzięczności wam jestem...

— A! ja sam potrzebuję też pociechy i otuchy, mówił stary, bo i przyszłość straszna i obawiam się abyśmy jej nie dźwigali w sromie... a serce moje popiołem posypane i dom mój żałobą okryty.

— Dom wasz? zapytał Jakób.

— Nie badaj mnie, mówił stary — widziałem węża gdy pełził do łóżka mego, ale nie postrzegły go oczy innych i dali mu się wcisnąć aż do piersi naszych i sromotnie zranił nas...

— Nie śmiem was pytać, rzekł Jakób.

— Sam wreszcie wyznam... tajemnicy nie ma, bo złe wiadomem jest światu rychło, a złoczyńca jawny dla ludzi i bez wstydu...

Starcowi łza potoczyła się po licu wyschłem.

— Na co mi teraz, mówił, to mienie które zbierałem w pocie czoła, co mi po dostatku, gdy dziecko które ukochałem obcem się stało, dla mnie umarłem... ?

Jakób wstrzymywał się od pytań, ale starzec mówił już sam, coraz się rozżalając więcej.

— Byliście w domu u Dawida Seebacha? znacie ojca i syna? Nie może tam być dobrze gdzie żadne prawo nie jest poszanowanym! Lepszy jest może poganin który swój wierze pozostał wiernym, niż Izraelita który poniewiera religią i zdradza ją. Czegóż się było spodziewać po niewiernych? Pocóż dziecko moje na tę drogę patrzyło, a śmierć mu lepiej' oczów czystych nie zamknęła! Lija! Lija moja uwiedziona została przez tego człowieka bez serca... poszła z naszego domu z hańbą... on ją porzucił, jara się jej wyrzec musiał, odtrącić, aby u jednego stołu nie siadała z czystym dzieckiem moim. — Ona się wala w nędzy, odepchnięta, gdy ja... tysiące składam w skrzynie, a dać jej na chleb nie mogę... Z krwi mojej Mamser! o wstydzie i hańbo... Za cóż mnie Bóg tak ukarał?

Dawid był żonaty, jest żonaty, a nikt nie wiedział o tem!

Widzieliście Liję gdy byliście u mnie, widzieliście to dziecko niewinne które złego nie przeczowało nawet, a zdrady się nie domyślało. Była piękną jako dzień, a stała się czarną jak piekło i nędzną jak najostateczniejszy żebrak... A co ją czeka?

Stary począł toczące się łzy ocierać i pochwycił się za siwe włosy z rozpaczą.

— A! wy jesteście uczciwym człowiekiem, dodał, ratujcie mnie, pomóżcie mi; ja ojciec nie mogę wyciągnąć ręki do dziecka upadłego, tej ręki którą czyste całuje... a mnie się serce krwawi, a nie ma ktoby mi pomógł!

— Zrobię co tylko każecie, przerwał Jakób, ale gdzież ta nieszczęśliwa?

— Tu, zawołał starzec z wysiłkiem, tu jest, ale ani ona o mnie, ani ja o niej wiedzieć nie mogę. Jeśli zostanie opuszczoną... bo ten ją, niecny porzucił i uciekł pohańbiwszy dom mój — ona może upaść niżej od najniższych i zwala

się w prochu ta która była dzieckiem mojem. Poratujcież ją tak aby się ręki miłosiernej nie domyślała... od siebie... przez kogoś...

— Mówcie, uczynię wszystko co mogę.

— Oto są pieniądze - — jałmużna, weźcie z nich ile chcecie, niech ona się nie tuła, rzekł stary spiesznie dobywając pugilares który rozerwał nie otworzył — niech ma gdzie płakać spokojnie pokryjomu, aby ją ludzkie oczy nie paliły, niech ma gdzie złożyć głowę... niech jej nie zbędzie na niczem. Ale uczynicie to jakby od siebie.

To rzekłszy starzec złożył na stole drżącymi rękami pieniądze i świstek papieru na którym niewyraźnie po żydowsku wypisany był adres Liji, potem począł płacząc ścisnąć Jakóba.

— Ja, dziś jeszcze odjechać muszę, ja tu nie mogę żyć... Napiszcie mi... A! nie! nie — nie piszcie... przyjadę znowu, powiecie... nie piszcie lepiej. Ratujcie ją tylko. To dziecko pieszczone, słabe, wątłe... a choroba, nędza, praca, boleść...

— Dość, przerwał Jakób, spuście się na mnie, nie rozdierajcie sobie serca... będę dla was sługą wiernym...

— I nie żałujcie tego grosza który mi się na nic nie zdał, dodał Jankiel, a nie mówcie że pochodzi odemnie, ani że od matki... powiedzcie że Bóg ulitował się nad nią, że dalsi krewni przysłali...

Mowę ojcu biednemu łzy i łkania przerywały, całował Jakóba, potem jakby oprzytomniawszy a podniósłszy ręce do góry począł się modlić ofiarując Bogu strapienie swoje (Psalm, u żydów 56.):

"Zmiłuj się nademną Boże, boć mię podeptał człowiek, przez cały dzień najeżdżając utrapił mnie. Podeptali mnie nieprzyjaciele moi cały dzień, albowiem wiele walczących przeciwko mnie, od wysokości dnia ulęknę się, ja lepak w tobie nadzieję mieć będę...

W Bogu wysławiać będę mowy moje, w Bogum nadzieję miał, nie będę się bał co mi uczyni ciało... "

Jakób także łzy miał na oczach.

— Dziękuję wam, rzekł, gdy starzec przestał się modlić, za zaufanie we mnie, tem więcej że małoście mnie znali...

— Alem ja wiele dobrego o was słyszał, szepnął Jankiel uspokajając się, powierzam wam srogą ranę duszy mojej, lekarzem bądź litościwym... Nie piszcie do mnie... cierpieć będę w pokoju i poddaniu się Bogu... przybędę sam... Niespodziane te odwiedziny głęboko poruszały Jakóba, serdecznie pragnął dopomóc biednemu ojcu, którego łzy i głos boleści pełen, stały mu długo w oczach i uszach...

* * *

Od owego wieczora, gdy Jakób tak chłodno się znalazł wobec rozczulonej Muzy, stosunki jego z pierwszym piętrem widocznie się zmieniły, chociaż nie stało się to nagle, ale powolnie i stopniowo. Z narady późniejszej wypadło widać iż na niego nic a nic rachować nie było można, chociaż trzymano go jeszcze w odwodzie, na wszelki wypadek. Henryk choć żonaty był daleko

więcej obiecujący. Muza nie łudziła się jego miłością, rachowała na namiętność, która bywa od niej silniejszą, choć krótką. Matka poczynała też, niespokojna znowu, nastawać, aby liczniejsze towarzystwo mężkie wprowadzić do domu.

W parę dni potem, mówiła do córki: — Ponieważ ci głupi poznać się na tobie nie umieją, byłabym tego zdania, że nam nic nie pozostaje tylko rozszerzyć koło naszych znajomych, zawiązując stosunki z Rosjanami. Oni są chciwi towarzystwa i lepiej podobno znają się na ludziach niż nasi wykwinisie... potrzeba ich tu koniecznie sprowadzić.

— Myśl nie jest zła wcale, odpowiedziała Muza, u nich kobieta wykształcona jest rzadszą" to jej daje prawo sięgnąć gdzie zechce... najwyżej. U nas wymagają zbyt wiele, zbyt różnych przymiotów... Przystaję na to, bądź co bądź na Jakóba nie mogę rachować, jest człowiek uczciwy ale bez serca dla kobiet, bez czucia żadnego... ostygły zupełnie. Musiałam się prawie żydówką stać dla niego, a i to nie pociągnęło... W końcu już mnie to nudzi... i do niczego nie prowadzi... Tego wieczora przekonałam się że nic, ale to nic... nie można liczyć na niego...

Jednakże, dodała ciszej Muza, nie żebym ja miała jakiś afekt szczególny dla Henryka, bo tego nie czuję, ale mówię mamie, ja na niego dużo rachuję. Il est à moi... Tilda jest coraz gorzej, elle deperit à vue d'oeil... Gdyby nawet żyła i ozdrowiała, wszakże u nich rozwód nie jest rzeczą tak trudną, dzieci nie mają... a toby był mąż dla mnie...

— Moja duszo, zakrzyknęła pani Wtorkowska, ja ci mówię że la lune de miel, mogłaby być zapewne niebiańską... ale potem!! To jest człowiek z temperamentem gorącym a głową, zimną... ja się go boję...

— O! co ja to nie! odpowiedziała Muza, wiem przynajmniej co na niego działa... gdy na Jakóba nie ma środka... Może łyż! ale ja znów płakać i nie lubię i nie umiem... nudny jest, patetyczny...

Skutkiem późniejszym tej rozmowy pułkownik Sofronow i major Hierasimowskiej zaczęli jakoś bywać w domu pani Wtorkowskiej; starała się ona zaćmić ich naprzód przepychem i wykwinnością przyjęcia. Oba się szalenie zajęli panną Muzą, Sofronow zakochał nie żartem. Ale że to był człowiek nader praktyczny i chorował na politykę, przedsięwziął, jak się sam wyrażał po francuzku, faire d'mie pierre deux coups.

Zbliżywszy się począł nieco wybadywać pannę o jej przekonania polityczne; Muza gotową była mieć takie jakie się korzystniej zastosować dały. Dawniej na koncertach w resursie na ubogich, grywała chętnie rzeczy trochę patryotyczne... ale z równą obojętnością i wszelką inną manifestowała się muzyką, umiała Boże Cara chroń, Krasny Sarafan, Trójkę (udałuju) itp.

W ogóle Moskale dosyć się jej podobali... Chociaż w początkach agitacji 1861. trochę się przez ciekawość do nich mieszała, bo matce i jej zdawało się, że ją to może uwydatnić, uczynić popularną, dać adoratorów a w końcu i męża; gdy się potem przekonały o tem że to do niczego nie prowadzi — usunęły się... Dom więc pani Wtorkowskiej nie miał wydatnej barwy aż do zjawienia się pułkownika Sofronowa... Leżały na fortepianie w dobrej zgodzie, Boże coś

Polskę, Z dymem pożarów, kompozycje Lwowa i Glinki. Przybycie Pułkownika zmieniło zupełnie usposobienia pani i panny na mocno zachowawcze i lojalne. Oprócz tego ponieważ udawały arystokratyczny dom przed Moskalami, uznały słusznym nadać sobie tę barwę właściwą... i narzekać na rewolucjonistów.

Sofronow był człowiekiem nader zręcznym; wprzód nim wybadał te panie które za Polki uważał, nie drażnił ich uczuć patryotycznych, o niektórych polskich ludziach i pamiątkach odzywał się z uszanowaniem, o terażniejszości cierpko i z ubolewaniem raczej niż niechęcią.

W początkach nawet szafu dla pięknej Muzy, która go była oczarowała, jako prawy Moskał a człowiek bardzo praktyczny, ledwie się obronił pokusie żeby pannę podciągnąć pod śledztwo polityczne, wsadzić na parę miesięcy do cytadelli i tam spokojnie w kazemacie z nią, pierwsze rozdziały romansu, bez żadnej przeszkody... przesnuć sobie szczęśliwie. Jemu się to zdawało nawet bardzo prostem; o pretekst do aresztowania nie było trudno... a w sądzie wojennym miał mnóstwo przyjaciół!! Ale rozmyśliwszy się zaniechał tego pięknego planu... który podobno przez innych jego towarzyszków, używany był czasu rewolucyjnego... U Moskali, narodu excentrycznego, i miłość oryginalne czasem przybiera formy.

Za drugą czy trzecią przydłuższą rozmową, pułkownik Sofronow postrzegł że z paniami temi bezpiecznie otwartym być może, Wtorkowska często odzywała się z nader lojalnymi wspomnieniami o dynastji, o cesarzu Mikołaju i Aleksandrze. (Matka jej miała od niego naszyjnik ametystowy w podarku, nie wiadomo za jakie zasługi); bolała ona nad szaleństwem kraju; Muza umiarkowanie liberalna, tyle ile w Moskwie w słowach być wolno każdemu, wielbiła emancypacją chłopów i wynosiła cesarskie reformy, z pogardą mówiąc o tłuszczy rewolucyjnej. Sofronow wybadawszy je pewien był swego, ale myślał że przez ten dom, który mu się na oko wydał poważnym i mogącym na kraj wpływać — możnaby podziałać na ludzi, zawiązać tu jakieś kółko, obudzić reakcją.

Zakochany w Muzie po moskiewsku, sam dobry muzyk i wielki diletant, osnuł już powoli cały plan, do którego nawet ewentualnie wchodziło i ożenienie; ale ze zwykłą ślepotą ludzi świeżo do kraju nieznanego przybyłych, omylił się zupełnie co do znaczenia, wpływu i stanowiska w świecie pani Wtorkowskiej. Jego ani to imię, dla nas już wiele mówiące, ani przyięcie, ani ton, z niedostrzeżonymi odcieniami dorobkowiczostwa i fałszywego wykwintu na kredyt, nie raziły. Brał za dobrą monetę i wielkie ich stosunki i majątek i znaczenie. Dziwił się tylko nieco że ilekroć po za domem wspomniał komu o Wtorkowskich, albo półgębkiem lub milczeniem mu odpowiadano.

Tłumaczył to sobie jednak opiniami politycznymi tych pań, które je niepopularnymi czynić musiały. Łatwo mu było zbliżyć się do Muzy, umiała ona ośmielić, pociągnąć, zawiązać stosunki i utrzymać je. Każde odwiedziny pułkownika z nieporównaną zręcznością tak się obracały że obowiązywały go do następnych; miał coś przynieść, odesłać, donieść, powiedzieć.

Matka okazywała się najłagodniejszą, nieprzeszkadzającą do niczego; najczęściej zajęta była po za salonem, a w salonie na pół głuchą. Sofronow był w uniesieniu.

— Pani, rzekł po kilku tygodniach preludyów siadając raz przy Muzie — niech mi pani daruje, że ją dziś nieco utrudzę za poważną może rozmową.

— O! czyż pan mnie masz za tak lekką?

— Nie, ale gdyby nie konieczność miałbym sobie sam do wyrzucenia, że zamiast mówić o tem co z serca płynie, zamiast patrzeć w te czarowne oczy, będę mówił co głowa podyktuje.

Proszę pani, dodał po chwili, sędzę że panie mieć pewien wpływ na kraj możecie. Czemu się nie staracie oddziaływać nań ? Rewolucya gotuje się widocznie, Polska idzie do zguby. My tu jesteśmy, mimo sił jakimi rozporządzamy, prawdziwie obcy, nie rozumiemy kraju, czynnie nań działać niepodobna. Czemu byście nam nie pomogli?

— My? kobiety?

— Ale kobiety w Polsce grają przeważną rolę, mieszacie się przecie do manifestacyi.

— O! to ten... motłoch! wzgardliwie odparła Muza, to tłum a nie kobiety lepszego towarzystwa.

— Zgoda, ale wyższe towarzystwo winno też mieć swe przekonania i manifestować je.

— Daruj pan, ja sędzę, odparła Muza, że kobiety z ulicą nic wspólnego mieć nie mogą.

— Ale w salonie też skutecznie działaćby mogły.

— A! do czego nam ta nudna polityka!

— Godzę się na to z serca, rzecz to nie wasza, ale czasy, czasy są ciężkie bardzo. Panie macie obowiązki względem kraju. Rząd robi co może ale bez przyczynienia się was samych nic nie potrafi.

— Cóż my możemy?

— Pani, rzekł Sofronow, daję pani uroczyste słowo honoru że dobrze życzę Polsce (rozumie się w połączeniu z nami i w rozsądnych granicach tej Polski) ale i ja i drudzy jesteśmy ślepi.

Muza widząc już do czego to zmierzało, zarumieniła się, rumieniec ten przeleciał po jej twarzy jak błyskawica, pomyślała że podając rękę zyskać może siłę, podnieść dom. Któż wie? szepnęła myślą aż do stopni tronu sięgając, a przynajmniej do pałacowej alkowy. Spojrzawszy w zwierciadło potwierdziła się w przekonaniu że mogło to bardzo stać się rzeczywistością.

— Azatem, rzekła chłodniej, mów pułkowniku otwarcie, proszę cię bardzo.

— Bądź pani moim doradczą i przewodnikiem, odezwał się Sofronow, macie stosunki, znacie kraj, widujecie ludzi, pomóżcie nam do działania na nich. Idźmy razem, ręka w rękę.

Znowu żywy rumieniec okraślił twarz Muzy, która zbladła wprędce i spuściła głowę.

— Nie lubię polityki, rzekła, i tych wszystkich brudów które ona za sobą, ciągnie; ale gdybym wiedziała że istotnie mogę być użyteczną, poświęciłabym się chętnie. Chociaż, kochany pułkowniku, gra to niebezpieczna, gra z ogniem... sparzyć się łatwo. W naszym położeniu, w mojem zwłaszcza... kobiecie niezamężnej... tracąc popularność, traci się może z nią przyszłość całą... dziś lada oznaka, podejrzenie.

Pułkownik się uśmiechnął.

— A! pani, rzekł, czyż się wy o to możecie lękać? Pojedźcie do stolicy, zobaczycie jak tam będziecie przyjęte... ale na cóż i to, dodał ciszej, czyż pani nic jesteś pewną, że każdy na którego raczycie rzucić okiem...

Nie dokończył, zakrawało to coś na preludjum oświadczenia się, a z rachunków Muzy wypadało, żeby go nie przyspieszać, przerwała więc:

— Allons donc, źle zrozumieliście mnie pułkowniku, ja mówiłam tylko o powszednich kłopotach i nieprzyjemnościach życia.

Tak się wreszcie jakoś porozumieli.

W kilka dni potem świetniej niż kiedy otworzył się salon pani Wtorkowskiej, do którego wabiono zewsząd gości, umiarkowanych, białych, szarych, popielatych, pstrych i zielono-czerwonych. Był to, jak mówił Sofronow, terrain neutre, wyrobiony przez niego, na którym miano się spotykać dla wzajemnego porozumienia.

Jakób bywał tu także, ale zdala stojąc więcej widz i słuchacz niż uczestnik, Muza też od owego pamiętnego wieczora była z nim zamyślona, pomieszana, jakby nie swoja. Nie wabiła go już na ustronne rozmowy, nie ściagała listami, nie zamawiała na przechadzki. Jakób spostrzegł tę zmianę w obejściu się z nim, ale się prawie nią, uradował, nadszkanie mu ciążyło. Henryk który tu był częstym bardzo gościem, pomiędzy młodzieżą moskiewską znalazł najlepiej przypadające mu do smaku towarzystwo, i zawiązał z nim stosunki..

To naturalnie spowodowało wzajemne odwiedziny, zaproszenia na obiady, wieczory itp. Tilda która była wcale odmiennych przekonań, na którą Jakób mimowoli wpływ wywierał, mocno się na to krzywić zaczęła. Ale władza jej w domu była nader ograniczoną a raczej żadną prawie, pani w swoich dwóch pokojach, wpośród swych kwiatów i książek, za progiem ich była obcą i jakby gościem we własnym domu. Mówiono jej tylko kiedy się spodziewano kilku osób na obiad, prezentowano je, nie pytając wcale jak jej towarzystwo się podobało. Rozmowy przy stole drażniły ją boleśnie, zmuszając do smutnego milczenia. Mąż uważał to ale się tem wcale nie troszczył.

Jakób zajęty teraz i sprawami kraju i mnóstwem kłopotów jakie one nań ściągały, nie tak często przychodził i zrażało go to także iż się w tym domu prawie zawsze z Moskałami spotykał, z którymi nie miał nadziei porozumienia się, wiedząc że ani z mmi otwarcie być można, ani oni kiedykolwiek szczerymi być zechcą. Łudzić się też wywarciem na nich jakiego wpływu rozsądnemu człowiekowi nie było podobnem; zarozumiałość i upór zwykle towarzyszy temu stopniowi niewykształcenia i cywilizacyi powierzchownej, która jest udziałem

Moskali. Aby się pokazać postępowymi i liberalnymi, kłamią, oni sentymenta i myśli, które się nigdy w czyn nie obracają, umieją z człowieka wyciągnąć wszystko a nic nie dają mu z siebie. Życie Tildy widocznie stawało się przykrzejszem i bardziej osamotnionem; zdrowie jej pogorszało się, bladła, schła, kaszlała a nie chciała się leczyć. Po całych dniach trawiona gorączką grywała i zamęczała się tą muzyką, po której zawsze prawie gorzej jej było; ale potrzebowała zapomnieć o życiu wlokącym się nieznośnie. Nocami często zaczytywała się w książkach, które jej tworzyły żywot sztuczny. Jedyną pociechą było gdy czasem Jakób znękany również przyszedł się tu także poskarżyć, odetchnąć, poboleć z nią razem. Ale najczęściej trafiało się że Henryk i jakichś para natrętów nie dawali się im zbliżyć i pomówić z sobą, że Jakób przypatrzył się tylko jak mu ona wymizerniała, ile ból wewnętrzny wrył się na rysach jej twarzy, że ona policzyła marszczki przybawające na jego czole, że ścisnęli w milczeniu dłonie i rozeszli się nie mówiąc słowa.

Trafiło się raz przecie iż na herbacie nie było nikogo oprócz starej Angielki, dawnej nauczycielki, teraz przyjaciółki Tildy, gdy Jakób stroskany, potrzebując pociechy przywłókł się do niej.

Od bardzo dawna dłuższej już poufalszej rozmowy nie mieli z sobą.

— Jakże my się teraz rzadko widujemy, odezwała się Tilda witając go, wierzę iż nie zobojętniałeś dla mnie, ale gdybym mniej miała ufności, posadziłabym Emmę że mi ciebie odbiera.

Jakób się rozśmiał.

— Emmę? dla czegoż ją?

— Ale bo wyraźnie sieci rozstawia na ciebie.

— O! na ranie i na dziesięciu innych, odparł Jakób śmiejąc się — na pułkownika Sofronowa, a nawet podobno na twego pana Henryka.

Tilda także się uśmiechnęła.

— Proszę cię, rzekła, co dziwnego że mu się jej świeża, rumiana twarzyczka podoba, po mojej bladej, znudzonej i smutnej... Spotka tam uśmiech, piosnkę, a tu westchnienie, łzy, ból... ja mu doprawdy nie mam tego za złe.

— A ja, bardzo.

— Gdyby był czulszym dla mnie, wyrzucałabym sobie że go kochać nie mogę, ale jest właśnie jakim być powinien, przyzwoitym, grzecznym, zimnym a daje mi swobodę... Od dawna widzę że Muza mu się wydaje bardzo powabną.

— A ja jestem pewnym że i on się jej podoba.

— O! o! dajmyż im pokój, ruszając ramionami zawołała Tilda, czyż im będziemy zazdrościć?

— Nie — ale ja nim gardzę, dodał Jakób.

— Co mi tam... gdy go nie Kocham! szepnęła Tilda.

Jakób przeszedł się zamyślony, nagle stanął patrząc na nią.

— Przebac mi, rzekł — nie miej mi za złe — mam myśl szaloną.

— Mówże tę myśl szaloną... może ją przebaczę. — Ta szalona myśl, to twój rozwód z nim. Tilda zarumieniła się i lekko odtrąciła go od siebie.

— O! nie, nie, rzekła. Resztek życia, zeschniętego serca, zbolelej duszy nie dam temu kogom ukochała jedynie, całym sercem, duszą całą. Nie! to myśl szalona w istocie i grzeszna! Nie mamy prawa dobijać się szczęścia skandalem, szczęście by to może na zawołanie nie przyszło. Czyż dziś, tak jak jesteśmy z sobą, nie możemy być szczęśliwi? czyż potrzeba nam więcej nad to co wolno, nad spojrzanie, rozmowę, uścisk ręki i myśl o sobie.

Któż wie! może zbliżając się do siebie bylibyśmy rozczarowani, osmutnieli, możebyśmy stracili tę czystą naszą miłość dziecinną, mieniając ją na powszedni, chłodny urzędowy stosunek. Kto ci mógł to poddać??

— Ból i tęsknota, rzekł Jakób.

— A! nie — nie okupujmy marzeń rzeczywistością bolesną, ale znośną. Ja już nie jestem tą która cię ukochała niegdyś, jam niewiasta skalana uściskiem cudzym, upokorzona i zwiędła. Tobie inne szczęście należy. Zarumieniła się drżąca.

— Nie — nie! jak mnie kochasz Jakóbie, ani słowa o tem więcej — nie kuś mnie, nie mów, nie zatruwaj resztki spokoju ukazując niepodobieństwo możliwem.

— Tildo, co ty uważasz za niepodobne jest ze wszech miar możliwe. Co cię wiąże do tego domu? nie masz dzieci, sama mówisz żeś dla niego obojętną, widzisz jakim on jest dla ciebie.

— Nie każ mi się rumienić Jakóbie, rzekła ciszej, ja czuję że kobieta raz tylko w życiu do jednego należeć może. Jaki los, zły czy dobry traf jej wyznaczył, taki ona dźwigać musi, ale się nie rzucać rozpaczliwie.

Zapóźno dla mnie! Ty świat masz przed sobą, ja mogiłę, we mnie życie ginie, wypala się, słabnie, nie chcę by ostatnią, jego iskrę zgasiły łzy po zaledwie skosztowanym szczęściu — wolę z powagą mojego cierpienia umrzeć smutną, czystą ofiarą, niż... niż szaleńcą.

Jakób nie umiał już odpowiedzieć, był pogrążony w myślach.

— Sądziłem, szepnął, że ty mnie tak... tak kochasz jak ja ciebie.

— Więcej, odparła Tilda podnosząc nań oczy r które nabrały blasku, bo ja mam siłę ofiary dla f twego szczęścia. Ty nie wiesz jaki niepokój sama, pokusa chwili szczęścia naszego rodzi we mnie, a umiem się jej oprzeć. Ta myśl jak widmo prześladowała mnie nieraz, odpychałam ją zawsze i dziś; ją odpycham. Zlituj się nademną, jam słaba, a płakać będę gdy ty, silny, zmusisz mnie do tego, co mnie w oczach własnych upokorzy.

— Ale ten człowiek godzien ciebie nie jest... podchwycił Jakób.

— Godzien czy nie — jam mu poślubiona.

— A gdyby on, wszak to być może, gdyby on sam zażądał rozwodu? spytał Jakób — gdyby cię zmusił do niego?

Tilda pochwyciła się za głowę.

— Masz jakie poszlaki? spytała.

— Nie.

— Milcz, milcz, gdyby on mnie odepchnął nawet, nie będę twoją.

— To coś niepojętego, Tildo! to szaleństwo!

— To dzika miłość kobiety która kochać umie, nie dla siebie, nie dla namiętności, ale duszą całą. Oddając ci rękę oddałabym ci to miejsce przy sobie które zajmował on... ten... nie! nie! Jesteś dla mnie czemś większem.

— Bądźmy ludźmi! przerwał Jakób.

— Nie! nie bądźmy ludźmi, odpowiedziała Tilda, ludzie są źli, słabi, śmieszni, przewrotni, bądźmy czemś lepszym nad pospolitych ludzi. Stańmy się ideałami.

— Tobie to podobne, dla mnie! niestety!

— Więc cicho, więcej ni słowa. Jestem aż nadto szczerą, dodała płonąca całą gorączkowym rumieńcem Tilda, pojmuję chwilowy szal — i upadek, ale nie na zimno obrachowaną profanacją kobiety... U czyjego serca siedziało dwóch ludzi, to jest gospodą dla wszystkich potem — otwartą. Jeden aż do śmierci!

— Więc on! jeden!

— Nie! ty! ty! ty, odrzekła z zapalem — ale on zabrał to ciało które kona, ty duszę która żyje.

Powiedz mi, mówiła dalej wzdychając, wierzysz w nieśmiertelność duszy, w życie za grobem?

— Wierzę, odpowiedział Jakób. Miałżeby człowiek więcej marzyć niż może Bóg dokonać? Możeż być to w serca wpojone nieśmiertelności pragnienie, przecucie, potrzeba, tylko mrzonką fałszywą i szyderstwem?? Nie wiemy warunków życia tego, śni człowiek że się przebudzi takim jakim tu zamknął oczy — nie wiem — ale czuję że dla duszy to co ona zapracowała cnotą, nauką, boleścią, nie może być straconem. Jest inny świat! jest drugie życie!

— Uspokajasz mnie! ja pragnę wierzyć! Ale próżno wiary szukam w księgach, tam chłodny rozum mówi mi ostatecznie: nic nie wiem!

— Tak, ale w sercu człowieka odzywa się głos który go utwierdza i uspokaja.

— Niepewność! wszędzie ta straszliwa niepewność! poczęła chodząc żywo — cnota, zasługa, nauka, rozum sam... słabe nici pajęczce, które lada wiatr i burza rozrywa. A! z tą rozpaczą nicości w sercu — umierać!!

— Wiara w Boga już nas od niej broni, przerwał Jakób, Bóg nie może być niesprawiedliwym, nie może nam dawać żądzy która nie ma być zaspokojoną. Wierząc w prawo jego trwożyć się nie godzi, ufać mu a pełnić co on przykazał.

— Lecz słuchaj, dodała Tilda, gdzież jest ten głos Boży? w tych księgach? Dla jednych objawieniem one, zakonem, dla drugich tylko pamiątką i zabytkiem... wszystko obalone... pusto, zimno, straszno.

Zadrzała biedna jakby widmo śmierci niosące nicość na ramionach przeleciało przed nią.

Potem skoczyła do fortepianu nie mówiąc słowa i zagrała jedną z fantazyi Chopina, łzawych, tęsknych, rzewnych, tajemniczych. Jakób stał oparty o fortepian i słuchał, gdy ktoś go uderzył po ramieniu. Tilda krzyknęła z przestachu, marzenie zostało przerwane, powracała rzeczywistość. . — Henryk z cygarem w ustach, znudzony, ziewający stał przed nimi.

— A no! otożes sobie przecie raz przypomniał o nas — dawnośmy się nie widzieli, odezwał się do Jakóba, cóż słyhać. Bon soir Tilda, każe dać herbatę, ja nie piłem. Któraż godzina? dziewiąta?

O dziesiątej muszę być w Zamku, tylko że się mam czas przebrać i napić gorącej herbaty, bo na zamkową, choć to moskiewska, spuszczać się trudno. Dają po prostu pomyje w złoconych filiżankach, i to w ten sposób, że lokaje...

Ziewnął machając ręką.

— Jakżeście mogli, dodał, wysiedzieć w tem zimnie? wszak tu mróz po pokoju chodzi!

— Ja tego chłodu nie czułem.

— Muzyka ogrzewała! odpowiedział śmiejąc się Henryk. A propos, słyzałeś jak nasza Muza gra fantazyą Liszta, c'est stupefiant!

— Muza gra wszystko prześlicznie, tylko bez czucia.

— Z ogniem! świętokradzco! bluźnierco! z werwą! ah!

Jakób zamilkł; Tilda się była wysunęła, Henryk spoglądał na zegarek.

— Biały krawat mnie tylko nudzi... zresztą w Zamku najlepsze towarzystwo... a namiestnik najgrzeczniejszy w świecie.

Padł na krzesło, Jakób wziął za kapelusz.

— Nie będę ci przeszkadzał, rzekł — dobranoc.

— Dobranoc.

* * *

Po odjeździe starego Jankiela, parę dni potrzebował Jakób, nim się cokolwiek mógł dowiedzieć o nieszczęśliwej Liji, nim zebrał się pojsć do niej w poselstwie nieznamy jej, obcy... Dla niego było to niewymownie ciężkiem, dla niej być mogło upokarzającym i boleśnem. Osnuwszy mniej więcej sposób w jaki się miał znaleźć, obmyśliwszy co powiedzieć, dowiedziawszy się że Lija opuszczona przez Dawida była w największej nędzy, znosząc ją cierpliwie i bez skargi, Jakób poszedł nareszcie na ulicę Ogrodową, gdzie w małym drewnianym domku żydowskim, w izdebce od tyłu, na strychu, wskazano mu mieszkanie biednego dziewczęcia.

Domek był stary i lichy, otoczony jednym z tych ogrodów które dawniej dawały nazwanie ulicy, a dziś powoli znikają. Sad ten cienisty, zasadzony drzewami owocowemi, zasiany warzywem, oprócz kilku uliczek dosyć niedbale utrzymywanych i zapuszczonych oddawna — nic nie miał ponętnego dla oka. Jedna lipa staruszka rosła w pośrodku posadzona niby dla fantazyi, jeśli dawny właściciel nie rachował na jej kwiat dla pszczoł i apteki. Gałęzie jabłoni i grusz rozrostłych plątały się u góry po nad grządkami buraków, kartofli, cebuli, zagonami malin i fasoli.

Dom pokryty pozieleniałemi gontami, w wielu miejscach pstro połatanemi, miał też pozór niepoczesny; dolna jego część znacznie była już w ziemię zapadła: dwie ściany nawet na wszelki wypadek podtrzymano podporami. Znać było po oknach nadto już zbliżonych do ziemi, jak się głęboko wkopał staruszek. Na

dachu kilka dość dużych okien, dawały się domyślać poddasza, które pierwsze piętro zastępowało. Na dole mieszkało dwie rodziny liczne żydowskie; sam właściciel który byłem frymarczył, a raczej przy targu faktorował i rzemieślnik szewc. Lija mieściła się na górze.

Na zapytanie porządnie ubranego człowieka o młodą kobietę, której położenie łatwo było odgadnąć, gdyby się nawet z nim tała, stara Sore właścicielka domu; otyła niewiasta z zawieszoną na żołądku chustką z portretem Napoleona; spojrzała nań dwuznacznie i poczęła mu się nieufnie przyglądać.

— Czego jegomość chce? widzieć się? ona się z nikim nie widuje... może interes...

— Tak, mały interes.

— No, to ona musi być w swojej stancyi, rzadko kiedy wychodzi do ogrodu pod Lipę, bo my jej pozwalamy. Ona nie ma żadnego prawa do ogrodu w kontrakcie, ale to jest bardzo biedna kobieta... dobra i cicha.

A pan ją zna? dodała gospodyni.

— Mało co, prawie nic, ale mnie przysyła familia, odpowiedział Jakób zmięszany.

— Nu! mi! familia! dopiero sobie przypomnieli że ona żyje! A co ona nabiedowała! a waj!

Poczęła kiwać głową patrząc mu wciąż bacznie w oczy, i widoczną okazując podejrzliwość.

— Nu! nu! idź pan tędy! schodki na górę... a potem prawe drzwi gdzie sznurek;... A może spytać wprzód, to ja pójdę, jak się wy nazywacie? może ona widzieć nie zechce?

— Z nazwiska mojego ona się nic nie dowie, rzekł Jakób pragnąc skończyć nużącą rozmowę.

— No, no, jak sobie chcecie; na prawo! na lewo Szymek kulawy... ale prawda, wy jego nie znacie....

Jakób już szedł, schodki były połamane, ciemne i brudne, zamiast poręcza kij przywiązany na sznurze, na strychu ciemno także. Drzwi w prawo odznaczały się tylko szparami przezroczystymi przez które padały smugi światła, dowodzące jak to tu zaciszno być musiało w zimie.

Zapukał Jakób raz i drugi napróżno, nie było widać we zwyczajny żeby się tu ktoś w ten sposób oznajmywał, nie odpowiedziano mu nic, poczekawszy chwilę, powoli uchylił drzwiczki.

Obraz który mu się przedstawił, był dziwnie przejmujący. Małeńka izdebeczka uboga, naga, ciasna, jedno w niej okno głęboko oprawne, część tylko jej średnią oświecało; łóżeczko z pościelą lichą w jednym kątku, tuż przy nim biedna, stara kolebka prosta, od siekiery wyrobiona przed laty.

Na stołku prostym znużona pracą czy cierpieniem spała z jakąś robotą w ręku, owa piękna niegdyś Lija, piękna i dziś jeszcze ale cała obleczona powagą smutku i nieszczęścia.

Nogi jej opierały się o tę kolebkę od której oddalić się lękała. Na pstrej poduszeczce widać było głowę dzieciны uśpionej, bladą, mizerną" wychudłą. Znać pokarm stroskanej matki życia jej dać nie mógł, truń rozpaczą która z jej piersi płynęła.

Powoli otwarła oczy uśpiona, zawstydzila się, zmięszała, sądziła że ktoś wszedł omyłką, że zaraz wyjdzie, i nie odzywała się słowa, nie wstała, nie spojrzala nawet, prędko spuściwszy oczy. Twarz jej smutna była ale spokojna, już obeznana z nieszczęściem, już zżyta z jego bólami.

Jakób stał ciągle w progu; Lija nareszcie ośmieliła się podnieść oczy, wymówił jej imię — wstała cała przelękniona.

— Czego pan chcesz? po co pan przychodzisz? kto pan? ja, ja.

— Przychodzę od waszych krewnych.

— Ale — ja nie mam żadnych krewnych... ja nie mam... ja jestem sierota... poczęła kobieta zarumieniona z obawą i widocznie rosnącą nieufnością... ja nie mam żadnego interesu, żadnych krewnych... nikogo.

— Ja mam jednak interes do was, posłuchajcie mnie przecie, odezwał się Jakób łagodnie, nie obawiajcie się, ja wam nic złego nie przynoszę.

— Ja ani złego ani dobrego nie chcę, przerwała żywo Lija, od nikogo! od nikogo....

I drzeć poczęła przelękała. Była mówiąc to tak piękną, tak wdzięczną, a tak zapewne już nie jednymi natrętnymi odwiedzinami zastraszona, że Jakób przez litość nad nią ledwie śmiał usta otworzyć, patrzył i litował się.

— Proszę pana, proszę pana, powtarzała, idź pan... ja nie mam żadnego interesu, ja nic słuchać nie mogę...

Jakób wymienił rodzinne jej miasteczko; usłyszawszy je, zmieniła wyraz twarzy, i rozplakała się gorzkiemi łzami.

— Nie, to nie może być, rzekła, pan umyślnie tak mówisz aby mnie oszukać... tam o mnie zapomnieli.

— Nie wszyscy, zawołał Jakób, chcejcie mnie posłuchać, nie obawiajcie się.

Lija wlepiła w niego oczy-

— Wy macie poczciwą twarz... ja się was nie boję.

— Tak, nie lękajcie się, proszę, bądźcie spokojni.

Lija znowu płakać poczęła... a na ten głos dziecię się obudziło, i rzewnie także kwilić poczęło wyciągając ku niej ręce. Naówczas zapomniła o wszystkim, o gościu, łzach, bólu i schyliła się co prędzej nad tą kołyską w której cały jej był świat... zajęta jedynie dziećciem. Głos niemowlęcia zagłuszył dla niej wszystko.

Z czułością niespokojną uklękała przy niem obejmując je rękami, zbliżając ku niemu usta, przemawiając temi słowy a raczej dźwiękami macierzyńskimi które tylko dziećci zrozumie. Jakób stał wzruszony tym obrazem niedoli, nędzy i szczęścia tego którym się ona złościła.... Lija wrosła się być zdawała w tę kolebkę z której drobne rączęta podnosiły się ku niej drzące...

Ale po chwili pieszczoty usnęło dziecię znowu, zarumieniona matka wstała poprawując rozrzucone dziewicze swe włosy, które wedle dawnego obyczaju obcinano zamężnym niewiastom... włosy te świadczyły że nie była poślubioną wedle prawa...Potem spojrzała na Jakóba szukając w nim litości, ale jej sił zabrakło, chwyciła stołek i usiąść musiała aby nie paść. Wprędce jednak postrzegła że drugiego siedzenia nie było w izdebce, porwała się, przysunęła je gościowi, a sama zawstydzona uczepliła się na krawędzi swego łóżka.

Jakób tymczasem rozglądał się po izdebce, w której wszystko zdradzało ubóstwo graniczące z nędzą. Na małym kominku stało kilka garnuszków czarnych, dowodzących że Lija sama gotowała sobie jedzenie, leżał kawałek zeschniętego chleba, łyżka drewniana, miska czarna wyszczerbiona. U drzwi krył się dzbanek nadtłuczony; trochę przepranej bielizny schło w kątku na złomkach starej drabiny. Ale pomimo to było dość jeszcze czysto i znośnie, a przez okno otwarte zielenił się ogródek i przelatowały przed nim szczebioczące jaskółki.

— Wasza familia mnie tu przysyła, począł Jakób po chwili, rodzice... może byli dla was za surowi, ale i oni, choć milczą mają też miłość i litość w sercu dla swojego dziecka... wy cierpicie nędzę.

— A! nie, nie! odpowiedziało dziewczę, mnie tu dobrze, spokojnie — nikt nie widzi, nie pyta, nie.... Z początku było gorzej... teraz... i ludzie do mnie i ja — przywykłam już.

— Jeśli nie dla was, to dla waszego dziecka, któremu ta nędza szkodzić musi, trzeba was z niej wyrwać... ja z tem przychodzę... Musicie wziąć sługę i lepsze mieszkanie.

Lija spojrzała nań wielkimi, łzawymi oczyma.

— Ale mnie dobrze... mnie nic nie potrzeba...

— Ja mam na to dane pieniądze, dorzucił Jakób.

— Ja nie chcę, ja nie chcę niczyich pieniędzy! dumnie odparło dziewczę, ja nie żądam jałmużny... ja na siebie zapracuję, i na niego zapracuję —

Wskazała kolebkę. Ja nie mogę nic przyjąć!

— Zważcie że tu nie o was samych, ale o życie dziecka chodzić może, przerwał Jakób. Widzicie... ono jest mizerne, ono cierpi... wasza praca i troska mu szkodzi...

— A na cóż mu życie? spytała cicho a smutnie Lija, a na co mu życie? żeby z moją sromota na czole chodziło pomiędzy ludźmi? Dla mnie ono pokarmem i pociechą... ale jemu lepiej by było, o! lepiej...Łkanie jej mowę przerwało.

— Nie godzi się rozpaczać i wątpić o Bogu, rzekł Jakób, dotknął was nieszczęściem przez złego człowieka, ale...

— A! tak, przerwała Lija, przez bardzo złego człowieka... A jam mu tak wierzyła! a jam go tak kochała!

I załamała rękę.

— Wszak prawda, zawołała nagle, wyście go nazwali złym człowiekiem? wy, broń Boże, nie przychodzicie od niego?

— A! nie! zawołał Jakób.

— Przysięgniecie mi na to?

— Poprzysięgam wam to na imię Boga naszego, rzekł Jakób.

— Więc ktoś litościwy was przysłał?

— Dość że nie on, ale kto? powiedzieć nie mam prawa... ktoś bardzo was bliski, nie pytajcie mnie o imię jego. Zawierzcie mi, bądź spokojną... Znajdę wam dom cichy, ustronny i troskliwą opiekę.

— A! żadnej opieki; ja samą być chcę... samą... ja nikogo nie przyjmę...

— Jak się wam podoba, ale musicie zmienić to nędzne mieszkanie, pozwólcie bym wam dostarczył na wasze potrzeby.

Lija zamyśliła się głęboko.

— Bóg jest litościwy, rzekła, ale ludzie są źli... Ja nie wiem czy mi gdzie z nieszczęściem mojem lepiej będzie jak tu ukrytej wśród ciszy i zapomnienia... Nikt mnie nie widzi, nie pyta... tam ciekawi... ja nie chcę...

— Bądźcie spokojni, obmyślę wszystko, potrafię wyszukać równie ukryty i cichy ale wygodniejszy kątek... służyć zaufaną...

— Bóg litościwy, odezwała się Lija powtórę i łzy potoczyły się po pięknej jej twarzy, przyklękła u kolebki i cicho pocałowała swe dziecię w czoło blade, potem spojrzała na Jakóba i wyciągnęła doń przez kolebkę rękę białą, wychudłą, na której nędza i praca już się straszliwie wypiętnowały.

— Ja nie wiem dla czego wam wierzę, choć jestem bardzo zdradzona, rzekła powoli, ale mowa twoja i twarz twoja obudza we mnie zaufanie... Ja wiem, przysłali cię ci, co odepchnąć mnie musieli, ale płaczą i kochają. A! gdyby nie to dziecię biedne, jabym ztąd nie poszła... ale mi ciężko zarobić na nas dwoje... Były dni, były godziny straszne... ostatni chleba zeschniętego kawałek i woda, mleka ani posiłku nie było kupić za co, roboty nie mogłam znaleźć, chodzić i szukać jej nie śmiałam... nie wiedziałam co począć... pragnęłam umrzeć... a dziecko wołało życia! O mój Boże! jakież to były godziny śmiertelne a nocy wiekuiste wśród chłodu i głodu... w uszach płacz dzieciny... Ale Bóg dał przeżyć wszystko...

— Już teraz nie doświadczycie niedostatku, przerwał Jakób, ale mnie dziwi, pozwólcie że spytam, czyż wam na myśl nie przyszło dla dziecięcia pomocy żądać — od ojca...

Lija porwała się nagle straszna oburzeniem i zgrozą, spojrzała na Jakóba z nieufnością i obawą.

— Ja! ja od niego! krzyknęła — od tego zdrajcy... a! raczej z głodu umrzeć mnie i jemu niż od tego... żądać chleba kawałka...

A! nie — on mnie chciał spodlić do ostatka, wyznaczając mi jałmużnę na życie, ale mu nią rzuciłam w oczy! Ani go widzieć więcej, ani żądać nic od niego nie będę... a! nigdy... Ja go nie znam i dziecię ojca swego znać nie będzie, aby się za niego nie wstydziło. Nie powiem mu tego imienia przeklętego... sama o niem zapomnę...

I znowu płakać zaczęła, a po chwili szepnęła cicho z obawą:

— Czyście wy tam byli u nas? czyście widzieli starego... którego imienia wymówić się boję... starca z brodą siwą... i matkę biedną zapłakaną i siostrę której wstyd zrobiłam... i ten dom w którym tak było wesoło póki mój nierozum nie wniósł doń żaloby i sromoty... póki z niego nie wyszło dziecko przeklęte aby już więcej nie przestąpić jego progę?

— Nie — ja tam teraz nie byłem, rzekł Jakób.

— A!... poczęła Lija wpatrując się w niego, ja sobie teraz przypominam, ja was tam widziałam jeszcze w szczęśliwszy czas... przyszlście raz w dzień szabbasowy... prawda? i długo mówiliście ze starym?

— Tak było, szepnął gość, ale odtąd nie jeździłem tam... tylko ktoś ztamtąd był u mnie.

— Więc żyją?... a! nie zapomnieli? Ale dalej pytać nie śmiała.

— Tak, żyją, rzekł Jakób. Powiedzieliście sami — Bóg litościwy — wiercież w to... przyjdzie miłosierdzie Jego.

— Miłosierdziem Jego dla mnie, odpowiedziała Lija, byłaby tylko śmierć... i dziecku uścisk anioła o tysiącu oczów.

— A! i życie jeszcze uśmiechnąć się wam może.

— O! nigdy — rzekła Lija — nigdy! Odprowadzając rozmowę od tych myśli smutnych, Jakób wstał i począł ją żegnać.

— Jutro lub pojutrze, odezwiał się, albo przyjdę lub przyślę do was, bo muszę wynaleźć mieszkanie dogodne, sługę... Zostawiam wam (położył na stole pieniądze) na pilniejsze potrzeby wasze. Musicie sprawić suknie...

Lija zarumieniła się, w istocie odziana była tak ubogo i biednie, że jej na ulicy pokazać się było trudno.

— I bądźcie weselsi... ja z daleka opiekować się wami będę, ja czuwać nie przestanę... Lija spojrziała nań nagle znowu przestraszona, chciała coś mówić, na ustach jej słowo zamarło; jakaś obawa dziwna zdradzonej niewiasty serce jej ścisłała, ale wyjawić jej nie śmiała. Jakób odgadł ją łatwo i tem prędzej postanowił odejść.

— Wszystko com wam mówił, dodał w ostatku, jest świętą prawdą — przychodzę do was nie od siebie, ale od rodziny waszej. Nie będę wam natrętnym... niech mnie Bóg od złej myśli uchowa! Zdala i niewidziany czuwać będę nad wami, nie lękajcie się!

To mówiąc pokłonił się jej zdaleka. Lija poczuła że ją odgadł, zawstydzona, przykro jakoś się jej zrobiło i pochyliwszy głowę, błagająco spojrziała ku niemu; potem zsunęła się na ziemię do kolebki dziecka i usiadłszy przy niem, dała się sercu wezbranemu wypłakać.

* * *

Od dawna bardzo kraj w którym spędził młodsze swe lata porzuciwszy, porwany wirem pracy i marzeń, Jakób zerwał był prawie z pozostałą tam rodziną. Parę razy w rok tylko odbierał błogosławieństwo starej matki, wiadomość od sióstr i brata przyrodniego, któremu o ile mógł pomagał.

Pomimo ogromnego rozstępu jaki wychowanie między nim a rodziną uczyniło, pamięć jej była mu drogą; pojmował dobrze swoje względem niej obowiązki i pełnił je gorliwie a z serca. W ostatnich czasach z powodu utrudnionych w kraju stosunków, dłużej niż zwykle nie miał Jakób wiadomości od matki i niepokoił się milczeniem familii — gdy jednego dnia, wracając do swojego mieszkania, został w przedpokoju przez służącego ostrzeżony, że jakaś staruszka, dziwnie uparta, przyszła przed półgodziną i mimo zaręczeń że pana w domu nie było, postanowiła czekać na niego, oznajmując się jako... blizka bardzo jego krewna. Lokaj mówił to jakoś niewyraźnie, zakłopotany, jakby się obawiał gniewu pańskiego, tłumacząc się że musiał wpuścić staruszkę do salonu, mimo jej niepozornego ubrania. — Ale proszę Jaśnie Pana — mówił służący — słowo onoru... ja już nie wiedziałem co zrobić... bo jeszcze mi się nie trafiło żeby kto tak na mnie nastął... A tu zaraz z tego hałas, i z pierwszego piętra od Wtorkowskich zaglądaają, ludzie... Myślę sobie, proszę Jaśnie Pana, lepiej już niech w pokoju poczeka... bo już cię zepchnąć ze wschodów... to krzyk... awantura... a Jaśnie pan by się gniewał.

— No? ale któż to jest? spytał Jakób.

Służący zafrasowany skrobał się w głowę i o Jakóbie sądząc po swojemu z innych ludzi, nie śmiał mu nawet powiedzieć o kogo chodziło. — Udawał że nie wie.

— At, proszę Jaśnie pana, ja nie rozumiałem co tam ta Jejmość mówiła, zwyczajnie zapewne aby się wcisnąć... to pewnie za jaką pomocą... albo co... ja tam nie wiem.

— Kto ona mówi że jest? natarł Jakób.

— Ja to tam nie rozumiałem, dalipan, powtórzył lokaj bojąc się pana obrazić. Ona tam sobie siadła w salonie i czeka.

Jakób wszedł niespokojny przez drzwi otwarte, spojrzął tylko i wśród pokoju stojącą a rozglądającą się do koła ciekawie, postrzegł swą matkę staruszkę w dawnym stroju polskich żydówek, w perłach, załóżce, z medalem złotym na piersi, w skromnej czarnej na wierzchu narzutce.

Jednym rzutem oka odgadł ją raczej niż poznał, krzyknął z radości i rzucił się do nóg jej całując po rękach.

Stara trochę się zrazu ulękła, a mocno była wzruszoną... zabrakło jej słów... poczęła tylko płakać... To piękne mieszkanie, ten dostatek, ta elegancją otaczająca jej dziecię, które znajdowała tak dziwnie zmienionem, pięknem, młodem, jasnym, Pańskiem — onieśmieliły ją.

Przyjęcie pełne uszanowania rozczuliło staruszkę i całując w głowę syna zaczęła coraz rzewniej zachodząc się płakać... i jęczeć.

Jakób wybiegł aby jej przynieść sam szklanekę wody, posadził wprzód troskliwie na kanapie i wybiegł tak żywo, że służący który ciekawie zaglądał do salonu przez dziurkę od klucza, ledwie miał czas kilka kroków się cofnąć.

Biedny lokaj uderzył się z desperacji po bokach.

— Otoż masz, rzekł w duchu sam do siebie, taki dobry pan! a tu lichy nadało, raptem się, okazuje że... ordynarny żyd! Będą, się ze mnie śmiali że ja u niego służę! Ot, nieszczęście, a tu ani tego utaić, bo widzę nie myśli sam robić sekretu... I na pierwszym pięttrze te szelmy szpiegi... zaraz wszystko spenetrują.

— A to takie dobre miejsce. Jakób się ukazał we drzwiach.

— Proszę cię o wodę... prędeej. Łaska Boża, dodał, żeś inaczej nie postąpił ze staruszką — jest to moja matka!

— A! proszę Jaśnie Pana, zawołał zafrasowany sługa, toć to ona też mówiła... ale...

— Proszę cię o wodę... a oto, masz (wyciągnął mu kilkorublowy papierek) za twe pocziwe serce. Bóg ci zapłaci!

Sługa się skłonił i pobiegł. Jakób wrócił co żywiej do staruszki, która płakała a płakała z radości i wzruszenia.

— O wielki Boże Izraela! o Szaddai! którego imię szanował mój stary, cożeś to za łaskę uczynił dziecięciu mojemu... Gdyby cię, Jakóbie, nieboszczyk mój mógł być widzieć w tem szczęściu — jakby on umiał Bogu dziękować... ja biedna niewiasta nie potrafię, tylko łzami.

— Największe dobro jakie mam od Boga, zawołał Jakób — to że serce twe macierzyńskie mógł rozradować... i że mi Bóg dał oświecić się i poznać drogi swoje.

— A! Jakóbie mój kochany, wielkie to błogosławieństwo Jego za cnoty nieboszczyka. Nie wszystkim jednak dzieciom moim los tak sprzyjał... Sarab w biedzie, choć ty im pomagasz, a co gorzej, w chorobie... u Mirjam dzieci się nie hoduja. Siedziałam długo przy niej, ale zatęskniło za tobą serce moje — chciałam cię raz jeszcze zobaczyć w życiu. I długo wahałam się myśląc sobie, on się tam starej, ubogiej, biednej matki swej może wstydzić będzie... I to mnie wstrzymywało... Ale powiedziałam sobie potem: ja pocichu przyjdę i zobacze go choć zdaleka i pobłogosławię mu pokryjomu, aby oczy moje nasyciły się widokiem tego, któremu sam pan Bóg Izraela błogosławi.

— O moja matko droga, rzekł Jakób, jakże ty pomyśleć mogłaś, abym ja był tak niewdzięcznym; bym nietylko przykazań Bożych ale serca własnego nie słuchał... szanując ciebie. Jakże pomyśleć mogłaś...

— Jakóbie mój, odpowiedziała — ja wiem co po świecie bywa! Starszy wasz brat dosyć mnie szanuje, choć matką jego nie jestem, a byłam tylko żoną, jego ojca, i człowiek nie jest zły; przecież gdy czasem ubogo ubrana przyszedłam doń kiedy przyjmował gości - widziałam nieraz jak mu było markotno... Ale słuchaj, ja do ciebie nie przyjdę, ja się już nie pokażę...

Jakób się zerwał z krzesła i ręce załamał.

— Nie czyńcież mi tego, zawołał — a! nie czyńcie, bo toby było krzywdą" nigdy serce moje nie zaprze się przed światem ani matki, ani ojca, ani narodu, ani prawa, ani żadnej rzeczy świętej. Niech ludzie wiedzą, zkaąd wyszedłem. Toć byłoby kłamstwem i dumą występna,...

Na te słowa jakby umyślnem losu zrządzeniem, wszedł lokaj po którego minie widać było zakłopotanie nadzwyczajne. Mrugnął na pana ruszając ramionami.

— A! proszę Jaśnie Pana, rzekł pocichu, co ja tu mam począć ? Wszak to, proszę Jaśnie Pana, ten pan co to zwykł przychodzić bez meldunku... dopomina się abym go puścił, a tu...

— A to go puszczaj, natychmiast! zawołał Jakób — cóż to znowu?

Sługa nic już nie rozumiejąc, wpuścił do salonu ojca Tildy, który ujrzawszy na kanapie starą żydowicę (a nie poznawszy jej) struchlał z podziwienia. — Wcale o co innego podejrzewał Jakóba, gdy go przededrzwiami wstrzymano.

— Oto, kochana matko, zawołał witając go Jakób — przypomnijcie sobie, mój opiekun, nasz krewny, pan Samuel... ten który był narzędziem Bożem dla mnie, któremu ja winien wszystko... On pierwszy o mnie ubogim sierocie pamiętał, dźwignął, oświecił, dla niego, po Bogu, największa od nas należy się wdzięczność.

Pan Samuel uczuł się niesłychanie zafrasowanym, czerwieniał, bladł...

— A to lichy tu tę starą żydowicę przyniosło, rzekł w duchu — nie mogła sobie tam siedzieć w kącie. "

Przyzwoitość wymagała przyjęcia grzecznego, choćby dla Jakóba, słowa jego polectały przyjemnie miłość własną, dawnego opiekuna; począł więc witać staruszkę, która go aż za kolana ścisnęła. Nie mógł tylko przyjść z nią do żadnej rozmowy, bąkał półsłowa, jąkał się, mięszał, naostatek coś tam wydobywszy z siebie, wezwał co żywiej na parę słów Jakóba do drugiego pokoju.

— Słuchaj no, rzekł, miałem się ciebie o coś radzić, pomówić, ale to nic pilnego, drugą razą... teraz powiedz mi, cóż ty tu poczniesz z matką swoją ?

— Jakto? spytał Jakób, na to przecież samo imię matki odpowiada... — Ale ba, to bardzo piękne wszystko, tylko, zlituj się, znowu się nie rozczulaj zbyt, nie kompromituj się nadaremnie, rzekł zimno. — Ona sama żadnych ofiar po tobie wymagać nie może, a ty nie pojmujesz jak sam widok prostej kobiety w świecie, tobie i nam twym krewnym, i przyszłości twojej szkodzić może. — Ludzie pełni uprzedzeń.

— Kochany panie, rzekł Jakób, powiem wam po prostu, że co do mnie, wcale o to nie dbam. Ci dla których widok mojego poszanowania dla matki może być wstrętliwym nic a nic mnie nie obchodzi. Owszem jeśli to ma być kamieniem probierczym ich zacności, rad jestem że złoto od mosiądzu odróżnię. — Tyś zawsze był tym jakimś poetą, odparł ojciec Tildy, tu trzeba rzeczy brać jak są, po prostu, prozą. Świat jak żyda zwącha, radby żeby przynajmniej był trochę zwietrzały, a tu tak się okaże świeżusienki z pod jarmułki. — Ja i dziś i zawsze pochodzenia mojego izraelskiego wstydzę się nie myślę, ustępstwa dla tego świata nie zrobię. Za grzechy rodziców, gdyby były grzechy, dzieci nie pokutują" a w naszej przeszłości obficie też jest okupujących ją, zasług.... Chcę umrzeć jakem się urodził żydem.

— A! jak chcesz... nie bronię, uważaj z czem ci lepiej... ale znowu... przykro mi to mówić — dla samej służby i domu... zlituj się, tylko matki z wizytą do mnie nie prowadź!

Jakób zbladł, zadrżał, usta zakąsił.

— Byłeś moim dobroczyńcą, winienem ci cześć jak ojcu, nie krajże mi serca, proszę.... — Przepraszam cię, ale dla mnie to jest ważna rzecz... ja oddawna tu wszystkim wmówiłem że pochodzę z niemieckich żydów, a widzisz,..

Jakób się z politowaniem uśmiechnął. — Czy niemiecki gatunek ma być lepszym? zapytał.

— No... tak... widzisz... ale zawsze,.. więcej kultury, przeszłość inna. Jakób zamilkł, gość był niespokojny.

— Czy ona u ciebie i mieszkać będzie? spytał.

— Jeżeli tylko zechce, niezawodnie, mieszkanie mam obszerne, a tu spokojniejszy byłbym o nią. Zresztą możeż się matka tułać po obcych kątach mając tu syna? — Aj tak? tak? wybąknął pierwszy, nic nie mówię bo cię nie przekonam, ale jeżeli tylko myślisz o Wtorkowskiej, to i tu nawet pożegnaj się z nadziejami.

— Ja? śmiejąc się spytał Jakób, ja?

— Ludzie mówią....

— Ludzie nie wiedzieć co plotą..... — No — ale ci to i innych wiele zrobić może przykrości.

— Gdyby i tak było, odpowiedział Jakób, czyż znieść je dla oszczędzenia ich matce nie jest moim obowiązkiem?...

Samuel zamyślił się.

— Ale ona sama pomiarkuje, rzekł, no — nie będę cię męczył długo wizytą! A nie ma czasem jeszcze kogo z rodziny? dodał trwożliwie.

— Zdaje mi się że jest samą, biedna kobieta naraziła się na długą, niewygodną podróż, dla mnie! W jej wieku, przy jej zdrowiu....

— Tak, już to prawda, odezwał się Samuel, wołałaby była ciebie tam zawezwać niż jechać sama — toby było daleko lepiej.

Smutno jakoś spojrzeli na siebie, nie mogąc się porozumieć, zdesperowawszy nawet o tem. Pożegnawszy Jakóba, gość wyszedł jeszcze do salonu i uważał za właściwe pokłonić się staruszce. Poczem wysunął się pomieszany, wzdychając.

Poniżej, na pierwszym piętrze, już historia starej żydówki, z ust do ust powtarzana krążyła. Lokaj pana Jakóba miał serdeczną, przyjaciółkę w służącej panny Wtorkowskiej, nie zwykł był przed nią nic ukrywać. W pierwszej chwili zaraz tak go zaświerzbiało, iż zbiegł aby jej swą przygodę powierzyć. Pokojówka, ledwie się go zbywszy, nie miała nic pilniejszego nad udzielenie tej plotki starej Wtorkowskiej.

A że panienska była nieco odczytaną na tłumaczeniach Paul de Kocka, przyozdobiła nieco opowiadanie lokaja, czyniąc je dramatyczniejszym. Z pod jej redakcyi wyszło ono wcale zajmującą sceną — Wtorkowska zdyszana pobiegła z nim do pokoju córki.

Emusia leżała z książką na szezłagu.

— No, proszę ja ciebie, zawołała z daleka, a to nas jeszcze pan Bóg bronił że z tym Jakóbem do niczego nie przyszło... wystawże sobie te okropności!!

— A! cóż się z nim stało? zapytała Muza, skompromitowany? wzięty? wysłany?

— Ależ gdzież tam, jużbym to wszystko wołała... ale to skandaliczna historia

— Jan jego służący opowiadał przed chwilą Teresie, Terenia do mnie przyleciała z językiem.

— No, cóż to się stało? powtórzyła Muza ziewając.

— Otóż, proszę ja ciebie, dziś, parę godzin temu... Jan słyszy że ktoś dzwoni... Jakóba nie było w domu, otwiera, patrzy...Stara żydowica odrapana, oszarpana, oklapana, blada, nędzna... no, jednym słowem wyglądająca jak te z franciszkańskiej ulicy... włazi.... Jest pan w domu? Ten powiada nie ma. A gadała językiem połamanym, że ją ciężko było nawet zrozumieć. Nie ma. No to powróci? a kiedy? — Albo ja wiem, powiada Jan. No, to ja tu będę czekać na niego, woła stara żydówka. Lokaj się sprzeciwia. A ta mu w głos aż na dole słyhać było: Co ty, taki, owaki, jak ty śmiesz — ja jestem jego matka...

Służący, przyzwoity jakiś człowiek (ten co się w Teresie kocha) aż zbladł, co tu robić? Chciał ją, zepchnąć ze schodów, strach, a hałas byłby jeszcze gorszy... żydówka jak się uparła, tak ją musiał do salonu wprowadzić. Nadchodzi Jakób i okazuje się że to jest istotnie matka, przyjmuje ją... przy wszystkich, nie wstydząc się nic a nic... cały dom gada. Ordynarna słyszę, proszę cię, żydowica, jak te co makagigi roznoszą... On sekretu żadnego nie robi. Proszę ja ciebie! co tu z takim człowiekiem robić! Toby się nam był przysłużył. Muza usta zacięła.

— Tak, rzekła, to jest wypadek bardzo nieprzyjemny, ale cóż miał począć?

— Ale dać jej coby tylko chciała, a niechby milczała! ale się tak jawnie do niej nie przyznawać! To wezmą na języki, zrobią z tego historią... niech Bóg broni! Muza ziewnęła.

— Już mi to wszystko jedno, rzekła, bo wcale na niego nie liczę — Mój Boże! taki bogaty! taki bogaty! westchnęła Wtorkowska, ale żyd, świeżusieńki żyd!

— Przecież mama się już zgadza na Sofronowa... byle się tylko oświadczył.

— A cóż mam robić! bylebyś zamaż poszła, zgodzę się już na kogo chcesz. Tylko ty z Sofronowem, proszę ja ciebie, bądź ostrożną! Naprzód nie dać mu się daleko zapędzać bo Moskal...

Oni z sumienia, szczególnie w tych rzeczach, tak dalece nie słyng; im kobietę uczynić nieszczęśliwą to miła sztuczka, to chluba jeszcze... Powtóre oni się wszyscy błyszczą ale to hołszyse, a do Polski się cisną, aby worek nabić. I to jeszcze... żeby nabić... ale zaraz przehula co nakradnie. Gadają o swoich tysiącach dusz, a to wszystko pozadużane, biedota tylko błyszczcy mundurzykiem, na carskim chlebie żyje... z łaski... Ja ich znam... o! o!

— Ale Sofronow ma w Kostromskiej gubernii...

— No! no! już ja takich znałam dużo co mieli i w Jarosławskiej i w Tambowskiej tysiące dusz, a byli bez kawałka chleba... Prawdę powiedziawszy, łgą bezpiecznie, jedźże sprawdź do Kostromy.

Pokiwała głową znacząco pani Wtorkowska.

— I te pensye pułkownikowskie, jeneralskie, dodała wzdychając, to gdyby, z pozwoleniem, nie kradli, żyćby nie było z czego...

— Ale proszę mamy, kiedy to u nich się kradzieżą nie nazywa... jakoś inaczej. U nich już tak urządzony kraj, że wszyscy mają uboczne dochody... i jawne i potajemne...Ale to wszyscy bez wyjątku.

Wtorkowska mimo tłumaczenia córki, westchnęła.

— O! tego Jakóba mi żal, rzekła ciszej, ale znowu z taką matką!! w muszkach? i okazuje się że on religii nawet wyrzec się ani myśli... to już niepodobieństwo...

— E, moja mamó, odezwała się Muza ręką rzucając, gdybym ja była tylko chciała... wyrzekłbyłby się on dla mnie i ojca i matki i religii i wszystkiego. Ale tam... tam, widzi mama, pokutuje w nim jakaś stara miłość czy miłostka... z którą ja walczyć nie chciałam... która... no! dość że znów nie był mi tak ponętny... Mój ulubieniec, to Henryk. — No, tak... kiedy żonaty!

— Ale ta Tilda... błada, kaszle... Mnie jej serdecznie żal, ale cóż ja na to poradzę? a byle ta przeszkoda znikła... to Henryk się jutro ożeni ze mną...

— Tylko że to jeszcze na wierzbie gruszki, moja kochana...

— Zobaczymy, zobaczymy, dodała Muza, wszakże zawsze Sofronowa mam w odwodzie.

* * *

Nie, rzekł Henryk do teścia swojego (w kilka dni po przybyciu matki Jakóba) z tego Jakóba niepodobna będzie nigdy zrobić porządnego człowieka; zarozumiały, uparty, świata nie zna, jakiś fanatyzm talmudyczny w głowie, jakieś mrzonki reform, a przytem opinie — pojęcia.... Ja go nie rozumiem; z Polakami trzyma a jest przeciwko rewolucyi, o stosunki z wyżej położonemi osobami niewiele dba... sam z sobą" odosobniony, dziki, i nam się na nic nie zdał i nikomu.

Nie powiem żeby był bez zdolności, jest głowa, serce aż do zbytku miękkie, ale razem wzięwszy mieszanina jakaś, dla mnie niepojęta.

— Już to ja ci powiem, odezwał się ojciec Tildy, w nim zawsze czuć tego łapserdaka, z którego ja go wywlokłem. Co ty chcesz? prosty Belfer uczył go talmudu, to na wieki zostaje... Otarł się o świat, a tego co się skorupka napiła nie stracił.

— I to szkoda wielka, zawołał Henryk, boby nam był mógł być użytecznym, dobra powierzchowność, w głowie porządnie, nauki wiele, prezentuje się tak, że go nikt nie posądzi o żyda, ale za trzecim wyrazem palnie zaraz kim jest, na to nie poradzi. Z nim w jednym towarzystwie być straszno, tak łatwo może skompromitować człowieka. — To prawda, rzekł p. Samuel, ja go w gruncie cenię, ale sobie powiedziałem, że nie użyję do niczego.

— Tacy ludzie są przeznaczeni na zgubę koniec końcem wszyscy ich odepchną; ale ślepy, własnego interesu nie rozumie.

— No, a wiesz historią, matki?

— Nie — dotąd nic.

— Przyjechała tu do niego staruszka, powiadam ci, śmierzcząca żydowica, a ten ją przyjmuje, nosi się z nią, chwali, słowem skandal robi z tego.

Henryk ruszył ramionami.

— Ażem ja, dodał ojciec Tildy, musiał mu otwarcie powiedzieć, żeby mi jej do domu nie wprowadzał. — O! on to gotów zrobić! przerwał Henryk, on gotów... i do mnie ją przywieść! Jeszcze sobie wybierze dobrą godzinę kiedy u mnie będzie jak najwięcej gości i jak najlepsze towarzystwo...

A niechże go licho porwie! Bo trzeba wam wiedzieć że, pomimo tych śmieszności mojej i waszej Tildzie tak oddawna głowę zawrócił, że u mnie w domu słowa przeciwko niemu odezwać się nie można...

Ojciec się rozśmiał.

— E, to tam stare, dziecinne platoniczne romanse... dzieciństwo! A na to żeby rozczarować, dam ci skuteczne lekarstwo...

— Ja się tem wcale nie frasuję, Tilda jest najszlachetniejszą w świecie kobieta,... tylko uprzedzona i ma go za świętego...

— A śliczny mi to święty! rzekł ojciec śmiejąc się.

— No, prawdę rzekłszy, przeciw niemu, oprócz tych jego nedorzeczości, nic powiedzieć nie można.

— No! no! ja mam widać lepszą trochę od waszej policya.

— Nawet żadnego młodego głupstwa nie zrobił.

— Niestety! przerwał p. Samuel, nie ma już ludzi coby podobnych głupstw nie robili!

Henryk stanął zdziwiony.

— Chyba już coś stanowczo wiecie, spytał, przyznaję się że bardzo ciekawy...

— No widzisz, ten mędrzec co cytuje Salomona, nie jest od niego wolniejszy od zarzutu... tylko że dopuścił się grzechu z Izraelitką, jako prawowierny... obawiał się Madyanitek! cha! cha!

— Cóż to za historia znowu?

— W istocie historia i ciekawa i tajemna. Ty wiesz, mówił pan Samuel po cichu, że ja lubię bardzo o wszystkim wiedzieć. Często się to na coś przyda, a przytem bawi... Otóż ten i ów przychodzi czasem do mnie, gdy się o czym dowie. Niedawno dobija mi się, gdym był zajęty, stary ten z czerwonym nosem, co to go nazywajątrąbą, wiesz... Bierze mnie na sekret, myślałem że tajemnicę stanu odkrył, po długich korowodach, jakby mi miał odsłonić arkę... powiada: Pan wie o panu Jakóbie? Co? Że on ma kochankę, żydóweczkę z... której ojciec jest bardzo bogaty; że to już oddawna trwa ten romans, że pan Bóg dał i dziecko, a rodzice córkę z domu wypędzili.

— Ho! ho! ho! aż tak! zawołał Henryk.

— A no, tak! Utrzymał ją naprzód w bardzo wielkim sekrecie przy ulicy Ogrodowej w jakimś domu, potem tajemnie najął jej lokal przy Śto. Jurskiej i to porządny wcale, i tam ją umieścił. Chodzi tam czasem niepostrzeżony wieczorkami, kazałem sprawdzić, tak jest, nie ma wątpliwości, dziewczyna śliczna słyszę, skromna, bojaźliwa.

— Ale to się nie godzi z jego charakterem, przerwał Henryk, onby się pewnie ożenił, gdyby tak było. — I mnie się też tak w początku zdawało, odpowiedział ojciec, ale musiałem się poddać najdowodniejszej rzeczywistości. Tak jest! tak jest! to fakt spełniony!

Stary począł się śmiać. — Ale filuta kawał z tego Jakóba... kryje się dobrze, kiedyś mu utnę figła i zawstydzę go. Tylko, sza!

— Ale, czyż to być może! rzekł Henryk. — Ręczę ci słowem że tak jest, że ją utrzymuje, że pieniędzy dostarcza, że jest młoda i bardzo ładna... To nie ulega wątpliwości. Jeśli chcesz sądzić że to czyni przez prostą miłość bliźniego i że dla miłości bliźniego też chodzi tam wieczorami — no, to twierdź jak ci się podoba.

— Oryginalne! słowo daję, oryginalne! rzekł pan Henryk, trochę jakoś tą wiadomością zasepiony, więc to Don Juan przebrany za anachoretę... więc Tartuf tylko pobożnym przykryty płaszczykiem!! To nowa strona jego charakteru której się nie spodziewałem... zupełnie mi to mięsza szyki w sądzie moim i pojęciu o człowieku... no proszę!!

— Ale to fakt! fakt tak pewny jak że dziś dzień, dodał Samuel. Chcesz się sam przekonać? należysz przecie do rodziny a ja do sekretu nie jestem obowiązany... oto numer domu, pofatyguj się, dopilnuj, to się przekonasz.

Piękna twarzyczka pokazuje się rzadko, ale Jakóba kiedyś wieczór przydybać możesz. Tylko dopilnuj.

— Oryginalne! powtórzył Henryk — oryginalne! słowo daję — niepojęte!

Pan Samuel śmiał się widząc zięcia tak zdumionym.

— Otoż to widzisz, dodał, ciche wody brzegi rwą, my cośmy już znani z wybryków, nie tyle pewnie nagrzeszemy ile na nas plotą, a ci panowie świętoszki, za nas i za siebie.

— Ale nicbym w tem zresztą tak dziwnego nie widział, rzekł Henryk — gdyby nie owa sława czystego Józefa którą sobie wyrobił pan Jakób... Gdzie? jak? kiedy ten romans mógł się spełnić? Niedawno powrócił z za granicy, prawie ciągle odtąd siedział w Warszawie, nie oddalał się.

— A to już sobie te tajemnice rozwiąż kiedy chcesz, zawołał ojciec. Ja ci mówię to co wiem najpewniej, a ty chronologią wybadaj. Bądź co bądź rzecz się stała... fakt... a jak spełnił się, to jego sekret. — Daty mi się płaczą? Jużciż nie była za granicą? mówił Henryk.

— A któż to wie! u wód, teraz wszyscy do wód jeżdżą, nawet ci którymby dość było prostej wody ze studni. — Oryginalne! powtarzał Henryk.

Tegoż dnia, smutniejszy niż zwykle pan Henryk, wedle zwyczaju, poszedł dans l'avant soirée, odwiedzić Muzę. Była to jego poufała, szara godzina w której nawet Sofronow nie miał przystępu. Muza miała tak metodycznie rozłożony czas, że ci których sam na sam przyjmowała, nigdy się z sobą nie stykali. Henryk raz na zawsze dostał na własność l'avant soirée; zastawał zwykle Muzę w jej pokoju, najczęściej samą, bez matki, i mógł z nią pomówić swobodnie,

swobodnie ucałować piękne choć dosyć spore jej łapki, uśmiechnąć się, pożartować.

Rozmowa tu nastrojona bywała poufalej daleko niż w salonie, obojgu miła, gdyż zawsze sympatyzowali z sobą.

Tym razem, jak najczęściej się trafiało, zastał Muzę z książką na szeszlągu, ale wszedł dziwnie zamyślony odkryciem które uczynił, piekło go ono. Muza nawet dopatrzyła zaraz chmury na jego czole.

— Cóż ci to jest, panie Henryku, spytała, chodzisz pan jakiś zasepiony, czyby jakie papiery wasze na giełdzie spadły, czy która baletniczka zdradziła dla szlifów?

— Pani jesteś okrutną a masz mnie za egoistę.

— Nie, nie, za bardzo tylko rozsądnego, praktycznego człowieka

— A na ten raz, smutek mój i ból jest czystą litością nad upadkiem człowieka który...

— Upadkiem człowieka? czy co ciekawego?

— Bardzo.

— Tyczy się znajomego? — Dobrego przyjaciela pani.

— No, to nie cedźże pan i mów.

— Idzie o pana Jakóba.

— Upadek! Cóż to? historia matki?

— Ale nie. — Coś nowego?

— Zupełnie nowego i oryginalnego. Pan Jakób, ów nasz święty i niepokalany, pokazuje się ma ukrytą kochankę... i podobno nawet... jakaś maleńką familijkę.

— O! to już czysta potwarz! on!

— Tak i ja mówiłem, niestety! są fakta, prawda, prawda niezawodna.

— Ale to do niego niepodobne nic a nic.

— Dowodzi tylko że i on nie zawsze jest do siebie podobny. — Ale, proszę, opowiedz mi to pan szczegółowie. Któż? co? młoda? ładna? blondynka? brunetka? jakiego stanu? wychowania?

— Prosta, prosta Żydóweczka z..... córka kupca, młoda i bardzo ładna.

— Ale kiedyż się to stać mogło? spytała Muza ciekawie. — Tego nie rozumiem, kiedy, jak, to pewna że ojciec Tildy, który wie wszystko, odkrył i to... Nie wierzyłem, przekonał mnie. Fakt jest, fakt, mieszkała wprzódy przy ulicy Ogrodowej, teraz przy Śto. Jurskiej.

— Jak to? jak to? familia? spytała Muza, cóż za familia? coś to pan mówił?

— Ale, czyż pani mnie nie rozumiesz? spytał śmiejąc się Henryk.

Muza uśmiechać się zaczęła i nie pytała już więcej. — C'est a n'y rien comprendre! zawołała po chwili. Ale on w istocie tak dobrze grę swą ukrywał, że można go było wziąć za świętego.

— Tartufa kawałek, Tartufa! rzekł Henryk. Przyznam się pani że to mi, od chwili gdym się o tem dowiedział, daje o nim całkiem nowe wyobrażenie. Na nowo się go uczyć muszę.

— Zupełnie jak ja! enfin je vois qu'il est vulnerable, dodała śmiejąc się Muza, a sądziłam że kobiety są dlań całkiem obojętne... proszę, proszę.

Jakoż dosyć prędko pozbyła się panna Emma Henryka, i pobiegła z nowiną do matki.

— No, teraz się ja mamie wypłacę historią za historią o panu Jakóbie — i poczęła żywo opowiadanie.

Wtorkowska kiwała głową, wykrzykiwała, śmiała się, spluwała, dziwiła.

— Przyznam się mamie, dokończyła Emma, że ja go teraz mniej rozumiem niż kiedy. Nie przypuszczam ażeby to proste dziewczę mogło być piękniejsze, ponętniejsze nademnie... dla czegoż ze mną, był tak zimnym?

— Bo ją kocha! to prosta rzecz! odpowiedziała matka.

— A! co mi tam za kochanie! taka prosta dziewczyna. Teraz to się jeszcze bardziej gniewam na niego, miałam go za zimnego człowieka, okazuje się jeszcze chłodniejszym niż sądziłam, bo rachował tylko aby nie był zmuszonym się żenić.

— Może to jeszcze i bajka! przerwała stara Wtorkowska.

Muza powtórzyła źródło i dowiodła że to być musiała prawda — obie smutnie jakoś zamilkły.

— Jużby raz przestać potrzeba i myśleć i mówić o tym człowieku... pluńmy na to! odezwała się stara, nie wielka szkoda, są, inni.

Muza jednakże była wielce podrażnioną" przyplącił to wieczorem pułkownik Sofronow, któremu żadnej nowiny powiedzieć nie umiała, a w dodatku na przekorę zaczęła udawać patriotkę... czego on -się nie zląkł; śmiał się.

Tymczasem posiana plotka rozkrzewiała się szczęśliwie. Henryk nazajutrz kwaśny wróciwszy do domu, nie zastawszy nikogo, pił herbatę z żoną; milczeli długo oboje, Angielka z książką, w kąć poszła, mąż patrzył na podłogę, żona na sufit. On o coś pytał, ona mu coś odpowiadała, ale rozmowy ani sklecić.

— Widziałas w tych dniach Jakóba? spytał po chwili Henryk, był on tu?

— Nie, od dni kilku.

— A prawda! ma gości, matkę.

— Wiem o tem, ojciec mi wspomniał.

— I o nikim więcej ci nie mówił? spytał śmiejąc się Henryk.

— A o kimże mi miał mówić?

— A! nic! nic... no — to nic. Zamilkli ale Tilda była niespokojna.

— Czy mi nie odpowiesz o co to chodzi? spytała.

— Nie — dzieciństwo... Miałabyś mi za złe gdybym cię rozczarował. Lubisz tego Jakóba, w istocie dobry człowiek, ale dajmy temu pokój.

Najmniej ciekawa kobieta, jest jeszcze bardzo ciekawą, cóż dopiero gdy się rzecz tyczy ukochanego przez nią człowieka; Tilda stała się coraz widoczniej niespokojną.

— Jestem pewna, odezwała się, że Jakób nic takiego zrobić nie może, coby mnie o nim inne nad to które mam, wyobrażenie dać mogło.

— A! jesteś pewna! śmiejąc się chytrze rzekł mąż — no, to dobrze!

Milczeli chwilę.

— Nie męczcie mnie i powiedz kiedy zacząłeś, odezwała się Tilda.

— Nie ma w istocie o czym mówić — to dzieciństwo! I śmiał się ironicznie.

Tilda zarumieniona nalegała.

— Cóż bo cię znowu ten Jakób tak bardzo obchodzi! zawołał mąż.

— Kocham go jak brata, z tem się nie taję, wychowywaliśmy się razem.

— Nic też znowu tak poczwarnie zbrodniczego nie popełnił... no, po prostu ma jakąś tam kochankę, z którą się ukrywa.

Tu rozpoczął opowiadanie po swojemu, cynicznie, żartobliwie, złośliwie i dodał w końcu:

— Jeżeli mnie nie wierzysz, spytaj ojca, który to odkrył.

Przez cały ciąg powieści Tilda siedziała drżąca, z oczyma spuszczone, po twarzy jej tylko przebiegały na przemiany płomienie i śniegi: bladła, rumieniła się, wstrząsała, ale gdy Henryk skończył podniosła głowę śmiało i rzekła zimno:

— Nie wierzę, to bajka! ani tobie ani ojcu nie uwierzę; powtarzam to jest niegodziwa potwarz.

— A! zmiłuj się? dla czego?

— Dla tego, że to być nie może.

To mówiąc wstała od stołu poruszona, ale zamiast pójść do fortepianu, wedle zwyczaju, zamknęła się zaraz w swoim pokoju. Tu dopiero łzy się strumieniem z jej oczów puściły, padła na kanapę płacząc.

Dotąd wierzyła w jednego przynajmniej człowieka na ziemi, którego uczyniła swym ideałem; — ideał ten zstępował z piedestału, stawał się nagle pospolitą, ziemską, ułomną istotą.

Istotą fałszu pełną, inną wewnątrz, inną dla niej, komedyantem miłości.

— A! nie! nie! to być nie może! powtarzała sobie. Lecz głos szyderski pytał ją urągając się.

— Dla czego? nie sąż oni tacy wszyscy? nie takimże jest świat cały?

Gorycz zalała jej serce, łzy płynęły, siedziała przybita sama nie wiedząc co począć, jak się uleczyć z tego znękania śmiertelnego. Naprzemiany to wierzyła słowom męża, to je odpychała jako potwarz, a życie tak się jej wydało pustem, straszmem, obrzydłem bez niego, że zapragnęła śmierci.

Ktokolwiek w życiu przyległ sercem całym do istoty która dlań wszystko i wszystkich zastępować miała, a ujrzał potem swe bożyszczce zmienione w gliniany zlepek rozbity, pojmie co to zbolełe serce doznać musiało w chwili rozstania z ostatnią zbawczą myślą, z ostatnią nadzieją oświetlającą ziemię.

Nazajutrz zdziwił się Henryk ujrawszy ją przychodzącą do stołu bladą, niemą, widocznie chorą, ale zupełnie spokojną. Na kilka zapytań odpowiedziała mu obojętnie i krótko się tłómacząc bólem głowy. Nie mówili potem prawie do siebie, a wstawszy od obiadu Tilda odeszła natychmiast i zamknęła się w swoim pokoju.

* * *

Wiemy swym pierwszym przekonaniem, Jakób dosyć obojętnie obracał się wśród coraz rosnącego rozgorączkowania otaczającego kraj; nie mogło ono jednak nie oddziaływać na niego. Każdy gwałt popełniony na nieszczęśliwym narodzie odbijał się w jego duszy, zbliżał go do uciśnionych.

Jest to najlepszym probierzem dusz szlachetnych że one zawsze współczują z cierpieniami słabych i uciśnionych a nie padają bałwochwalczo przed siłą zwyciężką. Ktokolwiek w dniach tryumfu płaszczy się przed potęgą zwierzęcą, której prawowitości nie uznaje w duszy, nikczemnym jest.

Można ulegać przez słabość przewadze i przemocy, ale nic nie powinno zmusić do czczenia ich, padania na twarz przed nimi. Jeżeli się człowiek nie oburza na niesprawiedliwość, ale stara ją wytłómaczyć, okryć ażeby i swą sromotę pod jeden płaszcz zmieścić — osądzony jest.

Ma ucisk tę władzę że do uciśnionych ciągnie wszystkie serca poczciwe. — Często sprawa która nie obudzała współczucia, zyskuje one gdy ją szafł nieprzyjaciela krwią zboczy. Im wścieklej urąga się siła prawom i prawdzie tém wyżej one stoją.

Tłum spodlony zaprze się ich z trwogą pod naciskiem terroryzmu, ale w chwili pomsty Bożej i pogromu, nie znajdzie się jeden coby z nimi stanął, gdy prawda zawsze mieć będzie obrońców, męczenników i wyznawców pod szubienicami, na rusztowaniach, w więzieniach, na tym świecie i w świecie wspomnień ludzkości.

Dla tego wszelaki ucisk prawdy, wychodzi na jej korzyść: spotęgowuje on ją tylko ale zabić nie może.

Jakób który w początkach z tęsknotą i ubolewaniem patrzył na tych którzy kraj popychali do wybuchu, rozplómił także gdy rząd po swojemu począł karcieć i chcieć złamać grozą, uciskiem, szubienicami i bagnetami.

Na czele ówczesnych zbawców Polski, którym się zdawało że ją na drogę wprowadzić zdołają terroryzmem, stał naówczas młody Książę i stary Margrabia. Ale oba może do innych by się byli próbowali uciekać środków, gdyby po nad nimi nie było Petersburga którego tradycyjny m systemem było i będzie zawsze: nękać i łamać grozą. Nie wymyślono na chorobę Polski i teraz innego lekarstwa nad jedno: szubienicę, wygnanie, Sybir, katorgę. Mylim się, dołączono do tego potwarz i agitacja patryotyczną moskiewską już się rozżarzającą, której na pastwę Polskę dać postanowiono.

Jakób, jakkolwiek przeciwny wszelkiemu wybuchowi, usprawiedliwiał go jednak gdy nadeszła chwila branki i dołączone do niej urągawisko, które stanowczo popchnęło do rewolucji.

Nie dosyć im było ofiary krwi, dodano do niej policzek. Naówczas wiele serc szlachetnych uderzyło, wiele głów zawróciła rozpacz i obrażona godność narodu, wiele głosów odezwało się: zginać ale okazać potrzeba, że nie jesteśmy bezduszną trzodą, która pod pletnią żelazną całuje rękę kata.

Mówiliśmy już jak odosobnionym był Jakób, jak wydzielonym pozostał i samotnym. Stykał się on ze wszystkimi odcieniami opinii, ze wszystkimi

warstwami społeczeństwa, ale żadne z nim i on z żadnym jedną iść nie mógł drogą. Dla człowieka czującego w sobie prawdę i siłę, nic boleśniejszego nad takie odrzucenie. Jedyłą pociechą dlań była matka; czasem odwiedziny przyjaciółki młodości i praca nad wielkim życia zadaniem, reformą, religijną, którą, za najważniejszy cel swój był obrał. Ale na tem polu z musu prawie bezczynnym pozostał, ani pora ani usposobienie umysłów nie sprzyjały przedsięwzięciu, ograniczył się więc współpracownictwem bezimiennem w piśmie wydawanem dla Izraelitów w języku polskim, które do najlepszych w ogóle dzienników tej doby należało.

Ale i tu artykuły jego, chętnie przyjmowane, zajadłą, budziły polemikę, były bowiem zarazem za żydowskie i za swobodne, dla jednych za fanatyczne, dla drugich za śmiało reformatorskie. Tem się wszakże nie zrażał, a w ostatku odosobnienie w jakim zostawał, czyniąc go zupełnie wolnym, już mu było mniej przykre; umiał ocenić jego korzyści, choć znał niedogodności i czuł upokorzenie.

Od czasu przyjazdu matki, która pozostała u niego i z którą bardzo często pokazywał się na ulicach, a wcale nie ukrywał w domu, wytworniejsze towarzystwo odsunęło się od niego jak od zapowietrzonego. Zrozumiawszy to Jakób też od niego się cofnął, i u Henryka nawet bywać przestał. Naturalnie to pozorne zobojętnienie Tilda sobie wytłumaczyła inaczej; było ono dla niej smutnem potwierdzeniem powieści męża. Nie szukała też Jakóba i zamknawszy w sercu czyste wspomnienia lat młodych, niemi tylko żyła, wyrzucając światu, że on popsuł ulubionego. Jakób tej plotki odgadnąć nie mógł, ani się domyśleć potwarzy która go ścigała aż w sercu istoty ukochanej.

Raz nareszcie po długiem niewidzeniu spotkali się wypadkiem z rana u pani Wtorkowskiej. — Muza była tak zajęta nowym pertersburskim przybyszem rzeczywistym radcą stanu hrabią Baworowem, z gwiazdą, a niemającym nad lat trzydzieści, w dodatku nieżonatym i ulubieńcem N. Pana — że Jakób korzystając z tego mógł się przybliżyć do Tildy.

Uderzyła go jej bladość, tknęła jakaś zmiana w obejściu z nim i tonie.

— Czyś nie mocniej chora? spytał cicho. Tilda spojrzała nań długo, z politowaniem jakimś, ale bez gniewu.

— Nie, rzekła, wcale się gorzej nie czuję.

— Tak dawnośmy się nie widzieli!

— Prawda, odpowiedziała — dawno.

— To moja wina, rzekł Jakób, ale mogeż się cisnąć, gdy mnie odpychają?

— Nie wiem kto, szepnęła Tilda, wy może wszystkich odpychacie od siebie?

Jakób poczuwszy wtem jakąś wymówkę, spojrział na nią.

— Ja? spytał — ja? to chyba mimowolnie. Wiesz pani (dodał z przyciskiem wymawiając wyraz ostatni) o przybyciu mojej matki? jest to kobieta cnot wielkich, ale prosta... Widzę że wszyscy się jej obawiają, i dla tego stronią odemnie, a obojętnością dla matki, nie moge okupywać przyjaźni obcych ludzi.

Tilda zapomniała była o matce.

— Pan masz matkę u siebie? spytała.

— Tak jest.

— A może, szepnęła cicho nie mogąc się wtrzymać — a może — inne pana od nas jakie odstręczają stosunki tajemne, ciche... skryte... miłe sercu.

Jakób czując drżenie w jej głosie spojrzął na nią wielkimi, zdziwionymi oczyma, w jego spojrzeniu malowało się zdumienie tak szczere, taka myśli otwartość, niewinność i pewność siebie, że Tilda prawie się, swej łatwowierności zawstydziała; spuściła oczy i odeszła do Muzy. Jakób pozostał sam jeden z domysłami swemi.

Nie zrozumiał on co to znaczyć mogło, czuł tylko jedno, że musiano go przed nią. oczernić, ale nie wpadał na myśl w jaki sposób to spełniono.

Zadumany, widząc że Tilda pospiesznie się wybiera zarumieniona i niespokojna, pożegnał ją zdala i usiadł w kącie.

W salonie tymczasem coraz gorętsza rozżarzała się rozmowa, pułkownik Sofronow, hrabia Baworow, Muza i radzca Pikuliński, udział w niej brali.

Przedmiotem były naturalnie najświeższe wypadki, była branka, pierwsze drgania rewolucyjne, w które jeszcze wiele osób wierzyć nie chciało.

Pułkownik Sofronow dyplomatycznie bardzo odzywał się o wszystkim, należał on do tych co przestali wierzyć w rozum Męża Stanu.

Hrabia Baworow, świeżo przybyły do Warszawy, wyznawał już głośno zasady później w system ujęte przez Katkowa.

Radzca Pikuliński należał do tych radzców co nikomu nic nigdy nie radzili, a sami sobie tylko absolutną nicością dają radę. Cobykolwiek kto mówił, zawsze głową kiwał, a gdy go za guzik wzięto i przyciśniono do ściany, jak owe zabawki dziecinne co mają jeden głos tylko gdy je poruszą — wymawiał zawsze jednym tonem: -- Tak, a! tak!

Czy owe tak przed pięciu minutami wyrzeczone godziło się z drugim tak zaraz po niem następującem, o to się Radzca bynajmniej nie troszczył. Szło mu o to aby się władzy i jej reprezentantom nie przeciwic, co zawsze jak najgorsze sprowadza skutki. Idąc statecznie tą drogą Pikuliński, z kancelisty doszedł do wysokiego stanowiska w hierarchii, zyskał Stanisława pierwszej klasy, Annę drugiej, Włodzimierza trzeciej, i zaufanie rządu zupełne. (Zapomnieliśmy o sprzączce za 25 lat służby !)

Była to chodząca, wcielona nicość, ale właśnie przez to stał się im drogi. Gdyby mu byli na rodzzonego ojca kłątwe rzucić kazali, byłby ją rzucił, tłumacząc się:

— A juściż jakże można się władzy sprzeciwić... najgorsze z tego skutki! najgorsze skutki! Zresztą... głową muru nie przebijesz...

Radzcy téż używano wszędzie, do wszystkiego, jak wody — do podpisów, do pokłonów, do prezentacyi, do adresów, do deputacyi, do rządowych manifestacyi lojalności, słowem gdziekolwiek jaką dziurę załatać było potrzeba... Radzca był nieoszacowany, bo niezawodny. Zresztą najpocziwszy człowiek i grał w preferansa — doskonale. — Można mu było już zgóry zapowiedzieć że zostanie radzca tajnym i senatorem i zyszcze orła białego i

najwyższe zajmie posady, potrzebował tylko czasu. Każdy dowód że rząd oceniać umiał jego przymioty, rozczulał poczciwego Pikulińskiego;,, szedł na zamek w nowym mundurze, z nowym orderem, poruszony, przejęty, pokorniejszy jeszcze w duszy, powtarzając sobie:

— O! gdyby wszyscy szli tą drogą co ja! wielubyśmy to nieszczęść uniknęli! — Ale... żadnego taktu... lekkomyślni!

Radzca Pikuliński choć należał niby do rozmowy, miał w niej udział bardzo skromny, kiwał głową i kiedy niekiedy powtarzał swe do wszystkiego służące — Tak! — które go nigdy nie kompromitowało.

Najwymowniejszym był hrabia Baworow całkiem jeszcze świeży i wyobrażający sobie że jest w petersburgskim salonie na Newskini Prospekcie.

— Rosya może powiedziec śmiało, wołał, jak Włochy Cavour'a — fura da se — nie potrzeba nam ani pomocy Austrii przewrotnej, ani feudalnych Prus, Rosya młoda czuje w sobie siły do odparcia Polski i Zachodu.

— Tak! rzekł Pikuliński. Sofronow głową kiwnął.

— Wolelibyśmy uniknąć starcia, dodał cicho.

— Taki dodał Radzca. Jakób wstał rozdrażniony.

— Mnie się też zdaje, rzekł, że walki tej i starcia nietylko zdrowa polityka uniknąć radzi, ale jest ono możliwem.

— Jak? spytał Baworow.

— Tak! dodał machinalnie Radzca, ale się zaraz zakaszłał, widząc że nie w porę się odezwał.

— W bardzo prosty sposób, mówił Jakób — Polska domaga się pewnych swobód zapewnionych jej traktatami, do których z samój natury rzeczy, ze swej przeszłości, ma słuszne prawo; dlaczegoż nie uznać ich, czemu panowie chcecie wszystko siłą, i terroryzmem pokonywać?

Radzca aż się cofnął ze strachu i pochwycił za żołądek, w którym poczuł boleści jakie zawsze sprawiało w nim głębokie wzruszenie.

Baworow ruszył ramionami.

— Connu! zawołał, na zły grunt pan wstępujesz.... My nie uznajemy Polsce praw żadnych,

ani nawet praw przyrodzonych człowieka. My jesteśmy państwem, siłą; dla nas pierwszym, głównem, jedynem jest nie dać się zmódc i pokonać. Czy idzie o prawdę czy o fałsz my musimy zwyciężyć — to nasze dzisiejsze zadanie. Żyjemy przez siłę, stojemy siłą, jesteśmy pięścią, ustępując na jedną linią uznajemy się słabymi. Naówczas Rosya nie ma na świecie raison d'être, nie jest sobą, straciła główny materyał swojego bytu, to co stanowi że istnieje.

— Tak, rzekł pocieszony Pikuliński i odetchnął.

— Przyznajesz pan, odezwał się Jakób, największą słabość Rosyi, dając jej za podstawę tę siłę zwierzęcą...

— Ale my dotąd nie mieliśmy ani czasu ani sposobności innej się dorobić, rzekł zimno Baworow, musimy przyjąć to co jest i tem żyć. Może się kiedy do innej jakiej podniesiemy missyi, dziś naszym posłannictwem — kułak.

Sofronow oburzył się na ten cynizm.

— Panie Hrabio, rzekł, ja tego nie uznaję co mówisz. Mamy przecież tradycje sławiańskie....

Radzca rzekł znowu pocichu: tak; z przywyknienia do wciskania tego wyrazu w próżnie rozmowy, ale zjadł go zaraz i obrócił się tabakę zażywając ku oknu, znajdując że się nieco zaryzykował.

Jakób nie wiedział już co powiedzieć przeciw tak sromotnie obnażonej teorii.

— Panie Hrabio, rzekł, zdaje mi się że przesądzasz nieco czyniąc Rosyą tak ubogą i tak słabą; państwa co stoją siłą samą są kruche. To co stanowi istotną ich potęgę, to duch który spaja; wy nie rachując na inne żywioły spójni jak na materialne węzły ślepego posłuszeństwa.... źle rachujecie.

— Jakto? przerwał Hrabia, posłuszeństwo ślepe u nas jest naprzód czemś więcej niż gdzieindziej, bo jest dogmatem narodowym. Podnieśliśmy je do godności religijnego aforyzmu. Dalej jeszcze liczymy na coś więcej, liczym na to co najlepiej działa na ludzi, na strach, na pieniądze, na ordery, na rangi i ambicya...

— A więc na słabości ludzkie? spytał Jakób.

— Bo przez słabą stronę tylko bierze się człowiek, przez Achillesową piętę, rzekł śmiejąc się Baworow. Wszystkie wasze piękne teorie moralne, idealne, duchowe, są to zabawki dla dzieci. Politycy i mężowie stanu winni się pilnować i trzymać tylko rzeczywistości. Rzeczywistością są więcej wady ludzi niż cnoty...Cnoty są komedią, chwilową, wady podstawą życia... Muza się nareszcie obruszyła.

— A! panie Hrabio, rzekła, to okropna teoria.

— Panie jej słuchać nie powinnyście! odpowiedział grzecznie Baworow.

— Tak! rzekł głośno Pikuliński który się rozsmakowywał w przybyszu i czuł że głośno mu potakując nie skompromituje się. Sofronow był zafrasowany, skłopotany widocznie, Muza odpowiedziała. — Ale Hrabia chyba nie wiesz, że my teraz się do wszystkiego mięszamy, przywykłyśmy słuchać wszystkiego i wpływać na wszystko. — To nieszczęście! to nieszczęście! odparł Baworow, na cóż wam pięknymi białymi rączkami grzebać w tych życia śmieciskach? po co uperfumowane wchodzić do tych zadusznych kuchni w których się smażą niewonne lekarstwa na choroby ludzi? — Tak! rzekł radzca, tak! — Z tego co Hrabia mówisz płynie, odparł Jakób, że — w rządzeniu krajem i światem, nie ma moralności. — Dawno to powiedziano... moralność jest zupą rumfordską, *bonne pour le peuple*, w polityce nie ma moralności. — A! a! zawołał Jakób, jak skoro tak nie mamy już co dłużej rozprawiać. Ja wierzę w moralność zawsze i wszędzie, a ilekroć widzę zadany jej gwałt spodziewam się wymiaru kary Bożej. — Kary? Bożej?? urągliwie uśmiechając się podchwycił Baworow. Jakto? Pan Bóg u was jeszcze....

I nagle spytał:

— Pan jesteście katolik?

— Nie, panie, ja jestem... żyd, odparł Jakób kłaniając się.

Baworow który takiego żyda. jeszcze jak żyw nie widział, spojrział zdumiony i z trochę źle ukrytego wstrętu zapytał.

— Zapewne z Niemiec?

— Nie — Polak jestem...

— Polska ma takich jak pan Izraelitów?

— Nie rozumiem pytania? rzekł Jakób spokojnie. — Nic w nim nie ma uwłaczającego panu... chciałem powiedzieć, równie wykształconych i świątłych, grzecznie dodał Hrabia.

— A! panie, kłaniając się odparł Jakób, ma daleko wyżej wykształconych nademnie.

— Cieszyłbym się bardzo z tego, mówił dalej Baworow, panowie przynajmniej powinniście wpłynąć na kraj, aby się raz wyrzekł swego niedorzecznego patryotyzmu i — odrzuciwszy feudalizm, a nadewszystko katolicyzm — szedł z nami ręka w rękę.

— Przepraszam pana Hrabiego, odezwał się Jakób, ale jeśli kto, to żydzi co tysiące lat pielęgnowali swój patryotyzm i religią, walczyli zań, ginęli, cierpieli i jak iskrę świętą, zachowali go po dziś dzień — w innym narodzie zganić nie mogą, co ich samych ocaliło.

— A! zacinając usta i mierząc go okiem ostrem, rzekł Baworow lekko skłaniając głowę... widzę że mam zapewne do czynienia z krańcowym rewolucjonistą... więc porachujmy jakie są widoki Polski....

— Wcale rewolucjonistą nie jestem, przerwał Jakób. Ale są wypadki w których ludzie najprzeciwniejsi rewolucjom w ogóle, stają się rewolucjonistami, gdy ich do tego zmuszą...

— Wy tak wszyscy mówicie, przerwał z kolei Sofronow, ale czyż kiedy Polskę czem zadowolniono? gdyby jej dano udzielną, zechce być całą; gdyby jej oddano wszystko co miała, zapragnęłaby więcej jeszcze....

— Nie wiem, zawołał Jakób, ale to pewna że nigdy szczerze nie probowano nawet zadowolnić Polski.

— No, a Aleksander I. ? spytał Baworow.

— Aleksander I. obiecał jej wiele, dał trochę i tę odrobinę natychmiast rękami brata odbierał, odpowiedział Jakób.

Pikuliński prędko odwrócił się do okna, żałował że nie wyszedł, czuł niebezpieczeństwo oddychania jednym z takim herezyarchą powietrzem; myślał już czyby nie można przypuścić że mu krew z nosa poszła... ale się powstrzymał jeszcze.

— Co to, o tem mówić próżno? rzekł Hrabia, Rosya zbłądziła, powinna była od razu wykorzenić polszczyznę, katolicyzm a szczepić prawosławie i ruskiego ducha.

— Ale pan Hrabia sam przyznałeś, zarzucił Jakób, że Rosya siłą stoi nie duchem... Jak szczepić to czego nie ma?

— Tak, powiedziałem i nie przeciwie sobie, nasz duch to zabicie wszelkiego ducha... powinniśmy byli iść siłą, mocą, grozą a nie pochlebiać, zwodzić i

obiecują. W tem był błąd żeśmy kłamali. Między nami a Polską walka śmiertelna... bić i zabijać potrzeba...

— A cóż na gruzach i ruinach? spytał Jakób.

— Rosya ogromna, Rosya pół-świata, odparł Baworow, starosłowiańska, demokratyczno-socyalna z carem na czele! Rzeczpospolita, jeśli chcecie democ-soc, jak mówiono w 48, z prezydentem dziedzicznym obleczone w powagę dyktatorską, a dla tłuszczy w kapłański charakter.... Ja jestem sam szlachcic, dodał, ale u nas właściwie szlachty nie było, nie ma, nie będzie — wszyscy równi wobec knuta!

Jakób już nie odpowiedział; a radzca Pikuliński wyjął chustkę i przysposabiał się do krwiotoku, który go lada chwilę już mógł napaść.

Sofronow był widocznie niekontent z toku rozmowy, trącił łokciem Baworowa, obrócili się do Muzy; Jakób przeszedł się parę razy po salonie i wysłiznął cicho. Radzca mu pozazdrościł, ale został potrzebując jeszcze parę razy łaknąć.

— Za pozwoleniem, spytał Baworow, kto to jest ten pan co wyszedł, czy istotnie żyd?

— Istotnie, odezwała się Muza, a wielu podobnych znajdziecie w Warszawie.

— I z takimi zasadami?

— O! różnie! to zresztą jest idealista, marzyciel, reformator, człowiek zupełnie wyjątkowy, który za przykład służyć nie może, odparł Sofronow znający go lepiej.

— Najniebezpieczniejsze plemie, szepnął hrabia, naprzód musi być uparty jako człowiek zasad i przekonań, powtóre ma ponętny w sobie mistycyzm, obleka się spirytualizmem, wywiesza sztandar prawa i moralności!! Wszystko to działa na słabych których jest większość, na kobiety... na massy... Szczęściem że nie katolik, bobym go jednej chwili posłał gdzieś daleko... Ale żyd!...

Niedokończył.

— Czy pan wiesz czem są Izraelici w Warszawie? odezwała się Muza śmiało, ile oni tu znaczą? czy pan nawet potrafisz ich wyróżnić wśród na pozór jednolitego społeczeństwa?

— Zawsze słyszałem że feudalni tutejsi zajadły spór z nimi wiedli.

— To w tej chwili zupełnie ustało.

— O! ustało? to źle, rzekł Baworow, to potrzeba koniecznie odnowić, głaszcząc Izraelitów, wyróżniając ich, stare divide et impera zawsze dobrze służy.

— Dziwny z ciebie polityk, przerwał Sofronow, wszystko mówisz głośno....

— Jak Taleyrand, tym tylko sposobem ludzi oszukać jeszcze można, bo zawsze się zwykli domyślać czego innego.... Niechże się domyślają. Trochę się uśmiechnięto, radzca powiedział: Tak! tak! i wyszedł.

— Słuchaj-no Sofronow, szepnął po cichu hrabia gdy pożegnawszy się wyszli razem w ulicę, powiedz tam komu potrzeba, aby mi tego żyda miano na oku. Mnie się on nie podoba... nadto jasno widzi wszystko.... Albo go trzeba użyć i ująć, zużytkować gdzieś, mianować czemś aby był z nami, albo no... rozumiesz... Do Penzy!

— E! cóż znowu, rzekł Sofronow, to istota niewinna. Z niego się tu wszyscy śmieją, wpływu nie ma żadnego, siedzi w talmudzie, choruje na proroka... nie ma się o co obawiać.

— No, ja takich ludzi nie lubię, odparł Baworow, bogaty??

— Bardzo, rzekł Sofronow.

— Tem gorzej.

— Ambitny?

— Wcale nie.

— Coraz gorzej... Czemże go ująć? Może tchórz?

— Nie zdaje mi się. — O! to do Penzy! do Penzy!

— Ale on wcale nie jest rewolucjonistą...

— Nic nie szkodzi, tem bardziej do Penzy... rewolucjonista prędzej później będzie nasz, my z nimi o ścianę... ale to liberał, moralista, najszkodliwsza bestya! legalista... prawo! prawo! Dałbym ja mu prawo! To człowiek pewnych zasad, zawsze w nim gryząc, dogryzie się do twardej pestki, której nie skruszyć. Mnie dziś takich jak Pikuliński dawaj! to ludzie... kilku jak my u góry, w środku kupę takich jak on, a dołem szuja — Wszystko będzie dobrze! Hurra!

* * *

Jakób siedział nazajutrz znowu nad Bar Majmonem, do którego często zaglądał, gdy mu służący (nowy już, bo pierwszy choć ze łzami odprawił się z powodu matki) oznajmił gościa.

Przyniesiony bilet, wyciśnięte krzywo nazwisko na glansowanej karteczce widocznie w najtańszym jakimś zakładzie, z razu nic nie powiedziało; nie mógł sobie go Jakób przypomnieć.

— Dawid Seebach? Cóż to za Dawid? nie znam tu żadnego Dawida!... Bądź co bądź, domyślając się współwyznawcy, Jakób wpuścić kazał.

Zmarszczyła mu się brew gdy w nadchodzącym postrzegł Dawida syna, poznanego w owym miasteczku przy szabasowym stole ojca. Ten półcywilizowany współziomek ukazał się w ubiorze przesadnie eleganckim widocznie gdzieś tanio dobranym, z laseczką w rękę i uśmiechem na ustach.

Od czasu zbliżenia się do Liji, i wiadomości o niegodnym z nią obejściu tego człowieka, krew się w Jakóbie na tamo jego wspomnienie burzyła, nie miał wszakże prawa dać mu poznać że wiedział o tej haniebnej historyi, i nie miał powodu jawnego obejścia się z nim niegrzecznie.

Zmieszany, zimno, bardzo zimno, powitał go zdala nie podając mu ręki i wskazując tylko krzesło.

Dawid poznał łatwo że nie był miłym gościem, ale tem poufalej rozsiadł się w krzesło, laskę włożył w usta, poprawił w oku szkiełko i począł powoli:

— Zdziwicie się zapewne, spotykając mnie tutaj... zostało wam wrażenie nieprzyjemne z ostatnich odwiedzin u nas, dla tego żeśmy, nie rozmyśliwszy się naówczas, odmówili pomocy temu biednemu emigrantowi... ale...

— Wcale o to urazy nie mam, każdy postępuje wedle swych przekonań.

— No tak, jest recht, rzekł Dawid, ale ja potem się długo rozmyślałem, patrzałem, starałem się ten interes poznać głębiej. Ja wam powiem szczerze że wy mieliście rację, a my nie mieliśmy racji.

Wyrzekł to coraz głośniej, tryumfująco, i spojrzał na Jakóba pewien skutku, ale Jakób słuchał zimny, ani go to zdziwiło, ani poruszyło.

— No tak, dodał gość, tak... wy mieliście rację, my powinniśmy iść z krajem, my musimy być Polakami. My już tak uradziliśmy z ojcem... on sobie zostanie po staremu z Moskalami, ma swoje stosunki, jest dobrze z generałami, z urzędnikami — a ja pójdę na polską stronę.

Jakób milczał.

— Jak się wam podoba! rzekł po chwili.

— No, toć i wy przecie z nimi trzymacie? spytał Dawid.

— Ja jestem Polak, ale nie trzymam z nimi, odezwał się Jakób.

— No, to i ja tak samo... Ja wam powiem po szczerości: Ja już się z nimi zwąchałem... bywam u nich na zjazdach, na jarmarkach, poznałem samych tych starszych co to wszystko prowadzą... ja im będę pomagać.

Widząc że Jakób jeszcze milczy, Dawid począł coraz goręcej:

— To jest interes... i dobry interes... ja już mój majątek wyniosłem cały za granicę, złapać mnie Moskale nie złapią, naostatek, gdyby i tak, na to ojciec żeby mnie ratował. Ale nie! nie! tego nie będzie... chowaj Boże... A tu jest gruby interes. Oni będą mieć pieniądze, muszą sprowadzić z zagranicy broń... można na tem dużo zarobić.

Jakób oburzony porwał się z krzesła.

— To są rzeczy do których się ja nie mieszam, rzekł żywo — wybaczcie.

— Dla czego? wszak mówicie że jesteście Polakiem, a ganiliście że my nimi nie chcieliśmy być?

— Słuchaj, mój panie Dawidzie, ale ja nie byłem Polakiem dla zarobku, ani dla rachuby, ani ze strachu, ale z przekonania.

— A! a! zawołał śmiejąc się Dawid, ja jestem teraz także taki wielki patriota... z całej duszy! ja śpiewam: Boże coś Polskę! a wa! Otóż myślałem że wy mnie w tym interesie pomódcie zechcecie. Powiem całą prawdę, oni mnie jeszcze nie zupełnie wierzą, bo ja do nich świeżo przystałem. Myślałem sobie jak was wezmę do spółki, będzie dobrze... Ja od was nie chcę ani grosza kapitału, tylko imienia waszego, a zysk... ja wolę wam dać trzecią część zysku, jak takiemu Karfunklowi... albo...

Zamilkł postrzegłszy dopiero że Jakób wrzał cały... i porywał za dzwonek. Służący wpadł przestraszony.

— Widzisz tego pana! zawołał.

— A widzę, rzekł służący zdumiony.

— Jeżeli tu przyjdzie raz drugi, to go za drzwi wyrzucisz!

Dawid rozplamieniony, zaperzony ale przelekły nieco zerwał się z krzesła. Nicby go była może ta scena nie obeszała, gdyby świadkiem jej nie był służący,

który stał uśmiechając się z otwartymi ustami, nie wiedząc jeszcze czy mu wypada zaraz spełnić rozkaz pański, czy się wstrzymać do drugiego razu.

— Słysz Waćpan! słysz! odwracając się od progu do Jakóba krzyknął zakrztusiwszy się ze złości Dawid, ja mam wasze życie w rękę! ja się pomścę! ja tego nie daruję!!

I wściekły wyleciał z pokoju.

Zimnym potem oblany Jakób upadł na krzeselko, czując się chorym i byłby tak pozostał nie wiem jak długo bezwładnym i znękanym, gdyby w tejże chwili nie nadbiegła służąca ze Śto. Jurskiej ulicy od Liji z nagłą prośbą, aby natychmiast do niej przychodził. Domyślając się że i tam z Dawidem spotkać się może, Jakób co prędzej porwał za kapelusz, zbiegł, chwycił pierwszą dorożkę jaką spotkał i nie zważając już na nic, choć dzień był biały, popędził wprost do mieszkania nieszczęśliwej kobiety.

Już dojeżdżał do bramy, gdy wypadkiem oko jego padło na postać która go mimowolnie uderzyła. Była to kobieta zakwefiona stojąca naprzeciw pod wrotami, jakby na czatach, która postrzegwszy Jakóba gwałtownie się rzuciła, sparła o mur chwytając go, jakby obawiała upaść i wnet opamiętawszy, znikła uciekając żywo. Ale nie było czasu zastanawiać się nad tem zjawiskiem, które mogło być wypadkowe. Jakóba zastanowiły ruchy, wzrost, coś co mu przypominało Tildę. Ale myśl ta przeleciała tylko przez głowę i znikła razem z zagadkową postacią.

Liję w jej mieszkaniu zastał Jakób zapłakaną strwożoną, wybiegła naprzeciw niemu łamiąc ręce.

— A! panie! on tu jest! on tu już był u mnie, on się tu wdarł, śmiał spojrzeć na dziecię moje. On tu znowu przyjść może... groził... ratujcie mnie! Ja go znać, ja go widzieć nie chcę! wołała Lija.

— Bądźcie spokojni, rzekł Jakób, ja tu jestem i nie ustąpię. Ale wiecież z czem przybył? Może dał rozwód żonie? Może się chce ożenić?

— Ale ja nie chcę go! odparła Lija, ja nie chcę! Nie ma rozwodu, nie może dać Get' swej żonie, bo nawet nie wie gdzie się ona znajduje...

A ja uczyniłam Isar iż żoną, tego przez którego łzy rodziców moich się lały, nie będę. nigdy, choćbym wiecznie nędzną sierotą być miała.

Dumą i ogniem gniewu zarumieniły się jej policzki, była cudownie piękną.

— Dziecko moje niech liczą do Azufim, do Piggum, do Szetukim, zawołała, a niech nie będzie dzieckiem tego nędznika!

Jakób starał się próżno ją uspokoić.

— Źle mówicie, rzekł, i wasz Isar nie jest dobry, dla dziecka potrzeba ojca, dla waszych starych rodziców pociechy, dla was uniewinnienia.

Kobieta zamilkła, w tej chwili wrzawa w przedpokoju przerwała jej mowę, Jakób rozpoznał głos Dawida.

Lija uchwyciwszy dziecię z kolebki schroniła się do drugiej izby, Jakób pozostał sam. Drzwi rozwarły się gwałtownie wyparte, wpadł Dawid z gniewem na twarzy, ale zobaczywszy przed sobą niespodzianie Jakóba, osłupiał. Wkrótce po

zdumieniu wróciła złość jeszcze większa i z pięściami zaciśnionymi przyskoczył mu prawie do piersi. Poważna a chłodna postawa Jakóba i gruby kij który podniósł powoli, wstrzymały go, ręce opadły, zaczął niezrozumiale bełkotać.

— Czego tu pan chcesz? po co przychodzisz? zawołał Jakób.

— Jak to? co pan tu robisz?

— Ja tu jestem w imieniu ojca, z prawem opiekuna.

— Ja przychodzę do mojego dziecka.

— Ani matka ani dziecko nie należą do was, dałżeś im imię swoje? przyniosłeś im co oprócz hańby, nędzy i przekleństwa?

— To tak nie może być, przerwał Dawid mieszając się, ja chciałem dać list rozwodowy mojej żonie, ja byłbym się ożenił, co to jest! Ja ją znajdę, ja się rozwiodę! ja się ożenię. Dla czego macie mnie tu bronić przystępu? Ja muszę się z nią rozmówić!

— Jeżeli ona się na to zgodzi i w mojej obecności, odpowiedział Jakób stanowczo — inaczej, nie.

— Dla czego się ona nie ma na to zgodzić? odparł żywo Dawid, ja mogę dla niej wszystko zrobić, albo nic, ona jest w moim ręku!

Domawiał tych wyrazów gdy drugie drzwi otwały się z trzaskiem, weszła Lija, ale ze skromnej, przestraszonej, płaczącej przeobrażona bolem, oburzeniem, prawie straszna. Wielkie uczucie nadało jej powagę, blask, siłę niezwykłą; Dawid spojrzawszy zadrżał pomieszany, Jakób począł się lękać zbyt gwałtownego wybuchu, bo w początku słowa wymówić nie mogła, tak piersi jej ścisnęło wezbrane cierpienie.

— Między mną a wami, Dawidzie, odezwała się nareszcie powoli, nie ma już nic wspólnego. Oświadczam wam przy tym świadku, że żoną waszą być nie chcę, i ojcem tego nieszczęśliwego dziecka nazywać się wam nie pozwalam. A wszystkie łzy moje, jęki, nędze i noce bezsenne i przekleństwo rodziców i płacz ojca i matki i wstyd rodziny i gniew Boży zrzucam na was i barki wasze. Niech was ścigają szatany, niech cię porwie Dumah, niech cię dręczą...

Oczy jej stanęły słupem, usta się zapieniły, wyciągnęła rękę która skostniała, zachwiała się i padła nagle krwią uderzona, bezprzytomna — ze śmiechem konwulsyjnym i krzykiem.

Dawid chciał zrazu zimno i szydersko przenieść ten krzyk boleści, ale pobladł, nogi się pod nim zatrzęsły, chwycił się za głowę i uciekł.

Ratowano omdlałą, służąca pobiegła po lekarza. Szczęściem znajomy Jakóba doktor mieszkał niedaleko i znaleziono go w domu, bo to była jego obiadowa godzina. Okazało się jednak że to nie było proste omdlenie, ale nerwowy atak apoplektyczny, który się zdawał bardzo groźnym. Użyto wszelkich możliwych środków, ale nie rychło, nad wieczór, płacz dziecięcia dopiero przytomność w niej obudził. Wstała wyciągając ręce ku niemu, nie pomnąc co się z nią stało, ale natychmiast siły opuściły ją znowu.

Lekarz był strwożony, Jakób późno w noc mógł dopiero powrócić do domu.

* * *

Rano zastukano do drzwi Jakóba... przebudził go głos Iwasia w przedpokoju dopominający się wpuszczenia pomimo wcześniejszej godziny, walczący ze służącym, który się mocno opierał. Dzwonek spór rozstrzygnął, i Iwaś wszedł z czołem chmurnym, nie zdejmując czapki z głowy. Ubiór jego był niezwykły, miał na sobie długie bóty, odzież ciężką jakby myśliwą, burkę na ramionach. Na twarzy jego malowało się energiczne rozgorączkowanie.

— Jakkolwiek stojemy dziś w całkiem przeciwnych obozach, rzekł wszedłszy, nie zapomniałem żem wam winien mój powrót do kraju, a może nawet i życie... ocaliliście mnie od wielu nędzy. Chciałem wam pewnie raz ostatni podziękować i pewnie raz ostatni was pożegnać.

— Jako pożegnać? spytał Jakób.

— Dziś, zaraz, wychodzę do lasu... odparł Iwaś uśmiechając się dziwnie.

— Idziecie?

— Alea jacta est, mówił Iwaś siadając, no tak... idziemy ginąć. Nie wiemy czy powstanie nasze trwać będzie dwa dni czy dwa lata, idziemy z kijami przeciwko uzbrojonemu wojsku, idziemy... w las! Bo las naszym obozem, twierdzą, szpichlerzem, magazynem; idziemy gnani uragowiskiem jednych, przekleństwami drugich, łzami kilku istot kochanych... idziemy z rozpaczą, bez nadziei... ale, idziemy!

— Dla czegoż idziecie?

— Dla tego że tych ludzi co nam zaufali biorą, i kuja w sołdackie szynele, że ich potrzeba ocalić lub z nimi zginąć razem.

Jakób słuchał z głębokim smutkiem, przybity, blady.

— Widzicie że nie łudzę się, rzekł mu Iwaś, nie kłamię drugim ni sobie — wiem dobrze iż stawię głowę moją, więcej stawię, może imię pocziwe pod pręgierz przyszłości, na uragowisko zimnych sądów które przypną doń nazwę zuchwalca, szaleńca, dziecka... ale idę bo mi honor iść każe z ludźmi, których utrzymać dłużej nie możemy. Jestem w progu grobu, mówię do ciebie uroczyście jak z łoża śmiertelnego, Jakóbie, nie zdradzaj kraju... nie występuj przeciwko tym co idą, bronić go od sromoty...

— Ja? spytał Jakób, któż mnie o zdradę posądzić może?

— Są tacy, rzekł Iwaś, są tacy! głos ich może przemódcz w radzie, a może być potrzebnym przykładem jaki głośny, mnie tam nie będzie aby cię obronić... możesz paść ofiarą.

— Dla czegoż ja właśnie? Zmieniłem zdanie? obiecywałem kiedy więcej?

— Masz nieprzyjaciół, rzekł Iwaś.

— Ja? nie wiem.

— Mówię ci że ich masz i niebezpiecznych... Zarzucają ci potajemne stosunki z Moskalami w domu twej narzeczonej.

— Ale ja nie mam narzeczonej!

— Przecież tu, na pierwszym piętrze.

— Nigdy narzeczoną moją nie była i nie będzie.

— Wszystko to jedno, ale bywasz w tym domu, bywasz u Henryka Seegla, który jest źle notowany, głośno odzywasz się przeciwko nam... powstaniu... Rachują ci i to żeś odmówił podatku...

Jakób milcząc boleśnie się uśmiechał.

— Dziwna dola, rzekł, nieprzyjaciół tylko mam do koła! gdy ja w duszy nie jestem niczym. Wszyscy mnie odpychają... a ty, nawet ty, Iwaś, mnie nie rozumiesz!

— Zdaje mi się że cię rozumiem, spokojnie odparł młody chłopak, ale na co ci się to przyda? Ja cię szacuję, wysoko cenię twój charakter, broniłem cię i bronię... Ogół w tobie co innego widzi.

— Nie mówmyż o mnie, przerwał Jakób, niech będzie co chce... Nie możecież powstania tego powstrzymać?

— Nie możemy, stanowczo odparł Iwaś, ja ci także powiem jedno — nie mówmy o tem.

To rzekłszy wyciągnął doń rękę dla pożegnania gdy wpadł zdyszany Kruder, i naprzód postrzegłszy siedzącego Iwasia, pochwycił go za ramię.

— A! dobrze że cię złapałem nareszcie — słowo, zawołał, widzę już po stroju co się święci... Na Boga, na miłego Boga... to zawczasie! wstrzymajcie się, zaklinam... błagam... nie czyńcie stanowczego kroku nierozmyślnie.

Iwaś uśmiechał się pogardliwie.

— Tak! zapewne byście chcieli żebyśmy się wstrzymali póki Moskale wszystkich nie wybiorą?

— A tam wszyscy poginiecie...

— Poginiemy! ale to różnica! krew bywa płodną... wiemy co robimy....

— Usłuchajcież głosu rozumu....

— A wy przysłuchajcie się głosom rozpaczy... Widzieliście wy sceny nocnej branki? męczarnie tych których z łona rodzin chwymano? wiecie wy co to być sołdatem?

— Wiem, bo nim byłem, zawołał przybyły, tu o kraj nie o was idzie... Wasz heroizm jest w istocie bohaterskim egoizmem... nic więcej. Na Boga, kochajcie lepiej ojczyznę, a mniej te wasze honory.... Rozumu!

— Skończyliśmy z rozumem, odpowiedział Iwaś, basta! rozum jest proskrybowany, rozumem naszym szał. To hasło! bywajcie zdrowi!

Gość załamał rękę.

Przybyły rękę załamał.

W chwili gdy za odchodzącym Iwasiem ścisnąwszy tylko dłoń Jakóba wrywał się, próbować jeszcze czyby go odciągnąć nie mógł — na progu rozminęli się z Mannera, który wszedł ze zwykłą swą butą i hałasem. Dwie te postacie, szczególnie burka i ubior Iwasia, który od dni kilku miał pewne znaczenie w Warszawie, uderzyły mocno nowego gościa; nosem pokręcił, czoło namarszczył i padłszy na fotel po lekkim skinieniu głową długo pozostał milczący.

Jakób którego te troiste odwiedziny jeszcze w łóżku zastały, szybko się, odział, smutny i przybity.

— Mam ci coś powiedzieć, począł nareszcie Mann, jestem przyjacielem twojego opiekuna, byłem i jestem tobie życzliwym, umiem cię cenić, choć ty mnie pono nie lubisz... przychodzą, cię przestrzedz abys się upamiętał. Zapowiadam ci że kłamać przedemną i zapierać się byłoby próżno.

— Ale, kochany panie, rzekł oburzony Jakób, ja ani przed panem ani przed nikim na świecie nie kłamię... Nie wszystkim widzę potrzebę się zwierzać, ale nigdy nie powiem czego nie myślę.

— To bardzo pięknie, bardzo pięknie, a rzecz znacznie uprości, odpowiedział Mann dobywając cygaro, które starannie, szkiełko włożywszy w oko, rozpatrywać zaczął — bardzo dobrze. Mówię zatem otwarcie. Pan jesteś figurą dosyć wydatną, masz majątek, nie brak ci wykształcenia, przedstawiasz więc mimowolnie pewną wybitniejszą klasę Izraelitów... i zwracasz na siebie oczy.

W takim położeniu, w okolicznościach takich jak dzisiejsze, mówił dalej Mann, nie jesteś całkiem panem swoich czynności, każdy krok twój każe się domyślać, że działasz w sensie tych ludzi, których reprezentujesz...

— Ja? spytał Jakób.

— No, mimowolnie, mówił Mann. Otoż powiem ci że skompromitujesz siebie i nas swoim postępowaniem....

Jakób ręce skrzyżowawszy na piersi, nieco szydersko uśmiechnięty, cierpliwy choć mu się to wszystko w głowie pomieścić nie mogło i wydawało się chwilami jakby był na jakiejś złej komedii, słuchał.

— Rząd na takich jak ty ludzi najbaczniejsze zwraca oko, z nich wnosi o nas wszystkich. Co znaczyła twa rozmowa niedawna u Wtorkowskiej z hr. Baworowem i pułkownikiem Sofronow, przy radzcy Pikulińskim, który ją, rozniósł po mieście? co znaczą twe konszachty z takimi waryatami czerwonymi jak ci dwaj co ztąd wyszli dopiero? Ty się widocznie garniesz do rewolucyi, a to jest szaleństwo. Mniejsza zresztą o ciebie, jeśli ci się marnie ginąć podoba, ale powtarzam, nas kompromitujesz... jesteś na widoku... To tak być nie może.

— I cóż więcej? spytał poczynając się już niecierpliwić Jakób.

— Ale zdaje mi się że to com powiedział dostatecznem jest. Cóż chcesz więcej? wytłumacz się; rozmowa z Baworowem....

— Czyście jej słuchali?

— No, nie, ale radzca powiada, że głosiłeś zasady okropne.

— Znacie Pikulińskiego ?

— No, znam, z pozwoleniem, osieł, rzekł Mann ze zwykłym sobie grubiaństwem.

— A wierzycie w jego powieści?

— Mógłbym to wziąć na karb jego tchórzostwa, ależ Baworow ma cię także za człowieka niebezpiecznego. Zresztą na co tu innych dowodów, nad te długie bóty, które minąłem w progę!

— Wiecież z czem ten w długich butach tu przychodził?

— A! spiskować?

— Nie zgadliście, przynosił mi przestrożę abym był ostrożny, bo reakcyjność moją życiem przyplącić mogę. Pogódźcież proszę to co on mi mówił z tem co wy mi przynosicie, będę wam bardzo wdzięczny....

Mann podniósł głowę.

— Istotnie? zapytać.

— Słowem uczciwem wam ręczę...

— To tylko dowód, panie Jakóbie, że nie macie taktu, nie potrafiliście sobie zjednać żadnej strony, a obie umieliście narazić.

— Kochany panie, jest to umiejętność właściwa ludziom sumiennym, rzekł Jakób najspokojniej, potwarzami obrzucają ich wszyscy, zrozumieć nikt nie chce — dla czego? dla tego że stronom obu mówią prawdę gorzką, całą, nie oglądając się ani na ich fawory, ani na ich groźby.

Bądźcie pewni że jakkolwiek życzliwe wasze przestrogi oceniać umiem, nie zmienią one ani na włos postępowania mojego... będę tem czem mnie sumienie moje czyni, czem mi charakter mój być nakazuje. Gdybym ulegając wam czy im, stał się innym, byłbym kłamcą....

I skończył po hebrajsku:

"Szczęśliwy kto umiera jak się urodził, czystym i niewinnym. " (Baba Mezzia. 107. a.)

Mann spojrział na niego z dziwnym twarzy wyrazem, pół szyderskim, pół zdziwionym i jak zawsze dumnym; milczące to spojrzenie wypowiedało niemal: "Bądź spokojnym, umrzesz tak głupim, jakim jesteś. "

— No, więc rzecz skończona, dodał wzdychając, z wami po ludzku mówić, porozumieć się, opamiętać was nie można...

Ruszył ramionami.

— Ja wam mówię o życiu żywym, wy mi przywodzicie talmud. Wiec gwałtem chcecie iść do cytadeli? To za sobą prowadzi podejrzenia na nas wszystkich którzy z tobą żyjemy i przyjaźnim się.

— Cóż ja na to poradzić mogę?

— Sam powtarzasz że rewolucjonistą nie jesteś?

— O! możecie mi wierzyć....

— Jawnie więc to wypowiadaj, stój po stronie tych którzy walczą na drodze legalnej z rewolucją.

— Ale ci, co jak mówicie, walczą na drogach; legalnych, są ludźmi wierzącymi razem w skuteczność szubienic, w niezawodność terroryzmu, przyjmują despotyzm jako prawowity i nieuchronny...

— Z dwojga złego, przerwał Mann.

— Bardzoście dobrze powiedzieli, oboje złem jest, zawołał Jakób, albo raczej oboje to jednym jest; despotyzm z góry, despotyzm z dołu, rewolucya carska lub rewolucya czerwona, zawsze to rewolucya... Ludzie z którymi ja dzielę przekonania stoją w pośrodku, ale jak zawsze, tych ludzi jest bardzo mało.

— I ci padają ofiarą zwykle, albo rewolucyi z góry, albo z dołu, dodał Mann.

— To prawda, odparł Jakób, ale miałożby to być powodem ażebym ja, ze strachu upadku, zmieniał zdanie? Wydrzyjże mi z piersi serce, z głowy przekonanie, lub uczyn mnie kłamcą.

— Kłamcą nie, ale politykiem lepszym radbym cię uczynić — bo szczerze nam ciebie żal — Wiesz co? nie potrafisz się tu ostać, wyjeżdżaj za granicę....

Jakób popatrział nań zdziwiony.

— Chcieliżbyście ażebym z dobrej woli, gdy drudzy giną, gdy kraj jest w najtrudniejszych okolicznościach, gdy za prawdę walczyć potrzeba na swoich śmieciach, uszedł z placu ochraniając drogą moją głowę?

— Ale słowo ci daję, odparł Mann śmiejąc się, że mi znowu tak bardzo o twą głowę nie idzie, jeśli ją masz do zbycia, mnie chodzi o nas. Jesteś żyd, jesteś bogaty i wykształcony, co ciebie spotka to się o nas obija...

— Stojemy więc na dilemacji nierozwiązanym, odparł Jakób, nie mogę nie być sobą, a potrzeba bym sobą nie był... Wiedziecie co? pour cause d'utilité publique, każcie mi w łeb strzelić... to wszystko rozwiąże...

— Nieszczęściem i to niemożliwe, zawołał Mann śmiejąc się, powiedzianoby że popełniono skrytobójstwo na was, ale na miłość Bożą, mówmy rozumnie, tyś nie dziecko, milcz, zamknij się....

— Powiecie że spiskuję....

— Ogranicz się towarzystwem Moskali.....

— Narażę się im prawdą....

— No, to nie gadaj!

— Nie potrafię....

Gość wstał z krzesła zniecierpliwiony.

— Niechże cię... porwą!

— Pochwycił za laskę, kapelusz włożył na głowę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

* * *

Dzień ten był dla Jakóba ze wszech miar ciężkim... przysłano po niego ze Śto. Jurskiej ulicy oznajmując o bardzo niebezpiecznym stanie chorej; pospieszył, ale po to tylko aby zastać płaczące dziecko, sierotę... Lija nie żyła.

Nieszczęśliwa istota zostawała na jego opiece, nie było jej powierzyć komu, niepodobna opuścić, naturalnie Jakób się zwrócił z prośbą do matki.

Za pierwszym słowem które wyrzekł, zarumieniła się skłopotana staruszka, przykro jej było posądzać syna, a mimowolnie nastroczyło się podejrzenie.

Oszczędzając jej tej chwili niepewności i obawy, Jakób poprzysiągł najuroczyściej że dziecko było mu obcem zupełnie. Stara uwierzyła ale mimo to okazywała jakiś wstręt i obawę.

— Ja ci wierzę, odezwała się, ale czy mnie uwierzą drudzy gdy to dziecko zobaczą? czy nie zechcą ciebie posądzać? czy nie da to powodu do nowych potwarzy i plotek?

— Matko kochana, odpowiedział Jakób, mamże dla tego istotę niewinną pozbawić opieki? zdać ją na ręce najemne? mamże nie spełnić ludzkiego obowiązku z obawy ludzkich języków?

Stara spojrzała nań i zamilkła. — Nie, mój Jakóbie, ofiara byłaby zbyt wielka, dziecko to matki nie znajdzie nigdzie, a opiekę troskliwą znaleźć może. Zostaw to mnie. Dobrego uczynku spełnić ci nie przeszkodzę, ale krzywdy tobie uczynić nie dam.

Późnym wieczorem, strudzony, znękanym nieustannymi odwiedzinami, i bólem a smutkiem jaki niespodziana śmierć biednej Liji ściągnęła, machinalnie prawie powlókł się do Henrykowstwa.

Szarzało gdy tam przyszedł ciesząc się zawczasu myślą że chwilę w tej atmosferze cichego smutku odetchnie, po wrzawie i gorączce rannych godzin. Służący przywykli wpuszczając go zawsze otworzyli mu salon w którym jeszcze światła nie było. Umajony kwiatami, pusty, chłodny, niezamieszkały, wspaniały ten przybytek urzędowej gościnności, wyglądał tęskno, czarno, jakby całunem okryty. Zdawało się że nawet wonne kwiaty które w wielkich grupach przystrajały kąty jego wędły w tej zimnej zadusze. Powietrze przesiąkło było ich zapachem przedśmiertnym, zmieszany z wonią tej pustki.

Fortepian Tildy stał zamknięty, jej samej, chociaż go oznajmiono, długo doczekać się nie mógł. Służący wszedł wprzód ze światłem które rozlewając się po ciemnych sprzętach, czepiając złocień, zwierciadeł i luster, nieco ożywiło martwy salon; ale czarniejsze zakątki zdawały się kryć w sobie jakieś tajemnice grobowe. Cały ten dom w istocie miał w sobie, mimo przepychu, coś przerażająco smutnego; nigdy nie rozległ się po nim wesół głos dziecięcy, codzień obijały się o ściany śmiechy szyderskie, lub westchnienia męczarni skrytej. Do niczego tu nie przylgnęło, nie wypiętnowało się życie, usuwało się po niem jak po gładach; wszystko stało jak niegdyś ustawił tapicer, jak codzień ustawiali słudzy, znać było że nikt nie pokochał tego kąta, nikt w nim nie był szczęśliwym — ludzie tu tylko — przebywali.

Jak cień biały, w sukni długiej tyfytkowej przepasanej sznurem, wysunęła się po cichu Tilda; ale od czasu gdy ją, widział raz ostatni, zmieniona straszliwie. Oczy jej nabrały blasku chorobliwego, twarz wychudła jeszcze, odrętwiałość dawna zmieniła się prawie w osłupienie i podała mu nieśmiało rękę zimną, drżącą, wyschłą — na powitanie głosu jej zabrakło. Jakób przywykły do żywszego przyjęcia, zmieszał się czując od razu że i tu ścigać go musiało to co wszędzie — potwarz jakaś. Ale są chwile w życiu w których liczba spadających na raz jedno po drugim ciosów czynią już twardszym człowieka na to co go spotyka.

— Może przyszedłem nie w porę, rzekł Jakób witając ją, odejdę.

— Ale nie, odpowiedziała Tilda zmieszana nieco, owszem, nigdy pan bardziej w porę przyjść nie mogłeś, chciałam bardzo widzieć się i pomówić z wami.

— Ale tyś chora?

— Nie — a! nie! jestem zupełnie zdrowa! odpowiedziała zimno.

— Tyle mnie dziś spotkało różnych przykrych, śmiesznych, bolesnych, krwawych ciosów, że serce moje samo się upomniało, abym tu przyszedł po pociechę.

— Serce? a! to chyba ze starego nałogu!

— Jak to? miałażbyś i ty już mi nie wierzyć? spytał Jakób. Tilda długo, badająco spojrzała na niego.

— Słuchaj, odezwała się, dosyć tej męki, dość tego co mi duszę rozdziera, nie mogę znieść wątpliwości, wolę prawdę choć gorzką. Widziałam w tobie człowieka prawdy — dla czego stałeś się mężem fałszu jak oni wszyscy?

— Ty! zwątpiałażbyś o mnie! krzyknął Jakób łamiąc ręce, tego mi jeszcze brakło!

— Zwątpiłam ? nie — przekonałam się żeś kłamał! Zdradziłeś mnie która od ciebie nic nie żądałam tylko prawdy. Mogłeś mi przecie powiedzieć szczerze jak siostrze: nie kocham ciebie, kocham inną, do tego trupa przykutym zostać nie mogę; potrzebuję życia. Byłabym ci powiedziała choć ze smutkiem w duszy: Idź — bądź szczęśliwy. I nie miałabym żalu do ciebie, ale żal po tobie.

— Ale cożem ja uczynił? kiedy skłamałem?
zawołał Jakób.

— Jak to? ty śmiesz...

— Tildo, rzekł Jakób surowo i poważnie, sądz o mnie jak ci się podoba, ale nie odbieraj mi czci mojej; jestem człowiekiem słabym, ułomnym, lecz nie byłem nigdy dobrowolnie podłym, nigdy.

— Więc coż znaczą, co znaczą, ta kobieta... te tajemnice... ?

Jakób stanął, załamał ręce i boleśnie westchnąwszy, opuścił głowę na piersi.

— Usiądź, rzekł, powiem ci wszystko. I począł spokojnie opowiadanie, które dokończył sceną wczorajszą i dzisiejszą śmiercią Liji. Biednej kobiecie słuchającej go chciwie, ze drzeniem, łzy z oczów płynęły, ale dumną się czuła cnotą swojego ulubionego, która znowu jaśniała przed nią w całym dawnym blasku. Ta chwila szczęśliwa wracała jej wiarę, życie, miłość — ostatni skarb na który porwała się potwarz. Gdy skończył byłaby mu się rzuciła do nóg, aby przebłagać za podejrzenie, obawa świadków ją wstrzymała.

— A! przebacz mi, wołała poruszona, ta baśń, ty to sam widzisz, tyle miała pozorów prawdy, tak uparcie wbijano mi ją w piersi, a jam tak do nieszczęścia przywykła, że sądziła iż i to mnie jeszcze spotkać powinno. — Dziwię się jednej tylko rzeczy, rzekł Jakób, że pierwszego dnia, pierwszej godziny gdy ci to powiedziano nie przysłaś mnie spytać, jakieś to była winna dla mnie uczynić... powiedz, nie mam słuszności?

— Przyplącałam też to nieopisaną męczarnią, odpowiedziała Tilda, dni te liczę do najcięższych w moim życiu, skosztowałam nicości i śmierci. Ta wieść zabijała wszystko nawet przeszłość i wspomnienia... odbierała mi całego ciebie.

— Mnie jednak nawet na myśl przyjść nie mogło, bym spełniając dobry uczynek miał jeszcze zyskać tę zasługę męczeństwa zań.

— A! gdybym ja tę sierotę biedną wziąć mogła, którą ty wziąć chciałeś, odezwała się Tilda, a! jakbym była szczęśliwa... ale ja jestem panią a niewolnicą w tym domu, stroją mnie jak oblekają sprzęty ażeby świadczyły o pana dostatkach, szanują mnie bo się nazywam jego żoną, mam wszystko co zbytek mieć każe i duma jego wymaga, ale jestem... niewolnicą! Ścielą mi kwiaty pod nogi, aby je świat widział; nieraz pozazdrościłam ubóstwu pracy, nawet nędzy, wśród tej duszącej atmosfery woni i przepychu.

Od niejakiego czasu nawet prawie nie widzę ludzi, Henryk się zamyka ze swem towarzystwem moskiewskiem lub razem z niem spędza dnie całe u Wtorkowskich; do mnie nic przyjdzie nikt, chyba lekarz gdym mocniej chora, roczny urzędnik mego zdrowia, lub ubogi któremu nie mam co dać, bo nic nie mam, wszystko to pożyczane. Westchnęła.

— Ale dziś, dodała podając mu rękę, dziś dla mnie dzień wesela, dzień odrodzenia, znowum spokojna... jest jeden człowiek na świecie który mi ludzi kochać i szanować każe, a wierzyć w dobro i cnotę.

Mówili tak z sobą długo. Słudzy w godzinie zwyczajnej podali herbatę, przyszła do mój zakatarzona zawsze Angielka tylko, pana Henryka nie było; mogli po cichu gwarzyć i o świecie zapomnieć. Tilda otworzyła zapyłony fortepian i Chopinowskim polonezem (A-dur) skończyła się ta uroczystość serdeczna, pamiętny dzień zgody i pokoju. Odchodząc późno, spojrział Jakób na okna tego domu więziennego i z duszy, nie wiedząc dla czego, j wybiegło mu pożegnanie, jakby ich więcej widzieć nie miał.

* * *

Wiosna wcześniejsza tego roku niż zwykle przyszła zwodniczo dopomódz nadziejom, jak ona, rozkwitającym zbyt spieszenie.

Warszawa przedstawiała dziwny widok miasta z którego wszystkiemi szparami wylewała się ludność — w świat, w lasy. na bój, na śmierć. Moskale zdawali się na to patrzeć obojętnie, nie widzieć i nie chcieć przeszkadzać.

W Brülowskim pałacu powtarzano aforystycznie z krwią zimną: — Wrzód nabrał — pęknać musi...

Nie liczono tam krwi która z niego wypłynąć miała, ani boleści, nie chciano widzieć że wrzód powstał z choroby zaszczepionej oszalałym uciskiem.

W murach miasta życie na pozór wlokło się porządkiem zwyczajnym; wtajemniczeni tylko mogli na ulicach rozpoznać na śmierć przeznaczone ofiary. Cisza kłamiwa kryła rozgorączkowanie niezmierne; dowiadywano się pocichu o małych kupkach którym udało się, mimo wojsk, zgromadzić, pobić gdzie i gnać Moskali, wpaść do miasteczka, zabrać gdzieś urząd, wywiesić na chwilę chorągiew.

Wchodząc do kościołów postrzegałeś tłumy dysponujące się na śmierć u ołtarzów — wszyscy je mogli policzyć — opłakać, nikt powstrzymać.

Z Moskali jeden Gromow rzucał się jeszcze by zapobiedz rewolucyi, ale napróżno modlił, zaklinał, biegał — jak wyrwane z tamą wody, płynęły

niepochwycone prądy... Świtała wychodzącym nadzieja nadziei wolności — lub śmierć.

Przerażenie panowało wśród ludzi co zimnem okiem widzieli przyszłość — widmo zemsty — stare dzieje od 1794. roku powtarzające się, ze wszelkimi następstwami moskiewskiej zjadłości i barbarzyństwa... świtały znowu w dali. Gdy jedni uchodzili w lasy, drugich chwytała policja, nachodzono mieszkania, trzęsiono poddasza, skopywano lochy, czasem trafiano na ludzi ślady; czasem gdy było potrzeba, podrzucano coś i narzucano winę. Cytadela pełna, co kilka dni gnała zbywające ofiary na Sybir, kajdan trudno było nastarczyć. Jak cienie przesuwali się po ulicach ludzie co ani wyjść nie mieli siły, ani wychodzących powstrzymać.

A wśród tej zapowiedzi burzy, gaje puszczały liście zielone, łąki okrywały się kwiatami, skowronki nuciły pieśni nad ziemią, którą, krucy opanować mieli. Ostatnie godziny nadziei biły jedna po drugiej... Moskwa wrzała gotując się na rzezie, na swe gody krwawe, na to zwycięstwo potężne w którym kilkakrotnie stotysięczne wojsko miało walczyć rok by przemódz drobne kupki ludzi bez broni, bez obozów, bez prochu i bez pieniędzy. Nie wiem czy dzisiejszej pomsty zjadłej nie należałoby tłumaczyć tem upokorzeniem Rosyi — gdyby jej powolność nie była widocznie obrachowaną i umyślną. Ona także chciała aby ten wrzód pękł, ale życzyła sobie żeby nabrał jak najmocniej, by mogła potem razem z nim wyrzynać żywe mięso z tego ciała i pastwić się na męczenniku.

Ta pomsta od r. 1863. trwająca do dziś unia, wzrasta, wzmaga się, rośnie, podsyca pozorami różnemi; z namiętnej w początkach staje się programmem i systemem; głosi się stałą" chlubi ze swej wytrwałości; świat asystuje eksekucji krwawej obojętnością motłochu przypatrującego się gilotynie.

Ale w tych chwilach rozkwitłych wiosny poranków, niczyja myśl nie zstępowała jeszcze do głębin, które już czarnymi przepaściami stały w oczach ruskich reformatorów i mężów stanu, dyszał nadziejami świat i kraj; chwilami wionęło chłodne, zwątpienie, to znów buchało płomień które miało odrodzić. Ale już w samych symptomatach współczucia zachodu znać było zamię jakiemu uległa Europa w ostatnich latach gnuśnego pokoju — żaden z tych narodów, niegdyś współników naszego nieszczęścia i ucisku, nie drgnął, nie poruszył się, sypano słowy tylko.

I dobrze było że choć słowa te jeszcze zmuszał wyrzec srom jakiś, bo wkrótce i im i wszelkiemu uczuciu szlachetniejszemu kłam miała zadać Europa... podnosząc w górę sztandar siły i klękając przed nim.

Znękany myślami i zwątpieniem które nań sprowadzało widzenie straszne przyszłości, Jakób długo w noc przesiedział w tym stanie dziwnej jakiejś apaty, który jest od najsrozszej boleśniejším boleści.

Wszystkie cele życia wymykały się przed nim, o szczęściu nie marzył, współwyznawcy odwracali się od niego ze wstrętem, dla kraju zrobić nic nie mógł... Wszystkie drogi które chciał iść, przedstawiały mu się zdeptane, powybijane, splugawione i do niczego nie wiodące... Żyć tak jak drudzy żyją"

pędząc życie, wedle zwykłego wyrażenia, aby się go pozbyć — bez przyszłości, bez nadziei, bez pracy, nie umiał. — Roboty do których mógł się być rzucić, już były przez innych dokonane.

W tem usposobieniu umysłu, moralnej śmierci, człowiek lub zamiera w istocie, albo w szale jakimś szuka nowego dla siebie pokarmu. Jakób czuł jak chłód zwątpienia do koła go ogarniał. Książka wypadła mu z rąk zdętwiałych; bezmyślnie wpatrzył się w lampę i powoli tak sen ogarnął siedzącego na kanapie.

Gdy się przebudził lampa była zagaśła, szary przedświt wdzierał się do pokoju przez niezastłonięte okna, mglisty poranek miękkimi zastłony bez barwy obwijał wszystko... na świecie było tak smutno jak w jego duszy.

Ucho wśród ciszy porannej pochwyciło stukanie do drzwi, potem chód ostrożny po wschodach i lekkie poruszenie dzwonka... Jakób sam poszedł otworzyć. Wcisnął się mężczyzna obwinięty płaszczem, w czapce nasuniętej na oczy, i cofnął się nieco zdziwiony poznawszy w otwierającym mu, samego gospodarza.

— Cóż to jest? czy wiesz już? spytał głos wychodzący z ust przybyłego, w którym poznał Krudera.

— Ja? o czymże mam wiedzieć?

— Dla czegoż o tej godzinie znajduję cię ubranym?

— Przypadek, znużony spędziłem noc nie rozbierając się na kanapie.

— Tem lepiej więc, rzekł wchodząc gość tajemniczy, nie mamy czasu do stracenia, dochodzi godzina czwarta... najwyżej jeśli ci półtorej lub dwie zostało....

— Nie rozumiem cię, odezwał się Jakób, Kruder padł na krzesło ocierając pot z czoła.

— W dwóch słowach opowiem rzecz całą. Spodziewam się, że mówię do mężczyzny i słów nie potrzebuję ważyć, ani cię przygotowywać abyś się nie nastraszył.

— Niczego się nie boję, rzekł Jakób.

— Za dwie najdalej godziny będziesz wzięty...

— Ja — za cóż?

— Ty, nie pytaj za co, dosyć jest dziś być podejrzanym o możliwość myślenia, aby być pochwyconym. Ty dziś, ja jutro może... Na co się masz męczyć więzieniem lub wygnaniem.

Przynoszę ci pasport który wczoraj uzyskano dla ciebie bez twojej wiedzy, bo policja pasportowa, jak się zdaje, z policją, cytadelową, nie jest szczęściem, w zbyt ścisłych stosunkach... możesz i trzeba abyś natychmiast wyjechał.

— Ja? po co? dokąd?

— Dokąd ci się podoba, byle z Warszawy i z oczów...

— Ale nieprościej że będzie zostać i wytłumaczyć się?

Przybyły rozśmiał się.

— Możesz być niewinnym jak nowo narodzone dziecko — cóż ci to pomoże ? Ponieważ mogłeś być obwinionym, wywożą cię do Rosyi, to jest jeszcze co cię najszcześniejszego spotkać może...

Jakób zamyślił się.

— A! niech wywożą! rzekł.

— Popytaj mnie, odparł Kruder, ja znam Rosyą, żołdacy i wygnania. To są najokropniejsze męczarnie — po cóż je masz znosić? bez potrzeby, na co się to zdało?

Jakób dumiał.

— Ale kraj opuścić w tej chwili, rzekł, byłoby niegodnem; niedawno Mann, wyrzucając mi rewolucyjność moją, mówił mi, że jako żyd jestem widoczny, że każdy mój czyn spada w części na całą społeczność; w istocie miał może nieco słuszności, więc i ucieczka moja spadnie też na Izraelitow. Dostyc nam już wyrzucano tchórzliwość, ostrożność, rachubę, egoizm; moje postępowanie usprawiedliwiałyby zarzuty podobne.

— Pozwól, rzekł Kruder, minuty upływają, chwili do stracenia nie ma, potrzeba nie rozprawiać ale się decydować prędko i stanowczo. Możesz być użytecznym krajowi bądź co bądź, potrzeba byś na lepsze czasy ocalał. Więzienie złamie cię, znęka i sparaliżuje... Powstanie się wzmaga, jaki być może jego koniec nikt nie przewidzi, zdaje się że dyplomacya europejska wzięła je w swoją opiekę; rzadko jej się co udaje, ale ktoż wie? powtarzam ci, możesz nam być potrzebnym — zachowaj się dla kraju; masz inteligencyą, stosunki, majątek...

Jakób się smutnie uśmiechał.

— Inteligencyą sfalszowaną mistycyzmem jak mówią, przerwał gościowi, majątek... rzeczywiście mam; stosunki sprowadzają się do tego ostatecznie że z nikim nie jestem dobrze — a mnie nikt nie ufa... Na cóż się ja przydać mogę?

— Pessimista jesteś! no — decyduj się!

— Jużem się zdecydował, odparł Jakób, nie potrzebuję się namyślać długo, w tej chwili pożegnaj matkę, polecę jej dom, biorę pieniądze i uchodzę ztąd aby mieć czas rozważyć chłodniej co pocznę. Nie będę tu czekał na żandarmów, bo oddać się im zawsze pora... pójdę z tobą... Ale znajdeż gdzie choć na kilka godzin przytułek bezpieczny?

— Znajdziemy, pójdziem razem...

Nie tracąc chwili Jakób zmienił ubranie, wziął pugilares, pobiegł do matki, która obyczajem wiejskim już była wstała; a w kwadrans powrócił do gościa, który zaczynał się niecierpliwić i razem z nim pocichu wyszli spiesznie, nie wiedząc z razu dokąd idą, byle co prędzej wyjść i uniknąć nadciągnąć mającej policyi i żandarmów. Rzucili się zaraz w boczne przejścia, potem w zupełnie inną część miasta, po chwili znaleźli się w alejach.

Jakób myślał szukać z razu schronienia u Henryka, potem u Bartolda lub ojca Tildy, ale go wstrzymała uwaga, że ich tem niepokoju nabawić może i niepotrzebnie ściągnąć podejrzenia.

— Pójdziesz ze mną do Kafarnaum? spytał w końcu uśmiechając się towarzysz.

— Cóż to jest Kafarnaum?

— Jest to przezemnie tak nazwane mieszkanie, w którym zbierają się na rady... czerwoni!

— Jesteś więc z nimi?

— Ale nie! ja! zawołał Kruder, ja jestem wszędzie i nie jestem nigdzie... wchodzę, słucham, radzę, kłócę się, ale czekam. Do Kafarnaum mnie wpuszczają, chcesz? zaprowadzę. — Nie, odpowiedział Jakób, jest to dla mnie jak być może najgorsze schronienie.

— Bądź spokojny! miejsce wcale rządowi nie podejrzane, rewizya nie przyjdzie, nikt się go nie domyśli. W tym samym domu mieszka komisarz cyrkułowy.

Jakób się wahał.

— Ale bo w istocie jużbym nie wiedział gdzie cię podziąć, jeśli nie chcesz, co najlepiej, wziąć dorożkę, wyjechać za rogatki a od stacyi konie pocztowe lub kolej — i w świat.

— Jeszcze nie mogę, chodźmy więc do Kafarnaum.

Kruder zwrócił się w uliczkę małą, dzień już był biały, ale miasto jeszcze puste, mleczarki tylko i przekupki przesuwały się tu i owdzie. Stanęli wprędce przed domem na którego progu zwijało się mnóstwo policyantów, żandarmów i miejskiej służby. Wschodami od dziedzińca weszli na pierwsze, drugie i dostali się naostatek na trzecie piętro. Dom był nowy i porządny, mieszkanie więc choć wysokie, miało bardzo przyzwoitą powierzchowność. Zadzwonili, po chwili zaspana dziewczyna otworzyła i nie pytając kto i po co, ukazała im drzwi drugie. — Cicho i pusto było w przedpokoju, ale otwarłszy drzwi do obszernego saloniku, znaleźli cały w obłokach dymu i nieładzie zwiastującym że tu noc spędzano bezsennie. Na wielkim stole lampa i lichtarze niesprzątnięte jeszcze po sofach i kanapach kilku młodych ludzi znużonych, drzemających, nad stołem narada cicha i dwie osoby zajęte pisaniem. Pokój był bardzo obszerny ale dziwnie okopcony i zaniedbany. Niedawną, jego świeżość, gorączkowe życie wprędce starło i zniszczyło.

Gdy wchodzili, piszący i naradzający się zaledwie podnieśli ku nim głowy; Kruder zbliżywszy się do jednego coś mu szepnął na ucho. Jakób poznał w nim często spotykanego młodego człowieka, który go uściskiem ręki przywitał.

— Bądź pan spokojny, tu pewnie nikt pana szukać nie będzie, a nam nie przeszkodziś wcale. Z uczciwymi ludźmi, dodał, nie robimy tajemnic; u nas wszystkie konspiracye odbywały się i odbywają na rynkach, wszyscy wiedzą o wszystkim. a dotąd nie, było przykładu zdrady. Siadaj pan, chodź, słuchaj, bierz nawet udział w naszych naradach, nic przeciwko temu nie mamy. Potrzebujemy dziś wszelkich sił jakie się tylko skupić dadzą, rąk, głów, worków, dowcipów, zapału, nawet chytryści... zatem proszę się rozgościć jak u siebie. Kruder swoim obyczajem nie mógł i tu długo zabawić; zajrzał w ten i ów kąt, zaglądnął do papierów, przeczytał przez ramię sekretarzującemu, co tam było na porządku dziennym, szepnął parę słów temu i owemu z przechodzącymi, i już czapkę targał spiesząc do wyjścia.

Gorączkowo sam dla siebie policyantował, ciągle bijąc się zmysłami czy pozostać na boku, być z nimi, przeciw nim... w środku? Już go piekło ocaliwszy Jakóba, coś począc nowego; wyszedł spiesźnie.

Jakób porzucony wśród ludzi mało mu znanych, w położeniu dwuznacznem, sam nie wiedział co zrobić z sobą; chodził, myślał, rozważał, nie mógł się na żaden krok stanowczy odważyć.

Tymczasem patrzył; po raz pierwszy przed jego oczyma rozwijał się ten obraz gorączkowej czynności jednego z ognisk w których się ówczesne życie i ruch rewolucyjny skupiały.

Dla Jakóba było to zupełnie nowem i dziwnem.

Co chwila otwierały się drzwi — wpadali ludzie najróżniejszych twarzy, strojów, wieku; kobiety, dzieci, żydzi, duchowni; każdy przynosił jakąś wieść złą lub dobrą, grosz uzbierany, przestrozę, odpowiedź; przychodził po rozkazy albo je wydawał; zabierał lub niósł papiery. Pomiedzy przybyłymi nierzadki był mundur wojskowy, nawet wyższych stopni; twarze które poorwały trud, wygnanie, męczarnie długie; piersi pookrywane orderami w bojach na Kaukazie i na Wschodzie krwią zdobytemi. Ocierali się o nie nędzarze, wyrobnicy, rzemieślnicy, tłum uliczny, przekupki. Buch i czynność była niezmierna, a nieład prawie im równy.

W chwili po Jakóbie i jego towarzyszu nadszedł z placu boju ranny silnie w nogę młody człowiek, który w kilku słowach opowiedział o srogiej walce w której ranę otrzymał i pospiesznie dopraszał się o lekarza, aby co rychlej zagojono nogę, bo pilno wracać mu było nazad, w bój nowy.

Czoło młodego człowieka jaśniało bohaterstwem, gorączka z rany mniejsza była od gorączki zapału.

Za nim nadbiegł inny z wieścią że policya napadła tajemną drukarnią która kryła się gdzieś na strychu... Blady był jeszcze z trwogi, wszyscy załamali ręce.

— Cud Boży, wołał, cud Boży! Bóg nas widocznie ocalił, mówił młody chłopak drżąc i płacząc, dom był osaczony; trzęsiono naprzód pierwsze i drugie piętro, żandarmów rozstawiono u drzwi wszystkich. Nie było czasu ani papierów spalić, ani liter i pras poniszczyć, śmiertelny przestach ogarnął nas wszystkich; uklękliśmy i zaczęliśmy odmawiać: "Kto się w opiekę..." potem "Pod Twoją obronę..." Po korytarzach, na strychu słyhać było szczęk broni, rozbijanie się policyi, wołania, hałas, krzyki. Wiedziano, że w domu tym była drukarnia, szperano po lochach, po kryjówkach, na poddaszu obok. Mieliśmy się za zgubionych oczekując tylko chwili, gdy drzwi wysadzone upadną; a modlitwa nasza tem była gorętszą. Pięciu nas klęczało wśród izdebki, błagając jeszcze Boga o litość, o cud który zdawał się niepodobieństwem, ciche łzy toczyły się po wybladłych policzkach.

Obok przetrząsano już drugą izbę, z drugiej, strony słyhać było szczęk pałaszów i łajanie. Czas zdawał się nieprzeżycie długi, klęczyliśmy i modlili się, czekali, aż powoli ruch i wrzawa ustały. Nierychło odważyliśmy się wyjrzeć,

żandarmi i policya odeszła nic nie znalazłszy. Z sześciorga drzwi w rzędzie będących jedne nasze zapomniano!! pominięto! Bóg im oczy zasłonił(1) —.

Chłopak opowiadając drżał i składał jeszcze ręce przejęty. Wszyscy słuchacze osłupieli zdrtwieni. Potrzeba było myśleć natychmiast o przeniesieniu drukarni gdzieindziej i wydano rozkazy.

Z tej czynności przyspieszonej, różnorodnej, nagłej, jedno tylko mógł wnieść Jakób, że w istocie nic porządnie uorganizowanego, przygotowanego nie było. Pieniądzy brakło, posyłano pożyczając, domagając się, prosząc o nic u ludzi dobrej woli. Z placu bitwy co chwila przychodziły skargi bolesne na niedostatek broni, prochu, ambulansów, lekarstw i lekarzy. Tam pochwycono posłańca, owdzie niesumienny dostawca wepchnął przepłacone karabiny bez kurków, zardzewiałe, połamane, kupione gdzieś z wybrakowanego bruchtą arsenałów austriackich.

(1) Historyczne.

Niepowodzenie widoczne, trudności z którymi walczyć było potrzeba, nie zrażały jednak tej garści ludzi, niesłychanem, zuchwałem mężstwem dokazujących cudów. Opieszałość Moskali która powinna była dać do myślenia, posługiwała tylko do szerzenia ruchu, który co chwila dziwniej, niebezpieczniej ufał w siebie. Z całej przestrzeni dawnej Polski, kupiły się tu doniesienia, listy, posłance; ale prawie zewsząd przynosili z sobą, zwątpienie, wymówki, prośby aby wybuch powstrzymano (zapóźne!) Prowincye po za rosyjskim zaborem stawiały opór bierny; więcej Galicya niż Poznańskie; oglądająca się nieufnie na intrygi rusińskie — choć tu przymknięte oczy rządu w biały dzień prawie posiłki zbierać dozwalały. Było to środkiem niestety, dla Austrii pozbycia się tanim kosztem rewolucyjnych żywiołów.

Zaślepienie przewodzców ruchu widziało w tem nawet, co zastraszać powinno, jak najlepsze wróżby przyszłości.

Zdziwił się Jakób gdy, między innymi, postrzegł tu przybywającego Gromowa, który znękany wypadkami, próbował jeszcze napróżno modlić się aby powstanie wstrzymywano.

Na to już uśmiechali się wszyscy.

— Przyspieszcie raczej wasze, odparł ktoś, pora... to jedno radzić wam możemy; podziałajcie na wojsko, starajcie się obudzić rozkolników.

— My nie możemy! zawołał ręce łamiąc Moskał, my, niestety, nie mamy materiału gotowego jak u was na zawołanie, łatwowernego, rozgorączkowanego; myśmy nie przywykli do robienia rewolucyi. Nasze odbywały się pomiędzy łóżkiem a kominem, między koszarami gwardyi a pałacem... cicho i krwawo. Massy w nich nie miały udziału. Nasz kraj musi się uczyć wszystkiego: odwagi, spisku... Nam ludzi zebrać, natchnąć, wprawić potrzeba... Wszystkie próby nasze, nie zapomnijcie, kończyły się na rusztowaniach i kopalniach.

— Naród dojrzewa czynem — próbujcie, odpowiedziano Gromowowi.

— My nie możemy próbować! odparł Moskał, u nas jeśli się co zrobi a nie uda, wieki za to cały naród pokutować będzie musiał. Uderzym tylko wówczas gdy pewni będziemy zwycięstwa.

— No, to jest nigdy, zawołał Młot.

— Ale jakże, wy nie widzicie przepaści w którą leccie? odpowiedział Gromów.

— W przepaść! w piekło! byle z tych rąk katowskich. Przerwała rozmowę kobieta strwożona dająca znać że syna jej z papierami ujęto — płakała biedna, ale zarazem przyniosła najważniejsze, które ocalić potrafiła.

Za nią wpadł dzieciak oszalały radością, udało mu się na rogach ulic poprzylepiać plakaty... goniła za nim policya, uszedł. — I śmiał się i brał za boki i był szczęśliwy, a dokoła znajomi i nieznajomi ściskali go wszyscy. Jakób stał, słuchał, patrzył i bolał nad straconemi tyłu poświęceniami i męstwem. Dla niego widocznem było że z tego kłębka powikłanych nici nic się wyplątać nie może, chyba cudem i to cudem, którego przypuścić prawie się zdało niepodobnem.

Zawracało mu się w głowie słuchając i patrząc. Wychodzili jedni, wchodzili drudzy, roboty przyjmowano, przerywano, krzyżowały je doniesienia, postrachy, wieści coraz nowe a dziwniejsze. Powoływano ludzi od rodzin, od zajęć, od spokojnej zaciszy i stawali gotowymi nieść życie, jechać, iść na drugi koniec świata. —

Kobiety zaszywały depesze w krynoliny i gorsety, mężczyźni z pomocą szewców w podeszwy butów wciskali papiery, w kije zakuwano pieczęcie. Wszystko to odbywało się wśród ciszy, hałasu, wrzawy i największego nieładu...

Ku południowi wreszcie samym tym widokiem Jakób był tak zmęczony że wyjść postanowił, czekał tylko aby mu tu znać dano czy w istocie szukano go w domu i czy mu groziło więzienie. Kruder, który przyrzekł donieść o tem, nadszedł mimochodem z wiadomością, iż w godzinę po ich wyjściu nadciągnęła policya, a nie znalazłszy Jakóba strzęsła dom, papiery, popsuła kanapy, podrywała podłogi, porozwalała piece i ostatecznie zabrała tylko kieszonkowy pistolet porzucony na stoliku... Policjanci rozstawieni mieli polecenie naglądać czy się Jakób nie zjawi.

Nie pozostawało więc do wyboru tylko cytadela lub ucieczka! Ale dokąd?

Przyszło mu na myśl miasteczko w którym mieszkał stary Jankiel, potrzebował prócz tego widzieć się z nim i oznajomić mu o śmierci córki. Mógłby się tam być skryć bezpiecznie, gdyby nie Dawidowie.....

Bądź co bądź, jednak postanowił pojechać i wysliznąwszy się nad wieczór z Kafarnaum, puścił wprost między swych współwyznawców i znajomych sobie żydków ubogich na Nowiniarską ulicę, gdyż tam najprędzej mógł znaleźć środki wymknięcia się z miasta.

Miał on pomiędzy nimi i przyjaciół i dalekich krewnych i życzliwych, szczególnie wśród ubogich handlerzy, których często radą i pieniędzmi

wspomagał... a żywił zawsze dobrem słowem i starał się kierować na dobrą drogę. Nieraz gdy te brudne i ciasne kąty ze ścisnionem sercem obchodził, gdy wnikał w tajniki tych nędz i upadku moralnego współbraci, przychodziło mu na myśl temu ubóstwu wyłącznie się poświęcić...

Był też gorliwym zwolennikiem szkółek żydowskich pozakładanych naówczas tak gorączkowo a tak późno... Pierwsze ich postępy rozradowywały jego serce, ale w pośpiechu i zapale pracy około nich, widział symptom nieszczęśliwy przyszłego upadku...

Czuł on że na wszystkie nędze jedynym lekarstwem była oświata, że ona tylko mogła zбоgacić, ubezpieczyć, spoić społeczność i od złego wpływu ją obwarować, od niszczących wyziewów niewoli i demoralizacji.

Pomiędzy innymi przyjaciółmi jego mieszkał tu, miły mu szczególnie dla wesołego humoru, stary Rebe Szmul, żydek którego maleńki handelek starzyzny, raz w chwili zupełnego upadku, Jakób dźwignął był własnym groszem.

Szmul należał do tych znanych miejskich włóczęgów, którzy obwołując — Hendel! Hendel! — z kilku surdutami i kamizelkami na plecach, cały dzień na skwarze, na słońcu, na zimnie, popychani, wypędzani, obchodzą podwórza, spinają się na czwarte piętra i poddasza z kądem na nich nędza zawoła, gdzie czeka ich niedostatek — a zarabiają ledwie tyle by na szabbas kupić ryby dzwonko i mieć kawałek chleba białego.

Piwariski dobrze go odwzorował w swoim Kramie Warszawskim, gdzie wielu zaginionych typów szukać dziś trzeba.

Rebe Szmul obdarzony był liczną rodziną, pięć córek miał dorosłych, z których dwie zaledwie udało mu się — wysawszy się, wydać jako tako za męża, trzy przy nim siedziały w domu; więc z dwojgiem starych pięcioro gąb do nakarmienia — w mieście!!

Na wszystkich potrzeba było zarobić chodząc od rana do nocy staremi nogami z przeszląm gardłem. — Prawdę rzekłszy, na łachmanach, które kupiwszy jeszcze na nie nabywcy szukać było potrzeba... ileż to zarobić można? Rebe Szmul na lepsze, niezbyt wynoszone odzienie miał nabywców w małych sklepikach, gdzie je odświeżano, prano i odnowiwszy za zupełnie nowe sprzedawano; ale ileż to razy stary niedopatrzwszy się dziury, oszukał, ile razy to na co najwięcej rachował, najdłużej mu potem leżało, bo było najdroższe.

Szmul zaschły, zawiędły, wysoki, stary ale nie zestarzały, bo — jak powiadał — na to nie miał czasu; w handlu tym, który przez lat trzydzieści go zajmował, nabył niezmiernej znajomości ludzi i wielkiego dla nędzy, bied, ułomności ludzkich współczucia i wyrozumienia. Mimo doskwierającej mu osobiście biedy, wesół był zawsze, bo wierzył w opatrzność Bożą. — W gruncie był to, po swojemu, dość uczciwy człowiek; nieraz gdy łzę zobaczył na oku biedaka, grosz mu postąpił, pewien że mu go Bóg odda.

Mimo wielkiego niedostatku i tego życia z dnia na dzień, co nigdy nawet na pogrzeb zebrać nic nie da, Szmul się uśmiechał. Należało to do atrybucji jego

rzemiosła; smętna twarz nie obudza zaufania, nie przyciąga ludzi, smutnym potrzeba dodać otuchy, rozstających się z odzieżą — często ostatnią — udobruchać promykiem zaraźliwej wesołości. Więc, choć w duszy często sucho było i pusto, Szmul sobie podżartowywał, a żarty te, zrazu przymusowe, przeszły powoli w naturę. Na wargach jego krążył już uśmiech zawsze; z nim on powracał do domu, nim leczył żonę, nim córki pocieszał, nim sam siebie durzył, choć nieraz wśród tych drwinek westchnął tak, jakby go kto kamieniem w piersi uderzył.

Nic tak nie naucza jak włóczęga, spotkanie coraz nowych ludzi i twarzy; przez nie najważniejszego człowiek nabiera doświadczenia, bo widząc wielu a rozmaitych, uczy się rozeznawać co im wspólne jest wszystkim, co prawdziwe w człowieku, co udane. Wszędzie w formach różnych spotyka prawie jedno — ludzi charakter dobywa sobie z dziwnych jego objawów — poznaje człowieka... Wie potem, że pod najkunsztowniej narzuconą zasłoną wszędzie stary Adam siedzi, którego z pod maskowego stroju wyciągnąć można.

Nikt weselej nad Szmula, choć przy łojowej świeczce, w izdebce ciasnej, nie obchodził świętego szabbasu, nikt głośniej nie śpiewał kantyku Salomona, nie pożywał białego kugla smaczniej i z większym apetytem.

Ale wiodło mu się, mimo pomocy Jakóba, bardzo lichy. Chodził jeszcze rażno, krzyczał dosyć głośno, wiedział w których kamienicach trafiają się skórki zajęcze za najtańsze pieniądze; młodsi go się radzili, a on sam z ciężkością, sobie mógł dać radę. Przemyślał nieraz nad zmianą handlu, nad założeniem małego sklepiku, próbował szuwaks, siarniczki, drobne towary dołączyć do starzyzny, ale się nie wiodło.

Nie zrażał się wszakże; — trzymał oddawna ćwiartkę na loteryi i był pewnym że ta furka otworzona szczęściu, ułatwienie uczynione panu Bogu, prędzej później zbgacić go musi.

Wymawiała mu to jego dzieciństwo pani Szmulowa, ale pozwalając jej gderać, bilet odnawiał... Prawdę rzekłszy, to co ten świstek papieru kosztował, zdałoby się było bardzo w domu, ale cóż? pan Bóg nie miałby furki do wnijścia.

Szmul mieszkał od bardzo dawna przy Nowiniarskiej ulicy, w jakim kącie, dziurze, śmietniku, wypowiedzieć trudno. Kamienica w której kilkadziesiąt równie ubogich jak jego rodzin się mieściło, wyglądała jak nie pierwszej czystości ul. Właściciel nigdy jej nie restaurował, a lokatorowie nie oczyszczali tylko o ile do tego byli przymuszeni.

Od przodu dom nie miał nad kilka okien, ale w głąb ciągnął się długo, zabudowany był w prostokąt, a do koła podwórza otaczały galerye drewniane, które mało kiedy schnącą Mielizną i łachmanami nie były od góry do dołu obwieszane.

Rynny szerokie drewniane ze wszystkich pięter sprowadzały tu ścieki pomyi, rzadko przy pomocy ulewnego deszczu zbiegających do suchego rynsztoka, częściej leniwo zatrzymujących się w drodze. W pośrodku dziedzińca była wprawdzie pompa, ale jaką dawała wodę, domyśleć się łatwo; posądzano ją

nieraz o skryte konszachty z rynsztokami. — Na tem przyciemnionym podwórzu odbywały się gospodarskie roboty, trochę szerszego wymagające miejsca lub niosące śmiecie za sobą; tu skubano drób, tu prano bieliznę, tu suszono wilgotne piernaty, tu się dzieci myły i naczynie kuchenne oczyszczało; a im wyżej podniosłeś głowę ku górnym piętróm, tem lichsze łańchmany strzępiły się na poręczach wschodów i poddaszy, na porozciąganych w różnych kierunkach sznurach.

Wyziwy kuchni, pralni, dymy, smażenia, wszystko to zatknięte w dziedzińcu dawało mu atmosferę właściwą, *sui generis*, do której przywyknąć musiały piersi i nosy mieszkańców. Nie należała ona do najprzyjemniejszych. Lokatorowie tego domu wszyscy dobrzy, starzy znajomi, składali jakby jedną wielką rodzinę.

Arystokratyczniej nieco nosiło się pierwsze piętro, zajęte przez kupców którzy mieli sklepiki na dole, ale począwszy od drugiego panowała równość i dosyć dobra harmonia. Wszystko to tam się porodziło, porosło, pożeniło i umierać spodziewało. Szmul mieszkał biedaczysko na trzecim piętrze od tyłu, w trzech ciemnych izdebkach, które jejmość z trzema córkami starała się jako tako utrzymać; ale przy różnorodnem gospodarstwie przychodziło to dosyć trudno. Pierwsza izba zakrawała nawet na pokój bawialny, była w niej stara kanapa niegdyś czarnem włosieniem pokryta, trzy krzesła różnego pochodzenia, szafa za szkłem, której tajemnice wewnętrzne osłaniała stara, przed wieki zielona firanka, szabasowe świeczniki mosiężne, a w rogu półka na książki. Niekiedy i tu Szmul rozrzucał swe zdobycze, ale głównym na nie składem był alkierz zajmowany przez córki. Tamto dziewczęta je cerowały, wyciągały, czyściły, naprawiały i tu trafiła się raz dziwna historia, którą Szmul opowiadać lubił, jako sprawę Opatrzności.

Było temu lat z dziesięć; położenie handlerza nadzwyczaj stało się trudnem przez uczyniony mu zawód w wypłacie i nieszczęsny wypadek kupna odzieży, która się okazała kradzioną i nietylko odebraną była, ale kosztu i biedy przysporzyła na długo. Przychodził ostatni termin wypłaty komornego, zbliżały się, i święta wielkanocne, w domu nie było złamanego szeląga. Szmul zwykle wesół, chodził jak martwy, przybity, milczący. Pukał do wszystkich drzwi, u których kredyt mógł znaleźć, nie wskórał nic u nikogo. Rozpacz, mimo wiary niezłomnej w Opatrzność, poczyniała obejmować starego. W kieszeni kilka błąkało się trojaków tylko. Z rana Szmul wyszedł w ulicę wedle obyczaju... poszcęściło mu się do tyła że sprzedał starą kapotę i dostał kilka złotych; miał już z niemi do domu pospieszyć gdy na drodze spotkał sołdata gwałtem chcącego mu weprzeć stary, odrapany kaftanik, niegdyś jedwabny. Stary wcale go sobie nabywać nie życzył, ale żołnierz tak naglił, tak się napierał i oddawał tak tanio, iż się nieborak pokusił. Obejrzawszy później nabycie zafrasował się, bo oprócz odrobiny waty i łańchmana jedwabiu, kaftan nic wart nie był. Wróciwszy do domu, gniewny sam na siebie, kazał go zaraz spruć starszej córce. Rozele wzięła się do tej roboty przy świecy, a Szmul modlił się w drugiej

izbie, gdy nagle krzyk, ale krzyk wesoły usłyszał, krzyk podziwienia nadzwyczajnego...

Przy kaftanie trzymały się mocno trzy dosyć spore guzy, które zawadzały przy pruciu. Rozele odcięła z nich jeden... zaszyty w skórę i jedwab wypadł... półimperiał... Szmul, Szmulowa, cała rodzina zbiegła na ten cud patrzeć... zostawały jeszcze dwa guziki, w każdym z nich znalazła się sztuka złota... tak że razem wzięwszy przeszło sto złotych dał ten nieoszacowany kaftanik, zapłacony czterdzieści groszy, którego właściciela niepodobieństwem było dopytać... Łatwo się domyśleć było że żołnierz musiał go ukraść lub zrabować.

Szmul dumiał długo nad tym łachmanem, który był brzemienny jakąś historą... wygnań, więzień, nędzy, nieszczęścia... Piorąc starannie Rozela odkryła papiery zaszyte w kołnierzu z niezrozumiałymi notatkami....

Szmul potrzeby swe opędził znalezionymi pieniędzmi, dziękując Opatrzności, ale tę zdobycz uważając za pożyczkę w niedoli, zwrócił kapitał z małym procentem ratami więźniom wychodzącym na wygnanie, rozdając go w sposobie jałmużny.

Maluje to serce poczciwego człowieka, który nieszczęściu i nędzy nie chciał być dłużnym.

Zachowane szczątki tej odzieży pokazywał Szmul poufałym swym, lubiąc tę przygodę opowiadać.

W pośrodku między bawialnią a alkierzem była izba sypialna państwa Szmulów, dość szczupła i niezbyt wygodna. W całym mieszkaniu nie brakło oznak zwykłych w domach starych Izraelitów, świeczników, błogosławieństw u drzwi, portretów sławnych rabbinów, obrazków w smaku i stylu assyryjskim. Z szafeczki wypełnionej księgami wyglądało uroczyste ubranie szabbasowe, rzemienie do modlitwy i przybory święteczne, bo Szmul był bardzo religijnym i pobożnym; a ściśle form nakazanych przestrzegał. Nie miał wiele czasu do rozmyślenia nad zakonem, oprócz szabbatu i dni świętecznych, ale go w sercu nosił.

Z rana zwykle wzięwszy na ramię trochę rupieci Szmul z nieodstępnym starym parasolem, niegdyś sinym, dziś niepewnej maści, szczególnie dla ochrony towaru używanym przezeń, wychodził na miasto i nie powracał aż późnym wieczorem. — Kieliszek wódki, kawałek chleba, cebula, śledź, żywiły nieboraka; a rad był, gdy wróciwszy, znalazł trochę ciepłej strawy. Humorystyczne opowiadanie przy posiłku przygód dziennych pani Szmulowej, zawsze wesołe i ohoce, weszło tak w codzienny obyczaj, że staruszka stawała przy stole do słuchania jak z obowiązku; potem podjadłszy nieco, pomodliwszy się, stary szedł na spoczynek.

Lubiono go powszechnie, szczególnie za tę wesołość, ceniono rozum choć nic dał rezultatów praktycznych, bo rozumny Szmulów nic się nie dorobił, nie będąc ani marnotrawnym, ani zepsutym. Gdy się temu dziwiono, miał zwyczaj mawiać:

— Rozum jest to taka rzecz jak nożyce, gdy nie ma co krajać, nie pomoże choćby były najostrzejsze. — Sukno pod nie to już sam Jan Bóg daje... Dola w ręku tego, którego imienia wymówić się nie godzi!!

I gładził brodę i uśmiechał się.

Wieczór był, ranna mgła zmieniała się powoli w deszczyk drobny, który obiecywał przez trzydniówkę kropić, bo nad zachodem rozpoczął, gdy Jakób nie bez przykrości wdrapał się na wschodki i galeryą prowadzącą do mieszkania Szmula. Nie zważał że stary ze swym towarem i parasolem szedł w ślad za nim, nie poznając go. Wracał właśnie do domu. Dopiero przy drzwiach się spotkali, a gdy Jakób rękę przyłożył do imienia Bożego, przybitego u nich, i ucałował ją obyczajem dawnym, po tej pobożności poznał go dopiero stary.

— Salem Alechem!

— Alechem Salem.

— A waj! cóż to za goście! krzyknął Szmul rzucając co najprędzej starzyznę na krzesło... o tej godzinie! Rabi Jakóbie, cóż to tu was przypędziło ?

— Juściż bieda, rzekł Jakób. Stary ręce załamał.

— Wam? bieda? jaka?... Bieda, w której Szmul przydać się może... a waj! Cóż to takiego jest? co to jest?

— No, no, nie trwóż się zbyt, stary, pomocy wprawdzie potrzebuję, ale sądzę, że ci to łatwo przyjdzie.

— Choćby i trudno, odparł Szmul, ja gotów na wszystko, byłem potrafił.

Z za drzwi od drugiej izby pokazała się najprzód głowa w czepcu ogolona starej Szmulowej, potem za nią trzy młode i świeże, trojga aż do zbytku figlarnie, uśmiechających się twarzyczek trzech dziewcząt ciekawych. Sześcioro tych czarnych oczów utopione były w Jakóbie.

Szmulowa poznawszy gościa, poczęła ścierać pył z poręczów kanapy, ze stołu i prosiła siedzieć. Dla wyręczenia niby matki wpadła Rozele, średnia, najpiękniejsza i najśmielsza z córek starego Szmula, dosyć, mimo ubóstwa, starannie i chędogo ubrana.

— No, czemuż ja wam stary niedołęga służyć mogę, zapytał Szmul, gdyby się taka rzecz na świecie znalazła, którąby stary Szmul mógł, a wy nie mogli... coby to był za cud! A waj! Podniósł jarmułkę z głowy i nazad ją włożył cmokając.

— Siadajcież, dodał — co wam trzeba? aż drzę, żeby nie pieniędzy, bo tego u Szmula dawno nie bywało... daj Boże na szabbas... wystarczy!

Westchnął.

— Ale bądź spokojny stary, pomówimy później, szepnął Jakób nie chcąc przy kobietach rozpoczynać. Siadaj no, twoim starym nogom należy naprzód odpoczynek. — To jest wielka prawda! odparł Szmul, wiele ja dziś wschodów zlążem tego nie policzę. Roboty miałem tyle co nigdy; moc ludzi wyprzedaje się teraz prawie do koszuli... biedaki! a ilu by to ich co ciepłego kupiło, gdybym ja miał zapas i oni też... Handel idzie, a co z tego? kiedy tyle gąb nakarmić potrzeba... a waj!

— Cicho! nie narzekaj, rzekł Jakób, lepiej żeby było pięcioro gęb do jednego worka, niż pięć worków a żadnej poczciwej gęby. — Dziś był dzień, począł Szmul, nie potrzebowałem wołać — Hendel! — targano na wszystkie strony... sprzedawali za bezcen... ta młodzież. A! co się zowie porządne rzeczy, nie mogłem nastarczyć grosza... aż musiałem na zastaw u Mortchela pożyczyć... A interesa będą doskonałe, jeżeli choć połowa tych powróci co teraz wychodzą. Westchnął stary.

— No — cicho, zbliżając się do niego rzekł Jakób, ot i ja z miasteczka wyniknąć się muszę, aby mnie nie schwytano... U mnie dziś rano była policya i żandarmy... czekałoby mnie więzienie.

Stary się pochwycił za głowę.

— U was! Co? co? czyż i wy Rabi Jakóbie pójdziecie z nierozumnymi Pana Boga kusić?

— Nie, ale zamknięty siedzieć nie chcę.

— Za co?

— Czyż pytać trzeba! — No, to prawda... ja na to patrzę wiele już lat, a jeszcze przywyknąć nie mogłem... Tu nigdy człowiek nie jest bezpiecznym, a cóż dziś?? a waj!

— Znasz ty kogo coby mnie bezpiecznie dowiózł do pierwszej pocztowej stacyi?

— Czy znam?? tu na naszym piętrze, w tej kamienicy jest taki... Nazywa się Mordko... On... no, wszak każdy żyć z czegoś musi? on szwarcuje, on do tego przywykły... Towar, ludzi, papiery... co chcąc, codzień biedak głowę stawia aby brzuch nakarmił. — Jesteś jego pewnym?

— A! a! tysiące mu powierzają.

— A potrafi?

— A! rzekł Szmul, on na rogatkach ma wszystkich w kieszeni. To jest człowiek sprytny jak ogień, chociaż mu to z oczów nie patrzy... Spojrzeć na niego tak zdaleka, trzech groszy by za niego nie dał, gadać nie umie, chodzić nie umie, żadnym językiem nic nie powie, głuchy, trochę ślepy... ale co to za człowiek!! On sobie potrafił taką zrobić twarz, mowę, figurę od biedy, że ile razy go wezmą, to go puszcza — mówiąc że strasznie głupi. Ale to jest... cymes!... Ja po niego pójdę.

— Idź, rzekł Jakób.

Szmul owa usłyszawszy że mąż wyszedł, stawiała się aby gościa zabawić, córki wyglądały przeze drzwi... na tego wielkiego człowieka... A Rozele, która była piękna bardzo, mówiła sobie wzdychając: — Miły Boże! gdyby ten bogacz mnie sobie podobał... coby to było za szczęście !.. Ale darmo! a przecież mówią żem piękna... tylko nie dla takich jak on Parnesów... a! nie!

W kilka minut Szmul wszedł, wiodąc za sobą, w istocie niepozorne stworzenie, Mordka, który Maniał się nisko, witał, bełkotał coś, a przedewszystkiem oczyma Jakóba od stóp do głów opatrzył, jakby z niego spisywał inwentarz.

— Już on wszystko wie, rzekł Szmul, jemu mówić więcej nie trzeba.

— Można dziś? spytał Jakób.

— Nie, po nocy to najgorzej, powoli mową łamaną odparł Mordko — po nocy to i ten niepewny co pewny!! Jutro... pójdziemy razem.

— Ale ja w domu nocować nie mogę, tu także nie ma miejsca... a po hotelach nocami trzęsą.

— To co ? ja was zaprowadzę tam gdzie nigdy nie trzęsą, gdzie gdyby trzęsali to wy możecie sobie spać spokojnie. Stancya taka bezpieczna! awaj!

— A reszta? a jutro? jesteście pewnym?

— To jest mała rzecz, rzekł Mordko ruszając ramionami i krzywiąc się niby na uśmiech. Przez rogatki ja mogę wyprowadzić całą Warszawę i nikt mnie nie spyta!

Jak zciemni się, ja przyjdę i poprowadzę was na nocleg!

Skłonił się i wymknął Mordko, Szmul stał zamyślony przed Jakóbem.

— A! a! rzekł po chwili — no! powiedzcie co to będzie? bywało kiedy co podobnego na świecie?... My z nimi, ze wszystkimi w zgodzie, brat a brat... Rabbin z księdzem chodzi! gwałt! my obywatele! a waj! Co oni myślą robić? Bić się? To źle, to jest bardzo głupi interes!... Żeby oni byli mieli rozum! a poczęli Moskala masłem smarować, a jeść po trosze, byliby go do tej pory zjedli całego. Ale oni wojnę lubią... a z wojny nic nie będzie, oni poprzepadają; broń Boże, aby i my z nimi nie poszli na cuhunder... Ot dola nasza! dodał — już wszystko nam pan Bóg zabrał co było swojego... a teraz i pożyczane zabierze... kraj nam zburzą i miasto.

— No, Bóg wie co czyni, odparł Jakób, i zrobi co zechce.

— Tyle pociechy co w nim! odezwał się Szmul. Prawdę rzec, czarno wygląda przed nami... Człowiek zarabia jak na odzieży którą po umarłym sprzedają,... a co z tego? Warszawa nie będzie "Warszawą gdy tu zapanują Moskale.

— A jeśli ich wypędzą? Szmul się uśmiechnął. — Z panem Bogiem o tem nie mówiłem, rzekł, ale mnie się widzi, że to jakoś nie może być. — Sto lat jak się to zaczęło... coraz gorzej im, jak pieniądze do bogatego, tak siła do mocnego płynie. Im pomagają wszyscy, Polakom nikt... Świat się garnie do tego, czego się lęka. Wyście czytali księgi nasze to wiecie, i myśmy tak samo powstałi wielekroć, a za każdym razem upadali coraz niżej. Stary posmutniał.

— Bardzo mnie troska, rzekł, ta wasza ucieczka... kiedy wy powrócicie? co się z wami stanie? Szkoda was!

Kiwał głową.

— A! nie dla siebie ja was żałuję, ale dla całego narodu naszego, bom ja widział wielu a nie znalazłem takiego jak wy człowieka, coby i świat znał i prawo szanował, a nie zaparł się pana Boga swojego. Co nam po tych żydach, którzy się wstydzą Cyces, co je za młodu nosili, do których przyszedłszy nie znajdziecie imienia Bożego u drzwi, coby Ofanim i Therafim odpędzało... To są Poszjesroel... to są, Kejlef... Jednegośmy was mieli, a i to nam zabierze nieszczęście.

— Jeśli istotnie potrzebnym dla was jestem, odezwał się Jakób, bądźcie pewni, że Bóg Izraela zachowa mnie na usługach... a jeśliś próżny.... skruszy i zdepcze...

— Boże uchwój! zawołał Szmul, tego nie będzie, serce moje czuje że wy się wyratujecie, ale dużo goryczy napijemy się wszyscy.

Wszedł Mordko dając znać że czas iść było i powlekli się uliczkami małymi aż do ślepego hoteliku, w którego ciemnej izdebce Jakób znużony kilkogodzinny znalazł spoczynek.

* * *

Podróż po kraju niełatwą była w tej chwili, gdy rozpoczynająca się walka powstańcza rzuciła w pole kozactwo rade łupieży, a żołdakom w ogóle otworzyła bezkarnie wrota... na wszelakie bezprawia... Wolniejsi może nieco od napaści byli Izraelici, choć ostrożnymi być musieli, bo na nich szczyło łakomstwo... domyślając się przy każdym żydzie choć trochę pieniędzy. Szczęśliwie jakoś, mimo rozstawionych po gościńcu placówek udało się Jakóbowi dostać do pierwszej stacyi, gdzie pożegnawszy swojego milczącego przewodnika ruszył pocztową bryczką do miasteczka... Kraj był pusty, smutniejszy niż kiedy; cienie przelękłych wieśniaków snuły się po nim, oglądając na obie strony, bo od obu cierpieć mogły, a zwyciężkiej służyć za narzędzie do nękania i postrachu.

Na drodze do miasteczka, położonej na ustroniu, nie spotkał wszakże Jakób prawie nikogo, oprócz kilku pędzących w różnych kierunkach bryczek, na których przemknęły mu się zasepione" okryte kurzawą twarze. Nad wieczorem przybywszy do warszawskiego zajazdu, znieść tam kazał swoją torbę podróżną, która całe jego mienie składała i poszedł do starego Jankiela.

Niepilno mu tam było ze złą wieścią, ale musiał się wyrwać z samotności która mu ciążyła i rad był się o tem co w kraju się działo dowiedzieć. Pewien był zresztą że stary o córkę tak rychło go nie zapyta. Dom stał jak go był widział pierwszą razą, nic się w nim powierzchownie nie zmieniło" tylko piętno jakiegoś smutku było na nim widoczne. Wesołego, żywego ruchu jaki tu dawniej panował nie dostrzegł, snuli się powolnie, jakby przybici słudzy i komisanci. Wiele też przypisać było potrzeba trwodze panującej, którą walka rozpoczęta wywierała na wszystkich. Starsi pamiętali już niejedno czasu wojny obchodzenie się Moskali" gwałty ich i nadużycia; wiedzieli że i z drugiej strony wojna ofiar wymagała, o które musiano się upomnieć; każda więc bryczka, każde głośniejsze huknięcie, odgłos trąbki pocztowej, wzbudzał ciekawość i obawę.

Już w gospodzie dowiedział się że obu Dawidów nie było w domu, stary się gdzieś ukrywał, a młody rzucił w facyendy i uchodził za zagorzałego patryotę, tak że się go w miasteczku lękano. Starego Jankiela zastał na górze samego, zgarbionego nad wielką księgą. Jedno spojrzenie nań przekonywało, jak wiele od czasu niewidzenia przecierpiał; wychudł, zżółkł, postarzał. Nie widząc kto wchodzi, nie podnosząc oczów stary dał znak ręką aby mu nie przerywano

modliwy; a po kilku minutach dopiero podniósł źrenice składając książkę i obaczywszy Jakóba — wykrzyknął powitanie prawie wesołe, podając mu rękę drżącą.

— Juściż nie umyślnie do mnie przybyłeś? zapytał z obawą, jakby chciał przypuszczenie jakiegoś nieszczęścia uchylić od razu. — Nie, zawołał Jakób, powiem wam otwarcie, byłem zagrożony, sam nie wiem za co, więzieniem; czułem się niewinnym, ale czyż broni niewinność? radzono mi uchodzić, przybyłem do was... dopóki burza nie minie.

— No, burza nie tak prędko minie, odparł stary, dopiero się chmury zbierają... ale bądź i dziś i zawsze pozdrowiony całym sercem w moim domu — a mów co chcesz bym uczynił...

— Na teraz nic nie potrzebuję... stanąłem gospodą w zajeździe...

Jankiel tylko ręką machnął, podszedł ku drzwiom i ze wschodów zawołał po imieniu żydka z dołu, który nadbiegł natychmiast.

— Znieść rzeczy tego pana z zajazdu warszawskiego, na górę do pokoju naprzeciw mnie... rzekł nie pytając nawet Jakóba; i powróciwszy dodał:

— Stać wam w gospodzie nie pozwolę, zresztą naraziłoby to was na niemiłe spotkania; wojskowych, urzędników, różnego stworzenia włóczy się co niemiara, czepiają się do podróżnych... u mnie zawsze bezpieczniej.

Jakób podziękował milcząco. — Ale, choćbym was pragnął zatrzymać jak najdłużej, ani u mnie, ani tu w miasteczku nie usiedzicie. Gotuje się zamęt wielki który potrwa, Moskwa dopuszcza pożarowi się rozejść aby gasząc go szerzej rabować mogła, Ale Bóg miłosierny... Ja już podobnych chwil pamiętam wiele... 1809 — 1812, 1831. — Co teraz będzie, Bóg wie!!

Obejrzał się do koła i podszedł ku gościowi z jakąś trwogą, ale na ustach pytanie mu zastęzło — otworzyć ich nie mógł. Spojrzał błagająco i westchnął.

— Żona mi chora, córka chora, dom jak w żałobie, ja stary sam, ot, jak widziałeś nad Zakonem, uczę się z niego cierpieć. — Tych... tych... (wskazał dom Dawidów), już nie ma. Stary uszedł do miasta, młodszy Bóg wie dokąd i po co... mówią że gorąco trzyma z tymi co wojnę robią... Jakób potakująco głową kiwnął.

— Nie winszuję im tego nabytku! dodał stary pogardliwie, wielu tam oni takich mieć będą... ale biada tej sprawie co się musi nieczystymi posługiwać rękami. Człowiek tonący nie patrzy kto mu dłoń podaje, brudna ona czy czysta, aż ocaliwszy życie dostanie trądu i z niego umiera...

Westchnął ciężko.

— Tak bywało, rzekł, tak będzie, do najczystszej sprawy lecą ludzie brudni, jedni by się w niej obmyli, drudzy aby ją sobą zwalali. Człowiek stateczny patrzy co poczyna i waży... a kto nic do stracenia nie ma ten idzie byle za kim... Więc będą bohaterowie... i obok Macchabeuszów plewa ludzka....

Zamilkł chwilę.

— A potem, dodał, smaganie Boże i chłosta,.. a później jeszcze wielkie Boże miłosierdzie i pokój, ale już nad mogiłami naszymi...

A Kabronim (grabarze) mieć będą roboty wiele i nie pogrzebią wszystkich, bo umarłych na duszy, będzie chodzić ciżba po mogiłach żywo pogrzebionych....

Skończył stary szeptem; rozmawiali tak długo smutnie o sprawach tych dni, gdy w pustej mieścinie, gdzie każdy wóz włościański przejeżdżający słyhać było hałaśliwie na nierównym bruku — zahuczało dziwnie; Jankiel nastawił ucha.

— To jakby konni razem i wozy? zawołał, a tłum? co to może być?

Szarzało, razem wyjrzeli oknem w ulicę... Na rynku widać było w istocie jakąś ciżbę konną, garść kozactwa które po pikach łatwo poznali, kilka powózek i trochę rozpatrujących się ludzi. Kilka głośniejszych buchnęło wykrzyków, potem milczenie.

Ze słów które tu niewyraźnie dolatywały można się było domyśleć Moskali; Jankiel wysłał zaraz na zwiady, a sam stojąc w oknie, pogrążony w myślach dumiał.

Posłany dla pochycenia języka, powrócił rychło ale z małą zdobyczą, nieśmiał się bardzo przybliżyć, słyszał tylko że przybyli Moskale, poprzedzali większą ilość wojska która nadciągnąć miała i że eskorta kozaków przywiozła rannego pochwyconego w boju dowódcę jakiegoś oddziałku, który przez dziesięćkroć większą siłę osaczony w lesie i bagnach, broniąc się do upadłego, całkowicie został rozbity. Naczelnika tego ciężko pokaleczonego wieźli z sobą Moskale na słomie, która cała krwią jego była zbroczona — zapowiadając iż go tu nazajutrz powiesić miano.

Tak głosili żołnierze którzy już wszystkie gospody pozajmowali; Jankiel był przygotowany że i u niego któremuś ze starszych kwaterę naznaczą, a wiedział z doświadczenia czem to groziło. — Natychmiast poszedł córkę ukryć przy chorej matce, pieniądze do znanych tylko sobie posprzątał kryjówek, kilkaset rubli od przypadku zostawiwszy. Srebra już były wcześniej sprzątnięte...

Czekał co Pan Bóg naznacz...Przytomny i chłodny, zszedłszy sam na dół, ostrzegł czeladź aby Jakóba inaczej jak jego zięciem nie nazywano, co i jemu wprzód oznajmił, a potem siadł spokojny oczekując już tylko napadu.

W miasteczku poczynało być coraz gwarniej, nowe oddziały wojska napełniały je, tym nakazano stanąć obozem w rynku, oficerowie tylko porozmieszczali się w sąsiednich gospodach. Nareszcie gdy już noc nadeszła wpadł dowodzący oddziałem pułkownik, na górę do Jankiela.

Nie była to wcale postać dzika, na pierwszy rzut oka poznać w nim było można cywilizowanego człowieka, ale obudzał strach niemniejszy, bo często ci pozornie cywilizowani, bywają, najgorsi. W wojsku i narodzie moskiewskim cywilizacja powierzchowna dowodzi tylko ostatecznego zepsucia. Ci ludzie w salonie są najprzyjemniejsi w świecie, przy władzy najokrutniejsi, i rozpasani, jakby sobie nagrodzić chcieli tę chwilową przyzwoitości niewolę. — Pułkownik miał nawet cudzoziemsko brzmiące nazwisko, zwał się Tendemann... Różnie prawiono o jego pochodzeniu, on sam wcale o niem nie mawiał.

Oblicze dowodzącego było blade, razem strwożone i gniewne.

Znać na nim było i podbudzenie gorączkowe które bój rodzi i niepokój jaki daje spoczywająca na ramionach odpowiedzialność wielka. Nie był to już człowiek, ale Moskał w całym znaczeniu wyrazu...

Wszedł naturalnie nikogo nie witając, ani się troszcząc kogo zastanie, szło mu tylko o wygodną kwaterę, patrzył mieszkania nie ludzi... Na drodze do izby w której chora leżała żona jego, Jankiel pokornie zastąpił mu drogę.

— Jaśnie Wielmożny Panie, tam żona moja... chora.

Pułkownik go potrącił, wstąpił na próg, obejrzał milczący jedną i drugą izbę... i zwrócił się nazad po wschodach na dół nie mówiąc ni słowa. Tu kazał sobie otworzyć bióro, a że pokój ten zdał mu się najporządniejszym, w nim pozostał. Żołdactwo rozbiegło się natychmiast krzykliwie domagając się samowara, ognia, światła, wody i nie wiem czego jeszcze... Na dole poczęło wrzeć jak w kotle. W chwili jednej pokój napełnił się oficerami, a że wszyscy powracali z wyprawy, z boju, hałas opowiadania, tłumaczenia, rozkazy, połajania zakipiały razem. Z góry słyhać było jakby wycie burzy i gromy...

Jakób ze starym siedzieli przysłuchując się tylko.

Z opowiadań, które im czeladź przynosiła, potwierdzało się pierwsze opowiadanie; Moskwa przez dni kilka uganiała się za formującym oddziałem, wreszcie wyszedłszy, osaczyła go w nocy, a nad brzaskiem na nieprzygotowanych napadła. Bronili się wszakże bohatersko, dopóki im stało ładunków; dowódzca po pas w błocie w które ich kozacy wpędzili, strzelał i rąbał dopóki ciężko ranny nie został w końcu ujętym.

Kilku innych jeńców dobito zaraz na placu; głównego wedle rozkazów miano nazajutrz w miasteczku powiesić... Posłano też co żywiej po pana burmistrza aby do dnia gotowa była w rynku szubienica i widzowie.

A że pułkownik znać obawiał się aby mu w jaki sposób więzień, choć ruszyć się niemogący nie uszedł; kazał go w drugim obok domu osadzić i strażą otoczyć do koła.

O tym jeńcu nic się dowiedzieć pewnego nie było można, Moskale dziwnie przekręcali jego nazwisko, a prawdziwe nawet, to jest przybrane na bój — niewieleby też nauczyło.

Ze strony Moskwy zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, jeden oficer był lekko ranny i cieszył się już zapijając puncz z kolegami że pewnie dostanie — Georgia, albo przynajmniej Annę na szpadę, albo — któż to mógł przewidzieć... Georgia pragnął nadzwyczajnie!

Wesele z otrzymanego zwycięstwa nie tak było wielkie jakby się spodziewać można; z pierwszej utarczki z nieprzygotowanymi wnosili wszyscy iż bój niejeden jeszcze Czeka ich zawzięty; trwożyły ich te kupki zbierające nie wiedzieć jak, snujące niepostrzeżone, łączące i rozsypujące po kraju który dla Moskali mało był znajomym a więc groźnym.

Pułkownik chodził więcej rozgorączkowany niż wesół, dyktował raport który miał wyprawić, liczył straty i przeklinał. Spierano się o liczbę ludzi, których podać miano za zabitych, ale koniec końcem ów zawsze powtarzający się oficer

ranny i jeden żołnierz poległy poszli do urzędowego sprawozdania, resztę trupów zostawiono do dalszego rozporządzenia. Jest to niezłą rachubą mieć zawsze trochę nieboszczyków w zapasie.

Raport wzmiankował o ujęciu głównego dowódcy i o mającym się spełnić nazajutrz powieszeniu go dla przykładu... na rynku miasteczka. Ta wieść o szubienicy i dekrete doraźnym mocno dotknęła Jakóba; czuł obowiązek ludzki, jeśli nic ratowania nieszczęśliwego, to osłodzenia mu chwil ostatnich.

Gdy na dole przycichło nieco począł rozmyślać coraz goręcej, czyliby mu się co dla skazanego zrobić nie udało; zwierzył się tej myśli staremu. — Jankiel głową poruszył smutnie.

— Jak tam chcecie, rzekł, ale to się na nic nie przyda — a zwrócić może na was niepotrzebnie uwagę... Mnie nic oni nie zrobią, wiek trochę a zresztą broni mnie to żem widoczniej żydem... wy... zostańcie, ja pójdę popróbuję do pułkownika... Jakób żałował już swej myśli, gdy Jankiel zapiawszy czarny żupan, wzięwszy czapkę zszedł powoli na dół i zameldował się przez żołnierza jako gospodarz domu.

Pułkownik odpoczywał, ale wpuścić go kazał, leżał na kanapie wyciągnięty z cygarem w ustach, czoło miał chmurne... Jankiel stanął u progu z pokłonem. — Czego chcesz? spytał pułkownik.

— Nic... dowiedzieć się tylko czy tu czego nie potrzeba...

— Nic nie potrzebuję, gdyby było potrzeba sambym wziął, nie prosząc... Czas wojenny! wiesz.

— Wiem, panie pułkowniku —

— Nie było tu słychu o buntownikach?

— Żadnego....

— Nie przechodzili tędy?

— Nie....

— O! wy tak wszyscy mówicie, bo trzymacie z nimi... żydzi też! znamy was! kanalje!

— Byliśmy zawsze wiernymi monarsze.

— A czemuż nie łapiecie i nie dostawiacie buntowników?

— To nie nasza żydowska rzecz, panie pułkowniku, żyd jest człowiek spokojny, on się wojną, brzydzi..

Pułkownik wstał z kanapy, począł chodzić..

Jankiel się mu skłonił i rzekł ciszej.

— Panie pułkowniku, rzekł, w naszej religii jest taki obyczaj, że gdy kogo w tem miejscu gdzie my mieszkamy tracić mają... my go nakarmić powinniśmy...

— Co? co? podchwycił wojskowy, gdzie? jaki obyczaj? Co gadasz? Nie ma takiego zwyczaju... kłamiesz.... Co ci do tego więźnia, co?

Przystąpił groźny.

— Jak śmiesz mi kłamać? wiesz że tego zwyczaju nie ma.

W istocie nie było zwyczaju, Jankiel popełniał pobożne kłamstwo, ale z kąd o tem mógł tak stanowczo wiedzieć pan Tendemann? Jankiel popatrział nań długo i bacznie.

— Dla czego ty tak patrzysz na mnie? ofuknął się groźno wojskowy. Co co jest?

— Ja? tak! ja sobie myślę... jaki pan jesteś uczony iż wiedzieć możesz że takiego zwyczaju nie ma u żydów.... To pan pewnie nie czytał co mówi Rabbi Jehoszuah o niewolnikach...

Pułkownik zbladły stał naprzeciw starca, zdawało się jakby jakaś wewnętrzna odbywała się w nim walka; usta mu drżały, oczy zachodziły mgłą, oglądał się do koła, głos starca zdawał się na nim dziwne robić wrażenie. Chciał być złym, a coś go wewnątrz hamowało. Jankiel dostrzegł w nim to pasowanie się z sobą, ale sam jeszcze nie wiedział, czem je miał tłumaczyć.

Po chwili tego milczenia i walki, pułkownik potarł czoło, wstrząsnął się, niewiadomo czy tchnął całą piersią czy mu ją westchnienie poruszyło gwałtownie — milczący począł się przechadzać.

Jankiel trochę zdziwiony stał ciągle przy drzwiach.

— No, czegoż stoisz? na co czekasz? odezwał się łagodniej nieco Tendemann, idź! idź!... niewolnik na śmierć przeznaczony nie obchodzi cię, godziny jego policzone...

— Panie, rzekł stary.

— Idź, mówię ci idź pókiś cały! zawołał pułkownik groźniej.

Ale w tem zbliżył się przechodząc do niego i cicho szepnął po niemiecku.

— Idź — ja przyjdę na górę...

Ostatnie słowa zmieszały Jankiela, który pokłoniwszy się odszedł, sam już nie wiedząc co o tem miał trzymać.

W tej niemczyźnie jak w twarzy, choć ukryty, był pewien akcent, jakieś brzmienie, coś co się kazało domyślać... żyda! Ale możnaż było w pułkowniku przypuścić Izraelitę? Myśl tę odepchnął stary, chociaż ścigała go uparcie i z nim razem weszła na wschody. Odprawił, nic mu o niej nie wspomniawszy, Jakóba do jego mieszkania, sam czekał rozkołysany i niepewny. Wypadek cały jakoś bardzo się dziwnie przedstawiał.

Dobre pół godziny upłynęło na oczekiwaniu, wreszcie kroki dały się słyszeć na wschodach, które umyślnie oświecono lichtarzem i wszedł na górę, błądy jak chusta, pułkownik.... Oczyma ciekawie, łakomie rozglądał się po żydowskim mieszkaniu. Można było posądzić że go tu coś ciągnęło, że miały dlań jakiś urok sprzęty, księgi, napisy, tak dziwnie oczyma je pożerał.

Byli sami, bojaźliwie jeszcze obejrzał się wojskowy i postąpiwszy na środek izby — rzekł podając rękę drżącą Jankielowi:

— Salem Alechem...

Stary o mało nie padł z zadziwienia, odpowiadając mu głosem wzruszonym.

— Alechem Salem.

I nastąpiła długa, straszna, grobowa chwila milczenia. Niepotrzeba już było dalszych tłumaczeń, pułkownik Tendemann był oczywiście żydem... Ojciec jego

czy on dla służby przyjęli powierzchownie wiarę prawosławną, ale pod nią nietknięta została stara mojżeszowa. Utopieni wśród goimów, obrani z pamiątek, usiłując pozbyć się wszystkiego co mogło pochodzenie ich przypominać, zachowali na tle duszy, iskrę niedogaśną przywiązania do swojej wiary i narodowości... tliła ona pod popiołami. Pułkownik usiadł widocznie poruszony; oczy jego się zwilżyły... Jankiel stał przed nim pogrążony w zadumie. Miał przed sobą jednego z tych licznych odstępców, jakich żydzi miliony dali wszystkim krajom w świecie — ale jeszcze zachowującego w głębi duszy uczucie przywiązania do izraelskiej swej matki. Na twarzy jego widać było żal, tęsknotę, gorycze przeżywanych pamiątek... zgryzoty apostazyi. Można, silny, przyjęty do świata zwycięzców, pułkownik płakał prawie że się rozstał i rozbratał z tą rodziną prastarą, nieszczęśliwą, do której krwią należał. Długo zapewne tajone uczucie, w tej chwili za zetknięciem się ze wspomnieniami buchnęło tak że go już powstrzymać nie mógł.

Nie mówił nic, nie tłumaczył się, wskazał tylko Jankielowi na drzwi a sam pobiegł do stołu gdzie leżała rozłożona księga i stanął przed nią jak wryty.

Od wielu już lat oczy jego nie spotkały się z temi głoskami, z tym językiem praojców. Od czasu jak stary ojciec potajemnie, zamknięty w izbie uczył go sam, płacząc, zakonu... od śmierci rodzica, wyszedłszy w świat nie trzymał w ręku ksiąg, nie słyszał dźwięków rodzimego języka... był go spragnionym, chciwym, miał dlań urok dziwny, tajemniczy, porywający. Z razu charakter te jak płomieniste węże zwijały się przed jego oczyma, nic nie rozumiał, potem powoli jedno słowo wprowadziło go na tor, źrenice się otworzyły, dusza zasklepiona otwarła, czytał, rozumiał, zapomniał o wszystkim w świecie, o dzisiejszym boju, o jutrzejszym męczeństwie, o kraju, o sobie, o miejscu w którym się znajdował...

Z tych oczów oschłych co się oduczyły płakać, łzy ciekły na księgę kropliste, żalu, radości, zgryzoty, boleści czy pociechy...

Ręce położył na stole, głowa opadła mu na piersi, czytał, połykał, nie żył życiem pożegnanem, przerwany nagle, przeniesion był w świat inny, i czuł że doń należy.

Traf jakiś chciał, by księga rozłożoną była na modlitwie za umarłych:

"Ojcze miłosierdzia panujący na wysokościach; wspomnij w wielkości miłosierdzia Twego, owych pobożnych, rzetelnych i nienaganych w świętych zborach, którzy życie oddali na poświęcenie Imienia Twojego, którzy miłowani za życia, po śmierci nawet się nie rozłączyli, którzy byli prędsi jak orły i silniejsi jak lwy w wykonywaniu woli Pana. Oby Bóg nasz wspomniał ich na dobre z innymi sprawiedliwymi tego świata i wywarł Swą zemstę na nieprzyjaciółach naszych za przelaną krew sług Jego.... "

Jankiel patrzył na czytającego zdumiony i płakał także wzruszony, ale dusza jego była nieco uspokojoną... Wielki cud stał się w oczach starca, drżał cały na potęgę Bożą, która z opoki serca źródło żywe wyprowadzić umie...

Pułkownik stał... skończył modlitwę i pochwycił drugą księgę i czytał znowu... jakby umyślnie dlań rozłożoną kartę (księga 11. Exodus. 34.):

— "Strzeżcie wszystkiego co tobie dziś rozkazuję, ja sam wyrzucę przed obliczem twojem Amorrejczyka i Chananejczyka i Hetejczyka....

"Strzeż abyś nigdy z obywatelami ziemie onej nie miał przyjaźni, któreby tobie było do upadku.

"Ale ołtarze ich zepsuj, bałwany połam i gaje porąbaj...

"Nie kłaniaj się Bogu cudzemu, pan zapalczywy imię jego... Bóg zawistny jest...

"Nie czyń przymierza z ludźmi onych krajów, ani żony z córek ich weźmiesz synom twoim. "

Dziko uśmiechnęły się usta złamanego wspomnieniami człowieka, gdy nareszcie padł na krzesło bezsilny... Naówczas starzec powoli przybliżył się do niego i rzekł cicho:

— Pociesz się... Bał Teshubom Bóg odpuszcza i żałujących przyjmuje...

— Alboż ja wiem dziś, odezwał się cicho po niemiecku wojskowy... nędzny mesumat, czegobym więcej żałował? tego com porzucił czy tego do czegom przyrósł? Na poły rozdzieliłem się i rozdarłem, rozdwoił się człowiek we mnie, i tu i tam ciągną wspomnienia, nałogi, obowiązki... Nie winien jestem żem wszedł na tę drogę, ojciec ja obrał dla siebie i dla mnie, dziś już do nich należę... A za starym moim narodem płaczę... płaczę dopóki dziki mnie szal nie ogarnie...

A drzę by kto pod tą skórą przyobleczoną, nową, nie poznał we mnie wyklętego żyda... abym litością dla brata się nie zdradził, miłosierdziem dla potępionego nie potępił... Dzieci moje już nawet wiedzieć nie będą, że w nich płynie krew kapłanów Izraela... niech nie wiedzą aby nie czuły, że są dziećmi zdrady.

— Bracie, odezwał się poufalej stary, korzystam z twoich łez i boleści a zapytuję was co z tym nieszczęśliwym zrobić chcecie?

— Z jakim? — z sobą?

— Z osądzonym....

— Nie mówcie o nim... nie ja, rozkazy wyższe go skazały... Zginie, dzień świtający będzie dlań ostatnim, inaczej być nie może... A biedny człowiek!

— Tak, dobrzeście rzekli, biedny człowiek... może matkę ma, rodzica, siostrę, żonę... Gdybyście z nim choć pomówić, dowiedzieć się dozwolili.

Pułkownik spojrzał chmurno...

— Po co nam to? co między nami a tym narodem wspólnego? Nie pamiętacież jak się z nami obchodził?

— Pamiętamy tylko, żeśmy się na jednej rodzili ziemi, rzekł Jankiel, a nieśmiertelny prawodawca nakazał nawet zwierzęciu ulżyć ciężaru, cóż człowiekowi, choćby poganinem był?

— Nie, nie, zawołał pułkownik, nie, ja jestem pod dozorem tysiąca oczów niechętnych, ja nie mogę nic — mnie także otaczają szpiegi. Przekupcie sobie żołnierzy wódką, groszem, to łatwiej — niech pójdzie kto chce do niego... ten motłoch za pieniądze zrobi wszystko...

I ze wzdrgnięciem rzucił ręką.

— Pozwolicie? ja pošlę mojego krewnego! Nic mu się nie stanie!

— Ja nie pozwalam! ja nie wiem! ja o niczem wiedzieć nie chcę!!

Jankiel zamyślił się długo, wyszedł na chwilę i powrócił do pułkownika. Ale już Jakób z dodanym mu żydkiem Herszkiem którego przezwano Kręcieniem, próbował zbliżyć się do jeńca. Wdział na siebie suknię żydowską zwyczajną, Herszko w kieszeń wziął parę butelek rumu i wódki... Poszli.

Była noc późna, żołnierze spali, warta chodziła, tylko na ławie przed domem czuwał feldfebel, ziewał, palił papierosy i kłął. Szczęściem trafiło się, o co nie trudno, że był pijanica nałogowy.

Fiedor Michajłowicz Szelmeńko spostrzegłszy dwóch żydów przechodzących i zatrzymujących się nieco przeciw niemu, domyślił się że jakiś interes mieć muszą i że w interesie tym znajdzie rubla lub wódkę na dnie. Wszyscy spali, nie był od tego żeby czegoś nie zrobić... cichutko.

— Dobry wieczór, panie oficer, rzekł Kręciel. Wiedział on bardzo dobrze że feldfebel nie był oficerem, ale od czegoż rozum?

— Poszedł won... swoją drogą!

— A! jak panu tu nudno musi być siedzieć.

— Nu, pewnie nie wesoło...

— A na co pan siedzi? — A co tobie..... do tego?

— O wa! z ciekawości...

Zbliżył się z kieszeni wydatnie ukazując szyjkę od butelki... Szelmeńko się oblizał i splunął.

— Dawaj tu to, żydzie niewiario... krzyknął z cicha wyciągając rękę.

— A pan wie co to jest? spytał Kręciel, to jest rum... czysty rum de Goja... Jamaika... S. S. S. półtora rubla butelka! hę?

— Dawaj! niewiario!

Rum był przemyślnie, odkorkowany, powąchał i ulegając pokusie łyknął.

— No — a teraz czego ty łajdaku chcesz? spytał.

— Panie oficer... ja tu jestem i z drugim żydkiem... Nam powiedzieli, a może to i bajka jest, że ten więzień co jego państwo trzymają, nazywa się szlachcic Bajkowski.... On wielkie pieniądze winien temu żydkowi... jemu się z nim trzeba widzieć koniecznie.

— Łajdaki, buntowszczyki! zawołał feldfebel, poszli won! nikomu nie wolno!

Kręciel zbliżył się i wsunął trzyrublowy papierek.

Ciszej już powtórzył...

— Nikomu nie wolno!... ale ścisnął i pieniądz i flaszkę... nikomu!! słyszysz...

A po chwili szepnął:

— Chodź za mną!

— To nie ja, rzekł Kręciel, to ten drugi żydek.

— Wszystko jedno, niewiary! To mówiąc napity nieco feldfebel poszedł z Jakóbem do drzwi, posłuchał pod niemi, otworzył je, wepchnął go i sam przed progiem stanął.

W izbie do której Jakób się dostał, było dosyć ciemno, paliła się wprawdzie wysoko uczepiona świeczka łożowa w latarni stajennej — ale ta mało bardzo dawała światła. Z razu nic rozeznąć nie było można, kupa słomy leżała w pośrodku, a na niej coś ciemnego.

Miarkując że czas jest krótki i że to widzenie się z człowiekiem skazanym na śmierć, może dla niego być ważnem, Jakób zbliżył się do miejsca z którego ciężki oddech gorączkowy zdawał się dobywać, jakby konania powolnego; poruszył rękę opadłą, która wystawała...

Trącony lekko, pochwycił się nagle, i porwał z boleści za zranioną nogę, ale wnet opadł na słomę... tylko głowę trzymając podniesioną... Promyk padający na nią dał Jakóbowi zdziwionemu, poznać w więźniu — Iwasia...

Z włosami rozsypanemi w nieładzie, ze spalonemi usty i obłąkanemi oczyma... Iwaś zdał mu się nieprzytomny, był nim w istocie.

— Już czas? zapytał żywo, idziemy? nieprzyjaciel? gdzie nieprzyjaciel? Wstawać... I począł rozglądać się i przypatrywać Jakóbowi, którego, czy poznać czy przypomnieć nie mógł. — Z trwogą i litością po oczach, ruchu, mowie, Jakób coraz mocniej się przekonywał że rana, gorączka" wzruszenie czy moralne cierpienie gwałtowne — zupełnie obłąkały Iwasia...

— Tak! idziemy! zawołał, natychmiast, ale ja sobie skaleczyłem nogę... ruszyć mi się trudno. Hę! to nic! pójdę ja dla tego aby na Moskala! No! wiara na nogi! i na konie... Dzień świta.

Obejrzał się trwożnie, Jakób mu szeptał.

— Iwaś! Iwaś! czyżeś ty mnie nie poznał?

— Hę? spytał obłąkany, hę? ktoś ty taki, powstaniec czy Moskal? czy szpieg psia jucha? Głos znajomy, czekaj no... Genua... Aqua Sola... Włoszka... Taryż... Bulwary, wszystko to się poplątało... Łuków... Kazimierz... Ja nie wiem ktoś ty taki.

— Jakób! Jakób!!

— A! Jakób patryarcha! no! rozumiem! Widzisz że przecie poszedłeś do powstania... A, jak mnie ta noga boli, boli...

— Iwasiu, zbierz pamięć, oprzytomnij! Mów, może co dla ciebie uczynić mogę...

— Ty, dla mnie ? Możesz dać broń! daj broni, broni, broni! i rąk i rąk! i działa — jedno działa.

— Mój drogi, tyś zapomniał... ty rannym jesteś, w więzieniu, w ręku Moskali, twe chwile policzone.... — Prawda... tak, przypominam sobie... Tak... wiem, biliśmy się, pobili nas... w lesie... Byłem mocno ranny... Ale gdzież ja jestem, tu tak ciemno... Szpital? więzienie czy już grób... Czemuż: mnie nie przysypią ziemią porządniej. Jakóbowi serce się krajało.

— Ja cię ocalić nie mogę, rzekł, jesteś w więzieniu... skazany... ale mów cobym mógł dla ciebie uczynić? Mów, może co powiedzieć komu...

Głosu mu brakło. Iwaś zdawał się dumać oparty na łokciu.

— Wiem! wiem! rzekł. Tak jest... sny miałem przykre... Jutro mnie powieszają, słyszałem, gadali Kozacy, ale to mi wszystko jedno. A cóż mi to szkodzi? powrócę na świat w psiej skórce, będę ich gryzł... Towiański zaręcza za matampsykozę... to pewna rzecz... bo Towiański jest panem Bogiem w Zurichu... Dobrze że choć tam jest jaki taki pan Bóg, bo na świecie żadnego nie ma... Gdzieś się podział, niewiadomo, mówią że ze strachu przed Moskalami skrył się...

Jakób stał drżący i słuchał... prawie płacząc.

— Iwasiu mój, rzekł, ostatnie twe rozkazy spełnię święcie — niestety! tylko to mogę.

— Moje rozkazy, przerwał Iwaś, moje rozkazy: Do boju, wiara! do boju! na śmierć lub życie, oto moje rozkazy!

Ale już po boju... Czy bili się dobrze nasi? Ha? poginęli? wszyscy? wszyscy? a czemuż i ja tam od razu nie padłem... szubienica... Tak, mówiono mi już o niej, nowy, piękny stryczek konopny... powiadają że to śmierć lekka, chociaż nieco dławiąca, jak mocny tytuń turecki. Ciebie nie wieszali nigdy patryarcho Jakóbie? ani nawet gdyś był w pierwszej skórce, wedle Towiańskiego? Nie. Ja także pierwszy raz będę powieszony, nie mam najmniejszego doświadczenia w tej mierze... Ale sprezentuję się przyzwoicie.

— Iwasiu, ty masz może krewnych, przyjaciół, braci... mów... — Ale nie mam nikogo, nikogo, matka dawno umarła, a ta była ostatnia, jam był mały — nie było nawet za co krzyża postawić... Naznosiłem kamyków i pokładłem w krzyż na jej mogile.. Ojca nie znałem, umarł jeszcze przed nią, — rodzeństwa nie miałem, dalsi się wyparli, byłem nadto ubogi... Nikogo! Dużo braci a ani jednego brata... Nikogo! powiedzcie tym co zostaną jedno słowo moje, wiara — do boju!

— Nic więcej? nikomu?

— Nikomu... powoli odzyskując nieco przytomności mówił z cicha Iwaś, nikomu. Tak, bo po cóż? Ja nie mam nikogo na świecie. Ale prawda! Słuchaj, na Grzybowie, wiesz ty tam starą, szarą kamieniczkę, brudną, lichą, na czwartym piętrze, w małej izdebce, siedzi dziewczę zapłakane, patrzy może przez okienko... дума może, to Maryśka... biedna praczka... tak! praczka tylko, ale niegdyś za innego życia była niezawodnie królowną, chociaż o tem zapomniała... Ona mnie może kochała... powiedz jej żem o niej przed zgonem pomyślał... Ona mi z ostatnich swoich dwóch koszul dwie na drogę uszyła... Prawda, palce ma pokłóte ale duszę czystą, poczciwą, serce anielskie... Albo może nie mów nic lepiej, niech zapomni, pocieszy się z moskiewskim oficerem... biedna dziewczyna... Zamilkł.

— Iwasiu, odezwał się Jakób, co chwila mnie ztąd wypędzić mogą, widzimy się raz ostani w życiu, zbierz myśli, opamiętaj się, masz może co do przekazania, do spełnienia, do polecenia.

Iwaś jęknął.

— Mam, rzekł, zemstę!! Zemstę! ale komuż ją oddasz? Piekącą jest jak żar, jakie ją ręce utrzymają?... Pusto, głucho, cmentarz wielki, bezludzie ogromne, na świeżo usypanej ziemi tańczą, a skrzypek nasz wiejski, nasz! nasz! przygrywa niedźwiedziom do tanów... a Pan Bóg przez okienko patrzy z niebios, węża pokręca i klaszcze w dłonie!...

— Iwasiu! zaklinam cię, zbierz przytomność...

— Co zebrać? ludzi nie ma? nieprzytomni!! kupka tylko, garść. Spodziewałem się tysięcy, a przyszło kilkadziesiąt, ale cóżem ja winien? bić się musiałem, biliśmy się mężnie aż do śmierci, no, i poginęliśmy do nogi... wieczne odpocznienia. Towiański zarecza że przywdziejemy nową. skórę byle nie moskiewską... bo jużbym wołał nie żyć.

Napróżno było chcieć co z niego wywołać, ilekroć odzywała się myśl zdrowsza, ból mocniej mu doskwierał, pisał, wił się, tracił przytomność a oczy straszne, obłąkane wodził po izdebce ciemnej... Nawykły do milczenia suknią i słomą, zapychał usta aby nie krzyknąć. — Widok tej męczarni był rozdzierający.:

— Może chcesz księdza? zapytał Jakób, sam religijny, więc rozumiejący przedśmiertną potrzebę duszy zbliżenia się do Boga, do którego wrócić miała.

— Mówisz o księdzu? rzekł Iwaś, był ksiądz w oddziale, tęgi frater, ale kulka go ugodziła w samą łysinę i — bryknął. Cóż ja zresztą z księdzem mówić będę, nie spowiadałem się dawno, dawno, od czasu jak mi matuś ręce do pacierza składała... Bo po cóż, kiedy pan Bóg do Petersburga z wizytą wyjechał i nie ma go w domu... Cóż mi ksiądz powie? Po śmierci już nic nie potrzebuję, a umarłem tam w lesie przy swoich... toć przecie wiesz... Przywieźli tu tylko trupa... tego sobie powieszają i pochowają... że żywego nie... no! to ci ręczę...

Powiedz Maryśce żem jej koszulę miał na sobie i jej chustynkę na szyi... i medalik co mi go oddała... z Częstochowską... ale i Matka Boska nic nie pomogła... zabili mnie...

Przyszło na myśl Jakóbowi otrzeźwić go czemkolwiek, przypomniał sobie że miał w kieszeni flaszkę wódki kolońskiej i potarł mu nią skronie... zwilżył usta, oblał czoło... ale to nic nie pomogło.

— Widzę że perfumujesz mnie, rzekł ze śmiechem dzikim, ale ja nie pójdę na wieczór... bo frak w zastawie... i waszych elegantów nie cierpię co w zębach dłubią nie jadłszy... na co mnie to? Nie myślę tańcować chyba z kozakiem i kozaka...

To domawiając padł na słomę i coraz gorzej majaczył. Wyrzywały mu się słowa piosenki i wykrzyki wojenne i obłamki starych pacierzy i przekleństwa, wszystko pomięszane, zgniecione w coś strasznie dzikiego i urągającego.

Jakób klęcząc podtrzymywał rozpaloną jego głowę, gdy feldfebel wszedł i za ramię go pochwyciwszy, wstrząsnął.

— No! poszedł won, stupaj! zawołał, dosyć tego rozhoworu.

— Janku mój, rzekł Jakób raz jeszcze niezważając na targanie żołnierza, ostatnie pożegnanie, słowo ostatnie... uściśnij mnie...

Obłąkany się podniósł nieco, ręce jego machinalnie obwiły się na szyi Jakóba i łkając, rzekł nagle zupełnie przytomnie, chłodno, ale z uczuciem nieokreślonym.
— Ojczyzna!!

Potem opadł na słomę śmiejąc się i płacząc gorączkowo, a feldfelbel chwyciwszy za barki Jakóba, wprost go wyrzucił za drzwi.

Tu czekał już na niego Kręciel, chcieli odchodzić, żołnierz męczył ich jeszcze dopóki coś nie wydarł i naostatek puścił...

Milczący powrócił Jakób do domu Jankiela, ale gdyby nie usłużny przewodnik nie byłby nawet trafił, tak było ciemno i pozamykano wszędzie. Noc była późna, milczenie głębokie, tylko w izbie Jankiela starego cicha jeszcze trwała, tajemnicza rozmowa... Przestrzegł żydek stojący na straży Jakóba, aby nie wchodził.

Nierychło, gdy na wschodach usłyszał chód zstępującego powoli człowieka, i wybierał się do starego, sam Jankiel do niego wszedł. Starzec był blady, poruszony, zamyślony głęboko.

— Byłeś u skazanego? zapytał.

— Byłem, odparł Jakób, trafiłem dziwnie, jest to ten sam młody człowiek, przyjaciel mój, którego pomogliście mi ocalić.

Jankiel dłonie załamał.

— Ale, dodał Jakób, już nieprzytomny prawie, obłąkany, dogorywający, gorączka go trawi, szal opanował, prawie mnie nie poznał, mówił od rzeczy... rozdarł mi serce. Chciałem odebrać polecenie jakie od niego, biedny sierota nic mi powiedzieć nie umiał. Ostatniem słowem jego było:

— Ojczyzna!

Zamilkli oba. Jankiel nie zwierzył się wcale ze swej długiej rozmowy z pułkownikiem. Siedli zmęczeni, jak ludzie co słowa sobie do powiedzenia nie mają a jednak rozejść się nie mogą.

Noc była ciemna, czarna, cicha... krzyki straży tylko rozlegały się po miasteczku, niekiedy przytłumiony szczeł broni, z rynku dochodziły głosy i stukania, z których domyśleć się było łatwo że stawiono szubienicę... kilka godzin jeszcze było do dnia, a stukot ten trwał ciągle.

— Chodź, rzekł wreszcie Jankiel, nie godzi się zasypiać w takiej godzinie, sen chyba dziecięce może skleić powieki... mężowie modlić się powinni... Weźmij księgę i przypomnij dzieje Izraela, abyś wiedział że nie pierwszy raz prawica Boża przez dzicz, przez nierozumną tłuszcę chłosta grzesznych-

Tak dobrowolnie do brzasku, pół czytając, na pół znużeni snem, przy dopalających się świecach dotrwali do zarania... Szary dzień wkradał się przez okna, a jeszcze stukot jednostajny siekier słyhać było... nareszcie ustał zupełnie...

Szubienica stała gotową...

Przez okno na rozjaśniającem się niebie wschodu sterczącą widać było śród rynku wysoką szubienicę, ten widomy znak panowania moskiewskiego nad tą ziemią.

* * *

Wszędzie gdzie przeszli stanęły za nimi szubienice, gdzie stąpili zostawili za sobą mogiły, więzienia, zgliszcza. Inne narody wznoszą gmachy, świątynie, budują, wodociągi, po nich stoją ruiny potężne jak oni, dzieła jak ich gieniusz wielkie — oni po sobie rzucają, okruchy kajdan skrwawionych, turmy, mogiły i szubienice...

Albowiem są nie biesem Bosym nawet jak Hunnowie Atylli, ale szyderstwem Bożem nad ziemią; narzędziem urągowiska Opatrzności z win ludzkich i grzechów naszych...

Mądrość naszą opanowują dzikiem barbarzyństwem swoim, dumę naszą i próżność łamią... u stóp włóczęgów bez imienia; cywilizacją naszą druzgoczą swem nieokrzestaniem; my wyżsi, więksi, świętsi stokroć nad nich skazani jesteśmy na to aby nas deptała noga rozpasanej tłuszczy co światła nie widziała... Albowiem, albowiem mocen jest Bóg — a gdy naród do wielkich przeznaczeń namaści a nie spełni ich — to go w taką kałużę jak nas rzuci z urągowiskiem.

Ale co będzie z narzędziem pomsty Bożej? ze ślepym biczem co nas smaga i w krwi się naszej nurza? Niech odpowiedzą aniołowie w niebiesiech... bo o tem nikt nie wie na ziemi... Wie tylko człowiek że śmiecie narodów wymiata wszechmoc Boska precz w przepaść zapomnienia.

Nade dniem hałas powstał w domu, słyhać było krzyki, łajania, groźby i przekleństwa. Żydek na górę wpadł przerażony oznajmując że w nocy więzień ranny umarł i wszczęła się o to wrzawa wielka, bo szubienica stała, a nie mogła zostać próżną... domagała się ofiary.

Nim rozwidniało należycie, wisiał też trup Iwasia na drzewie... grozie moskiewskiej stało się zadosyć.

Lud wiejski i kupka mieszczan widziała trupa, a w nim godło zwycięstwa moskiewskiego.

* * *

Tego dnia gdy Jakób z rana ostrzeżony uniknął ze swojego mieszkania, z południa pan Henryk wrócił do domu na śniadanie. Było w obyczajach ich że się zwykle o tej porze z żoną widywali, choć czasem na bardzo krótką chwilę. Wieczór nie zawsze się spotykali z sobą, a rankiem Henryk wyjeżdżał nim żona wstała...

Tilda od ostatniej rozmowy z Jakóbem spokojniejsza, zdawała się nawet tego dnia zdrowszą, rumieniec miała na twarzy.

— Prawdziwie jestem dziś zgryziony, odezwał się Henryk siadając do śniadania, zdaje mi się że moje zmartwienie i ciebie obejdzie.

Tilda podniosła głowę.

— Wiesz, dziś rano, jak się dowiaduję, sprawdziło się to co Mann od dawna przepowiadał... Jakób już miał być aresztowany...

Tilda żywo zwróciła się ku niemu.

— A! wzięto go! wzięto! podchwyciła bledniejąc

— O! o! jakże cię to poruszyło! odparł śmiejąc się. — Wcale się z tem nie taję... bardzo... ale mówże...

— Zdaje mi się że ktoś go musiał ostrzedz w porę... była tylko rewizya ścisła w domu, Jakób uszedł szczęśliwie

— Dokąd?

— Nie wiem...

— No, oddycham, odezwała się Tilda, nic nie wiesz więcej o nim?

— Nic, sędzę że mając pasport, wyjedzie za granicę... Dziwny człowiek, nigdym zrozumieć go nie mógł.

Tilda uśmiechnęła się boleśnie, Henryk się prawie obraził.

— Znajdujesz to naturalnem? spytał.

— Bardzo, rzekła Tilda spokojnie, nie było i nie będzie na świecie dwóch sprzeczniejszych charakterów nad wasze, cóż dziwnego żeście się wzajem zrozumieć nie mogli?

Henryk namarszczył brew.

— Gest très flatteur pour moi. Mógłbym z tych wyrazów wyciągnąć wnioski niemiłe dla ranie, rzekł gorzko. Jeżeli ten tak spreczny ze mną człowiek zasłużył u ciebie na całą, sympatyą, cóż moim udziałem być może?

— Dajmy pokój tym tłumaczeniom, odpowiedziała Tilda zimno, uczucia moje dla ciebie znasz i więcej nad nie ani ci trzeba, aniś się starał pozyskać... Restons en là.

— Domyślam się reszty... Zamilkli na chwilę.

Henryk wstał, spojrzawszy na zegarek ukłonił się i wyszedł, potem nagle odedrzwi zawrócił. — Moja droga, rzekł urażony widocznie. Gdy ci się już zbyt to życie ze mną uprzykrzy — powiedz mi — nie chciałbym być przyczyną ani narzekań, ani mąk ukrytych...

Tilda spojrzała nań poważnie, powlokła wzrokiem, złożyła ręce, stała w milczeniu.

— Czy toby być miało oznaką, że ty cierpisz ze mną? zapytała. Henryk się zmięszał.

— Naturalnie, rzekł po chwili, samo ciągłe wpatrywanie się w ten posąg cichej boleści jakim ty jesteś, nie może mi być przyjemnem i szczęścia nie daje. Ale przyznasz mi że znoszę to rycersko.

— Masz mi co do zarzucenia? spytała.

— Smutek twój, chmurne oblicze, tyś widocznie nieszczęśliwa...

— Masz więc do mnie urazę, że samo to iż mam honor być twą małżonką, nie czyni mnie najszczęśliwszą? Cóż począć, mój drogi, ja się odmienić nie mogę, ty innym też być nie potrafisz, ale związani jesteśmy ślubem przed obliczem Bożem, a z nim przyjęliśmy obowiązek picia z jednego kielicha, co weń los należy... nektary czy gorycze...

Henryk ruszył ramionami, popatrzał na nią, była marmurowo spokojną, łagodną, rzucił drzwiami i wyszedł.

Powóz czekał na niego przed gankiem, pojechał wprost do Wtorkowskiej. Panna była jeszcze samą, ale już gotową na przyjęcie gości, wystrojoną, wonną, piękną i w humorze jaki się wdziewa do salonu... Podąfa poufale rękę Henrykowi.

— Wiesz pani nowinę?

— O! tych nie brak, jaką?

— Jakób musiał uciekać...

— Jak chcesz pan bym nie wiedziała, gdyby nie nasze stosunki z Sofronowem, z Hrabią, byłabym się przelękała śmiertelnie... Obstąpiono dom, trzęsiono, szukano... przebudziłam się ze snu, wśród szcZęku broni i biegania policyi po wschodach. Biedny pan Jakób wyjdzie na bohatera...

— Wszyscy mu ten koniec przepowiadali... voila presque proscrit. Ruszyli ramionami oboje.

— Tyle razy starałem się go nawrócić, ale jest tak ekscentryczny! Przy Moskalach zawsze mówił co mu na myśl przyszło... Oni tego nie lubią, oni wymagają aby nawet przekonania ludzi korzyły się przed ich potęgą. Ja Jakóba żałuję, ale z nim nigdy jutra nie można było obrachować.

Zaczęli przychodzić i inni goście, Mann który padł na fotel buchając zmęczeniem; później kilku umiarkowanych i kilku z zamkowego towarzystwa.

— Wszyscy na ucho rozpowiadali sobie o Jakóbie.

— Przyznam się wam, rzekł Mann poufnie do swoich, że prawie się cieszę iż nas od niego uwolniono. Była to figura kompromitująca, a nie wiedzieć do jakiego licząca się obozu. Nie można się nim było posłużyć, nie słuchał nikogo, mówił, paplał da zbytku.

— Ale nie był on wcale rewolucjonistą! odezwał się ktoś z boku. — To czemu był? zapytał Mann, ja nie wiem, rządowym nie był także, ani też naszym... Był sam sobą, tacy ludzie zawsze padają ofiarą swego głupiego indywidualizmu... No! spodziewani się że ma tam nic złego się nie stanie.

— Żeby go tylko nie pchnięto do powstania.

— Nie spodziewam się, odpowiedział Mann, nie jest to człowiek czynu, prędzej myśli i słowa.

Na te wyrazy zbliżył się świeżo przybyły ojciec Tildy, pomięszany i niespokojny.

— Wiecie co o Jakóbie? — A! to i ja przecież wiem, ale dokąd? Wystawcie sobie jak przykre mnie przejście z tego powodu spotkało... Wpadła do mnie rano jego matka... stara żydowica w muszkach i załóźce... śmiechy w domu, nieprzyjemność. Jeszcze trzeba wypadku aby na tę godzinę przybył adjutant księcia i spotkał ją w sali... Ja co się bronię jak mogę od tego żydowstwa... wystawiony byłem na taką awarję... burzę się cały. Lament w domu, płacz... ledwem się jej pozbył! Nikt nie wie dokąd się udał? Matka zaręcza że za granicę nie chciał...

— Wkrótce zapewne, wtrącił z przekazem Henryk, posłyszemy o bohaterskich jego czynach. Widać że laury Berka, którego tak pięknie narysował Kossak,

spać mu nie dawały — chciał się zapewne dosłużyć drogiej takiej monumentalnej litografii.

— Najgorsza rzecz, rzekł Mann, że bądź co bądź, rzuca to cień na nas wszystkich, zmusza do płaszczenia się, do dawania dowodów lojalności, w chwili gdy te oznaki stają się coraz niewygodniejszymi. Licho go wyniosło... diabeł go tam denuncyował! Czegóż się od niego bali?

W tej chwili piękna Muza spytała Sofronowa, który właśnie wchodził, o Jakóba, ten udał tak ogromne, tak dobrze odegrane zdziwienie, iż naturalnie domyślać się było potrzeba, że doskonale był o wszystkim uwiadomiony.

Rozpytywał, ubolewał, obiecywał się dowiedzieć, słuchał, z zakłopotaniem widocznym. Mann po minie jego odgadł, iż denuncyacya ze znanego mu źródła wypłynąć musiała.

— W terażniejszych czasach, dodał Sofronow, potrzeba być bardzo ostrożnym w mowie. Pan Jakób, o ile go znałem, nie zawsze tego prawidła przestrzegał, sądzę jednak że w każdym razie nic mu tak straszego grozić nie mogło... najwięcej jeźli czasowe usunięcie w głąb Rossyi... mais on n'en meurt pas.

Na tem skończyły się rozprawy, około godziny trzeciej wizyty przedobiednie ustały a Muza ziewając miała przejść do eksercycyi na fortepianie, gdy pani Wtorkowska weszła do pokoju poważna, milcząca, uroczyście obleczone swem macierzyństwem; stanęła naprzeciw córki i wstrzymała już siadającą, do grania.

— Słuchajże, proszę ja ciebie, musimy z sobą pomówić.

— No, mówmy. — A tak, mówmy... Otoż Jakób podobno nie powróci, jego w rachubę brać darmo.

— Ja go dawno wymazałam z rejestru.

— Potrzebaż się naradzić...

— Byłyśmy zgodne..

— Ale jakże stojemy?

— Zawsze jednakowo... Henryk, który jest gorętszy niż kiedykolwiek... na pierwszym miejscu, za nim idzie Sofronow.

— Właśnie o tym Moskalu mówić ci chciałam... cóż z nim będzie?

— Człowiek doskonale odpolerowany po wierzchu, spodem on sent unpeu le tartare, majątek jakoś wątpliwy; charakter nadto miły w towarzystwie aby w domu nie miał być ostry... Ja go nie bardzo lubię... Zwierzę zimne...

— Ale go nie zrażasz?

— A! niestety! my biedne musimy wszystkich oszczędzać.

— Ale bo o Henryku nie ma co mówić, rozwodu nie weźmie, a ona głupia, na złość nam, nie umrze. Nie ma suchot, jako żywo, pytałam ich doktora... zaręcza... ale znudzona, roznerwowana! Będzie ciągnąć Bóg wie wiele lat...

— Z Henrykiem, cicho, uśmiechając się poczęła Emusia — ja jestem w najlepszych stosunkach, on dla mnie nie ma tajemnic... Postanowił układać się o rozwód... Ale czy mama uwierzy, że ona słyszę, nie chce... Byłam pewna że kochając Jakóba będzie najszczęśliwsza, doprowadziłam do tego bardzo zrećnie, na nic się nie zdało. Jakieś ma osobliwsze wyobrażenia o świętości

niewiasty, o przysiędze, o małżeństwie, słowem powiadam mamie, nie chce rozwodu.... Des idées contre nature... Próbowałam jej w dali ukazać szczęście, bo wiem z pewnością że się kochają — Angielka mi opowiadała dziwne rzeczy o nich... bo ich podpatrywała... Ale to jest jakaś miłość papierowa... niezrozumiała, mistyczna.

Zakochani co gdy mogliby się połączyć odpychają szczęście.... Sont-ils bêtes? Tilda mi się spowiadała z takich teorii żem o mało nie pękła od śmiechu... z nim znowu to i mówić o tem nie można. Cóż na to radzić? Henryk mnie kocha, ale za mało ma determinacji, boi się teścia...

— Już moje dziecko, kiedy z nim tak daleko zaszłaś, rzekła Wtorkowska, trzeba go nakłonić, niech raz wie czego chce, my czekać tak nie możemy.,...

— Ale bo ci Moskale, doprawdy! ten Sofronow czy Baworow, wypłatali mi sztukę zmuszając Jakóba do uciezki! Po co go było straszyć... teraz nie wiem co się z nim stanie, a był nam tu potrzebny... Henryk, już do tego doszedł że z daleka przez trzecie osoby... kwestyi rozwodu z ojcem dotykał... ktoś tam go starał się wybadać, Samuel nie byłby przeciwny rozwodowi...

Wtorkowska aż splasnęła w ręce.

— Co ty mówisz?

— Tak jest... ale on za warunek kładzie żeby Tilda zaraz szła za męż... Domyśla się jej miłości dla Jakóba... Inaczej nie dopuści... a tu nam Jakóba sprzątnęli!

Matka i córka, wzdychały.

— Mnie się zdaje, dodała Muza, że ja to jeszcze wszystko połatam, ułożę i wyjdę za Henryka.... Innych nie jestem pewną i... nie bardzoym rada.

— Ale cóż to dla ciebie taki — wdowiec, bo to zawsze jak wdowiec! westchnęła matka.

— A! moja mamó, każdy z nich, odpowiedziała Muza krzywiąc się, dziesięć razy wdowcem jest... nim się raz ożeni....

— To, to prawda! Ale tu trzeba spieszyć! wołała stara.

— Ja już wiem o co idzie, zawołała Muza, pewnie mamie pieniędzy potrzeba... ja u Henryka pożyczę... a proszę mi dać czas.

Matka widząc córkę tak praktyczną, tak zresztą o przyszłość spokojną, uczuła się także uspokojoną.

* * *

.... icze, 1863 Lipca...

"Tak niespodziewanie musiałem opuścić Warszawę, żem nawet nie mógł przyjść przededrzwie wasze i pamięci się polecić. Byłem dniem wprzódy spokojny, nie domyślając się nawet że mi co zagrażać może, z rana dano mi znać że czeka mnie więzienie, badanie, naturalnie w ostatku, co najmniej, wygnanie, choćby żadnej winy nie było, bo do tej się nie poczuwam. Poradzono mi ująć aby tych następstw uniknąć, miałem wstręt do uciezki która zawsze upokarza człowieka, bo jakiegoś poczucia, przyznania się do winy, domyślać się każe — ale dziś, gdy rozpoznania sprawy spodziewać się niepodobna przy roznamiętnieniu obecnem; prosty instynkt wskazywał potrzebę schronienia się.

Tak uczyniłem z razu, nie przewidując jeszcze jak mną pokierują losy; człowiek nigdy sam siebie pewnym być nie może. Miałem potrzebę widzieć się ze starym ojcem tej nieszczęśliwej, która błąd swój taką męczarnią i życiem przyplącała, trzeba było żeby ręka przyjacielska gorzki ten napój mu podała. Pojechałem do niego. Droga do miasteczka, przeszła bez wypadku — co dziwne — ale nie uniknąłem niespodzianek bolesnych u celu podróży. Ledwie tu przybyłem, miasteczko zajęli Moskale powracający z wycieczki i wiodący z sobą jeńca skazanego na powieszenie. Pierwszy tu raz spotykałem się z owocami powstania.

"Nie mogę wypowiedzieć jak mnie przeraził ten stan rozprzeżenia społecznego który wojna za sobą prowadzi. Przywykłem do życia normalnego społeczności cywilizowanych — nagle się znaleźć w położeniu w którym żadne prawo człowieka nie broni, gdzie własność, życie, cześć są na łasce silniejszego a niewykształconego żołdaka; okropnie. Byłem jakby cudem przeniesiony w te wieki w których o wszystkim siła i pięść rozstrzygała, zdawało mi się że śniłem. Ale zamiast bohaterów tych wieków w których świat walczył o każdą ziemi stopę, zamiast mężów szlachetnych i boju heroicznego, widziałem tłumy wyjące pijano, którym dzikość prawie bydłocy nadawała charakter. Zwycięzcy naigrawali się ze zwyciężonych w sposób nieszlachetny, pogański, rozdzierający serce. O kilka kroków odemnie siedział ten dla którego stawiono szubienicę. Cudem dostałem się do niego, wystaw sobie przerażenie moje, gdy w nim poznałem przyjaciela Iwasia, towarzysza włoskiej podróży. Na Aqua Sola w Genui był on ze mną.

"Ale znalazłem go w takim stanie, że mnie prawie nie poznawał, w gorączce, mówiącego od rzeczy. Napróżno starałem się go ocucić, opamiętać, biedny cierpiał straszliwie, a nim ostatecznie uderzenie siekiery dokończyło szubienicy — nie żył. Bóg chciał by na słomie więziennej dokonał krótkiego żywota. Dla przykładu powieszono trupa.

"Otoż od czego się zaczęła podróż moja. Nazajutrz ranne dnia brzaski odkryły złowrogie rusztowanie wzniesione naprzeciw, kościoła, a na niem białym całunem obwiniętą postać tego który był przyjacielem mojego serca.

"Wyszli wkrótce Moskale, zostawując po sobie tylko tę szubienicę na pamiątkę. Około południa nadciągnął oddział powstańców z drugiej strony. Wyszedłem na jego spotkanie; było coś okropnego, przerażającego w tym pochodzie na śmierć ludzi, którzy wyznaczeni byli na ofiary... weszli cicho kupką małą, z chorągwią naprędce zszytą, z kryjomo namalowanym na niej orłem osadzonym na ladajakim drzewcu, dzieci starej Polski uzbrojone lichy lub niezbrojne wcale — większa część miała tylko dzidy lub kosy, osmalane kije żelzcami zakończone. Na twarzach ich widać było heroizm poświęcenia, błąd, bez nadziei. Mówiąc z ludźmi dawali ją drugim, ale jej dla siebie nie mieli. Jak gladiatorowie w cyrku mogli witać tłumy: Morituri vos salutant! Nikt tylko odgadnąć nie mógł jaki rodzaj męczarni miał ich ze świata zgładzić.

"Z szubienicy zdjęte już zastali ciało zabitego Iwasia, ale rusztowanie stało w pośród rynku, gdy oddziałek nadciągnął do miasteczka. Jadący przodem dowódca zdjął przed nim czapkę jak przed krzyżem, wszyscy uchyliłi głów — milczenie było uroczyste, jakby odmawiali modlitwę.

"Mieszkańcy popłoszeni z za drzwi, z pół uchylonych okien, z za węglów spoglądali, nie śmiejąc zbliżyć się do oddziału; choć do tego biednego orła białego biło im serce, a oczy ujrzawszy go płakały zarazem radością i trwogą.

"Smutne jakieś przeczucia otaczały tych ludzi, ciężły nad nimi, ale męztwo nie opuszczało. W garści tej żołnierzy dobrowolnych znać było że szli z przekonania, z uczucia, z pojęcia wielkiego choć ciężkiego obowiązku.

"Tłum co się cisnął za głównymi dowódcami był tym tłumem który wszędzie garnie się za energią i siłą, pociągnięty ich urokiem — wielkość i powaga zdobiły kilka szczególnie obliczów. Widać w nich było męczenników niosących głowy swe i krew dla idei swobody, obluzganych potwarzą, skazanych na urągowiska ale nieustraszonych. Mamże się przyznać że widok ten napęłnił mnie zarazem politowaniem, czcią i współczuciem?

"Może jeden z pierwszych, gdy wszyscy patrzący się wahali, podszedłem do dowodzącego. Poznałem go z twarzy z daleka, był to przyjaciel Iwasia, którego często widywałem w Warszawie, młody człowiek niepohamowanego zapału. Zobaczywszy mnie zdziwił się mocno.

— Co tu pan robisz ? spytał. — Jestem od wczoraj, wypadkiem. — Co znaczy ta szubienica? — Wczoraj przybyli tu Moskale, odpowiedziałem smutnie, wystawiono ją dla konającego Iwasia, ale on zmarł w nocy i ciało jego tylko dziś obwieszono. — Janek zginął, zawołał dowódca, o mój Boże! jeden z najgorętszych naszych braci, któż go zastąpi? Słyszałem że wczoraj ich rozbito, myślałem że ocalał. Ostatni podobno widziałem się z nim i mówiłem, ale był w gorączce, nieprzytomny. Jedną więcej ofiarą do rocznika krwi, rzekł potrząsając głową, ale ofiary konieczne! nie tracimy ani nadziei ani odwagi. Moskale więcej od nas są potrwożeni... A! gdyby broń była... Przerwano nam wkrótce rozmowę, oddział chwilowo tylko dla zaopatrzenia się przybył do miasteczka i natychmiast wyruszyć musiał; kilkunastu mieszczańskich chłopców i czeladzi przyłączyło się do niego, ten i ów wyniósł starą broń, zakopane od 1831 r. żelźce, szablicę zardzewiałą. Wszystko to dawano ukradkiem, sąsiad oglądał się na sąsiada aby go potem nie doniósł, żywność wynoszono kryjomo, grosz ofiarowywano przez trzecie ręce, znaczniejsi mieszczenie płacząc pochowali się. Po za łzami, entuzjazmem czuć było postrach, przewidywanie następstw.

"Patrzałem na tę scenę ze wzruszeniem i wystawiałem sobie jedno z ostatnich powstań izraelskich przeciwko potędze Rzymu. Wszystko tam tak samo być musiało, losy to naszej ojczyzny starej powtarzały się w żywym obrazie, toż samo prześladowanie, bohaterstwo, ofiary, postrachy, także blade męczenników twarze, taż miłość ziemi, wiary, swobody.

"Nic mnie nie wiązało, nic nie wstrzymywało, nie miałem jak nie mam przyszłości, odepchnęli mnie wszyscy, idea z którą szedłem do współbraci nie

przyjęła się, może ją kto inny szczęśliwszy podejmie; łzy mi napęłniły oczy, poruszyła się pierś. I ot jak powiedziałem sobie: pójdę z nimi; mogęż piękniejszą umrzeć śmiercią? święciej zginąć jak splanając dług krwi za braci moich?

"W innej chwili mego życia możebym był się zawahał, teraz taką czczość w niem czuję, taki brak celu! takie zniechęcenie, że na pierwszą myśl tę odżyłem, krew popłynęła chyżej.

"Nie miejcie mi tego za złe, ani dziwujcie się temu że z góry nie wierząc w to powstanie, w ten odzew do siły; odmówiwszy grosza na ten cel, poświęciłem mu siebie i życie. Nigdy nie mógł podsycać rewolucyi przed jej wybuchem, ale gdy nieszczęśliwy naród powstał, ujął za broń, gdy poczuł że potrzebuje nową kartę rozpaczy w dziejach krwią zapisać — obowiązkiem mym było stanąć tu za braci Izraelitów razem w szeregu i rzec: Oto jestem ja — żyd.

"Nie potępiajcie mnie, chciejcie zrozumieć.

Nie wierzyłem w powodzenie tej walki, jestem pewny i dziś zwycięstwa Moskali, nie dla ich liczby może, ale dla tego że naród nie cały wstrząsł swe kajdany, nie cały czuje jako jeden człowiek, rozdwojony jest, rozbity, zobojętniały i, jak my, zardzewiał niewolą.

"Pomimo to, idę — dla tego zem żyd, dla tego abym dał świadectwo że połączenie się nasze nie było słowem ale czynem, że znaleźli się, tacy co obok dających życie, przynoszą, też swój żywot na ofiarę.

"Co się stanie zresztą, nie przewiduję, nie wiem, tegom pewny że śmierć musi mnie czekać w końcu, bo jej szukać jest moim obowiązkiem; cud chyba ocalić może.

"List ten więc, przyjaciółko mojej młodości, jest jakby ostatnią wolą i prośbą ostatnią.

"Zaklinam cię naprzód miej staranie i pamięć o matce mej, której do rozporządzenia zostawiam wszystko co miałem, dla sióstr, brata, rodziny. Przekaż moją myśl, posłannictwo moje, braciom mym w Izraelu; powiedz im że z innemi ludy iść powinni ku światłu i postępować, nie rzucając tablic prawa starych, które nam dał nieśmiertelny nasz prawodawca. Niech się otrząsną z tego co drugim zarzucają i wyżsi nad wiek będą, jeżeli chcą przodować ludzkości — do czego niegdyś byli przeznaczeni.

"Nie dumaj świeżo wyzwolonych niewolników, nie goryczą i nienawiścią do ludzi, ale łagodnością i wyrozumiałością wyprzedzać drugich powinni. Niech będą lepsi od innych aby potężniejszymi byli.

"Świat dziś już czuje postrach panowania naszego, a myśmy jeszcze do niego nie dorośli, bośmy z siłą nową przejęli wszystkie wady kast mających przewagę i czujących swą władzę. Pozbądźmy się ich, abyśmy się nie stali tem czem były dumne arystokrację rodu, feodaliści i panowie z Bożej łaski. Niech Boża łaska uczyni nas braćmi narodów i sługami, panujmy sobie tylko i namiętnościom naszym.

"Nad wszystko zaś nie wyrzekajmy się prawa i obyczaju, nie zapierajmy się narodu, nie odziewajmy się fałszem.

"Samiśmy upokorzenia naszego winni, siebie się wstydząc. Ci z których praojcami Bóg rozmawiał widomie, wysoko czoło między narodami nosić mogą. Ale to czoło promienne być powinno jak czoło Mojżeszowe, — nie dumą ale światłem, — i serce promienne dobrocią.

"Otrząsnijmy się ze zgniłych atheizmów dzisiejszych, wróćmy do jedyne Boga naszego; wlejmy wiarę do pustych piersi które dziś zapełnia zimna chciwość i samolubstwo.

"Mimowolnie uniosło mnie pióro i chęć oddania ci tego co mam, co czuję w sobie najlepszem — idei mojej. Ale ty ją już znasz i dosnuć potrafisz.

"Żegnam cię, losy nasze są w ręku Boga, Mamże z pokorą wyznać ci w końcu że mój heroizm dzisiejszy tobie w znacznej winienem części? Gdybyś mi była zostawiła choć nadzieję nadziei szczęścia — możebym pożałował życia i nauczył wyżej je cenić. Przypomnij ten wieczór w którym odpowiedziałaś mi że niewiasta jedno ma serce, raz jeden tylko ślubować może. Od tej chwili i od godziny gdy moi współbracia otwarcie wypowiedzieli mi że nie podzielają, przekonań moich, uczułem się niepotrzebnym nikomu.

"Nie żałuj mnie, nie trwóż się o mnie, umrzeć potrafię godnie, bez jęku. Cóż warto życie, gdy Bóg mu odejmie cele?

"Jutro wychodzimy ztąd. Kupiłem konia, ryszstunek, broń i idę służyć jako prosty szeregowiec, bo dowódców mamy aż do zbytku. Może za mną pójdzie który z moich współwyznawców; bo tu się krew nasza pomieszać powinna, aby nasz sojusz był trwały.

"Żegnaj mi, Bóg wielki, wiesz że dusza nie umiera, a czyste dusze w jedną lecą stronę... może się tam gdzie spotkamy.

* * *

Rano pomiędzy innemi korespondencyjami z poczty przyniesiono i ten list adresowany do Tildy. Pan Henryk opatrzył go bacznie, charakteru nie poznał, powierzchowność niezwykajna, papier, pieczętka uderzyły go, sam z nim poszedł do żony.

Tilda siedziała w swoim pokoju, czytała roztargniona jakąś podróż, gdy maż stanął przed nią i milczący wyciągnął ku niej rękę z tym listem.

— Co to jest za list? zapytał.

Ona się zarumieniła, poznała pismo, otworzyła żywo przebiegając oczyma.

— List jest od Jakóba, odezwała się śmiało i spokojnie — z pożegnaniem do nas wszystkich.

— Cóż się z nim dzieje?

— Nie wiem, czekaj.

Przebiegła znowu oczyma i krzyknęła.

— A! poszedł do powstania!

Henryk zaciąwszy usta, ruszając ramionami, chmurny zaczął się po pokoju przechadzać.

— Tego tylko brakowało, rzekł, ale można się było spodziewać. Wyrządza nam krzywdę niezmierną, rzuca na nas wszystkich podejrzenie, że w sekrecie sprzyjamy temu szaleństwu, że do niego pomagamy! Ale czyż pewna?

Tilda odczytała mu kilka wierszy, nie zostawiających wątpliwości — głos jej drżał, a wzruszenie było widoczne, mąż z gniewem widząc ją całą listem zajęta, zapłakaną, odszedł chmurny.

Wieść o tem po cielni przezeń podana, od ucha do ucha rozeszła się wkrótce po całym mieście. Niektórzy jej nie wierzyli, inni się radowali lub smucili, w ogóle jednak Jakób który nie miał gorących przyjaciół, mało po sobie żalu zostawił.

Wieczorem, wedle zwyczaju, Sofronow przyszedł do Muzy, z miną tryumfującą.

— A widzicie, rzekł, wymawialiście nam żeśmy dopuścili tego pana, który tu stał na górze, podejrzewać o spiski, otóż ten pan, wiemy to z poczty na której list jego czytano, poszedł już do powstania.

— Ale cóż znowu? zawołała Muza, pan żartujesz, on był najprzeciwniejszy rewolucji.

— Ale gdy się stała, uczuł się obowiązany zaciągnąć pod jej sztandary. Tak pani moja jest ze wszystkimi Polakami, widok chorągwi z orzełkiem jest dla nich nieprzezwykłego uroku.

Cóż pani na to?

— Nie wierzę, odparła Muza, jusqu'a plus ample information.

Jakby na wezwanie przyniósł ją Henryk przychodzący z kwaśną miną, nie przyznając się wszakże przed Sofronowem do listu, który pan pułkownik z rana miał w rękę, gdyż ważniejszą korespondencją sam przepatrywał.

Jeden może ojciec Tildy wiadomość tę przyjął z boleścią; zwykle niezbyt czuły, przywiązał się był wszakże do wychowanka; może też widząc co dzień niepodobniejszym szczęściem córki, trochę na Jakóba rachował. Nie powiedziawszy nic nikomu, zamknął wrażenie w sobie, ale tegoż dnia dobrawszy chwilę, gdy Henryka w domu nie było, pojechał do córki.

Służący u drzwi z razu mu oznajmił, że była chorą i nikogo przyjmować nie kazała, ale ojciec w imię swych praw poszedł wprost do sypialni. Zastał ją z rozpuszczonym włosiem, załzawioną, piszącą, rozgorączkowaną, niepodobną wcale do tej marmurowej, posępnej a spokojnej Tildy, jaką była zwyczajnie.

Ujrzawszy ojca zawstydzona się dziecinnie, zmieszana. Wychowanie, życie nigdy ją nie zbliżyło do niego, nie miała w nim ufności, nie zwykła była otwartem doń mówić sercem, więc i lży i obawę i swą, rozpacz pragnęła utaić.

Ojciec usiadł milczący i posępny.

— Widzę że wiesz, rzekł po namyśle, co się stało z Jakóbem. Nie jestem ja zwykle sentymentalnym do zbytku, no — ale mi go żal. Przywiązałem się trochę do niego jak do dzieła rąk moich, jak do przybranego dziecięcia. Głowa szalona, poleciał na zgubę. Żal mi go, powtarzam ci, i radbym go ratować.

— Lecz czyż można? jestże sposób jaki? ja nie widzę.

Ojciec chodził, namyślał się głęboko i kosztowało go snąć wiele, po raz pierwszy w życiu szczerzej się z dzieckiem rozmówić.

Stanął i wlepił w nią, oczy.

— Nie ma dla mnie tajemnic, rzekł, choć nie o wszystkim mówić lubię, o wielu rzeczach nie chcę wiedzieć, a rozum każe milczeć, nie tykać ich; ale przychodzi chwila gdy rany śmiało dotknąć potrzeba. Dziś lub nigdy. Tyś go kochała i kochasz — on ciebie kochał. Myślałem z razu że to miłość dziecinna, niespodzianie znalazłem ją trwałą, poważną, stałą, taką w jaką wierzyłem niezwykłym. Ty z Henrykiem nie jesteś szczęśliwą.

— Ale nieszczęśliwą nazwać się nie mogę, odpowiedziała Tilda.

— Lepiej ja to wszystko rozumiem, niż ty sądzisz, mówił dalej ojciec, Henryk istotnie człowiek nie dla ciebie, tyś rozmarzona entuzjastka, on pospolity i praktyczny człowiek.

— Ale dobry człowiek.

— Przyzwoity, poprawił ojciec. Od niejakiego czasu tylko nadto się daje Wtorkowski bałamucić. Jest tam po szyję w głupim romansie z tą przechrzcianką która go oszukuje, odziera i durzy. Nienawidzę go za to. Jednym słowem ci powiem, chcesz ratować Jakóba? ty jedna możesz tylko. Ja biorę na siebie twój rozwód z Henrykiem, on mu teraz będzie rad; wydam cię za Jakóba, możesz być po ludzku szczęśliwą. Jedno twe słowo zdolne jest go ocalić. Wyjedziecie za granicę, do Włoch, a za lat kilka gdy się to zagoi co oni tu zrobili, wróćcie. Przebaczenie wyjednamy, ja mam moją zasługę.

Tilda przyszła splakana i pocałowała ojca w rękę.

— Ojczy drogi, rzekła, dzięki ci, nigdy jeszcze nie widziałam cię takim jak dzisiaj — ojcem! tak serdecznym dziecka przyjacielem, tak czułym dla Jakóba opiekunem; ale nie gniewaj się, nie mów żem szalona — a! to być nie może!

— Dla czego? spytał ojciec, dla czego? Tilda zarumieniła się kryjąc oczy.

— Ja go tak kocham, rzekła, ty może nie zrozumiesz mnie, że taką, jak dziś jestem, znużoną, złamaną istotą, napiętnowaną uściskiem tego człowieka — nie śmiałabym mu rzucić się w objęcia...

— W istocie jest to coś tak wyrafinowanego... że nie rozumiem cię, Tildo moja, rzekł stary. On ciebie kocha, ty jego... to są przesadzone sentymentalizmy niezdrowe... dzieciństwa! Serca się wasze rozumieją, godzą dusze... czegoż u licha chcecie więcej!

Tilda westchnęła.

— Nie o takim marzyłam szczęściu.

— No, skargi to próżne, trzeba się ograniczyć tem co jest... Zgadzasz się, mów!

— Przeczytaj list jego, odpowiedziała podając mu go i przysuwając lampę, a potem odpowiem.

Samuel wziął papier i począł z uwagą czytać, ona wyszła pocichu do nieoświetlonego salonu z chustką na oczach, dumać i płakać. Gdyby się była umiała modlić?? Jakże czuła w tej chwili potrzebę tego zbliżenia się do Boga, które promień niebieskiego natchnienia ściąga na duszę! Ale ją wychowano bez

Boga — ona ukradkiem tylko, od niedawna, poznała księgę psalmów z której niewiasty izraelskie czytać zwykły i księgę modlitw, którą jej Jakób był przyniósł.

Ale modliła się duszą. Z załamaniem dłońmi chodziła długo tak po sali ciemnej, myślała, walczyła z sobą. Godziż się go odwodzić od ofiary? Jakie to będzie to szczęście które ja mu przynieść mogę??

Nagle wejrzała w górę... głos jakiś wewnętrzny jej szeptał.

— Tyś jego dziecięciem. — Niech wyrokuje ojciec...

Biedna nie śmiała zawsze wyrzec tych słów, które pragnęła by ktoś stanowczo wypowiedział za nią. Wstydziła się sama przed sobą, słabości której uległa, serce jej biło gwałtownie.

— Ten list, zawołał stając w progu sypialni ojciec, potwierdza mnie w moim przekonaniu... ty go możesz ocalić, tylko ty! A ocalić go przed samym sobą, potrzeba, należy, dodał, bądź co bądź, niepraktyczny, dziwak, marzyciel ma jednak coś w sobie co go szanować każe, ma więcej coś niż my wszyscy — głęboką wiarę i trwałe zasady...

— Ojczy, czyżże ze mną co ci się podoba, drżącym głosem pod zasłoną ciemności w której stała zawstydzona, rzekła pocichu Tilda, ja się oddaję tobie, jam dziecko twoje...

I rzuciła się do nóg jego. W Samuelu drgnęło coś — jakby serce... miał jeszcze resztkę serca, ożyło.

— No, więc reszta będzie moją sprawą, rzekł żywo, pisz list natychmiast, chcę go mieć gotowym... pisz że będziesz wolną... Niech postawi za siebie pięćdziesięciu czy stu żołnierzy, a sam wyrwie się z tego zamętu, ratując życie... Mówił to szybko, gorąco, tak jak nigdy nie zwykł był mawiać, sam siebie nie poznawał, ale uczucie które nim poruszyło, dało mu też szczęście jakiegoś, którego nigdy nie kosztował.

Wpuściwszy córkę do pokoju i nakazawszy jej pisać natychmiast do Jakóba, sam na miejscu jej, począł się przechadzać zadumany po ciemnym salonie...

Nigdy jeszcze Tilda nie widziała ojca tak rozpromienionym, zajęтым, rozgorączkowanym.

Odchodząc i całując ją w czoło, szepnął jej na ucho.

— Ani słowa o tem przed Henrykiem, całą sprawę ja prowadzę, żeby ci wzruszeń i cierpień niepotrzebnych oszczędzić, spuść się na mnie...

Wyszedłszy od córki, kazał pan Samuel jechać wprost do Wtorkowskich.

Wieczór był w całym blasku, Muza grała, Moskale obstąpiwszy fortepian trochę przy jego dźwiękach o powstaniu zapominali... Przybyły wcisnął się z ręcznie, cicho do salonu i przywitawszy na uboczu zawsze zasapaną mamę, która asystowała czczym córki tryumfom dość znużona i niespokojna, szepnął jej poufale na ucho, niezwykle do zbytńich ceremonii.

— Jak tylko będzie można... mam z panią na osobności do pomówienia w ważnym dla was interesie.

Stara wstrząsnęła się aż cała, obejrzała po gościach, a że była żywa, ciekawa i bardzo zbiedzona tem położeniem którego końca wyglądała napróżno, natychmiast szarpnęła go za rękaw.

— No to chodź do mego pokoju!

To mówiąc szepnęła coś córce na ucho, ta rzuciła okiem na gościa, coś już odgadła, powitała go uśmiechem ujmując... Wtorkowska przebiła się potem przez gości skinąwszy na pana Samuela aby szedł za nią.

Byli w sypialni samej pani.

— Możemy mówić otwarcie? spytał przybyły.

— Zmiłuj się pan, proszę ja pana, jak najotwarciej.

— Nikt nie podsłucha?

— Uchowaj Boże, podnosząc ręce podchwyciła Wtorkowska, mów pan, mów... co się podoba.

— Moja dobrodziejko, począł gość, ja jestem człowiek prosty, kłamać nie umiem, komedyi grać odwykłem, u mnie każda rzecz jest interesem i jak interes się obrabia, jak najkrócej. Otóż, nietajno mi że Jejmość dobrodziejka jesteście kompletnie zrujnowaną...

— Cichoż!

— Cicho, ale tak jest, nie macie nic oprócz długów... Cała wasza nadzieja na wydaniu córki... O partyą dla niej bogatą, stosowną, nie tak to łatwo. Wiem kogo macie na pierwszym planie.

Wtorkowska zalana gwałtownie potokiem wyrazów do których surowej nagości nie była przywykłą, zmieszana, osłupiała, słuchała.

— Ja przychodzę do Jejmości, mówił nielitościwy gość, w dobrej intencji, z najlepszymi zamiarami, proszę mi wierzyć, ale otwarcie być musimy...

— Ale, proszę ja pana mego, co to pan wygadujesz...

— Wiem co mówię, i powiem wam na kogo głównie rachujecie.

— Ale my mamy kilku! zaczęła przychodząc nieco do siebie Wtorkowska.

— Naprzykład?

— Hrabia Baworow.

— Moskał, goły... a choć z żoną nie żyje ale żonaty... U nich rozwodu nie ma... żona jego do klasztoru iść nie myśli, bo w Paryżu jej jest dobrze. A bez ślubu, zdaje się, córki pani Wtorkowska nie da?

— Ale, proszę ja ciebie, co pleciesz?

— Dalej? spytał Samuel.

— No, pułkownik Sofronow, ten jest okropnie zakochany...

— Tak jak oni się kochają! Ale Sofronow ditto goły, żyje z pensyi i z tego co kradnie. Ma dusz wprawdzie kilkaset, ale na nich tyle długu że starczyłoby na 2, 000. Miły, grzeczny, ale familią, ma dumną, partya nieszczególna. Dalej, moja dobrodziejko?

— Radzca Pikuliński.

— Ale cóż to mi znowu pleciecie! zakrzyknął Samuel, czyż i to ma być pretendent ! Ni z pierza ni z mięsa... stary, z pozwoleniem jak bót głupi...

— A kochany mój, proszę ja ciebie, przerwała Wtorkowska uniesiona zbytnią szczerością, na męża? cóż to szkodzi!

— Jest słusność pewna, rzekł gość, na męża to nawet przymiot czasami — ale najgorzej że Pikuliński na wiosce wartującej dwakroć, ma oprócz Towarzystwa półtorakroć długu prywatnego, co czyni mniej zera...

Pensya... niewielka... Któż więcej? spowiadał Samuel.

Wtorkowska wyczerpawszy zapasy ciężko westchnęła, dalej bowiem nie miała już kogo liczyć prócz pary młokosów vice-referendarzy rady stanu, nie mających nic oprócz tytułików, mundurzyków, protekcyjek i pensyjek, a o panu Henryku teściowi przynajmniej mówić nie wypadało.

— Dla czego pani ze mną nie jesteś zupełnie szczerą, rzekł gość, kiedy ja do pani z ojcowskim usposobieniem przychodzę?...

— Ale bo, proszę ja mego pana, zkadże znowu ta jego czułość się bierze? zapytała stara oburzona nieco niegrzeczną natarczywością, nigdyśmy się tak bardzo nie kochali!

— To prawda i zapytanie jest logiczne, rzekł pan Samuel niezmiészany, powiem ci Jejmościuniu, że może ja mam w tem własny interes, który się godzi i z jej interesem... dla tego przychodzę z taką gotowością na usługi...

Wtorkowska patrzyła nań milcząca.

— Czemu pani, à coeur ouvert, nie wykrztusisz już imienia tego człowieka na którego i wy i córka rachujecie najwięcej, rzekł stary, czemu nic przyznacie się żeście mi zbałamuciły zięcia??

Wtorkowska wstrzęsła się, zmieszana, ale zaczęła rękami machać, bełkotać i widocznie zbiła z tropu.

— Ale cóż to... proszę ja pana mego, ale cóż to gadać... pleść, nie wiedzieć co! ja nie wiem... bywa, no to cóż?... ale... zlituj się... proszę ja pana mojego... drzwi zamknąć nie mogę. — Jejmościuniu, jejmościuniu, ze mną trzeba być otwarcie, los bons comptes font les bons amis, cóż wy myślicie z Henrykiem? mówił śmiejąc się, stary. He? rachowaliście na suchoty Tildy, Jejmość nawet wypytywałaś doktora, ale ona ich nie ma! to darmo! a Henryk wam przypada doskonale boście go doprowadziły do takiego oszalenia z namiętności że gotów w przepaść skoczyć. Otóż, słuchaj Jejmość, córka moja nie może z nim być szczęśliwą... ja go wam odstępuję, bierzcie go sobie, ale doprowadźcież do tego, aby on sam rozvodu zażądał pierwszy. Tilda go nie zaproponuje, ja ją muszę ratować, macie mnie za przymierzeńca, daję wam Henryka na pastwę, róbcie sobie z nim co chcecie, byłem się ja od niego uwolnił... Otóż mój interes, netto!

Wtorkowska osłupiała z razu, potem zaczęła drzeć z radości i puściła się naostatek ścisnąć i całować przybyłego który uścisków niewiast dojrzałych nie będąc łakomy... aż się cofnął przed wylewem wdzięczności.

— Stój, Jejmościuniu, zawołał, przed laty dwudziestu to zapomnienie się byłoby mi bardzo miłym z jej strony, ale dziś spóźniliśmy się! Mówmy zatem na zimno... co myślicie?

— Mój dobrodzieju, poczęła żywo Wtorkowska ocierając obfitą transpiracją którą wywołało wzruszenie, ja bez Muzy nic nie obmyślę... Za chwilę się goście rozejdą... czekaj tu... ona przyjdzie sama.

— Zgoda! ale zapalę cygaro.

— Ale dziesięć kiedy chcesz, zawołała w zapale Wtorkowska wybiegając i zostawując go w swej sypialni zamkniętego.

W salonie jeszcze bawili goście, ale matka dała jakiś znak niepostrzeżony córce przesuając się mimo niej, Muzę w kilka minut potem głowa boleć zaczęła, skarżyła się na znużenie, grzeczni adoratorowie pobrali za kapelusze, w dziesięć minut rozeszli się wszyscy — salon był pusty.

Niepodobna wyrazić z jak gorączkowym pośpiechem, matka natychmiast poczęła wtajemniczać Muzę w treść rozmowy swej z gościem oczekującym w sypialni — zdziwienie córki gdy się o tem dowiedziała.

Stała cała rozpromieniona, uścisnęła matkę, zebrała myśli i śmiało weszła do pokoju. Na progu trochę ją fałszywy wstyd ogarnął, zastanowiła się, zrobiła twarz chłodną i osmutniałą i — wkroczyła poważnie.

Gość ją z rubasnością poufałą pozdrowił.

— No, rzekł, już mama pani mówić musiała o co idzie, mówmy otwarcie i po przyjacielsku.

— A! to rzecz tak bolesna! tak delikatna... tak!

— Dla mnie nic a nic nie bolesna... wesoła owszem, rzekł Samuel, wątpię też by i dla pani miała być bolesną. Delikatna w istocie, traktujmy ją delikatnie.

— Ja tak kocham Tildę!

— Dasz jej pani prawdziwy dowód przyjaźni zabierając wcale niewygodnego męża... który panią kocha i dla niej będzie lepszym...

Muza się zmięszała, zamikła! czuła potrzebę odegrywania wielkiej wstydlivosti.

— Kochana pani, rzekł Samuel, jeśli grać ze mną będziecie tę komedię wstydlivosti, sentymentów, nic nie zrobimy a ja sobie pójdę z niczem. Otwarcie i śmiało. Qui veut la fin, veut les moyens. Zastrasz pani Henryka Sofronowem, ja puszczyć także wieść że się oświadczył, udawaj że się z tem kryjesz... doprowadzisz go do rozpacz. Naówczas nóż na gardło — mów o rozwodzie. Nastręczycie mu Manna na pośrednika do mnie.

— Ale to doskonale, proszę pana mego, to doskonale! zawołała matka.

— Zostawże mi pan to wszystko, odpowiedziała Muza rumieniąc się nieco, plan dobry, jestem pewna, dodała z uśmiechem, że go wykonam nieźle i nie zawstydzę autora... Dygnęła mu weselej.

— Co do mnie, rzekł Samuel, wdzięczen bym wam był, gdybyście z tem wykonaniem się nie ociągały.

— Zrobim co można.

— Jestem pewien, dodał grzecznie gość, że gdy pani zechce tylko, cudu możesz dokazać.... I zalotnie uścisnął rączkę podaną. Jeśli moja pomoc może się przydać na co, proszę mną rozporządzać.

Uklonił się i wyszedł. Matka odprowadziwszy go kilka kroków, wróciła i rzuciła się córce na szyję, płacząc, śmiejąc się, szalejąc. Muza nieco wstrzemięźliwsza w okazach radości, niemniej wszakże była rozpromieniona... Część nocy spędziły na kartowaniu planów na jutro.....

Niedalej jak nazajutrz po mieście chodziła pogłoska że panna Wtorkowska pewnie wychodzi za Sofronowa, Henryk spotkał się z plotką i ruszył ramionami z razu, ale gdy się powtarzać zaczęła, szczegółami opatrzona... nie wytrzymał, poleciał do panny.

Muza przeciwko zwyczajowi przyjęła go zimno, smutnie, z pewnemi restrykcjami w mowie, jakby za język się kąsać była zmuszona.

Henryk postrzegł że coś w istocie mu zagrażało, a był tak roznamiętniony, oszalały, że o wszystkim gotów był dla niej zapomnieć.

Rozmowa drażliwa jakaś, niesforna doprowadziła prawie do poróżnienia i kłótni; Henryk porwał za kapelusz, dano mu wyjść, ale się wrócił od progu, cisnął kapeluszem o ziemię, załamał ręce, był w rozpacz...

Na tę scenę gwałtowną weszła matka jak Deus ex machina, z morałami, z wymówkami, z gniewem za obelgę wyrządzoną domowi, córce, jej...

Słowem wyrosła z tego cała scena niezmiernie patetyczna... Żałujemy bardzo że nie wchodzi ona w ramy naszej powieści, ale czytelnik domyśli się łatwo że odegrana była z naturalnością wielką e con brio.

Henryk rozdrażniony do najwyższego stopnia, gdy mu dano do wyboru albo wyrzec się Muzy lub starać natychmiast o rozwód z żoną, dał słowo uroczyste iż nie tracąc chwili potrzebne kroki poczyni.

Nastąpiło pojednanie, rozczulenie, oświadczenia, nieco łez niewidzialnych ale chustką batystową otartych w porę, po wyjściu zaś matki, pocałunki i rada na ucho, aby oszczędzając sobie przykrości, Henryk użył przyjaciela Manna.

Wprost do niego udał się oszalały biedak, Mann zdawał się już przygotowanym, dał naukę moralną, wyłajał, z błotem zmieszał, ale sprawy się podjął.

Złamany, zmęczony, zbity Henryk powrócił do domu i rzucił się na krzesło czując prawie chorem.

Był u kresu swych pragnień gorących i tu — dziwnym fenomenem psychicznym, ogarniał go jakiś żal, przestach, boleść; prawie się wstydził i przerażał tem co uczynił.

Ideał nowy, gdy o nim marzył i wystawiał go sobie na miejscu Tildy w swym domu, stawał mu przed oczyma groźny i straszny. Z nim razem pod dach namiętna wchodziła walka. Żal mu było cichej Tildy, o którą był spokojnym, którą musiał szanować, dla której teraz w przeddzień rozstania czuł jakieś przywiązanie, przyjaźń... uszanowanie. Nie kochał jej, a żałował.

Ale zawracać się nie czas już było. A szczęście tak teraz wydawało się straszne... z tą córką, z tą, matką, z tym szumem i blaskiem, którymi je otoczyć było potrzeba, z tą niewolą co się obiecywała razem z niemi...

Gdy w domu Wtorkowskiej radość panowała i tryumf śpiewano, Henryk w swoim gabinecie krył się zły i sam na siebie gniewny. Całą noc prawie

przesiedział w krześle osłupiały, marząc. Lazury niebios zachodziły dlań chmurami czarnymi. Była tak płochą! tak zręczną! tak niepochwyconą i tak razem ze swemi wadami zachwycającą. Ostatnie pocieszało.

Nazajutrz rozstrzygały się losy wśród ciszy i tajemnicy. Tilda wyszła do śniadania drżąca i pomięszana, z obawą jakiejś sceny, ale Henryk zimny, skłopotany, nic nie mówił. Patrzył tylko często na zegarek i wkrótce wymknął się pod pozorem giełdy, interesów.

Na obiad przyjechał Mann, w gabinecie, poszeptali coś z sobą tylko po cichu. Wszystko było już skończone, ojciec się zgadzał. Potrzeba było mówić wyraźnie z tą która jeszcze była jego żoną, choć węzły co łączyły już w duszy ich zerwane zostały... Na to się nie mógł zebrać pan Henryk odkładając na później, ona też milczała. Przy obiedzie było parę osób obcych, a pod sam jego koniec nadjechał pan Samuel, w zwykłym humorze, nic nie dając znać po sobie. Pora była piękna, ruszono się od deseru do ogrodu, ojciec wziął córkę pod rękę i wyszedł z nią powoli na przechadzkę.

Kazał jej wziąć kapelusz od słońca. Gdy się zbliżyli do furtki, która wychodziła na aleje, pan Samuel ją otworzył, powóz stał przed nią.

— Przejedziemy się może! rzekł spokojnie, w alejach chłód miły.

Mało mówili z sobą.

Po półgodzinnej przejażdżce, powóz ich zawiózł do pałacyku ojca, stanęli; Samuel całując ją w czoło, rzekł:

— Obejmujesz dawny swój pokój, tam już nie wrócisz, zostań ze mną.

Otoż jak w sposób bardzo prosty wszystko się skończyło, Henryk się nie pokazał więcej, Tilda swobodna, weselsza rozgospodarował się ze swą Angielką w domu ojca, przypominając młodsze lata. Czekala wieści od Jakóba. Ale głucho było i cicho.

W kraju tymczasem wrzała walka, rozżarzała się straszliwie, trwała na przekór wszystkim przypuszczeniom i domysłom.

Wysłano nie jeden ale kilka listów różnemi drogami do Jakóba, ale czy je odebrał, co się z nim działo, nie wiedziano; odpowiedzi nie było żadnej; wszyscy dowódcy oddziałów a nawet prości żołnierze przybrali nazwiska nowe; trudno się było dowiedzieć, rozpoznać w tej mieszaninie najdziwniejszych imion. Tilda smutniała, schła; każde krwawe starcie, klęska, zabójstwo, odbijało się w jej duszy; każdy opis utarczki ja, przerażał — ale w duszy głos jakiś mówił: Bóg go ocali. Teraz już wierzyła w Boga.

Codzień spotykając ojca, szukała w oczach jego pociechy, nie znajdowała w nich przynajmniej powodu do nowej trwogi. Tak przeszedł czas długi, aż do późnej jesieni, wśród milczenia, nadziei, postrachów.

Kraj krwią oblany wił się w boleściach konania, gdy raz o niezwyklej godzinie wbiegł ojciec do pokoju córki, blady, smutny, ale z twarzą spokojną.

— Wybieraj się w drogę, rzekł po chwili, jedziemy dziś wieczorem — Jakób twój ranny leży w Krakowie. Rana nie jest niebezpieczną... oto masz list od niego.

Tilda krzyknęła i zemdląła, ale ją ocuciła radość, a w wieczór siadali na kolej, odbywszy pasportowe formalności i pociąg pędził ku starej stolicy.

* * *

EPILOG.

Było to nie dalej, jak w roku 1865. Dostateczne towarzystwo pań i panów powracające, jak się zdawało, z oglądania sławnych ogrodów Villa Pallavicini pod Genuą, zebrało się w sali znanego nam już Albergo delia Grotta.

Ale tym razem zgromadzenie wyglądało całkiem inaczej niż przed kilku laty. Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można ludzi dostatnich; żadnego z tych biedaków co to z głodu mdleć umieją, których fizioznomia sama niemiłe na kieszeni czyni wrażenie.

Włochy, które niedawno jeszcze heroicznego boju rozbitków wysyłały zebrać o schronienie, chleb, gościnę, odpoczynek i swobodę, pod niebiosa wszystkich krajów — Włochy których emigracja świat przyjmował ze współczuciem dłonią bratnią, potrafiły dobiwszy się niepodległości tak urządzić, że w nich teraz żaden prawie nieszczęśliwy wygnaniec schronienia, przytułku szukać nie mógł. Włochy wyszły na państwo porządne, prawowite, brzydzące się rewolucjami, a jeszcze bardziej rewolucjonistami lub posądzanymi że kiedyśby nimi data occasione stać się mogli.

Sami więc ludzie porządni, za pasportami legalnymi, nie potrzebujący gościny, mający swoje ojczyzny w kieszeni, znajdowali się na teraz w Albergo delia Grotta, a gospodarz spoglądając na nich radował się rozumowi swojego rządu, który z monarchiami wszystkimi już był w tak przyjaznych stosunkach, a talatajstwu i włóczęgom granicę swoją od Szwajcaryi zamknął hermetycznie na klucz.

W tym kątku odosobnionym groty, gdzie mruży cicho fontanna, do którego pospolity tłum docisnąć się nie ma prawa, nakryte było do stołu z wielką troskliwością, dla bardzo jakichś dostojnych podróżnych; gospodarz instynktowo, pewien będąc że się nie omyli, zwał samego pana II Signor Conte, mówił o pani: Contessina.

Dla tego stolika dobyto flaszki najlepszego wina, postarano się o najpiękniejsze owoce, o najcieńszą bieliznę i nieposzlakowane grabki świecące dziewiczym stali polorem.

Ale oprócz tego stołu honorowego inne też zajmowały kupki gości i pojedynczy przybysze, wcale przyzwoitej powierzchowności.

Wszystko te wyglądało zamożno, zamaszysto, dostatnio... same biesiadników głosy dźwięczne, śpiewne, harmonijne, i śmiechy perłowe dowodziły, że ci ludzie do wyborowych należeli, którym na świecie dobrze się dźbiać zwykło.

Z takimi też tylko i oberżystom dobrze!

Signor Gaëtano Firpo zacierał ręce i poprawił czapkę błogosławiąc czasy których dożył.

Dzień był skwarny, opatrywanie cudów villi Pallavicini bardzo nużące, nie sposób po nim odpocząć gdzieindziej wygodniej jak w grocie.

Włochy przedstawiały się w całym blasku oczom podróżnych, morze grało swą symfonią nieśmiertelną, opowiadającą dzieje świata i dzieje ludzi, drzewa szumiały wtórując mu pocichu, pachniały laury, złościły się pomarańcze wśród

liści ciemnych, a powietrze odświeżał powiew od wody, niosący z sobą woń orzeźwiająca słonych fali.

Czuć było wszędzie wesele, a jeśli kto tam jeszcze pomyślał o tej povera Venezia, która w latach nie miała udziału, to pocichu i z rezygnacją z latami coraz rosnącą i umacniającą się.

W owej misternie oddzielonej części groty nad sadzawką, stolik nakryty oczekiwał jeszcze gości, którzy na górze nieco się z pyłu włoskiego otrzeć poszli. Przy innych stolikach już było dosyć pełno.

Przy jednym siedział osamotniony mężczyzna pięknej ale znużonej i pochmurnej twarzy, w którym nawet dobrym znajomym trudno teraz było poznać pana Henryka, co przed laty kilku tak wesoło przebiegał tutejsze gościńce z trzpiotową Gigante.

On to był sam, ale quantum mutatus ab illo! Spieszmy uspokoić trwożliwych czytelników że bynajmniej nie stracił majątku, nie zubożał wcale — postradał tylko humor, ochotę do życia i ów zapał młodzieńczy z jakim niedawno spijał szumiący nektar żywota. — Patrzył on na Włochy nie widząc ich, ziewał, był blady, zamyślony, znękany — i sam jeden... Pismo święte powiedziało: Vue soli, było też mu jakoś bardzo biednie i bardzo smutno.

Drugim przy oddzielnym stoliku był dawniej nam znany cygan Stamlo Gako, jeszcze bardziej znudzony, żółciejszy i czarniejszy niż był, otylszy, ociężalszy, drzemający.

Trzecim naostatek znalazł się tu Gromow, którego chwilowo widzieliśmy w Warszawie z Lucią Colomi, chmurny jak inni, ale z zaciętością jakąś gniewną, na twarzy, dumnie podnoszący czoło jakby się chciał urągać z niedoli. — Pięknej Włoszki już przy nim nie było; sam jeden, bawił się krusząc chleb w rękę, kosztując owoców które gniótł i przez okno wyrzucał — żaden mu się smakować nie zdawał.

Ci panowie siedzieli wszyscy spokojnie poobracani do siebie w cywilizowany sposób, to jest nie twarzami, gdy w dziedziniec zatoczył się powóz tyle obiecujący, że sam gospodarz, służba, wszystko aż do kuchcików wybiegło na jego przyjęcie.

Powóz najęty był w Genui, najwspanialszy z tych które hotel francuzki rozporządzał; znano po woźnicy w grocie, że wozził tylko excellence i tych co po excellencku płacą.

W powozie tym siedziała kobieta w tak szeroko rozpostartej białej sukni, że gdy z jednej strony fałdy jej wychodziły aż na skrzydła powozu, z drugiej okrywały całkiem chudego, suchego, przywiedłego mężczyznę, który u jej boku szczupłe, przez krynolinę wyznaczone mu miejsce zajmował.

Byli to oczywiście mąż z żoną; żona w całym, wspaniałym rozkwicie młodości, wdzięków, elegancyi, z poczuciem swojego bóstwa, jasna, tryumfująca, straszliwa majestatem rozbrykanej fantazyi, i mąż — przykryty fałdami sukni niedarmo, przygnieciony jej wielkością i siłą, zbiedzony, niemłody,

wycieńczony, przestraszony swem szczęściem... coś nakształt rośliny wyjętej z okładek zielnika w którym ją zdusiła ręka nielitościwego zbieracza.

Pomimo tej sprzeczności dwojga istot i oczywistej niższości męża, sługi i wielbiciela, typ mężki był wszakże, choć zawiedły, zasługujący na baczne przypatrzenie się.

Twarz wygolona, niegdyś pięknych rysów, straszliwie była wychudła, nosiła na sobie piętno straconej samoistności; widocznie człek ten czemś potężny czuł jeszcze wielkość swoją — ale ta dziś gasła, dogasała przy słońcu wschodzącem małżonki... obchodził właśnie tą powolną abdykacya...

Rysy oblicza szlachetne świadczyły że pochodził ze starożytnego rodu, to jest ze krwi tych co oddawna rękami na życie, w pocie czoła pracować odwykli. A że próżnowanie uszlachetnia (jeśli nie zezwierzęci), miał chudy człowieczek postawę zręczną, kształty mimo pięćdziesięciu kilku lat przyzwoite, dbale i umiejętnie utrzymywane. W zamian za znikłą młodość, zyskał żywość obiecującą być nieśmiertelną. — Trzymał się prosto, nieco sztywnie, poruszał zręcznie minio zeschnięcia, uśmiechał wesoło choć zdawał się w duszy smutny i zmęczony.

On pierwszy wyskoczył z powozu i z pośpiechem a galanterią młodego chłopca podał rękę królowej, która naprzód pomyślawszy o zgromadzeniu fałdów szerokiej sukni, niedbale poczęła wydobywać się z powozu w którym leżała.

Na widok tej pani, która właśnie naprzeciw okna przed stołem pana Henryka odbywała to z wozu zstąpienie, Segel przez granaty i laury dojrzawszy bóstwo... zbladł jak ściana, rzucił się jak rażony ciosem niespodzianym... Chciał może uciekać, ale spostrzegł że w samych drzwiach spotkać by się musiał z wchodzącymi, stanął więc jak wryty, a po chwili upadł na krzesło z rezygnacją stoicką i uśmiechem szyderskim.

W tej pięknej pani starym znajomym nietrudno poznać ex-pannę Wtorkowską, Mużę, dziś panią baronową von Krieg, żonę bardzo bogatego spekulanta giełdowego, którego narodowości nikt oznaczyć jeszcze nie umiał. Jak o Homera miasta, o Barona mnogie mogły się sprzeczać kraje. Baron von Krieg z pewnością był potrosze życiem, ale o tem wiedzieć nie chciał, słyszeć nie chciał, a nadewszystko starał się by ludzie zapomnieli; niebył Polakiem, to pewna, choć od bardzo dawna w Polsce zamieszkały i z niej pożywne ciągnący soki; nie ze wszystkim był Moskalem, zwłaszcza za granicą, gdzie przed oberżystami za bojara uchodzić wygodnie, bo to obudza uszanowanie, — ale w towarzystwach czyni to człowieka do zapowietrzonego podobnym. Baron von Krieg mimo brzmienia nazwiska nie był też Niemcem, choć liczne z Germanią wiązały go stosunki rodzinne, pieniężne, sympatyczne... Gdzie owo swe baronostwo złapał i za jaką operacyą finansową, o tem nikt z pewnością nie wiedział... Zapomnieliśmy dodać że u płóciennego surducika podróżnego miał w dziurce cały pęczek różnokolorowych wstążeczek, a tylko błagania żony odwiodły go od zamiaru pierwotnego włożenia na szyję orderu orła niebieskiego czy zielonego, którego komandorstwo niedawno był otrzymał.

Zdaje się że dłuższe wykończanie tej fizyognomii byłoby zbytecznym.

Pojmujemy usprawiedliwione zadziwienie czytelników, którzy Muzę spodziewali się ujrzyć zaślubioną Henrykowi, ku któremu tak wielką czuła skłonność — ale, pan Bóg kule nosi; stało się inaczej.

Henryk rozwiódł się dla niej z żoną, oświadczył się, został przyjęty, uchodził tak dalece za narzeczonego, że czasem do godziny trzeciej z rana przy bohdance przesiadywał, słowem był już na stopie przyszłego męża w domu; Muza tryumfowała, popisывała się nim, on się nią uszczęśliwiał, pysznił, gdy raz na przejażdżce Alejami do Łazienek Baron von Krieg ujrzał czarodziejkę. — Znał on dawniej panią Wtorkowską, ale zwykł był jej unikać z powodu że miała zły zwyczaj spoufaliwszy się pożyczać pieniędzy, które potem jakoś zapominała oddawać; panny dawno też nie widział... Świeżo był właśnie owdowiał po raz drugi i dał sobie słowo że słabowitej małżonki nie poślubi...

Muza go zachwycała bujną vegetacyę, która obiecywała życie, zdrowie, siłę... został od razu zachwycony, miłość uderzyła w niego piorunem.

Nazajutrz oddał im wizytę, matka się przestraszyła, Muza zręczna od razu wszystkie możliwe obrachowała następstwa. Baron był dziesięć razy od Henryka bogatszy — i stary!! i Baron!... z niezliczonymi, najwykwintniejszymi stosunkami w świecie kosmopolitycznym i finansowym!!

Dobrze wychowany, postać przyzwoita, dom na wielkiej stopie... partya olbrzymia; Muza przy pierwszych odwiedzinach pojęła wielkość zadania, wysiliła się — zwyciężyła. Padł Baron... chciałem już powiedzieć na wszystkie cztery nogi, ale przypominam sobie że nie miał ich, tylko dwie, dość że padł na twarz...

Przyjechał nazajutrz, pojutrze rano, na wieczór, przychodził codziennie, wesele z Henrykiem dla niezmiernie ważnych powodów odłożonem zostało... koronki z Paryża nie przyszły...

Niecierpliwy Baron von Krieg uderzył na matkę... Nie tała mu, że z Henrykiem było po... zaręczynach... ale jednakże, ułożyłby się było można, skandal tylko i przykrość tego zerwania wypadało opłacić... Wymožono na Baronie zapis znaczny, warunki nader korzystne... wszystko to odbyło się w ciszy, a dopiero rozmyślano o zerwaniu z Henrykiem, który się wcale ostatek nie dorozumiewał i śmiał się z Barona, którego uwielbienie nazywał musztardą po obiedzie.

Tu pani Wtorkowska rozwinęła genialny dar... załatwiania przyzwoitego nieprzyzwoitych spraw.

W przestankach i międzyaktach małżeńskiego żywota, a płomienistej miłości ku Muzie, pan Henryk miewał, obyczajem powszechnym, różne przystępy teatralnych fantazyi. Jedna zwłaszcza powietrzna istota, prozą mówiąc baletnica, stalej go jakoś potrafiła przyszyć do gazowego fartuszka... Od lat dwóch pono bywał u niej ciągle, a złe języki utrzymywały iż węzeł ten, tem się stał mocniejszy, że go niebiosy pobłogosławiły. Starając się o Muzę, Henryk spędzał wieczory u pięknej Frani... wszyscy o tem wiedzieli. Powóz jego widywano przed jej mieszkaniem.

Użyto tego gorszącego postępowania za pozór dobry do zerwania, stara Wtorkowska wystąpiła jako matrona na straży obyczajów u domowego ogniska — mimo burzy, gniewów, namiętności, odgrożek, bo Henryk istotnie rozkochany był w Muzie, a Franię tylko z nudy i nałogu odwiedzał. — Wtorkowska troskliwa o sławę... zmusiła (tak mówiła sama) córkę do odesłania pierścionka. Emusia odegrała rolę biernej ofiary...

A! ten pierścionek zaręczyn... niestety! był brylantowy, sam Henryk się przyznał, w chwili wywnętrzenia, że za niego zapłacił w Paryżu dziesięć tysięcy franków; soliter przepyszny, osadzony małemi uśmiechającemi się brylancikami półkaratowemi... ale trzeba umieć czynić ofiary dla obyczajów i cnoty!! Odesłano go wraz z safianowem pudełeczkiem... Baron natychmiast zaręczył się (pokazano mu ów soliter przypadkiem dla wzbudzenia przyzwoitej, szlachtetnej emulacyi) pierścieniem zapłaconym 25, 000 franków i kupionym u człowieka zrujnowanego, więc wartującym najmniej trzydzieści.

Henryk odprawiony tak obojętnie, uwłaczająco dla jego miłości własnej — był spragniony zemsty, bluzgał, plótl, rozpowiadał niestworzone rzeczy, takie nawet którym nie chciano dać wiary... ale tymczasem Baron von Krieg, który to przyjmował obojętnie, odważnie poszedł do ołtarza... Czysta miłość dwojga kochanków z nad brzegów Wisły została uwieńczoną kwiatem pomarańczowym, i od kościoła państwo młodzi wyruszyli za granicę, bawiąc odtąd w różnych stolicach, wodach i po wszelakich gościńcach. Najsmutniejszy los, najczarniejsza niewdzięczność spotkała nieszczęśliwą Wtorkowską od zięcia i córki. Uznano że nie było sposobu trzymać ją w domu i sadzić w salonie, Baron bez ogródki powiedział przyszłej żonie że była kompromitującą. Córka poświęciła rodzicielkę ze stoicyzmem rzymskim. — Zlikwidowano długi, opłacono je do grosza, a Wtorkowskiej naznaczono pensyjkę dość szczupłą, aby nie podsycać jej marnotrawstwa (w widokach moralnych), zapowiedziano iż nadto grosza mieć nie będzie... i pożegnano ją bardzo grzecznie, dając do zrozumienia iż z córką tylko prywatnie komunikować się będzie mogła. Z razu Wtorkowska, która marzyła o towarzyszeniu Emusi, o podróżach, o prowadzeniu ich domu, osłupiała, krzyczała, protestowała, ale Baron był jak nóż ostry i milczeniem zbył wszystko, niewzruszony. Muza znów odegrywała rolę bierną małżonki posłusznej.

Biedna Wtorkowska odchorowała zawód, ale cóż począć było? Najęła sobie mieszkanie na Podwalu i porobiła stosunki zapewniające wiseczka i ekarte wieczorami, a towarzyszkę zawsze świeżą, młodą i wesołą, czasami dwie nawet... dla odpędzenia nudów. Dom jej nawet dosyć był uczęszczany, choć nikt się nie lubił przyznawać że tam bywał. Sofronow, hrabia Baworow, kilku młodzieży, kilku elegantów starych, pozostali jej wiernymi w nieszczęściu.

Ale to już do historii naszej nie należy.

Można sobie wystawić jak niemiłem musiało być spotkanie Henryka z Muzą dla stron obu — ale mogliż przewidzieć? ktoby się był podobnego trafu spodziewał?

W chwili gdy Baron z Baronową wchodzili do groty, oczy Emusi padły na Henryka, poznała go, zmięszała się, z lekkim okrzykiem chciała naprzód cofnąć; w tem Henryk niezmiernie grzecznie się uklonił, przybrał twarz wesołą, uśmiechnął choć zgniłym uśmiechem... przyzwoitość nie dopuszczała robić historyi... weszli więc Baronowstwo, na uboczu natychmiast stół dla nich przygotowywać zaczęto.

Głuche milczenie panowało w sali..

W tejże prawie chwili dwoje ludzi ubranych skromnie, ale wyglądających na parę bardzo przyzwoitą, z dystynkcyą która nie zawsze samego rodzaju jest udziałem, weszli do owej kryjówki i stołu wcześniej dla nich przygotowanego ze szczególną troskliwością. Był to Signor Conte, ale mówiąc wyraźniej, Jakób i Tilda. Byli tu niewidziani, sami. Tilda uśmiechała się czarodziejskiej grocie, Jakób jej rozповідаł pierwszą w niej bytność swoją. Głos Tildy, która wesoło coś przemówiła śmiejąc się do męża, znowu Henryka raził jak piorun, myślał że mu się przysłyszało. Niepokojny, nie wiedząc z kąd ten dźwięk wychodził, był pewien, drugi raz usłyszawszy go, że się mylić nie mógł. Odrętwiał. Była jakaś fatalność w tem równoczesnem prawie spotkaniu dwóch istot, z których jedna przypominała mu utracony spokój, druga zmarnowaną nadzieję, obrażoną krwawo dumę. Ale nie widział Tildy... głos ten jakby z obłoków spadał i tem przykrzej go raził. Chcąc się przekonać z kąd pochodził, wstał i poszedł do końca groty, gdzie stół i kątek ów ukryty widać było... zobaczył ją i osłupiał znowu.

Oczy Tildy w inną były zwrócone stronę, uśmiechała się do męża, coś mu szepcząc po cichu, Jakób ją w rękę całował. Henryk niepostrzeżony mógł się wpatrzeć; widział ją odmłodzoną, szczęśliwą i piekło w piersi mu zawrzało. Wszyscy byli szczęśliwi! wszyscy, on jeden... Uśmiech szatański, gniewny wykręcił mu usta; powoli wlokąc się z dzikiem wejrzeniem powrócił na miejsce swoje,

Ale srebrny ów głos Tildy nie jego tylko zwrócił uwagę, poznała go Muza także, uderzył jej ucho, odbił się może w piersi; natychmiast po ustąpieniu Henryka, pod pozorem oglądania groty, posunęła się ku jej otworowi.

Poznała przeczutą przyjaciółkę, wykrzyk niecierpliwości z ust się jej wyrwał i doszedł do uszów pani Jakóbowej... zwrócili się oboje i przez sadzawkę, po za murkiem stalagmitów, ujrzeli Baronowę...

Nic ich nie dzieliło... Baronowa usiłując zawiązać dawny przyjazny stosunek z przesadzoną czułością zawołała:

— A! cette chère Tilda! a! Dien, guelle rencontre inesperée, keureuse...

Było to w istocie spotkanie jakie się na świecie trafia rzadko, częściej podobno w powieściach, ale prawda bywa tak czasem nieprawdopodobną!! Los lubi figle płatać w chwilach niespodziewanych... gorsze daleko nad te...

Nie tak, bardzo rozradowała się pani Jakóbową widokiem dawnej ex-pryjaciółki, dla której od niejakiego czasu zbyt nie miała afektu, ale

znajomość ich sięgała epoki szczęśliwej krótkich sukienek, miłe zawsze zostawiającej po sobie wspomnienia.

Przyzwoitość, grzeczność kazała się zbliżyć, Jakób choć zmieszany nieco, natychmiast po wymianie pierwszych przywitań, rozkazał stół przenieść do osobnej sali. Wcale się nie spodziewał że ich tam czeka widok, nowe spotkanie dla obojga przykre, zasepionej twarzy Henryka.

Henryk na złość szczęśliwym siedział jak widmo, choć go bolało i postanowił truć ich do końca przytomnością swoją.

Gdy Tilda spiesząc na spotkanie Baronowej we drzwi sali weszła, Henryk już czatował na nią; zobaczyła go prawie pierwszej niż przyjaciółkę, pobladła, zawahała się, chwyciła rękę Jakóba, ale on mężnie znosząc ten cios, poznawszy Henryka, skinął nieznacznie na żonę, prosząc aby nabrała odwagi. Weszli na salę...

Położenie wszystkich było niezmiernie drażliwe, ale z placu boju nikt zwyciężonym się uznając, uchodzić nie chciał. Tilda cierpiała widocznie, ten cień, to wspomnienie żywe bolesnej przeszłości, o której zapomnieć pragnęła, nielitościwie ją uciskał. Dla Jakóba nieznośnym był widok Henryka, czuł ile Tilda cierpi i burzył się.

Ale właśnie dla tego, że przytomnością swoją dokuczał wszystkim, Henryk jak najuparciej pozostał, z tą złością ludzi zboliałych, pił jakiś rodzaj rozkoszy mściwej, patrząc jak na widok jego twarzy bladły, czoła chmurniały. Z cynizmem rozpaczy udawał wesołego, kazał sobie podać wina, wychylił duszkiem szklanekę, zapalił cygare i powitawszy Jakóba i żonę jego, zasiadł przyglądając się dawnym znajomym, piec ich wzrokiem i uśmiechem.

Baronowa ze zręcznością sobie właściwą, niby go nie widząc, niby zupełnie obojętna, choć drżała z gniewu i strachu, poczęła się sama krzątać około połączenia obiadów; małżonek ją wyręczał udając zwinnego i pełnego krzepkości młodzieńca, choć pod nim nogi dygotały. Rozumie się że dla Jakóbowstwa był grzecznym bardzo, ale o jego charakterze powstańczym nie wiedział jeszcze, boby go to było odstraszyło, widział w nim tylko to, co się zowie w języku salonów un homme du monde.

Słudzy natychmiast przenieśli z zakątka groty przygotowanie obiadowe do sali, pozsuwano stoły i wspianiałe brodo ukazało się na pierwsze danie.

Henryk widmo, siedział jak przykuty; cieszyło go, że jak cierń im w nodze zawadzał: coraz stawał się weselszym.

Tilda co chwilę uciekała się do wody postawionej przed nią, nie śmiejąc oczów podnieść, aby szatańskiego wejrzenia nie spotkać. Baronowa paplała żywo, wiele, a w gorączkowym jej głosie czuć było rozdrażnienie nerwowe kobiety, która się wysila, i cierpi i gniewa. Pomimo chłodu i panowania nad sobą, cała była drżąca.

Baron równie nieprzyjemnie rażony został widokiem Henryka, który mu wiele dokuczył, z którym gwałtownie zerwał, którego nienawidził, ale na to był Baronem von Krieg, aby nie pokazywać nigdy co się działo w duszy. Z tytułem

razem otrzymał gratiae status, chłód i dystynkcją arystokratyczną. Kto go lepiej znał, mógł po tem jednym poznać zakłopotanie, że mu chwilowo zasychało w gardle i silnie odkasziwać musiał, aby przyjść do głosu.

Zanosilo się tedy na scenę bardzo dramatyczną, ale wybuchu nie można się było lękać mając do czynienia z ludźmi przyzwoitymi, którzy, jak dobrze wychowane bonończyki, nigdy w salonie żadnych się nie dopuszczają nieprzyzwoitości.

Porównanie to nie jest wcale złośliwem, nie uwłacza ono nikomu, bonończyk jest istotą szlachetną...

Podano więc brodo, ale mimo jego zalet, oryginalności zupy w której nie było polewki, mimo głodu po podróży, nikt apetytu nie miał, łyżki puste chodziły od ust do talerzy, dla formy. Za to rozmowa gorączkowo się ożywiała.

Gromow temi wykrzyki rozbudzony z zadumy, popatrzał na stół, przypomniał Jakóba, a poznając go, pełen zdziwienia wlepił w niego oczy.

Cygan się już od kwadransa uśmiechał, przypomniawszy także spotkanie przed kilku laty.

Lecz jakże inny teraz był nastrój umysłów i rozmowa!

Gromow siedział długo zapatrzony, aż i Jakób go wreszcie dostrzegł i poznał, skinął mu ręką, witając po włosku.

— A! zawołał, co za traf, wy znowu tutaj!

— A znowu! odparł Gromow, jak widzicie i nieweselszym jak przed laty.

Baron niespokojny zapytał Jakóba pocichu: kto to jest?

— Rosyanin.

Baron lubiący bardzo Rosyan, szczególnie dystyngowanych, a dobrze położonych u dworu już był gotów robić znajomość, gdy Jakób dodał z cicha: Un proscrit!

To wstrzymało Barona, który był człowiekiem porządku i nie wdawał się nigdy z tego rodzaju awanturnikami; z ukosa nań spojrział, poczuł jakieś zakłopotanie i w duszy sobie rzekł:

— Mais gue suis-je venu faire dam cette galèse?

Pocieszyło go to że przecież wiecznie tu pozostać nie mieli.

— Państwo także podróżują? zapytał Baron Jakóba.

— My, z musu, odpowiedział Jakób, ja byłem... w powstaniu, zostałem rannym, z Austrii kazano mi wyjechać, szukam gdzieś spokojnego kąta, gdziebym mógł do sił przyjść trochę. Nie jest to dla nas tak łatwym jak się zdaje. W ogóle, wyjąwszy jedną Szwajcaryą, nigdzie nas tak bardzo gościnnie nie przyjmują. W Saksonii ledwieśmy chwilowo cierpiani, we Francyi jest nas za wielu, w Bawaryi nie zawsze, nie wszystkim zostać wolno, w Belgii też siedzimy na łasce nowego prawa, które dozwala wygnać każdej godziny.

— Tak, ale pan zapewne, rzekł Baron spieszenie, uregulujesz swoją pozycyą, rząd rosyjski jest bardzo wyrozumiały, dozwala chętnie powrotu... Spodziewam się że pan nie należałeś do żadnej organizacyi, więc z łatwością pozwolenie otrzymasz powrotu do kraju...

— Być może iż otrzymałbym to pozwolenie gdybym się o nie starał, rzekł Jakób
— ale cóż ręczy że przebaczenie dzisiejsze rozciągnie się do jutra? Niestety!
żadne tam prawo stałe nie istnieje.

Baron się zmarszczył.

— Stan wojenny, wybąknął, naturalnie... ale to z czasem ustać musi.

— Potem, dodał Jakób, ta prośba o powrót jest zawsze uznaniem winy; naostatek, możnaż dziś z zimną krwią patrzeć na ten stan kraju, nie będąc w stanie nań radzić — skazanemu na bezczynność, lub co gorzej na działania przeciw przekonaniu?

Baron był niezmiernie zafrasowany, szczęściem Gromow z daleka do rozmowy się wmięszął.

— A nie przepowiedziałem wcześniej tego co się stało? rzekł ponuro, nie błagałem ja ażebyście tę nieszczęsną rewolucją wstrzymali?

— Nie było to w mocy niczyjej, rzekł Jakób, nikt jej nie pragnął, zdaje się że w przeznaczeniach Polski było aby tę krwawą przecierpiała łaźnię. Jest w tem palec czy kara Opatrzności!

— A! a! wy wierzycie jeszcze w Opatrzność, zawołał śmiejąc się Moskał, ludzie niepoprawieni i dziecinni. Mniejsza już o to żeście zgubili siebie, ale nas i Europę... tak jest... Patrzajcie co się dzieje, badajcie i rozważcie skutki waszego nierozsądnego porywu. Cała polityka stanęła na tem zwycięztwie, nogą na karkach waszych. Pierwsi wy obnażyliście słabość Anglii, nicosić Francyi i spodlenie ostateczne nawet uczucia moralnego ogółu. Po upadku waszym na gruzach podniesiono raz pierwszy chorągiew bezwzględnego, cynicznego egoizmu w polityce. Dawniej czyniono źle ale był wstyd, Francya nie robiła nic dla Polski, ale wotowała corocznie protestacją, teraz coroku wnoszony protest ten pada i świadczy że się nie wstydzą, wyznawać system bezduszny (1). Siła górą! Siła przed prawem!! Europa przyjmuje to i słucha.

Dawniej drgała jakaś fibra w ludziach na słowa wielkie: swobody, szczęścia narodów, braterstwa ludów, dziś się wszyscy z tych brzmiących wyrazów trefnie naigrawają; dziś to co było wczora sympatycznym, szlachetnym, wzniosłym, stało się po prostu śmiesznym. Lord Byron walczący za niepodległość Grecyi stał się karykaturą, Don Quichottem.

W Ojczyźnie jego mówią otwarcie w parlamencie: nie zrobimy nic dla nikogo; ludzkość niejest rodziną, nie jest solidarną, każdy u siebie, każdy dla siebie, każdy sobie.

(1) Co gorzej, corocznie przychodzą petycye przeciwko przyjmowaniu Polaków do służby publicznej, a sprzymierzeńcy Budberga ich bronią! P. A.

Okrucieństwa i bezprawia których wy padacie ofiarą, Polacy, uznaje Europa za doskonały środek polityczny zjednoczenia, gwałty nazywa surową sprawiedliwością, odjęcie wam praw człowieka, wolności sumienia, wiary, języka, nieposzanowanie własności, potarganie węzłów rodzinnych, — uważa

się za polityczną konieczność. Oto są owoce gorzkie waszego powstania. Jeśli nie wszystkie one zrodziły się na tem drzewie, niemal wszystkich przyspieszyliście dojrzałość.

— Panie, odparł Jakób, jest to droga sromotna i bolesna, ale ludzkość przechodzi te gościńce, aby do swych celów dobiegła.

— Wierzę, zawołał Gromow, ale to są słowa nadziei dla przyszłych pokoleń, a nam! nam co zostało! My więc nie ujrzymy słońca swobody, my się u jej źródła nie orzeźwim; naszym udziałem patrzeć nietylko na poniżenie rodu ludzkiego ale na zdeptanie prawdy Bożej. Baron cicho szepnął do żony.

— C'est un rouge enragé! Mimo gwałtowności tych wykrzyków Moskala, mało kto z towarzystwa nie cieszył się odwróceniem na nie uwagi, odciążeniem od drażliwszego przedmiotu rozmowy. Ale niemy dramat wejrzeń pod pokrywką, udanej obojętności się odegrywa! Henryk milczał dotąd kłapiąc wargi.

— Za pozwoleniem, rzekł mieszając się do rozmowy, na świecie wszystkie głupstwa się opłacają czy je popełnia człowiek czy naród; to co Polska cierpi na to zasłużyła... Moskale mają prawo powiedzieć: odwołaliście się w sprawie do pięści, macie pięść! Wszystko coście chcieli nam uczynić, odrobimy na was.

— Przepraszam pana, przerwał Jakób, Polska nigdy nic podobnego Moskwie uczynić nie chciała; dopominała się o swoje, o to co jej należało, co jej wydarło. W powstaniu Polacy tysiącokrotnie dawali dowody najłagodniejszych usposobień; puszczano jeńców, uwalniano oficerów, oddawano prywatną własność.

— To były głupstwa wasze! zaśmiał się Moskal, nie ma się czem chwalić. Zawsze wy występujecie z temi heroizmami. A jutro puszczony oficer wieształ powstańca co go uwolnił.

Umilkli na chwilę, Jakób rzekł cichszym głosem:

— Nie pora jeszcze może, sądzić o wypadkach, dramat to niedokończony, skutki jego nie pełne, jest zaś tak potężny że następstw jego myśl objąć nie zdoła. To co p. Gromow mówi o wpływie na Europę, jest, niestety, prawdą, ale są inne skutki o których przemilczamy, bo mniej widoczne kryją się z przed oczów naszych. Krew ofiar nie spłynie darmo. Mimo okrucieństw i pogwałcenia praw wszelkich, na Litwie, w Rusi, w Polsce; mimo nieopatrności rządu, który środków najniemoralniejszych używa z zuchwalstwem siły co sądzi że wiecznie będzie panią — skutki moralne rewolucyi tej

i klęski nie dają się jeszcze ocenić. Bo co dobre i co wielkie rośnie powoli. Widok tego co się z nami dzieje, mimo antidotów patryotycznych, podziała na Rosyą, zaszczepi w jej łonie myśli, uczucia, rzuci nasiona prawd nowych, krwią, naszą podlejemy przyszłość ich i swoją.

— Przepraszam pana, panie Jakobie, odezwał się Henryk, ale widzę że pan jakoś ciągle identyfikujesz siebie z Polską. My, Izraelici, popełniamy przez to wielki błąd, narażamy się na prześladowania, obudzamy nieufność, gdy pora właśnie najlepsza o władnię stanowiskiem korzystnem. Rosya nas potrzebuje, wyciąga rękę, głupibyśmy byli żebyśmy jej nie posłużyli za materiał.

Baron miał już głową kiwnąć, ale szczęściem w porę sobie przypomniał że od bardzo dawna żydem być przestał... zatopił się więc w rybie morskiej, którą właśnie podano.

Rozmowa wstępowała na grunt ogólny bardzo szczęśliwie, wszyscy byli temu radzi, każdy się lękał osobistości, przymówek, żarcików.

— Panie Henryku, odparł spokojnie Jakób, bardzo rad jestem że poruszasz tę kwestyą żywotną. Wiesz jak mnie obchodzi godność mojego narodu, jego losy, obowiązki, przyszłość; jest to przedmiot ważny o którym z chęcią się rozmówię obszerniej. Wszak pan powracasz do kraju?

— A! naturalnie, rzekł zagadnięty, po co te włóczęgi? do czego te emigracje? Każdy obowiązany jest pracować na tem polu które mu urodzenie wyznaczyło. Źle być może w Polsce, ale to nie uwalnia od obowiązków.

— Zupełnie się z tem zgadzam, odpowiedział Jakób, chyba dla ocalenia życia, przekonania, dla uniknięcia męczarni nad siły, można pozostać w emigracji. Jednak nie mówcie by ona z pewnego względu nie miała swego celu i znaczenia.

Ztamtąd gdzie nie ma swobody słowa, emigracja unosi z sobą cześć prawdy i prawa, w imieniu ich protestuje. To jej cel główny, najważniejszy, jedyny. Jest ona świadectwem naszej niedoli przed Europą.. — Ale do czegoż się to zdało, przerwał Henryk, zebrać tej europejskiej litości i współczucia. Europa o nas wiedzieć nie chce, znać nie chce, opinia przeciwko nam, a w dodatku rozterkami naszymi dajemy się na szyderstwo obcym gorszące. Zabijamy się w opinii, która tylko pozoru do zabicia szuka.

W części masz słuszność, w części nie, odparł Jakób, są ludzie zmuszeni do tułactwa; czeka ich Sybir, szubienica lub katorga od Moskali, dalej wiekuista rządu niewiara... upokorzenie, spodlenie.

Co się tyczy zgorszeń, w istocie jest ich mało, a ta szuja co ich szuka, co je głosi, opinii nam nie odbierze, bo sama zasługuje na pogardę.

Aby nie zaprzeć się prawdy, dodał Jakób, iluż głód cierpi i wygnanie...

— Pan rewolucyą nazywasz prawdą? podechwycił Henryk.

— Nazywam ją nieszczęściem, ale usprawiedliwionem trzydziestoletnim uciskiem... Była nieobrachowaną, fatalną, nierozumną, ale występłą nie była... Prawdą nazywam to co mówię tu, a czegobym tam wyznawać nie mógł...

— Co się tyczy rewolucyi, przerwał Gromow, powiem co z innego powodu wyrzekł niedawno Lord Russel — był to gorzej niż błąd, było to głupstwo.

— Ale to była — konieczność — odparł Jakób. Rosya podzegała do niej uciskiem nieustannym, upokorzeniami, dzieci nasze hodowała pielęgnując w nich ducha rewolucyi najwymyślniejszymi środkami, skrępowaniem umysłów, doktrynami co wszystko walą a nic nie budują. Naostatek nie mogąc się doczekać upragnionego wybuchu, postąpiła sobie tak, aby go uczynić koniecznym. Dostyc przypomnieć w jakich warunkach zrobiono branke, jak mówiono o tym wrzodzie, który miał pęknąć...

— Ale powrócimy do żydów, przerwał Henryk, bo ja ich sprawę od polskiej oddzielałam.

— Ja nie, rzekł Jakób.

— Żydzi, dodał Henryk, są dziś panami położenia, wszystko co im chciał dać naród, rząd skwapliwie potwierdził; szlachtę zduszono, ucisk najmniej dotknął Izraelitów, bo ich kapitały są najmniej dostępne. Zostali więc jedni ze środków stosunkowo wielkimi, w kraju ogołoconym ze wszystkich... Rząd widzi to dobrze, pozwoli i żąda abyśmy zajęli miejsce opróżnione przez szlachtę, woli mojżeszowych niż katolików, trzeba korzystać!

— Żywotne zagadnienie w istocie, odpowiedział Jakób, ale przed nim idzie pytanie — Czem są dziś żydzi w Polsce? obywatelami kraju, czy pasożytami i kolonistami? — Rozwiązanie jego wskazuje nam nasze obowiązki. Jeśli jesteśmy obcy, przybysze, pasożyci, pilnujmy interesu własnego tylko; jeśli obywatele... na barki nasze spada brzemień ogromne. Myślmy jak je dźwigniemy. Nikt z nas nie przyzna się by był tu jeszcze przybłądą z kramikiem i włóczęgą; mamy więc obowiązki względem ziemi, współobywateli, ludu, kraju, nawet pamiątek jego i przeszłości. Jakób wyrzekł to z prawdziwym natchnieniem, ale znać było że oprócz Henryka, który rad był się z nim sprzeczać i zbijać go, wysoki ten nastrój rozmowy poczynął nużyć i niecierpliwie wszystkich. Tilda tylko słuchała z uwielbieniem dla ukochanego, Baronowa z roztargnieniem, Gromow obojętnie, Baron niespokojnie oglądając się czy kto nie podsłuchuje.

— Bardzo to zręcznie pan wyprowadziłeś, rzekł Henryk, ale wątpię ażeby większość współwyznawców zgodziła się z panem na obowiązki i chciała je zrozumieć. Wzięci jako naród, chociaż rozpieczę, składamy się z rozmaitych warstw ludzi; nie wszyscy możemy się policzyć do inteligencji, a w krew naszego pospolitego ludu wszczepione jest rozumne samolubstwo zachowawcze, które przedewszystkiem szuka własnego interesu.

— Dotykasz pan już, przerwał Jakób, nie kwestyi żydów w Polsce, i nie tych żydów o których ja mówiłem szczególnie, mających wykształcenie większe i środki, ale w ogóle kwestyi narodu naszego na całym świecie. Zgadzam się chętnie na przeniesienie jej na to pole. W istocie i dla nas też rozstrzyga się dziś zadanie życia lub śmierci. Wieki przywilejów ustały, ustały z niemi epoki wyłączności, parjasów, przesądów krwi i plemion. Wszędzie prawie przypuszczeni jesteśmy do praw obywatelskich, do równości z chrześcianami, mamy na wsze strony otwarte pola do słowa i czynu. Mamy w rękach część znaczną prasy, środki do podtrzymania jej i kredyt całej Europy, to jest byt państw, pokój, wojnę, niewolę i swobodę. Doszliśmy do tego stanowiska niechybnie przeważnego w Europie, czem? — niedolą, szkołą ucisku i prześladowania, które w narodzie silnym wyrobiły i wady wielkie i wielkie przymioty. Winniśmy to wyłączeniu nas z ogółu, które skupiało; nękanii, które hartowało; pogardzie, która odosobniała; — nareszcie wyrobionej tem wszystkim miłości swej narodowości, wiary, pamiątek. W nich długo całą, znajdowaliśmy pociechę.

Niewolnicy na łaskę oddani ciemieżcom, heloci, zbieraliśmy grosz, aby się nim wykupić oprawcom, grosz, który się dzisiaj stał orężem naszym, gdyśmy porówni z katem stanęli u uczty życia.

Położenie dzisiejsze wkłada na nas ogromne obowiązki. — Nie łudźmy się i nie zapierajmy tego prawa, które pierwszy dał nam prawodawca — pamiętajmy że tylko czyny zgodne z moralnością prowadzą do żywota, do szczęścia, do chwały... krzywe drogi często są różami słane, ale wiodą do przepaści, w których giną narody.

Pokolenia są niczem — te zgniecione być mogą, niesłusznie przez dzikich oprawców — ale zemsta Boża przychodzi choć późno... a zawsze przychodzi.

Od. postępowania naszego dziś w świecie, w Polsce, zależy przyszły byt Izraela... lub zlejemy się z pogany dzisiejszego wieku — i zginie, albo po nad nich wyrośnie siedmioramiennym świecznikiem.

Im większe siły tem straszniejsza odpowiedzialność — chciałem powiedzieć przed Bogiem — ale wiem że na to uśmiechnie się wielu — więc przed prawem nadanem światu, które jest niezłomne.

Możemy pogwałcić to prawo, nie spełnić obowiązków, pójść ślepo za interesem chwili — ale to nam nie ujdzie bezkarnie. W Polsce także spełnienie obowiązków naszych rozstrzyga o przyszłości żydów — Polska wydana na łup sile, która nie zna ograniczenia i buntuje się nawet przeciwko idei moralnej ilekroć ona jej staje na drodze, mamy do wyboru cierpieć z narodem za prawdę, lub stanąć po stronie fałszu i ucisku, pokłonić się Baalowi, Poddawszy się mu, służąc za narzędzie... będziemy nieochybnie pochłonięci, pożarci; wspomagając, ratując, cierpiąc... okupujemy sobie przyszłość świetną i wielką.

Położenie Polski dzisiejsze z żadnego narodu współczesnego losem porównać się nie daje... Szał unifikacji opanował Rosyą — nazwano sobie patryotyzmem tę zdradę kraju, która mu nieprzejednanych robi nieprzyjaciół, lub krocie ludzi z niego wyrzuca, jak Tatarów z Krymu, jak z Kaukazu Czerkiesów, jak Polaków z Polski.

Nie dosyć na tem, cały świat zagarnięto w przymierze przeciwko żywiołowi polskiemu; sąsiednie mocarstwa idą za polityką Rosyi posłuszne, zaślepione; inne które umiano przestraszyć rewolucją, choć z litością pozorną, nękają pocichu, podstępnie gniją nawet nieszczęśliwe wychodztwo. Jest to bezprzykładne, straszliwe — ale jeśli kogo to nas powinno obudzić do serdecznej litości, współczucia i pomocy... Uznani braćmi, powinniśmy się nimi pokazać w istocie; bądźmy nieszczęśliwym pomocą, pociechą, ratunkiem, nie odestępujemy ich w chwili znękania... to nasze zadanie dzisiejsze!

— Romantyczne! poetyczne! heroiczne! prześliczne! rzekł Henryk śmiejąc się, ale nie ma w Polsce trzech ludzi, którzyby to zadanie tak pojmowali jak pan... a wszyscy je widzą zdrowo jak ja. Naprzód zawsze: prima charitas ab ego... potrzeba nam ocalić siebie, a więc zmuszeni jesteśmy zerwać z Polską, co nam łatwo, bo silne węzły nas z nią nie łączyły; powtóre, powinniśmy wypotrzebować, zużytkować położenie nasze... skorzystać zeń.

— Powinniśmy utrzymać stanowisko, zyskać siły, przerwał Jakób — ale to nam wcale nie przeszkadza spełnić zadanie jak ja je rozumiem.

— Przeszkadza... szlachta była, jest i będzie nam nieprzyjazną.

— Przeczę temu, odparł Jakób.

— Ja utrzymuję że tak jest, sprzeczał się Henryk — bo ja jej nienawidzę, bo jej nie cierpię, bo pamiętam jej upokorzenia ojców naszych... bo...

— O panie! zawołał Jakób, uderzmy się w piersi licząc cudze grzechy, a myż bez winy?? Stali arendarze ojcowie i dziadowie nasi u progu magnatów ich dziadów; ależ spojrzcie na przedpokoje dzisiejszych krezusów naszych, na miny pokorne tych panów herbownych, którzy w nich z lokajami wespół na audyencyą czekają. Nie oddaliżemy już upokorzenia z procentem? nie nasyciliżemy brzydkiego zemsty uczucia? Noblesse oblige, mówiła szlachta, ja powiem inaczej, toute force oblige. Jedni chyba Moskale mogą tego nie rozumieć że kto siłę ma bez szlachetności, wspaniałomyślności, łagodności, ten nie Bożą ma siłę, ale bydłęcą... To co zowiemy pomstą, a co się powinno nazywać sprawiedliwością, zostawmy Bogu, bądźmy nie drobnymi zjadliwymi stworzeńkami, ale ludźmi wielkiego ducha.

Walka nasza z chrześcijaństwem, jeśli istnieje jeszcze, na tem stoi byśmy przekonali chrześcian iż moralność nasza od ich moralności niższą nie jest, że wielkie prawdy miłości bliźniego, ofiary, braterstwa, zapisane są już w naszym zakonie; że to co w nim na pozór się im przeciwi, dorzuciły wieki ciemnoty i ludzkie namiętności...

Zamilkł, Henryk śmiał się i ruszał ramionami.

— Wszystko to słowa, rzekł, fakta dzisiejsze kłam waszym teoryom zadają... Od pogwałcenia Polski nowa idea zapanowała Europie, jak ten pan słusznie powiedział: Siła przed prawem; — i druga: każdy dla siebie; i trzecia: interes materyalny. Z wielkich mrzonek, o swobodzie, braterstwie itp. zostały tylko suche kości, nikt ich nie wskrzesi... Jakób się uśmiechnął.

— Gdyby ktoś z was czytywał jeszcze księgi święte, przypomniabym mu owo widzenie Ezechiela... ono pole usłane kośćmi suchemi, na które tchnął ducha Pan i oblokły się ciałem i stały się olbrzymów zastępem, ale...

Obejrzał się Jakób, w istocie wspomnienie o widzeniu Ezechiela skutek zrobiło dziwny, wszyscy udawali że nie słyszą... stawał się tak kompromitującym, że mu ucha dać nie chciano.

Musiał zamilknąć.

Z uśmiechem dobrodusznym zwrócił się do żony i rzekł:

— Nieprawdaż że Włochy są cudowne!

— Nigdy mi się tak wspaniałemi, tak uroczeni nie wydawały.

— A pani jak je znajduje? zapytał Jakób Baronowej.

— Ja, przyznam się panu, że szanując tradycje które nakazują mi je widzieć pięknymi; muszę im przyznać nader malowniczą fizyognomią, ale... nie mogę powiedzieć szczerze aby ten kraj pusty, zniszczony, zawalony gruzami, żyjący

na grobowiskach, przyjemne na mnie czynił wrażenie. Ja prozaicznie, wolę Paryż.

— To herezya w istocie! zawołał Jakób, Paryż jest czemś tak antypatycznym.

— A! godziź się to mówić! krzyknął Baron.

— Przepraszam, odparł Jakób, ale dla ludzi różnych, jak dla innych istot, są kraje właściwe, dla nich stworzone. Z tęsknotą, poezją, smutkiem w duszy trzeba jechać do Włoch, z prozą żywota ubraną w kwiatki do Niemiec, z przemysłem do Anglii, z weselem i żądzą życia i użycia, do Paryża.

— No? a do nas do Polski? podchwycił Henryk urągająco. — Do nas, z pragnieniem męczeństwa i podniesionym ducha nastrojem, rzekł Jakób. — Słusznie jednak dziś śmieją się z tej polskiej teorii męczeństw i bezrozumem ją nazywają, przerwał antagonistą.

— Wiem, rzekł Jakób, ale pan Bóg ma swą teorią od której dla ludzkich szyderstw nie odstąpi...

— A! uroczy Paryż! szepnęła Baronowa. Mąż potakiwał z uśmiechem.

— To pewna że męczyć się można wszędzie, rzekł, ale się żyje tylko w Paryżu, no... a może trochę w Londynie...

— Zimny i mglisty! zarzuciła żona.

Henryk wśród tej rozmowy niekoniecznie idącej gładko, dosiadywał uparcie, poglądał na zegarek, potrzebował jechać, ale dwie te kobiety, przykuwały go do miejsca... Poił się goryczą ich widoku, oderwać nie mógł.

Dano mu znać że veturyn jego czekał, kazał go odprawić. Tymczasem obiad zbliżał się do wetów nieuchronnych, do fig, twardych gruszek, zielonych winogron i nadgniłych brzoskwiń.

— Mój Boże, rzekł Baron, cóż to za porównanie tych nędznych owoców, pod takim klimatem, do podawanych w Paryżu... tego nawet w usta wzięść nie można....

— C'est abominable! dodała Baronowa.

— Państwo jedziecie do Genui? spytała Muza Jakóba.

— Tak pani, ale nie dziś jeszcze....

— My musimy tam być przed wieczorem... jedziemy dziś na teatr, ciekawa rzecz jak tu na prowincyi śpiewają.

Zaczęto powoli ruszać się od stołu, Muza odciągnęła na bok dawną przyjaciółkę, aby z nią trochę pomówić sam na sam.... Baron podał parę cygar Jakóbowi, a nawet Henrykowi, ale mówić o czym nie miał, nie chciał czy nie raczył... Pilno mu było wyrwać się z tego ukropu, który go parzył ze stron wszystkich... Henryk siedział a siedział na złość. Gromow z cyganem zeszli się na osobną pogadankę i gwarzyli. — A! kochana Tildo? spytała Baronowa odprowadzając ją w ciemny labirynt groty, jestżeś szczęśliwą?

— A! nad wyraz wszelki... szczęśliwą o ile człowiek być może.... Moje życie zatruwa tylko wspomnienie ogólnych nieszczęść kraju... myśmy wygnańcy... co krok spotykamy nieszczęśliwych braci... znajomych, ziomków.

— A! moja droga, obojętnie rzekła Baronowa, człowiek się o to nieustannie, wszędzie ocierać musi.... Ale Jakób...

— Jakób jest najlepszym z ludzi. Jakób jest dziś więcej niż kiedy ideałem moim.

— A widziałaś, dodała ciszej Baronowa, tego okropnego człowieka... Henryka. Jestem odważną ale patrząc nań zimnym oblewałam się potem... zdawało mi się że z nożem porwie się na nas....

— O! odpowiedziała Tilda smutnie, nie jest tak popędliwy... a wiele, wiele przebaczyć mu trzeba, bo cierpi...

— On! on! rozśmiała się Muza, o! ja go znam lepiej, bardzo się łatwo i niewymyślnie pociesza....

Zamilkły.

Baron który pragnął uciec ztąd jak najprędzej, zarządził po cichu małą intrygę.... Powóz zaszedł proprio motu, mąż zaczął zbierać gałganki żony, pakował się, zawijał, chrząkał, mówił głośno... dwie kobiety wyszły nareszcie z cieniów grotu.... Pożegnanie było krótkie, Henrykowi skłonili się z daleka, on im; Jakób z żoną odprowadził ich do powozu....Świetna gwiazda znikła w tumanach kurzawy gościńca.

Henryk siedział uparcie, wiedząc że przytomnością swą dokuczać może, ale Tildę Jakób odprowadził na górę, a sam nie rychło, nie chcąc okazać wstrętu i obawy, zszedł znowu do grotu.

Zapalono cygara, zbliżył się cygan także, Gromow przysunął, gwarzyli.... Henryk przybity nie mieszając się do rozmowy, nie ruszał się wszakże z miejsca.

Ograniczyła się więc pogadanka na ogólnikach między Jakóbem, Gromowem i cyganem, który się jak zawsze przeraźliwie nudził i dowiadywał tylko czemuby mógł rozerwać. Gromow widział przyszłość czarno.... Jakób jeden był spokojny.

— Człowiek, rzekł wysłuchawszy narzekań, nigdy rozpaczać nie ma prawa. Jeżeli mu chodzi o los jego własny, to małość ducha, to dziecięcy płacz nad skaleczonym paluszkiem; jeżeli o ludzkość, to ślepotą. Jest w dziejach ciąg rozumny, który głupotę i złość ludzką przełamać musi. Ludzie po swojemu kierują sprawami świata, ale nie są w stanie złamać jego prawa i losów przemienić. Trzeba czekać a burze przejdą....

— Ale nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje! rzekł Gromow. — Nasze oczy, może, ale oczy dzieci naszych widzieć będą słońce.... Nie jesteśmy człowiekiem ale ludzkością, w losach pojedynczej jednostki nie ma tej całości jaka jest w dziejach, jednostki są to kamienie budowy....

— Zaprawdę, przerwał w tej chwili Henryk wstając, pan, panie Jakóbie, jesteś ze wszech miar człowiekiem szczęśliwym; masz wiarę, cel w życie, spokój, no — i na niczem ci nie zbywa.

— A pan? nie możesz pozyskać tego wszystkiego?

— Nie, odparł Henryk, ja życie wycisnąłem jak cytrynę, smaku w niem nie ma, została łupina, żyję bez celu, nie wierzę w nic, wszystko niemal śmiesznem mi się wydaje... choroba wieku. Pańskie mrzonki lepsze są od rzeczywistości.

— Ale ja ich wcale nie mam za mrzonki, odparł Jakób, dla mnie są one rzeczywistością żywą, a wasz ten realizm trupem i zgnilizną... Daruj mi pan, wracasz do kraju, jest tam wiele do czynienia, chciej, żądaj, śmieję, a natchniesz nowym duchem życie swoje....

Henryk śmiał się ale boleśnie.

— Pojadę, rzekł z cicha, ale nie do kraju jeszcze, i nie po to co wy mi radzicie tak zbawiennie, mam teraz co innego do roboty — Zgadnijcie?! Ruszę w ślad za Baronem i Muzą, będę ich ścigał, nastreczał się im, nudził i męczył szyderską fizyognomią, chodził za nimi krok w krok, to doskonale się ubawię i nasycę....

Ale każdy ma swoje smaki, naturę, charakter... mnie szatan widać w pieluchach kołysał... zostało mi coś z natury tej niańki.... Cha! cha!

Rozśmiał się dziko, wziął za kapelusz i wybiegł, wołając: Jeszcze muszę się im dziś pokazać w teatrze.....

Już dla tego samego że Henryk do Genui pospieszył, Jakóbowstwo pozostali w Sestri.

Ponad uspokojone morze wszedł księżyc blady, noc była prześliczna, pusto i cicho w małej miejscinie. Na placyku przed kościołem kilka kobiet przy latarkach sprzedawały owoce, gdzieś z otwartego okna odzywała się gitara i śpiew wieczorny, parami młodzież przechadzała się pod platanami. Na wybrzeżu jeszcze kilkoro dzieci bawiło się wśród fali łagodnie rozplywających na piasku.

Szkielety budujących się bark pełne życia i stukotu we dnie, odpoczywały i zasypiały, czarne ich boki szeregiem opasywały wybrzeże jakby twierdze jakieś dziwaczne.

Tilda i Jakób wyszli nad brzeg morza, biedna kobieta była czegoś zboląta i smutna, otworzyły się rany wspomnień przeszłości, oczy miała wilgotne i pierś wezbraną.

— Wszak odjechali wszyscy? spytała.

— Odjechali, rzekł Jakób. Spójrz jak pięknie świeci ten księżyc nad morzem, jaka cisza i majestat w tej naturze, która nam przypomina niezmiennością, praw swoich, że i duchowe prawa są równie niezmiennie, że i my pogodnym czołem na wszystkie świata przygody patrzeć powinniśmy.

— Tak, przerwała Tilda po cichu, ale dajże wszystkim serca żelazne, coby mogły nie boleć od wspólnych nieszczęść świata, kraju, braci.... Nauczyłam się i ja od ciebie wierzyć w sprawiedliwość, w nieubłagane prawo Boże; dumna jestem z tego, czuję, że sprawa wszystkich uciśnionych kiedyś odniesie zwycięstwo... ale my... ale pokolenia całe.... Te krocie ludzi pod lodami Sybiru, zakute w łańcuchy, te niewiasty polskie z niemowlętami na rękach, idące przy taczkach katorżników, ci starcy z tęsknoty konający na bezludziu moskiewskim, te popalone miasta, sprofanowane domy, urągowisko niedoli... jakże na to patrzeć, wspomnieć to bez łez krwawych....

— Uwierz tylko w to, przerwał Jakób, że nic w świecie nie uchodzi bezkarnie, że prawda musi zwyciężyć, że te tysiące ludzi, ofiar, niosą za stopami swemi

idee i nawracają sobą; że żadna z tych łez nie pada niepomszczona, że żaden jęk nie rozwieje się daremnie, a w męztwie czerpajmy siły do ofiar... i dalej, dalej, dalej, pracownicy przyszłości.... Idźmy tłuc kamienie na gościńcach handlarzy wieku, w kamieniach tych dłoń wygnańca uściele drogę mającemu przyjść tryumfowi prawdy. Świat zaparł się moralności, prawa, szlachetnych swych młodzieńczych popędów, i dojdzie do krańców bezbożnego szału, aż rozbiwszy się o nie, zawrócić będzie musiał.

Cóż znaczą męczarnie ludzi w wielkiem morzu wieków, życiu świata?...

Ręka w rękę, podpierając się wzajem, wleczmy się drogą ciernistą... nad nami Ten co był... co jest i będzie na wieki.

KONIEC.